

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

NAUKOM, Sztukom i Przemysłom

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Tom trzeci.

WARSZAWA

1811

4767/43

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1851.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIII.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Żaluskich.

1851.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620. 1851. 3

II.

X-14142
4620, II 3.

1851

- Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

Top Page



OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIII 30.000,-



WARSZAWA

W Drukarni Świątecznej

przy ulicy Świątecznej 20. Dł. w dawnej Drukarni Książkowej

1851

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O KSIĘGARNIACH I DRUKARNIACH WARSZAWSKICH

OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW AŻ DO ROKU 1793,

OPRACZANA Z AKT DAWNYCH

przez

Stanisława Lisowskiego.

Staryto wynalazek pismo, ten tłumacz myśli dla oddalonych czasem lub przestrzeni! Wielki, potężny, jakby czarodziejski środek, nie lęka się dziś czasu; niczém dlań przestrzeń ziemską, bo z jednego na drugi kraniec świata, na skrzydłach gieniuszu niesiony, wyjawia wszelkie tajemnice natury lub sztuki, i sławę rozumu ogłasza. Tysiące korzyści wypłynęło z tego wynalazku, co tworzony naprzód ręką, przeszedł następnie w postać druku lub litografii; a mechanizmem dziś już nie słaba ręka na tysiące exemplarzy przepisująca, lecz siła pary lub elektryczności: bo i szybciej działają, i przy raz gotowém urządzeniu, mniej zochodu potrzeba.

Cztery wieki już minęło, jak ludzie pierwsze ujrzeli druki. Wynalazek ten wpływając znakomicie na podniesienie oświaty, przez ułatwienie nabycia wszelkiego rodzaju książek, czyto do nauki, czy do rozrywki służących, pociągnął za sobą rozgałęzienie i powiększenie handlu i przemysłu, albowiem nastąpiła potrzeba piapierni i księgarń.

Podniesienie i wzrost sztuki drukarskiej również nie było bez wpływu na rękopisy, ale w stosunku zupełnie odwrotnym. Pierwiastkowe rękopisy dokonywane z troskliwością i szczególném wykończeniem, zaczęły nikać potrosze, i stały się dziś rzad-

kością. Uważano pod zewnętrznym względem, są one w swoim rodzaju arcydziełami, na widok których zdumiewać się potrzeba. Jakieżto ozdoby, jakie wykończenie pojedynczych głosek lub miniatur, jaka cierpliwość owego przepisywacza, u którego każdy zarys jakby cyrklem odmierzony, a wszystkie głoski tak jednakowe, tak do siebie podobne, jakby z druku wyszły. Dziwić się potrzeba tej żelaznej wytrwałości, z jaką pilny przepisywacz, wiele, wiele tracił czasu, zanim zpod jego pióra wyszedł rękopism taki, jakim go dziś oglądamy; a co on kosztował? Wynagrodzenie, jakie niekiedy za wykonanie takiego rękopisu dawano, mogło stanowić majątek; a przecież książka taka była jedynym exemplarzem, który w wypadkach nieprzewidzianych kłesk, pożaru lub tym podobnych, ginął bezpowrotnie: tymczasem dziś drukowana pierwsza i ostatnia książka, niczem się od siebie nie różnią, chociaż je sta lub tysiące pośrednich exemplarzy rozdziela, kupno dla każdego dostępne, i niepodobna prawie przypuścić, aby dzisiejsze nakłady, jeżeli ich z umysłu kto nie zniszczy, mogły kiedy zniknąć bez śladu.

Kto? kiedy? i jakim sposobem przyszedł do wynalezienia druku—wszystkim jest wiadomo. Odkąd drukowanie ksiąg w Polsce istnieć poczęło, także okazano. Historią bibliotek, drukarni i księgarń w Polsce już znakomitsze obrabiały talenta; dla nas dostało się w udziale dopełnienie wiadomości o księgarniach i drukarniach w Warszawie, ile że do tego ustępu nowe znaleźliśmy szczegóły.

Kraków, stolica dawniej Polski, siedziba starych królów, dygnitarzy i możnych panów, przodkując pod każdym względem całemu krajowi, naprzód też zaprowadziła u siebie drukarnie, w których różne i liczne wychodziły księgi. Uczony Jerzy Samuel Bandtkie mając przed oczyma druki, na których wyraz *Cracis* (jako miejsce druku) położony znalazł, dowodzi bytności drukarni w Krakowie już w roku 1465, na co wszakże lepszych potrzebaby dowodów. W roku 1491 Świętopelk Fiol już odbijał w Krakowie księgi słowiańskie; a niespracowany w badaniach swoich Ambroży Grabowski dowodnie wyjaśnił właściwy rodzaj zatrudnienia tego pierwszego drukarza krakowskiego, z kąd okazało się, że to był poprostu *haftarz*, obdarzony wszakże od natury znakomitą zdolnością do wszelkich robót mechanicznych (1). Po nim Jan

(1) Starożytności historyczne. T. I, str. 410.

Haller dopiero zaczął drukować po łacinie, a otrzymawszy przywilej w r. 1505 na założenie i prowadzenie drukarni w Krakowie, przyczynił się wiele do podniesienia tego kunsztu w Polsce (1), bo drukował wiele i dobrych książek. Miał zapewne tę myśl podniesienia drukarstwa we własnym kraju Alexander Jagiellończyk, kiedy w przywileju tym wyraźnie zabronił kupcom cudzoziemcom i krajowcom, sprowadzania książek z zagranicy i wystawiania na sprzedaż takich, które Haller w Krakowie drukował; a polecając czuwanie nad tém starostom, naznaczył karę utraty wszelkich ksiąg, starostom zaś dziesięć kop zapłaty, gdyby się kto zakaz ten przestąpić odważył. Wznosiła się ta drukarnia niepospolicie, gdy zaraz w r. 1518 Ludwik Jodok Decyusz (Dycz), ze szczególnego polecenia Jana Łaskiego prymasa, otrzymał przywilej na lat cztery, na drukowanie brewiarza dla dyecezyi poznańskiej, i w przeciągu tego czasu nikomu powtarzać przedruku, ani téż brewiarzy z zagranicy sprowadzać niewolno było. W rok potem, tenże Decyusz otrzymał znowu przywilej na drukowanie kroniki z wielkim nakładem i przepychem, różnemi obrazami ozdobioną, i ważność tego przywileju trwać miała przez lat sześć. Powtórzono zakaz przedruku, a przestępca takowego, pozbawieniem ksiąg i zapłatą sto marek, miał być karany (2). Do końca tego wieku mnożyły się i wzmagaly drukarnie, a w roku 1566 już Jakób Szarsfenberg z żoną Barbarą i synem Krzysztofem, nabyli od Stanisława Minockiego burgrabi krakowskiego i matki jego Agnieszki, młyn papierowy we wsi Młodziejowice będący, do wyrabiania zaś papieru zdatnych majstrów z zagranicy sprowadzili. W roku 1577, Mikołaj Szarsfenberg obywatel i drukarz krakowski, otrzymał nominacją na drukarza królewskiego, z dozwoleństwem wyłącznym drukowania statutów, konstytucyj sejmowych, wszelkich praw publicznych, ziemskich, kronik, historyj i t. p.; oprócz tego zawsze powinien był trzymać przy kanclerzu Janie Zamojskim zdolnego drukarza, ze wszelkim przyrzędem gotowego, aby wszystko co mu kanclerz poleci, drukować mógł, a za to osobne opatrzenie

(1) Przywilej ten wydany w Krakowie *feria tertia in crastino festi Sancti Michaelis Archangeli*, (30 września) 1505 roku, znajduje się w aktach Metryki koron. Księga 21, str. 293.

(2) Oba te przywileje, a mianowicie pierwszy w Krakowie *in vigilia sancti Bartholomaei* (23 sierpnia) 1518 roku; drugi także, *feria sexta proxima ante festum sancti Bartholomaei* (19 sierpnia), 1519 roku wydane, znajdują się w aktach Metr. kor. Ks. 31, str. 357. i 540.

od kanclerza otrzymywał (1). Inne dzieje późniejsze są już zkądną wiadome.

Warszawa dopiero w XVI wieku wzrastać i znaczenia nabyczą zaczęła, a mianowicie po przeniesieniu tu stolicy z Krakowa. Zwolna bardzo przystępując do nabycia i przyswojenia sobie rzeczy już u innych znanych, prawie powszednich, późno zasłynęła w księgarnie, później jeszcze w drukarnie. W wieku XVII już nie każde dzieło mogło być drukowane, bo władza duchowna i Jezuici zapobiegali wielom przystępu do pras; nie każdemu pisać i drukować było wolno, bo dyssydenckie pisma przez druk nie miały się stawać publicznymi w Polsce (2). Ogólne upośledzenie w tym czasie drukarstwa w Europie, było główną zawadą, że po przeniesieniu stolicy z Krakowa nie podniosły się drukarnie warszawskie, a o księgarzach ledwie słyszeć było. Długie tak przetrwały czasy, zanim, że tak powiemy wegetowanie bez żadnych oznak zewnętrznego życia, żywsze ruchy wywołało, lecz na krótko tylko. W ostatnich dopiero czasach, gdy Pijarzy i Załuski całą uwagę zwrócili na skarbnicę umysłowych śladów życia Polski, zaczęto skrzętniej pracować nad poznaniem samych siebie. Zdaje się, że Załuski zesłanym był z nieba, aby w Polsce uspięne muzy do nowego życia powołać. Od młodości w książkach zamiłowany, bezustannie żywił myśl założenia publicznej biblioteki, i na to wszelkie swojełożył starania. Wiele doświadczał przykrości, albowiem znaczna część współobywateli chętniej miłowała konie, psy, polowanie, biesiady, aniżeli książki; ale też nie był bez poparcia ze strony oględniejszych, którzy silnie i z zapałem wspierali jego zamiary (3). Nagromadzone przez Załuskiego skarby zaczęły otwierać wszystkim oczy, jak bogatą jest umysłowa niwa przodków naszych. Dziwili się Polacy zkądną się wziąć mógł taki ogrom zasobów ku nauce, kiedy im się zdawało, że to nie tak wiele potrzeba, aby być *alfa* i *omega* w swojej ziemi, powiecie lub województwie. Cóż

(1) Włęcz szczegółów znaleźć czytelnik w różnych w tej materii dziełach i rozprawach. Nie chcąc powtarzać, wprost ztamtąd przepisując, przywiedliśmy tu te tylko wiadomości, które nie są znane, a przecież niemniej ważne, iżby opuszczone lub zlekka dotknięte być miały. Przywilej o którym mowa (a będzemy się do niego jeszcze odwoływać) wydany w Bydgoszczy, dnia 22 lutego 1577 roku. Zob. na końcu w dodatku nr. 1.

(2) Bibliograficznych ksiąg dwoje. T. I. str. 207.

(3) Janocki w życiu Załuskiego. Wydanie in folio po łacinie, bez tytułu, roku i miejsca druku, str. 56. Znajduje się w bibliotece głównej O. N. W.

więc mogli wiedzieć wówczas o rzeczach polskich cudzoziemcy, których charakterystykę tak trafnie we wstępie do swego dzieła: *O rzadkich książkach polskich* (1) skreślił Janocki? Oto jego słowa:

„Zarzucają zwykle cudzoziemcy, że Polacy żadnych książek nie mają, a jeżeli przyznawają nam, że mamy jakiegokolwiek dzieła, to o nich lekkomyślnie sądzą, że nie niewarte! Sąd ich ugruntowany jest na grubój niewiedomości. Z naszych dzieł nie oni nie czytali, ani ich nawet widzieli, ani o nich słyszeli. Pytają się wprawdzie o *Długosza*, dowiadują się o *Kromera*, poszukują *Orzechowskiego*, kupują nawet *Sarnickiego*, lecz z tych czterech pisarzy składa się ich cała polska biblioteka! Jeżeli ona większych jest rozmiarów, do jój składu wchodzi jeszcze *Piasecki*. Więc o nas nie wiedzą i naszych dzieł nie mają”.

„Przyczyna téj niewiedomości leży właściwie w nas samych. Cudzoziemcy istotnie nie są tyle winni. Starajmy się rozpatrzyć błędy stron obu:

„Naszą jest winą, że nie staramy się bynajmniej o powiększenie drukarni, ani téż o polepszenie stanu dziś istniejących, a sprzedaż publiczna książek z uszczerbkiem dla nauk, zamknięta w bardzo ciasnych granicach.“

„Posiadacze książek niedbale z niemi się obchodzą. Przeznaczają dla książek najbrudniejsze w swych domach kąty, pełne pajaków, myszy i innego robactwa. W braku makulatury używają je na podkładki do placków, obwijają w nie pieczenie, ciasta, śledzie, szynki lub sér; a gdy wiatr zimowy przez stłuczone w czasie hucznej biesiady szyby, do komnat zawiewać pocznie, wybierają co lepsze karty na załatanie dziur, tych wrogów miłego ciepła pozbawiających.“

„Z drugiej strony, księgarnie cudzoziemskie zohardzo są uprzedzone, leniwe i bojaźliwe. Skarżą się one na niesłychaną cenę naszych książek: nie wierzą, że je nawet z zyskiem sprzedać mogą. Zanedbują środków, jakimi do poznania i nabycia jeszcze dość tanio książek polskich przyjśćby mogli, i uniewinniają się zawsze tém bezzasadném a nieprzyzwoitém zapytaniem: — co z Polski może być dobrego? — Otóż przyczyna, dla której książki nasze w obcych krajach tak są kosztowne i rzadkie.“

Tak pisał przed stoma laty Janocki, bo téż taki wtedy był stan rzeczywisty wiadomości bibliograficznych w Polsce. Po-

(1) Nachricht von den raren polnischen Büchern. Tom I. Drezno 1747; drugi tom I następane do 5go, we Wrocławiu, 1749—1753.

wtarzamy dziś jego wyrazy bez zarumienienia, bo w przeciągu tego czasu znacznieśmy się poprawili: pracujemy i uczymy się ciągle. Dziś możemy już powiedzieć, że znamy siebie, a jeżeli jeszcze niezupełnie, to przynajmniej możemy sobie pochlebiać, że niewiele nam już brakuje.

Lecz wróćmy na właściwą drogę, od której może zadaleko zboczyliśmy. Mamy albowiem mówić o najdawniejszych księgarniach w Warszawie, wydobywając na jaw wiele zajmujących nieznanych szczegółów, które jako wypadek poszukiwania na tej drodze, nawinęły się oczom naszym. A naprzód: kto pierwsi-
stkwowo trudnił się sprzedażą książek?

Nie odrazu Kraków zbudowano! mówi dawne przysłowie, nie odrazu też u nas stanęły wyłączne księgarnie. Z początku, gdy jeszcze drukarni własnych w kraju nie było, sprowadzali książki z zagranicy kupcy, które wraz z innymi towarami na sprzedaż wystawiali. Po zaprowadzeniu drukarni, napotykamy nasamprzód *introligatorów*, i to jest naturalny skutek z biegu rzeczy wynikający, bo jakże było używać nieczytych lub nieoprawnych arkuszy? Introligatorowie zatem odbite w drukarni arkusze zszywali, oprawiali w książki i tak gotowe zwracali drukarzom do dalszego obrotu. W początkach więc drukarz musiał być łącznie księgarzem; ale gdy liczba książek wzrosła, gdy zajęcie się jednym i drugim przedmiotem zaczęło być uciążliwe, nastąpił rozdział zatrudnień, i wyrodziła się konieczna potrzeba osobnego handlu księgarskiego. Sprzedawano więc zrazu książki w drukarniach samych, albo w arkuszach, aby każdy kto i jak zechce, kazał introligatorowi oprawić, albo też już przez introligatorów oprawne; następnie dawano je w komis kupcom innych towarów, a nawet i samym introligatorom; naostatek, gdy się wydawnictwo dzieł rozszerzyło, nastąpiła wyłączna sprzedaż książek. Że do takiej sprzedaży używani byli introligatorowie, utwierdza nas w tém mniemaniu nazwisko, jakie im naprzemian ówczesznie nadawano: *introligatores*, *complanatores* seu *compactores librorum*, albo *bibliopolae*.

Takie jest nasze, na mocy przywiedzionych śladów, mniemanie o początku ogólnym księgarń. Jakie szczegółowo koleje dalej przechodził ten rodzaj handlu w Polsce, nie mogliśmy dotąd wysledzić: bo w pomroce dziejów niedostatecznie objaśnionych, niejedna jeszcze wiadomość leży głęboko ukryta, a ztąd dla łamiącego pierwsze zapory wielka trudność, jeżeli mu, jak się to najczęściej zdarza, i na samych materyałach zbywa.

1500 — 1600.

Pierwszym z introligatorów na którego w dotychczasowych poszukiwaniach natrafiłszy, i o jakim w tym wieku podają wzmiankę akta miasta Starój Warszawy, jest niejaki *Leonard de Przasth*, który przyjął prawo miejskie w Warszawie *feria 4ta post festum Sti Andreae* (3 grudnia) 1528 r. Po nim z kolei idzie *Błażej*, bez innego nazwiska. Występuje on na widownię już w r. 1544, zeznając dług dwóch kop groszy w półgroszkach, który na domu posiadany przez siebie na Dunaju zabezpiecza. W rok później sprzedał ten dom *Dorocie Figlowej* za dwadzieścia dwie kop groszy, podobnie w półgroszkach, i od tego czasu już go więcej w aktach nie napotkaliśmy, jak również nie ma śladów, żeby się trudnił sprzedażą książek (1).

Po obu powyższych w roku 1548 znowu *Bartholomeus de Plonisko* syn *Wojciecha* introligatora i sam introligator przyjął prawo miejskie: *fer. 4ta post fes. Sti. Martini* (d. 15 listopada). Potem *Maciej* syn *Andrzeja* z Poznania *fer 4ta post fes. Navitatis Mariae* (11 września) 1555 r. (2). Odtąd następuje przerwa aż do roku 1581 (3) w którym znajduje się w aktach wymieniony *bibliopola Jan Gieras* (Ks. 9, str. 35.) Ze stosunków jego z *Pawłem Fabrycem*, także *bibliopola*, dorozumiewać się należy, iż był właściwie introligatorem.

Okolo roku 1586 sprzedaż książek widać że większe zaczęła przynosić i zapewniać korzyści, gdyż *Paweł Fabrycysz* o wyłączny na sprzedaż przez siebie książek, starał się przywilej. Nie uzyskawszy wtedy nic u tronu z powodu bezkrólewia, odesłany do magistratu warszawskiego, tam ponowił swoje starania; tém bardziej, że go znamienite dworskie polecały osoby. Czyniąc więc zadość pp. rajcy takim wstawianiom się, i zważając na dobre prowadzenie się *Fabrycego*, dozwolili mu wyłącznej sprzedaży książek przez przeciąg lat dwunastu, w ten sposób: że nikomu innemu tak z obywateli warszawskich, jako też i obcych kupców, książek w Warszawie sprzedawać niewolno było, wyjąwszy kalendarzy, rycin, i kart do grania, których sprzedaż kupcom, aptekarzom, i innym obywatelom warszawskim służyła, jak również

(1) Akta miasta Star. Warsz. ks. 520 pod datą, oraz ks. 3, str. 37, 57.

(2) Też akta 526 pod datą (niefollowana).

(3) Przerwy te mamy nadzieję z czasem uzupełnić.

w czasie sejmu lub jarmarków, gdzie według dawnych przywilejów, wszyscy i wszelkiego rodzaju towary bez żadnej zkadkolwiek przeszkody sprzedawać mogli. Zawdzięczając takie prerogatywy Fabrycyusz, dobrowolnie zobowiązał się dostarczać corocznie dla użytku magistratu ryzę papieru; wszelkie zaś akta tak czynności cywilnych jako i sądowych lub kryminalnych, oprować przyrzekł przez cały przeciąg lat dwunastu, ilekroć tego zajdzie potrzeba. (Ks. 9, str. 621). Trzeba przyznać, że Fabrycyusz sumiennie dopełnił włożonego na się warunku, i z tego czasu pozostałe akta miejskie, odznaczają się szczególną dobrocią papieru i porządną oprawą.

W lat dwa potem *Jan Modzelowski, Szkatulnik* zwany, intro-ligator, wiedząc, że Fabrycyusz miał tylko pozwolenie czasowe magistratu, starał się u króla o przywilej dla siebie, i ten dnia 17 lutego 1588 r. dla siebie na wyłączną sprzedaż ksiązek otrzymał. Pokrzywdzony w ten sposób Fabrycyusz żalił się przed magistratem i żądał niedopuszczenia Modzelowskiego do sprzedaży ksiąg, twierdząc, że wprzód już na to przyzwolenie miejskie otrzymał; że w przeciwnym razie, narażonyby został na znaczne straty; na-ostatek zaś przywiódł i to na poparcie swój sprawy: że i on również miał przywilej jeszcze Stefana króla w r. 1580 d. 21 maja w Grodnie sobie nadany, i także w 1588 roku d. 1 lutego w Krakowie potwierdzony. Magistrat widząc zawilość sprawy, a nie będąc w mocy wyrokować względem przywilejów królewskich, obu spierających się, ze skargami i żądaniami do sądów króla odesłał. Długo trwały spory; wycieńcały się fundusze stron obu, i Fabrycy w roku 1589 w przykrém był położeniu, gdy aż w pożyczce dwóchset złotych ówczesnych szukał dla siebie ratunku, dając bezpieczeństwo téj summy na książkach i wszelkich towarach w księgarni znajdujących się, i obiecując ze sprzedaży ksiązek dług ten zaspokoić. Z tego pokazuje się, że Fabrycyusz był intro-ligatorem, księgarzem i kupcem, bo prócz ksiązek miał i inne towary w swym sklepie. Modzelowski jakkolwiek zastłaniał się otrzymanym przywilejem, nie wyszedł zapewne korzystnie z téj sprawy, albo téż może pogodziwszy się z Fabrycyuszem, onój zupełnie zaniechał, bo nie słyhać o nim nic aż do roku 1598, to jest po upływie dwunastu lat, na wyłączną sprzedaż ksiązek Fabrycyuszowi dozwolonych. W tym roku łącznie obadwa, to jest Paweł Fabrycyusz i Jan Modzelowski przedstawiwszy królowi potrzebę księgarni w Warszawie, otrzymali przywilej pod da-

tą w Malborgu 12 czerwca 1598 r. na założenie dwóch księgarń, i nikomu więcej takowych zakładać, ani też książek sprzedawać niewolno było, wyjąwszy, jakeśmy to już wyżej wspomnieli, podczas sejmów lub jarmarków; gdyż wedle dawnych przywilejów, przez cały przeciąg trwania takowych, wolno było sprowadzać i sprzedawać książki innym osobom. Przywilej ten służył obudwom zarówno tylko za życia; zastrzegał przytém, aby w swych księgarniach mieli dostateczną na użytek publiczny ilość książek różnych autorów i przedmiotów. Było zatem pierwszy krok na tej drodze, i od niego właściwie rozpoczyna się epoka stałych księgarń warszawskich, które dotąd tylko jako przydatek do handlu innych towarów przyczepiane były.

Czyli równocześnie istniały w Warszawie i jakie drukarnie? wątpić należy. Twierdzą wprawdzie, że wtedy drukował w Warszawie Mikołaj Szarfenberg, i przytaczają na to dowody wymienione u Bandtkiego, Hoffmana i innych, którzy w tym przedmiocie pisali. (1). Lecz zastanowiwszy się dobrze i szukając więcej innych dowodów na poparcie czynności téj drukarni, bardzo małą pewność znajdujemy w owych dowodach; owszem, wcale przeciwnie nasuwa się nam zdanie. Mikołaj Szarfenberg otrzymawszy w roku 1577 wspomniony od nas wyżej przywilej na drukarza królewskiego, miał sobie położony warunek, aby jednego zdatnego towarzysza z wszelkim przyborem gotowego, zawsze

(1) Bandtkie: *Historia drukarń krak.* str. 320, przywoździ:

Edictum Regium Suiresense ad milites ex quo causae suscepti in Magnum Moscoviae Ducem belli cognoscentur. Edictum regium de supplicationibus ob captam Polociam. Rerum post captam Polociam contra Moscum gestarum narratio. Varsaviae, Anno Domini 1579. 4to. str. III. Na końcu: *Varsaviae typis Nicolai Szarffenbergii Regii typographi, cum privilegio Anno Domini 1579.*

Exemplar literarum a Ser. Stephano Poloniae Rege Civitati Gedanensi datarum Mariaeburgi 16 Dec. 1577, post receptionem in gratiam, unacum jure jurando ejusdem. 4to, 1578. To dzieło przywoździ także Hoffmann: *de Typographiis*, str. 53.

Pieśni trzy Jana Kochanowskiego. O wzięciu Połocka, O statecznym studze R. P., O uczciwej małżonce. W Warszawie, roku Bożego 1580, 4to, druk gocki, arkusz 1.

De expugnatione Polottei Ode Joan. Kochanovii. Varsaviae, anno Domini 1580. Oba te druki wspomina także Niesiecki. Tom II, str. 549.

Starożytna Polska Tom I, str. 428 przywoździ jeszcze w r. 1578, że w Warszawie była także wydawać: „*Odprawa posłów*” Jana Kochanowskiego.

przy kanclerzu trzymał (1). Łatwo zatem stać się mogło, że kanclerz bawiąc pod owe czasy w Warszawie, tę właśnie a nie inną robotę drukarzowi swemu wykonać polecił, a ten położył miano Warszawy i Szarfenberga, jako miejsce ówczesnego pobytu i właściciela, bynajmniej niedowodzące ustalenia pod owe czasy drukarni w Warszawie. Utwierdza nas w tém zdaniu istnienie drukarni tak zwanych *obozowych*, w których *Nowiny* drukowano, bo były wypadkiem téjże saméj okoliczności, to jest, że przy kanclerzu znajdował się obecny drukarz i wykonywał to, co mu polecone było. Rzeczywisty więc początek drukarni miejscowych w Warszawie, jest późniejszy.

Na początku tego wieku pojawiona reformacja religijna, spowodowała w r. 1520 pod datą: *in vigilia Sti Jacobi Apostoli*, (24 lipca) wydanie w *Toruniu* edyktu królewskiego, mocą którego surowo zabraniano sprowadzania do państwa, i używania książek przez Marcina Lutra Augustyanina pisanych; albowiem w nich znajduje się wiele rzeczy ubliżających stolicy apostołskiej, religii, i mogących zakłócić spokojność publiczną. Podobny edykt wyłącznie dla Gdańszczan, wyszedł w Gdańsku, w oktawę Nawiedzenia Najświętszej Panny Maryi (9 lipca) 1526 r., i tu wymienione są nietylko książki, lecz malowidła, pieśni i inne t. p. paszkwile (2). Z téjże saméj przyczyny synody prowincjonalne, mając na względzie uchronienie katolicyzmu od reformacyi, podobne wydały zakazy. Maciej Drzewicki arcybiskup gnieźnieński, na synodzie w Piotrkowie 1532 roku, i Piotr Gamrat tamże wyraźnie postanowili: ażeby żaden drukarz nie ważył się drukowania jakiegobądź książki, jeżeli na to od biskupa lub upoważnionych do tego osób pozwolenia nie otrzyma; dalej: aby wszystkie księgarnie corocznie przez biskupów lub upoważnionych do tego duchownych rewidowane były: aby znalezione tam książki zakazane, konfiskowane i palone były, a sami księgarze wedle prawa ukarani (3). Lecz pomimo podobnych zakazów, które nie zostały bez wpływu, drukarnie krajowe w przeciągu XVIgo wieku znakomicie wzrosły, i po różnych miejscach kraju zaślęły.

(1) Zobacz sam przywilój, w dodatku nr. 1.

(2) Akta Metr. kor., ks. 35, str. 59; ks. 40, str. 73.

(3) *Constitutiones Synodorum Metrop. ecclesiae Gnesnensis provincialium etc. studio et opera R. D. Stanisłai Karnkowski.* W Krakowie, 1759 r., 4to. Porównaj karty 25, 26 (karty po jedułej stronie liczbowane).

1600 — 1650.

W roku 1608, występuje po raz ostatni Paweł Fabrycyusz, gdy jadącemu do Lublina Stanisławowi Kędrowskiemu, dał 30 złp., dla doręczenia ich Sebastyanowi Szernickiemu, drukarzowi rakowskiemu (1). Wiadomość ta rzuca światło, że miał stosunki i z innymi miastami. W tym właśnie roku umarł Fabrycyusz, a przed tym jeszcze wcześniej Modzelowski. Ten ostatni pozostawił wdowę Elżbietę Jeleniównę, która prowadziła dalszą sprzedaż książek na mocy przywileju niegdyś mężowi służącego, i było zawsze tylko dwie księgarnie w Warszawie, z których jedna do wdowy po Modzelowskim, druga do Fabrycyusza należała. Umierając Fabrycyusz pozostawił także wdowę, której również służyło prawo korzystania z przywileju mężowi nadanego. Byłyby więc dwie księgarnie przez kobiety utrzymywane. Zapobiegając temu król i mając sobie przedstawioną zdatność introligatora *Marcina Ryling*, temuż w miejsce zmarłego Fabrycyusza księgarzem być dozwala, zastrzegając wszakże znowu, aby nie więcej nad dwie księgarnie w Warszawie otwarte były (2). Odsuniętą więc została Jadwiga córka Szymona Zdunkowicza, wdowa po Fabrycyuszu od trzymania księgarni, i dopiero w roku 1621, na mocy przywileju w Warszawie, dnia 10 marca nadanego (3), dozwolone jej było trzymanie księgarni, gdyż wtedy wdowa po Modzelowskim, Elżbieta Jeleniówna, właśnie zmarła. Warunek przecież poprzedni na dwie tylko księgarnie, zachowany w swój mocy pozostał.

W roku 1624 już inni introligatorowie sprzedają książek trudnić się poczeli. W roku 1626 umarł Ryling; przywilój służący dla niego, mógł znowu kto inny otrzymać, lecz *Grzegorz Filipowicz*, zięć jego, czynnie temu zapobiegł, i przywilój dla siebie pozyskał. Żyła wtedy jeszcze wdowa po Fabrycyuszu, Jadwiga, z naturalnego więc biegu rzeczy wypadło, że powtórzone zostały warunki w poprzednich przywilejach wymienione, to jest: cenzura duchowna, i trzymanie tylko dwóch księgarń (4).

W roku 1640 napotykamy księgarza i obywatela warszawskiego *Jana Szerszeniewicza*. Zeznaje on przed urzędem miejskim, iż winien jest księdzu Jezuitcie Grzegorzowi Cieślakowi złp. 200, potem znowu pożyczka złp. 300 na zakupienie ksiąg od pana Gor-

(1) Akta m. S. W., ks. 543, str. 233. (2) Akta m. S. W., ks. 16, str. 349. (3) Akta Metr. kor., ks. 165, str. 309. (4) Akta Metr. kor. ks. 174, str. 66.

skiego, a bezpieczeństwo pierwszej summy zapewnia na dwóch mszałach antwerpskich, jakie na sprzedanie posiada; z tych jeden był z miedziorytami, drugi z drzeworytami (1).

W tymże samym roku występuje w aktach *Melchior Wolski*, introligator i księgarz (librorum complanator et bibliopola), jako świadek w procesie osób trzecich powołany. Lecz w roku 1643 prowadzi proces na własną rękę, z przyczyny wzbronienia intro-missi, do majątku po rybaku Czajce pozostałego, który nau w spadku, jako spokrewnionego, przypadał (2). Był on dość zamożnym, jak to się okazuje z zapisów, testamentem w roku 1656 sporządzonym, poczynionych (3). Fundusz ze sprzedaży książek, których wartość na 2,000 złp. szacował, wraz z dodatkiem innych 1600 złp. zapisał psalterzystom, aby przez lat siedm, po trzy msze za jego dusze odprawiali. Miał także stosunki z *Jerzym Försterem* księgarzem gdańskim, o czém z tegoż dowiadujemy się testamentu. Brał od niego książki, i pozostał mu za nie dłużny; oświadczył przeto, że słuszna, aby swą należytość książkami odebrał, i dał mu na to dzieła do wyboru. Umarł w tymże roku, dotknięty morową zarazą, w której testament swój dnia 9 maja potwierdził.

W r. 1644, dnia 30 czerwca, *Jerzy Förster* księgarz gdański, otrzymawszy od króla *serwitorat*, miał sobie dozwolone przedawanie książek w Krakowie, Wilnie, Poznaniu, Lwowie, Lublinie i *Warszawie*, a to w każdym czasie i bez żadnej od kogobądź przeszkody (4). Księgarz ten, jak to z kądinąd wiadomo, odznaczył się nadzwyczaj ważnemi nakładami dzieł, do historii polskiej służących, które w Holandyi lub w Gdańsku dawał drukować. On także wielełożył na ryciny Falka, lecz czyli miał osobną księgarnią w *Warszawie*, dotąd nie wysledziliśmy.

Pierwszym z drukarzy, jaki w tej epoce występuje, jest *Jan Rossowski*. Otrzymał on przywilej d. 12 lipca 1624 r. (5), w którym powiedziano, że ponieważ brak jest drukarni przy dworze królewskim, a przez opóźnienie ogłoszenia ustaw na sejmie zapadłych, obywatele królestwa na uszczerbek narażeni być mogą: przeto zapobiegając podobnej niedogodności, król w *Warszawie*, gdzie najczęściej sejmy się odbywają i sam z dworem najwięcej

(1) Unum (missale) cum signis enels, alterum cum lignis. (Akta m. S. W., 25, str. 34). (2) Akta m. S. W., ks. 29, str. 667, 670. (3) Też akta, ks. 553, str. 59. (4) Akta Metr. kor., ks. 189, str. 84. (5) Tłumaczenie z oryginalu, zobacz w dodatku nr. 2.

przebywa, drukarnią założyć postanowił. Mając zaś sobie poleczonego Jana Rossowskiego z biegłości i znajomości w tej sztuce, naprzód go w liczbę sług swoich zaliczył, a następnie dozwolił mu drukowania: uchwał sejmowych; dzieła pod tytułem: *Speculum Saxonis*, z łacińskiego na polski język przełożonego; listów Cycerona; urywków Korneliusza i t. d. słowem rozmaitych dzieł, byle tylko religii katolickiej i dobrym obyczajom nie były przeciwne, i approbatę duchowną (biskupa) pozyskały. Tak wydrukowane książki, wolno mu było po sprawiedliwej cenie sprzedawać; co do konstytucyj zaś sejmowych zastrzeżono, aby dawny zwyczaj zachował i każdemu z urzędników i dworzan J. Królewskiej Mci darmo po egzemplarzu dawał. Przytém uniwersały, mandaty królewskie, i inne reskrypta również darmo drukować był powinien, ile razy zajdzie tego potrzeba, i tylko papier z kancelaryi miał sobie do tego dostarczany. Aby zaś z tego powodu na straty narażonym nie był, więc tak uchwał sejmowych, jako i dzieł wyżej wyrażonych nikomu innemu bez wiedzy i zezwolenia Rossowskiego przedrukowywać niewolno było, a to pod karą pieniężną i utratą książek, gdyby się ktoś uczynić to ośmielił. Wszakże Andrzej Piotrkowczyk nie zważając na zakaz, albo też może o przywileju dla niego wydanym nie wiedząc, konstytucyc sejmowe przedrukował. Wytoczyła się sprawa przed króla; wypadek jednak był łagodny dla Piotrkowczyka, albowiem król upomniał go tylko, aby na przyszłość podobnie czynić nie ważył się, gdyż niezawodnie podpadnie winom w przywileju zastrzeżonym (1). Drukował Rossowski jeszcze wiele dzieł innych, oprócz w przywileju wyrażonych, a niektóre z nich do wielkich rzadkości się liczą.

Po śmierci Rossowskiego pozostała wdowa Katarzyna, prowadziła dalej drukarstwo. W r. 1635 sporządziła inwentarz pozostałości, które się składały: z domu na Dunaj upołożonego, gdzie się mieściła drukarnia, z samej drukarni i naczyń starych introligatorskich, oraz książek, o których to tylko powiedziano: „w księgach oprawnych które były w bibliotece, także i te, które znajdowały się w domu w sexternach, porządnie spisane i taxowane, które uczynili in summa flp. 1327” (2). Wdowa nie mogąc wystarczyć i licznym kłopotom gospodarskim, i zatrudnieniom, jakich prowadzenie drukarni wymagało, poszła wkrótce za mąż za *Jana Trepińskiego*, którego jako drukarza już w r. 1636 napotykamy. W tym

(1) Akta Metr. kor., ks. 173, str. 303. (2) Akta m. S. W. ks. 31 str. 163.

albowiem czasie wydał własne pismo pod tytułem, przez Juszyńskiego przywiedzionym, jako z własnej drukarni w Warszawie (1). Rossowski pozostawił czworo dzieci, które w r. 1648 sporządziły z matką urzędowy dział majątku. Córka Regina, panna, miała podówczas lat 18; Katarzyna była już w małżeństwie za Szymonem Szczepankowiczem krawcem i mieszczaninem warszawskim; syn Sebastyan wyniósł się do Poznania; Jan zaś najstarszy, od wielu lat nieobecny, żadnej o sobie nie dawał wiadomości (2). Po tym dziele umarła wkrótce matka a teraz żona Trepińskiego, a ten narażony został na liczne z rodzeństwem Rossowskich procesa, które w imieniu wszystkich prowadził czynnie Sebastyan z Poznania, i te dopiero druga żona Trepińskiego, Elżbieta Tarchowska zgodnym zakończyła sposobem. W czasie morowego powietrza 1656 r. umarł Trepiński, sporządziwszy urzędowy testament przed urzędnikami do tego podczas moru wyznaczonemi, i pozostawił jedyną córkę, Teresę. (3). Wdowa już nie drukowała i wkrótce weszła w powtórne związki małżeńskie z Baltazarem Malinowskim. Trepiński objąwszy drukarnią po Rossowskim, wszedł w używanie przywilejów poprzednikowi służących, drukował przeto wiele rzeczy różnych. Od czasu przecież pozyskania wyłącznego przywileju przez Elerta na drukowanie uchwał sejmowych, zaczęła upadać jego drukarnia, nie odznaczająca się i tak starannością lub ozdobnością druków, aż nareszcie przeszła zupełnie na Elerta.

W roku 1643 Piotr Elert otrzymał przywilej na założenie nowój drukarni. Nabywszy czcionek i rozmaitych ozdób drukarskich od Andrzeja Piotrkowczyka rajcy krakowskiego, i ożeniwszy się z Elżbietą Piotrkowczykówną, wyrobił dla siebie pozwolenie drukowania konstytucyj, i zastrzeżenie, iż dzieł innych przez niego drukowanych, nikomu tak w królestwie, jako Wielkiem Księztwie Litewskiem przedrukowywać niewolno było, a to pod karą tysiąca dukatów i utratą książek. Elert był właściwie muzykiem nadwornym króla Władysława IV; łatwo mu więc było pozyskać dla siebie względy monarchy, zwłaszcza, gdy położył także zasługi w czasie więzienia Jana Kazimiérza we Francyi, gdzie temu ostatniemu towarzyszył. Przywilej, jaki pod datą 12

(1) Dykeyonarz poetów polskich. T. II, str. 258. Tytuł dzieła: *Repotia Joanni Dziboni et Annae Dzianot. 1636, 4to.*

(2) Akta m. S. W. 31, str. 315. (3) Akta m. S. W. 38, str. 18.

stycznia 1643 r. otrzymał, pozwala mu także mieć własną księgarnię, a w niej sprzedawać książki nietylko swego nakładu, ale i inne z jakkolwiek sprowadzane. W roku 1645 w poczet sług królewskich policzony, otrzymał pozwolenie na oprawianie książek, trzymanie do tego czeladzi, uczniów, i t. d. (1). W roku 1647, d. 6 lipca otrzymał przywilej na przedrukowanie *Statutu Litewskiego* z zabronieniem komubądź innemu drukowania i sprzedawania tego statutu, dopóki Elert całego nakładu nie wyprzeda, a to pod karą 1000 dukatów i konfiskatą ksiąg (2). Umarł około r. 1650.

Epoka pięćdziesiątletnia, którą opisujemy, nie była korzystną dla drukarstwa i księgarń. Zygmunt III osidlony wpływem Jezuitów patrzył na wszystko ich oczyma, a ci prawie w ręku swoim trzymając rządy, kierowali wszystko tak, aby wyłączną sobie korzyść zapewnić. Wszystko więc cokolwiek religii dotyczyło, a z ich widokami sprzeczne było, starali się wszelkiemi sposobami zniszczyć, i samą pamięć zagładzić. Tak naprzykład w r. 1623 uzyskali dekret króla na spalenie książki w odpowiedzi na wydane przez nich pismo o akademii krakowskiej, przez niewiadomego autora napisanej, przeprowadziwszy poprzednio proces w sądach marszałkowskich, który książkę tę potępienia godną uznał, i posiadania onę komubądź surowo zabronił. Opierając się zatem król na wyroku tego sądu, nie roztrząsając już rzeczy na nowo, tém bardziej, gdy tam już dowiedzione zostały: świętość i niewinność obyczajów, pobożna nauka i skromność ojców Jezuitów, wyrok powyższy zatwierdził, aby spokojność i bezpieczeństwo publiczne poddanych naruszone przez to nie były. Zabronił więc w całym państwie przedrukowywania, czytania, lub jakimbądź sposobem upowszechniania rzeczonej książki, a nakazał palenie nietylko samych exemplarzy, ale i ich kopij (3). Wyrok ten przy odgłosie trąb publicznie ogłoszony, wykonany został przez mistrza sprawiedliwości na rynku Starego Miasta w Warszawie, dnia 19 maja, czyli według dawnego daty oznaczenia, w piątek po niedzieli *Cantate* 1623 roku.

(1) Oba przywileje znane Bandkiemu: Hst. druk. w Kr. Pol. i W. Ks. Lit. T. II, str. 170.

(2) Akta m. S. W., ks. 31 str. 125.

(3) Tłumaczenie tego wyroku z oryginału, zobacz na końcu w dodatku nr. 3.

We dwadzieścia trzy lat później znowu na podobny fakt natrafiamy; doznała albowiem tego samego losu książka Krzysztofa Neümana doktora medycyny, jaką w obronie na zarzuty sobie czynione, napisał, i samemu królowi dedykował (1). Spalił więc ją znowu kat publicznie na rynku warszawskim, ogłosiwszy pod prejęciem wyrok królewski, na znak wiecznego potępienia i hańby dla autora.

Nie mamy więc pod ręką śladów na poparcie, że to nie były rzadkie u nas przykłady. Dość przecież i tych, aby na nich się oparli wypowiedzieć pewnik publicznego niszczenia ksiąg, sprawionego przez intrygi duchownych. Lecz wróćmy do księgarń i drukarni w następnej połowie XVII wieku.

1651—1700.

Gdy umarł *Jerzy Förster* (2), a przywilej jaki mu służył tén samém upadł, pochwycił okoliczność wakującego serwitorku *Eliasz von Treuen Schröder*, i takowy w roku 1660 d. 16 października, jako przez śmierć Förstera opróżniony, otrzymał, z wolnością używania tych samych praw, jakie poprzednikowi jego służyły, to jest księgarza królewskiego; nadto założenia drukarni, i tam drukowania dzieł różnych autorów i w różnych językach. Nie znamy o nim więcej szczegółów, ani téż wzmianki u piszących w tym przedmiocie nie napotykamy; fakt przecież jest oczywisty, jak się z samego dyplomu przekonać można. Wyłącznych księgarzy w téj epoce napotykamy bardzo mało. Szczupły odbył na książki, a może i chęć większego zysku spowodowały, że drukarze mieli zarazem i księgarnie. Jako bibliopolę, to jest księgarza, napotykamy w r. 1683 *Wojciecha Polatowicza*, działającego przed aktami z tytułu opieki nad nieletnim Stanisławem Hermanowiczem (3). Po nim w r. 1694 napotykamy *Jana Kiellera*, zapisującego złp. 500 na domu swoim własnym dla *Anny Górskiej*, córki

(1) Zobacz w dodatku nr. 4.

(2) Baudtkie w Hist. druk. w Pol. i W. Ks. Lit. czas jego śmierci naznacza po roku 1663; my obecnie znajdujemy inaczej. Umieściliśmy obu pod księgarzami warszawskimi, gdyż w przywileju dla Förstera, wyraźnie *Warszawa* jako miejsce na sprzedaż książek jest przeznaczona, a Schröder wstąpił w używanie tych samych praw, jakie poprzednikowi służyły. Metr. kor., ks. 201, str. 561.

(3) Akta m. S. W., ks. 44, str. 649.

niegdy Bartłomieja Kazimierza prawnika i Anny małżonków Górskich (1).

Inni téj epoki księgarze wymienieni u Bandtkiego są: *Michał Minich* (Muenich), który w roku 1672 d. 15 czerwca otrzymał serwitorat i przywilej założenia księgarni na prawach, jakie niegdy Försterowi służyły. W aktach miejskich na ślady o nim dotąd nie natrafiłszy.

Peycer Franciszek, skazany na karę za drukowanie dzieła Szelwiga: *Schriftmässige Prüfung des Pabsthums*, 1692 r. a sama książka w r. 1718 spalona. Wyrok, jaki w téj mierze obejmują akta b. trybunału piotrkowskiego (2) opisuje całą książkę, podając jęj tytuł przetłumaczony na język łaciński, oraz treść całego dzieła. Wyrok wydany przez sąd dotyczał nietylko samego autora Samuela Szelwiga, lecz i Samuela Fryderyka Willenberga wydawcę znowu innego dzieła, jako téż Dawida Fryderyka Rechta drukarza (3). Sam księgarz wszakże prócz zabrania książki, wywinął się od kary zeznaniem pod przysięgą, że o nięj zamieszanej między inne bynajmniej nie wiedział. Peycer miał także księgarnią i w Piotrkowie.

Drukarz, który zarazem był i księgarzem jest *Karol Ferdynand Schreyber*. W roku 1682 już ożeniony z Anną wdową po dwóch mężach, a naprzód po Dawidzie Albrychcie złotniku, a następnie Bartłomieuju Kazimierzowi Górskiemu, miał opiekę, wspólnie z przytoczonym wyżej *Kiellerem*, nad Anną małoletnią pasierbicą. W r. 1684 otrzymał przywilej na założenie drukarni, którą częściowo już od r. 1677 nabywał, zaś dopiéro w r. 1685 otworzył księgarnię. Niedługo jednak, bo w pięć lat potém sprzedał drukarnię Pijarom. Byłto jedyny w tym czasie zakład w Warszawie, który pilném staraniem i dbałością, długo mógł kwitnąć i stanąć na wysokim szczeblu świetności.

Lecz całe te lat pięćdziesiąt, napiętnowane są jakimś ogólném uśpieniem i ociężałością, co z powodu różnych doznanych klęsk nastąpiło. Żadnego przeto szczególnie odznaczającego się wpływu, na pomysłność tak drukarni jako i księgarni nie widać. Burze polityczne widocznie się tu odbiły i nie podniosły stanu

(1) Akta m. S. W., ks. 50, str. 136.

(2) Wyroków ks. 324, str. 2117; ks. 325, str. 730.

(3) Bandtkle nazywa go *D. F. Rhete syn. Jerzego*. Hist. druk. w Kr. Pol. I W. Ks. Lit. T. I, str. 86.

książkowej produkcji i handlu. Pod koniec dopiero tego, a właściwie w następnym stuleciu, jakkolwiek także niepokojem zakłóconém, więcej obudziło się życia, bo znalazła się zachęta i wsparcie od ludzi światłych i możnych.

1701 — 1794.

Pierwszym z księgarzy o którym w tej epoce podają wiadomość akta miejskie, jest *Antoni Paweł Repelewicz*, już od r. 1698 księgarz (bibliopola) warszawski. W tymto czasie z żoną *Jadwigą* kupił sobie budę obok fury na gruncie kapitulnym (1), i tam książki sprzedawał. W tymże roku po śmierci siostry swój *Krystyny*, żony *Pawła Lorkiewicza* cieśli, bezpotomnie zmarłej, otrzymał w spadku część nieruchomości przy ulicy *Długiej*. W roku 1716 ma już drugą żonę *Reginę* i z tą wprowadzony w posiadanie domu przy ulicy *Piwniej*, nabytego na własność od *Tomasza Marcina Piwkiewicza*. Właściwie był on introligatorem i starszym tego cechu.

Po nim idzie *Krzysztof Domański*, który dnia 14 lipca 1701 r. otrzymał przywilej królewski na drukowanie dzieł rozmaitych, jakoto: *Szafarni*, *Obrok duchowny*, *Róża biała*, *Korona niebieska*, *Palatium Reginae Coeli* i t. d. (zobacz niżej).

Jędrzej Hebanowski otrzymał serwitoret dnia 29 stycznia w *Toruniu*, 1703 r. W przywileju tym wyrażono, że już za *Jana IIIgo* w księgarstwie pewne położył zasługi. W roku 1707 już nie żył, albowiem wdowa po nim, *Anna Gniewkowska*, kwituje w tym roku *Grzegorza Koziorowskiego* z voluminu konstytucyj, który mu niegdyś przez męża do przechowania był dany (2).

Po tych równocześnie występują dwaj księgarze: *Krzysztof Rożycki* i *Jan Domański*, obadwa pozwani w r. 1721 do magistratu, iż dotąd prawa miejskiego nie przyjęli. *Rożycki* na mocy przywileju, jaki na serwitoret w r. 1717 dnia 30 stycznia w *Warszawie* otrzymał, miał sobie dozwoloną sprzedaż książek w *Krakowie*, *Lwowie*, *Warszawie*, *Toruniu* i *Poznaniu*, oraz w innych miastach tak *Korony*, jako i *Litwy* (3). Będąc księgarzem *krakowskim* i *warszawskim* (4) był zarazem i introligatorem; wolno mu było

(1) Akta m. S. W., ks. 56, str. 86, 744; ks. 58, str. 400.

(2) Akta m. S. W., ks. 54, str. 115, 517; ks. 56, str. 353.

(3) Akta Metr. kor., ks. 222 str. 166.

(4) Ten *Rożycki* pozostawił w rękopiśmie historią księgarń warszawskich współczesnych. Wspomina o nim *Bandtkle* w *Hist. druk. krakowskich*

przyjmować czeladź i wyzwalać uczniów. Na początku 1725 r. księgarze warszawscy zniewoleni do tego ponoszonymi ciągle szkodami, jakie z powodu przedrukowywania ich nakładów ponosić musieli, działając w osobie *Różyckiego*, *Domańskiego* i *Mikołaja Hebanowskiego*, imieniem wszystkich księgarzy warszawskich zapowzali *Jana Tłoczkiewicza* i *Baltazara Grabowskiego* introligatorów i starszych cechowych do sądów assessoryi o to, iż oni wraz z innymi współnikami nie zważając na przywilój nigdy Krzysztofowi Domańskiemu nadany (patrz wyżej), ośmielili się przedrukować i sprzedawać książki wyraźnie tam zastrzeżone, a oprócz tego i inne dzieła historyczne tak po łacinie, jako i po polsku w 4ce, przez różnych autorów drukowane. Przystęp skarzyli się, że wedle powziętych śladów, Tłoczkiewicz ze współnikami był w posiadaniu książek heretyckich, a sprzedaż takowych wyraźnie uchwałami sejmowemi i ustawami synodalnemi jest zabroniona. Żądali zatem rozciągnięcia na winnych kary w ilości 1500 dukatów, a oraz konfiskaty przedruków, jakieby się znalazły. Proces ten trwał dość długo, obie strony upierały się przy swoim, przyszło nawet do obelg i gwałtów czynnych (1); aż nareszcie obie strony wycieńczone, kroków prawnych dobrowolnie poprzestały. Różycki podpadł do tego stopnia, że do oprawy książek wziąć się musiał; a że mu szło nieźle, poprawił cokolwiek swoje położenie, tém bardziej (choć trzech pod owe czasy było tylko księgarzy, a introligatorów czternastu), że introligatorowie zajęci sprzedają książek na kramach, nie przykładali starania, albo może i nie umieli tak dobrze oprawiać książek, mianowicie wielkiego formatu francuzkich, które Riaucourt bankier sprowadzał (2).

Żona Różyckiego była Barbara Tecnerówna. Ta umierając w roku 1737, uczyniła przez testament, męża dziedzicem po swojej śmierci całego pozostałego majątku, wyznaczając także i innym osobom zapisy, które Różycki dopiero we dwa lata później wypłacił. W roku 1739, już w wieku podeszłym będący, zaareztował za jakowąś należność wszystkie rzeczy do *Dominika Siarkowskiego* księgarza należące, który tém obrażony, przyszedł do sklepu Różyckiego i tam go czynnie zobelżył. W skutek wyto-

str. 484; był on własnością prezydenta Węgrzeckiego. W czyich dziś ręku, nie wiadomo.

(1) Akta m. S. W., ks. 66, str. 73; ks. 72, str. 513; ks. 77, str. 522.

(2) Bandtkie: Hist. druk. w Kr. Pol. i W. Ks. Lit. T. II, str. 226.

czonój sprawy, Siarkowski poniósł za napaść karę, a o należytość dalej się przed sądem rozprawiali (1).

Jan Domański, jakeśmy już wyżej wspomnieli, w wielu sprawach występował wspólnie z powyższym. Używał tytułu serwitora, typografa i bibliopoli królewskiego. Na swoją rękę prowadził w roku 1735 proces, przez plenipotentę księdza Franciszka Mikulskiego, z Walentym Gagatowiczem (2), upominając się zwrotu książek, osobnym inwentarzem w roku 1730 spisany, objętych, na 3877 tynfów, czyli 4910 złp. 26 gr. szacowanych. Gagatowicz należytości bynajmniej nie przeczył, lecz żądał zwrotu kosztów, jakie mu od Domańskiego należały; co po niejakiach z obu stron sporach załatwione zostało w ten sposób, że Gagatowicz książki wydać obiecał, a Domański roszczone pretensye na złp. 979 gr. 23 likwidowane, zapłacić przyrzekł (3).

Mikołaj Hebanowski występuje z poprzedniemi dwoma, łącznie działając w interesie wszystkich księgarzy, poczynszy od roku 1725. W roku 1726, dnia 28 marca w Warszawie otrzymał serwitorat i pozwolenie założenia drukarni, co August IIIci dnia 1 marca 1736 roku potwierdził, dodając pozwolenie drukowania wszelkich ksiąg, a zabraniając innym księgarzom prowadzenia drukowanych gdzieindziej rubrycell, kalendarzy niemieckich, polskich i t. d. Umarł w roku 1743 pozostawiwszy dzieci: Eleonorę, Kacpra i Franciszka nieletnich, oraz wdowę Maryannę Szafrąską (4).

Baltazar Grabowski od r. 1721 jako introligator, trudniący się także sprzedażą ksiąg. Posiadał dom na Dunaju zwany Lowicki albo Marcyanowiczowski (między kamienicami z jednej strony KK. Kamedułów, z drugiej Wysoczyńską), który kupił od wdowy i spadkobierców po Grzegorz Marcyanowiczu Lowickim, szewcu warszawskim, za sumę 6700 złp. (5). Umarł w roku 1732,

(1) Akta m. S. W., ks. 77, str. 1360.

(2) Bandtkie, Historia drukarni w kr. Pol. i W. K. Lit., podaje: że Walenty Gagatowicz był także księgarzem warszawskim. Akta miejskie nie objawiają tego faktu; owszem od roku 1713 aż do śmierci, która w roku 1756 nastąpiła, podają go jako starszego cechu cyrulików, z tą zmianą, że w roku 1735 obrany ławnikiem, ten miał sobie tytuł dodawany. Czy był on księgarzem, nie mamy dowodu.

(3) Akta m. S. W., ks. 74, str. 142, 194.

(4) Akta m. S. W., ks. 76, str. 345, ks. 79, str. 209.

(5) Też akta, ks. 61, str. 49 i nstp.

uczyniwszy testament dnia 29 kwietnia (1), w którym objawił życzenie, aby był pochowany w kościele Karmelitów bosych na Krakowskiem-Przedmieściu. Dalej opisując swe życie, powiada, iż się żenił trzykrotnie: pierwszą żoną była wdowa Suchocka, z nią nie miał dzieci, lecz za to wychował pasierba Wincentego, którego posłał do Grabowa na naukę, a gdy po skończonej nauce został księdzem, wyposażył go: dał mu czapkę, brewiarz i dwie księgi Ładowskiego. Po śmierci tej żony, pojął drugą, Maryannę, z którą miał córkę Rozalią, a ta wyszła za mąż za Wawrzyńca Czempińskiego kupca. Po niej ożenił się znów z trzecią, Anną, wdową po Rywałkowskim; była to kobieta bardzo obrotna, znała się na szynkowaniu i paleniu wódki, robieniu miodu i t. d. Z tą żoną dorobiwszy się, sklep do sprzedawania ksiąg przy kościele WW. OO. Jezuitów będący, wymurował (2).

Jan Tłoczkiewicz starszy cechu introligatorów, zajmował się także sprzedażą ksiąg, jak to z procesów powyżej przytoczonych wiadomo. Posiadał dom na Krzywém-Kole, miał stosunki z Gdańskiem i tam wiele książek zakupował; z tego tytułu prowadził nawet spór z Maciejem Honowiczem, któremu dał 146 tynfów na zakupienie książek w Gdańsku; ten przecież nietylko książek nie kupił, ale i pieniędzy zwrócić nie chciał (3).

Ludwik Lipiński bibliopola J. K. Mści, w roku 1730 miał spór z introligatorami, w imieniu których stawał Kazimierz Galecki starszy cechowy. Szło o szkody, jakie ze strony introligatorów doznał, lecz urząd miejski sprawę do assesoryi odesłał (4).

Stanisław Stawiński właściwie introligator, w roku 1739, d. 5 kwietnia otrzymał serwitrat jako księgarz (bibliopola) królewski; w skutek więc tego przywileju, stale opierał się przyjąć prawo miejskie i cechowe, chociaż jeszcze w r. 1751 o to był nagabany. Łącznie z Piotrem Tarskim introligatorem, był opiekunem dzieci po zmarłej Krokoszyńskiej, *Imo voto* Hebanowskiej, żonie księgarza wyżej wymienionego (5).

Piotr Alexy dwóch imion *Tarski* podobnie introligator, występuje współcześnie z poprzednim jako opiekun dzieci po Heba-

(1) Akta m. S. W. ks. 73, str. 111.

(2) Zdaje się, że to będzie ten sam domek, który przed uledawnym czasem przy odświeżeniu facyaty kościoła ś. Jana, po odnowieniu, rozebrano.

(3) Akta m. S. W., ks. 572, str. 350, 360, 374.

(4) Akta m. S. W., ks. 72, str. 760.

(5) Akta m. S. W., ks. 78, str. 98.

nowskiej. Napotyamy go ciągle aż do roku 1766, i w tym ostatnim razie jako opiekun Agnieszki Tłoczkiewiczówny, która wstąpiwszy do zakonu Dominikanek, przyjęła imię Stefanii. Tarski z żoną Joanną a siostrą Agnieszki Stefanii, złp. 3000 jako posagu wypłacić obowiązują się (1).

Dominik Siarkowski. Spisany po nim w roku 1750 inwentarz pozostałych ksiąg dowodzi, że w tym czasie już nie żył (2). Ciekawe wszakże są ceny, za jakie wtedy niektóre dzieła nabyć można było. Miał za żonę Rozalią, wdowę, naprzód po Sebastyanie Hebanowskim drukarzu krakowskim, następnie po Matyaszkiwiczu księgarzu tamecznym. Żona przeżyła trzeciego męża, który nie zostawił potomstwa, i na jejto żądanie spisany został inwentarz; tém bardziej, że okazały się długi, które spłacić potrzeba było. Książki taxował *Stawoński*; oto niektóre ceny:

	Tynf.	gr.
Biblia polska Wujka	40	
Swada polska	28	
Kronika Kromera	14	
Geografia JMC. księdza Łubieńskiego	19	
Inwentarz Ładowskiego	35	
Volumina Legum, 6 tomów.	112	
Agenda	31	20
Wojna domowa	2	20
Knapiusz krakowski	4	
Roczne dzieje ks. Skargi.	18	
Geometrya Solskiego.	20	
Herbarz Potockiego.	8	
Listów ks. Załuskiego t. 1szy i 2gi	28	
Janina	4	i t. d.

Maciej Krokoszynski bibliopola warszawski, ożeniwszy się po śmierci pierwszej swęj żony z wdową po Hebanowskim (patrz wyżej), pozwany był o sporządzenie inwentarza, aby dzieci z pierwszego małżeństwa na tém nie cierpiały (3).

Maciej Lokajewski obywatel i księgarz warszawski, występował w roku 1777 w sprawie nieletnich Łukaszewskich, których był opiekunem (4).

(1) Akta m. S. W., ks. 92, str. 274.

(2) Akta m. S. W., ks. 83, str. 27 i nstp.

(3) Akta m. S. W., ks. 90, str. 53.

(4) Akta m. S. W., ks. 107, str. 221.

Jan August Pozer, bibliopola księgami zagranicznymi handlujący, a wraz z nim *Lex i Freitneur*, w roku 1785 dnia 18 listopada, na sesyi kupieckiej, z przyczyny świeżo wydanego dekretu radzieckiego, mocą którego sprzedaż książek zagranicznych (na podstawie dawnych przywilejów) samym tylko kupcom warszawskim dozwoloną była, upraszali aby do kupiectwa warszawskiego przypuszczeni byli. Kazano im wstrzymać się do dalszej decyzji, i dopiero w r. 1786 do album kupieckiego wpisani zostali. Pozer umarł 1804 r. dnia 28 stycznia.

Ludwik Koch, księgarz od roku 1784. Ożeniwszy się z córką Lokajewskiego, Ludwiką, otrzymał za nią w posagu księgarnię, lecz że się do zgromadzenia księgarzy nie wpisał, miał przeto w roku 1787 sprawę z księgarzami, w których imieniu wystąpił Maciej Szczepański. Skazany na karę pieniężną, warunków od siebie wymaganych dopełnił (1).

Do powyższych, po części już znanych, dodać należy jeszcze księgarnie: *Pijarów*, *Jezuitorów* i *Missyonarzy*, powstałe równocześnie z drukarniami, pomnażane ciągle dziełami własnych nakładów; oraz te, które w dziele swoim Bandtkie przywodzi, jakoto:

Krzysztof Bogumił Nicolai nakładca dzieł Wirgiliusza, które wyszły w drukarni pijarskiej 1754 roku, tłumaczone przez Jędrzeja Kochanowskiego, Otwinowskiego i Nagurczewskiego.

Maciej Szczepański od r. 1793.

Gay 1790—1795.

Jerzy Dawid Wilke 1796 r. i późniejsi, którzy do obecnego zakresu nie wchodzą lub o których żadnej dotąd nowój wiadomości nie napotkaliśmy.

W tym wieku, daleko obfitszym od poprzedniego w księgarnie i handel książkowy, pomnażały się także i drukarnie; a naprzód wzrosła w siłę i zamożność po Elertowskiej *Pijarsku*; po niej zjawiała się *Jezuicka* i *Missyonarzy*, dalej *Mitzlerowska*, *Groella*, *Kadetów*, *Dufoura*, *Zawadzkiego* i inne. O drukarniach nie umiemy nic nad to powiedzieć, co wszystkim z dzieł różnych wiadome być może. Jezuici tylko, zapewne w początkach zakładania swój drukarni, mieli proces z Pawłem Golczewskim drukarzem i księgarzem lwowskim o to, iż mu czeladź i uczniów odmawiali (2), obiecując im znakomite wynagrodzenia. Ztąd

(1) Akta m. S. W., ks. 175, str. 453.

(2) Akta m. S. W., ks. 78, str. 67.

narazali go na straty, o których zapłatę, jako zwrot, upominał się u Jezuitów, w myśl klauzuli w przywileju sobie nadanym, zawartej. Drukował on podówczas kalendarz Duńczewskiego, a tymczasem odmówiono mu czterech czeladzi: Wawrzyńca Nawiartkowskiego, Jana Teleckiego, Jana Korzeniowskiego i Michała Chmielowskiego; piąty zaś, uczeń, zwał się Kurczewski. Na tę tylko jedyną wiadomość natrafiliśmy w aktach miejskich z tej epoki.

* * *

Otóż plon cały, jaki dotychczas na tém polu zebrać zdołaliśmy. Piérwszą myśl wzięcia się do niniejszej pracy, winni jesteśmy p. Ambr. Grabowskiemu, temu ze wszech miar czcigodnemu i zasłużonemu w poszukiwaniach historycznych mężowi. Ogłosiwszy on (w Bibl. Warsz. z m. sierp. r. 1849, str. 389) nazwiska księgarzy krakowskich od początku XVIgo wieku z akt radzieckich krakow. czerpane, wskazał nam tym sposobem drogę do podobnego szukania w aktach warszawskich. Pomyślny skutek uwieńczył naszą pracę: a idąc tym torem dalej, powiększymy go z czasem i uzupełnimy wiadomościami bibliograficznymi, a wtedy praca nasza stanowić będzie obszerną monografią o księgarniach i drukarniach warszawskich. Dziś dalecy od zarozumienia, iżby nic więcej dodać nie można, chętnie przyjmiemy wszelkie sprostowania i objaśnienia, jakie nam w tej mierze udzielone zostaną.

D O D A T K I.

Nr. Iszy.

(tłumaczenie)

**Mikołaj Scharfenberger obywatel krakowski
mianowany drukarzem królewskim.**

Stefan z Bożej łaski Król Polski i. t. d. Oznajmujemy tym naszym przywilejem, wszystkim i każdemu, komu o tém wiedzieć należy, iż My za wstawieniem się JW Jana Zamojskiego Podkanclerza naszego Koronnego, Bęłckiego, Knyszyńskiego i t. d. Starosty, szczerze nam miłego, pragnąc oprócz tego zaradzić potrzebom Kancellaryi Naszej, która w ogłaszaniu listów Naszych w sprawach publicznych, po całym państwie zwykle rozsyłających się, zaledwie wystarczyć może: szlachetnego Mikołaja Scharfen-

bergera obywatela i drukarza Krakowskiego, którego wiara, nieskazitelność, a w téj sztuce szczególna biegłość Nam polecona została, na drukarza Naszego Królewskiego obrać i przybrać postanowiliśmy, jakoż rzeczywiście niniejszém obieramy i przybieramy. Aby wszystkie Statuta, Konstytucye, prawa jakiekolwiek bądź królestwa Naszego, publiczno i każdego stanu, tak ziemskie jak cywilne, oraz dzieje wprzód od kogokolwiek za pozwoleniem i zezwoleniem poprzedników Naszych, spisane i wydane, na Sejmach walnych Koronnych i innych jakichbądź publicznych zjazdach i zgromadzeniach, za wspólném zezwoleniem stanów Królestwa Naszego potwierdzone i ogłoszone, lub na przyszłość mające być spisane, wydane, potwierdzone i ogłoszone, nikt z poddanych Naszych oprócz niego, przedrukowywać nie ważył się, lub téż po wydaniu obecnego przywileju wydrukowanych, na sprzedaż tak publicznie jak prywatnie nie wystawiał, pod karą konfiskaty nie tylko tego rodzaju konstytucyj, statutów, praw i ksiązek pomienionych, po dacie niniejszego przywileju wydrukowanych, lecz także i wszystkich dóbr swoich. Powinien zaś będzie wspomniony szlachetny Mikołaj Scharffenberger drukarz Nasz, jednego ze swoich czeladzi biegłego i obznajmionego w téj sztuce, mieć w gotowości zawsze na dworze Naszym, a tam jako obecny przy boku wspomnionego JW. Jana Zamojskiego na wszelką Naszę potrzebę, i Kancellaryi Naszój przebywać ma, razem z drukarnią i innymi wszelkimi przyrządami potrzebnymi do drukowania, i listy nasze wszystkie publiczne, ilekolwiek razy potrzeba i konieczność wymagałyby, na rozkaz i polecenie tegoż JW. Jana Zamojskiego drukować, któremu pewna nagroda i opatrzenie od tegoż JW. Jana Zamojskiego za szczególnym listem oznaczoną i zawarowaną będzie. Wolno także będzie temuż drukarza Naszego czeladnikowi, we wszystkich miejscach gdziekolwiek My z naszym dworem zostawać będziemy, książki wszelkiego rodzaju, papier, pergamin i inne tym podobne bez przeszkody od tychże miast i miejsc, w których przebywać będziemy, jako téż ustaw i prerogatyw gminnych, publicznie na sprzedaż wystawiać i bez opłaty jakiegokolwiekbądź podatku lub cła od tego rodzaju towarów Nam albo komu innemu, od których go jako sługę Naszego uprzywilejowanego wolnym czynimy; owszem zaś i mieszkanie wszędzie od marszałków dworu Naszego, jemu wskazane będzie, w którym wygodnie i bezpiecznie kiedy konieczność wymagałaby, listy nasze drukować, i towary swoje, jeżeli jakie mieć będzie, wystawiać na

sprzedaż może. Co do wiadomości wszystkich i każdego komu wiedzieć o tém wypada podajemy, i tymże wyraźnie rozkazujemy, ażeby tegoż samego Mikołaja Scharffenbergera za *slugę i Drukarza Naszego* uznawali, wolnością i prerogatywami jakie sługom Naszym właściwe są, i jakie jemu niniejszém udzielamy, używać i cieszyć się swobodnie dozwolili. Pod wielką niełaską Naszą.

Dat. w Bydgoszczy dnia XXII miesiąca Lutego roku Pańskiego 1577, panowania Naszego roku pierwszego. Stefan Król mp. (Oryginał po łacinie znajduje się w aktach Metr. Kor., ks. 115, str. 182).

Nr. IIgi.

(tłumaczenie)

Oblata przywileju dla sławetnego Jana Rossowskiego, Jego Królewskiej Mości drukarza.

Zygmunt i t. d. Oznajmujemy i t. d. Wniesiony został do akt Kancellaryi Naszej Większej List niżej spisany, ręką Naszą podpisany, i pieczęcią Królestwa opatrzony, cały i żadnemu podejrzeniu niepodpadający, z prośbą zaniesioną przed Nas, ażebyśmy go do akt Kancellaryi Naszej wpisać rozkazali, którego treść jak następuje:

Zygmunt i t. d. Oznajmujemy i t. d. Gdy dla braku na dworze Naszym drukarza, wielkie widzimy niedogodności dla Rzeczypospolitej, a nawet i w ogłoszeniu samych konstytucyj; uważyliśmy za słuszne mieć drukarnią w mieście Naszém w Warszawie, gdzie głównie sejmy Królestwa odbywają się, i My sami z dworem naszym zwykle zamieszkujemy. Jakoż mając zaleconą nam od pewnych panów Rad naszych, biegłość w sztuce drukarskiej sławetnego Jana Rossowskiego gotowość do posług Naszych i zdadność do zatrudnień, postanowiliśmy go w liczbę sług Naszych zapisać i od jurisdikcyi cywilnej albo jakiegokolwiek innej uwolnić; jakoż rzeczywiście zapisujemy i uwalniamy niniejszym listem Naszym, dając mu tę władzę i prerogatywę ażeby mógł i był w stanie, konstytucye Sejmowe teraz a potem *Speculum Saxoniae* z łacińskiego na język ojczysty przełożone, *Listy Cycerona poufale*, *Rudimenta Korneliusza* i inne jakiegokolwiek książki, byle tylko nie były przeciwne religii katolickiej, dobrym i uczciwym obyczajom, wszędzie drukować, według upodobania sprze-

dawać, skoroby były osądzone za godne; pod tym jednak warunkiem, ażeby co do drukujących się konstytucyj Królestwa zachować zwyczaj przodków, i całe tych exemplarze, dla urzędników i Dworzan darmo po jednemu wydawać, jako to dawniej zwykli, a nadto gdy konieczność wymagać będzie, listy, polecenia i inne podobne pisma dla kancelaryi Naszój darmo drukować, na co papier mu z kancelaryi wydanym będzie. Ażeby mu zaś wynagrodzić koszta i prace jego, przeto wszystkim i każdemu drukarzowi i księgarzowi i innym jakimkolwiek bądź handel księgarski prowadzącym wyraźnie zabraniamy i zakazujemy, aby nikt konstytucyj sejmowych koronnych, *Speculum Saxonis*, *Listów Cycerona poufanych* i *Rudimentów Korneliusza* i innych jakichkolwiek książek i dzieł, nakładem sławetnego Jana Rossowskiego księgarza i sługi Naszego, potajemnie lub otwarcie w granicach Korony i całego Państwa Naszego, podobnym albo jakimkolwiek drukiem, albo formą, czylito w całości lub w części, albo innym sposobem wydrukowanych, lub gdzieindziej wydrukowane, przywozić, sprzedawać albo rozwozić, bez woli pomienionego Jana Rossowskiego nie ważył się, pod utratą książek, któreby sobie pomieniony Jan Rossowski mógł sprzedawać, i pod karą zapłaty czterechset złotych węgierskich skarbowi Naszemu i stronic obrażonej.

Co do wiadomości wszystkich komu o tém wiedzieć należy, zwłaszcza Jaśnie Wielmożnych Koronnych i Nadwornych Marszałków i Urzędników Królestwa Naszego jakichkolwiek bądź i innych jakiegokolwiek stanu i kondycji będących podajemy, ażeby wzmiankowanego sławetnego Jana Rossowskiego drukarza i sługę Naszego, na mocy tego przywileju Naszego w zupełności zachowali i od innych bronili. Dla Naszój łaski. Na wiarę czego i t. d. Dan w Warszawie, dnia 12 miesiąca Lipca roku Pańskiego 1624, panowania Naszego Polskiego 37. Szwedzkiego 31. Zygmunt Król.—Jan Lipski.

(Akta Metr. Kor., ks. 177, str. 20 po łacinie).

Nr. IIIci.

(tłumaczenie).

Zygmunt III z Bożój łaski Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki Inflantski, oraz Szwedów,

Gotów i Wandalów dziedziczny król. Wszystkim i każdemu komu o tém wiedzieć należy, zwłaszcza zaś Koronie Naszej oraz grodzkim jak cywilnym magistratom i innym wiernie Nam miłym łaskę Naszą królewską.

Gdy niedawno paszkwil pod tytułem: Odpowiedź na paszkwil od Ojców Jezuitów na Akademią krakowską pisany, nieskażoną sławę, cześć i powagę całą religijną Ojców Jezuitów obrażający, przez pewnego autora na widok wyszedł; Nasz Urząd Marszałkowski też książeczkę wyrokiem swoim w Piątek po niedzieli Przewodniój najbliższy (d. 28 kwietnia) roku bieżącego, po uroczystym sporze stron, jako bezecną i haniebną ogłosił, potępił, i skazał, i że od nikogo nie może być czytana i upowszechniona, zastrzegł i surowo zabronił. My więc na mocy tego wyroku, i znając jako nieulegających żadnym zarzutom pod względem sławy, szacunku i czci, Ojców Jezuitów, których życie i ustawy, świętobliwość i niewinność, pobożne, przykładowe i świętobliwe czyny i znakomite zasługi w kościele Bożym, w Koronie Naszej i w całym świecie chrześcijańskim jaśnieją, a chcąc zaradzić, ażeby zgorszeniem i obrazą przez tak zgubny przykład, książeczka ta nie stała się przyczyną zamieszania publicznej spokojności Naszych poddanych; przeto takową za bezecną i niegodną ogłaszamy i z Korony i posiadłości Naszych usuwamy, surowo zalecając, ażeby żaden z drukarzy, ani ktokolwiek inny na przyszłość, nie ważył się nietylko drukować, na widok publiczny wydawać, rozkrzewiać, lecz ani czytać, ani przy sobie zatrzymać, pod karą ustanowioną prawem przeciwko oszczercom i innym dobrą sławę obrażającym, w czém każdy na czyjekolwiek doniesienie, przekonany skazany będzie. Co ażeby do wiadomości wszystkich doszło, rozkazujemy urzędom tak grodzkim jak miejskim, ażeby to Nasze postanowienie do akt wpisać i głosem woźnego podług zwyczaju obwołać kazali, a nadto, gdyby jakie exemplarze rzeczonej osławionej książeczki do rąk ich dostały się, albo jakim innym sposobem kopią tych mieć mogli, takowe niech każą spalić, dla łaski Naszej.

Dan w Warszawie, dnia 3 miesiąca Maja roku Pańskiego 1623. Panowania naszego Polskiego 36^o, Szwedzkiego 29^o. Zygmunt Król (miejsce pieczęci). Jan Lipski podpisał.

(Oryginał po łacinie w aktach miasta Starój Warsz., ks. 23, str. 48).

Nr. IVty.

W Imię Pańskie Amen.

Działo się we środę po uroczystości Obrzezania Pańskiego (po Nowym Roku) dnia 3 stycznia r. 1646.

Według polecenia Szanownego urzędu Radzieckiego miasta Stariej Warszawy, oraz Instygatora Jego Królewskiej Mości, wyrok między Instygatorem i Krzysztofem Nayman Doktorem Medycyny Rajcą Krakowskim, pod datą w Warszawie w sobotę nazajutrz po uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najsw. P. Maryi (d. 9 grudnia) roku Pańskiego 1645, względem niżej zawartych w Sądach Relacyjnych Jego Królewskiej Mości właściwych zapadły, wykonać z takowem obwołaniem, niżej opisanem, na rynku publicznym Warszawskim u słupa czyli pod pręgierzem żądano, którego zaś ogłoszenia przez wykonawcę sprawiedliwości treść jest taka, jak następuje: Wszelkiego stanu ludziom niech będzie wiadomo, iż ta książka pod tytułem: *Powaga kościelna zniszczona, Naymanów sprawy usprawiedliwienie*, bez wyrażenia mieysca, imienia drukarzewego, y potwierdzenia albo approbacyi Censorów, przez Chrystopha Neymana Medycyny Doktora, Raycę Krakowskiego, upornie wydana, zelżywych, uszczypliwych y sromotnych słów, dobrej sławie y uciwemu wielu godnych różnego stanu ludzi szkodząca, y siła zgorszenia mająca, za nieuwagą jego y nieostrożnym baczniem Nayaśnieyszemu Maiestatowi J. K. M. przypisana, za sprawiedliwym Dekretem y z rozkazania J. K. M. iest wszelkiemu człowiekowi y iakiegokolwiek stanu będącemu zakazana, aby się iey nikt drukować, czytać, y przy sobie chować pod winami w dekrecie J. K. M. wyrażonymi nie ważeł. I zachowując wcale zwierżchność y powagę Stolicy S. Apostolskiej w należytych sprawach, y wyjąwszy list przypisania tey Xiążski albo dedicowania J. K. M. na przykład inszym cudzey sławie szkodzącym, aby była spalona, rozkazano mi iest, co do wiadomości wszystkim jako Executor przywodzę y podaię.—

(Akta miasta Star. Warsz., ks. 30, str. 452. Pisownia podług oryginału zachowana).

W imię Pańskie Amen.

DO REDAKTORA.

OD

Augusta Bielouskiego.

(Dokończenie.)

Poświęciwszy całą pierwszą księgę pojedynczym biografiam każdego ze źródłowych pisarzy, który bądź szczegółowo i dokładnie, bądź nawiasowo tylko najwcześniejsze dzieje Słowian opowiada, przystępuję w księdze drugiej do analizy całkowitej ich powieści, z najpierwszego kronikarza powziętej, a uzupełnionej przyświadczeniami jego następców; i staram się okazać naocznie, że tak zwane u nas dotąd dzieje bajeczne Polski, nie są żadnym zmyśleniem i igraszką fantazyi, nie są też żadną alegoryą z obcych jakichś zdarzeń do naszych dziejów zastosowaną, nie są nakoniec zdarzeniami nadwiślańskimi, ale odnoszą się do rzeczywistych dziejów przodków naszych, gdy takowi nad Dunajem jeszcze i Adryatykiem mieszkali, mianowicie starożytnych Ilirów i Daków, i są częścią, zmaconą tu owdzie, ale zawsze cenną, zaginionej historyi tych ludów. Pomijam tu dowody z ułamków starożytnych pisarzy i z rozmaitych analogij obszernie wyluszczone i porównane z textem naszych kronikarzy; zajmują one połowę niemal: „Wstępu krytycznego do dziejów”. Przytoczę tylko ostatni wynik tej analizy, a w przypiskach rozwiędę się niekiedy dokładniej o jednym lub drugim szczególe, potrzebnym osobiwiej dla tych, którzy dzieła samego pod ręką nie mają.

Na kilka wieków przed Chrystusem znani byli Trakowie jako lud, który zajmował rozległą przestrzeń między morzem Czarném a Adryatykiem. Mnogość jego była tak wielka, że

oprócz Indów, nie znano na ziemi narodu, któryby go pod tym względem przewyższał (1). Dzielił się na wiele części, które nosiły osobne imiona (2), i w różnych czasach stanowiły osobną społeczność, lub też zlewały się w jedną razem z innemi. Słynęli między nimi Getowie, jako najsprawiedliwsi i najwaleczniejsi ze wszystkich Traków (3). Wyszli oni pierwsiastkowo od gór Rodopy (4), a rozsiedlili się w dawnych już czasach przy ujściach Dunaju, w sąsiedztwie Kimerów (5). Rodopę wskazuje też Herodot, jako siedzibę trackiego plemienia Biesów (6), a Tukidid jako siedzibę takiegoż plemienia Diów (7). Jeśli rozważym, że dwaj główni sąsiedzi tego plemienia trackiego, co się od Rodopy rozchodziło, byli w dawnych czasach Kimerowie i Grecy: tedy nabiera wielkiego podobieństwa do prawdy mniemanie, iż troista jego nazwa: *Bessi*, *Dii*, *Getae*, jedną i tę samą myśl wyraża, i odnosi się do jednego i tegoż samego rodu. Jak bowiem nazwisko Biesów oznaczało bogów już w dawnym języku trackim (8), i takowe znaczenie swoje w języku Słowian aż do czasów chrześcijaństwa przechowało; tak też w języku greckim oznacza to samo nazwisko Δίοι; a w języku Kimerów, którzy według świadectwa Posidoniosa do jednego rodu z Germanami należeli (9), wyraża to samo nazwisko Getów. Jakoż tak Getowie, jak Biesy odznaczeni się między wszystkiemi Trakami głęboką religijnością: pierwsi jako ci, u których wzięła początek osobna o nieśmiertelności duszy nauka, z powodu której Grecy dawali im

(1) Gens Thracum secundum Indos omnium hominum maxima est. Herod V, 182. wyd. Stef. z r. 1592 in fol. Sunt igitur imperiosissime gentes, maximeque praeditae potentia: Scythae, *Thraeces* et Persae. Isokrat. Paneg. str. 78, wyd. Bazyl. z r. 1570.

(2) Habent autem multa nomina per singulas regiones singuli; moribus tamen ac opinionibus consimiliter imbuti sunt. Herod. V, 182.

(3) *Getae* fortissimè Thracum atque justissimè. Herod. IV, 159.

(4) Dio Cass. Hist. LI, 22.

(5) *Solitudines Getarum* między Dunajem a Dniestrem wymienia już Strabo, mówiąc o wyprawie Dariusza syna Histaspas. Geogr. VII, 305. U Appiana Antaryocel po wyjściu swoim z nadbrzeży adryackich osiadają na lewym brzegu Dunaju, takż: *in deserta Getarum regione*. Illyr. 4.

(6) Herod. VII, 265.

(7) Thracum montanorum qui sub legibus vivunt et ensiferi sunt, qui Dii (Δίοι) vocantur, quorum maxima pars Rhodopen incolit. Thuk. II, 96.

(8) *Besae*, dei localiter appellati. Amm. Marcell. XIX, 12.

(9) Posid. ap. Strab. VII, 293.

przydomek *ἀθανάτωνται*, jakoby unieśmiertelniających; drudzy w blizkich jakichś stosunkach z trackimi Satrami zostając, i podobno część ich stanowiąc, znani byli Herodotowi jako osobliwi czciciele Dyonizosa. Diów także zwano Dawami lub Dakami.

W dzieciństwie jeszcze był Rzym, dający zaledwie znak życia w domowych swoich zająciach z Sabinami lub Etruskami; mało kto słyszał o państwie Macedonów, które dopiero pod Filipem i Alexandrem zasłynęło; ale na Wschodzie, gdzie szybko nowe państwa na gruzach dawnych wzrastały, rozpierała się szeroko potęgą Persów, i garnąc pod siebie w jednej stronie część Indyi, sięgała drugą ręką w głąb Tracyi. Daryusz, Histaspa syn, pokonał Getów, co sami jedni mieli śmiałość rzucić się na niezliczone jego zastępy; Xerxes sięgnął aż do siedliska Satrów, gdzie z wierzchołka niedostępnych gór wydawali Biesowie wyrocznie tyle sławne między trackimi ludami, ile między Grekami wyrocznie delfickie (1). Co tylko żyło, ukorzyć się musiało na czas jakiś przed Persami, lub usuwało się coraz dalej ku wybrzeżom Adryi i w głąb Iliryku.

Byłoto za czasów Artaxerxesa Memnona, a po biblijnemu mówiąc, za czasów Aswera, kiedy swobodnie po Iliryku gnieźdzące się trackie plemiona, wstrząśnione zostały burzą od północnego zachodu. Galowie, którzy już od lat wielu północne Włochy i tak zwane później okolice Noryku zajmowali, rozwinęli na nowo ruch wielki, podobny wybuchowi wszystko niszczącego wulkanu. Jedna ich część uderzyła na Włochy i spaliła Rzym; druga zagroziła oba brzegi Dunaju; a jednocześnie nadbiegały wieści, że spółplemienni Galom Ligurowie szturmowali Marsylią.

Dzieli płaszczyny Iliryku z wschodu na zachód nieprzerwane pasmo gór, o których starożytni lubili powtarzać bajeczkę, że z jednego ich szczytu ujrzysz dorazu Euxyn i Adryą (2). Pojedyncze ich ramiona miały osobne nazwiska, ale cała ta wyżyna stanowiła jakby jedną ojczyznę, bywszy piastunką i chronicielką najdzielniejszych plemion szczepu trackiego. Od Rodopy, głównego siedliska Biesów, przez część Epiru zwaną Linkos i ponad jezioro Lichnit, gdzie znana jest kraina Linchitia, ku morzu zbaczając, a w drugiej stronie sięgając aż do wierzchowin góry dalmackiej Adryon,

(1) Herod. VII, 265.

(2) Theopomp. ap. Strab. VII, 317; Polyb. *ibid.* 313.

mieszkali Adryowie, Antarowie, Autaryoci (1). Czyto był jeden ród z zachwalonemi przez Herodota Satrami (2), co aż do jego czasów niewyciężeni byli przez żadną potęgę?—niewiadomo; upewniamy tylko pisarze wiary godni, że to był lud bardzo dawny, a najliczniejszy i najlepszy z ludów Iliryi (3). Jakoweś bajeczne podanie naznaczało przodkiem jego Adryosa, Autariosa, Antara, który miał być synem Ilira (4); a przechowały się ważne napomknienia, że lud ten posuwał się ku Adryatykowi z okolic Tracyi (5). Zamieszkawszy wybrzeża do żeglugi nierównie sposobniejsze niż są wybrzeża Włoch i Afryki, znachodził pośród siebie dostateczną liczbę junaków, co w walnych wyprawach morskich chluby i zysków szukali. Był to rodzaj rzemiosła, które przesąd owych wieków nietylko za godziwe, ale nawet za szlachetne uznawał (6). W wyprawach tych na czterysta lat z górą przed Chrystusem przedsiębranych, odznaczył się Bargil czyli Bardyl. W górzystych stronach Iliryi hutnictwo zatrudniało niemało rąk, a jeśli mamy dać wiarę temu, co mówi Helladios, Bardylis zajmował się pierwiastkowo paleniem węgla (7). Ubogi węglarz miał sen, że poczawszy od granic Mołosów zawładnie szerokiemi króle-

(1) Mons est confinis Pannonibus Rhodope, post Aemum maxime altus; in altera parte versus septentrionem Illyricum est et *Autariate*. Strab. VII, 313 et 317. Vastus est lacus qui perfluit usque ad Autariatatas. Skylax in Perip. ed Lug. Bat. 1700, str. 19.

(2) W imionach własnych zaczynających się na samogłoskę, znajdujemy często dorzucane *s* w greckich i rzymskich pisarzach. Tak, zamiast *Αἰβάρης* czytamy *Σαῖβάρης*; zamiast *Androcottus*, *Sandrocottus*; zamiast *Indica*, *Sindica*; zamiast *Ἐσχυλόσα*, *Σαδδανύσα* u *Eschylosa*. To naprowadza na myśl, że tak samo z imienia Atrów lub Adryów uformowało się imię Satrów, jak je dziś u Herodota czytamy. Góra zwana u Strabona *Adryon*, jest to dzisiejsza Czarnogóra.

(3) *Antariatae* autem maxima fuit et optima Illyriorum gens. Strab. VII, 317; *Tariotarum* antiqua regio et castellum *Tariona*. Plin. III. 26.

(4) *Applan* Illyr. 2 cf. Theopomp. str. 41.

(5) *Charax* lib. VII Chron.; *Phavorinus* et *Eratost.* ap. Steph. Byz. p. 141, cf. *Applan*. Illyr. I.

(6) O Fokejach mówi Trog (ap. Just. XLIII 5): *Plerumque etiam latrocinio maris, quod illis temporibus gloriae habebatur, vitam tolerabant.* Cf. Schol. Ambr. ad Hom. *Odys.* III, 73, XIV, 230. Za Cycerona czasów było jeszcze powszechne takie wyobrażenie u Kretów i u Etołów. *Cic. de Rep.* III, 6.

(7) *Hellad.* ap. Phot. *Myriob.* CCLXXIX col. 1579.

stwem (1); a co młode życzenia we snach roily, to ziściły czyny w wieku późniejszym. Gdy go z powodu okazanego męstwa wodzem wypraw robiono, umiał nietylko zręcznie niemi kierować, ale w dzieleniu łupów zachował największą sprawiedliwość (2), czém sobie wszystkich serca zniewolił. Niebawem posiadał prawie królewskie dostatki, i zawierał imieniem narodu swego przymierze z Dyonizym starszym syrakuzzańskim, w którémto przymierzu pośredniczył król Molossów, Alketas, bawiący w Syrakuzach jako wygnaniec i starający się odzyskać tron za pomocą Ilirów (3). Jednym atoli z najświetniejszych czynów Bargila była wyprawa do Macedonii w roku 392 przed Chrystusem. Zniósł on ze szczętem wojska Aminty, ojca Filipowego, i samego z tronu straciwszy, posadził na jego miejscu Argajosa: cała Macedonia została Iliom danniczą, od którójto dani dopięro ją Filip uwolnił (4).

Przestrach jaki nawala Galów przed sobą rozszerzała, nie owaładnął Antarów; zebrali oni znaczne wojsko i wystali przeciw niej, oddawszy dowództwo Bargilowi. Szedł ten nowy Grak czyli Herakles ilirski aż ku kończynom Panonii, gdzie cisnące się do Iliryku kolumny Galów nietylko wstrzymał, ale nadto wtargnął do Noryku, a dzisiejszój Karyntyi, gdzie mieszkali ligurscy Tauryskowie (5), sprzymierzeńcy Bojów, i zdobył część ich kraju: za co najpiérw księciem, a później królem był mianowany. Wieść o téj klęsce przeraziła Galów stojących pod zdobytém Rzymem i przyspieszyła ich odwrót (6). Bargil nie utrzymał się długo przy swój zdobyczy: załogi jego w Noryku były podstępnie wytrute (7); ale dawszy raz Galom poznać moc swoję, zawarł wnet z nimi korzystny sojusz (8), i założył państwo potężne pomiędzy Epirem, Dunajem i Alpami, które potrafiło się oprzeć zdobywczym planom Filipa i Alexandra Wielkiego, i trwało przeszło sto lat. Panowali w niém po jego śmierci Grak II. czyli Klejtos, r. 340; siostra

(1) Callisth. ap. Tertull. de anim. c. 46.

(2) Theop. ap. Clc. de Off. II, 11.

(3) Diod. Sic. XV, 14.

(4) Rege quaque Ipsorum Amynta in vincula coniecto. Trog. ap. Math. Chol. p. 226, cf. Diod. Sic. XIV, 92. XVI, 1.

(5) Tauriscis Liguriscarum et Tauriscarum nomen tribuunt. Strab. VII, 206. Juxta Carnos quondam Tauriscel appellati; nunc Noricel. Plin. III, 24.

(6) Polyb. II, 18, cf. cum Theopomp. ap. Athen. X. p. 443. A. B. C.

(7) Theop. ibid; Polyen. Strab. VII. 42, 1; Math. Chol. p. 239.

(8) Miorsz str. 239 Wstęp. kryt.; Mateusz tamże.

jego, Anda około tegoż czasu; nakoniec Lestko I. czyli Glaukias, który odznaczywszy się w wojnie z Alexandrem Wielkim r. 336, chwycił silniejszą ręką ster główny zachwianego podziałami królestwa i panował szczęśliwie do końca tegoż wieku, dając nietylko opór skuteczny przywłaszczeniom macedońskim w Iliryi, ale zasłaniając oraz Epir i młodego króla jego Pirusa, od zemsty Kassandra. Antarowie tedy czyli Autaryoci za pomocą bohatera swego Bargila, połączyli węzłem społecznym wielką część trackich i ilirskich ludów, mianowicie: Getów, Trybalów, Partynów, Taulantów, Ardeów, Liburnów, Panonów i Istrów (1). Byli ci Antarowie pierwój mieszkańcami Linkos, części Epiru, i krainy ilirskiej zwanój Linchityą. Bądź przez wzgląd na tę ich ojczyznę, bądź też owemu ich nazwisku przedrzeźniając, i do drapieżnego sposobu życia stosując, zwali Grecy tak ich, jak i skojarzone z nimi liczne plemiona Biesów *Λησαί* zamiast *Λυγχιναί* (2). Lestą nazwan był nawet sam Bargil u Teopompa (3), państwo więc założone przez niego było właściwie państwem lęchickim. Obalone ono zostało w trzecim wieku przed Chrystusem, mianowicie około r. 279. przez Skordysków i Bojów (4), ludy keltyckie, które wcześniej usadowiły się w wyższej Panonii, zkąd coraz dalej posuwając się, i raz w przymierzu, raz w wojnie z Illicami zostając, zmusili w końcu samychże Autaryotów do opuszczenia swych siedlisk.

Po upadku autaryockiego państwa, które rozmaite plemiona trackie w jedną całość łączyło, usuwały się te plemiona po większej części za Dunaj. Tu osiedli i sami Autaryoci w dawniej krainie Getów, a w sąsiedztwie Bastarnów, zrobiwszy 23 dni drogi z pierwszój swojój ojczyzny (5). Kiedy Cezar opisywał wojny swoje z Galami, znani jeszcze byli Autaryoci w Dacyi pod swoim własnym imieniem, jako sąsiedzi ludów germańskich, i ten wielki wojownik, a za nim, jak się zdaje, Ptolomej zowie ich Anartami (6). W drobnych tedy i niekorzystnych walkach ple-

(1) Strab. VII, 317—318.

(2) Βεσσοί... ὑπο τῶν λησῶν λησαί προδανογεουσινται. Strab. VII, 318. Podobnie zowie Tukidid część Peonów *λεστοί*, jak się zdaje od greckiego wyrazu *λεσά* łup. Thuk. II, 96.

(3) Cic. de off. II, 11.

(4) Strab. VII, 318.

(5) Appian. Illyr. 4.

(6) Caesar de bell. Gall. VI, 25; Ptol. II, 8.

mion trackich z keltyckimi upłynęła reszta lat wieku trzeciego i cały wiek następny, aż z początkiem pierwszego przed Chrystusem wieku wzniosło się do nadzwyczajnej potęgi państwo Birebisty, którego kroniki polskie Przemysławem lub Lestkiem Ilgim nazywają. Składały je te same niemal ludy, które składały państwo autaryockie, i w rzeczy samej było ono tylko dalszym ciągiem tamtego. Mąż który je dźwignął był jednym z tych nadzwyczajnych ludzi, jakich niekiedy Opatrzność cudownym niemal sposobem do kierowania losami narodów powołuje. Jak Daryusz, Histaspas syn, co władzę swoją i na ludy trackie rozciągał, tak też i getycki Birebista, fortelem do tronu przyszedłszy, zasłynął wkrótce wielkimi dziełami. Zastał naród swój pogrążony w opilstwie i długimi wycieńczony wojnami, a w przeciągu niewiele lat przyprowadził go do zamiętania trzoźwości, i rozbudził w nim szlachetną żądzę wyrównania sławie swych przodków i odzyskania ich dziedzin. Zaczął od wycięcia winogrodu w całym królestwie, do czego posłużyła mu wybornie skłonność narodu do zabobonów (1). Zaprowadziwszy potem ćwiczenia wojenne, i podniosłszy siłę wojskową do dwóchkroć stu tysięcy, zwrócił się ku ziemiom, które niegdyś posiadali Autaryoci. Przeszedłszy więc z główną siłą Dunaj, zagarnął znaczną część Tracyi, zachwiał panowanie Rzymian w Macedonii i Iliryi, a Skordysków, Bojów i Taurysków, co obaliwszy państwo autaryockie, na jego gruzach rozpostarli się, w pień wyciął (2). Nie samej atoli siły fizycznej używał do dopięcia swych celów, lecz jako przezorny władca, umiał ugodzić w słabą stronę swych przeciwników, i odnieść z niej pożytek. Rzym rozrywały stronnictwa, a możni nie zapominali częstokroć o własnych zyskach, skoro się sposobna ku temu okoliczność podała. Złotem kupował Birebista, Kalpurniego Pizona, i utwierdzał się w Tracyi za pośrednictwem syna swego Kotysa IIIgo; z Cezarem, gwoli posiadania krainy Bojów, w wyższej Panonii, zachodził w powinowactwo, żeniąc tegoż syna swego z siostrą jego Julią, wdową, jak się zdaje po Pinarym Skarposie (3). W inną znowu stronę, na

(1) Do Jegoto, jak się zdaje, czasów ściągają się następujące słowa Kritona: „Reges vero Getarum, cum impostura et praestigijs magicis animis illorum religionem incussissent, et ad concordiam eos redegissent, magna jam animo agitabant.” *Suid* pod słowem: Δεισιδαιμονια.

(2) Strab. VII 303—304.

(3) Na str. 306: „Wstępu krytycznego do dziejów Polski” nadmienem obszernie o wątpliwościach, jakie co do zdarzenia tego zachodzić mo-

wybrzeżach Pontu, zdobył handlowe miasta począwszy od Olbii aż do Appolonii, i naprawiając klęski jakie przy zdobyciu poniosły, podierał wszystkimi siłami ich ruch handlowy (1). Po opanowaniu tego wybrzeża, mógł się łatwo porozumieć z Partami, którzy wówczas, słowami Troga mówiąc, jakby w dziale z Rzymianami zrobionym, drugie pół świata dzierżyli. Patrzył niespokojnym okiem Juliusz Cezar na wzrastającą mu pod bokię potęgę Getów i związane z nią krwią i interesem ludy ilirskie. Stosunki powinowactwa jego z Birebistą wkrótce rozchwały się: Julia dostała od męża odprawę. Bodło Rzymianina zuchwałe urąganie jego rodowi i potędze; ale zamiary ukrócenia zuchwałości Getów nie wiodły się. Dwakroć zniesiono wojska jego w Dalmacyi, i gdy już po załatwieniu wojen domowych, od jakiejś części Ilirów wezwany, stał tamże z wojskiem Watinius, który miał wyjednać zwierzchnictwo Rzymowi, poniósł klęskę po raz trzeci, i usiłowania jego speliły na niczém (2). Gotował więc krwawą zemstę na Getów i szedł w własnej osobie spotkać się z Birebistą głównym sprawcą tych ru-

gą z tój głównie przyczyny, iż pisarze rzymscy zgoda nie o nióm nie podali. Z drugiej atoli strony, do wskazanych już tamże śladów o prawdziwości tego wypadku przybywa okoliczność następująca. Jedna z sióstr Juliusza Cezara, imieniem Julia, była za Pinarym, jak nas naucza Swetonius (In. Caes. c. 83). Starożytny ród Pinarów dzielił się na dwa domy: jeden z nich byli Naitowie, drudzy Skarposowie (Glandorp. Onom. str. 678; Eckhel Doctr. numm. vet. V, 272. VI, 48). Siostra Cezara była własnie za Pinarym Skarposem, o którym kilkakrotnie wspomina Diokassios w rzymskiej historii: *Αυτάριος δε ἔπλευσε μὲν ἐς τὴν λιβόρην πρὸν τὴ Πινάριον Ἐκαρπῶν* Libr. LI. 5, toż samo LI. 9. Nasz kronikarz powiada, że z powodu tego związku założone były (w Bojarył czyli w Pannonii wyższej) dwa grody: jeden ku czci Juliusza Cezara, drugi ku czci samejże Julii, i oba nazwiskiem swoim przypominające ich imiona. Oczywiście, że pierwszym z tych grodów będzie nie inny jak tylko Wiedeń, zwany *Juliobona* jeszcze na mappach Ptolomeja. Drugim zaś z grodów tych jest sąsiednia Wiedniowi *Julia Skarbantia*, wymieniona u Plinius (Hist. nat. III, 27). Hormayr wspomina późniejsze nazwisko tój osady: *Skarpring* (Wien, seine Gesch. I, 85), a tak owe starożytne jako i nowsze nazwisko przypomina dokładnie Julię Skarponcyą siostrę Cezarową, która była najpierw za Pinarym Skarposem, a owdowiawszy za wcześnie, zaślubiona została getyckiemu Kotysowi. Związek ten skojarzyła polityka, i tём prawdopodobniejsza jest, że Julia otrzymała później od męża, skoro się stosunki polityczne rozchwały, jak o tём donosi dalej nasz kronikarz.

(1) Dio Pruss. Orat. ad Borysth. str. 437 wyd. Morell.

(2) Appian. Illyr. 12, 13. Clc. ep. fam. V. 10.

chów. Ztąd miał uderzyć na Partów i zemścić cienie Krasusa. Rzucił już przed sobą do Iliryku szesnaście legionów i dziesięć tysięcy konnicy, wraz z swoim wnuczkiem Oktawianem; sam atoli za koroną się oglądając, udawał się do matactw i rozpuszczał bajeczne z ksiąg sybilińskich proroctwa, jakoby tak wielkie podboje tylko koronowanej głowie udać się miały (1). Nakoniec i tём wzgardziwszy, miał już dnia czwartego wyruszyć, gdy tymczasem padł pod sztyletami spiskowych; a piérwój jeszcze spotkał taki sam los i Birebistę, jak się zdaje, od tego stronnictwa, które pojednania Dalmatów z Rzymem zażądawszy, lękało się teraz kary za swe tchórzostwo (2).

Państwo które dźwignął Birebista, utrzymywało się dwa wieki; ale zaraz po jego śmierci dał się uczuć brak człowieka, któryby z równą jak on zręcznością umiał jednoczyć różne części narodu ku spólaemu celowi. Przypatrywał się niegdys młody Oktawian stosunkom swego dziada do Birebisty, i środkiem, jakie do złamania potęgi Getów obierał; gdy mu atoli samemu ku takiemuż celowi użyć ich przyszło, przeniósł powinowactwo nad wojnę: bądź że w początkach swój władzy nie mógł użyć tych legionów co Cezar, bądź, że zwątpił o skuteczności ich użycia. I trzeba przyznać, że polityka jego względem Getów była wyborna i zupełnie mu się powiodła. Bywał u tego narodu, jak w ogólności u Traków rząd podzielony: jeden tylko król miał zwykle władzę najwyższą; ale rozmaite prowincye sprawowane były przez zastępców, którzy niekiedy rządzców (archontów), a niekiedy królów imiona nosili, ulegając swemu zwierzchnikowi. To podawało łatwą sposobność nieprzyjaciółom do rozrywania ich sił podniecaniem domowych niesnasków. Za czasów Birebisty, wazalem takim był, jak się zdaje, syn jego Kotys, który wtedy właśnie, gdy ojciec jego zdobywał Olbią i inne miasta nad Pontem, rządził częścią Tracyi, i przekupiwszy Lucyusza Karpurniego Pizona, jednych sąsiadów zagartywał pod swoje panowanie, innych łupił (3). Onto niszczył później trzykrotnie wojska Cezarowe w Dalmacyi i około Dirrachium. Po śmierci ojca, Kotys był jednym z najpotężniejszych książąt; ale częścią Getów rządził także arcykapłan Dikomos, sprzymierzeniec Antoniusa. August zaręczył córkę swo-

(1) *Applan de bell. civ. II. 110. cf. Svet. in Caes. c. 44.*

(2) *Fr. X. Hene: Beitr. zur Daj. Gesch... Hermanst. 1836.*

(3) *Cic. orat. in L. Pls. c. 34.*

ję Julią z synem Kotysa IIIgo, Kotysem IVtym, zażądał téż podobno córki jego dla siebie (1), i nieukróconego siłą fizyczną Geta, na czas jakiś zupełnie sobie zniewolił. W stosunkach przyjaźni z Kotysem przeminęły czasy najkrytyczniejsze dla Rzymu (2); a kiedy później zaręczyny owe nie wzięły skutku i przyszło między nimi do kroków nieprzyjacielskich, już August był w posiadaniu niemal zupełnym prawego brzegu Dunaju, i tylko zasłaniając takowy od Kotysowych napadów, wznosił nad Dunajem twierdzę i stawiał geste załogi: *Sic tunc Dacia non victa; sed submota atque dilata est* (3); zawiązuje rzymski historyk.

Po śmierci Kotysowej, około roku drugiego po narodzeniu Chrystusa, zostawał jeszcze jakiś cień władzy Getów na prawym brzegu Dunaju. Myzą i Tracyą rządził Remetalk, syn Kotysa, a prawdopodobnie Juliusza Cezara siostrzeniec, którego kroniki polskie zwą Pompiliusem, czyli Popielem Iym. Stosował on się we wszystkiem do woli Rzymian, a Ateńczycy dla przypodobania się Augustowi, mianowali tego krewnego i sprzymierzeńca jego, najwyższym swoim archontem (4). Po nim rządził młody syn jego Popiel IIgi, Kotysko, którego nieszczęśliwe zajścia ze stryjem Raskuporem, skończyły się śmiercią obojgu i zupełnym usunięciem ich rodu z Myzyi i Tracyi.

W lat kilkadziesiąt później, kiedy już i tradycje posiadania przez Getów głębszej Iliryi znikaly, a rodowici ich książęta z Myzyi i Tracyi zesłani byli do Pontu lub Alexandryi, przyszedł do władzy w Dacyi Decebal, syn ubogiego ziemianina. Legendy krajowe opiewaly, że w chłopięcym jeszcze wieku, udzielony mu został chrzest święty przez samego Pawła, kiedy ten od Jeruza-

(1) Marc. Ant. triumv. ap. Suet. in Aug. 63.

(2) Frontyn opowiada nam ciekawy szczegół, jakim sposobem wstrzymywał Kotys Getów swoich od napadu na Włochy. „Corilo (czytaj Cottiso) dux Daeorum quom sciret dissociatum armis civilibus populum Romanum, neque tamen tentandum arbitraretur, quia externo bello posset concordia in civis coalescere duos canes in conspectu popularium commisit,isque acerrime inter ipsos pugnantibus, lapum ostendit: quem protinus canes, ommissa inter se ira, adgressi sunt. Quo exemplo prohibuit barbaros ab impetu Romanis profuturo.” Strab. I, 10 4. Gdy wiemy, że właśnie wtenczas Kotys wchodził w powinowactwo z Augustem, można więc słusznie mniemać, że to był tylko pozór dowcipnie wymyślony.

(3) Florus IV. 12.

(4) Napis starożytny przytoczony w dziele Jac. Spon.: Voyage d' Italie. Lyon. 1678. T. III, str. 196.

lem, wokół aż do Iliryku apostołując, u księżęcia niegościnnie przyjęty, zaszedł do chatki rolnika (1). Zwano go Piast, a byłoto imię rodu, nie zaś osoby (2). Jakąkolwiek zechcemy dać wiarę tym legendom, jest jednak rzeczą pewną, że sam apostoł Paweł nawracał już ludy getyckie w Iliryku, i że w pierwszych wiekach po Chrystusie, odprawiano w Myzyi mszą świętą w języku Biesów (3). Imię ojczyste Decebala miało być Ziemowit. Do lat dojrzałych przyszedłszy, okazał na polu bitwy wielkie zdolności, a panujący wówczas nad Dakami książę, imieniem Duras, wodził go swoim mianował (4). Przezorny w szykowaniu obozów, a sprężysty w działaniu, umiał Decebal wypatrzyć najlepiej porę, kiedy na nieprzyjaciela uderzyć, a jak uchylić się przed grożącym sobie niebezpieczeństwem. Mistrz niezrównany w stawianiu zasadzek, nie zaniedbał odnieść wszelkich możliwych korzyści, nieprzyjaciela pobiwszy; pobity w czas złemu zaradzając, klęski wetował. Te cnoty jego znajdując wielki odgłos w narodzie, sprawiły, że Duras widząc przykre stosunki w jakich ojczyzna jego wówczas do Rzymu zostawała, i nie czując się na siłach zarządzenia im, oddał dobrowolnie koronę Decebalowi.

Rozciągali zwierzchnictwo swoje Rzymianie nad narodami aż na lewy brzeg Dunaju. Niektóre z ludów germańskich, w sąsiedztwie Daków mieszkające, otrzymywały z ramienia Rzymian swoich królików; nie cierpiał ich naród jako wychowaućców i słuźalców Rzymu, i wyganiał przy lada sposobności. Za Domicyana doznał dwukrotnie takiego losu Chariomir królik Cherusków; zaszyły też niesnaski między Swejami i Ligiami, z których pierwsi wezwali Rzymian o pomoc, a gdy ta nie była dostateczna, ni rychła, porozumiano się spólnie przeciw Rzymowi. Z takich okoliczności korzystając Decebal, którego ojczyzna również uciemiężoną ze strony Rzymian doznawała, wpadł na czele licznego wojska do Myzyi, którą wówczas po śmierci Agryppy zawiadował konsul Appius Sabinus; spotkawszy się z nim, zniósł ze szczętem legiony rzymskie, i samego konsula trupem położył. Zdobył potem wiele warowni, które Rzymianie dla ochrony tych okolic powznosili, i takowe zburzywszy, wrócił do dom z bogatemi łupami. Na

(1) Miorsz rozdz. XXII; Nestor Połn. Sobr. I, 12; porów. Nennil Banch IIIst. Brit. rozdz. 30—34.

(2) Steph. Byzant. pod słowem: Πιᾶσαι.

(3) Metaphrast. in vita s. Theodosi IX, 37; porów. Pagl II, 10.

(4) Dio Cass. LXVII 6. Prius magister militum creatur. Miorsz rozdz. XXI.

odgłos kłęski słał Domicyan ogromne wojska na Decebala, powierzywszy ich dowództwo Kornelemu Fuskowi. Sam nawet wyruszył do Iliryku, niby dla dodania wojsku otuchy; tymczasem zdala od pola bitwy, w jedném z miast Myzyi stanąwszy, oddawał się rozpuście swoim zwyczajem. Kornelius nie był szczęśliwszym od swego poprzednika: ustawiwszy łodzie na Dunaju na sposób mostu, przepawił się wobec nieprzyjaciela na drugą stronę rzeki z głównemi siłami; lecz gdy przyszło do spotkania, wycięte zostały powtórnie legiony rzymskie, i sam dowódzca ubity (1).

W innéj atoli stronie odznaczył się wódz rzymski Julian, i niewiele już brakowało, iżby upadła w Dacyi sprawę rzymską podźwignął. Zapobiegając zniechęceniu, jakie z powodu ustawicznych niepomyślności w wojsku się objawiało, rozkazał on, aby każdy żołnierz miał na tarczy wypisane swoje imię i imię swego setnika: po czémby snadniej dojść można, jak się śród boju sprawował. Pod Tapami stoczył bój, i zadał Dakom kłeskę nie-małą. Wezinas piérwszy po Decebalu dostojnik, ratował się tém tylko, iż udał zabitego i przeleżawszy w dzień między trupami, nocą uciekł. W skutek kłęski, odstoniona została droga nieprzyjacielowi do opanowania stolicy Dacyi: Sarmisegetuzy, czyli Sargecyi. Decebal udał się do fortelu, jakiego niegdyś użył był Lestko Iszy, przeciw Alexandrowi. Wiodła do stolicy droga górzysta, okryta wkoło lasami; kazał nocną porą ściąć lasy, a pniaki odziać w zbroje: co obaczywszy zdala Rzymianie, wzięli za świeże hufce, i spieszenie cofnęli się za Dunaj.

Mimo tak przeważnego szczęścia na stronie Decebala, myślał on o zgodzie i niejednokrotnie się z tém do Domicyana odzywał. Nie słuchano go jednak; z pozostałemi siłami rozkazał cesarz uderzyć na Kwadów i Markomanów, którzy w porozumieniu z Dakami bywszy, odmówili posiłków Rzymianom. Postów ich z przedłożeniami pokoju do Domicyana przysłanych, kazał tenże pozabijać. Przyszło więc do walnej bitwy, w której ostatki rzymskiego wojska na głowę porażone i rozproszone zostały. Po tychto, jak się zdaje, zwycięztwach strach padł na Rzymian tak wielki, że według świadectwa Appiana przez długi czas żaden konsul rzymski nie chciał się podjąć dowództwa przeciw tym ludom (2). Słał teraz Domicyan co prędzej posły do Daków, na-

(1) Jornandes Getic. c. 13; Dio Cassius LXVII 7. (2) Illyr. 14.

legając na zawarcie pokoju; nie odrzucił go Decebal, ale między warunkami jego był głównie ten, iż Rzymianie zobowiązali się płacić corocznie znaczną daninę królowi dackiemu, i dostarczać mu na zawołanie wszelkiego rodzaju rzemieślników, przydatnych tak w czasie wojny jak i pokoju. Wyprawę tę zakończył Domicyan w sposób charakteryzujący niedołęztwo i bezwstyd, jakich się despoci rzymsey dopuszczali. Przyjawszy od Daków warunki najhaniebniejsze pokoju, udawał przed ludem, że był zwycięzcą. W komedyi jaka się z tego powodu odegrać miała, nie chciał brać udziału Decebal. Zaproszony na ustną rozmowę nie przybył; przyszedł tylko brat jego Diegis, przywiodszy ze sobą kilku prawdziwych, czy też udanych jeńców (1). Tych oddając uroczyście, otrzymał wzajem od Domicyana koronę, jakby ta jeszcze od rozdawnictwa jego zależała. Rozdawał potem dostojenstwa i pieniądze między wojskowych, słał do senatu list, niby Decebala, o którym wszyscy wiedzieli, że był zmyślony; w końcu odbył wjazd tryumfalny do Rzymu (2).

Taki był skutek pierwszych Decebala wojen przeciw Rzymianom. Nastąpiły czasy pokoju, w ciągu którego Rzym uiszczal się ze swój daniny, a Dakowie stawiali swojemu bohaterowi marmurowe posągi (3), i otaczali czią jego osobę. Od czasu Juliusza Cezara zaprowadzono w Rzymie cześć półbożą dla panujących. Domicyan kazał się poprostu bogiem nazywać (4); nie było więc w tém bynajmniej przesady, gdy Dakowie po zdobyciu Rzymu, zwali Decebala półbogiem, a kronikarz polski, porównywając czyny jego, z czynami jego poprzedników, powie-

(1) O Domicyana tryumfach powiada Tacyt w żyw. Agrykoli, rozd. 39. „Inerat conscientia derisui fuisse nuper falsum e Germana triumphum, emptis per commercia, quorum habitus et crines in captivorum spectem formarentur.”

(2) Dio Cass. LXVII 7.

(3) Fasching i Benkö mówią, że w gruzach Karlsburga, zwanego po łacinie *Alba Julia* w Siedmiogrodzie, znaleziono przed niewielą laty posąg marmurowy Decebala, który mu, jak się zdaje, za świetnych czasów jego postawili rodacy. Znalazł się jednak bez głowy. Domyślają się, iż ją Rzymianie rozłukli. Hene (Fr. Xavler) Beiträge zur dactischen Gesch. Hermanstadt, 1836, str. 62.

(4) Domitianus dominum se et Deum primus appellari, scribi colique jussit. Hist. Misc. in Murat. SS. I. 59. To samo Eutropius VII, 15 i Jordanes de regu. Succ. ap. Murat SS. I, 235.

dział o nim, że sławę swego narodu wzniosł aż do znaków zodyaku (1).

Po zabiciu Domicyana i krótkim panowaniu Nerwy wstąpił na tron Trajan i zaraz począł przemyślać nad tém, jakby uwolnić Rzym od upadającej go daniny. Summy pieniężne oddawane corocznie Dakom wyczerpywały znacznie skarb publiczny, a nieprzyjaciel rósł w siły i stawał się coraz zuchwalszym. Rozpoczęła się wojna jedna z najokropniejszych jakie dzieje ludzkie zapamiętały: odnawiała się dwoma zawodami, a trwała z górą lat pięć. Na co tylko siła i przemysł ludzki zdobyć się może, wszystkiego próbował Decebal, i nie ustąpił wprzód, aż wszystkie środki zostały wyczerpnięte. Zbliżającemu się do Dunaju Trajanowi przyniesiono grzyb nadzwyczajnej wielkości, na którym głoski łacińskie, niby cudem natury wyrosłe, zwiastowały, że Burrowie sprzymierzeńcy Rzymu i inne ludy germańskie ostrzegają Trajana, iżby wojnę zaniechawszy wracał do domu. Nie zważając na to szedł pod Tapy, gdzie stały wojska dackie w szyku bojowym. Miał Decebal wyborną konnicę, uzbrojoną długimi obosiecznymi mieczami (2), o jakich powiada Nestor, że je Kozarowie z podziwem u Polanów kijowskich znachodzili (3). Używszy jej zręcznie na równinach pod Tapami sprawił taką rzeź w legionach rzymskich, że zabrakło obwiązek do obwijania ran, a Trajan darł własne suknie, radząc ile tyle niedostatkowi. Wraz krzepiąc upadającego ducha w wojsku, wznosił na polu bitwy ołtarze i rozkazał, aby za podległych wiecznemi czasy modły odprawiano. Ale przyszłość stawiała się groźnie przed oczyma zwycięzcy: stratom trzeba było wcześniej zaradzać. Trajan zmienia sposób wojowania: unika równin, na których straszna mu być mogła konnica dacka, i legiony swoje z góry na górę przierzucając, postępuje zwolna w głąb Dacyi (4). Natrafił jednak i tu na niemałe trudności: wierzchołki gór opatrzone były w zamki czyli grodziska, jakich ślady odwiecz-

(1) *Immortales titulos Poloniae (Lechia) zodiacels pene signis inseruit.* Młorsz rozdz. XXI.

(2) *Daci equites gladis in curvis plurimos vulnerarunt.* Parisius, rkp. z Bibl. Ossol. str. 42.

(3) *A slich orążlje oboją lą ostro, reksze mecz.* Połu. Sobran. I, 7.

(4) *Equitatum Dacorum veritus Imperator, vitabat cum suo exercitu plana, evasit in juga montium.*—Parisius tamże. Porów. Diona Cass. LXVIII 8. *Post contendit ad editiora loca montium (Trajanus) inde altis altisque collibus non sine periculo occupatis.*

ne wykazuje po dziś dzień ziemia zaludniona przez Słowian, a które do najdawniejszej ich strategii należą. Te powoli zdobywając narażał się Trajan na mnóstwo niebezpieczeństw, nim wreszcie stanął pod Sargecyą. Z drugiej strony zbliżał się do niej wódz jego Lusius Quietus, krok w krok z Dakami potykając się. Był to Maur rodem i przywiódł ze sobą na tę wojnę konnicę maurytańską, jaką dotąd jeszcze rozpoznać można w wizerunkach Trajanowej kolumny. Mieli już Rzymianie w ręku swoim niemało grodzisk, gdzie były zapasy broni i żywności; w jednym z nich dostała się w ich ręce siostra Decebala; ale stolica broniona była silnie, i zdobycie jej było wątpliwe. To spowodowało Trajana, że nie odrzucił ofiarowanego sobie pokoju, który jakkolwiek był korzystny dla Rzymian, nie ubliżał jednak niepodległości Daków. W warunkach tego pokoju, jak je historyk rzymski podaje, nie znachodzimy nic takiego, czémby zwierzchnictwo Rzymu nad Dakami było zastrzeżone. Nie ma tam mowy ani o najmniejszej opłacie Rzymianom na znak uległości, ani nawet o zwróceniu kosztów wojennych, które jak wiemy, ze strony Rzymian były ogromne. Przyrzekał Decebal zostawać z Rzymianami w stosunkach przyjaznych, mieć razem z nimi jednych przyjaciół i jednych wrogów, i co naturalnym sposobem ztąd wynikało: nie przyjmować żadnych zbiegów z ich wojska; a tych, którzy się dotąd w jego, zupełnie na sposób rzymski urządzonych pułkach znajdowali, wydać niezwłocznie. Ostrożność téż doradzała zażądać od niego, iżby wojska swoje i zapasy wojenne zmniejszył, ile w czasie pokoju, do liczby takiej, jakaby nie mogła być straszna Rzymowi, i takie téż znaczenie zdaje się mieć owe składanie jakowejś części broni, o którym Dio wspomina (1). Na tych zasadach zawarty pokój słał Trajan do zatwierdzenia senatowi, gdzie istotne korzyści tej wojny starano się podnieść jeszcze w oczach gminu, okazem próżnych form; sam zaś zostawiwszy wojsko pod Sargecyą i grodziska załogami obsadziwszy, odprawił wjazd tryumfalny do Rzymu i otrzymał przydomek dackiego.

Był to roku 103 po narodzeniu Chrystusa.

Wkrótce rozpoczęto wojnę na nowo. Na pozorach do niej nie brakło. Doniesiono oto Rzymianom, że Decebal warunków pokoju nie dotrzymuje: broń przysposabia, twierdze naprawia, zbiegów przyjmuje, sąsiadów obsyła przyjaznemi poselstwami,

(1) *Histor. Rom.*, LXVIII, 9.

a mści się na tych, co w czasie wojny z Rzymianami nieprzyjaznemi się mu okazali; już nawet zagarnął powtórnie część jakąś krainy Jazygów. Te powody miałyby zapewne swoje ważność, gdyby nam mniej znana była zwykła polityka Rzymian i zamiłowanie Trajana w wojnach. Ogłoszony więc Decebal wrogiem Rzymu przez senat, a Trajan szedł z nowém wojskiem do Dacyi. Stał do niego posłów swoich król dacki oświadczając, że słusznym żądaniom Rzymian gotów jest w każdej chwili zadosyć uczynić, gdyż chce z nimi być istotnie w ciągłej przyjaźni; ale mu odpowiedziano, że wtedy tylko może mieć pokój, jeśli im wyda wszelką broń i sam się odda w ich ręce. To wziął on za rodzaj zdrady, i mniemał, że dla zapobieżenia jój skutkom wolno mu było użyć wszelkich środków, bez względu na ich stronę moralną. Znana była powszechnie przystępność Trajana; kilku mniemanych zbiegów pokazało się w rzymskim obozie, i o włos że cesarz popularność swoje życiem nie przyplacił; ale temu w czas jeszcze zabieżono. Decebal występując otwarcie do wojny odezwał się do wszystkich sąsiadów, że teraz jest czas ostatni bronić swęj niepodległości przeciw drapieżtwnu Rzymian: wkrótce bowiem będzie zapóźno. I lżej i i pewniej pokonają tych wrogów, gdy z nim swe siły łączą; jeżeli zaś opuszczą go i dozwolą iżby Dacya upadła, natenczas taki sam los i ich nie minie. Nie mamy dokładnych wiadomości, jak dalece skutkowały jego odezwy. Z ludów co go silniej wspierały, zdają się być Sarmaci i Germanowie, którzyto ostatni przez cały czas naddunajskiego pobytu naszych przodków okazują się ich przyjaciółmi i sprzymierzeńcami wiernymi. Nakoniec o jakowymś przyjaznym stosunku Decebala z królem Partów, Pakorem, napomknął Plinius młodszy (1). Pewna atoli, że z temi siłami jakie na przestrzeni od Dunaju do Dniepru mógł wokoło siebie zgromadzić, bronił się Decebal do upadłego, i przeciągnął tę wojnę do trzech lat. Trajan przy całej sprężystości swego charakteru i środkach ogromnych, jakie na skinienie jego państwo rzymskie dostarczało, według wyznania samych Rzymian,

(1) Apulejus, Domine. miles qui est in statione Nicomedensi, scripsit mihi, quendam, nomine Calidromum, quum detineretur a Maximo et Dionysio pistoribus quibus operas suas locaverat, confugisse ad tuam statuam, perductumque ad magistratus indicasse: servisse aliquando Laberio Maximo, captumque a *Susago* in Moesia et a Decebalo munerit missum Pacoro, Parthiae regi, pluribusque annis in ministerio ejus fuisse. Plin. jun. ep. X. 16.

ledwie że go zwyciężyć potrafił (1). Gdy tedy i schwywanie wodza rzymskiego Longina, który mu najwięcej dokuczał, pożądanego skutku nie odniosło, a stolica i cały kraj niemal były już w rękę Rzymian, wtedy dopiero Decebal zabił się.

Stary był Trajan: czterdzieści i kilka lat liczył, gdy wstępował na tron; ale polityka jego względem Daków była polityką młodzika. Za Augusta północną granicę państw rzymskich stanowił Dunaj, największa z rzek europejskich, a przezorny ten władca wzmacniał tylko jej brzegi i gęstemi załogami podpierał to, co już poniekąd obwarowała sama natura. Trajan ukrócił hardość Daków, uwolnił Rzym od hańbiącej go daniny, i tym wyrządził prawdziwą swojej ojczyźnie usługę; ale zaprawiony do trudów wojownik, znalazłszy godnego siebie zapaśnika, uniósł się żądzą boju i zwycięstw, niezbyt ściśle ostateczne ich skutki obliczając. Sływały niegdyś brzegi Iliryku z nieprzeliczonej swojej ludności (2). Już jej tam więcej nie było. Parta kolejno orężem Macedonów, później Skordysków i Rzymian, usuwała się ona coraz więcej ku Dunajowi, i już Strabo dziwił się pustkom i zaniebaniu, w jakim za jego czasów znajdował się tak ludny niegdyś Epir i właściwa Ilirya (3). Przytuliskiem teraz tych ludów były przestronne obszary Dacyi (4). Ztąd sięgały pojedyncze plemiona, jak Krowizowie, Trybale i inni, wcześniej już ku morzu Czarnemu (5); głębiej atoli na północ i w stronach północno-zachodnich, jeśli pewnych świadectw trzymać się chcemy, nie znano nic jeszcze z tych ludów, prócz jednych Osów, mówiących, jak powiada Tacyt, językiem Panonów (6), a którzy za jego czasów zaledwie źródła Odry i Wisły sięgali. Trajan rozpoczął wojnę exterminacyjną w Dacyi, nie szczczędając ani ludzi, ani nakładów. Ogromnym kosztem wznosił na Dunaju most, który

(1) *Ac Dacos vix tandem subegit.* Dio Cass. LXVIII. 14. Trajan wyznawał sam, że: *Decebalus toties in discrimen me simul et imperium adduxit!* Merula de Caesarib. lib. V in Honor. princ. str. 437.

(2) *Insuperatissimae numerositatis manum quondam in Illyrico viguisse.* Trog. ap. Math. Chol.

(3) *Priscis quidem temporibus hominum copia florebat et Epirus universa et Illyricum; nunc pleraque cultoribus carent, et quae habitantur in vicis et ruderibus supersunt.* Strab. VII, 327.

(4) *Dacorum immensa telus.* Dionys. Perleg. v. 305.

(5) Strab. VII, 318; Plinius Hist. nat. IV, 26; Steph. Byz. str. 387.

(6) *Osos pannonica lingua coarguit, non esse Germanos, et quod tributa patluntur.* Tac. Germ. c. 43.

ze względów politycznych wnet zburzyć musiał jego następcę. Z legionami tak licznymi na jakie tylko potęga Rzymu zdobyć się mogła, wkroczył za Dunaj, i pustosząc te ziemie przez lat kilka, przerzucił w końcu ogromną masę ludności za Dniestr i za Karpaty (1); stał potem kolonie z całego świata rzymskiego, aby te pustkowie rozległe jako tako zaludnić (2). Był to wypadek płodny w smutne następstwa dla Rzymu, a w przechodzie do nowszych dziejów stanowczy: w nim bowiem jest główny powód wielkiego pochodu narodów, który się jeszcze w tym wieku rozpoczął, a skończył zagładą zachodnio-rzymskiego państwa. Od czasu wojny którą za Nerona prowadził z Sarmatami Plautius Aelianus nie było tajno Rzymianom, że przestrzeń od Bałtyku aż do Euxynu, którą dawniejsi wystawiali sobie jakoby ogołoconą z mieszkańców, lub wcale niemieszkalną, mieściła liczne ludy i państwa (3). Nie miały one żadnego prawie stosunku z oświeconym Rzymem i znajdowały się z wielu względów w pierwotnej jeszcze prostocie. W innym stanie znajdowały się plemiona getyckie. Krzepkie z natury i za wzór dzikości przez poetów rzymskich wystawiane, przyswoiły sobie przez długoletni stosunek swój do Rzymu to, na co tylko ówczesna sztuka wojenna zdobyć się mogła. Z przetrąceniem tedy przez Trajana tych mass za Karpaty, znajdujące się tu ludy getyckie lub z nimi spowinowaczone otrzymują niemalą nad innymi przewagę: powstaje wrzawa i zgłęb między tutejszemi mieszkańcami, i aż do Rzymu zalatują pogłoski, że jacyś barbarzyńcy całą północ zakłócili (4). Prócz zwyczajnych w takim razie powodów do walk, sama ziemia nędznie i tylko miejscami uprawiana, nie wystarczała do wyżywienia tak ogromnej ludności. Rozpoczyna się bój: słabsi ulegają mocniejszym lub zostają wygnani. Nędza i rozpacz rzucała te

(1) Wołchom (Rimlanom) bo naszedsem na Słowieni, na Dunajskiję, siedszem w nich, i nasilęszczem im, Słowieniże owi przisedsze sedoszę na Wisie i prozwaszę sę Łęchow e i t. d. Nestor. Połu. Sobr. 1, 3. Porów. ostatnie obrazy na kolumnie Trajana, przedstawiające wychodztwo.

(2) Trajanus, vincta Dacla, ex toto orbe Romano *infinitas* eo copias transtulerat, ad agros et urbes colendas. Entrop. VIII, 3; Hist. Miscella. X, p. 61.

(3) Inscript. ap. Grut. p. 453; Tacit. Germ. c. 1. Caetera oceanus ambit, latos sinus et immensa spatia complectens, *nuper cognitis* quibusdam gentibus ac regibus quos bellum aperuit.

(4) Vioctofalls et Marcomannis cuncta turbantibus, aliis etiam gentibus *quae pulsae a superioribus barbaris fugerant*, nisi reciperentur bellum inferentibus. Jul. Capitolin. in Marc. Anton. Phil. c. 14.

ludy o ściany państwa rzymskiego. W niewiele lat po zajęciu Dacyi przez Rzymian, za Antonina filozofa pokazują się nieznanne z imienia ludy na granicach północnych, żądając przytułku lub śmierci. Jednocześnie zachodzą wielkie zmiany wokół. Plemiona germańskie, na ogromnej przestrzeni od Renu aż do Wisły rozrzucone, niezgodne między sobą i przedzielone gęstymi puszczeniami, a w części nawet wzajem sobie nieznanne, gdy im z jednej strony Rzym, z drugiej strony północy barbarzyńcy dokuczają, kupią się i jednoczą między sobą: powstaje związek markomański, wyęzający główne siły Niemców przeciw Rzymowi; a na opróżnionych po większej części żuławach i równinach rozległych między Wisłą, Odrą i Elbą odkrywa się z czasem Dacya mniejsza, zwana tak ze względu na wielką Dacyą, zostawioną przez wychodniów getyckich na brzegach Dunaju (1). I kiedy już światło dziejów rozjaśnia rodzinę Słowian nadbałtyckich i nadnieprzańskich w wieku dziewiątym, między znakomitszymi jej członkami znajdujemy Abodrytów (2), którzy są oraz Lęchitami, a obojem tém imieniem przypominają starych założycieli ilirskiego państwa: Autaryotów, Linchitów. Są dalej w téjże rodzinie i Biesy i Mazowianie i Krywicze, których imienników nad Dunajem i w Iliryku zna jeszcze Strabo i Plinius (3). Takim samym sposobem jak Markomanie, łączą się w inną stronę ludy, które dotąd najczęściej pojedynczo występowały przeciw Rzymowi, jakoto: Chaucy, Kattowie, Chamawi, Cheruscy, Attuary, Ampsary, Bruktery i inni, występują w trzecim wieku po Chrystusie, pod spólnym imieniem Franków (4). Tymczasem rozsypani po całej północy wychodnie daccy roznieśli wieści o niesłychanych bogactwach i przepychu Rzymu, o łagodności strefy włoskiej

(1) Ad frontem ejusdem Albis *Dacia minor* dicitur, et dehinc super exaltata est; *magna et spaciosa Dacia* dicitur, quae modo Gepidta adscribuntur, in qua nunc Hunorum gens habitare dignoscitur. Post hunc Illyricum usquam ad provinciam Dalmaciae pertingit. Ravenatis anonymi (Guldouis) Geogr. libr. V, p. 747 ed. cum Pomp. Melae cur. Abr. Gronov.

(2) *Abodritae* lub *Obotriti* znani są u rocznikarzów niemieckich. Ob. Pertz SS. V. Index. Geograf bawarski zowie ich *Abtresi*. Trog u Just. XV, 2; u Winc. Kadł. str. 72, i u Orozyusa III, 23 zowie Autaryotów ilirskich *Abderitae*.

(3) Mazael (*Μαζαίοι*) gens Pannonum. Strab. VII, 314. Bessi (*Βέσσοι*) majorem Aemi partem tenent. Tenże VII, 318. Crobyzi (*Κροβυζοί*) supra Calatim, Tomaeum et Istrum accolunt. Tenże VII, 318.

(4) Oevres de Freret ed. de 1798 t. V, p. 164, 203 et suiv.

i cudnych płodach ich ziemi, co wszystko rozpala umysły dzikich nędzarzy północnych, i gotuje nowe ciosy Rzymowi. Po strasznej nawale Gotów, następuje nierównie straszniejsza jeszcze nawala Hunów, w której uczestniczą głównie, wyparte niegdyś znad Dunaju plemiona dackie, pod imieniem Antów, i świeżo uzyskaném na północy Salawów czyli Sławów imieniem, które to ostatnie ma wkrótce stać się powszechném. Słowem, od czasu chlubnych dla orężu rzymskiego wojen Trajana, oblóczyły się granice państwa rzymskiego coraz gęściejszemi chmurami, na które wszelkie usiłowania późniejszych cesarów nie miały dostatecznego zakłęcia. Czas jakiś wrzały i srożyły się te chmury pojedynczemi gromami, nareszcie pękły i załaly Rzym.

Takie pojaśnienie do dziejów piątego po Chrystusie wieku daje pierwotna historia Słowian, i jój główne, a dotąd całkiem zapoznane źródło: polskie kroniki.

* * *

W trzeciej księdze przystępuję do dziejów Słowian, zaczynając od piątego po Chrystusie wieku, jako od czasu w którym się pod tém swoim imieniem w Europie rozslawiać poczęli. Opowiadam więc najprzód powstanie i losy królestwa Samonowego, dalej pierwiastki i wzrost królestwa wielkiej Morawy, wyteżając szczególną bacność na wpływ, jaki tak jedna jak i druga z tych społeczności na kraje nadwiślańskie wywierały. Najważniejszym w téj mierze wypadkiem jest następujący:

Od wyjścia swego znad Dunaju, ponad Wisłą rozsiedleni Słowianie przybrali, jak mówi Nestor, imię Lęchów (1); Wiślanami zwano ich w wieku IX (2). Nader liczni i na wiele gałęzi dzielący się, zajmowali rozległą przestrzeń i aż do morza Bałtyckiego przypierali (3). W VI i na początku VII wieku, kiedy dzicz awarska rozciągnęła swe jarzmo nad innemi Słowianami od Wołgi aż do Du-

(1) Słowient że owi przedsze siedosę na Wislle i prozwaszę se Lęchowi, a ot tlech Lęchow prozwaszę se Polane i t. d. Poln. Sobr. I, 3.

(2) U geografa bawarskiego, *Vislane* wymientent są za Węgrami, obok Szlązaków (ob. Boczek. Cod. dipl. I, 68), a więc tam gdzie Nestorowi Lęchowie. Nazwiska Lęchów zgoła nie zna ów geograf bawarski, ani też żaden z rocznikarzy niemieckich. Alfred Wielki powiada takóž: „Oestlich vom Maerer-Lande ist das Weichselland (Visle-Land). Ob. Szafar. Star. str. 979.

(3) Lęchoweże i Prusi, Cziud' prisiedęť k' moriu waręžskomu. Poln. Sobrau. I, 2.

naju; oni pod swoimi *ocami* czyli naczelnikami rodów (*εὐνάχραι*) zostając, umieli ochronić swą niepodległość, a pisarze bizantyńscy podali dziwnie ujmujący obraz błęgiego, niepodległego życia ich z owęj epoki. Jak dawni Getowie (1), tak téż i oni zawierali przymierza lub umowy przyjazne przy dźwiękach muzyki, a cały przybór podróżny ich posta stanowiła gęśl w rękę. Takie poselstwo wyprawili właśnie w roku 590 do awarskiego Kagana, który starszyzną ich bogatemi upominkami obestawszy, prosił o posiłki przeciw cesarzowi bizantyńskiemu. Trzej ich posłowie już ku domowi zdążając, schwytani byli od przybocznej straży cesarskiej i stawieni przed cesarza Maurycego. Podziwiano ich ogromny wzrost i zachwycono się wspaniałością ich melodyi. Zapytani coby zacz byli? i co robili na ziemi rzymskiej? odpowiadali: że są Słowianie, a mieszkają nad morzem Bałtyckim; ziemia ich żelaza nie rodzi: spokojny więc i swobodny żywot przenoszą nad zgiełki i znój wojenny; pokochali bardziej dźwięki gęśli niż wrzawę surm, bo mniemają, że zatrudnienie to jest szlachetniejsze. Byłito więc, jak z tych słów widać, kapłani. Cesarz podobał sobie bardzo w ich rozmowie i hojnie ugoszczonych odesłał w dalszą ku domowi drogę (2). Czy długo oddawać się mogli ulubionym swym zatrudnieniom, i czy naród ich zmuszony do smutnej konieczności prowadzenia wojny, wyszedł z niej zwycięzko? o tém zgoła nic nie wiemy. Prócz bowiem tych kilku rysów, co jak meteor przemknęły się do nas z tamtych czasów, pokrywa dzieje nadbałtyckich Łęchitów, przez trzy niemal wieki następne, gruba noc. Zdaje się, że przynajmniej część ich jakaś należała w wieku VII do państwa Samonowego: liczne bowiem napomknienia Fredegara wskazują, że w tych stronach rozwijała się między Słowianami wielka czynność. Po dwiestu kilkudziesiąt latach milczenia zalałtuje nas znowu pewniejszy nieco odgłos życia łęchickich ludów od strony przeciwnéj.

(1) *Getae citharas manibus tenentes pulsantesque legationes de pace obeunt.* Theopomp. XLVI fr. 244. Unde et sacerdotes Gotorum (właściwie *Getarum*) aliqui, illi qui plii vocabantur subito patefactis portis, cum citharis et vestibus candidis obviam sunt egressi, paternis dils, ut sibi propiti Macedones repellerent, voce supplicet modulantés.—Jornandes de reb. Getic. c. 10; powołuje się on z tą wiadomością na Diona z Prussel.

(2) Theophylakt. Híst. VI, 2. Toż samo powtarza w krótkości Theophaues i Anastazyus.

Niezdale lewego brzegu Wisły, nad rzeką Nidą, znane jest miasto Wiślica (1), jedna z najstarszych osad słowiańskich w tych stronach, i prawdopodobnie główna siedziba Wiślanów, zwanych u Nestora Lęchami. W drugiej połowie IX wieku mieszkał w niej książę potężny, imieniem Wyszewit (2). Był on mocno w obyczajach słowiańskich rozmiłowany i z chrześcijańskich obrządków natrząsał się. Słał do niego arcybiskup morawski, Metody, z upomnieniem, aby przyjął chrzest dobrowolnie, w przeciwnym bowiem razie zmuszon będzie do tego. Gdy to upomnienie nie skutkowało, wyprawił się na niego z pierwszą zaraz wiosną roku 884 sam, jak się zdaje, Świętopelk, a po uporczywej walce strącił go z tronu (3), i rozprzestrzenił granice dyecezyi biskupów morawskich w tych stronach aż po źródła Bugu i Styru (4). Wyszewit wraz z rodziną swoją szukał przytułku aż za Dunajem, dokąd Świętopelk w tymże jeszcze roku, oręż swój obrócił. Tam znał potomstwo jego, mianowicie syna Michała, cesarz bizantyński Konstantyn Porfirogenita, jeszcze około połowy wieku X. Zdaje się, że po strąceniu Wyszewita osadził Świętopelk na jego miejscu najstarszego syna swego Mojmira.

Okazawszy tym sposobem związek ścisły dziejów morawskich z polskimi, i rozjaśniwszy ten szczegół, iż dawni morawscy książęta, jakoto: Rastyc, Kotzel i Cendebold (tak bowiem Świętopelka zowią spółcześni), nosili imiona starożytnych królów dackich: Raska, Kotysa i Decebala, i ród swój od Piasta getyckiego wywodzi-

(1) Nazwisko Wiślicy znane już było, jak się zdaje, Porfirogenita, u którego wspomniane u pogan nadwiślańskich Δαττληη powstało najpodobniej z pomylonego Βισλιχη. De adm. imp. XXXII. 103. Bogusław powiada: Erat urbs famosissima in regno Lechitarum, nomine Wislicia, cujus olim princeps, *tempore paganismi, fuerat Wislaus* i t. d. Soumersb. II, 37.

(2) Βυσεβυττληη wypisuje imię jego Porfirogenita. De adm. imp. XXXII. 103.

(3) Poganesk knęź siłen welmi sledę w *Wislech*, ragaszę sę Chrtstianom i pakosti diejaszę. Posławże k' nemu (Metody) recze: Dobro ti sę by krestiti synu, woleją swojeją, na swojej zemli; da ne, plenen, nādmi kreszezen badesz na czużej zemli, i pomenesz mę. Jeże i byst. Inogdaże pakys Świętopotku wojujaszczu na poganyję i nczesoże usplejaszczu, no mędlęszczu, swętago Petra mszi prbliżajaszczel sę, reksze służbie, Metody posła k' nemu gtagołę: jako aszcze mi sę obleszczajesz na swęte Petrow deń s wol swoimi stworiti u mene, wierują w Bog, jako predati imat' ję w skorie. Jeże i byst'. Żywot Metodego w Moskwit. z r. 1843. III, 430. Porów. Boczka Cod. dipl. I, 47, 49.

(4) Inde ad orientem hos fluvios habet terminos: Bug scilicet et Zlir cum Cracovia civitate. Cosm. prag.

li, wracam do analizy dalszej polskich kronik i staram się wykazać, że pod imieniem Ziemowita dziada Ziemisławowego ukrywa się w naszych kronikach Świętopełk; pod imieniem Leszka IV najstarszy Świętopełka syn, Mojmir, który nie umarł, jak mniemano, bezdzietnie, lecz zostawił syna Ziemisława, a którego znowu synem jest nasz Mieczysław I, a wnukiem Bolesław Chrobry. W ogólności zaś, że ród książąt morawskich utrzymał się na tronie polskim, a zaś niedoleżny miejscowych nadwiślańskich książąt ród, zwany Popielami, wykorzeniony był z Polski, chociaż się aż do czasów jeszcze Chrobrego o prawa swoje dobijał (1).

(1) *Semper sibi (Semovito) et suis successoribus usque ad tempora illius magni Boleslai pro posse resistebant. Sommersb. I, 23.*

MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA :

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

XI.

Tetuan. Powrót do Tangieru.

Raz wstąpiwszy do miasta, cała illuzya znikła. W niém tak smutno, tak brudno, jak w każdym maurytańskim mieście. Domy nie mają żadnych okien na zewnątrz wychodzących, i wyglądają jak więzienia. Wszystkie architektoniczne ozdoby, chowają tu na upiększenie wnętrza domów, które w Tetuan wznoszą się na dwa piętra. Tu i owdzie minarety wyzierają ponad dachy i przerywają amutną jednostajność.

Stanęliśmy w nędznej oberży, trzymanej przez żyda, tak brudnego, jak go znamy, niestety! w naszym kraju. Skromna łojówka przyświecała nam w atmosferze przesiąknięj zapachem cebuli, czosnku i ryb suszonych. Niewypowiedziany wstręt nie dał nam nic skosztować z zastawionych potraw.

Nazajutrz zwiedziliśmy wiele sklepów i warsztatów maurytańskich.

Nie braknie tu na przemyśle. Mianowicie wyroby skórzané i jedwabne bardzo są piękne. Skóra bowiem nabiera wybornych własności w rękach Maurów: staje się mocną, elastyczną i bardzo

miękką. Trzewiki z niej wyrabiane są nader wygodne, nigdy się nie pryszczą, ani twardnieją. Skóra jest tutaj jeszcze tańszą jak w Hiszpanii. Jedwabno materye fabrykowane w Maroko są ciężkie i gęste, kolory ich żywe, gustownie uszykowane i nadzwyczajnie świeżące. Broni tutaj wyrabiana jest przedziwnie piękna, damaszkowana, złocona, koralami i drogiemi kamieniami wykładana. I to wszystko wyrabia się narzędziami tak prostemi, że żaden z naszych pu-szkarzy nie wyrobiłby niemi nawet dobrego kurka od pistoletu.

Mieszkańcy Tetuanu rzadko widują cudzoziemców, dlatego też są fanatyczniejszemi jak Tangierezcy. Nieraz się zdarzało, że patrząc na nas pluli od wstretu; a jeden z nich, o którym przewodnik nasz mówił że jest świętym, uderzył młodego sir Antony S..... prętem bardzo dotkliwie w plecy. I cóż było robić na ten dowód świętości? Rozszarpanoby nas na drobne kawałki, gdybyśmy na santona rękę podnieśli.

Maur jest gościnnym. Przyjmuje on cudzoziemca do swego domu, skoro z niego kobiety uprzątnie, ale nigdy nie ścierpi, żeby noga niewiernego skalała jego świątynię. Śmierć lub obrzezanie czeka niezawodnie chrześcianina, za przestąpienie progów meczetu.

Według prawa Mahometa, wolno wszystkim Maurom mieć po cztery żony, a nałożnic tyle, ile im się podoba; ubodzy muszą się kontentować jedną żoną, jeśli ich więcej wyżywić nie są w stanie. Kobiety otrzymują od swych mężów, czyli raczej właścicieli, codziennie potrzebną kwotę pieniędzy i żywności. Jeśli która z nich w stanie jest dowieść, że jej mąż nie daje wystarczającej płacy, natenczas wolno jej się rozwieść i pójść za innego. Maurowie tak są zazdrośni jak Turcy, i trzymają swe żony pod ściśłym zamknięciem. Kobięta, według nich, daleko niżej od męczyzny postawiona; kobięta jest istotą dla przyjemności męczyzny stworzoną. Kobięcie nie powierają, jak u nas, starania o swój własny honor: zmuszają do wicności, stawiając ją w niemożności działania samowolnie. Kobiętom należącym do majątnych Maurów niewolno opuszczać haremu; dopięro kiedy się znajdują w stanie tak nazwanym błogostawionym, wolno im w towarzystwie niewolnic, i pod protekcją grubych zasłon, wychodzić na miasto.

Lecz i żony Maurów są córkami Ewy, i mając wiele czasu, całe życie przemyślują nad sposobami ujścia bacności argusów i zakoszlowania owego zakazanego owocu, któremuto podobno winniśmy nasz pobyt na tym świecie. Lubią tedy wchodźć w intrygi miłosne z chrześcianami, ale takie intrygi łatwo zakończyć się mogą bar-

dzo tragicznie. Maurytanka gdy sądzi że są niepostrzeżonymi od swych współwyznawców, odsłaniają chrześcianom swe piękne, cudowne li-ca, i cieszą się z sprawionego wrażenia. Ale niech Bóg broni, że-by to zazdrosny Maur zobaczył lub o tém się dowiedział: srogiej kary nie uszlaby biędna istota.

Co do wychowania, bardzo są zaniedbane żony Maurów; żyją w największej niewiadomości: cała ich nauka zawarta w kilkunastu wierszach koranu. Modlą się w domu. Do meczetu wstępu nie mają nigdy. Maurowie mało dbają o wieczne zbawienie kobiet, które na tym świecie już missyą swoje spełniły.

Z tego wszystkiego com słyszał a nawet widział z życia haremo-wego w państwie marokańskim, a później w Algiieryi, nie wywio-złem wielkiego wyobrażenia o przyjemnościach serajskich Mahometanów. Czyż może kochać miłością estetyczną i godną człowieka Ma-hometanin? On swój ideał kupił za tyle i tyle, ideał ten trzyma w wię-zach, by się nie przენiewierzył, w ideale nie uważa równego sobie je-stestwa, lecz istotę od niego nieskończenie niższą, tylko w powabniejszą formę obleczoną. A niewolnica czyż może kochać swego pana, któ-ry ją za najmniejsze przewinienie na śmierć skazać może? którego zwierzęcą miłość dzielić musi z tyloma innymi kobietami?

Mahomet o naturze ludzkiej nizkie musiał mieć wyobrażenie, kiedy ją całkiem uważał być podległą wpływom klimatu. Sądził, że pod gorącym Arabii niebem, kobieta musiałaby się stać rozpustną, gdyby ją mury więzienia nie otaczały; i dlatego też wynalazł owe teorię niewolnictwa, tak uwłaczającą godności ludzkiej, pozbawił kobiet duszy. dla zrobienia z nich wiecznych niewolnic, zdolnych tylko do chwilowej zabawy swych panów, i to tylko na lat kilka, do-póki wątła barwa młodości na ich licach kwitnie.

Trudno uwierzyć, do jakiego stopnia Maurowie posuwają za-zdrość; my mieliśmy tego dowody w Tetuan. Basza, gubernator Tetuanu wezwał dra Hamilton i mnie do swego zamku w celu po-rady lekarskiej. Uszczęśliwieni tą sposobnością przyjrzenia się zbliż-ka gospodarstwu maurytańskiemu, biegniemy do zamku wraz z na-szym dragomanem żydem Mośkiem, najętym w Tangierze.

Dwóch żołnierzy, dość porządnie przybranych, stało na warcie przed zamkiem gubernatora, który w Tetuanie dzierży najwyższą władzę wojskową i cywilną. Jako basza ma do swojego rozporzą-dzenia dwa bataliony wojska, potrzebne mu do ogólnej obrony, do utrzymania spokojności i porządku, nareszcie do ściągania podatków;

a jako kadi, to jest sędzia, trzyma w swych rękach szolę sprawiedliwości kryminalnej, i może nawet karę śmierci wymierzać.

Przyjął nas dostojny basza pod swą bramą zamkową, gdzie siedział zwyczajem Maurów, z założonemi na krzyż nogami, na ziemi pokrytej dywanem. Sekretarz jego stał obok, i miał przed sobą stolik bardzo mały i misternie zrobiony. Na tym stoliku rozłożona była korespondencya baszy, jego akta i księga praw.

Basza wstał. Był to sędziwy starzec z białą brodą, w białym turbanie, takimże haiku, w długim, karmazynowym, siwém futrem podbitym szlafroku i żółtych pantoflach.

Wstał tedy, przyłożył rękę swą prawą do serca, i zaprowadził nas przez wewnętrzny dziedziniec do sali, której ściany pokryte były arabeskami, podłoga wyłożona dość piękną marmurową mozaiką, a okna wysokie i wąskie, przepuszczały przez kolorowe szyby różnokolorowe światło. Na jednym końcu tej długiej sali, na wielkim kobiercu, niski dywan; na drugim stało coś nakszałt staroświeckiej kanapy i kilka krzesełek plecionych z trzciny. Na to ostatnie miejsce poprowadził nas sędziwy gospodarz, i kazał nam usiąść na kanapie; sam zaś usiadł, skurczywszy pod siebie nogi, na jednym z tabureków przykrytych małym kobiercem. Wcale dziwnie wyglądał dostojny basza w tej śmiesznej postawie.

Na znak dany przyniesiono nam fajki na długich cybuchach, i małe czarki kawy czarnej.

Teraz dopiero zapytał nas z jakiego jesteśmy narodu. Anglików znał doskonale, ale o moim narodzie nigdy w życiu nie słyszał, ani też o Roxolanii.—„Któż może znać wszystkie żony, wszystkich padiszachów? Wszystkie narody ubiegają się o zaszczyt dostarczania nam niewolnic. Szczęśliwy, kto choć jedną sprawi nam chwilę rozkoszy!”—odpowiedział basza i zaczął marzyć o przyjemnościach wiecznego raju, i wywracał oczyma i dumiał.

— Kapudi zaręczał mi, żeście wielkimi lekarzami — rzekł po długim marzeniu basza.—Choroba ócz często panuje w mym seraju, i już mi przeszło 40 niewolnic oślepiła; teraz, w tej chwili jedna z mych najulubieńszych żon choruje na oczy i wiele cierpi. Znacie lekarstwo na tę chorobę? Mój lekarz choć jest świętym i imanem, już rozpacza o jej uzdrowieniu, mówiąc, że Allah chce, żeby była ślepą.

Dr. H. odpowiedział, że zamknięte powietrze haremu bardzo usposabia do podobnych chorób, że to będzie zapewne owe zapalenie epidemiczne, zwane w egipskim języku *mundzis*, bardzo niebezpieczne i bolesne, a prawie zawsze kończące się zaciemnieniem przezroczyściej

części błony oka, że nie sposób je wyleczyć modłami ani gusłami, że przedewszystkiem należałoby widzieć pacyentkę.

Dragoman tłumaczył punkt po punkcie; basza zrozumiał, zaczerwienił się i rzekł: „O niewierne گیاury! Allah wam odmówił łaski cudów, i wy nie wierzycie nawet, że inni szczęśliwsi doświadczają ich dobrodziejstwa. Żony mojej świętego oblicza żaden jeszcze mężczyzna nie oglądał, prócz jej ojca, który jest zięciem cesarskim, i mnie jej męża i pana. Niech raczej ginie w mękach, ale niech nie będzie skalana wzrokiem niewiernych”—rzekł basza i wstał z postumentu.

— Chodźcie oglądać me ogrody i moje konie: nasycicie wasze oczy cudami—mówił dalej basza widząc nas gotujących się do odejścia, i hamując sam siebie w swym barbarzyńskim gniewie.

Cóż mieliśmy robić? pogniewać się na starego barbarzyńca i odepchnąć sposobność zwiedzenia ogrodów słynących w całym państwie marokańskiem za cudownie piękne?—Nie! barbarzyńca nie nawrócim tak prędko.

O tyle, o ile ogród prawie zupełnie оголоcony z drzew i ich cienia może być pięknym, o tyle był pięknym ogród baszy. Ścieszki powykładane kolorowemi, w arabeski uszykowanemi kamyczkami, partery w desenie wykrojone, błyszczące najpiękniejszymi kwiatami nizko rosnącemi, pagody naśladowujące kształt minaretów, tu owdzie wysoka palma zwieszająca swe długie liście melancholiczne ku ziemi; wszystko to oprawne w szerokie ramy zarosłe trawą, a poprzerzynane strumyczkami w kierunkach symetrycznych sztuką nadanych—oto ogród baszy! Byłto raczej kobierzec roślinny.

Stajnie baszy nie mają dachu; konie stoją całe życie pod gołym niebem. Koni było ze wszystkiem do 80; niektóre z nich rzadkie piękności, mianowicie jeden kary ogier arabski, na którym basza jeździ tylko w dniach uroczystych. Koń ten tak był rosły i regularnie zbudowany, jak najpiękniejszy koń angielski. Mało takich koni na świecie, a szczególnie w państwie marokańskiem. Cesarz jest właścicielem wszystkich koni całego kraju; najlepsze z nich wybierają dla niego i dla jego wojska, nie dając czasowemu właścicielowi prawie nigdy żadnej nagrody. Biada prywatnemu, piękne konie posiadającemu, jeśli je basza zoczy! Łatwo sobie wystawić, że w takim stanie rzeczy, do pewnego tylko stopnia mogą prosperować stadniny. Piękne i rosłe konie stają się coraz rzadsze w państwie marokańskiem. Francuzi graniczący Algierją z Morokiem, wyku-

pują najlepsze konie. Cesarz zakazał wprowadzić pod karą śmierci ten handel, lecz czyż może obsadzić swym nielicznym wojskiem całą przestrzeń suchej granicy?

Kuce berberskie, które opisałem wprzód, bardzo tu są tanie; w Tetuan i w okolicy możnaby ich zakupić do 500, nie płacąc jak 150 złp. za każdego w przecięciu. Ale zakaz cesarski przeszkadza ich wyprowadzeniu, a niełatwo przemyścić konia okrętem. Konsul angielski uzyskał od baszy Tangieru pozwolenie wyprowadzenia czterech kuców z kraju, ale za to musiał mu zapłacić 450 złp. za każdego, tak, że po sprowadzeniu do Gibraltaru, każdy koń kosztował go 700 złp.

Z rozmowy z baszą Tetuanu dowiedzieliśmy się, że Maurowie mocno wierzą w świętych, że ich bardzo wiele mają już na tym świecie, a nawet w każdej klasie ludu. Jednych mianuje cesarz, jako głowa religii, drudzy sami się mianują, a lud ich za takowych uważa. Są to po największej części hypokryci, oszukanicy, nadużywający poszanowania, jakie sobie zjednali u ludu dla własnych widoków. Maraby udają, że są czarnoksiężnikami: żyją w próżniactwie i sprzedają amulety.

Najwięcej zastanawia sekta świętych, zwana *Sidi Nassir* czyli zjadacze węzów. Sam widziałem, jak jeden z nich na publicznym placu w Tetuan przy odgłosie dzikiej, uszy rozrywającej muzyki, przedstawiał ludowi swe figle i mamidla, utrzymując zuchwole, że sam Mahomet nadał mu przywilej zniesienia wszelkiego jadu, i że żadne jadowite gadziny szkodzić mu nie mogą. Na dowód tego wydobyl dwa jadowite węże: jeden z nich wielki czarny, może na sześć stóp długi, a drugi mniejszy, długości półtrzeciej stopy, siwo niebieskawy: wzdłuż całego ciała miał dwa rzędy linii, z punktów czarnych złożonych, ze znakiem podobnym do litery V, na głowie pluskiej i dość szerokiej, z zębami tak zwanymi ruchomymi na podniebieniu. Był to pospolita żmija, w tych krajach strasznie jadowita.

Z temi przebrzydłemi gadami bawił się święty *Sidi Nassir* czas niejaki, przygrywał im na piszczałce, a gady słuchały i wily się około rąk i nóg santona; nareszcie przestał grać, rozjątrzył węże aż do wściekłości i nadstawił ich ukąszeniu swe ręce; potem wysłał zadane rany żując coś w ustach, co mu zapewne za antydot służyło. Potem znów dobył piszczałkę i udobruchał, do posłuszeństwa przywiódł rozjuszone gadziny. Nareszcie, zgroza przejmując na samo wspomnienie! nareszcie wsadził sobie ogon żmii do ust i zaczął ją całą żuć i połykać

przy wykrzywieninach i grymasach tak okropnych, że nam się wszystkim źle zrobiło. Żmija wyrwała się z gardła, gryzła go po twarzy, ale to napróżno: polknął ją całkiem przebrzydły człowiek i jeszcze pokazywał, jak mu się w brzuchu wila.

Ktoby mi nie wierzył, niech przeczyta co księżna d'Abrantes pisze w swych pamiętnikach o generale Menou, *ci-devant* margrabi, który po śmierci generała Kleber, głównie dowodził wojskiem francuzkiem w Egipcie. Generał ten, czyto folgując dziwnej swój fantazyi, czy téż w chęci zjednania sobie umysłów Egipcyan, przeszedł na wiarę Mahometa, a nawet wpisał się do bractwa psyllów egipskich, i dowiedziawszy się ich tajemnicy, *polykał tak zrecznie węże*, jak niegdyś na salonach wersalskich zrecznie tańczył menueta z królową i księżniczkami. Abdallah Menou (gdyż przybrał imię Abdallah z wiarą Mahometa) wcale się nie wypierał tych gustów powróciwszy do Europy. *De gustibus non est disputandum!* mawiał naiwny generał. Co Francuz nie robi z patriotyzmu? węża zje, wstyd polknie, byleby pieniędzy nie wydał — zresztą na wszystko się zgodzi.

Inym rodzajem świętych jest bractwo fanatycznych derwiszów, z których każdy wystawia sobie że jest duszą jakiegoś zwierzęcia. Bractwo to występuje przy uroczystych okolicznościach, i rykiem swym i tańcami zabawia publiczność; na jego czele staje zawsze osoba wyobrażająca lwa, króla zwierząt. Każdy zachowuje się w charakterze zwierzęcia, którego przedstawia: ryczy, skacze, aż w szal wpadnie, żywe psy i koty zębami szarpie, i tysiączne dokazuje niedorzeczności. Biada żydowi, lub nawet chrześcianinowi, gdyby się wtenczas pokazał. Władze wojskowe utrzymać nie mogą tych szaleńców w korbach sforności: szal religijny wszystkie przelamuje zapory.

W Tetuan wolno tym szaleńcom występować cztery razy do roku; w Tangierze tylko raz, w rocznicę narodzenia Mahometa. Pasza wtenczas uwiadamia konsulów zagranicznych, żeby swym krajowcom odradzali wychodzić z domu. Bey tunetański, bardzo światły, roztropny monarcha, by powściągnąć szaleństwo sekty, wpisał się sam do bractwa zwierząt, i został naturalnie obranym lwem bractwa. Postąpił sobie jak lew, to jest, wydusił całą menażeryą, i tém zasłużył sobie na wdzięczność ludzkości.

Idyocy i maniacy także są uważani u ludu za świętych, cieszących się szczególną protekcyą nieba. Zabobon ten podpiera niejako filantropia; znajdujemy go nawet w cywilizowanych krajach, jak np. w Tyrolu, gdzie prawie czczą kretynów, i rodziny w których oni się znajdują, uważają jako błogosławione przez Boga. W państwie mu-

rokańskiem nie ma wcale praw dla idyoty lub maniakę. Wolno mu wszystko robić, co mu się podoba. Dla niego nie ma obrazy prawa ani moralności. Gdziekolwiek przyjdzie, wszędzie jest dobrze przyjętym, nakarmionym i pielęgowanym. Złośliwość swoją wszędzie bezkarnie wyrzucić może: wielu pomiędzy nimi jest oszukańców. Być poczytanym za waryata, jestto wygodny paszport dla próżniaka. Oh kraju obiecany!

O milę od Tetuanu znajduje się kopalnia złota, założona od od lat kilku dopiéro, przez towarzystwo akcyonaryuszów francuzkich, które się utworzyło w Marsylii, pod małoważną protekcyą rządu francuzkiego. Towarzystwo to uzyskało firman sultana Muley-Abder-Hammana, pod warunkiem, że przez lat trzydzieści oddawać będzie czwartą część dochodów kopalni na rzecz skarbu marokańskiego, i że po tym czasie sultan stanie się właścicielem bezwarunkowym kopalni i zakładów na gruncie jego zbudowanych. Pomimo protekcyi rządu francuzkiego i marokańskiego, położenie górników bardzo było niebezpieczne. Fanatycy muzulmańscy, a szczególnie santony, fakirowie, dusiciele i inni udający obłąkanych, polowali sobie na chrześcian tak jak na lwy, dziki, hyeny i szakale. Już w pierwszym roku trzecią część górników wystrzelano. Żaden też francuzki inżynier nie chciał być dyrektorem tego zakładu; udano się tedy po niego do tego narodu, który Francuzom zawsze musiał wyciągać kasztany z ognia. P. Rat.ski, uczeń szkoły minerów w St. Etienne, bardzo zdatny inżynier, dyrygował zakładem tetuańskim już od roku. Podczas mojego pobytu w Tetuan, znajdował się właśnie w Hiszpanii, podobno w Maladze.

W łaźni tetuańskiej bardzo okazałej i wygodnej, poznałem się z kilkoma Maurami wywodzącemi ród swój od Maurów granadeńskich. Niektórzy z nich mówili nawet niezle po hiszpańsku. Maurowie ci starali się o utrzymanie krwi swój w czystości, i nie żeniąc się nigdy z kobietami arabskimi i z murzynkami z Sudan, nie stracili cery swój białej. Pięknyto, wysoki, dumny lud, pełen szlachetności w ruchach i obrazowości w mowie. Jeden z nich, sędziwy starzec z siwiuteńką głową, z powołania ulema przy kadim, tojest prawnik przy sędziu spraw cywilnych, podróżował niegdyś, lat temu z dwadzieścia w Hiszpanii: był w Granadzie, Kordobie i Sewilli, i podziwiał pomniki stawiane ręką swych przodków. „Hiszpania wówczas chyliła się ku swemu upadkowi. Niezgoda taż sama, która nasze zniszczyła panowanie”, mówił stary ulema: „wkradła się w serca naszych nieprzyjaciół: brat brata zabija!

Hiszpan sam nam torował drogę do swego kraju i byłby upadł i oddał nam nasze dawne posiadłości, gdyby nie szarańczo, co kraj nasz ze szczętem zniszczyła, a potem głód i morowe powietrze, postępujące zawsze za szarańczą. Większa połowa ludności wymarła w państwie maugrebskiem (tojest marokańskiem), statki nasze spróchniały w portach. Nakoniec przeklęty Frank opanował Algier i zniszczył filar Mahometa w Afryce, a wy *enzara* (chrześcianie) angielscy, choć dziaurów nie cierpicie, nie chcecie dać upaść śmiertelnej naszej nieprzyjaciółce, Hiszpanii. Ale jesteście naszymi gośćmi i wyrzutów wam czynić nie będziemy. Owszem, proszę was z sobą do mego domu na wieczerzę. Spocznijcie pod strzechą potomka bohaterskiego wezyra Muzy, który nie chciał przeżyć upadku swojego kraju.”

Dom ulemy stał w południowej części miasta na szczycie małego pagórka, spadającego pochyłością południową wolno w dość głęboką dolinkę. Główny na ulicę wystawiony front nie odróżniał się niczem od innych domów. Na dwa był wzniesiony piętra, i ledwo kilka małych okien wyzierało na ulicę. Za głównym korpusem dopiero znajdował się wielki dziedziniec kwiatami obstawiony i pochyło schodzący od północy na południe. Tutaj stał drugi korpus domu przeznaczony dla kobiet. Frontem wyniesionym na dwa piętra obróconym był ku dziedzińcowi, ale w tym froncie mało było okien. Drogą podziemną, spadzistą ale czystą i lampami oświetloną, przeszliśmy pod drugim korpusem do ogrodu ulemy Ali-Sefer Efendego. Tu dopiero uszedłszy z 80 kroków zatrzymał się gospodarz, i zwrócił nas ku domowi. O dziwy! Ten dom, który ze strony dziedzińca tak był skromnym, niepozornym, przedstawił się teraz naszym zdumiałym oczom w postaci najpiękniejszego pałacu, na 4 piętra wyniesionego, z pysznemi oknami, ozdobionemi firankami, z gankami zastawionemi kwiatami. Na tych gankach siedziały na niższym piętrze jakieś podeszłe już matrony, na wyższych stały młodsze kobiety, a na najwyższych igrały młode dziewczyny.

Ali-Sefer Efendy sycił się widokiem naszego zdumienia, a potem nie mogąc już powściągnąć swego zadowolenia, chwycił się za swój dostojny brzuch, i zaczął się śmiać serdecznie: „*Cha, cha, cha, cha! Maszala, bismillah! oh enganniol oh sorpresa!* Ah widzicie Nazareńczycy, że istnieją jeszcze potomkowie Maurów granadeńskich! *Cha! cha! cha!* Nie spodziewaliście się tego? W tak skromnej skorupie tak piękny kwiat. Allah jest wielki; patrzcie jak spoglądają na was moje owieczki! jak ciekawe wiedzieć kogo im tu sprowadziłem. A teraz odwróćcie się jeszcze raz ku południowi i spojrzycie w górę na ten wał kamienny.

Istotnie ogród ograniczony od przyległych wysokimi murami, oddzielonym był od południa niebotycznym wałem skalistym, stromą ścianą odnogi gór tetuańskich. Szumna kaskada spadała po spadzistości i żywiła wodami swemi cały ogród.

— Oh ulemo Ali-Sefer Efendy! piękność twego domu wyróżnyna głębokości twego rozumu! Bóg jest wielkim, i dał swemu synowi wielkie szczęście. Niech będzie chwalonym przez dzieci Mahometa i dzieci Sidy-Aissy (Jezusa Chrystusa)! Niech będzie. — Tak odrzekł Al-Hamilt-Bey, i przyłożył rękę na serce i na czoło. I ja tak zrobiłem na znak, że dzielę uczucia mego towarzysza, a Maur przyjął to z rozczuleniem, i wzruszony uściskał nas obu.

— Oh Allah! akbar! abu Emladem! Oh Boże wielki! ojczu naszych rodziców! czemuż już nie jesteś ojcem dzieci twoich dzieci? Kochać naszych bliźnich to nasza potrzeba, a my się wyrzekamy spólnego pochodzenia. Lecz szlachetni Nazareńczycy! wielkie we mnie zaufanie wstąpiło dla was od czasu jak słyszałem, żeście życie wasze poświęcili dla cierpiących, że nie gardzicie żadnym bliźnim choćby w lachmanach chodził, i że kochając Boga jedynego, dla jego miłości puszczacie się w głąb tego kraju, gdzie niezawsze będziecie zrozumiani. Oh! Nazareńczycy! gdzieście czerpali wasze piękne uczucia, w jakiej księdze? w jakim przykładzie? Oh powiedzcie!

— Oh Ali-Sefer Efendy! sprawiedliwy sędzio! bracie nasz w duchu! w twojem sercu objawiają się wieczne prawdy, i w twym umyśle nie masz dla nich zapór! Oh więdz, że w księdze pisanój i w żyjących przykładach czerpiemy ludzkość, i pobłażanie, i pochop do czynów bezinteresownych! Oh więdz o tém. Nauki Sidi Aissy żadna dotąd nauka zwalić nie mogła, bo jest wieczną i przetrwa istnienie naszój ziemi, i istnieje pomiędzy mieszkańcami wszystkich ciał niebieskich, tak jak wpośród serca wszystkich sumiennych ludzi! Oh Ali-Sefer! Bóg jest wszędzie, gdzie dobre jest serce i gdzie jest sumienie; bylebyś szczęścia twójego nie opierał na krzywdzie bliźniego, a już jesteś blizkim Boga i jego ukochaném dzieckiem. Niech będzie pochwaloną chwila naszój znajomości, i niech nigdy nie zatrze się w twojój pamięci, oh bracie Muzułmanie!

Tak wyrzekł z rozrzewnieniem doktor Hamilton, a nasz ulema zdjął swój haik, rozpostarł go na ziemi od wschodu ku zachodowi, usiadł na nim obmywszy się w fontannie i przez cały kwadrans od-mawiał pacierze na różańcu, kiwając się i kładąc na ziemię.

Potém wstał, jeszcze raz się obmył, i rzekł do nas:— „A ile czasu potrzeba, oh! uczeni Nazareńczycy, żeby wszyscy mieszkańcy ziemi myśleli jak wy?”

—Tysiąc lat jest chwilą w porównaniu z wiecznością!

Jeszcze trwały z pół godziny podobne rozmowy; nareszcie zmierzchnąć się zaczęło.

— Niedługo muezzin zwoła na pacierze, a chciałbym was poznać z moją rodziną, to jest z memi starymi żonami i najmłodszymi dziećmi.

Na znak dany ruszył się ku nam wielkimi schodami gonek 1go i 3go piętra, podeszły matrony i młodziuchne dzieci. Wszystkie jedną miały wspólną własność: bystre, piękne i wielkie oczy. Oczy takie pozostają starym, i w młodych wczesnie władać uczynają. Małe Maurytanki, a były podloty pomiędzy nimi, po piérwszy raz widziały chrześcian. Jedna złapała mię za rękę, i przeliczyła moje palce: raz, dwa, trzy, cztery, pięć; widzicie! pięć tylko palców! tak jak u nas, zupełnie tak. Inna chwyciła Hamiltona za poły od fraka i męcała, czy tam nie ma ukrytego ogona. *Allah! maszala, bismillah!* tu nie masz ogona!—krzyknęła Maurytanka z zadziwieniem

Ulema śmiał się do rozpuku, i dzieci swe niewinne całował serdecznie, lzy wylewając rozkoszy. I my się od śmiechu wstrzymać nie mogli. Nareszcie odesłał całą swą rodzinę do seraju i kazał zastawić kolacją. Matrony pożegnały nas z godnością, dzieci podarowały nam kwiatki.

Baranina, kuskussu, napój sporządzony z wygotowanych winogron, kawa czarna i nargille, oto kolacja stereotypowa Maurów; nigdzie lepsza, nigdzie prawie gorsza.

Muezzin wezwał do pacierzy. Ulema pospieszył do meczetu, a my wróciliśmy do naszej brudnej żydowskiej gospody.

Ale Ali-Sefer Efendy znał się na rzeczy; wiedział, co nas najwięcej w tém okropném miejscu trapić będzie, i przysłał nam arabskich kadzidel, dwie pyszne fajki z drogiemi bursztynami, wybornego tytoniu i list zamknięty w jedwabnym woreczku, a adresowany do jego teścia, kasnadara cesarskiego w Maroko. Ulema Ali-Sefer Efendy był szwagrem dwóch młodych mirzów, których poznaliśmy w orszaku santona dworu JCMości marokańskiego.

Wracamy do Tangieru. Tą razą puszczaemy się w podróż w południe, by stanąć wieczorem w Fondaku i tam noc przepędzić. Mnóstwo pielgrzymów maurytańskich przyłącza się do naszej karawany: idą do Tangieru złożyć hołdy owemu santonowi, którego podziwialiśmy piękny nagrobek.

Inny święty, ubrany od stóp do głów zielono jak czyżyk, z lancą zielono malowaną w ręku, prowadzi hufiec bogobojnych pielgrzymów. Należał on do sekty wesółych, krotochwilnych świętych: ci są najmnień szkodliwemi.

Raz biegł galopem, co tylko miał tchu i cały hufiec dalej za nim galopem; drugi raz padł na kolana i na nich czołgał się po skalistej ziemi, i cały hufiec dalej za nim na klęczkach. Potem znów na jednej skakał nodze, lub też biegł tyłem naprzód jak rak, i przytém najśmieszniejsze robił grymasy. Wszyscy pielgrzymi naśladowali go skrupulatnie. Santou nasz pochodził od Alego, tojest: był z rodziny do której należał Mahomet; dlatego też używał przywileju ubierania się w zielone kolory. Mahomet nigdy innego nie nosił.

Widok czterdziestu ludzi odbywających tak śmieszną, a razem niewygodną podróż, bynajmniej nie zadziwił krajowców. Nasz kapudi odprowadzający nas do Tangieru, stosował krok swego konia do kroku pobożnych pielgrzymów, mówiąc: „Oni to czynią dla chwały Boga i jego proroka: strzeżmy ich od nieprzyjaciół.”

Przecież ku wieczorowi zmęczył się święty czyż, do tego stopnia, że z boleścią serca chodzić musiał jak każdy inny rozsądny człowiek.

Napotykalismy liczne karawany wielbłądów, idących z wnętrza kraju ze zbożem do Tetuanu, zkąd je dalej wyprawiano morzem do Gibraltaru. Trzeba bowiem wiedzieć, że Anglicy ciągną całą żywność do Gibraltaru, tojest: pszenicę, ryż, bawoły, a nawet i inne surowe produkta, jakoto: skórę i jedwab surowy, kość słoniową, strusie pióra, gummę i koszenilę z państwa marokańskiego. Anglicy płacą Marokańczykom prochem, śrutem, towarami wełnianemi i bawełnianemi; ale towarami najgorszego gatunku, takimi, jakich nigdzie sprzedać nie mogą, jakich nawet Hiszpan nie kupi. Traktatem handlowym, zawartym między państwem marokańskiem a Anglią, Anglia zabezpieczyła Marokowi całość jego posiadłości, a sobie prawie wyłączny monopol handlowy. Mogliby wprowadzić Marokańczycy ujęć tego niewygodnego dla nich traktatu i zawrzeć ściślejsze związki z Francuzami z którymi teraz graniczą, ale czuwa nad swemi przywilejami Anglia przez swego generalnego konsula i chmarę tajnych agentów, włóczących się z kąta w kąt po państwie marokańskiem. Anglia gdy pogrozi, całe morze truchleje: to ani słowa, a Francya nawet kiedy pobije, nie umie nic zyskać na morzu. Dowodem tego płonnie owe zwycięstwa, otrzymane przez Francją na państwie marokańskiem w roku 1844. Francuzi upojeni sławą,

uszcześliwieni z łatwych tryumfów otrzymanych na nieprzyjaciela prawie bezbronnym, działa bowiem jego pękały przy pierwszym lub drugim wystrzale; Francuzi, mówię, dla handlu swego nic korzystać nie umieli: zapomnieli na chwilę, że są kupcami. Potem dopiero, gdy na rozstrzygacza sprawy powołana Anglia, skonfiskowała na swą korzyść zwycięstwo Francuzów, potem dopiero ci ostatni przyszli do siebie, spostrzegli się, że już im nie przystoi grać roli bohaterów, kiedy od tylu lat przywykli iść za natchnieniem chwilowego interesu materyalnego.

Prócz Anglii, żadne też mocarstwo europejskie nie jest godnie reprezentowane w państwie marokańskim. Konsul generalny francuzki obok angielskiego, nieodpowiednie swym zdolnościom i godności wielkiego narodu zajmuje stanowisko.

Związek celny niemiecki nie zabezpieczył sobie żadnego handlu z państwem marokańskim. Żadne mocarstwo niemieckie: ani Austrya, ani Prusy nie utrzymują tu osobnego konsula. Szwedzki konsul ma się opiekować Prusakami, a angielski Hanowerczykami. Ale jak się uiszczają z tych obowiązków, to rzecz prawdziwie smutna. Niedawno okręt hanowerski przepadł tuż pod przystanią tangierską; nic mu nie pomogły: ani sygnały trwogi, ani też flaga hanowerska dobrze tu rozpoznana. A parostatek angielski właśnie stał na kotwicy w przystani Tangieru, i przypatrywał się obojętnie trwodze, konaniu i śmierci swych dawnych niemieckich współbraci.

Stajemy nareszcie w Fondaku tuż przed zachodem słońca. Cała karawana mieści się w obszernym dworcu, otoczonym zewsząd portykiem. Zawarto drzwi, rozkielznano konie, i zapalono kilka ogni. Cały tabor rozłożył się obozem. Było widok bardzo malowniczy, i byłby nas zajął jeszcze daleko więcej, gdybyśmy rozumieli język tych Maurów i Arabów, podzielonych na grupy, siedzących z skrzyżowanymi nogami na piętach i rozmawiających z sobą tak żywo, a jednak z taką godnością i gracyą gestu, z wyrazem twarzy tak rozumnym i pojętnym. Zdawało się, że to posiedzenie towarzystwa uczonych, roztrząsających ważne jakie kwestye naukowe.

— Mosiek, powiedzno, o czém rozmawiają tak uczenie ci dobrzy ludzie?—zapytam dragomana narzeczem fraukońskim, powszechnie tam używaném.

— Uczenie? o czém oni mogą uczenie mówić? o koniach i o mułach, o wielbłądach i osłach, o strzelbach i sztyletach, huryskach i dżinach; o tém też tylko rozmawiają, a o niczém inném—odpowiedział Mosiek.

— A nasz kapudi o czém opowiada tak długo, wzdybając i oczy przewracając?

— No, on opowiada historią jeszcze żyjącej babki swego nieboszczyka ogiera, który zginął w wyprawie przeciw Berberom; powiada, że ona miała 19 źrebiąt, że te znów miały 150 źrebiąt, i całą jego rodzinę żywiła źrebiętami, które potrafił utoić w górach przed okiem kapudan baszów, bimbaszów i baszów. On powiada, że ta babka posiadała łaskę proroka. No, on głupi, tak jak jego konie: *li estar stollo como si caballi!*—odpowiódź żyd, podnosząc ze wzgardą ramiona.

— Ale ten zielony święty, co tam prawi swym słuchaczom, którzy go tak nabożnie słuchają, i z zadziwieniem wołają: *Maszallah! Bis millah!* (o cuda! na Boga wielkiego)—powiédzno, co on prawi?

— Co on prawi? no! tamci głupi, a on oszust! Gdzie jeden, tam zaraz i drugi. Ten święty, ten bluźnierca mówi, jak raz przemienił się w ptaka, i poleciał do raju i widział jak wierni słudzy Mahometa używają rozkoszy. On dobrze wie że kłamie, ale wierzy w to, co mówi. Jak się jego oczy świeca! jak twarz jego rozpalona! *Guaj mi!* co on tam mówi o piękności niebieskich huryssek. No! on nawet już śpiewa o nich.

Istotnie święty, do żywego poruszony własną swą wymową, czy téż wspomnieniem doświadczonego widoku, wpadł w wyższy jeszcze zapał i zaczął śpiew jakiś do recytatywu podobny. Całe zgromadzenie odśpiewywało za nim ostatni wiersz każdej zwrotki, klaszcząc w ręce i wywracając oczyma.

— Mosiek! co oni śpiewają? Tłumacz, tylko dosłownie.

— On opisuje ze wszystkimi szczegółami piękność widzianych w raju huryssek i tak mówi:

Cztery rzeczy były czarne:

Włosy, brwi, rzęsy i źrenice,

U niebieskich dzlewic—oh!

Cztery rzeczy były białe:

Cera, białko oka, zęby i nogi,

U prześlicznych huryssek—oh!

Cztery rzeczy były czerwone:

Język, usta, lica i dżłasia,

U oblubienic raju Mahoma—oh!

Cztery rzeczy były długie:

Kibić, palce, ręce i nogi,

U szczęśnych córek nieba—oh!

Cztery rzeczy były okrągłe:

Głowa, szyja, ramiona i kostka,

U kwiatów wiecznego ogrodu—oh!

Cztery rzeczy były szerokie:
 Czoło, oczy, piersi i biodra,
 U aniołów przyszłego świata—oh!
 Cztery były wązkie i delikatne:
 Nos, brwi, wargi i palce,
 U najpiękniejszych utworów All—oh!
 Cztery rzeczy były drobne:
 Uszy, piersi, ręce i nogi,
 U naszych przyszłych żon—oh!

Na tém skończył śpiew swój czyżyk, i wpadł w zachwycenie. Słuchacze nakrzyczawszy się *oh!* nawywracawszy się oczu, poszli za jego przykładem.

Jaki szczegółowy program wdzięków! Trzeba przyznać, że święci mahometańscy znają się doskonale na powabach piękności.

Znów się zrywa rozmowa. Prawią o łowach i polowaniach, o rozmowach podsłyszanych dzika z lwem, i to z miną najpoważniejszą.

Istotnie Maury i Arabowie, Turcy i Egipcyanie mają szczególnie talent mówienia z ważną miną o drobnostkach, któreby w ucywilizowanych krajach zaledwie dzieci bawiły. Rozum ich jest prawdziwie jeszcze w dzieciństwie, a przesady religijne ścieśniają go i działają w sposób trudny do uwierzenia.

Rozmowy trwały bezprzestannie do pierwszej godziny po północy. Nareszcie słuchacze zaczęli zasypiać jeden po drugim; mówcy widząc, że audytorjum śpi, zamilkli. Cały areopag zasnął na piętach, około tlejących się jeszcze ognisk.

Czyżyk zaś zawsze w pełnym ubraniu i z zieloną lancą od proka mu daną w rękę, kucnął także na piętach, oparł się o mur portyku, zasnął i chrapał wcale nie jak dostojny święty, ale jak prosty mieszkaniec ziemi, który nigdy raju nie oglądał, chyba we śnie.

Wschodzące słońce wyrwało nas dość późno ze snu. Wiadomo, że im bliżej równika, tém mniejsza zachodzi różnica pomiędzy długością dnia i nocy. Dlatego też nocy pod gorącym niebem Afryki bywają dość chłodne, w bliskości gór nawet bardzo zimne: para bowiem wilgotna zawieszona w powietrzu krzepnie nocą, i nieraz zmarzły śron pokryje ziemię. Idziemy w pochód, ale z wielką ostrożnością przez bory i parowy, gdyż Berberzy zawsze do rozbojów gotowi, czyhają może na nas. Kapudan zatrzymywał całą kolumnę zdaleka od miejsc, gdzie się lękał zasadzki, i sam wyjeżdżał na bystrym koniu na zwiady, lub też wysyłał jednego lub dwóch żołnierzy. Wyznać potrzeba, że wszelkiego dokładał starania, aby nas

żywych i zdrowych do Tangieru przyprowadził. W miejscach niektórych obstawiał nas Maurami i radził nam zsiąść z koni i nie wystawiać się na strzały Kabyłłów.

O małe ćwierć mili na prawo od drogi z Fondaku do Tangieru, leżą na wzgórzu ruiny murów starożytnego rzymskiego *oppidum* czyli warownej osady. Staraliśmy się uprosić kapudana, by nas do tych ruin zaprowadził; ale on żadnym sposobem zezwolić nie chciał, utrzymując, że te ruiny służą za kryjówkę Kabyłłom i różnego rodzaju złoczyńcom, i że byłoby nieroztropnością wystawiać się na ich razy w sile tak maléj, w jakiej się znajdujemy.

Pomimo wszystkich przedstawień nie zdołaliśmy się oprzec chęci zwiedzenia tego starożytnego zabytku rzymskiej potęgi, i zobaczywszy go tak blisko drogi, daliśmy kucom naszym ostrogą i popędziliśmy ku ruinom.

Stary Maur widząc nas tak upartych, puścił się z dwoma żołnierzami za nami, prześcignął nas, zsiadł z konia tuż pod ruinami, przywiązał go do drzewa, i zwiedził z pistoletami w rękach, z jataganem w zębach wszystkie kryjówki, w których nieprzyjaciel mógł się ukryć; potem dopiero pozwolił nam się zbliżyć:

Było stos rozwalin ogromnych bloków sześciennej, kilkanaście kolumn rzymskich, częścią na ziemi leżących, częścią sterczących pomiędzy ruinami na wysokość kilku łokci. Wszystko prawie porośło grubym mchem i krzewami; tu i owdzie tylko stały jeszcze sklepienia trzymające się własnym ciężarem, bez żelaza i bez cementu. Ruiny te zuległy dość rozległą przestrzeń kwadratową, i w niektórych miejscach miały do 25 stóp wysokości. Żadnego nigdzie napisu odkryć nie byliśmy w stanie.

W całej téj okolicy pozostało wiele śladów rzymskiego panowania: monumentalne studnie, blokhauzy, zwaliska wodociągów, które według zdania krajowców pochodzą od *Roumów*, to jest od Rzymian.

Blisko drogi prowadzącej ztąd do Tangieru znaleziono przed kilką laty konia ze spiżu, i kilku małych ludzi także ze spiżu (tak nasz kapudi nazywał owe statuetki), nawet kilka wielkich lamp z tegoż samego metalu. Wszystko to zostało na małe kawałki pocięte i potajemnie sprzedane żydom, handlującym starym metalem.

Chciwości rządu marokańskiego trzeba przypisać, że tak rzadko wychodzą na jaw zabytki starożytności, świadczące o oświacie narodów zamieszkujących niegdyś Afrykę. Władze mające prawo przywłaszczania sobie każdéj znalezionej rzeczy, nadużywają je nieroz

w jak najokropniejszy sposób dla wymożenia zeznań na nieszczęśliwych, posądzonych o odkrycie jakiego skarbu.

Bardzo niedawno zdarzyła się tutaj smutna historia. Lat temu kilka, gdy Alarby El Saïdy był baszą Tangieru i sprzedawał sprawiedliwość na wagę złota, zdarzyło się, że kawał gruntu dawno leżący ugorem, darowanym został w wieczną posiadłość podoficerowi dymisyonowanemu, który przez lat dwanaście służył walecznie pod sztandarami Jego Wysokości cesarza marokańskiego.

Dnia pewnego, gdy Mahomet grunt swój orał, i gdy jeden z jego przyjaciół zatrudnionym był w tenże sam sposób na swoim polu, lemiesz weterana trącił o naczynie jakies kamienne bardzo dziwnego kształtu. Mahomet podniósł je z ziemi i widząc, że pozostało całém, schował je za siermięgę, myśląc, że mu się zda do czerpania wody w krynicy. Potém zaś wróciwszy z pługiem do miejsca na którym złożył swój haik, obtulił weń znalezione naczynie i wrócił do swojej pracy.

Ruchy rolnika nie uszły bacznosci jego sąsiada, i obudziły w nim podejrzenie, że tu nie idzie o próżny garnek, ale o naczynie napelnione pieniędzmi. Zazdrosny gaduła zaledwie wrócił wieczorem do domu, a już cała wieś wiedziała, że Mahomet znalazł skarb na swoim polu, i ukrywa go w swojej chacie.

Nazajutrz był właśnie targ w Tangierze. Mieszkańcy wioski Buaniar znaleźli się tamże i rozpowszechnili wieść o odkrytym skarbie. Szpiegi donieśli ją zaraz upiększoną własnymi dodatkami do uszu chciwego Alarby el Saïdy, baszy Tangieru.

Nie spodziewając się żadnego nieszczęścia, Mahomet zatrudniał się na rynku sprzedażą przywiezionych na targ melonów, gdy dwóch na niego wpadło żołnierzy i zawlekło go przed baszę.

— Hultaju, myślałeś, że ujdiesz mego bystrego oka! Dolój, zaraz mi się przyznaj, ile było złota w tym garnku, który odkopałeś w polu—wrzańcie na weterana gubernator.

Mahomet opowiedział rzecz całą, i zaręczał, że grosza nie było pieniędzy w kamienném naczyniu. Błagał baszę, aby się sam o prawdziwości jego słów przekonać raczył. „Poślej twe sługi do méj chatki; garnek wydanym ci zostanie, ale pieniędzy nie znajdziesz w moim domu.”

Basza wtrącił do więzienia biednego weterana i wysłał żołnierzy do jego domu. Ci wrócili z próżnym garnkiem i wymódcz nie mogli na rodzinie Mahometa żadnego wyznania.

Basza Alarby srodze się rozgniewał.

— Słuchaj lotrz! — rzekł do weterana, — ja się nigdy nie mylę; wysledzę winowajcę chcącego okraść skarb cesarski, i dla odświeżenia ci pamięci, udam się do wszystkich środków. Dalej Szaszal — krzyknie do kata — syp temu zbrodniarzowi pięćset batów na podeszwy; batów tafiletowych rozumié się.

A trzeba wiedziéć, że w Tafilecie wyrabiają bizuny ostrokancianste, sławne w swym rodzaju.

Rozciągnięto biédnego Mahometa, zbito mu podeszwy na miązgę, ale nie wymożono żadnego zeznania. Odniesiono go napół umarłego do więzienia, i przytrzymano w niém miesiąc cały. Biédna żona żywiła go tymczasem tém, co pozostało w chacie; rząd bowiem nie utrzymuje więźniów swym kosztem. Rodzina doszła wkrótce do najwyższego szczebla nędzy. Nareszcie choroby wkradły się do rodziny Mahometa, nikt mu już nie przynosił strawy, i byłby umarł z głodu, gdyby nie stróż więzienia, który sam biédny, ulitował się przeciw nad losem więźnia, i żywił go własnym swym chlebem.

Mahomet stęskniony nie widząc ani przewidując kresu swych cierpień, rzekł do więziennego: „Słuchaj bracie, idź do baszy i oznajm mu, że będzie posiadał skarb. Dam mu wszystko co mam: niech mié tylko każe zaprowadzić do mego domu przez swych żołnierzy.”

Prowadzą Mahometa okutego w kajdany do Buamar. Tam dowiaduje się, że żona i dwoje dzieci umarło z głodu. Dwoje jeszcze pozostałych przyjął do siebie ów nieszczęsny człowiek, którego zadróść i gadulstwo stały się przyczyną tak wielkich nieszczęść.

Gdy przybyli przed chatę, żołnierze chcieli wejść do niej wraz z Mahometem, ale ten oparł się temu, mówiąc: „dom każdego człowieka jest świętym. Czekaście tutaj, za chwilę będziecie mieli wszystko, co jeszcze posiadam”.

Wraca Mahomet na próg swego domu ze strzelbą w rękę. Żołnierze chcieli uciec. „Zostańcie!” zawoła Mahomet „daleka ode mnie myśl mszczenia się na was za doznane krzywdy.”

Potém przytwierdziwszy długi sznurek do cyngla od zamku, przeciągnął go poza kolbę i rzekł. „Powiedzcie baszy, że wszystko co jeszcze posiadam, jemu oddaję. Niech krew moja spadnie na jego głowę!”

I to powiedziawszy przytknął otwór od lufy do swojej głowy, i pociągnął za sznurek.

Strzelba wypaliła. Mahomet padł bez duszy na próg swego domu.

— Tak skołał Mahomet. Dobryto był żołniérz, służył podemną przeciw Berberom i zbuntowanym Udajom, i zawsze był walecznym i bogobojnym—dodał kapudi.—Teraz dusza jego błakać się musi lat pięćset nim do raju zajdzie Tak samobójców prorok karze.

— Kapudanie! a co mówił Alarby el Saïdy, basza Tangieru, gdy się dowiedział o śmierci Mahometa? spytał Al-Hamilt-Bey.

— Oh Sidi Tibib! o panie doktorze! gdy żołnierze oznajmili baszy co się stało, on odpowiedział: *awa?*

— Coto znaczy *awa?*—spytałem.

— To znaczy po arabsku: *czy to wszystko?* I na tém koniec. Nie! nie na tém był koniec—poprawił się kapudan—basza kazał przyjść Szaszy i wylczyć żołnierzom każdemu po sto batogów prostych, a podoficerowi sto batogów Tafiletu. *Ibduah illah Allah!* Bóg tylko jest sprawiedliwym.

— *Ibduah illah Allah!*—odrzekł Hamilt-Bey—ale niech djabli biorą owe batogi Tafiletu. Dotychczas słyzałem tylko o daktylach i o jedwabiu z Tafiletu; widać, że wszystko w téj krainie jest wykwinne, nawet i baty.

— Oh Sidi Tibib! wszystko tém wykwinne to prawda. Sam doświadczyłem wykwinności batogów Tafiletu: mogę o nich mówić ze znajomością rzeczy—odpowiedział kapudan.

— Jaktó? ty kapudanie, który jesteś *effendim* (szlachcicem) i *kapudim* (prawowiernym) i *serdenem* (oficerem), ty miałbyś być kuranym batogami?

— A tak było w istocie. Będąc jeszcze młodym pragnałem odwiedzić grób proroka. By się godnie usposobić do tego zaszczytu, wstąpiłem na cztery tygodnie do klasztoru, i tam w skrusze, postach, modłach i obmywaniach czyściłem moję duszę. Ale czart zazdrościł mi świętości, i jednéj nocy, gdy się głodny spać położyłem, nastał mi sen hardzo brzydki; ale wy nie pojmiecie straszności tego snu, o niewierne Nazareńczyki!

— Pojmiemy, kapudanie, tylko mów dalej—rzecze Hamilt-Bey.

— Otóż méj duszy głodem ciała traponéj śniło się, oh zgrozo! zém z okropnym apetytem jadł wieprzowinę. Zbudziłem się ze strachu, i nazajutrz zmartwiony plugawym snem, udałem się do naczelnego imana klasztoru, wypowiadałem się przed nim i prosiłem o rozgrzeszenie lub o wymierzenie kary.

— Oh dobry, wierny synu Mahometa!—rzekł do mnie sędziwy iman—sumienie tve jest drażliwe jak kwiat powoju i liść grochu

rajskiego! Dumny jestem z ciebie, niech się dzieje wola twoja, niech twa dusza znów stanie się białą jak haik proroka, i spokojną jak grób jego. Chodźcie tu o fakiry, muezzy, ulemy i imany! rozciągnijcie mi mego ulubionego syna, i wyliczcie mu na każdą podszewę po pięćdziesiąt oblewanych batów! Ale niech to będą batogi Tafiletu, dla większej spokojności mego dobrego syna.

— I wzięli się do mnie z wielką gotowością—rzerze dalej kapudan—i wyliczyli mi sumiennie tak ucziwą chłostę, że przez całe trzy tygodnie i kroku jednego na mych stopach ująć nie mógł. Do meczetu czołgałem się na kolanach i na rękach. Święte są batogi Tafiletu, gdy sprawiedliwie wymierzone, oh święte!

Kapudan skończywszy historią dobył różaniec z za pasa, dał ostrogę koniowi i oddalił się od nas ze sto kroków na przodek karawany, by się spokojnie wymodlić. Zbliżała się bowiem chwila *mogrebu*, to jest wieczornych pacierzy. Zielony święty znów zaczął skakać na jednej nodze, i cała falanga pielgrzymów za nim.

Takim jest człowiek! niejeden nie wie, że się znajduje w położeniu zazdrości godnym, kiedy bierze batogi.

Już się zbliżamy ku bramom Tangieru, już minarety, reduty i armaty wyzierają na nas zponad wąwozu. Występujemy z wąwozu na piaszczystą płaszczyznę, i zaledwie tu stajemy, kiedy nas uderza widok bardzo osobliwy: karetka cała złożona jak rydwan słońca i zaprzężona ośmioma mułami przystrojonymi w jaskrawe pompony i kutasy, i ze dwunastu murzynów młodych i pięknych, ubranych w białe turbany i krótkie białe spodnie, z grzechołkami w ręku. U każdego tkwi przy pasie świecący kindżał, a u turbana puginiał.

— Allah chu! up kaff! up kaff!—krzyknie kapudan i w największym pędzie powraca do nas.

— Up kaff! up kaff!—krzyczeli murzyni jak opętani, i cała karawana odwróciła się plecami ku karecie.

— Up kaff! up kaff! wrzeszczą wszyscy, i zwracają nasze konie tyłem do miasta.

Żyd i wielu innych padło nawet na kolana.

— To jakieś damy z seraju baszy jadą do kąpieli morskiej w karecie pewnego księcia niemieckiego. Na Bogal nie odwracajcie się, jeden z tych wściekłych czarnych rzezańców gotów przypaść, i przebić zuchwałego na miejscu—rzerze do nas Sir Antony S. . . , ten sam, którego w Tetuanie poczęstowano prętem.

— A cóż tu robi karetka księcia niemieckiego, sir Antony?— spyta Dr. Hamilton.

— Oto cała historia. Książę był w Tangierze w roku 1839, i przebywał tu nawet miesiący kilka, nie wiem dla jakich powodów. Przywiózł tu z sobą dwie karety, wielkie, obszerne i ciężkie, i tak staroświeckie, że zdawały się należeć do wyprawy Noego. Władze Tangieru nie pozwoliły księciu przejeżdżać się w karecie, pod pozorem, że kola psują drogę. Istotnie nikt tu nie używa wozów, nawet do przewożenia amunicji do artylerji wałowej. Książę napisał do cesarza prośbę, aby mu wolno było jeździć w karecie, i przyrzekł w zamian za ten przywilej, wybrukować własnym kosztem główne ulice Tangieru.

Mulej Abder-Hamman raczył odpowiedzieć księciu niemieckiemu, że brukowanie ulic byłoby nowością, któraby mogła pociągnąć za sobą potrzebę mnóstwa innych reform; że zresztą może sobie jeździć ile tylko chce w karecie, byleby do niej nie używał kół: protektor bowiem wiernych powinien czuwać nad życiem swych poddanych, i nie dozwalać chrześcianom ani rozjeżdżać Muzułmanów, ani ich obryzgiwać błotem.

Osobliwa rzecz, że się Jego Książęca Mość niemiecka co do litery zastosować raczyła do polecenia cesarskiego. Zdjęto więc pudło z kół, zawieszono je sztucznie pomiędzy dwoma wielbłędami, i tak owożono księcia i jego świtę.

Potem zaś książę opuszczając Tangier, darował jedną z karet pierwszemu baszy tojest gubernatorowi, podobno w zamian za pozwolenie wzięcia ze sobą kilku kuców berberyjskich. Basza kazał wyśkrobać herby niemieckie, ozłocić całą karetę, zdjąć z niej koronę książęcą, zastąpić ją turbanem, i dziś używa karety i kół do przewożenia dam swoich do kąpieli morskich.

— A tak: *quod licet bovi, non licet Jovi* — dodał pan Weinstein, uczony Niemiec.

— Nadzwyczaj pan szczęśliwie zastosował przewrócone przysłowie, ale do jednej osoby tylko: baszy bowiem dano tu przydomek *el buffari*, co znaczy to samo co *bos* po łacinie. Ale dalibóg nie widzę żadnego podobieństwa pomiędzy Jowiszem a drugą osobą — rzecze Sir Antony.

— I ja także nie — rzekł mister Whipright sekretarz generalnego konsulatu Anglii.

— Ah! wy Anglicy chcecie, żeby każdy dowcip miał matematyczną wartość — odpowie pan Weinstein z niecierpliwością — dlatego też nazywacie każdy dobry dowcip *sztetlingowym dowcipem*. Nic dla was nie ma wartości, co na pieniądze zredukować nie można.

— Ale pański dowcip, to ani szylingowy, ani nawet groszowy, *upon my word*—rzecz to ze zjadliwą spokojnością Sir Antony.

— Do takiego rozumu jak pański—krzyknie w największym gniewie obrażony Niemiec—to chyba można takim trafić sposobem, jakim ów święty tetuański trafił do pańskiego czucia.

— *Come! come! here Jam* (chodź! chodź! tutaj jestem) wrzasknie Sir Antony, i nie dbając o karawanę, skoczył z konia, zrzucił z siebie surdut, zawiązał rękawy od koszuli, i stanął w klasycznej postawie boxera:—chodź, odbiję się na tobie!

Niemiec nie stchórzył. Zsiadł z konia, i nie zrzucając fraka, bieży ku zapaśnikowi. Już się wszczyła bój, już nosy krwią się zalaty. Ale wtém wrzeszczy kapudan z całej siły:—Allah hu! up kass! hu! up kass! (w imię Boga, odwracajcie się, odwracajcie się!)

Cała się karawana odwraca, i zapaśnicy się odwracają. Zapewne znów przechodzą jakie dostojne damy z rzezańcami, do podrzycania gardła gotowemi.

Kapudan ciągle wola *up kass!* i wytrzymuje nas z dobry kwadrans. Potém przybiega do sekretarza konsulatu i mówi: „Zaręczyłem baszy, że was wszystkich żywych i zdrowych nazad przyprowadzę. O życie wasze nie dbam, ale mi idzie o dotrzymanie słowa. Namów tych psów wściekłych, żeby się pohamowali w swym niegodnym człowieka gniewie. Gdy raz was przyprowadzę do konsulatu i uzyskam świadectwo żeście żywi i zdrowi, wtenczas Allah hu! rozbijajcie sobie głowy ku największej chwale Boga“.

Takiego Maur użył fortelu, by wstrzymać walkę zapaśników. Wsiedli przecież na koń z chustkami pod nosem.

Jesteśmy znów w konsulacie angielskim.

Maur czekał w dziedzińcu na swe świadectwo, odmawiał pacierze i obmywał się w fontannie.

Wręczono mu świadectwo. Maur nie przestając się modlić przeczytał świadectwo, złożył je i wotknął za zawój. Potém nic nie mówiąc nikomu, tylko ciągle się modląc, wsiał na konia, potrząsł pantoflami na znak że i pyłku ztąd zabrać z sobą nie chce, i wolno pojechał ku alcazarowi baszy.

To typ Maura purytana! fanatycznego, ale rzetelnego i honorowego, dla swoich zaś tylko ludzkiego. „Rozum mój dla całego świata, serce tylko dla moich współwyznawców”, oto dewiza tego rodzaju Muzułmanów. Niewiele znajdziemy podobnych jemu Maurów, mniej jeszcze podobnych pocziwemu ulemie tetuańskiemu; ale

za to wiele spotkamy w ciągu naszej podróży obludnych, fałszywych, chytrych i okrutnych. Między Arabami więcej znajdziemy ludzkich i gościnnych, a najpojętniejszych, najpracowitszych ludzi—po między Negrami Sudanu.

XII.

Podróż do Larasz. Wyjazd do Mogadoru.

Jakażto podróż zajmująca, pełna przygód różnego rodzaju! W kilka dni nagromadziłeś w twój pamięci zasoby myśli i uczuć, wystarczyć ci mogących na całe twe życie, gdyby nawet trwać miało jak najdłużej, żeby nawet kiedyś wlec się miało od dnia do dnia w towarzystwie istot niepojmujących ani twego zapалу dla piękna, ani też wierzących w istność czystych, duchowych rozkoszy!

Tak patetycznie do siebie samego przemawiałem w piérwszej nocy po powrocie naszym do Tangieru, przechadzając się po belwederze konsulatu angielskiego. Noc była ciemna, księżyc nie był wszedł jeszcze, gwiazdy nie iskrzą się na niebie afrykańskiem tak jak czasem u nas w pogodną noc zimową, światła w mieście wszystkie pogaszone, tylko błyszczą w odległości światło Europy—latarnia morską Gibraltaru. Cicho wszędzie i głucho, tylko szumi uroczystym rytmem wielki ocean, i od czasu do czasu głos muezzina na minarecie śpiewa tęsknym tonem: *Hed Allah bis millah, uch liuli dagadir!* Co znaczy: Lepiej chwalić Boga, jak snu się oddawać.

Do mnie to przemawiasz dobry muezzinie?—Może i tu wyjątkiem jestem, może i tu sam jeden czuwać i tęsknić do tych lepszych czasów, kiedy wszyscy ludzie jednego chwalić będą Boga; i może wpośród was wszystkich Maurów i Arabów, renegatów i Europejczyków w tém mieście zamieszkałych, wierzę sam jeden w możliwość wyższego rozwoju ludzkości, opartego na miłości.

Ach! ten Maur, ten barbarzyniec, z jaką nas rzucił pogardą, z jaką dumą otrząsał swe pantofle i mówił: „ani pyłku unieść ztąd nie chcę, o dziaury!”

Zkąd twa duma o Maurze? Nie jesteś ani milionowym dobrokowiczem, ani też nawet baronem lub hrabią; jesteś tylko kapitanem spahów, a tyle masz dumy, o człowiecze!

Możesz dlatego dumnym, że twe sumienie spokojne, żeś ani razu nie uchybił prawom honoru, i prawdzie przez ciebie pojętej służył wiernie i statecznie?

Tak jest, zapewniłeś dlatego tak dumnym, że się czujesz lepszym od wielu innych bliźnich. Wynagradzasz sobie już na tym świecie twą wyższość. Ale duma zawsze jest rzeczą niezdolną, i nikt do niej nie ma prawa. Mądry dlatego nie, że w każdej chwili życia winien być przejętym uczuciem powinności, zaciągniętych swą wyższością względem bliźnich, głupi zaś. . .

Nie! zostawmy głupim dumę! Czémżeby pokrywali próżnią serca, płytkość rozumu? Zagadnięci o to i owo, czémżeby się bronili biedacy? W styczności z ludźmi serca, czémżeby pokrywali tępość czucia, niewiarę w szlachetne pobudki? Tak jest, zostawmy głupim dumę!

Marzenia moje znów przerywa donośny głos muezzina: „*Hed Allah bismillah, uch liuli dagadir!*”

Coto za piękny, zrozumiały język! *Liuli*, to znaczy *sen* i pochodzi zapewne od słowiańskiego *lulać*; a *dagadir* znaczy używać, *dogadzać* sobie. To prawie po polsku. Mieliliśmy kiedyś być spokrewnionemi z Arabami, kiedyś, kiedyś, bardzo dawno. Warto się nauczyć tak pięknego języka, i zrozumieć te długie rozmowy toczące się około ognisk. Ręczę, że więcej w nich myśli i rozumu, niż tam Mosiek upatruje. Żydzi maurytańscy nie umią bawić się czém inném, jak szacherką; co nie pochnie, nie trąci, nie zalatuje nadzieją zysku, to dla nich najmniejszego nie ma powabu. W wyższych sferach rozwija się u żyda szalona próżność: przepada żyd taki za ludźmi umiejącemi ją głaskać, choćby najniezgrabniej, choćby w sposób tego ośła, co naśladował pieska. A gdy raz żyd maurytański stanie się w czémkolwiek znakomitym, och! wtenczas bądź zdrów: wtenczas nadmie się pychą jak gardłacz powietrzem, wtenczas upaja się swém znaczeniem, i staje się nieskończenio pocieszném stworzeniem. Chępliwość jego wszystkie granice przechodzi.

Takim jest żyd maurytański: zupełnie inny od naszego, który, jak to dobrze wiemy, brzydzi się szacherką, którego skromność w przysłowie weszła.

Allah bismillah! śpiewa znów muezzin na minarecie.

Bismillah, to znaczy chwalić: słowo pochodzące oczywiście z tego samego źródła, co słowiańskie *pomilować*. Uczmy się tedy arabskiego języka; może w nim odkryjemy jakieś światu nieznane źródła historyczne, może się z niego dowiemy, że nasz naród od bardzo dawna już istniał, i wiele złych czasów już przetrwał.

Trudno poznać zblizka interesujący naród arabski, bez znajomości jego mowy.

Żaden dragoman nie potrafi oddać znaczenia tych wszystkich tak subtelnych odcieni mowy, intonacyi i gestu, jakimi Arabowie ożywiają swe opowiadania, a które niewykonywane z południową żywością, lecz owszem z poważną jakąś gracyą, tém więcej mają powabu dla widza. Wszakżeż wiemy, że takt mazurka, jak ci go chłop polski zaśwista, lepiej ci odda ducha narodu, jak wszystkie dzieła uczone, pisane o jego charakterze, przyrodzie i posłannictwie. W przywykniach do pewnych zgieć intonacyi, i drobnych, mimowolnych poruszeń ciała, czujny etnograf znajduje nieraz z wielkiem zadziwieniem klucz ułatwiający mu odgadnięcie charakteru ludu. Z podobieństwa kwiatu, botanicy odgadują powinowactwo i przyrodę roślin; pień nagiać potrafi ogrodnik i nieraz owocowi nadać kształt inny, ale kwiatu nie zmieni. Postępujemy jak botanicy: sądzmy o charakterze narodu z mowy ludu,—uczmy się po arabsku.

Postanowienia u niektórych ludzi, sąto nieubłagane wyroki, wyrze stalowym rylcem na sumieniu. Zaledwie też kilka minęło godzin, a zaczęły w wykonanie wchodzić owe wyroki. *Ungue et rostro* wziąłem się do nauki arabskiego języka, czyli raczej jednocześnie do nauki dwóch arabskich narzeczy, któremi tutaj mówią. Maurbowskiem tylko i Arab wyższego stanu, dalej lud w głębi kraju, mówią starym, czystym arabskim językiem; a lud na pograniczu morza, na 20 do 25 mil geogr. odległości od wybrzeża, mówi narzeczem tak nazwanem maugrebskiem, tojest zachodniem. Szkielet tylko tej mowy jest czysto-arabski, a jej reszta zanieczyszczoną mnóstwem słów beduińskich, ozdobioną kilkuset słowy hiszpańskimi w sposób tak niedogodny, że dobry Arab z wnętrza kraju nie jest w stanie zrozumieć mowy maugrebskiej. Nie wiem do jakiego języka mam porównać tę mieszaninę, tę zbieraninę narzeczy, niekiedy bardzo dzioko brzmiącą. Żaden z narzeczy słowiańskich nie przedstawia nic podobnego; dzisiejsza angielska mowa, córka nieprawna skandynawskich, teutońskich i frankońskich narzeczy, prędjiej może służyć wyobraźni za punkt oparcia dla analogii. Największa część arabskich słów przeszła w narzecze maugrebskie i uległa zmianie w wymawianiu; imiona własne nawet. I tak: Maugreb nie powie *kandziar*, lecz *krandziach*; nie wymówi *Abdalah*, lecz *Abdelu*.—Pisowni język maugrebski właściwie nie ma; wszyscy *talibowie*, tojest uczeni (a takimi w tych krajach są ludzie umiejący czytać i pisać) umieją po arabsku i piszą czystym arabskim stylem; a jeśli wypadnie baszy, kademu lub ulemom ogłosić rozkaz jaki lub rozporządzenie ludowi, wówczas sekretarze tych dygnitarzy używają maugrebskiego narze-

cza, a liter arabskich i pewnych konwencyonalnych znaków pisarskich na wyrażenie owych świszczących i rżących tonów, które z beduińskiej mowy przeszły w maugrebską.

Łatwiej się nauczyć czytać, mówić i pisać nawet po angielsku, jak zrozumieć Anglika mówiącego po angielsku. Odwrotny zachodzi stosunek z arabskim językiem; dość łatwo jest zrozumieć Araba mówiącego czystą, wolną i pięknie brzmiącą mową, niebardzo trudno nią mówić jako tako, pisać nawet; ale czytać—oto rzecz najtrudniejsza: arabska bowiem pisownia, tak jak wszystkie wschodnie, nie posiada samogłosek; trzeba się zatem domyślać przy każdej spółgłosce, jaka samogłoska, lub nawet jaki dyftong, może poprzedzać lub następować po spółgłosce. Ludy wschodnie, najbliższe kolebki rodu ludzkiego, idąc za naturalnym rozwojem umysłu i rzeczy, nie pojmowały, żeby kto mógł mieć potrzebę pisania językiem, któregooby dokładnie nie znał; a będąc obdarzone wyższą wyobraźnią, uważały za rzecz łatwą domyślić się samogłosek z układu spółgłosek i z sensu. Im więcéj z postępem cywilizacji pamięć ludzi obciążać się musiała, im więcéj ludy oświecone szukać musiały w zmianie i różnorodności tonu żywiółów ułatwiających pojęcie rzeczy, tém więcéj odstępowano od pierwotnej wymowy i pisowni. Arab, którego język nie jest tak bogatym w słowa, jak bogatym w obrazowości, którego wyobraźnia jest w ciągłym stanie czujności, łatwo przeczyta, co inny w jego języku napisze bez samogłosek; lecz cudzoziemiec nieznający całego zasobu słów arabskiego języka, a chcący go się nauczyć, nie może się obejść bez grammatyki, chrestomatyi i słownika, umyślnie dla Europejczyka pisanych, gdzie samogłoski przed i po spółgłoskach istniejące, zastąpione są kropkami i znaczkami przed i po spółgłoskach umieszczonemi. Inaczéj wpadałby w *qui pro quo* nieskończone. I tak naprzykład litery: *k, d*, dwie spółgłoski, mogą znaczyć *kadi* czyli sędzia, lub *ukda* czyli kupiec (co nie wszędzie jest jednoznaczném), lub *tôz ikud* przepaska, lub *ukda* prędzój. Jak tu wybrnąć z trudności nie znając doskonale języka, nie będąc obdarzonym ciągle czujną wyobraźnią, lub słownikami umyślnie dla Europejczyków ułożonemi?

Szczęściem, że nie brakło w konsulacie angielskim wszelkiej literackiej pomocy: słowników, grammatyk, biblij tłumaczonych na arabski i maugrebski język, przytém dobrochętnych sekretarzy i dragomanów, którzy widząc mnie pracującego z usilnością, pomagali mi dopiąć zamierzonego celu. Anglik o ile brzydzi się gnusnością, o tyle szanuje pracującego. Tę sprawiedliwość chętnie mu oddaję,

i przytém pozwalam sobie odgadnąć, czemu naród niemiecki, pewno nie-bardzo szczytny w swych tendencyach politycznych, lepiej przypada do gustu Anglikom, jak inny naród dalej mierzący, a sięgać nieumiejący wcale.

W zadanój sobie pracy, przerywanój tylko wycieczkami na brzeg morza, wizytami coraz częstszymi do chorych Europejczyków, żydów i Maurów, ubiegło mi dni dziesięć. Al-Hamilt-Bey spędził je w tenże sam, co i ja sposób. Pomagał mi w uczeniu się arabskiego języka, który znał dość dobrze, maugrebskiego zaś uczył się razem ze mną. Rzecz zastanawiająca, że pomimo znajomości arabskiego, maugrebski język szedł mu daleko trudniej jak mnie, świeżemu zupełnie orientaliście. Ale w nauczaniu się języków trzeba mieć resztki owój młodocianój pamięci, na której gruncie wszystko się przyjmuje, wszystko chętnie wybuja.

Basza Tangieru radził nam czekać spokojnie odpowiedzi z Maroko, upewniał nas o dobrych chęciach syna cesarskiego, i zaręczał, że odpowiedź niebawem nadejdzie.

Nie mylił się basza. Spadła błoga rosu firmanów na niego, na nas i na konsulát angielski. „Wyglądamy was z wielką niecierpliwością, o wielcy życiodawcy *Tibiby* (tojest lekarze); spieszcie, bo wojska nasze ślepną, i zaraza ciągle się rozszerza po kraju, jak mgły wlejące się po stopach Atlasu. Nasz wierny sługa basza Tangieru ułatwi wam pochód do El-Arrasz, wam i waszym najemnikom, i waszym niewolnikom (których dajemy wam prawo zakupić dwie sfory na czas waszego pobytu w naszym państwie). W El-Arrasz czeka na was w przystani nasz bryg wojenny o 12 działach, zwany Jussuf Marabu, i na nim udacie się do Mogador, dokąd karawana i liczny poczet janczarów i spahisów wysłane zostały na wasze spotkanie. Władze nasze mają polecenie przyjmować was z czcią przynależną temu firmanowi, który wam wręczony zostanie przez naszego dragomana i do waszych usług przeznaczonego przewodnika Soliman Simoni, człowieka naszych i waszych języków świadomego, i w sto worków szekieli na wydatki opatrzonogo. Allah niech was wiezie, i prorok niech wam sprzyja tak, jak my wam sprzyjamy, o angielskie *Tibiby*. Pozdrowienie wam! Bogu jedynemu chwala.” Te podpisał słowa szeryf Sidi-el-Mamuhn syn cesarski.

Pan Drummond-Hay konsul generalny angielski przytomny w chwili wręczenia nam firmanu, prosił, abyśmy obojrzawszy pieczęć, złożyli pismu królewicza, przed przeczytaniem go, należne *salemaleki*, tojest hołdy: Później zaś pomógł nam zrozumieć dokładnie sens

i duch pisma. „Wszystko dobrze—rzecz konsula do Solimana Simoni, renegata genueńskiego—ale czemuż karawana ma czekać na tych panów w Mogadorze, a nie w bliższym, o dziesięć mil od Maroko porcie Saffy, w porcie, który zarazem od El-Arrasz jest o 20 mil bliższym. Czemuż omijacie Saffy i nadkładacie sobie 25 mil drogi?

— To jest tajemnica, którą jednakże, znając dyskretność Anglików, nie waham się panom wyjawić—odpowiód Genueńczyk śmiało i czystą angielszczyzną. Cały prawie dystrykt pomiędzy Saffą i Marokiem został pochłonięty przez syna cesarskiego w ostatniej wyprawie przeciw zhuntowanym Mahasniom. Książę mój pan chciałby jak najlepsze dać wyobrażenie o kraju gościom tak dostojnym i użytecznym, i dlatego życzy sobie przeprowadzić panów przez najpiękniejsze okolice.

— Co to znaczy *a Swallowed district*—dystrykt pochłonięty?—zapytam pana Simoni. Ale pan Simoni milczał.

— To znaczy prowincya po ojcowsku ukarana: kraj, którego ludność męzka i palmy męzkie zostały wycięte, domy spalone, najlepsze grunta solą obsiane, trzody uprowadzone, a dziewczęta najokropniej pogwałcone—odpowiód za pana Simoni konsula angielski.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się także, że ów santon który nas przywiózł do Tangieru, strachem ogarnięty po śmierci majtka angielskiego, umknął nie do Maroko do syna cesarskiego, lecz do Mequinezy stolicy letniej samego cesarza, gdzie właśnie Abderhaman przebywał. „Pomimo całej świętości santona rzecz byłaby się nie skończyła bez dobrych bizunów tafiletowych, gdyby wola syna cesarskiego mogła być wykonaną względem porywczego santona. Teraz zasłaniają go promienie tronu cesarskiego, a trzeba wiedzieć, że santon jako fanatyczny starowiec mahometowski, w wielkich jest łaskach u Najwyższego Pana”—zareczał nam Soliman.

Za dwa dni postanowiliśmy puścić się do Larasz (El-Arrasz). Korzystając z dobrodziejstw firmanu, kupiliśmy sobie po sforze niewolników. Sfora składa się ze czterech ludzi, *palankin* czyli lektykę dźwigających i z piątego przewodcy do wyższych usług zdolnego. Przymiemy każdy z nas miał służącego Europejczyka: ja Hiszpana, Al-Hamilt-Bey Anglika. Mosiek w najczystsze suknie przybrany służył mi za dragomana, towarzyszewi zaś konsula angielski pożyczył jednego ze swoich.

Na podróż tę i na cały pobyt w Maroko, przybraliśmy, idąc za radą i prośbą pana Simoni, strój nowożytny turecki, to jest fez opatrzoney brylantowym znakiem dygnitarskim i zawojem zasłaniającym nam

włosy, surdut mundurowy zielony dość jasnego koloru, na pierśsiach spięty haftkami, z kołnierzem i mankietami bogato złotem haftowanemi; biały haik czyli ogromny szal, służący zamiast płaszcza, przybrać musieliśmy przy naszym europejskiem obuwiu, przyjeżdżając już ogólnie w wojsku tureckiem, egipskiem i tunetańskiem, jako też przy europejskich szerokich białych lub karmazynowych szarawarach. Strój ten choć mało od europejskiego różny, sprawiał nieskończenie miłsze wrażenie na krajowców, niż owe kapelusze z szerokimi rondami, owe ciemne surduty i spodnie, noszone tutaj przez Europejczyków. Maur, Arab, Beduin i w ogólności Mahometanin nienawidzi ciemnych kolorów, i dlatego każe je nosić żydom, by na nich ściągnąć przekleństwa ludu. Anglik znów jest zadumny i nie ugnie się przed żadną modą kraju w którym żyje; reszta zaś narodów zwykła chronić się pod potężne skrzydła angielskie w krajach barbarzyńskich. My jednakże choć *angielskie tibiby*, puszczając się w głąb kraju, wiedzeni szczerą chęcią niesienia ulgi wszystkim bliźnim, niezasłopieni żadnym przesądem, poświęciliśmy nie z wielkim bólem serca owe nieocenioną korzyść wyglądania jak kruk pomiędzy pawiami. Sam konsul angielski, zważywszy wszystkie niedogodności wyniknąć mogące z upierania się przy stroju europejskim, nakłaniał nas do poświęcenia naszych fraków i kapeluszy na ołtarzu ludzkości i nauki; ale konsul francuzki widząc nas przebranych za nowożytnych Turków zgorszył się do tego stopnia, że nas witać nie chciał. Komu téżto potępiać owe ugięcie się przed nieubłaganą koniecznością? Owemu narodowi, którego generałowie zjadali niegdyś węże i zmije, i wyrzekali się religii dla przypodobania się krajowcom!

Basza Tangieru pożegnał nas na uroczystej audyencji. Wyruszymy do Larasz.

Raz wyszedłszy z licznych ogrodzeń otaczających miasto, obszerny krajobraz rozwija się przed naszymi oczyma. Na wschód piętrzą się żywe i dobrze uprawne pagórki, około stóp dość wysokiej góry Anzera. Od południa i zachodu odgranicza widokrąg świetny Gibil-Habib, łańcuchy zwane Beni-Husna i Beni-Hassen, któremi wstępuje dumny Atlas w Atlantyk. Szczyty jego świecą jak purpurowe dyamenty w wschodzącem słońcu.

Rozkosznym był ten poranek. Fawony morskie bujały w powietrzu i chłodziły nam skronia rozpalone widokiem tak rześistego światła, spadającego ze słońca, z gór i z obłoków na ziemię.

Już i do pierwszej wsi, oddalonej o pół milki od Tangieru, wstępujemy. Nazywa się Suany, i składa się z siedmdziesięciu nędznych lepianek, trzcina i gniazdami bocianów pokrytych. Nagie dzieci igrały tu swobodnie z temi świętymi ptakami, na spiekłych łąkach pasły się liczne ale chude stada, a pastuszek nucił sobie tęskną piosnkę na piszczałce, sporządzonej z trzciny cukrowej.

Szeikiem, to jest wójtem téj wsi był Abdallah. Nazywano go Hadzi Abdallah, pielgrzymem Abdalah, dlatego, że zwiedził Mekkę i Medynę. Zdaleka widział nas zbliżających się w licznej karawanie, widział i firman cesarski, niesiony wraz z zielonym buńczukiem na wysokości żerdzi przez janczara; przyszedł złożyć hołdy buńczukowi, ofiarować nam pomoc i błagać, byśmy choć chwilę spoczęli pod jego dachem, i pamięcią wyświadczonemu mu zaszczytu, osłodzić zechcieli jego i jego rodziny przyszłość. I to było powiedziane z ujmującą serdecznością, a bez wielkiej przesady, bez najmniejszej teatralności. Wy nie dacie wiary temu, o wy dzieci dzisiejszej cywilizacji!

Wstąpiliśmy do szeika i powitali jego rodzinę, i mleka się napili, i fajkę przyjacielską wypalili.

Arabski wieśniak, zupełnie się różni od Maura mieszczańca w swoim pożyciu domowém. Przypuszcza do siebie gościa, i to nawet bardzo chętnie. Zazdrosnym nie jest. A to dlaczego? Rzadko kiedy więcej ma jak jedną żonę, może sobie tedy zaufać. Wielożeństwo jest może w interesie naszych zmysłów, ale pewnie nie w interesie naszego szczęścia.

Droga nasza gliniasta, upałem rozgrzana, pęka się czasem pod stopami naszych koni, i tworzy nieraz bardzo głębokie i szerokie szczeliny, w którychby nietrudno było kark złamać. Później, gdy przyjdą ulewy, szczeliny te znów się napelniają splawionym piaskiem i gliną, droga staje się dobrą na czas niejaki, nim ją znów upały nie wysuszą.

Tu i owdzie jednakże widzimy całe łany pięknej i urodzajnej ziemi, pokrytej kukurydzą lub też prosem indyjskiem, tak podobnym do naszego prosa, jak pszenica turecka do naszój.

Jesteśmy na szczycie wysokiego pagórka, zwanego Baharem, czyli pagórka dwóch mórz. Istotnie ztąd odkrywasz i Atlantyk i morze Środkie. U stóp południowego pagórka, rozsiane liczne lepianki, otoczone ogródkami i żywym płotem, wybornie utrzymywanym. Ci dobrzy ludzie kochają się w wegetacji, lubią co Bóg stworzył pięknego, choć nie są chrześcianinami. Cze-

muż nie wszystkie chrześcijańskie ludy lubią sádzić drzewa, pielęgnować je i szanować u sąsiada?

Ale już nas spostrzegł szejik *duaru*, już bieży ku nam z pełną misą mleka w rękach. Zgrzybiały to starzec, bieluteńką ma brodę, ale patrz jaki wyraz dziecięcej radości na jego licach: on nas wita jak swoich synów, choć nas nigdy w swém życiu nie widział i widzieć już nie będzie. *Allah bismillah, Allah bismillah džemmar tekeden!* Bóg niech będzie chwalonym, Bóg wszystkich dobrych ludzi niech będzie chwalonym!—wykrzyknąłem z rozczuleniem, przykładając rękę na bijące serce.

— *Dżemmar tekeden bismillah Allah idahn!* Dobrzy ludzie chwalą tego samego Boga!—rzecze starzec i klęka przed nami prosząc, byśmy mleka skosztowali. Oh Boże! w chwilach zmartwienia racz mię pocieszać wspomnieniem podobnych rozkoszy!

— Pokój niech będzie na twój drodze, Allah!—rzekł do mnie szejik Baharemu żegnając się z nami.

Starcze, czyś ty przewidział co mię na tym świecie czeka?

— *Salamu alikuhm!* Pokój z tobą! długo tętnić będzie w mojej duszy.

Znów inna wieś maurytańska. Tu już młóca zboże na wielkiem klepisku brukowanym marmurem i zupełnie podobnem do tego, któreśmy będąc w Ayamonte w Andaluzji po piérwszy raz widzieli i w drugim rozdziale tej pracy opisali. Tylko klacze i źrebięta użyte są na ten cel w Maurytanii. Wieśniacy sami, ubrani jedynie w małą krymkę czerwoną lub turbanik, i w koszulę, zdejmują zawsze religijnie swe obuwie wchodząc na bożowisko. To grunt dla nich święty. Nie lubią taksować naprzód możliwego przychodu ze żniwa, ani też na podobne zapytania nie odpowiadają inaczej, jak słowami: „Co Bogu podobać się będzie.”

W ceremonie religijnej, nawet w takiej, które się duchowi islamizmu wprost sprzeciwiają, wierzy ten lud z nadzwyczajnem zamiłowaniem. I tak zażegnywanie ozimin, odbywające się tutaj w środku lutego, tchnie zupełnym poganizmem. Lalkę jakąś za kobietę przebraną oprowadzają z wielkim krzykiem i hałasem, z wyścigami i złorzeczeniami po polach, a to dla odstraszenia *dżinów* czyli złych duchów, spiskujących przeciw pracy rolniczej. Zdaje mi się, że ten obrządek religijny istniejący już w Grecyi za czasów Sokratesa (jak świadczą ekonomiki Xenofonta), wymyślonym

kiedyś został dla dobra rolników; doświadczenie bowiem przekonywa, że ozimina przydeptana, później piękniej wybuja i bogatsze daje plony. We Francyi i Anglii przygniatają oziminę niezmiernymi walcami z drzewa, do których częstokroć ośm koni przyprzegają. Tutaj w Maurytanii przygniatają ją poprostu nogami, i służąc zabobonom nie wiedzą, że materyalną korzyść ztąd odnoszą.

Przebiegamy rozległe grunta zwane Ain-Dalla, krynicą wina. Dawniej tu istotnie pyszne i sławne uprawiano winogrona, ale sława przetrwała ich istność. Dziś prócz kilkuset dziko rosnących krzaków dzikiego, ale nadzwyczajnie smacznego wina, nie ma nic, coby przypomnieć zdołało dawną wziętość win okolicy Ain-Dalla. Dwar arabski złożony z chatek z palmowych lilij skleconych, zostawiliśmy na prawo; wstępujemy w urodzajną dolinę, przerzniętą rzeką Mhana, dążącą szybkim pędem od stóp Atlasu do morza. Zdaleka wygląda ta rzeka jak srebrna wstęga obszyta purpurowemi ślakami; róże laurowe rosnące w nadzwyczajnej obfitości po jej brzegach, dają jej to podobieństwo.

Rzekę wplaw przebyliśmy, i z drugiej strony, poza pięknymi łąkami, wstąpiliśmy odrazu, bez najmniejszego przejścia w obszerną dolinę piaszczystą, zwaną Vaa-Ermel, tojest jeziorem piasków. Po tych piaskach bujało kilkanaście dzieci arabskich uczących się jeździć na tęgich, jak błyskawice szybkich koniach. Rumaki te choć także bardzo młode, po największej części miały nogi przednie i tylne żelazem rozognionem wypalone. Nie ujmuje to koniom wartości w tych krajach, owszem, dla wzmocnienia nóg, już za młodu przepalają im w sposób nam znany skórę.

Jeziro piaszczyste zaczyna się nagle, lecz przejście kończy się powoli u stóp pasma gór Dar el Klan, i odgranicza widokrag od wschodu na zachód wcale stromo i spadzisto. Ścieszka nasza wila się pośród borku karłowatych dębów, złotojeści, laurów z białemi i czerwonemi kwiatami, żółtych jałowców, indyjskich mącznic i myrtów. Zdaleka doszedł nas nieznośny zapach gnijącego ścierwa; wkrótce potem spostrzegliśmy trup wielbłąda, leżący napoprzek skalistój ścieszki.

— Szal szal—krzyknął na nas janczar przewodniczący karawanie—stójcie!

Zsiadł z konia, powierzył żerdź z firmanem innemu janczarowi, zdjął z siebie *gelab* tojest płaszcz żołnierski, i przybli-

zał się do ścierwa wielbłądzego wolnym, ostrożnym krokiem, zachodząc z tyłu. Naraz jeden rzuca się janczar na zdechłego wielbłąda, przykrywa brzuch jego płaszczem i woła: „teraz chodźcie, złapałem *tabiba* Jussufa i jego żonę.” Nadchodzim. Istotnie w brzuchu wielbłąda znajdował się czerwono-złocisty szakal ze swą samicą. Arab lubiący przedewszystkiem malowniczość, nazywa szakala z przyczyny jego mądrości *tabibem* to jest uczonym; nie wiem czemu mu daje imię Jussufa, Józefa.

Szakal (*canis aureus* L.) jest gatunkiem psa, choć się żywi nie tylko ścierwem, lecz także daktylami, winogronami i innymi jagodami. Szczególna rzecz, że Arabowie, którzy się brzydzą już samym widokiem wieprza, nie jedzący nawet nigdy mięsa z dzika, uważają mięso szakala za wielki przysmak. Biedne stadło złapane w brzuchu nieboszczyka wielbłąda było dla nich wielką zdobyczą. Wyciągnięto naprzód z brzydkiej kryjówki *tabiba* i udużono go niemilosiernie; trudniejsza była sprawa z tabibową: brońta się zacięcie i pokąsała kilku Arabów, musiano ją tedy zastrzelić.

Widziałem nieraz w Afryce, mianowicie w Algierji stada szakalów dochodzące do sześćdziesięciu sztuk, postępujące trop w trop za karawanami i za wojskiem, rzucające się z wielką wściekłością na bydło rogate, na wielbłądy i na konie. Szakal jest prawdziwym krukiem czworonożnym. Wszystko pożre co się nawinie, odkopuje nawet trupów jak hyena, a w razie głodu pożre siodła, uzdy i buty, i co nie zjé, to z sobą uniesie.

Około godziny 10tej skwar słońca tak nam dokuczać zaczął, że musieliśmy zatrzymać się na spoczynek w części lasku, najwięcej dającej cienia. Rozpięto namioty, nadęto powietrzem naszą podróżną pościel, przekonawszy się wprzódy, czy w bliskości nie ma węzów lub żmij. Arabowie, Berberzy i Murzyni wzięli się do rozniecienia ognia, wypaproszyli szakalów i uwinawszy w ich skórę comber, piekli go w gorącym popiele z wielką zreźnością. Prostato była polowa kuchnia, ale wcale praktyczna: ani jeden atom z aromatu szakalowego w niej nie zaginął. Sporządzono także kilka podplomyków z mąki maissowej, nareszcie i kawę czarną. Bał to był wielki dla naszych ludzi. Po uczcie nastąpiły pogadanki i trwały godzin kilka. Około czwartej po południu zrywamy się. W pięć minut konie nasze były osiodłane, namioty zwinięte i na wielbłądach przytroczone.

Wkrótce ukazały się znów brzegi oceanu, od groźnych mass bazaltowych przylądka Spartel aż do starodawnego miasta Arzilla. Za Kartagińczyków zwano się to miasto Zilia, za Rzymian zaś Julia Traducta. Później należało do Gotów, do Arabów, do Portugalczyków, a od końca XVIgo wieku odstąpione Maurom, zniknęło w ich niedbałych rękach i stało się stosem rozwalin.

Morze wycierało poza piaszczystym wzgórzem śnieżnymi falami, ginącemi na szerokiém wybrzeżu. Scieszka nasza spadała stromo w rozległą płaską dolinę, pokrytą wysokim maissem i bujnym prosem. Doliny téj grunt zaniesiony tu deszczem z okolicznych pagórków, stoi rok rocznie, podczas dni przeszło czterdziestu, pod wodą. *Liali* czyli deszcz wiosenny, przez 40 dni prawie nieustający, żywi wówczas i użyźnia grunt téj doliny. Wówczas także ujrysz tu tysiące żórawi, czyli jak ich Arab nazywa, *panienek* Numidy, tysiące purpurowych flamingów, wyglądających zdaleka jak armia janczarów cesarskich.

Rzeka Kholi wije się półkolistemi kręgami w dolinie; powiedzialbyś, że to ów wąż olbrzymi, którego legiony Regulusa za ledwie zwalczyć zdołały. Krajowcy utrzymują, że ta rzeka żywi w swych nurtach krokodyle. Nawet niedawno temu, kuryerowi baszy Laraszu, dążącemu do Tangieru, i przebywającemu wplaw tę rzekę, urwał potwór taki całe ramię. Zapowne to będzie sprawka rekina, przybytego z morza, gdyż w żadnej z rzek tego kraju nie znaleziono nigdy krokodyla.

Już wstępujemy w sławne wąwozy Garbea. Grunt ich czerwony jak cegła, zawiera mnóstwo prześlicznych muszli, które skamieniałe leżą tu od potopu.

Liczne plemię Arabów zwane Ulad-Sebaita, koczuje w tym dystrykcie raz tu, drugi raz tam, ale zawsze w pewnych czasach na dolinie, a w innych na wierzchołkach gór. Tą razą wznosiły się ich namioty na wzgórzach, pomiędzy krzewami janowcu (*genista*) kolczastego, żółtego jałowcu i palmy latanowej, strojnój w piękne liście, kształtu wachlarza.

Tutaj pasły się liczne trzody dzielnych synów Sebaity, sławnych z męstwa i z cnót domowych. Doliny zasiane były pszenicą i jęczmieniem. Kłosa były ogromne, słoma tak prawie gruba i wyższa jeszcze jak trzcina. Słomy nawet nie zbierają nigdy po ścięciu kłosów za pomocą sierpa: słoma się pali na miejscu, a popiół jój służy za jedyną zaprawę temu błogostawionemu gruntowi, na którym wszystko się udaje: owoce Europy i zwrotni-

kowe ziarno. Nic nie jest w stanie wyrównać sile wegetacji tego kraju w miejscach, gdzie jest podostatkami roślinnej ziemi; a najpiękniejszego ptactwa chmary wyrrywają się za każdym krokiem spod nóg naszych.

Kuropatwa berberyjska (*tetrao rubicollis. Gen.*), z dziobem, szyją i nogami purpurowemi, skrzydłami lazurowemi, mniejsza jak nasza, lecz tłusciejsza jeszcze, znajduje się tutaj w trudnej do uwierzenia ilości. Rzadko się zrywają z ziemi, lecz biegną całemi stadami krzyżąc i pomagając sobie skrzydłami. Arabowie szeszują je konno i psami, i zmęczywszy je, zabierają żywcem całemi kopami. Tyle jest tych prześlicznych ptaków, i tak łatwo na nie polować, że prawdziwie nawet zadowolenia w takim polowaniu nie masz. Od jednego z mych wystrzałów, padło ich dziewięć, a pan Simoni zabił siedemnaście od jednego razu.

— Prawo Mahometa zakazuje wytepiac więcej zwierzyny, niż użyć jej możesz na zaspokojenie twego głodu! — rzecze do nas stary jakiś sędziwy pastérz, trzymający nowonarodzone jagnię w swych ramionach.

Pasterze Barbaryi i Wschodu większą mają odpowiedzialność jak nasi. Ciągłe powinni czuwać nad bezpieczeństwem swęj trzody, miesiącami całemi pozostają w miejscach odludnych i daleko od towarzystwa swych bliźnich. Pastérz swą trzodę kocha jak ojciec, i od nięj jest kochanym nawzajem. Tu łatwo pojmiemy słowa pisma świętego: „Jako pastérz paść będziesz swą trzodę, i nosić w twych ramionach nowonarodzone jagnię; do łona go swego przytulisz, i opiekować się będziesz temi, które karmią. Ja jestem dobrym pasterzem, ja znam mą trzodę, i owieczki me znają mnie także:”

Wymowne to słowa, choć tak proste! Często także pastérz zrywa gałązkę i skinie nią na swą trzodę, by ją zachęcić do biegnięcia za nim. Z owieczkami swemi rozmawia i każdej daje nazwisko. Jak pastérz Dawid procę nosi w swym ręku, i nią dzielnie godzi. Znów inna rzeka dążąca do morza, zwie się rzeką *młynską*, choć żadnego już nie obraca młyna od bardzo dawnych czasów. Żadnych innych młynów nie masz tu prócz ręcznych, prócz żarn obracanych przez kobiety. Maurowie niegdyś tak biegli w mechanice, tak zręczni przedsiębiorcy, hydraulicy, zatracili od dawnego czasu wszelką wiedzę najprostszych maszyn.

Na widnokręgu zachodnim ukazują się w zapadającym słońcu liczne bardzo namioty, napiętrzone około wzgórza na którym wznosi się jakaś obszerna murowana budowla.

To potężnych Sebitów stolica, to pałac ich szejka Hadzi-Cassema, gubernatora dystryktu dziesięcio-milowego.

Wysyłamy janczara dla powitania szejka i dla spytania go, czy nam pozwoli wnieść nasz namiot obok swego. Szeik złożony chorobą wysłał na nasze spotkanie swego brata i swych synów z prośbą, abyśmy przyszli rozkazywać jemu i całemu plemieniu Sebitów. Nie koniec na tych oznakach przyjaźni: szeik przysłał nam jeszcze barana, mendel kur, kopę jaj i dobrą cwiercę ryżu. Ten podarunek nazywa się *mona* czyli powitanie, i wypada przyjąć go koniecznie.

Po należytych ablucjach ubraliśmy się w najjaskrawsze suknie, i poprzedzeni janczarem firman niosącym, na czele hufcu spahisów, janczarów, dragomanów, sług i niewolników, do 30 ludzi dochodzącego, poszliśmy odwiedzić sędziwego szejka, mieszkającego dla reumatyzmu nie w swym pysznym namiocie podarowanym mu niegdyś przez cesarza, lecz w pałacu zimowym, wzniesionym z cegły na słońcu pieczonój. Wielki to budynek bez okien w ścianach, tylko w dachu płaskim. Największa część miejsca zawartego w środku, podzieloną jest niskimi, załedwie do ramion dochodzącymi przegrodami na liczne oddzielne pokoiki, w sposób parku owczarskiego.

Tu mieszkał szeik, jego żony i córki, których było kilka nadzwyczajnie ładnych, wyzierających na nas zpoza przegród z wielką ciekawością.

Mnóstwo było pięknych namiotów około pałacu szejka. Żaden naród europejski nie zna się tak dobrze na budowie namiotów, jak arabski. Płótno ich jest mocniejsze jak nasze; jedna żerdź czworograniasta, a złożona z dwóch kawałów i postawiona w środku, wspiera cały namiot choćby był największym. Namiot jest ozdobiony z zewnątrz festonami wykrojonemi w arabeski z niebieskiego płótna, a na szczycie ma wielki glob dęty z blachy i strzałę połyskującą w promieniach słońca.

Namiot darowany szejkowi przez cesarza był z niebieskiego sukna, ozdobiony szkarłatnymi festonami z adamaszku.

Tylko pod swym namiotem Arab, otoczony w ciasnym miejscu swą rodziną, czuje się w domu. Prawda, że domy ich jeszcze

mniej są trwałe jak ich namioty, i dlatego też miasta znikają co raz to więcej z powierzchni Afryki, a duary koczujące mnożą się ciągle.

Pomiędzy kobietami, które nazajutrz rano przyszły zasięgnąć naszej rady lekarskiej, znajdowała się matrona jakaś bardzo wysokiego wzrostu i mająca naokoło szyi nacechowany wizerunek łańcuszka, a na nim zawieszzonego krzyżyka. „W moim duarze, tam, daleko na podnózu wielkiego Atlasu, gdzie wiele jest zwalisk Roumów, wszystkie kobiety idąc za mąż każą sobie wyspilkować to znamię” rzekła matrona, zapytana o znaczenie tego łańcuszka z krzyżykiem.— „A co przedstawia ten krzyżyk?” spytałem dalej.— „On nas broni od pokusy czarta” odrzekła matrona, i nie więcej dowiedzieć się nie byłem w stanie.

Niezawodnie, że pokolenie do którego należała urodzeniem swém matrona, kiedyś, w dawnych bardzo czasach, podległóm było owym kolonistom rzymskim, którzy pierwsi zaszczyli religią Zbawiciela w Afryce. Panowanie Rzymian przeszło, dawna religia została zapomniana, ale znak zewnętrzny przeżył dogmat. Często bardzo forma przeżyła ideę, ciało duszę, nietylko u Maurów, lecz i w innych narodach. Ta trwałość żywotności znaków zewnętrznych nasuwa dziwne domniemywania filozofowi. Symbole i formy na to może tylko są wymyślone, żeby więziły myśl, i ciągle ją sprowadzały do jej dawnego źródła.

Nie jeden zwyczaj jeszcze tu istniejący przypomina obrządki katolicyzmu. Gdy kobieta nękana jest bólami macierzyńskimi, baba jej pomagająca powiewa w powietrzu białą chustką i błaga matkę-dziewicę o pomoc: „Oh Mariah! Mariah! przybądź! przybądź w pomoc! oto kobieta która cierpi i płacze! Oh przybądź Mariah!” A gdy połów nastąpi, wówczas przyjaciółki położnicy odprowadzają dziewicę boską do nieba inną jeszcze ceremonią.

Wiemy, że historia Maryi i wcielenia słowa powtórzoną jest przez Mahometa w tych prawie słowach, w jakich ją opowiada św. Mateusz. Znał dobrze serce ludzkie Mahomet, i wiedział czém najłatwiej wpłynie na wyobraźnię kobiet.

Spoczynkiem wzmocniony, a rzewnością pamiętek tak drogich podniecony, puszcza się w dalszy pochód. Al-Hamilt-Bey nie pojmował mojego wzruszenia. Patrzył się na mnie okiem jasnym, otwartém a badawczém, śledził w każdym z mych ruchów, w każdym z mych poruszeń, ducha przyczyn władających w tej chwili memi uczuciami. Spostrzegłem to. „Ty mnie nie poj-

mujesz doktorze? nieprawdaż?" — „Prawda”. — „Widzisz, wzrosłem pomiędzy ludem który tak wierzy, jak niegdyś wierzyli poprzednicy tych dobrych ludzi....

Anglicy zawsze materyalni! — powiedziałem do siebie, i dawszy koniowi ostrogą, pobiegłem z mym psem za zajęcem wystraszonym zpośród krzewów; ale żyd (tak Arabcy nazywają zajęcia) zmiatał doskonale, i wziąć się nie dał. Półtoręj godziny podróżyowaliśmy w tym lesie, a po wyjściu z niego wstąpiliśmy znów na nieurodzajne piaski Sahel. W oddaleniu najwięcej o milę zoczyliśmy cel naszój podróży, Larasz. Rzeka Lukkos toczy swe przezroczyste wody w szerokiém a miłątkiém korycie i bieży ku zatoce, gdzie się na falach kołysze eskadra cesarska. Biednaćto eskadra! Jedna korweta, dwa brygi, skuner i kilka łodzi kanonierskich, a wszystko w opłakanym stanie. Kotwice, żagle, liny i inne przyrządy okrętowe porozrzucane po brzegach, gniją na nich i rdzewieją. Oto resztki owęj dumnej floty, która niegdyś korsarzom Barbaryi wystarczała na trwożenie całego handlu Europy!

A jednakże w owych czasach, lat temu ośm zaledwie, dwa mocarstwa Europy, Szwecya i Dania, płaciły jeszcze haracz roczny cesarzowi marokańskiemu.

I arsenał cesarski w nielepszym stanie: wszystko w okropnym zaniedbaniu; żelazne działa rdzą przeżarte spadają z spróchniałych lawet.

Kilka kupieckich statków angielskich, francuzkich i hiszpańskich stało na kotwicy przy ujściu rzeki Lukkos i czekały na ładunek, złożony z wełny, skór, rogów, kory, korków, grochu i ziarna różnego rodzaju, z daktyłów, koszenilli, surowego jedwabiu i tym podobnych towarów, branych tu w zamian za żelazto, sukno, bawełniane wyroby, muśliny, cukier i herbatę.

Basza Laraszu, ten sam Abdallah Al-Esłowy, który niedawno umarł, i którego majątek Muley-Abder-Hammann raczył najlaskawiej skonfiskować na rzecz skarbu własnego, basza mówię uwiadomiony o naszym przybyciu, wysłał swego *defterdara*, tojest pierwszego adjutanta, na powitanie *nie nas*, lecz firmanu cesarzewicza, wiszącego na wysokięj żerdzi. Defterdar po zwykłych *salemalekach* oddanych firmanowi, zbliżył się do nas, prosząc bez wielkięj ceremonii, abyśmy stanęli w domu żydowskim, dla nas przyrządzonym.

— Staniemy w pałacu angielskim, prowadź nas tam, dalej—
rzecze rozkazującym tonem Al-Hamilt-Bey do defterdara.

Zbladł Maur ze złości, oczy jego pałac zaczęły wścickłym
ogniem.

— Patrz, tam!—rzecze znów doktor angielski, i wskazał ręką
na dalekie morze. Na wodnistym widnokregu kurzył się wysoki
komin statku parowego, a na maszcie powiewała flaga królowej
angielskiej.

Maur zgrzytnął zębami, przytłumionym głosem rzekł: *ensara kafir*
(przeklęty chrześcianin), i zwrócił konia ku *palacio ingles*.
Konsul miał na przyjęcie swych narodowców dwa pokoje. Na-
przeciw tego domu wznosiły się konsulaty innych mocarstw eu-
ropejskich, niegdyś wspaniałe domy, dziś opuszczone i walące
się mury.

Soliman Simoni pojechał do baszy powitać go w naszym
imieniu, i prosić o audyencyą na jutro. Tymczasem korzysta-
jąc z reszty dnia, zwiedziliśmy miasto. Fortyfikacye, wzniesio-
ne z kolosalnych kamieni na końcu XVIgo wieku przez Portugal-
czyków, przedstawiają pyszny widok. Wysokie, ogromne, wkra-
czają ostremi kantami w morze, i po bokach opatrzone są baszta-
mi i wieżami. Ale samo miasto ńędzne i niezdrowemi wyzie-
wami zaległe; nie ma regularnie zbudowanego, prócz domów
otaczających rynek, a przez chrześciańskich niewolników wy-
budowanych.

Ludność sama wynędzniała, schorzała i brzydka, różniła się
bardzo wiele od ludności Tetuanu i Tangieru, w ogólności bar-
dzo dobrze wyglądającej. Mnóstwo ślepych żebraków zalegało
przed sionki domów otaczających rynek, i powietrze napelniało la-
mentami. Na tym samym rynku znajdują się jeszcze ruiny da-
wnego kościoła katolickiego, niegdyś bardzo świetnego. Główny
meczet dość jest pięknym, ale minaret jego od podstawy szeroki,
kończy się szczytem zanadto filigranowym. Miasto może liczyć
do 3,000 mieszkańców; targi w niem bardzo mizerne, ale nigdy
na nich nie braknie towarzystw fakirów zjadających węże, *Eiso-*
wami zwanych. Kto raz widział te okropne przedstawienia, ten
unikać ich będzie wiecznie. Wąż jadowity zwany *cobra capella*,
wzdymający swą głowę gdy się rozgniewa, główną w tych igrzy-
skach gra rolę.

Dnia następującego o 9 godzinie rano, udaliśmy się w wiel-
kiej processyi do baszy, mieszkającego w *kassaba* (w cytadeli),
w domu zwanym wielkim (*dar al-kebir*).

Basza Cid Abdallah-Selam-Al-Esłowy przyjął nas serdecznie, uściskał nasze ręce i swoje przykładał na serce. Ubrany był w kaftan jasno-zielony, przykryty opończą muslinową i haikiem z bielutkiego kaszemiru złotem haftowanym. Na nogach miał żółte atlasowe spodnie, na głowie fez turecki, otoczony zawojem, w ręku zaś różaniec. Ruchy jego były powabne i pełne godności, uśmiech prawdziwie czarujący. Wielkito dygnitarz koronny, a ojciec jego był baszą połowy cesarstwa i szwagrem panującego monarchy.

Zalił się biedny basza, że mu nudno w Laraszu, że mu kilkanaście żon umarło w tym roku na gorączkę tyfoidalną, a pomiędzy nimi najmłodsze, że zapewne i on nieza długo pociągnie za nimi, bo siły go odstępują przedwcześnie, a pewne namiętności nie odstępują wcale. Prosił, błagał jak dziecko, o jakie lekarstwo wzmacniające i rozweselające. Obiecaliśmy uroczystie przysłać baszy sławne pigułki, zwane odmładniającemi, któremi książę Wellington przedłużył sobie życie (*pills of juvence*), bardzo znane w Anglii. Basza ledwo nie wyskoczył ze skóry z radości, ale potem zreflektował się nagle, i spytał marszcząc czoło: — Słuchajcie! ale nie będzie wina, ani wieprzowiny w tych pigułkach; wolę umrzeć, jak skalać się temi paskustwami.

— *Allah bismillah, akbar ipuda!* — krzyknie Al-Hamilt-Bey — wołałbym twe żony bałamucić, jak obciążać się takim grzechem.

— *Dziali tanadir teres bakna!* — a niechże cię piorun trzaśnie, nie rób ani jednego ani drugiego! — krzyknie jeszcze głośniej basza, i śmiać się począł do rozpuku, trzymając się pod boki.

I znów się zatrzymał nagle w swym śmiechu, zasępił się i na różańcu odmawiać zaczął jakieś modlitwy. Potem zaś rzekł oglądając się wokoło:

— Coby na to powiedział mój santon przyboczny, widząc mnie śmiejącego się tak serdecznie z *Ensari*, z chrześcianinami?

— Niech sobie powie co chce, twój santon jest twoim podwładnym — odpowie Al-Hamilt-Bey.

— On jest moim podwładnym, to prawda; ale on należy do pewnego bractwa religijnego, którego sam Padiszah, mój pan jest głową; ten zaś lubo najsprawiedliwszy, najmędrszy, najlitościwszy, najcnotliwszy, chrześcian znieść nie może, i wie, że ja mam pieniądze, a on także lubi pieniądze i potrzebuje ich.

Tak trwoga i przesady trzymały w ciężkich więzach duszę dobrego baszy, i jednej chwili pogodnej nie dawały mu kosztować radości.

— Nie wiem kiedy będziecie mogli wyruszyć do Mogador, o mądre *Tibiby*; okręt wasz wprawdzie gotów do podróży, ale kapitan jego, jedyny znający dobrze drogę, mocno zachorował i leży bez przytomności—rzekł dalej basza.

Wtém działo zagrzmiało ze strony morza; baszy znać dało, że parostatek wojenny angielski zawiął do zatoki. Wkrótce działo zagrzmiało jeszcze dwadzieścia razy.

Basza nas pożegnał i kazał odpowiedzieć z twierdzy na salwy angielskie.

Istotnie, *the Trident capt. Bowlej* zawiął do zatoki, i ztąd za trzy dni miał wyruszyć do Mogador. Kapitan, znajomy dra Hamilton, przeczytawszy firman przyrzekł wziąć nas i naszych ludzi do Mogadoru. Ciężki kamień spadł z naszego serca, niebardzo bowiem miło puszczać się na statku maurytańskim w najmniejszą nawet podróż.

— Co będziemy robić podczas tych trzech dni spoczynku w tym nędzajm Laraszu?—spytał mnie dr. H.

— Ty będziesz grać w wista z oficerami Trydenta, pić porter, sławić piękność królowej Wiktoryi, unosić się nad potęgą twego kraju i zbierać pieniądze u bogatych Maurów i żydów za wizyty lekarskie; a ja będę robić wycieczki w kraje okoliczne, zwiedzać ruiny i pomniki, leczyc za darmo biednych Arabów, i tęsknić—odpowiedziałem koledze.

— Kocham szczerść nawet kiedy jest dotkliwą—rzecze dr. H.—Masz racją, każdy niech idzie za swym gustem.

Jednę tylko opiszę wycieczkę; lękam się znękać mych czytelników temi podróżami odbytemi w krajach, w których nie masz ani dobroczynnych źródeł, ani targających rulet, które nikt nie zwiedzi z ciekawości.

Jeden z adjutantów baszy, młody, piękny, w cudnie świetnym stroju, ale milczący, posepny, towarzyszył mi w tój wycieczce. Nazywał się Mustafa-el-Ardzi-Kaid. Ojciec jego, kapitan gwardyi przybocznej cesarskiej, umarł niedawno z rozkazu, i nie wiedzieć dla jakich przyczyn. Basza Laraszu dodał mi go dla mojej obrony. Mało mówiliśmy z sobą, ale porozumieliśmy się od pierwszej chwili.

Przebywamy rzekę Ayasza, płynącą z północy na południe. Kraj nas otaczający świetnieje najpyszniejszą wegetacją, choć krzemieniami zasłany.

Słońce już dopiekać zaczynało, gdyśmy dochodzili do wsi Ibdua. Szeik wyszedł na nasze spotkanie, widział bowiem zda-

leka powiewający purpurowy burnus młodego Kaida, i znał wartość człowieka taki kolor noszącego.

— Niech będzie pochwalonym Allah! Co nam przynosisz: złe nowiny, czy też pozdrowienie od ojca naszego baszy?—spyta szeik.

— Przynoszę ci rosę błogosławieństw Boga, kataraktę pozdrowień baszy; przyprowadzam wielkiego i uczonego *Tibiba*, który leczy darmo wszystkich ubogich. Nic od ciebie nie pragnę, prócz miejsca przy twym namiocie, abyśmy spocząć mogli i odechnąć godzin kilka—odpowiedział młody adjutant baszy.

Ta odpowiedź uspokoiła szeika. Wkrótce także przybiegli na pysznych koniach jego synowie: było ich z piętnastu, szeik bowiem Heduy miał żon kilka. Dwie godziny strawiłem na odwiedzaniu chorych i sporządzaniu im lekarstw. Wiele było tyfoidalnych w duarze, a ta choroba rzadko zwykła się kończyć inaczej jak śmiercią, jeśli sobie samą jest zostawioną. Zapalenie mózgu prawie zawsze towarzyszyło tym chorobom.

O trzeciej godzinie po południu wyruszamy w dalszy pochód przez łąny, których słoma została zapaloną i rozgrzewała powietrze w sposób niecznośny. Atmosfera tak była rozżarzoną, że ptastwo nawet spadało bezsilne i ginęło w spiekłym popiele. Całe tumany szarańczy poruszane wiatrem wzbijającym się w ognisko, rozrzedzone ciepłikiem, piekły się ze szmerem tak mocnym jak tysiąc patelni. Szarańcze te padały na nas i nasze konie nieraz z tak mocnym pędem, żeśmy się widzieli być zmuszonymi zsiąść z koni i kryć się za niemi.

Przecież wybrnęliśmy z tej okropnej atmosfery, przez którą całe półtoręj godziny podróżować musieliśmy. Znękania naszego nikt opisać nie zdoła. Szczęściem dla nas, że w małej rzeczce Ain-Sanedi znaleźliśmy podostatkiem wody na ugaszenie trawiącego nas pragnienia. Biedne nasze konie jeszcze więcej ucierpiały, a eter zawarty w butelkach mej apteczki rozsadził je i dotkliwych dla mnie strat stał się powodem.

Jeszcze raz jesteśmy w dystrykcie mężnych Sebaitów, w bliskości monumentalnej studni, o ćwierć milki w pysznej dolince od duaru położonej. Mustafa-el-Ardzi adjutant baszy zaczął fraternizować z szeikiem, ludzie moi wzięli się do rozpięcia namiotu, ja zaś sam z mym psem, ze strzelbą i żydem dragomanem zwróciłem kroki ku studni, którą zdaleka rozpoznać można było otoczoną pysznymi cyprysami i gęstym krzewem. Spieszę ku celo-

wi, pies zaś mój bardzo niesforny ugania się opodal odemnie za licznemi stadami kuropatw. Droga prowadziła raz przez wąwozy, drugi raz przez pola.

Studnia zwana *Roumi* (tojest rzymską), zdawała mi się mieć toż samo pochodzenie, co wszystkie inne podobne przez Maurów w Hiszpanii stawiane; ale tutejsi Maurowie nie przypuszczają nawet, żeby ich przodkowie w czémśkolwiekbądź mogli coś wielkiego dokonać, i nazywają *Roumi* wszelkie zabytki starożytności wszystkich wieków i pochodzeń.

Niebardzo dawno z innój studni, w bliskości Laraszu, wydobyto konia i jeźdźca z bronzu. Zabytki te pochodziły najniezawodniej z czasów rzymskich. Ale któż z tego odkrycia odniósł pożytek? Posągi te porąbano potajemnie na kawały i sprzedano je żydom.

Powróciwszy do duaru przed namiot szejka, czekającego na mnie z baraniną, ryżem, młkiem i kuskussem, spotkałem liczną processyą kobiet arabskich, przybranych w świetne stroje. Żyd mój tak się lękał sprofanować swemi oczyma oblicza tych kobiet, że się rzucił na ziemię i twarz schował w brudę. Ja zaś widząc, że te damy nie mają zasłon, zbliżyłem się tak blisko, jak tylko mogłem do nich, i grzecznie powitałem sposobem arabskim. Całe towarzystwo zatrzymało się i patrzyło na mnie z wielką ciekawością.

— Czy nie jesteś owym angielskim lekarzem, którego basza wysłał na objazd po duarach?—spytała jedna z matron.

— Jestem nim w istocie—odpowiedziałem.

Wszystkie wydały krzyk radości i obstały mię wokoło, szturmując niezliczonemi, nieraz bardzo naiwnemi, prawdziwie ambarasującemi pytaniami.

Kobiety arabskie wcale nie są nieśmiałe, a mniej jeszcze z Nazareńczykami, jak z własnymi rodakami. Widząc się wolnemi od swych argusów, chętnie rozmawiają, chętnie nawet w intrygi wchodzą z Europejczykami.

Było pomiędzy temi damami kilka ładnych i wysmukłych panienek z bystremi czarnemi oczyma, z długimi rzęsami, małemi nóżkami wybornie i delikatnie osadzonemi.

Wszystkie były pięknie, nawet z przepychem ubrane. Niektóre miały kaczamajki kaszmirowe złotem haftowane, a na nich rodzaj szubki z przezroczyściego muślinu. Na szyi nosiły perły, korale i małe świecące muszle. Ramiona ich także przeładowa-

ne były bransoletkami, ze srebra niezręcznie wyrabianemi. Chustki jedwabne jaskrawych kolorów wznosiły się na ich głowach w kształcie piramid, a bogate szale służyły im za przepaski, i młodym, wysokim dodawały cudnego uroku. Nawet najuboższe z nich przystojnie były ubrane w kaftany bieluteńkie z cienkiej flaneli, obszyte wstążkami i przepasane jedwabnym szalem. Włosy spadały na barki w wielkich kędziorach i zasiane były blaszkami złotymi i srebrnymi. Wszystkie mocno różowane, miały powieki *koholem* na czarno, palce zaś u rąk i nóg *henną* na pomarańczowy kolor ufarbowane.

Damy te udawały się w uroczystej processyi śpiewając i hałasując na chrzciny. W domu, czyli raczej w namiotach, płec piękna okryta zasłoną z grubego muslinu nie dba o piękność toalety, i chodzi w dość brudnych wełnianych koszulach, w spodnicach *idem*, ozdób żadnych nie nosi, i niczem się nie farbuje.

W podobnych wycieczkach przeplatanych nauką i radami lekarskiemi bardzo tu pożądanemi, przeszło mi dni kilka. W pięć dni po przyjeździe do Larasz, a w dwadzieścia trzy po wyjeździe z Gibraltaru, popłynęliśmy na statku wojennym angielskim *the Trident* do Mogadoru.

(Dokończenie nastąpi).

LEGENDA

ŁUŻYCKO - SERBSKA.

(Pieśniczki hornych a delnych Łużiskich Serbow. Część 2, str. 175).

Kiedy Pan Jezus żył jeszcze na ziemi,
Chadzał po świecie z apostoły swemi:
Z miasta do miasta, i z wioski do wioski,
Szukając prostych serc a kochających,
W piersi zranione lejąc balsam boski,
Łzy ocierając z obliczy cierpiących.

Raz, z Plotrem wspoły, w Budyszyna strony
Zboczy do serbskich tych Łużyców cudnych,
Poglądac, jadem szalbierzy obłudnych
Trwa-li pocziwly lud ten nieskażony?

I zdarzyło się, jednego wieczora,
Zajdą do małej wioszczyny Zahora.
Cicho i pusto było na ulicy:
Do chat od pracy wrócili rolnicy,
I kołem ławy zasiadłszy przy stołach,
Wypoczywali po dziennych mozolach.

Przez jednej chaty okno uchylone,
Migało światło kaganka czerwone,
I wnieuczonym zborze brzmiały dźwięki,
Z pełnem uczuciem nuconej piosenki.

Chrystus się wstrzymał, podchodzi, i ucha
K' oknu skłoniwszy, prostej pieśni słucha;
Piotr zaśle, chatę pominąwszy z wzgardą,
Pełen powagi, kroczył dalej hardo.

Aż kęs uszedłszy, gdy przy swoim boku
Nie baczy Mistrza, zatrzyma się w kroku,

I obglądnąwszy widzi ze zgorzeniem,
 Jako światowem Ten zajęty pieniem.
 Zaczeka chwilę, wreszcie rad nie rady,
 Do boku jego wraca temiż ślady.
 I długo obaj przy chacie tak stali
 Pieśni słuchając.... Wreszcie poszli dalej.

Idą i idą—a wтім ponad drogą
 Stoł gmach pyszny: okien szyby rznłęte
 Jarzących światel jaśnieją pożoga,
 Dobrane głosy pleją psalmy święte.
 Na to przystanie Piotr, słuchać ochoczy;
 Lecz Chrystus dalej, nie zważając kroczy.
 Pełen zdziwienia, rady czy nie rady,
 Piotr zatem musiał dążyć w Mistra ślady,

Idą—po drodze Piotr w głowę się skroble,
 Myszac jakoby rzecz wyłożyć sobie;
 Wreszcie niezdołał pojąć Zbawiciela
 Kroków, pokornie pytać się ośmfela.

Chrystus, gdy mowę wysłucha Piotrową.
 Rzecz z uśmiechem: „O głowo ty głowo!
 Tam, w onej chacie, z szeregog natchnienia
 Lud nucił swoje narodowe pienta;
 Tu, obłudnicy, psalmy pleją usty,
 Lecz bez natchnienia brzmi głos z pierśi pustej.”

R. Z.

DOWÓD OBROTU

WIROWEGO ZIEMI, ZA POMOCĄ DOŚWIADCZENIA.

PRZEM

H. Szrzyńskiego.

Od niejakiego czasu uwaga uczonych i w ogóle oświeconych ludzi szczególniej zwróconą została na doświadczenia, odbywające się w paryzkim Panteonie, za pomocą olbrzymiego wahadła, mające na celu sprawdzić teoryczne pomysły o wpływie obrotu ziemi na względne położenie płaszczyzny wahania, i zarazem przez zmianę tego położenia wykazać niemal naocznie ruch kuli ziemskiej. Wprawdzie ruch wirowy ziemi, tak jak postępujący nie potrzebuje żadnego nowego dowodu: jest on prawdą widoczną, znajdującą potwierdzenie swe w ogóle zjawisk wszechświata. Nawet postać naszego planety nosi na sobie niezatarte piętno ruchu wirowego wśród pierwotnych jego geologicznych stosunków, a ubywanie ciężkości, idąc od równika ku biegunom, z powodu siły odśrodkowej, którą rzeczony ruch rodzi, a ztąd zwiększanie się długości wahadła sekundowego, przedstawia dowód materialny rzeczzonego obrotu; podobnie jak aberacyjna elipsa, którą gwiazdy na niebie w ciągu roku opisują, jest niejako odbitym na sklepieniu niebios obrazem drogi ziemskiej, i stanowi dowód materialny jój ruchu postępowego. Lecz przyznać należy, że dowody te dla wtajemniczonego w mechanizm świata widoczne, nie są dla ogółu ludzi oświeconych przystępne; doświadczenie przeto, któreby przy jasności zasady, przedstawiło nam zmysłowo i naocznie ruch, którego obrot ziemi jest koniecznym warunkiem, i to niezależnie od obserwacyi fenomenów niebieskich,

byłoby nadzwyczaj zajmującym i ważnym dla ogółu powszechności. Takiem jest doświadczenie p. Foucault, młodego a już zasłużonego akademika, które odbywa się obecnie w Panteonie, a licznie zbierająca się oświecona powszechność, oblegająca wewnętrzną galerią Panteonu, świadczy najdowodniej o ogólném zajęciu i silném wrażeniu, jakie doświadczenie to zdolne jest wyrzucić na umysł. I rzeczywiście musi być w tém szczególny urok, nawet dla astronoma najbardziej z pojęciem ruchu ziemi oswojonego, oglądać widome, prawie dotykalne skutki rzeczonego ruchu; niemal patrzeć na ten ruch własnymi oczyma, śledzić go, i wymierzać jego wielkość. Posłuchajmy sprawozdania samego p. Foucault, umieszczonego w *Journal des Débats* z d. 31 marca r. b., w którym wyłożył zasadę doświadczenia ze zwykłą sobie jasnością:

„Pojęcie ruchu wirowego ziemi upowszechniło się w naszych czasach tak bardzo, i tak zwyczajnie przeszło z dziedziny umiejętności do koła wiadomości pospolitych i powszechnych, iż zdawać się może zbyteczną rzeczą szukać nowych dowodów na jego poparcie. Zastanowiwszy się jednakże, że główne dowody rzeczonego ruchu opierają się na astronomii, na obserwacji zjawisk niebieskich, łatwo pojmujemy, jak żywe zajęcie wiąże się z doświadczeniem dozwalającym wniesić o ruchu wirowym ziemi z uważania zjawiska wywołanego w domu, między czterema ścianami, bez potrzeby spojrzenia na niebo. Podobnie jak sternik, który na pełnym morzu stracił ląd z widoku, utkwivszy wzrok w busołę dostrzega przypadkowe zmiany zaszły w kierunku okrętu: tak samo mieszkaniec stałego lądu, może utworzyć sobie za pomocą wahadła rodzaj busoli, mającej w bezwzględnej przestrzeni kierunek orientacyjny dowolny, której pozorny ruch wykaże mu naocznie ruch prawdziwy ziemi. Ponieważ igła magnesowa niezmiennie skierowana ku północy, zdaje się odbywać ruch w jedną lub drugą stronę, wnosi się z tego, że okręt wykręca się w stronę przeciwną ruchowi igły. Tak samo widząc w wahadle wolnym zbaczającą i wykręcającą się w jakim kierunku płaszczyznę wahanja, która powinna być koniecznie stałą i niezmienną, wniesiemy w obec takiego faktu, że my sami zmieniamy względem niej położenie i że wykręcamy się w kierunku przeciwnym. Tym razem także jesteśmy zmuszeni sprostować rozumowaniem świadectwo naszych zmysłów. Wprawiwszy w ruch wahadło w jakimkolwiek kierunku na płaszczyźnie wierzchołkowej,

pewni jesteśmy opierając się na głównej własności przywiązanej do materji, t. j. *bezwładności*, że płaszczyzna wahania nie może obracać się około linii wierzchołkowej; jeżeli tedy wbrew najogólniejszym i najbezwzględniejszym prawom mechaniki ujrzymy, że wspomniana płaszczyzna porusza się i wykręca ruchem wirowym w kierunku obrotu kuli niebieskiej, zmuszeni będziemy walczyć przeciwko pozorowi, i przypisać sobie, ziemi i przedmiotom otaczającym ruch w kierunku przeciwnym."

„Wszakże przyznać należy, że jeżeli nowe doświadczenie jest dla nas dziś przekonywającym i stanowczym, zawdzięczamy to postępowi nauk. Dla Kopernika, Galileusza byłoby ono jeszcze jednym kłopotem więcej z powodu trudności a nawet niepodobieństwa pochwycenia wówczas związku, który dla nas nieskończenie wyżej stojących w mechanice jest widocznym. Właściwie przeto mamy tu wykazać raczej następstwo ruchu wirowego ziemi, aniżeli dowód prawdy niepodpadającej żadnej wątpliwości; albowiem jeżeliby dziś jeszcze, co jest prawie niepodobną rzeczą, znaleźli się tacy, którzyby przyznawali słońcu ruch około ziemi, to bez wątpienia dla takich uprzedzonych i ciemnych umysłów, zбочenie płaszczyzny wahania pendułu nie miałoby żadnej siły przekonywającej. Lecz doświadczenie to uważane jako proste sprawdzenie, ma przynajmniej to za sobą, iż da się wykonać z łatwością i wszelką pewnością. Zjawisko rozwija się zwolna; jest nieprzewartem, niepowstrzymanem, jak wyższa przyczyna, która je rodzi. Widząc jak powstaje i wzrasta, czujemy, iż nie jest w mocy czyniącego doświadczenie przyspieszyć lub opóźnić jego objawu. Każdy w obec tego faktu zamysła się mimowolnie i odchodzi unosząc z sobą żywsze uczucie i przeświadczenie o nieustannym ruchu, który nas unosi w przestrzeni."

„Jak to już wspomnieliśmy, doświadczenie polega na ruchu wabadła, jednego z najważniejszych narzędzi w lizyce, które zawdzięczamy przenikliwości Galileusza."

„Wabadło proste jest czystą abstrakcją, utworem umysłowym, niedającym się urzeczywistnić materialnie. Składa się z punktu materialnego ciężkiego, zawieszzonego na nici nieważkiej, doskonale giętkiej, nie rozciągliwej i bez grubości, przytwierdzonej u góry do punktu stałego, której przeznaczeniem jest utrzymywać stateczną odległość pomiędzy punktem zawieszenia, a punktem materialnym. Doskonała giętkość nici w punkcie przytwierdzenia, dozwala punktowi ciężkiemu poruszać się na powierzchni

kuli, której promieniem jest długość nici, a środkiem punkt stały. W praktyce zbliżamy się o ile można do warunków wahadła prostego, zastępując punkt ciężki kulą metalową wielkiej gęstości, a nitkę matematyczną, najcieńszą nicią jaka tylko znieść może ciężar zawieszonyj kuli. Opatrzony takiem wahadłem, sprawdza fizyk w przybliżeniu prawa wahadła prostego, które wskazuje mechanika. Takie wahadło fizyczne odsunięte od kierunku pionowego na dwa lub trzy stopnie i puszczone wolno, przechodzi tam i napowrót przez linię pionową, opisując z jednéj i z drugiejj strony długi szereg kołysań, których przestwór coraz zmniejsza się, lecz czas ich trwania pozostaje niezmienny, od kołysań największych do najmniejszych.”

„Własność ta zasadnicza wahadła odkryta przez Galileusza, oznaczoną została nazwą izochronizmu, i była od dwóch wieków przeszło przedmiotem niezliczonych postrzeżeń, a Huyghens stosując wahadło do zegarów, zrobił je najdoskonalszém narzędziem do mierzenia czasu. Lecz zegarmistrzostwo pochwycawszy wahadło, zaprowadziło w niém zmianę, która utaiła inną jego ważną własność, z której teraz korzystamy:—własność wiernego zachowania płaszczyzny pierwotnego popchnięcia. W zastosowaniu do zegarów, uznano za dogodne, zawiesić je już nie na nici, ale na ostrzu, które sprawia, że wahadło odbywać musi swe kołysanie na pewnej przez konstrukcyę oznaczonejj płaszczyźnie, i mającej stałe położenie względem sztuk składających narząd; wynika ztąd, że wahadło zegarowe nie oscyluje już swobodnie około pewnego punktu na powierzchni kuli, lecz odbywa ruch po łuku koła, około osi stałej. Ażeby wykazać widocznie ruch ziemi, potrzeba było zerwać owę solidarność płaszczyzny wahańia z punktem przytwierdzenia i wrócić do wahadła wolnego; potrzeba było cudowne narzędzie Galileusza uwolnić od więzów, zwykle przykuwających je do ziemi, i niejako zwrócić mu pierwotną niezależność i naturalny jego stosunek z bezwzględną przestrzenią. Kula doskonale okrągła, przytwierdzona do punktu stałego, za pomocą drutu metalowego jednorodnego, i kształtu walcowego, oto jest, że tak powiem w całej Galileuszowskiéjj prostocie, narzędzie dające człowiekowi zmysłowy ślad wirowania ziemi, którą zamieszkuje. Skoro rozpocznie ruch, wahadło takie należy już w pewnym względzie do bezwzględnej przestrzeni, do przestworów nieba, a jeżeli jeszcze pozostaje w jednym punkcie przyczepione do ziemi, to jedynie dlatego, by pozostało na widoku dostrzega-

jącego człowieka, i dało mu świadectwo ruchu, który go unosi. Niezależność i stateczność płaszczyzny wahania, jest bezwzględnie i koniecznym prawem mechaniki, łatwo jednakże jest przekonać się także doświadczeniem, ile na pomienione prawo rachować można."

„Nim jednak przystąpimy do obrotu ziemi, który dla samej powolności swój potrzebuje przyrządów większych wymiarów, umieśmy na stole ruchomym dowolnie małe wahadło, to jest: kulkę ołowianą, zawieszoną na nici. Wystawmy sobie, że pokój jest przestrzenią świata, a sprzęt ziemią. Wahadło przytwierdzone do podstawki, porusza się nad kołem podzielonym różnymi średnicami, mającemi wspólne przecięcie na linii wskazującej kierunek wahadła w spoczynku. Wahadło, podstawka i koło, składają jedną nierozdzieloną całość, przyrząd zupełny, który umieszczamy na przód w samym środku stołu. Pochwyćmy teraz kulkę ołowianą, oddalmy ją od położenia równowagi, w kierunku jednej ze średnic koła spodniego i puśćmy ją wolno. Cóż wtedy nastąpi? Rzecz najprostsza i najwidoczniejsza w świecie. Kulka zostawszy wolną bieży natychmiast ku środkowi, przebywa go chyżością nabytą, powraca doń znowu, i tym sposobem porusza się tam i napowrót, aż do ustania ruchu, oscylując nad wspomnianym środkiem na płaszczyźnie *niezmiennej*, w kierunku średnicy pierwotnego odchylenia. Uczyńmy sobie znaki zewnątrz stołu, na ścianach pokoju, a przekonamy się zaraz o niezmienności płaszczyzny wahania. Teraz wprawiwszy poprzednio w ruch wahadło, obracajmy stół zwolna i bez wstrząśnienia tak, iżby odbywał ruch około swego środka: jakże zachowa się płaszczyzna wahania względem przedmiotów zewnątrz stołu, i względem promieni koła podzielonego? Wy, co jeszcze nie czyniliście doświadczenia, jakąż byłaby wasza odpowiedź na to pytanie? Czyli nie zdaje wam się zrazu i na pierwsze wejście, że płaszczyzna wahania, porwana ruchem stołu, zmieniać musi kierunek w pokoju, zachowując toż samo względne położenie na swoim kole podzielonym? Ale jest to gruby błąd, albowiem właśnie dzieje się przeciwnie. Płaszczyzna wahania nie jest bynajmniej przedmiotem materialnym, nie należy ona ani do podstawki, ani do stołu, tylko do przestrzeni, i to przestrzeni bezwzględnej. Ruch udzielony przedmiotom materialnym otaczającym wahadło, zmienia ich położenie względem płaszczyzny wahania, z czego wynika, że obrot stołu ma poprostu ten tylko skutek, iż różne średnice podzielonego koła

przechodzą kolejno przez płaszczyznę wahania, która pozostaje niezmienną.

„Zrozumiawszy to dobrze, potrzeba nam teraz przystąpić do doświadczenia wśród trochę więcej zawikłanych okoliczności. Gdy aparat znajduje się na środku stołu, i gdy stół obraca się około swego środka, płaszczyzna wahania pozostaje też sama. Lecz jeśli umieścimy narząd na brzegu stołu, i stół obracać będziemy, jak pierwój, około środka jego figury: linia wierzchołkowa wahadła, która zawsze znajdować się musi na płaszczyźnie wahania, położona będzie zewnątrz środka ruchu, a zatem będzie materialnie zmuszoną odbywać ruch postępujący, którego nie było wcale w pierwszym przypadku. Ruch ten postępowy porywa z sobą płaszczyznę wahania, i już nie można liczyć na jej bezwzględną stateczność. Czyliż przez to utraciła także stateczność kierunku? Bynajmniej. Prawda, że odbywa ruch wraz z linią wierzchołkową, lecz kierunek jej pozostaje ten sam, czyli mówiąc innemi słowy, jest ona w każdym położeniu równoległą do pierwotnego kierunku. Jeżeli z początku była równoległą np. do jednej ze ścian pokoju, zachowa stale równoległość do tej ściany we wszystkich położeniach, jakie kolejno zajmować będzie. Tak samo dzieje się z igłą magnesową gdy ją przenosimy z miejsca na miejsce; czopki na którym spoczywa, unosi ją, lecz kierunek jej samój pozostaje niezmienny. Kierunek płaszczyzny wahania, odpowiada kierunkowi igły, a punkt zawieszenia czopkowi; punkt ten unosi płaszczyznę wahania statecznie równoległe do pierwotnego położenia, i nie może żadnym sposobem wpływać na zmianę jej kierunku. Gdy tedy stół obraca się około osi, którą sobie wyobrazić możemy jako przechodzącą przez jego środek, unosząc przyrząd wahadłowy, udziela jednocześnie ruch postępowy wspólny płaszczyźnie wahania i podzielonemu kołu; oprócz tego, udziela ostatniemu jeszcze ruch kątowy, któremu nie ulega wcale płaszczyzna wahania. Można więc spuścić całkiem z uwagi ruch wspólny postępowy, przez co wpadamy na przypadek poprzedzający, w którym był tylko do uważania kontrast między niewzruszonością płaszczyzny wahania i obrotu wirowego koła, koło swego środka. Możnaaby jeszcze pomnożyć zawikłanie w doświadczeniu, któreby miało niejaką analogią z zawikłaniem ruchów ciał niebieskich, to jest możnaaby jednocześnie z ruchem obrotowym, nadać stołowi ruchu krążący w pokoju. W tym przypadku, punkt zawieszenia opisałby w przestrzeni wijącą się linią krzywą, bez najmniejszego wpływu

na kierunek płaszczyzny wahania, która i w tym razie zachowałaby niezmiennie równoległe położenie.”

„Dotąd przypuszczaliśmy, że obserwator znajdował się zewnątrz małej widowni, na której objawiały się zmiany względnych położen płaszczyzny wahania i znaków umieszczonych pod spodem, i że dlatego mógł nabyć przez doświadczenie świadomość niezmienności téj płaszczyzny. W tym względzie świadectwo jego zmysłów, jest zupełnie w zgodzie z wypadkami, które dają się wyprowadzić *a priori*, z zasad racjonalnej mechaniki. Lecz jeśli widownia doświadczenia rozszerzy się tak dalece, że obejmie i samego postrzegacza; jeżeli zamiast odnosić się tylko do stołu, ruch obrotowy porywa cały dom: łatwo odgadnąć, że zjawisko wydaje się odwrotném, tak, jak gdyby płaszczyzna wahania była ruchomą względem otaczających przedmiotów, które rzeczywiście same są ruchome. Jeżeli rozumowanie to rozciągniemy do wirującej ziemi, pojmiemy, że złudzenie będzie zupełniejszém, i zrozumiemy dlaczego wahadło oscyllujące w sali południkowej obserwatorium, lub pod piękną kopułą Panteonu, usiłując zatrzymać płaszczyznę pierwotnego impulsu, zakreśla w przytomności postrzegacza szereg trajektorij pozornie do siebie pochyłonych. Jeżeli tedy siłą rozumowania odniesiemy zwycięstwo nad złudzeniem, wniesiemy, że to my wraz z ziemią odbywamy ruch w kierunku przeciwnym.“

„Lecz mógłby kto zapytać: czyli ruch wirowy ziemi kształtu kulistego, może się porównać z ruchem płaskiego stołu w salonie? Przypnać trzeba, że porównanie może być uważane za dokładne tylko w przypadku, jeżeli przypuścimy, że wahadło znajduje się w biegunie ziemskim lub okolicy tak do bieguna zbliżonej, iż krzywosc kuli ziemskiej może być spuszczoną z uwagi. Skoro tylko oddalimy się znacznie od bieguna, powstaje nowe zakłócenie pochodzące ztąd, że linia wierzchołkowa pochyłona do osi świata zakreśla w dwudziestu czterech godzinach powierzchnią ostrokągu i zmienia ustawicznie położenie swoje w przestrzeni. Zmieniając tak kierunek, unosi płaszczyznę wahania na której zawsze się znajduje; z czego wynika, iż rzeczona płaszczyzna nie może już więcej tak jak w naszych poprzednich doświadczeniach pozostać równoległą do pierwotnego położenia. Mamyż z powodu tego powikłania zaniechać zadania, i rzuciwszy się bezwarunkowo w objęcia analizy, rzec się nadziei uniknięcia za pomocą prostego poglądu w istotę zjawiska? — Nie sądzimy tak bynajmniej.“

„Weźmy kulę; naznaczymy na niej dwa przeciwległe bioguny i wykreślimy równoleżnik przechodzący np. przez Paryż. W jednym punkcie tego koła wystawmy sobie małe wahadło oscylujące na płaszczyźnie południka. W chwili gdy kula rozpocznie obrot około osi, linia wierzchołkowa nachyla się i wychodzi z płaszczyzny pierwotnego impulsu; płaszczyzna wahania przeto zmienia się. Lecz bezwładność materji odgrywa i tu swą rolę, sprowadzając do *minimum* kąt mierzący pochylenie płaszczyzny wahania, uważanej w dwóch położeniach następnym odpowiadających dwom nieskończeniu zbliżonym położeniom linii wierzchołkowej. Opierając się na tej zasadzie, i uważając na naszej kuli ślady po sobie następujących płaszczyzn, przechodzących przez kolejne położenia wierzchołkowej i czyniących z sobą kąt *najmniejszy*, doprowadzeni zostaniemy do wykreślenia na równoleżniku szeregu małych linii, z których dwie przyległe mają prawie równoległe położenie, przedstawiających ślady płaszczyzny wahania w jej różnych położeniach. Porównywając położenie ich względem różnych południków, które przecinają, znajdujemy:

1) Że dla obserwatora znajdującego się na ziemi, zboczenie płaszczyzny wahania odbywa się w kierunku przeciwnym ruchowi ziemi.

2) Że ruch płaszczyzny wahania, przy biegunie równy ruchowi ziemi, staje się powolniejszym w miarę jak się zbliżamy ku równikowi, na którym zupełnie ustaje; ruch ten odbywa się na obu półkulach w kierunku przeciwnym.

3) Że chyżość kątowa płaszczyzny wahania, równa się chyżości kątowej ziemi pomnożonej przez wstawę szerokości geograficznej miejsca na którym odbywa się doświadczenie: z czego wynika, że chyżość ta jest jednostajną i że płaszczyzna pierwotnego impulsu jest z natury rzeczy dowolną.“

„Podajemy tu z wszelką pewnością te wypadki teoreczne do których przychodzimy zawsze, udając się jakąkolwiek drogą: czyli idąc śladem p. Binet, puścimy się drogą analizy, którą niektórzy za najbezpieczniejszą uważają, czyli też pójdziemy za przewodnictwem pp. Liouville i Poinso, opierając się na rozważaniach geometrycznych i mechanicznych zawsze przyjdziemy do jednych wypadków.“

„Wreszcie, wszystkie te następstwa i wnioski stosują się do wahadła pojedynczego, tylko w umyśle naszym istniejącego, a którego definicyą geometryczną wyżej podaliśmy; nadto, potrze-

ba jeszcze, aby wahania sprowadzone były do przestworów nieskończenie małych. Przechodząc z teorii do doświadczenia, fizyk lękać się musi zawodu, a w przypadku niniejszym zdaje się, iżby poczytywał się za szczęśliwego, gdyby mu się z wahadłem materialnym udało otrzymać z niejaką pewnością zboczenie w kierunku przewidzianym. Co do nas, przedsięwzięcie wydawało nam się tak dalece zuchwałem, iż osądziliśmy za potrzebne poprzednio przez przygotowawcze doświadczenie przekonać się o niezależności płaszczyzny wahania zarówno w czasie, jak przestrzeni.“

„Stalowy pręt kształtu okrągłego przytwierdzony do walca kołowrotu i w kierunku osi wprawiony został w drganie na płaszczyźnie dowolnej, której położenie wyraźnie oznaczone było w przestrzeni trwałością wrażenia na wzrok.“

„Podczas drgania obracano kołowrot i przekonano się, że lubo pręt kręcił się około siebie, płaszczyzna drgania jednak opierała się widocznie ruchowi i zachowywała stałe położenie. Pomimo krótkości pręta i niedługiej trwałości drgania, doświadczenie było decydującem, zważywszy, że liczba drgań w kilku sekundach była już znaczną i przedstawiała próbę z wahadłem daleko dłuższego trwania. Zważywszy to wszystko, nie pozostawało jeszcze jak tylko pomyśleć o sposobie konstrukcyi wahadła istotnie wolnego. Komu już o nic więcej nie chodzi jak o zwalenie trudności w wykonaniu, chociażby domagał się cudu, niechaj zażąda pomocy p. Froment, którego doskonały talent nie cofnął się jeszcze nigdy przed zadaniem jasno położonem. Warunki mechaniczne które dopełnić należało, były określone jasno, a temi są: bezwzględna stałość punktu zawieszenia i doskonała symetrya przyrzędu we wszystkich jego częściach. Pan Froment urzeczywistnił je najdoskonalej, i podał fizykowi, który mu się powierzył, możność stwierdzenia doświadczeniem powyższego pomysłu.“

„Aparat pierwszy, który był użytym do doświadczenia z korzyścią, miał tylko dwa metry wysokości; składał się z mosiężnej kuli ważącej 5 kilogramów, zawieszonęj na drucie stalowym, przyczepionym do sztuki z lanego żelaza mocno osadzonęj w sklepieniu piwnicy. Wprawiano w ruch wahadło chwytając kulę w petlicę z nitki zapalnej, i utrzymując ją oddaloną od położenia równowagi dopóty, dopóki cały system nie wrócił do spoczynku; poczem zapalano nitkę, która tym sposobem przerwana bez wstrząśnienia, dozwoliła wahadłu oscylować na płaszczyźnie oznaczonęj dokładnie. W pół godziny później płaszczyzna ta zmieni-

ła tak dalece swe położenie, iż zmianę tę dostrzedz można było na pierwszy rzut oka. Doświadczenie powtarzane wielką liczbę razy i w rozmaitych kierunkach, zawsze dało tenże sam wypadek. Płaszczyzna zbaczała stale, i zawsze wykręcała się około linii wierzchołkowej w ten sposób, iż za każdym kolejnym powrotem ku obserwatorowi, kula coraz więcej posuwała się ku lewej stronie. Jeżeli kiedy nieregularności mieszały wypadki, nieregularności te dotykały tylko wielkości zboczenia, ale nigdy jego kierunku, który zawsze zdawał się unosić płaszczyznę wahania w stronę obrotu kuli niebieskiej. Z doświadczeń tych pokazało się jednak, iż użyto zbyt krótkiego wahadła. I w rzeczy samej, tenże sam aparat, przeniesiony do obserwatorium i umieszczony za upoważnieniem p. Arago w sali południka, będąc zawieszony na drucie jedenaście metrów długim, pozyskał natychmiast bieg daleko regularniejszy i widoczniejszy. Wszędzie gdzie rozrządzić można swobodnie wysokością 10 do 12 metrów, aparat takiej długości postawi nas w możności oglądania i badania z gruntu wpływu obrotu ziemi na ruch wahadła. Lecz pod wyniosłym sklepieniem niektórych budowli, zjawisko powinno przybrać wspaniałe rozmiary. W Panteonie znaleźliśmy miejsce szczególniej dogodnej do umieszczenia olbrzymiego wahadła, a w administracyi najchętniejsze usposobienie ku urzeczywistnieniu projektu, który sam nastęrczał się na widok olbrzymiej téj kopuły. Prezydent rzeczypospolitej mając sobie opisanym projekt doświadczenia i wymienione wypadki, jakich się umiejętność po niem spodziewać może, postanowił aby niezwłocznie odbyło się, a wysoko jego protekcyja oddziaływając z szybkością aż do ostatnich szczebli hierarchii administracyjnej sprawiła, iż w niespełna pięć dni wzniosł się olbrzymi aparat, który nam pozostaje opisać.

„Na szczycie kopuły ozdobionej malowidłami *gros*, znajdował się czop, rodzaj pokrywy, który będąc usuniętym, pozostawił kolisty otwór półtora metra średnicy. Przez ten otwór zarzucono od jednego brzegu do drugiego silną belkę sosnową, grubą na 40 centymetrów w kwadrat, a przestrzeń prózną po obu stronach zabito deskami. W samym środku przebito otwór rozszerzony, u spodu którego oś schodzi się z osią budowli. Przez ten to otwór przechodzi drut, przytwierdzony do sztuk metalowych umieszczonych na wyższej ścianie belki. Gdy tak pracowano nad utrwaleniem punktu przytwierdzenia, zajęto jednocześnie przestrzeń kolistą mozaikową na posadzce, objętą mahoniową poręczą. By

się zabezpieczyć od przypadku jakiby mógł nastąpić przez możliwe zerwanie drutu i upadek masy na nim zawieszonj, pokryto mozajkę podłogą z tarcic, a na tój podłodze umieszczono warstwę ziemi grubą na dwadzieścia centymetrów. Jednocześnie w wysokości poręczy niemal, ustawiono koło drewniane 6 metrów średnicy, podzielone na stopnie i ćwierci stopni, tak, ażeby środek jego przypadął dokładnie na pionowej przechodzącej przez punkt zawieszenia. Z drugiej strony sporządzono dwie dęte półkule, z grubej blachy mosiężnej; połączone je spojeniem równikowym i wylano środek ołowiem; otrzymano w ten sposób kulę znacznej gęstości, ważącą przy średnicy 18 centymetrów, 28 kilogramów. Kula ta opatrzona na przedłużeniu drutu cienką skazówką, przytwierdzoną została drugim końcem drutu, który raz na zawsze przedłużył się na 5 do 6 centymetrów. Takie tedy wahadło wprawionem zostało w kołysanie z ostrożnościami wyżej wymienionemi, a po jednej podwójnej oscylacyi 16 sekund trwającej, widziano jak kula w powrocie swoim już się oddaliła ku lewej stronie o dwa milimetry od punktu z którego wyszła. Ponieważ za każdą oscylacyą następuje tenże sam skutek, zboczenie rośnie zawsze w stosunku do czasu i ocenia się dokładnie na kole podzielonem. Ruch płaszczyzny wahania może być uważanym przez pięć do sześciu godzin."

"W pierwszym kwadransie po udzieleniu pierwszego impulsu, w zamiarze większego uzmysłowienia wypadków, uznaliśmy dogodnem, ułożyć naokoło obwodu koła małe kupki drobnego piasku, które kolejno wahadło rozburza, w miarę wykręcania się płaszczyzny wahania, i pozostawia tym sposobem podczas doświadczenia ślad materyalny obrotu ziemi, odniesionego równolegle do poziomemu."

"Dotąd aparat ten użyty był do wykazania obrotu płaszczyzny wahania, a tém samem do naocznego, że tak powiem przekonania się o ruchu ziemi. Naszém zdaniem, jestto już bardzo wiele. Lecz umiejętność zyska z tego doświadczenia więcej aniżeli zrazu można było się spodziewać. W tak wielkich rozmiarach, aparat przedstawia przymioty, których naprózno szukalibyśmy w innym mniejszych rozmiarów, chociażby najstaranniej wykonanym. Już zadziwiająca regularność jego ruchu obiecuje najzgodniejsze wypadki; otrzymamy niezawodnie liczby, które porównane z pomysłami teoryi, dozwolą ocenić o ile wahadło prawdziwe zbliża się lub oddala od oderwanego systemu ozna-

czonego nazwą wahadła pojedynczego. Głęboka analityczna praca pana Binet, uwagi jasne i bystre pana Liouville, i genialne ostrzeżenia pana Poinso, wkładają na nas obowiązek prowadzenia dalej naszego dzieła z gorliwością. Zaiste nie uchybimy zadaniu.“

Z niecierpliwością oczekujemy na zapowiedziane dalsze dowiadczania i liczebne wypadki. Będzieto rzeczywistym tryumfem dla nauki, tryumfem jaki już niejednokrotnie obchodziła, gdy wyznaczony z dokładnością za pomocą obserwacji czas całkowitego obrotu płaszczyzny wahanja, rozmnożony przez wstawę szerokości geograficznój, da nam na wypadek długość dnia gwiazdowego. Takto wahadło, ten tak prosty narząd, za pomocą którego zdołał człowiek zmierzyć siłę ciężkości, oznaczyć postać ziemi i zważyć, że tak powiem cały świat słoneczny, wykrywa mu jeszcze i uzmysłowia odwieczny ruch ziemi, odgadniony gieniuszem Kopernika.

WYSTAWA POWSZECHNA W LONDYNIE.

(ARTYKUŁ DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

II.

Kiedym się zabierał do opisu wystawy i oprowadziwszy czytelnika z boku, miałem go obeznać z wnętrzem pałacu kryształowego, zapytałem siebie jaką przyjąć metodę, aby nie zginąć w tym oceanie arcydzieł rozumu ludzkiego, nie popaść w drobnostkowość opisów, a wykazując mniej więcej ostatni szczebel usiłowań ludzkich w każdej gałęzi, przedstawić zarazem, jak dalece do jej postępu przyczyniają się rozmaite narody, a przynajmniej jaki szczebel na tej ogromnej drabinie pracy i dowcipu zajęły. Gdyby kraj nasz był więcej przemysłowy, gdybym wiedział, że każdy z mych artykułów czytany będzie przez ludzi specjalnych, tobym mniej bacząc na narodowości poszedł torem angielskich sprawozdawców i oddział przemysłowy po oddziale przechodząc, rozbięrałbym wartość produktu i zasługi producenta. Lecz powtarzam, do takiego kosmopolityzmu usposabia jedynie specjalność, stająca się dla człowieka ojczyzną i domem rodzinnym; dla polskich czytelników systematyczny opis w którym giną różnice narodowości, byłby zanadto suchym i mało uczącym. Z drugiej strony, opis według narodowości tę ma za sobą niedogodność, iż zmusza do opowiedzenia tego, co w obec innokrajowych produktów nie zasługuje na uwagę, i nakazuje z jednaką ścisłością rozbięrać drobne początki i ostatnie zastraszające rezultaty rozumu ludzkiego. Aby więc obu tych niedostatków uniknąć, postanowiłem w niniejszym artykule skreślić fizyonomią wszystkich krajów poszczególne, tych mianowicie obszerniej, o których w następnych artykułach

systematycznemu rozbirowi poświęconych, mniej z natury rzeczy mówić mi przyjdzie, i postarać się o wyjaśnienie stanowiska przemysłowego każdego narodu, tak jak później o oznaczenie każdego z więcej nas obchodzących rodzajów przemysłu. W tym celu kilka kart dzisiejszego listu poświęcę przeglądowi geograficznemu.

Na wstępie od bramy wschodniej spotyka się obszerne i po większej części słabo zapelnione oddziały Stanów Zjednoczonych. Śmiałość pomysłów, wytrwałość w przedsięwzięciu, oszczędność czasu i siły, praktyczność i użyteczność wyrobów przy których nie zwracano uwagi na artystyczne ozdoby: sąto cechy wystawy tego narodu, co wyszedł na świat z rąk i głowy Anglików bez dzieciństwa, urodził się olbrzymem, i choć żyje dotąd oddechem cywilizacji europejskiej, ale ją nagina do swoich potrzeb, do nowego położenia geograficznego, a w obec niestychanych trudności spotykanych co krok o tyle tylko wzajemnymi względami mieszkańców swych wiąże, o ile istnienie społeczeństwa koniecznie tego wymaga, zostawiając zarazem jak najszerszą sferę działalności, to jest jak najmniej krępując swobodę sił, które mają do walczenia z surową naturą i ogromnymi przeszkodami odległości. Przechodząc po wielkich oddziałach wystawy amerykańskiej, co chociaż od zupełności daleka, wymaga kilkunastu godzin szczegółowego przeglądu, czułem się przeniesiony poza Europę. Zdawało mi się, iż podróżuję po przestronnych państwach północnej Ameryki i widziałem śmiałych osadników puszczających się statkami parowymi w nieznaną sawanny, rolników niemających rąk ludzkich podostatkiem i przymuszonych zastępować je machinami; przedsiębiorczych kupców, którzy nie posiadając zapasów odpowiednich wielkości pomysłów, jeden i ten sam kapitał kilka razy umieją stosować, pomnażając jego potęgę nieskończenie łatwym kredytem; rekodzielników wreszcie i fabrykantów, którzy z jednej strony zarzuceni obstalunkami, z drugiej kurczą się pod brakiem robotników, i w tę stronę myśl swą wyężają, aby z jak największą oszczędnością czasu i z realnym użytkiem dopełnić żądania bez względu, czyli wyrób ich razić będzie lub nie, oko nawykłe do form eleganckich; jednym słowem widziałem myśl człowieka probującą się zwycięzko z niezliczonymi trudami, i trudy tak wielkie, że mu nie zostawiają czasu na wszystko, cokolwiek przechodzi dostatnie zaspokojenie potrzeb cywilizacji.

Powiedziałem, że wystawa amerykańska zdaje się być niezupełną; jest ona taką w porównaniu z tém, co Stany Zjednoczone mogły nadesłać. Wypytywałem się kilku Amerykanów; jednozgodnie odpowiedzieli to, co wreszcie jest widoczném: iż ona niedostatecznie wyraża stan ich przemysłu. I nic w tém dziwnego, bo fabrykanci amerykańscy nie mieli dość czasu na wykończenie i przeprowadzenie swych produktów, rachując ściśle według terminu oznaczonego przez Kommissyą Wykonawczą, a przedłużanego po wielekroć dla producentów europejskich. Wszystko cokolwiek na téj wystawie się znajduje, jest dziełem pracy sześciotygodniowej i świadczy o szybkości i skuteczności pracy wyrobników amerykańskich.

Jedną z najciekawszych okolic wystawy téj wielkiej Rplitej nowego świata są produkta surowe, a między niemi ogromne paki wybornej bawełny przysłanej z Tennessee, Missouri i innych południowych stanów; lecz znajdujące się obok próbki wełny dowodzą, że Amerykanie nie przestają na produkcyi bawełnianej, bo państwa północne potrzebują odzieży mięsistszej i cieplejszej jaką właśnie jest wełna. Najbardziej interesujące są próbki wełny merynosowej, nadesłane z New-Yorku.—Liczne są oleje amerykańskie i od naszych wcale odmienne; widzę tu olój z kleszczowiny, z wątroby dorsów (ryby morskiej), a mianowicie olój (tran) ze słoniny wieprzowej, wydobyty z pomocą pary. Nadesłali go pp. Holbrook i Stanley fabrykanci z Cincinnati, zaręczając, że jest tańszy o 50% od tranu wielorybiego, a tę ma nad nim korzyść, iż się świeci wybornie. Bez wątpienia we Francyi lub Anglii, gdzie słonina jest droższa niż w Ameryce, nie da się ten przemysł zastosować; ale być może, iżby on potrafił odkryć nowe źródło bogactwa dla Polski, Węgier i innych okolic wschodniej Europy, gdzie chów wieprzów jest bardzo rozpowszechniony.

Obfitą jest i charakterystyczną wystawa produktów żywności. Z Ohio przysłano szynki marynowane nie solą, ale cukrem; z Texas *biszkopty bulionowe* przyrządzane następnym sposobem: przez 16 godzin bez przerwy gotuje się wołowinę, wyjmuje się z kotła wszystko cokolwiek się w warze nie rozpuściło, poczem mocny ten rosół paruje, dopóki nie nabierze gęstości melassy. Należycie wysypuje się dostateczną ilość czystej mąki, a ciasto w ten sposób utworzone, piecze się jak zwykłe biszkopty. Chociaż nie ma w niem soli, przez rok cały zachowuje się nawet pod gorącym

niebem Texas, ani się go nie chwyci robaetwo. Funt takiego biszkoptu wystarczy za pięć funtów najlepszej wołowiny; żołnierze broniący granic od indyjskich napaści, z żywności tej są bardzo zadowolnieni. Nadto, ponieważ cena jego jest niska, a ciężkość nader nieznaczna, przeto wszyscy podróżni puszczający się w bezładne okolice Missouri lub Kalifornii, zaopatrują się weni dostatecznie.—Jak wiadomo, Ameryka wysyła znaczną ilość mąki do Europy: są więc tutaj próbki najpiękniejszych produktów tego rodzaju. Pomijam zwykłe mąki, wspomnę tylko o kukurydżowej. Niezliczone próbki kukurydzy wszelkich rodzajów i wszelkiego koloru nadesłano z państwa Nowego-Yorku; krochmale z kukurydzy z fabryki Oswego wykazują dostatecznie, z jaką wytrzymałością rozwijają tamedzni mieszkańcy myśl tę prawdziwie amerykańską, zastąpienia zboża kukurydzą. Wszakże na szczęście krajów zbożowych powiedzieć można, że Europa niechętnie przystanie na chleb ów *formentone* zwyczajny we Włoszech, chociażby nawet nauka lekarska nie stwierdziła, że wyłączone pożywienie kukurydzą nabawia choroby; ani też niepodobna przypuścić widząc tyle pięknych próbek ziarna nadesłanych z drugiego świata, aby Amerykanie uprawę zboża dla kukurydzy poświęcili.—Jednym z nieznanych w Europie produktów nadesłanych z Ameryki jest wino *Catawba*, atoli zamknięte w skrzynkach ulega przepisom prohibicyjnym, rozszerzonym na wystawie do wszystkich płynów spirytualnych.

Kopaliny amerykańskie aczkolwiek piękne, liczne i rozmaite, nie wykrywają nam nic, coby dotąd było nieznanem. PP. Ward i Boston przysłali próbki rodzimój miedzi, a dr. Feuchtwanger z Nowego-Yorku kompletny zbiór mineralogiczny, gdzie się znajdują stalaktyty, zęby kopalne mastodontów i mammutów, topazy z Conecticut, ołów ze srebrem z New-Hampshire (75⁰/₀ ołowiu, 100 uncyj srebra na 20 cetn. miesz.), chrom, baryt, siarkę z Conecticut. Oprócz tego znajduje się bryła rodzimój miedzi ważąca 2,544 ff., wydobyta z kopalni nad Górném jeziorem, piękne krystalizacye kwarcu, marmur czarny i starożytny zielony, żelazo, wyborne gatunki cynku i t. p.

Machiny rolnicze Stanów Zjednoczonych znajdują się opisane w osobnej części; jest ich bardzo wiele, chociaż z ważniejszych, mało widziałem praktycznych. Po machinach najliczniejsze są wyroby kauczukowe. Patrząc na tę ogromną ilość, łatwość i różnaitość zastosowania i korzyść z niego płynącą, trudno nie być uderzonym szybkością z jaką umiano produkt od niedawna po-

znany, zastosować tak rozmaicie. Sąto pontony kauczukowe, to jest walce wypchane powietrzem, łądźcie do ratunku topiących się, rozmaite drobne sprzęty, przyrządy i misterne tkaniny, resory powozowe złożone z czterech płatów, zabierających bardzo mało miejsca, a zastępujących wygodnie zwykłe sprężynowe resory. Dwie ściany obszernego salonu zawieszono są obrazami dagueryotypowemi; nie sąto same portrety, ale między niemi widzę widoki i krajobrazy, albo sceny z natury i życia zdjęte. Jeden artysta przedstawił kilka obrazów spadku Niagary, jak się zdaje pochwyconego zdaleka, bo szybki ruch wody nie przeszkodził bynajmniej wybornemu odbiciu. Inne obrazy, kopie obrazów olejnych lub wielkich sztychów, znacznej, bo kilkunastocalowej wielkości, świadczą, że duch praktyczny Amerykanów z pośpiechem rozkrzewił u siebie tę mechaniczną reprodukcją arcydzieł sztuki i natury, do której Europa zawiedziona poniekąd w swych nadziejach o dagueryotypie, żał pewien mieć się zdaje.

Kolekya broni jest dosyć znaczna, lecz i w niej poświęcono wszystko użytkowi. Spostrzegłem karabin, na którym cel wytknięty jest między dwoma kółkami; z tych jedno znajduje się w tyle, drugie przy końcu lufy, i jak się zdaje, powinno wpływać na celność strzału. P. Coll z Hartford umieścił niemało pistoletów i karabinów jednorurnych a wielostrzałowych, których nabijanie podobne jest jak przy pistoletach angielskich pięcio lub sześćo-strzałowych. Jako ciekawość zasługuje na uwagę strzelba parowa, wynaleziona przez Perkinsa. Broń ta nie ma w sobie cechy nieprzyjazni dla rodu ludzkiego, jest bowiem ciężka, nie przenosi się z miejsca, chociaż nabijanie może być szybkie i strzał daleki.

Modele wielkich budowli są nieliczne, między temi znajdują się dwa mosty i kościół pływający w Filadelfii, dzieło godne Stanów Zjednoczonych. Widziałem kilka powozów, jeśli nie tak pięknych jak angielskie, to praktycznych i uderzających nowością pomysłu. Powóz tak zwany *amerykański* Riddlego z Bostonu, ma pudło ruchome; wsunięte zostawia miejsce na dwie osoby, a w zupełnie wysunięciem czworo ludzi wygodnie się mieści; kilka factonów odznaczają się nadzwyczajną lekkością, ale budowa ich kół wymaga drogi twardej. Meble amerykańskie są poniekąd praktyczniejsze od europejskich; zamiast sprężyn użyto w nich resory powozowe, i gdyby w nich było więcej gustu, mogłyby walczyć o pierwszeństwo z meblami Francji i Anglii. — Instrumenta mu-

zyczne mieszczą w sobie narzędzie całkiem nowe, będące zapowiedzią znacznego wydoskonalenia w orkiestrze. Największy zarzut, jaki można było zrobić fortepianom jest owa ciągła przerwa w płynących po sobie tonach, której nie ma w instrumentach dętych lub smyczkowych. P. Wood fabrykant z Wirginii zapobiega temu niedostatkowi, dodając fortepianowi skrzypce, po których grają dwa smyczki przytwierdzone do deszczułki, poruszanej nogą artysty. Klawisze stosownie do woli grającego odpowiadają tonami skrzypców lub fortepianu, albo też obojga razem; wszelako jeśli pomysł zasługuje na sprawiedliwe uznanie, to dodać muszę, że chrapliwe tony tego instrumentu czynią grę nieprzyjemną; ale wątpić nie można, że instrument wkrótce udoskonalony zostanie. Narzędzia fizyczne w większej części są wyrobu lub wynalazku kapitana Erricksona; z pomiędzy tych odznacza się *barometr alarmowy*, dający znak głośnym uderzeniem kulki, ilekroć słup merkuryszu spada niżej 28^0 , a zatem zapowiada zbliżającą się nagłą zmianę atmosfery; ołowianka znacząca odrazu głębokość wody, i nowy przyrząd jeszcze niepatentowany, a zatem w szczegółach swych nieznanym, pod nazwiskiem *calorie engine*. Zegary, noże, przedzie bawełniane, mało w sobie zawierają przedmiotów godnych uwagi; jest znaczna liczba konduktorów, machin do otwierania rogatek i baryer, w Ameryce nieoszacowanego użytku, telegraf domowy, nieco szkła, lampy i żyrandole. Wyroby złotnicze są ubogie, jubilerskich właściwie nie ma. Na galeryi Stanów Zjednoczonych bardzo przestronnej, w obec braku przedmiotów, perukarz pewien z Filadelfii umieścił ogromną liczbę rozmaitych perfum i mydeł.

Porównyując między sobą państwa Stanów Zjednoczonych, najwięcej z nich wystawiły północne, a mianowicie Nowy-York. Ztamtąd bowiem nadesłano maszyny rolnicze i przemysłowe, ziarna, mąki, instrumenta fizyczne, noże, broń, karty i sukna. Drugie miejsce zajęła Pensylwania, a w niej narzędzia rolnicze, mydła, perfumy, instrumenta muzyczne, papiery kolorowe, minerały i węgle kamienne. Z Ohio nadesłano: konduktory, kukurydze, tytuń, wina, olój wieprzowy, mąki i marynaty. Z Massachusetts, New-Hampshire i Rode-Island: wyroby bawełniane i perkale drukowane; z Tennessee bawełna surowa; z Karoliny południowej bawełna, ryż i powozy; z New-Jersey cynk i niedokwasy cynkowe; z Indyany maszyny rolnicze; z Vermontu cukier klonowy, z Missouri i Wirginii minerały, tytuń i roboty rymarskie.

Taką jest wystawa Ameryki północnej. Zatrzymałem się nad nią dłużej, bo w systematycznym rozbiórce rzadko mi do niej zwrócić się wypadnie, chyba, że nowe nadsyłki, których się spodziewają, zmienią jej charakter; gdyż, jak czytelnik zapewne spostrzeżł, nie wszystkie państwa zebrały się na tym *jarmarku powszechnym* narodów, jak to zwykle mówią w Ameryce.—Obok Stanów Zjednoczonych znajduje się Rosya. Miejsce jej daleko szczuplejsze, a i to dotychczas niezapełnione. Południowe sale zakryte, w północnej wystawiono kilka artykułów, wprawdzie bardzo pięknych, ale niedających wyobrażenia o przemyśle cesarstwa i królestwa, ani niezgadających się z katalogiem, który wypisuje nazwiska 381 wystawiaczy. Najsłuszniejsza więc będzie, jeśli rzecz o wystawie rossyjskiej i polskiej odłożę do czasu, kiedy w zupełności będzie rozwinięta, gdyż, jak dzienniki angielskie podają, dopiero za kilka tygodni spodziewane jest przybycie okrętu, zatrzymanego w podróży lodami. Dodam tylko na dzisiaj, że wspaniałe wazy malakitowe, tulipanowe biurka z Petersburga i Hekięgo z Warszawy waza warwicka, obok stołu z mozaiką florencką i kilku innych wazonów z obrazami olejnymi, obudzają w każdym niemałe podziwienie.

Na zachód Rossyi, po stronie południowej, znajduje się Szwecya, Norwegia, a za nią Dania. Smutny jest widok téj wystawy; nie odpowiada ona ani rozległości, ani ludności tych krajów. Każde miasto angielskie, każdy kanton szwajcarski i każde państwo Stanów Zjednoczonych przysłały na wystawę powszechną nieskończenie więcej wyrobów. Słynne swemi bogactwy kopalnie Szwecyi i Norwegii, zaledwo kilka surowych materyałów żelaza, srebra i złota dorzuciły do wystawy innych narodów.—Wprawdzie z dawną świetnością nie może się porównać obecny stan marynarki duńskiej; ale zachowuje ona dotąd stanowisko za nadto ważne, abym nie miał się dziwić, że jeden model bussoli i kilka chronometrów, składają całą wystawę narzędzi, używanych przez duńskich marynarzy. Od narodów tych rozsypanych po ogromnych obszarach nieurodzajnej ziemi, nie można się było spodziewać arcydzieł przemysłu paryżkiego, materyj lyońskich, tkanin Leedu lub Manchesteru, albo przepysznych szat i broni wschodnich; ale zawsze godzi się żałować, że skandynawskie ludy zdolniejsze, moralniejsze i oświecensze od wielu narodów południowych, nie postarały się o lepszą reprezentacją swego przemysłu dla Europy i całego świata. Ponieważ w sferach półno-

nych życie jest prosto, a zbytek prawie nieznan, nie ma tam owój gorączkowej ruchliwości, cechującej fabryki krajów wędź na południe położonych; ale za to nieustanna walka człowieka z dziką przyrodą, z ciemnym i nieubłaganym niebem i z morzem, coraz w burzliwe wspina się balwany, to w ogromną bryłę lodu ścięte, wzbrania wszelkiego do siebie przystępu: czyż to więc walki nie powinny natężyć mieszkańca Północy do szukania w mechanice bromi, zdolniej do zwalczania potężnego wroga, który go co rok przez dziewięć miesięcy trzyma w niewoli?

Górale szwajcarscy, salcburscy, mieszkańcy Tyrolu i Czarnolesia, których zimno więzi w chatach prawie tak długo, jak skandynawskiego chłopca, stworzyli sobie osobną gałąź przemysłu, a wyroby dokonane w ciągu długich zimowych wieczorów, sprzedają letnią porą po wszystkich jarmarkach środkowej Europy. Czemu za ich przykładem nie idą Szwedzi, Duńczycy i Norwedzi? Trudno przypuścić, aby mieszkańcy dwóch wielkich półwyspów, jako sabaudzkie świszcze spali przez sześć miesięcy, ażeby się nie zatrudniali przez większą połowę swego życia pracą umysłową lub fizyczną; a przecież wnioskując z wystawy, sądziłoby wypadło, że żadne wyłączone rzemiosło nie zajmuje Szwedów i Norwegów w długich zimowych wieczorach. Przyczyna tej nieczynności musi leżeć gdzieindziej. Żaden handel kwitnąć ani nawet istnieć nie może bez znacznego odbytu. Mieszkańcy półwyspu nie mogą korzystać tak, jako górale szwajcarscy z ciągłych wycieczek innokrajowców; nie mają wód mineralnych ani Wiednia w pobliżu, co jest znów źródłem bogactwa dla Salcburga i Tyrolu; z kąd wypływa, że przemysł skandynawski nie ocuci się, dopóki dróg morskich nie znajdzie dla siebie otwartych. Nie na wystawie więc, ale w taryfie celnj duńskiej, szwedzkiej i norwęgskiej znajdę odpowiedź na pytanie: czy chłopci skandynawscy mają jaki przemysł krajowy, i czyli ten przemysł narodowy może się rozwinąć z czasem w stosunku do industrii innokrajowej?

Dzięki porcelanowej fabryce z Kopenhagi i dłutom kilku znakomitych rzeźbiarzy, wystawa artystyczna duńska jest znakomita i dobrze dobrana. Mały ten kraik zatopiony w mgłach morza Północnego lepiej jest w tym względzie reprezentowany, jak wiele stron południowych, gdzie słońce wiecznie świeci i jedna chmurka nieba nie plami. Dania jest ojczyzną Thorwaldsena; sztuki piękne jakby zaklęte gieniuszem tego męża, przybiegły tu i zamieszkały nad lodami Bałtyku: one, co przedtem nigdy błęki-

tnych fal Archipelagu i modrych głębi morza Śródziemnego nie opuszczają. — O duńskiej machinie do składania czcionek, wprowadzie jedynę na tej wystawie, ale godną uwagi, powiem w swoim miejscu.

Nierównie bogatszą, zupełniejszą i bardziej interesującą jest wystawa Związku Celnego. Przedstawia ona potężną organizacją przemysłową i odważne współzawodnictwo we wszystkich gałęziach przemysłu ludzkiego. Ten ogromny postęp w ciągu lat niewielu, muszą zawdzięczyć Niemcy utworzeniu związku celnego, a ztąd rozszerzonemu polu wolnej wymiany i potężniejszemu współzawodnictwu. Skutki jakie ztąd wypływają nie ograniczają się na przemysł; bo skoro raz myśl narodu powźmie ten zbawienny kierunek, pomyślność jego materialna wzrasta z każdym dniem. Potrzeba zaś kupowania pod korzystnymi warunkami materij surowych od zagranicy i nadzieja oddania jej w zamian płodów swego przemysłu, wywiera na stosunki internacjonalne wpływ zbawionny: utrzymuje sąsiednie ludy w nierozzerwanęj od siebie zawiści, coraz mocniej zawiązuje nici, które rozerwać coraz trudniej, i co dzień, co godzina nową przyrzuca cegłę do wielkiego fundamentu przyszłego szczęścia rodu ludzkiego, to jest powszechnego pokoju. I w rzeczy samej, nigdzie bardziej jak w pałacu wystawy przychodzić nie czuje się przejęty tą myślą, że wieki, które się przed nami roztwierają, odmienną będą miały fizyonomią od wieków poprzednich; że owe, niegdyś przyjęte teorye zdobyczy, przewagi politycznej, wpływu materialnego — teorye będące podstawą polityki zgastych pokoleń, nowym wydadzą się jako przesady i ustąpią miejsca innym, mniej pogańskięj cechy, więcej chrystyanizmu w sobie mających. Ze zbrojowni średnio-wiecznych porobiono dzisiaj (o profanacyo!) kaloryfery, pospolite narzędzia wykuto z puklerzów, które wasze potężne piersi zastaniały o wy Talboty, Bayardy, Duguescliny! Druga połowa w. XIX rozpoczęła się przy huku dział, które ogłosiły nie zapasy olbrzyma naszego stulecia, ale kongres mężów pokoju. Już myśl ludzka nie będzie odtąd potrzebowała dział i karabinów, aby się z nimi po całym świecie rozchodzić, zaginęły w przeszłości wyprawy krzyżowe i kampanie Napoleońskie, i może wkrótce jaki cichy fabrykant znalazłszy porzuconą owę *ultima ratio* Napoleona, przekuje ją na walec maszyny parowęj, a proch, który dotąd zmiał szereg stworzeń ludzkich, może będzie służył w miejsce pary przy wielkich machinach: podobnie jak to doradzał pewien fizyk

niemiecki (jeżeli się nie mylę Weygand), chcąc nadać dowolny kierunek pływającym po powietrzu balonom. Takie myśli nasuwały mi się kiedyś wchodząc do oddziału Niemiec, z jednej strony spotkał działo Kruppa, a z drugiej kaloryfery Edwarda Bauma; takie przychodzą z każdym krokiem na widok krajów, których siła zbrojna i znaczenie polityczne w Europie dotąd prawie były nieznanne, a których przemysł wysoko rozwinięty dowodzi, że pierwszym warunkiem pomyślności powszechniej jest pokój.

Do wystawy niemieckiej w przeglądzie systematycznym już częścię zajrzeć mi przyjdzie. Obecnie ograniczam się na kilku spostrzeżeniach, wyjaśniających niejako geografią i statystykę tej części wystawy. Ze wszystkich państw do niej należących, Prusy dostawiły najliczniejszy kontyngens, bo 800 nrów, a w nich prowincye nadreńskie (nrów 317), miasto Berlin (175), Westfalia (80), Szląsk (60). Z Poznańskiego na ośmiu wystawiaczy jest dwóch Polaków: Lipskiego welna podarowana królowej Wiktorii, i kiszewski jedwab surowy z woreczkami jedwabniczymi. Po Prusiech liczbową przewagą góruje: Saxonia (202) z księstwami saskimi (50), Wirtemberg (129), Bawarya (103), W. Ks. Hesko-Darmstadtzkie (95). Wystawa bałeńska liczy zaledwo jedénastu producentów, co niemało zadziwi każdego, co sobie przypomni, jak wielką w ciągu podróży po tym pięknym kraju widział ilość machin parowych i hydraulicznych, a mianowicie w Czarnolesiu i na obszernęj dolinie, którą Ren przerzyna. Wystawa bawarska nie odpowiada również znaczeniu przemysłowemu i politycznemu tego kraju. Norymberga, Furth, Bamberg, Wirzburg, Ratysbona, Monachium w bardzo małej liczbie przysłały wyroby różnostronnego swego przemysłu. Tak np. napróżno szukałem w Związku Celnym zabawek dziecinnych, których bajeczna taniość, podobnie jak zegarów drewnianych lub kieszonkowych genewskich, jest nierozwiązalną zagadką dla fabrykantów angielskich i francuzkich, a której przyczyna nie jest inna, jak tylko, że przemysł ten wkorzeniony w tych okolicach od czasów niepamiętnych zajmuje wsie i miasta całe, a przy rozpowszechnionym podziale pracy, gdy w jednéj rodzinie znajduje się czworo lub więcéj ludzi trudniących się przez całe życie wyrobem jednego sprzętu lub jednego kółeczka, doświadczenie więc i zręczność jednego pokolenia przechodzi spadkiem do drugiego, i fabrykantów stawia w możności produkcyi coraz lepszej i coraz szybszej.

To co Bawarya przysłała nie obejmuje ogółu tamecznych wyrobów wiejskich i miejskich, ale odznacza się taniością i wygodą. I tutaj piękność poświęcono użytkowi, i tutaj nie miano względu na elegancją formy i doskonałość pracy. Ma wprawdzie wystawa bawarska (że tak powiem) pretensye artystyczne, usprawiedliwione poniekąd kilkoma dziełami sztuki; ale choć w Monachium czczone są sztuki piękne, nie można zapatrywać się na wystawę bawarską z tego stanowiska, bo uczucie sztuki nie doszło jeszcze do tych rąk, które z Norymbergi i Furth produktami swemi cały świat zasypują. Artystyczność w Bawaryi jest *accessorium*; zostawiając dla niego miejsce, nie należało zapominać o rzeczy głównej.

Wirtemberg i księstwo meiningskie rozweselają gości wystawy. Preparator królewskiego muzeum historyi naturalnej w Sztutgardzie, Plonequet, dość szeroką ścianę zastawił wypchanemi zwierzętami, które ugrupował razem lub z osobna, nadając im prawdziwy albo też komiczny charakter. Jest kilka scen nader pięknie i naturalnie odrobionych, np. dzik i jeleni opadnięte przez psów, lis przynoszący dzieciom swym kuropatkę, walka ptaków z kunami i tchórzami, a następnie wybornie oddane bajki Lafontaine według rysunku Grandvilla. Ta część wystawy od rana do zmroku obstąpiona jest zwiedzającemi, którzy wśród głośnych śmiechów ukazują sobie dowcipne grupy: bo w istocie trudno wstrzymać się od śmiechu na widok nieporównanego odrobienia miniaturowych lisów i niedźwiedzi, które z całą namiętnością myśliwców i z całą powagą niemiecką strzelają do zajęcy; na widok pojedynkujących się królików, modlących się kotów, wyźłów i mopsów zaczytanych w ogromnych foliałach. Z Meiningen, C. Sachsenväger nadesłał zwierciadło filarmoniczne, wyobrażające orkiestrę Juliena w dwudziestu karykaturach dowcipnie i pracowicie oddanych.

Aby w Prusiech nie utonąć, Saxonia i Wirtemberg usadowiły się nieco na uboczu. Sukna saskie słyną oddawna pięknoscia i dobrocią, lecz nie widziałem nic, coby mogło wyrównać francuzkim i angielskim, choć zresztą porozrzucane tu i owdzie próbki, nie pozwalają objąć ogółu téj fabrykacyi i porównać na pewno wszystkie produkta. Płótna saskie jednostajne i deseniowe (bielizna stołowa) są wyrobami pierwszego rzędu i stoją na równi ze wszystkiém, co Europa w tym względzie ma najdoskonalszego. Nie bez pewnego zdziwienia przekonałem się, iż na wystawie

nie ma nawet śladu księgarstwa lipskiego. Jaka tego jest przyczyna? Przemysł ten, któremu Anglicy i Francuzi niepomatu się dziwią, zarzuca, jak wiadomo, Niemcy całe, a w pewnej części i nas wszelkiego rodzaju produkcjami literackimi, filozoficznymi lub umiejętnymi, w miarę jak one się pojawiają w którymbądź kraju i języku. Lipsk ma zaledwo 40,000 mieszkańców, a wydaje cztery razy tyle książek co Wiedeń, siedm razy więcej od Monachium. Tak ogromne przedsięwzięstwa zasługiwały na odpowiednie miejsce w wystawie, gdyby z drugiej strony nie zachodziła ta przeszkoda, że niemiała część edycyj lipskich jest nieprawym przedrukiem. Zapewne więc z tego powodu księgarstwo lipskie nie zostało reprezentowane na wystawie, gdzie interesa wszystkich szanowane są sumiennie i gdzie chciwość księgarzy okradających swych sąsiadów niemogących się pomścić, budzi wstręt i oburzenie w obec prawego charakteru Anglika. W tym rodzaju rozbójniczego przemysłu celuje Belgia; lecz jak słyszę i nasi księgarze poczynają im zazdrościć smutnej ich sławy. Pierwsza podobno Warszawa tę drogę ukazała. Być może, że jej księgarzom uda się na nieprawej drodze wydrzcć kilka złotych, ale się ani spostrzegą, jak obrzuciwszy księgarstwo piętnem pogardy zabiją je, a z niem całą literaturę. Gdyby który księgarz w Anglii przedrukował dzieło zagraniczne, własnością obcego księgarza będące, zmarnowałby koszt wydany na edycją, bo Anglik wie o tém, że człowiek który kupuje u nieprawego posiadacza, dopuszcza się współkradzieży.

Rozdzielając wystawę niemiecką na wyroby nadesłane, pokaze się, że najliczniejsze są przedce, jest ich bowiem 1081; następnie idą szeregiem produkta metaliczne, szkło i porcelana (469), meble i wyroby drewniane (387), produkta surowe (343), maszyny i narzędzia (313), dzieła sztuki (157 wyst.). W pierwszym oddziale najliczniejsze są przedce wełniane, szale, tkaniny mieszane, dywany, przedmioty toalety, wyroby płócienne, jedwabie, aksamity, skóry, przedce drukowane i perkale. Następna grupa pod względem liczebny rozpoczyna się od żelaza, stali i metali w ogólności, dalej idą wyroby złotnicze i jubilerskie, nożownictwo, które poniżej porównam z angielskim, porcelana, szkła i kryształy. W dalszym oddziale idą perfumy, wyroby kauczukowe, artykuły roślinne, a dopiero czwarte miejsce pod względem bogactwa wystawy zabierają produkta surowe, mianowicie: produkta zwierzęce i roślinne używane w przemyśle, minerały, przedmioty

pożywienia, produkta chemiczne i farmaceutyczne. W oddziale machin przedewszystkiém uderzają narzędzia fizyczne, znaczna liczba przyrządów ręcznych zastąpionych w Anglii machinami przemysłowymi, broń, narzędzia rolnicze, maszyny użytku bezpośredniego, modele i próbki architektoniczne. Sekcyja sztuk pięknych ma 157 nrów, idących po sobie pod względem ilości w następnym porządku: rzeźby marmurowe, brzozy, odlewy żelazne, mozaiki i żłobienia, medale, kamce, kamienie rżnięte, ozdoby i modele architektoniczne, a nakoniec emalie, których tylko cztery artykuły naliczyłem. Taka jest pod względem liczebnej wagi statystyka Związku Celnego, która wykazuje, że przedzie stają na pierwszym rzędzie, a zatém że Niemcy środkowe są głównie krajem przemysłowym. Że zaś materye pierwotne zajmują dopiero czwarte miejsce, wypływa ztąd, iż grunt nie musi wydawać dostatecznej ilości dla ożywienia przemysłu, mała zaś liczba machin jest jedną więcęj przyczyną niższości produkcyjnej.

Nierównie niższą jest wystawa Niemców północnych, pod którąto rubryką objęte są państwa nienależące do Związku Celnego, jakoto: Hanower, W. ks. oldenburskie, Hamburg, Holstyn, Lubeka, Bremen, Mekl. Szweryn, a z niemi złączone ks. Mekl. Streliekie. Gdyby nie Hamburg, którego wyroby godne są uwagi, sala wyznaczona temu oddziałowi byłaby zupełnie pusta. Z wystawy hamburskiej uderza bogata kolekcya lasek z fabryki p. Meyera, piękne meble Mehnego, Rampendaha i Plamberka, cukier rafinowany, nieco nożów, instrumentów muzycznych i dzieł sztuki.

Zato pod każdym względem bogatszą jest wystawa Austrii, która tworzy tutaj trzeci oddział Niemiec. Jeszcze przed otwarciem pałacu dzienniki zapełnione były szczegółami o meblach Leistlera ebenisty z Wiednia. Cztery jego salony wysadzone kunsztowną posadzką z mahoniu, palisandru i dębu, zastawiono wspaniałemi wyrobami stolarszczyzny. Najmajestatyczniejszym jest pokój sypialny, a w nim łożo. Ozdobione filarami rżniętymi w figury i bukiety i bogatém aksamitném niebem, wykonane jest z nieporównaną zręcznością i pracowitością. Kilka grup na przedniej i tylnej ścianie uderza pięknnością pomysłu, rysunku i mistrzostwem dłutem snycerza. Wdałbym się z chęcią w szczegółowy opis tych mistrzowskich dzieł, opowiedziałbym szczegółowo wyszukane i hojnością swą ledwo że nie rażące ozdoby, gdyby mnie w tym jeszcze liście nie czekał przegląd tylu innych przedmio-

tów, a nawet nie wychodząc z salonów Austrii: gdyby do równie drobnostkowego opisu nie miały prawa inne wyroby Leistlera, jakoto: biblioteka podarowana przez cesarza królowej Wiktorii, etazerki do kwiatów i obrazów, klęcznik i kilka stołów przewybornie dokonanych. Lecz jeśli kunsztowi stolarza nie zarzucić nie można, to pomysł architekta od zarzutu wolnym być nie może. Meble te są ciężkie i wymuszone, jakoby domy mieszczkańskie. Biblioteka zdaje się być podobną do kościoła gotyckiego w miniaturze, łoże rozmiarem swym przechodzi wszelką proporcją, a olbrzymie jego filary w sobie samém nader ozdobne, mogłyby dźwigać dość znaczny budynek. Austryackie biurko Grögera z Wiednia może służyć za dowód wysokości pracowitości i zręczności artysty, ale zdradza gust mieszczkański, a raczej brak gustu, który dozwolił w tak małym przedmiocie tyle nasadzić ozdób, iż w obec nich znika całość, a w umyśle patrzącego tworzy się nierozstrzygnięte pytanie: czy to jest biurko, czy też gablotka na której z niemiecką systematycznością poustawiano niezliczone rzędy historycznych i symbolicznych statuetek. Więcej mają gustu ozdoby medyolańskie, jakoto ramy i kominki. W tej także stronie austryackiej wystawy zaszczytne zajmują miejsce produkta drukarni cesarskiej z Wiednia, świadczące o niesłychanej zamożności zakładu, który w 400 językach potrafił wydrukować paciérz, który wydał olbrzymiej wielkości mapy i litografie kolorowane takiej doskonałości nadesłał, iż postawiwszy obok nich oryginał, niepodobna odróżnić od kopii. Od strony południowej rozstawiono niezmiernie bogatą kolekcją fajek i cygarniczek piankowych z Wiednia i Pragi, potwornego częstokroć rozmiaru; wielkie stosy produktów stearynowych, mnóstwo wyrobów z Tyrolu, przedze jedwabne i szale, które mogłyby się mierzyć z francuzkami, gdyby ostrość kolorów nie odejmowała im wdzięku; piękne strzyżone dywany, a nakoniec jedna z najpiękniejszych sal, mieszcząca rzeźby medyolańskie.

Jedną z najbardziej na uwagę zasługujących, jest wystawa belgijska. Stosownie do rozległości i ludności kraju, zajmuje ona największe i bez wątpienia nader zaszczytne w pałacu miejsce, mianowicie pod względem użyteczności i praktyczności i niskiej ceny swych wyrobów. Wystawa ta począwszy od węgla kamiennego i najprostszyc kopalni, od najmisterniejszych wyrobów złotniczych, aż do olbrzymich machin, obejmuje wszystko,

tak, iż niepodobna o żadnym oddziale osobna traktować, nie zajrzawszy do sal belgijskich. Fabryka Seraing nadesłała dwie ogromne lokomotywy, które sławę jej godnie utrzymują, a oprócz tego maszynę do statku o sile 140 koni, inną o sile 16 koni, i prawdziwe cacko mechaniki, maszynę o sile czterech koni. Nie brakuje na maszynach rolniczych, siewkarniach, młockarniach, różnego rodzaju pługach, młynkach, siewnikach i innych narzędziach, z pomocą których Belgia stanęła w małej liczbie krajów, najwyżej pod względem rolnictwa posuniętych. Kilka przędzalni, postrzygarnia, warsztaty Jacquarta, i maszyna do czyszczenia i bielienia cukru Van Goethema, tego samego co angielskie systematu. Wszystkie ściany pokryte są olbrzymiemi dywanami i ceratami. Na pierwszym piętrze ustawione w szeregu figury woskowe biskupów, służą jako środek wystawy pontyfikalnych, niezmiernie bogatych ubiorów; dalej idą wyroby pasamoniczne, wspaniałe oprawy mszały i biblic, i koronki, a poza niemi szyby i okna kościelne malowane. Następnie grupa statuetek brązowych, wpośród których znajduje się miniatura lwa z Waterloo, owego pomnika olbrzymiego, z powodu którego powiedziano, że narody co należały do owjej walki, reprezentowane są na placu boju w odwrotnym stosunku; jakoż Anglia wystawiła dwa czy trzy pomniki, Prusy kaplicę, a Belgia górę, kończącą się lwem potwornym. Na pograniczu Holandyi, mszały pana Hanieg z Malines tworzą piramidę dwanaście stóp wysoką, a na dwustronnym kontuarze rozłożone są papiery, utensylia biurowe, książki, wyroby pasamoniczne i t. d. Cóż powiem o koronkach? Trzy miasta: Ypres, Grammont i Bruxella, spierają się o palmę pierwszeństwa, tak dobrze co do przędzy, jako téż i rysunku. Rozmaitość ich nieskończona i cena niemniej rozmaita: od 1 fr., do 1,200 fr. za łokieć. Piękne są koronki czarne, ale najwięcej mi się podobały bruxelskie, z których najtańsze kosztują 1000 fr., a materiał do nich użyty 4,000 fr. kilogram. Na zachodniej stronie wystawy belgijskiej znajduje się jeden tylko stół wyrobów jubilerskich, ale zasługuje on na uwagę, mianowicie pod względem kamelij, łańcuchów i inkrustacyj na srebrze i złocie. O produktach surowych, przedkach wełnianych i bawełnianych, przedmiotach żywności i toalety, broni i rymarszczyźnie, nateraz zamilczam.

Z Belgii przechodzi się do Francyi. Dzień otwarcia pałacu, zastał wystawę francuzką całkiem nieprzygotowaną: po obszer-nych jej salach uwijali się robotnicy, odbijający paki i składający

machiny i modele. Długi rząd szaf, poświęconych wystawie wyrobów lyońskich, raził pustkami: zaledwo brzozy i złotnicze wyroby wydołyły się zpoza opon ukrywających resztę wystawy. Piérwsze więc dnie były fatalne dla Francyi; mówiono, że po raz drugi przegrała batalią pod Waterloo. Ale ledwo kilka tygodni upłynęło, a zajaśniały sztandary Francyi, zabłyły herby miast fabrycznych, usunięto paki i zastony, i wystawa francuzka stanęła w całej swój świetności. Mówiąc o niej, trudno nie zacząć od najprzedniejszego Francyi przemysłu, od królowej jedwabiów, Lyonu. Fabrykanci jój wpadli na szczęśliwą myśl wystąpienia w Londynie zbiorowo, bo izba handlowa lyońska trudniła się sama expedycją, zakupując nawet przedniejsze wyroby od tych, którzy w wystawie udziału brać nie chcieli, i oddała dwóm fabrykantom paryzkim do zręcznego rozwieszenia. To téż jeżeli przepych materyj przechodzi wszystko, cokolwiek oko ludzkie w tym rodzaju widzieć mogło, niemało do otrzymania tak silnego efektu przyczynia się umiejętny rozkład wyrobów. Nie mam zamiaru porywać się na wystawienie świetności tych aksamitów, złotogłowiów, atlasów, jedwabnych tkanin, adamaszków zarzuconych kwiatami i świeżych jako barwy wiosenne. W tym ogrodzie jedwabniczym, w tych kwiatkach pracowicie utkanych, tyle jest prawdy i życia, że zdaje się, iż z nich musi wychodzić woń czarująca umysły. Poza jedwabiami, wyroby pasamonickie i wstęgi rozłożone nie ustępują bogactwem i różnorożnością szwajcarskim, a koronki z Haute-Loire spierają się o palmę zwycięstwa z bruxelskimi. Dalej kwiaty batystowe Constantina, arcydzieła w swym rodzaju, które z niczym porównać się nie dadzą, chyba ze swemi pierwotworami, z wypieszczonemi oranżeryi kwiatami.

We wszystkiém co tylko się odnosi do gustu i elegancyi, Francuzi mają pierwszeństwo tém widoczniejsze, że na poparcie tój opinii, przychodzą w pomoc wszystkie sale pałacu wystawy. Forma, wdzięk, elegancya i to *coś*, czego nie wiem jak nazwać, a co daje duszę materyi, połysk i barwę przedmiotom i woń kwiatom, stanowią niezaprzeczoną wyższość przemysłu francuzkiego. Porównajmy np. meble: w wystawie francuzkiej nie ma takiego biurka Grögera, nad którymby ebenista trzy lata pracował; nie ma przygniatających wielkością lub obfitością swych ozdób mebli, ale jest przeszliczny bufet Fourdinois, jest wspaniała biblioteka Barbedienna, są biurka Krunera, Jolego i wielu innych, a szczególniej téż meble Tahana. W tych rozkosznych sprzączkach wi-

dno nie o to chodziło artyście, aby w nie włożyć ozdoby bez miary i wyboru, trudności bez potrzeby, ale aby utworzyć dzieło, że tak powiem przystępne oczom ludzkim, które się rade na nich zatrzymują. A nie tylko w meblach kosztownych panuje wykwinność formy i elegancya; w najtańszych, w dostępnych niemal dla każdego wyrobniku, spostrzeżesz gust i pewną szlachetność zewnętrzną; bo cała wystawa Francyi przesiąkła jest artystycznością, napojona estetycznością formy i zewnętrzną ogładą.

Po przepysznej wystawie wyrobów jedwabnych, rzuciwszy okiem na wspaniałe szale paryzkie i lyońskie, prowadzę czytelnika do obszerniej sali porcelany i gobelinów. Kto gobelinów nie widział, kto nie miał sposobności uwielbiania tej żywości kolorów i tej doskonałości rysunku, których tylko fabryki francuzkie posiadają tajemnicę, ten nie może mieć pojęcia o nadzwyczajnym wrażeniu, jakie sprawia widok tych ogromnych dywanów, zasypanych bukietami cudownych kwiatów, lub wiernie przedstawiających arcydzieła malarskie. W tym samym oddziale mieszczącym arcydzieła, na które ceny podobno nie ma, znajdują się wyroby fabryki z Sévres i innych zakładów fabrycznych porcelany. Oglądając przeszliczne na tych wazonach, statuach i stolikach ozdoby, zachwycając się wybornymi malowidłami, które ręka artysty umiejętnie wykonała, a ogień na zawsze utrwalił; niełatwo przyjdzie na myśl, ileto niesłychanych trudności trzeba było zwalczyć, ile względów mieć na uwadze i ilu ostrożności użyć wypadło, aby mozolnie wypracowane obrazy, nabrały w ogniu pożądanego koloru i potrzebnym zajaśniały blaskiem. I w tym rodzaju Francya celuje, bo chociaż piękne są porcelany angielskie, wyborny jest gatunek saskich, doskonałe odciski duńskich, piękne malowania wiedeńskich, to świeżością kolorytu i gustem, nie wyrównywają Francyi. Jako arcydzieło malowania na porcelanie wystawione są we środku portrety naturalnej wielkości królowej Wiktoryi i ks. Alberta. Toż samo trzeba powiedzieć o bronzach i złotniczych wyrobach, chociaż między fabrykantami paryzkimi nie znalazłem kilku najcelniejszych. Bronzy Vittoza, Miroya, Barbedienna i tylu innych, o których wspomnę później, godnie reprezentują ten przemysł właściwy Francyi. Wszyscy cudzoziemcy zgadzają się, że bronzownicy francuzcy na całym świecie nie mają współzawodników; jest w ich produkcji tyle siły, gustu, ducha wynalazczego, i świętego ognia sztuki, że tak dobrze Anglicy, jak Niemcy i Belgowie, oddają im

zasłużone pochwały. A nie mniejsze należą się złotnikom. Wyroby Froment-Meurisa, w ciągu kilku tygodni od chwili otwarcia wystawy, zyskały sławę europejską; toaletta ks. Berry i grupa cyklopów dźwigających glob, przewyższają wszystko, czémkolwiek ten rodzaj przemysłu może się poszczycić zagranicą. Ozdoby jubilerskie Demonniera i kilku innych, którzy oxydując srebro, umieli mu nadać poważny historyczny koloryt, jedne zachwycają bogactwem, drugie misterném wykonaniem, charakterystycznością figur i wybornym rysunkiem, budzą w patrzących uwielbienie. Z produktów surowych najciekawszym jest jedwab i worki jedwabnicze, a między niemi celuje przedziwna rasa Brońskiego, o której bliższych szczegółów podać nie omieszkam. Fortepiana Erarda szacowne są tak pod względem ozdób, jako i doskonałości muzycznój; lecz obok nich znajduje się wiele fortepianów organowych i organów drobnego rozmiaru, jak niemniej fortepianów biurkowych, którym nie można się dość nadziwić, słysząc, iż z tak małych instrumentów wychodzi harmonia tak pełna i tak dźwięczna. Kilka machin rolniczych francuzkich zasługuje na bliższy rozbiór; godną jest uwagi machinka ślepego dla ślepych, a zbiór machin fabrycznych jeśli znika w obec ogromu i potęgi angielskich, to jeszcze względem zagranicy bardzo zaszczytne zajmuje stanowisko.

Lecz w żadnym stosunkowo kraju przemysł nie rozwinął się tak wysoko obok trudności, jakie ma do przełamania, jak w Szwajcaryi. Drobną ta Rplita kilka salonów zapełniła mistrzowskimi wyrobami, między któremi sukna, tkaniny jedwabne, wełniane i bawełniane zyskują pochwały znawców, a wstążki z Bazylei i Zurychu na całej wystawie górują. Skrzynki, tabakierki i zegarki grające, ten właściwy Szwajcaryi przemysł, w bardzo znacznej znajdują się ilości, lecz nadewszystko celuje Szwajcaryja zegarkami. Oglądając nie bez zdumienia tak wysoko rozwinięty przemysł Szwajcaryi, z tém większą postrzegłem uciechę, że najpięrszym fabrykantem Genewy, owego najslawniejszego w zegarmistrzostwie miasta, jest rodak nasz Patek et Comp. Wprawdzie nie zamierzyłem na dzisiaj wdawać się w szczegółowy rozbiór, lecz tutaj, w pałacu powszechnój wystawy, w obec cudów przemysłu całego świata i w obec bolesnój nieobecności naszego przemysłu, widok górujących nad innemi wyrobów ziomka jest zjawiskiem tak radosném, że się od niego oderwać nie można. Pozwólcie więc czytelnicy, że was nieco zapoznam z wystawą Patka.

Jestto najkompletniejsza i najbogatsza wystawa zegarków kieszonkowych, jaką w pałacu tym znaleźć można. Wszystko w niej jest: od najprostszycy zegarków, aż do najskomplikowańszych, najozdobniejszych i najlepszych; od zwykłych zegarków złotych za 200 fr., aż do miniaturowych zegareczków po 5,000 fr. sztuka, aż do najregularniejszych chronometrów, a wszystko wyrobione z pedantyczną ścisłością, i wszystko od najdrobniejszych ząbków i kóleczek aż do najkosztowniejszych emalii i najmisterniejszych kopert wykonane w zakładzie Patka. Ma on odrębne sposoby robienia; robi bowiem prędzój, doskonalej i na większą skalę. Mówilem z nim po kilka razy i zachwycony byłem tym świętym ogniem, którym pała dla swój sztuki, zdumiony pracowitością i duchem przedsiębiorczym człowieka, który nie mając żadnej pomocy, żadnych zapasów, z niczego stał się najpierwszym zegarmistrzem w świecie. Kiedy burza r. 1848 rozpedziła wyrobników i wyludniła fabryki po całej Europie; kiedy robotnicy genewscy oddaleni z warsztatów, zmuszeni byli z łopata w ręku iść na okopy i tam nieznanym sobie sposobem zarabiać na chleb: Patek sam jeden w Genewie nietylko czeladzi nie oddalił, nietylko zapłaty nie zmniejszył, ale owszem zpomiedzy oddalonych z innych fabryk wybrał co najlepszych i do swego przeniósł zakładu. Przed niedawnym czasem mieszkańcy Genewy *zmusili go* do zrobienia wystawy na miejscu, i rzecz dziwna, współzawodnicy jego, ludzie tym samym co on sposobem zarabiający na chleb, jednozgodnie przyznali mu pierwszeństwo.

Ale jakżeżbo nie przyznać, jak nie uwielbić tych chronometrów, które z słońcem spierają się o regularność, jak się nie dziwić zręczności robotników, którzy potrafili wykonać zegarek najmniejszy jaki jest na świecie, osadzony na 8 rubinach i mający $3\frac{3}{4}$ linii średnicy. Gablotka jego przez cały dzień otoczona jest tłumami przechodniów; są między nimi Angliacy, Francuzi i Niemcy, są zegarmistrze z profesyi, są znawcy zawołani, a w ustach wszystkich jedno jest tylko słowo: Patek pobił zegarmistrzów całego świata. Widziałem wielu fabrykantów, ale jeszcze żadnego nie zdarzyło mi się znaleźć, któryby dla produktów swoich był tak surowym, tak wymagającym, takim pedantem w każdym utworze jak Patek. Nie puści on z rąk żadnego zegarka z którego by sam nie był zadowolniony, nie zraża się żadnymi trudnościami i żadnym nakładem. Jak wiadomo, jemu winne są zegarki ulepszenie, iż się bez kluczyka obejdują, guziki jego nakręcają

i regulują zarazem. Pomiedzy mnóstwem zegarków które tu widziałem, uderzyły mnie szczególnie chronometry, z których każdy odbył próbę w obserwatoryach szwajcarskich i ma dla siebie osobne urzędowe świadectwo. Chronometr bijący (nr. 2780) ma w guziku kompas merski mający 4 linie; ale co w nim najbardziej zadziwia, to połączenie dwóch werków, tak, że sekundy są niezależne od godzin i minut: osobno jedne i drugie iść mogą, a jednocześnie nakręcanie nie grozi bynajmniej sprężynie pęknięciem. W chronometrze tym wychwyt jest kotwiczny. Są inne chronometry i półchronometry, to jest takie, których kompansacja nie jest doprowadzona do ostatniego stopnia; jest zegarek z pomnikiem Mieczysława i Bolesława, z portretem Washingtona, Kościuszki i Poniatowskiego, których rysunek zawstydzia staloryty i zyskuje oglądony przez szkło znacznie powiększające; są koperty wystawiające polowanie misternie dłutowane w złocie; jest portret Dudleya Stuarta, robiony metodą dotąd nieznaną przez napuśzczanie kwasem w złocie; są pokrywy dyamentowe i obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej w nieporównanej emalii; są zegarki z ukrytymi portretami, których nikt nie znajdzie nie wiedząc sekretu otwierania; są zegarki dla ślepych systemu Bregeta, czy też Leroya; jest mnóstwo innych piękności i zalet, których oko moje nie dojrzało albo myśl ocenić nie umiała. Lecz czegom ja nie odgadł, przysięgli sędziowie poznają i nie omieszkają wykryć; tém bardziej, że wystawa zegarków kieszonkowych w innych oddziałach jest bardzo nieznaczna. Francuzi celują w zegarach stołowych, w których ważniejszą rzeczą bywa ozdoba niżli sam zegar; Anglicy w chronometrach morskich i regulatorach astronomicznych, co wreszcie jest bardzo naturalnem przy wielkim odbycie i wpływie rządu na wzrost przemysłu, gdy każdy chronometr który odbył całoroczną próbę na morzu i dopełnił przepisanych warunków, po nader wysokich cenach zakupuje admiralicyą. Słyna więc w chronometrach Frodsham i Dent z Londynu, w regulatorach Parkinson i Frodsham; ale fabrykacja zegarków kieszonkowych albo żywi się kołami i sprężynami genewskimi, albo też dostarcza niezmiernie kosztownych wyrobów.

Przeszedłszy od strony północnej Sardynią, Toskanią i Rzym, z których pierwsza aksamitami i drewnianymi mozaikami, druga sycerskimi ozdoby, nieporównaną rzeźbą i florencką mozaiką, trzecią zaś podobniez wspaniałymi statuami, mozaiką rzymską szklaną i marmurową bardzo wysoko się zaleca; minawszy Portugalią, która oprócz produktów surowych mało co nadesłała, i Hiszpanią, w której

obok słabych próbek jedwabniczych wyrobów, uderza wspaniałą stół mozaikowany, składający się z trzech milionów cząsteczek, i piękna monstrancya z Madrytu: dostajemy się do Grecyi, która choć będąc krajem chrześcijańskim, już nosi na sobie cechę Wschodu i bardziej do Azji, niż do Europy zdaje się należeć. To, czém wystawa turecka, perska i tuniska głównie się odznacza—przepych i zbytek strojów, to jest właściwe w Grecyi, gdzie oprócz wspaniałego kostiumu narodowego mało co więcej da się znaleźć. Coś podobnego widzę w Persyi i Turcyi, z dodatkiem kosztownych broni, kilku ciemnych dywanów, nieco produktów chemicznych, liści tytoniowych i kolleki fajek, cybuchów i nargilów. Daleko wielostronniejszą jest wystawa tuniska granicząca z Szwajcaryą; są w niej niezmiernie bogate kostiomy, pracowicie i kosztownie złotem wyszywane, są téż samej roboty rzędy końskie, ale znajdują się zwykłe ubiory, produkta surowe, wyroby fajansowe, nieco przedzdy: zgoła mniej więcej wszystko, co przemysł tego kraju wydaje.

Z Tunisem i Szwajcaryą graniczą Chiny. Jako podróżny bląkający się po ulicach Pompei nie bez zdumienia przypatruje się samotnym domom i ukradkiem poziera na ostatnie ślady tego życia, które przed dwoma tysiącami lat zagaśło schwycone niespodzianie wybuchem wulkanu, i stąpając powoli ogląda się za każdym krokiem dziwiąc się niejako, że mu wolno jest widzieć to, co przeszłość na zawsze w sobie zakopała; tak i ja dostawszy się do sal Niebieskiego państwa, które po raz pierwszy zdarło z siebie tajemnicze zasłony, przypatruję się z zajęciem wszystkiemu, wyteżam uwagę aby obaczyć jak najwięcej i jak najspieszniej, bo czuję się przeniesiony w inny świat, w inne wieki, w inną cywilizacyą. Nie bez zdumienia przechodzę obok dozorcę Chińczyka, który z niezwykłą sobie uprzejmością, złą angielszczyzną pospiesza udzielać żądanych objaśnień i zapuszczam wzrok mój w ogromne zbiory przedmiotów, z których każdy jest inny, każdy inaczej i w innym celu zrobiony, a każdy dowodzi nieskończonej wyższości i wprawy rąk wyrobników chińskich nad artystami europejskimi. Pierwsza rzecz, która najbardziej uderza przechodnia bogactwem swém i dziwactwem, jest kostium mandaryna; oprócz kapelusza ostrego, warkocza spadającego aż po pas i trzewików z podniesionemi do góry szpicami, ubiór ten składa się z długiej sukni z wiszącymi rękawami, na której wyhaftowano całą kosmogonią chińską, starożytną i nowożytną historią, dzieje stworzenia i chaosu. Ile trzeba było pracy i cierpliwości do ukończenia tego dzieła, wyobrazić sobie trudno. Już o wspaniałych szalach, wa-

chlarczach i inkrustacyach misternych nie mówię; pomijam porcelanę, zabawki chińskie i szereg haftowanych obrazów; zamilczam nawet o rzeźbie z kości słoniowej, która jest arcydziełem pracowitości ludzkiej, bo cacek tych i arcytworów jest taka ilość, że trzeba by kilka miesięcy na szczegółowe obejrzenie, a kilka tomów na dokładne opisanie. Ale jak pomijając snycerskie pracowite rzeźby na węglu kamiennym, jak owe prześliczne wazony, które naśladowują porfir szorsty i ciemny marmur; jak opuścić wyborne modele domów i willi chińskich z kości słoniowej lub perłowej macicy wydłubane. Wszystko to są owoce pracy, wytrwałości i mozołu; na pierwszy rzut oka odgadnąć można, iż kraj, który te wyroby nadesłał, zanadto wiele ma rąk, kiedy życie człowieka na wykonanie jednego cacka poświęcić może, że już się przeżył i w cywilizacji zestarzał, gdy mu potrzeba tak wyszukanych form i tej w Europie nieznaną drobiazgowości. A przecież mimo zdolności artystów chińskich i mimo ich pracowitości, nie potrafią oni tak szybko i tak dokładnie uprząść ogromnych sztuk płótna, perkalu i tylu innych wyrobów, jak najbiedniejszy wyrobnik angielski dozorujący pracowitą maszynę.

Lecz czas już zbliżyć się do końca i przeszedłszy bez stracenia chwili jeden z najpiękniejszych widoków, jaki się oczom ludzkim rozwiera, to jest nawę środkową z jej wspaniałemi statuami, kryształowemi fontannami, promieniejącemi ogrodami i trzema majestatycznemi drzewami, które znikają w majestatyczności budynku, przejść do drugiej połowy pałacu przeznaczoną wyłącznie na wystawę królewstwa W. Brytanii i jej osad. Szybko po niej oprowadzę czytelnika, bo w systematycznym rozbiórce tu mi się najdłużej za każdą razą zatrzymać przyjdzie; ale pierwój obznajomić go muszę z przepychem, bogactwem i wspaniałością wystawy indyjskiej. Jaki przepych, jaka delikatność roboty, jaki blask i harmonia kolorów! Jak te rubiny, topazy i szmaragdy potyskują wesoło nie drażniąc cię swoją świetnością; jak umiejętnem jest to stopniowanie barwy i jak doskonale ułożone są wszystkie odcienia! Dzień cały stałbym w zadumieniu przed tém siodłem z karmazynowego aksamitu, na którym najwyższymi zbytek porozrzucił hufty ze złota i pereł, lub przed innym ze skóry różowej, którego wcięcia tak misternie są wyrzynięte. Teraz proszę sobie wyobrazić także siodło ze stosownym rzędem na koniu arabskim białym i lekkim jako piana morska, szerokiemi nozdrzami chwytającym wiatr stepowy, którego szybkość zdaje się mierzyć, i długim ogonem zmiatającym piasek pustyni. A na tym koniu niechaj usiądzie jeden z tych rajahów, których zbrojownią ba-

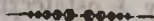
iecznej wspaniałości rozwieszono na ścianach, w małym kasku, na którym powiewa kilka piór czarnych i z tarczą okrągłą złotymi gwóźdźkami wybijaną; z lancą, łukiem i strzałami, a za pasem jeden z tych szerokich jataganów w złotej i aksamitnej pochwie, które klóćą cię swym blaskiem, bogactwem rękojęści i oprawy. Czy może być widok wspanialszy, czy może być wierniejszy obraz niewyczerpanej natury, która wszystkie kolory swych tęczy, wszystkie blaski swych promieni, wszystkie wonie swych ogrodów, wszystko cokolwiek w świecie roślinnym i zwierzęcym jest najwspanialszego, po błogostawionej ziemi rozsiała.

W żadnym podobno europejskim języku nie znajdzie się dosyć słów, aby wyszukać nazwisk dla nieskończonej ilości i różnaitości broni palnej i siecznej, która się znajduje na wystawie indyjskiej. Rozuzdana imaginacya mieszkańców południowej strefy ustroiła w świetne ozdoby mordercze narzędzia, obrzuciła złotem długie flinty i pistolety, spiżowym armatom nadała kształt smoków zionących ogniem. Obok nich, pominąwszy ogromną i nader zupełną kolekcycą produktów surowych, zwierzęcych, roślinnych i kopalnych; pominąwszy znaczną liczbę sprzętów domowego użytku, którym przypatrując się, można się oswoić z gospodarstwem Indyanów; wyrobów prostych i pospolitych tkanin, znajdują się instrumenta muzyczne formy dziwacznej i niezgrabnej; skrzypce, gitary, tam-tamy, piszczałki z gutta-perki, kociołki obite skórą, których mechanizm tylko wirtuozi z Ceylonu lub Singapore mogliby nam wytłumaczyć i uszczęśliwić uszy nasze melodyjnemi tony. W pobliżu znajduje się kolekcya skrzyńeczek i puszek na perfumy w różnych modelach, według godności osoby: bo prawa hierarchiczne szanowane są tam aż do najdrobniejszych szkatulek; taka forma dozwolona jest tylko rajahowi, téj używać może hindahara t. j. skarbnik, a téj, sam tylko tamungung t. j. minister wojny. Wszakże trudno wypowiedzieć z jaką delikatnością drobiazgi te są wykonane; z jaką zręcznością pracują ci jubilerowie wędrujący, którzy chodząc od wsi do wsi i od miasta do miasta, najmują się na czas pewien, a zawołani rozstawiają swój kociołek i w jednej chwili złoty piasek przetapiają na gustowne kolczyki, bransolety, brosze i t. p. Lecz zapomniemy wnet o złotnictwie indyjskiem, jeśli się przyjrzymy szalom i dywanom. Wybrano najjaskrawsze jedwabie i aksamity, i zarzucono je łokciowemi pasami złota; złote bukiety rozsypano na muślinie idealnej delikatności; porozwieszano złotogłowie rażące oko swym blaskiem. A cóż mówić o dywanach z karmazynowego i szmaragdowego aksamitu, tak deli-

katnego jako puch brzoskwini i obciążonego nie deseniem, ale platanami złota. Na dywanach porozkładano meble, ale tak misternej roboty, stoly i stolki z taką delikatnością rzezane, krzesła z kości słoniowej *à jour* tak pracowicie wydłubane i łoża przygniatające swém bogactwem, zbytkiem i nieskończoną ilością najgustowniejszych ozdób, że każdy kto ocknąwszy się z pierwszego wrażenia może sobie zdać sprawę z tego co widział, zapyta siebie: gdzie są mieszkańcy tych namiotów, gdzie są stworzenia, któreby się poważyły zasnąć na tych łożach lub dywanach i zasiąść na tych nieocenionych meblach, kiedy się zdaje, żeby je zbrudziły nimfy powietrzno i zaproszyły sylfy swemi skrzydłami.

A przecież te arcydzieła, których widokiem oko i umysł czuje się znuzone, pochodzą z kraju barbarzyńców, z rąk tych oto ludzi, których miniatury w osobnym rozstawione namiocie: opalonych, schudzonych i nagich. Ach! cóżto za kraj niewdzięczny, który ludziom przynoszącym przemysłowi jego zaszczyt, dozwala umierać w nędzy i zapomnieniu! I to jest właśnie najwidoczniejsza różnica przemysłu zachodniego, różnica cywilizacyi i barbarzyństwa, różnica chrystyanizmu i pogaństwa, że jako druga strona tego medalu błyszczącego, jakim jest wystawa wschodnia, przedstawia się najstraszniejsza nędza robotników; że im jaskrawsze te kostiumy, im świetniejsze brylanty, im delikatniejsze roboty, im majestatyczniejszy zbytek wyrobów, tém gorętsze łzy biédnego paryasa, tém sroższa niedola nędzarza, który skazany jest na pracę. Oto, że narody wschodnie dźwigają jeszcze na sobie przekleństwo przedwieczne: „będziesz pracował w pocie czoła twego”, kiedy robotnicy zachodni wyręczają się po większej części machinami, a każdój zasłudze i każdemu wysileniu odpowiada nagroda. Pojrzyjcie na ten namiot Indyanów; co to za widok bolesny! Kobiety nagie, do pół ciała zanurzone w bagnie wyciągają płótno rękoma ciemnymi jako bronz florentyński; mężczyźni pochyleni w obdartém odzieniu, z nędzą i głodem wyciśniętym na twarzy, nawlekający złote nici i wyszywający z boleścią w sercu, z czczością w żołądku te oto arcydzieła, które nas rozweselają. A dalej, te warsztaty bez narzędzi, te fabryki bez machin, te pracownice brudne i ciemne, ileż tam smutku i nieszczęścia! I taki stan trwa od wieków i trwać będzie może jeszcze wieki, dopóki łagodny powiew Zachodu nie podniesie tych nieszczęśliwych pokoleń. Ach! ileżto trzeba cierpliwości i siły, aby znieść spokojnie wszystkie nieszczęścia dręczące ród ludzki!

Opuśćmy te złote salony, na które jużbym teraz bez wstępu nie mógł patrzeć, i odetchnijmy powietrzem cywilizacyi. Oto Anglia, potężna Anglia, ojczyzna przemysłu, pierwsza kolumna armii rodu ludzkiego, która dąży do wspólnego szczęścia. Cóżto za ogrom, co za potęga sił ludzkich, jakie bogactwa, jaka massa zdobyczy człowieczego rozumu nad surową naturą. Przemysł pozostawiony sobie samemu, nieprotegowany z góry, rozwija się o własnej mocy, szeroko, przestronnie; widno, że drzewa które te owoce wydały, przyjęły się i bujnie rozrosły na ziemi angielskiej; widno, że to są rodzime, nie trejbhauzowe rośliny. Gdziekolwiek rozum ludzki dotarł po innych krajach, jakiegokolwiek próbki swoich wysiłen nadesłał przemysł zagraniczny, wszystko tu się znajduje w dostatku i hojności niewidzianych dotąd. Są dzieła sztuki pięknej, są jedwabie, porcelany, złotnicze wyroby; a choć w niektórych punktach ustępują zagranicy, przewyższają wszędzie zamożnością i praktycznym użytkiem. Najzupelniejszy dobór produktów surowych, kopalin, przedmiotów pierwszej potrzeby i najwyszukaniszego zbytku, narzędzia najprostsze, najsztuczniejsze modele i najwyszukanisze maszyny. A maszyny: ten zaszczyt rozumu ludzkiego, te niezmierne potęgi, jakby słowem czarodzieja wywołane z żelaza i pary, które z czoła ludzkiego otarły pot, i zastąpiły go w najcięższych pracach. Żaden naród europejski, wszystkie nawet razem wzięte, nie mogą wyrównać Anglikom pod względem machin. Tu oni są na właściwem sobie polu: ich prassy hydrauliczne, ich lokomotowy, ich maszyny okrętowe przechodzą wszelkie znane dotąd proporcye. Ich wagony, powozy, modele mostowe, narzędzia rolnicze uderzają swą śmiałością i użytecznością. Zaprawdę przechodząc się po tych ogromnych salach maszyneryi angielskiej, człowiek blizkim się czuje bałwochwalstwa ludzkiego i rad się korzy przed potęgą rozumu, który potrafił stworzyć istoty żyjące i działające według jego woli z taką akuratnością, z takim skutkiem i z tak zimną krwią, do jakich ręce ludzkie nigdy nie są zdolne. Po wielekroć w następnych artykułach będę miał sposobność uznania prawdziwej wyższości Anglików, i uderzyć czołem przed duchem przedsiębiorczym, pracą i wytrwałością tego narodu, który z tych samych początków co każdy inny wyszedłszy, tak się wzniósł wysoko, że patrząc się na jego przemysł, na jego bogactwo moralne i materialne, na jego instytucye i zwyczaje, na jego moralność i wysokie uszlachetnienie, niemal z rozpaczą nasuwa się myśl przypominająca, o ileto wieków oni nas wyprzedzili!...



KRONIKA LITERACKA.

Życiorysy znakomitych ludzi wsławionych w różnych zawodach.

Tom IIgi. Warszawa, 1851 r.

Donieśliśmy przed kilką miesiącami o wyjściu tomu Igo Życiorysów; obecnie mamy już przed sobą tom 2gi. Tom ten zakończył oddział Iszy obejmujący artystów i literatów. Mówiliśmy już o zasłudze i zaletach tego wydania i do tego odwołujemy się. Czynność autora Życiorysów winnaby nas zawstydząć, spółkrajowców. Możemy tylko wieszować oraz zazdrościć pisarzowi, który za każdym nowym krokiem w literaturze umie ukazać szereg wykonań, jakich dawniej jedna oderwana próbka zaręczyłaby już była głośność i sławę.

Nie myślimy bynajmniej być stronni i zapewne mówilibyśmy nieprawdę twierdząc: iż wszystko co otrzymujemy w tej publikacji widzi się nam bez skaz. Moglibyśmy np. uczynić zarzut w obecnym oddziale co do wyboru osób. Autor zamierzył w tym oddziale przedstawić nam wsławionych artystów i literatów ze wszystkich krajów i wieków, i wykonał to w liczbie, jak na zakres niewielki, siedmiesięciu kilku; wybór więc, zdaje się nam, stanowiłby był winien w tym razie stopień zasługi: prawidło to jednak oczywiście niezawsze miał na względzie wydawca. Jeżeli np. autor zamierzył był dać nam poznać z poetów niemieckich tylko dwóch, dlaczegoż nie byli niemi Szyller i Göthe, lecz tylko dwaj drugorzędni poeci; jeżeli ze współczesnych Czechów mieliśmy poznać tylko jednego, dlaczegoż nie był to Szaffarzyk albo Palacki, zamiast autora grammatyki, który ma zapewne swoją zasługę, lecz większą zasługę mieli dla nas nasi grammatycy, a nie widzimy w zbiorze żadnego; jeżeli mogliśmy poznać ludzi naukowych ze wszystkich krajów, gałęzi, dlaczego mamy tylko dwóch podobnej sobie zalety i ostatecznie jeszcze nieukończonych

(Thiers i Guizot); a i pośród krajowców, jakkolwiek zbiór ich z każdego wieku jest obfitszy, dla czego ludzie miernej lub prawie żadnej zasługi znaleźli tu miejsce, a potrącili rzetelnie wsławionych. Umieszczeni tu np. z wizerunkami Marcin Nikuta, Molski, Kruszyński, a nie znajdują się Naruszewicz, Czacki i t. p. Co do wykładu życiorysów moglibyśmy niekiedy wyrzucić redaktorowi niedopilnowanie jedności w charakterystykach, w uszykowaniu faktów i t. p. Życiorys Kornela objaśnia nam np. że autor ten dosięgnął szczytu sztuki, a wnet idący Osiński polajany jest, iż był tłumaczem Kornela; część biografii J. D. Minasowicza może się raczej zdawać wypisem ze stanu służby przy przedstawieniu do nagrody, jak biografią poety; o Lakorderze czytamy, że zasiada *dziś* na ławkach parlamentu i t. p. Przewinienia te sam wydawca lepiej zapewne od nas dziś czuje.

Wszakże grzeszylibyśmy zbyt więcej twierdząc, że lekkie te skazy, te ułomności, nieodstępne od jakiegokolwiek bądź miary i gałęzi dzieła ludzkiego, zmniejszają albo nawet w czem zaciemniają miarę dokonanej zasługi.

My, którzy w naszym języku przed rokiem jeszcze nie mieliśmy żadnej prawie biografii ludzi zasłużonych własnych lub obcych, mamy teraz ich kilkadziesiąt, częścią przeniesionych, a po nader większej części w domu odgrzebanych lub utworzonych. Pomimo to co rzekliśmy o wyborze, nie możemy zaprzeczyć, iż zarzut ów do niektórych tylko stosować się może szczegółów; iż w ogóle za kryterjum w wyborze autor zdał się mieć popularność imienia (a ta nigdy istotnie nie jest bez przyczyn); iż prawie z każdego kraju znajdujemy i mamy przed sobą te większej głośności imiona; iż mny je mianowicie starannie zebrane u nas, a wśród nich biografie osób, które z kądną możeby nie znalazły biografii, mają zasługę materyalu do dziejów literatury.

W całości oddziału artystów i literatów polskich umieszczeni tu: Arciszewski Krzysz., Bandtkie J. S. Bandtkie J. W. Bielski Marcin, Birkowski, Bohomolec, Falkowski Jakób, Gawarecki, Gołębiowski, Lubomirski Edward, Jakubowski Józef, Łojko, Lubieński Władysł. Alexan. Maciejowski W. A., Nikuta, Siarczyński, Śliwicki, Skarga, Strykowski, Święcki, Brodziński, Bronikowski, Bogusławski Wojciech, Feliński, Kamiński J. N., Karpiński, Klonowicz, Książnin, Krasicki, Kraszewski, Korzeniowski, Kropiński, Kruszyński, Minasowicz, Molski, Orłowski Alex., Osiński, Rej, Szymanowski, Szymonowicz, Trembecki, Węgierski, Drużbacka, Jaraczewska, Kra-

sińska Franciszka, Oleśnicka Zofia. Z francuzkich: Auber, Berenger, Kornel, George Sand, W. Hugo, Lacordaire, Thiers, Guizot; z włoskich: Dante, Tass, Aryost; z angielskich: Bajron, Milton, Moor, Szekspir, Walter-Skott; z niemieckich: Bürger, Körner; z hiszpańskich: Kalderon; z portugalskich: Kamoens; z rossyjskich: Karamzyn, Puszkina; z czeskich: Dobrowski, Flanka; z słowackich: Kollar.

O wykonaniu tych życiorysów możemy tylko powiedzieć zdanie krótkie, lecz wartość publikacji wiernie, sądzymy, określające: iż każdy życiorys daje nam poznać dokładnie osobę opisywaną; poznajemy tu ją z głównych rysów jej życia, zawodu, szczegółów zasług, wiernej charakterystyki, nieraz żywych prób jej talentu, z jej postaci fizycznej, nawet charakteru jej ręki i t. p. Autor zapowiedział nam zbiór życiorysów, nie zaś rozpraw naukowych lub estetycznych, i czytelnik nie ma prawa nic innego wymagać, jak życiorysów; nie może mieć jednak urazy, iż jakby dla właściwszego uczczenia opisywanej zasługi, w opisie ludzi naukowych napotyka tu życiorysy mające wartość naukową, ludzi fantazyi, życiorysy w których przemaga fantazyja i t. p.

O publikacji tej p. Wojcieckiego chlubne i wdzięczne czytaliśmy już wzmianki w pismach zagranicznych; lecz ze zdziwieniem widzieliśmy ponawiane napaści na redaktora w pismach miejscowych.

Najnieprzyjaźniejsze z tych zdań jednak przyznały: iż wydawca okazał „szczególne odczytanie i skrętność w zbieraniu szczegółów do życiorysów” a to jest wszystko, czego ściśle od publikacji Życiorysów ma prawo żądać czytelnik. T.

Odpowiedź pana Szulca.

W kronice za miesiąc ubiegły, daliśmy treść i charakterystykę książki pana Dominika Szulca, *O źrudle wiedzy tegoczesnej*. P. Szule w odpowiedzi umieszczonej w nr. 148 *Gazety Warszawskiej* oświadczył, iż nie mieliśmy prawa czynić uwag nad wysokością zasady tej książki, a to dlatego, iż w treści ich dostrzegł pięć zdań, które przeciwne są zdaniom innych pisarzy.

Wypisujemy tu dosłownie te przeciwności, jak je autor przytoczył, nie opuszczając nawet podkreśleń.

T. (tojest zdanie nasze w kronice zesłomiesięcznej): Plato w całości nauki swojej był głównie praktykiem.

Apelt: Platona fantazyje, są poetyckimi *baśniami*, niemającymi głębszego naukowego znaczenia.

T. Nic prawie o stosunku gwiazd do ludzi *dotąd nie dowiedzieliśmy się nad to, co napisał jeszcze Mojżesz.*

Steffens. Autor systemu planetarnego, przyłożywszy siekiere do korzenia *wszelkiego poglądu ówczesnego*, najgłębsze fundamenta owęj wiedzy wyrócił.

Whewell. W walce z *filozoficznymi zasadami*, najpiérwój okazało się światło w szacie systemu planetarnego.

T. Fakt największy w żeglarstwie, odkrycie Ameryki, był jeszcze na pół wieku przed wykładem systemu planetarnego.

A. Humboldt. Kolumb umarł w silném przekonaniu, że się dotknął *tylko wschodniej części Azyi.*

T. Taki fenomen (napisanie Teoryi Jestestw organicznych), *przyjając raczej musimy jako skrzywienie prawa natury.*

I. Muller. Zasady życia Śniadeckiego, są *dziełem znamienitým, zaletoným dziwną konsekwencyą.*

T. Doświadczenie jest *najwyższym środkiem* w badaniu prawdy, jestto kryterium najwyższe—*tylko dla dzieci.*

A. Humboldt. Pewniki wieków minionych, stawszy się *błędem*, utrzymują się tylko jako *zabobon* pomiędzy ludem i ludźmi, którzy dla braku oświaty, do ludu prostego należą; *uwieczniają się one w pewnych naukach, co to rade udają się pod zasłonę tajemniczości*, aby pokryć swą niemoc. (*Kosmos we wstępie*).

Czytelnicy Biblioteki wiedzą, żeśmy nie powiedzieli i słowa przeciw zaśludze systemu planetarnego, jako systemu; żeśmy Teoryi Jestestw nie nazwali skrzywieniem prawa natury, owszem wskazaliśmy, że ją za to podał sam autor; wiedzą także, nie wątpimy bynajmniej, że to co Kolumb odkrył, nie było Azya, ale Ameryka, i że odkrycie środka Ameryki było już faktem lądowym, a nie żeglarskim. Wnioski wszakże z przedstawionych porównań, nie do nas należą; mamy zaś tylko za obowiązek (z powodu zdań jakie słyszeliśmy), przemówić za oczernionóm przez autora stanowiskiem Humboldta.

Ze sposobu w jaki p. Szule uczynił przytoczenie zdania tego pisarza, możnby wnieść, iż ten istotnie empiryzm za szczyt naukowości, świat z doświadczeń i postrzeżeń wynikający za jedyny świat rzetelny uważa.

Tak jednak nie jest.

Czytelnicy znający dzieła Humboldta, a zwłaszcza *Kosmos* (z którego właśnie p. Szule uczynił wyjątek), wiedzą, iż autor ten ledwie nie na każdej stronicy tego pisma mówi o naturze wyższej i niższej, widomój i niewi-

domėj, *duchowej*) i materyalnej, (jak np. na str. 32: „Die Natur in beiden Sphären ihres Seins der materiellen, und der geistigen”).

Cytacya którą położył pan Szule, stosowaną jest tylko przez autora do pewników w naukach *fizycznych* (eine solche rohe Anhäufung *physischer Dogmen*, welche ein Jahrhundert dem andern überliefert etc. str. Wstępu 17), i mówi o naukach, które w kraju autora, ubóstwo wyobrażeń usiłują zastąpić ciemnością wykładu (*Dunkelheit*).

Wprawdzie nikt może tyle, a przynajmniej tak różnostronnych przysług nie uczynił w najnowszych czasach dla empiryzmu, jak Humboldt; dzieła jego są prawie wyłącznie spisaniem postrzeżeń, doświadczeń; i nikomu zapewne tylo nie mogłaby być wybaczoną stronność dla tego pierwiastku, jak autorowi *Kosmos*; autor ten jednak jeżeli z jednej strony nie tań, że czuje mnogość tych zasług, jakie dla nauk uczynił, z drugiej strony sam szczerze wyznaje, iż pojmuje rzetelne znaczenie ich, takie nie inne.

„Jestto powszechnie wiadomem, mówi w przedmowie do *Kosmos*, iż to wszystko, co zdobywa empiryzm, prędko się zmienia, starzeje i w zapomnienie przechodzi”. (Man es oft eine nicht erfreuliche Betrachtung genannt, das alles, was mit der Empirie, mit Ergründung von Naturerscheinungen und physischer Gesetze zusammenhängt, in wenigen Jahrzehenden, eine andere Gestaltung annimmt; ja dass, wie man sich auszudrücken pflegt, veraltete naturwissenschaftliche Schriften, als unlesbar der Vergessenheit übergeben sind. I, XV).

We *wstępie* zaś określając naturę i zadanie swojego dzieła, tak mówi: „Zamiarem moim w tym mającym się przedstawić opisie światła nie jest bynajmniej podciągać ogół zjawisk pod ogół praw rozumowych. To co nazywam w mém piśmie opisem światła (tak okręgu ziemi, jak niebios), nie ma bynajmniej pretensyi do stopnia *racyonalnej umiętaności*; jestto tylko przedstawienie empirycznych spostrzeżeń z zakresu całości natury. Nie odważam się bynajmniej puszczać na pole, które mi jest obcém, i *żywotniejszą* tę jego uprawę innym zostawiam”. „In meinen Betrachtungen ueber die wissenschaftliche Behandlung einer allgemeinen Weltbeschreibung ist nicht die Rede von Einheit durch Ableitung aus wenigen. von der Vernunft gegebenen Grundprincipien. Was ich physische Weltbeschreibung nenne (die vergleichende Erd und Himmelskunde), *macht daher keine Ansprüche auf den Rang einer rationellen Wissenschaft der Natur*. est ist der denkende Betrachtung der durch Empirie gegebenen Erscheinungen; als eines Naturganzen. *Ich wage mich nicht auf ein Feld das mir fremd ist und vielleicht von andern erfolgreicher behaut wird.*” I, 31.

Tak mówi Humboldt, a nie wątpimy, że i pan Szule, jeżeli zechce myśleć raczej o zgłębieniu tych empirycznych nauk, które dziś tak wychwała, jak o pochwałę ich, podzieli punkt ten widzenia swego dziś tylko idealnego mistrza.

Pan Szule zarzucił nam jeszcze w *Gazecie Warszawskiej*, żeśmy księgi Platona o prawach mieli za autentyczne; w nr. 150 téjże *Gazety Warsz.* wyjaśniliśmy, iż nie możemy je uważać za inne. T.

ROZMAITOŚCI.

Mormony.

(Dokończenie).

III.

Przymierze, które Mormoni podpisali, nie miało im wyjść na dobre. Zaraz 24 lipcą wystali najspieszniej Oliwera Cowdery w postannictwie do proroka, który był naówczas w Kirtland. Za jego przybyciem postanowiono na uroczystém zebraniu, któremu Józef Smith osobiście przewodniczył, że *Morning and Evening Star* będzie teraz ogłaszany w Kirtland, i że nowy dziennik pod tytułem: *Latter Day Saints' Messenger and Advocate* natychmiast się ukaże. Postanowiono także, że zażądają opieki p. Dunklin, gubernatora prowincyi Missouri, a drogą prawną dopominąć się będą wynagrodzenia krzywd, wyrządzonych kościołowi. Józef Smith w tych trudnych okolicznościach nie chciał odwiedzić Syonu, ale w towarzystwie Sidneya Rigdon udał się do Kanady, gdzie kilka dokonał nawróceń. W tym samym czasie gubernator Dunklin w odpowiedzi na prośbę Mormonów przysłał im list mądry i pojednawczy, w którym przyznawał, że wymierzony przeciw nim gwałt, był nieprawny i godzien kary, i polecał im szukać sprawiedliwości u zwyczajnych sądów. List ten wszędzie rozrzucono, a Mormoni tém ośmieleni, postanowili nie opuszczać Independence, lecz nieco dalej budować nowy Syon. Uformowali proces głównym ze swoich nieprzyjaciół, a za 1000 dollarów (5,300 fran.) zapewnili sobie obronę najlepszego adwokata. Ale to wszystko bardziej jeszcze oburzyło przeciw nim opinią. D. 30 października popółstwo podniosło na nowo broń, żeby ich z kraju wypędzić. Dziesięć domów świętych było w części zburzonych, a dni następnych kilka ich

domów w samém Independence uległo zniszczeniu. Na różnych punktach Mormoni silnie bronili swojej własności, i zaczął się bój regularny między 30 uzbrojonymi w karabiny, a liczną kupą ich nieprzyjaciół, także uzbrojonych. W tém starciu dwóch anti-Mormonów było zabitych. Rzeczy tak daleko zaszły, że milicya była przywołaną pod wodzą p. Boggs: ta całkiem była anti-Mormońską, i nieszczęśliwi święci zmiarkowali, że tylko nagłą ucieczką uratować się mogli. Rozlew krwi tak dalece oburzył przeciwko nim ludność, że nieroztropnością było jednemu Mormonowi pokazać się. Kobiety pierwsze poczęły uciekać i chroniły się na drugi brzeg Missuri. -

We czwartek, 7 listopada, brzegi rzeki zaczęły się zapelniać mężczyznami, kobietami, dziećmi, wózkami, skrzyniami, pakami, które przewoźnicy pospiesznie na drugi brzeg przewozili; a kiedy noc zapadła, we wszystkich kierunkach widzieć było można błąkających się ludzi: jedni pod namiotami, drudzy pod gołym niebem, leżąc koło ognia, zmęczeni deszczem, który lał strumieniem. Mała liczba zaledwie zdołała schronić się z dziećmi, rzeczami i jakim zapasem. Wiele nie wiedziało o losie rodziców i stracili wszystko co mieli. Widoku tego nie można opisać: rozdzierałoby się serce każdego człowieka, gdyby zaślepienie, namiętności i przesady głupiego fanatyzmu, nie stłumiły wszelkiego uczucia. Następných dni szukali schronienia w hrabstwach sąsiednich, największa liczba w Claj, które się okazało dla nich dosyć gościnnem. Ale ci, którzy chcieli osiedlić się w Van-Buren byli wypędzeni, jako też i w Lafayette: wszyscy musieli uciekać i gdzieindziej szukać opieki.

Władze jednak Missuri nie pochwalały tych gwałtów i zachęcały Mormonów do powetowania strat. Główny attorney napisał im, że jeżeli pragną odzyskać posiadanie ziemi, przyrzekał im opiekę siłą publiczną i radził im nawet zaprowadzić u siebie regularną milicyą, a nawet im broń rozdać obiecał. Prorok powrócił do Kirtland i napisał do świętych w ich niedoli, ale nie ośmielił się osobiście ich odwiedzić. Powtarzał, że Independence albo Syon było miejscem wybranem przez samego Boga na dziedzictwo świętych, i dlatego nie powinni sprzedawać ziemi, którą prawnie posiadają, a o wszem strzedz swoich praw aż do dnia, w którym Pan w swojej mądrości i otworzy drogę do ich powrotu". Miał także objawienie, w którym oznajmiono mu od Pana, że wszystkie nieszczęścia, które uciskają świętych, są sprawiedliwą karą ich grzechów. Syon przecież nie przestało być miejscem wybrania, a święci w dniu naznaczonym wejdą tam z pieniemi wiecznej radości. Objawienie, które było nadzwyczaj długie nakazywało świętym „rzucić się do nóg sędzi-

go, a jeżeliby ich sędzia nie wysłuchał, rzucić się do nóg gubernatora, a jeżeliby ich gubernator nie wysłuchał, rzucić się do nóg prezydenta Stanów Zjednoczonych, a jeżeliby ich prezydent nie wysłuchał, natenczas sam Bóg powstanie, wyjdzie ze swojego przybytku i ukarze cały naród."

Mimo to jednak nie udało się świętym; nigdy nie powrócili do Syonu, i przez cztery lata zostawali w Claj, ziemi nieurodzajnej, dziewiczej jeszcze, którą trzeba było jeszcze karczować. Z tych samych jednak przyczyn i ztamtąd wypędzeni zostali.

W historii ich wewnętrznej zaszły różne zmiany godne zajęcia.

D. 5 maja 1834 r. Józef Smith postanowił nareszcie odbyć podróż do hrabstwa Claj, żeby przywrócić porządek w swoim kościele rozproszonym i zdemoralizowanym. Urządziwszy karawanę ze 100 osób, składającą się z młodszych i starszych kapłanów, dyakonów, nauczających, udał się na jej czele do Missuri. Szli pieszo, a za nimi kilka wozów, w których były rzeczy, żywność i zapomoga dla świętych biedaków w Claj. Byli dobrze opatrzeni w broń palną, amunicją i wszelki oręż potrzebny do obrony. Po dwóch dniach przyłączyła się do nich banda złożona z 50 świętych również dobrze uzbrojonych. Józef podzielił swe wojsko na kompanie po 12 ludzi. Tak przebyli niezmierzone puszcze, przeszli rzeki i strumienie, „a chociaż, jak mówi sam Józef Smith, nieprzyjaciele nie przestali techną dla nich nienawiścią, nie śmieli ich jednak napastować w podróży, bo Bóg był z nimi, bo anieli jego byli przed nimi, bo wiara maliej trzódki była niewzruszoną. Wiemy, dodaje, że aniołowie byli naszymi towarzyszami podróży, bośmy ich widzieli."

Za ich przybyciem nad rzekę Illinu, zbiegła się ludność z ciekawości, co to za ludzie i gdzie szli. Robiono im pytania, a Mormony umieli na nie odpowiadać, i zataili swoje imiona, swoje wyznanie, rodzaj zatrudnienia, i miejsce przeznaczenia. Józef sam podróż incognito odbywał, a chociaż mieszkańcy dorozumiewali się czém byli rzeczywiście, nie śmieli jednak na nich uderzyć. Przeszedłszy rzekę szczęśliwie ze wszystkimi bagażami, po dwóch dniach obozowali wśród zgliszczów dawnych grobów Indyan. Tu Józef Smith odgrywał rolę proroka, a uczniom swoim dał nowy dowód prawdziwości księgi Mormonu, i historii Lamanitów, potomków żydów. Po mistrzowsku tego dokonał i z nadzwyczajną zręcznością. „Uroczystość miejsca, mówi Józef Smith, instynktem budziła w naszych duszach dziwne uczucia. Bracia wzięwszy motyki dla odkrycia jednego grobu, znaleźli na stopę głębokości w ziemi cały szkielet człowieka, którego bok przeszyty był strzałą Lamanitów. Widzenie przeszłości będąc otwarte mojemu umysłowi przez ducha Wszechmocnego, dowiedziałem się, że to szkielet Lamanity białego, wielkiego wzrostu i który żył

w Bogu. Byłto naczelnik i sławny wojownik pod wielkim prorokiem Amandajus, którego chwała rozciągała się od Cumorah albo morza Wschodniego, aż do gór Skalistych; w swoim czasie nazywał się Zelfh, a był zabity w potyczce strzałą, którą przy nim znaleźliśmy, podczas wielkiej wojny Lamanitów z Nephitami." Nazajutrz cudownie utwierdzeni w wierze mądrością i wiadomościami proroka, postępowali dalej, a przeszedszy Missisipi weszli w kraj Missouri. Józef znajdując się w kraju niebardzo bezpiecznym, wybrał 20 najodważniejszych z bandy, których na swoją gwardyą przeznaczył, a za kapitana dał im swojego brata Hyrama Smith: przybrał sobie jeszcze koniuszego, Jerzego Smith, nakoniec wybrał generała, któryby codzień przeglądał jego małą armię, pilnował broni i ćwiczył wojsko.

Józef uniknąwszy pogoni, która była wyszła przeciw niemu, postępował dalej i miał nowe objawienie od Pana dla zachęty i utwierdzenia swoich. Lecz nagle cholera zjawiła się w jego obozie d. 24 czerwca; próbował leczyć chorych kładąc na nich ręce, a gdy mu się to nie udało, chciał się wytłumaczyć, mówiąc, że: „smutném doświadczeniem dowiedział się, że kiedy wielki Jehowa postanowi zniszczenie, napróżno człowiek usiłuje zakłóć Jego rękę wszechmocną". A jeżeli nie mógł leczyć cholery, przynajmniej dla utrzymania swojego wpływu na umysłach łatwowiernych uczniów, dla przekonania ich o cudowném swoim posłannictwie, utrzymywał, że nieprzyjaciele Mormonów nierównie więcej cierpieć i umierać będą. Narobił hałasu powną historyjką o kobiecie, która jednemu świętemu kubka wody dać nie chciała: „nie wyszło tygodnia, mówi prorok, cholera weszła do tego domu, a owa kobieta i trzy inne osoby z jój familii pomarły". Sam z swojej karawany stracił 13 ludzi zmarłych na epidemiją.

Dnia 1 lipca wstąpił na ziemię hrabstwa Jackson, w towarzystwie kilku przyjaciół: „ażeby raz jeszcze stanąć na téj ziemi Bożej": i przepędziwszy dzień jeden, złączył się ze swoją gromadą w hrabstwie Claj. Lecz niedługo tam ze świętymi zostawał, bo przyszedłszy dnia drugiego lipca, wrócił dziewiątego do Kirtland.

Mniemać można, że nie chciał się bardzo poufalić ze swemi wier-nymi. Wielki człowiek nie pozwalał widzieć się zblizka, bo już wielu z jego towarzyszków oskarżało go; „o kłamliwe prorocтва w imię Pana, o przywłaszczenie sobie summ pieniężnych, do których nie miał żadnego prawa". Jednak nie opuścił kraju, zanim nie urządził zbiegłych z Jackson, a nowego towarzystwa nie postawił na lepszej stopie w hrabstwie Claj.

Historja sekty podczas następnych trzech lat, jest ciągiem rozpraw i kłótni z nieubłaganemi nieprzyjaciółmi Missouri. Liczba jednak Mor-

monów wzrastała w tym stosunku co i przeciwników, a spór rozszerzył się po całym Missuri. Jedni byli za, drudzy przeciw Mormonom. Z drugiej strony bank Józefa w Kirtland wstrzymał wypłaty w jesieni, 1837 roku. Kraj był zalany papierami jego, bez żadnego waloru; żeby się z tego kłopotu wymknąć, prorok miał objawienie, które mu stanowczo nakazywało udać się do Missuri, i tam żyć ze świętymi w ich dziedzictwie. Natychmiast usłuchał objawienia, i umknął potajemnie w nocy, zostawiając wierzących w kłopotach urządzania się, jak będą mogli. Przybywszy znalazł sprawy swego kościoła w strasznym zamieszaniu. Święci składali ciała liczne i potężne, a nie mogli się z sobą porozumieć. Prócz tego odszczepieńcy, zbiegi, którzy się wstydzieli własnych kłamstw, a inni z pobudek zemsty lub zawiedzionej dumy, rozszerzali pogłoski niebardzo dla sekty zaszczytne. Wielka schizma o której wspomnieliśmy, wybuchła w 1838 roku, kiedy Józef Smith musiał powrócić kościołowi najdawniejszych swoich towarzyszków: Olivera Cowdery, jednego z trzech świadków, którzy zapewnili autentyczność księgi Mormona i istnienie blach złotych; Marcina Harris, świadka w tych samych rzeczach; Sidneja Rigdon, równego mu w zarządzie kościoła i wielu innych. Sidnej Rigdon łatwo otrzymał przebaczenie: był to osoba bardzo znakomita, żeby się mógł odważyć robić z niej nieprzyjaciela. W czasie tych niezgód, mieszkańcy Jackson złączeni z mieszkańcami Claj, Kaldwell i innymi jeszcze, robili nieustanne zabiegi, żeby Mormonów wypędzić z Missuri; ale ci byli dobrze uzbrojeni i dla obrony zebrali ludzi odważnych, pod nazwą *bandy dan*, albo *aniołów niszczycieli*, jako się sami nazywali.

Z tego wszystkiego i z pogłosek prawdziwych lub podrobionych, które się coraz więcej rozchodziły po kraju, rozdrażnienie wzajemne coraz bardziej wzrastało. Mormony widząc, że ich przeciwnicy nie robili sobie skrupułu w pogwałceniu prawa, również sami nie chcieli mu ulegać: umacniali swoje folwarki i wioski, a lekceważyli procedurę przeciwko sobie wymierzoną. W końcu powołano milicją pod wodzą generała Doniphan. Środki przez niego przedsięwzięte były tak silne, a rozdrażnienie publiczne przeciwko Józefowi i jego uczniom tak wielkie, że Mormony obawiając się powszechnej rzezi, postanowili opuścić Missuri, a szukać schronienia w Illinois, które naówczas niewiele liczyło mieszkańców. Józef Smith co do siebie, bojąc się, żeby nie był zamordowany, a przypominając sobie obietnicę gubernatora Dunklich i jego zdanie co do gwałtów nieprawnych przez mieszkańców hrabstwa Jackson przeciwko jego wyznawcom dokonanych, sam oddał się w ręce sprawiedliwości, by odpowiedzieć na trzy zarzuty: zdrady, mężobójstwa i niespokojności publicznej. Był oskar-

żony o zdradę za wojnę przeciw Missuri; o mężobójstwo, za zamordowanie dwóch ludzi zabitych w potyczce, stoczonej w hrabstwie Jackson; o publiczną niespokojność i gwałt za zniszczenie i kradzieże dokonane przez Danitów. Rachował on na uwolnienie, a tymczasem kilka miesięcy w więzieniu przepędził.

Mormony więc zostali wypędzeni z Missuri, a tą razą nie dano im czasu do sprzedania swoich folwarków albo rozrządzenia swoim majątkiem. Podczas najcięższej zimy w grudniu 1838, i styczniu 1839 r. mężczyźni, kobiety, dzieci, chorzy i starcy wyparci byli na łąki i w lasy, bez żywności i sposobów zabezpieczenia się od zimna. Tak w małych gromadkach przeszli do Illinois, gdzie bardzo gościnnie byli przyjęci przez kolonistów, a nawet Indyan. Zrobiono nawet składki, by im przyjść z pomocą, a wielu znalazło zajęcie po folwarkach, magazynach i sklepach. Wkrótce też podnieśli głowę, a nawet liczbą stali się groźnemi. Prześladowanie wydało zwykłe owoce, bo dopomagało im do robienia nawraczeń; stowarzyszenia też świętych z dniem każdym powiększały się nowonawróconemi z pomiędzy mieszkańców Illinois. Z drugiej strony, na wiosnę 1839 roku, prorok umknąwszy z więzienia, ukazał się pośród swoich, i naprzód osiadł w Quiney, mieście Illinu. Jego ostra wymowa, nieustanne odwoływanie się do nieba, wspaniałe obietnice, które robił rodzajowi ludzkiemu; jego zręczność, zapal z jakim był przyjęty od swoich, wszystko to podniosło ducha Mormonów. Największa ich liczba osiadła w miejscu, nazwaném Commerce, nad Missisipi. Każdego dnia odbierali nowych przybyszów z innych prowincyj, którzy im często przynosili znaczne summy. Liczyli wkrótce 15,000 dusz. Zamyślali naówczas w Commerce oznaczyć plan miasta, które nazwali Nauvoo, od słowa, które się często daje spotykać w księdze Mormona. W niespełna półtora roku zbudowali około 2,000 domów, nie licząc szkół i gmachów publicznych. Józef Smith był obrany merem miasta świętego, i po krótkim peryodzie życia awanturniczego, posiadał władzę, która zdaje się była jedynym jego pragnieniem i pieczętowanym marzeniem jego ambicyi.

Słowa jego były prawem. Był naczelnikiem świeckim i duchownym swojego ludu: do tytułów proroka i prezydenta, dodał tytuły mera i generała, jako naczelnik korpusu milicyi, który uorganizował pod imieniem legii Nauvoo. Od wyjazdu z Kirtland, pokazał się bardzo skąpy co do objawień: ale nie mógł wytrzymać, żeby choć jednego nie wydać co do Nauvoo, miasta świętego. Ogłosił je w miesiącu styczniu 1841 r., i nakazał zbudowanie wspaniałej świątyni, do której wszyscy święci dawać mieli dziesięcinę z całych swoich majątności, a nawet z czasu i pracy swojej. „Niech wszyscy moi święci pospieszają przybyć” mówiło to

objawienie, które było ostatniem tego proroka: „niech wyślą do nich posłów, posłów rychłych, którzyby im powiedzieli: przybywajcie ze wszystkiem waszém złotem, srebrem, drogimi kamieniami, wyrobami sztuki; przynoscie sosnę i wszystkie drogie drzewa, które rosą na ziemi, i żelazo, i miedź, i cynę, i co tylko ziemia zawiera najpiękniejszego, ażeby zbudować w mojem imieniu dom Najwyższemu”. Kazał téż zbudować dom gościnny dla cudzoziemców: „niech będzie zbudowany w mojem imieniu, niech moje imię będzie tam wyryte, a niech mój sługa Józef Smith i jego potomki, zamieszkują tam od pokolenia do pokolenia”. Wyrzekł Pan Bóg: „niech dom nazywa się Nauvoo-Houte, niech będzie mieszkanie przyjemne dla człowieka, miejscem spoczynku dla strudzonego wędrowca, ażeby mógł rozważać chwałę Syonu”. To objawienie najlepiej jest opracowane ze wszystkich, które wydał prorok; jest podzielone na 46 paragrafów; wchodzi w najdrobniejsze szczegóły co do podniesienia potrzebnych do tego funduszków, co do zarządu kościoła we wszystkich gałęziach.

Zaczęto natychmiast budowę kościoła; wybór miejsca był bardzo szczęśliwy, na wzniosłości, z której najpiękniejszy przedstawiał się widok. Sam kościół zbudowany był z kamienia wapiennego ciosanego, prawie tak jak marmur twardego, i miał 138 stóp długości, a 88 szerokości. Wznosiła się nad nim wieża na 170 stóp. Wewnętrzne ozdoby, mówią, że były wspaniałe. Mormony wydali blisko milion dolarów (5 milionów franków) na wybudowanie tego gmachu, który później miał zająć Cabet i jego uczniowie.

Przed tą epoką zaczęto już mówić o Mormonach w Anglii. W krótkiej wiadomości umieszczonej w 5tym tonie: *Times and Seasons*: widzimy, że w 1837 roku była przedsięwziętą pierwsza missya do Anglii pod przewodnictwem starszych: O. Hyde i H. C. Kimball. Ochrzcili około 2,000 osób w Manchester, Birningham, Leeds, Liverpool, Glasgow, i t. d. W roku 1843 liczba Mormonów w Anglii wynosiła do 10,000 osób. W r. 1844 starszy Lorenzo Snow, znajdując się w Londynie z rozkazu proroka, przedstawił exemplarz księgi Mormona królowej Wiktoryi, a drugi księciu Albertowi. Z tego powodu wykrzykuje jeden mormoński poeta:

„Oh! gdyby chciała udzielić swojego wpływu, wpływu królewskiego, by rozszerzyć królestwo Messyasza, a stać się matką Syonu!

„Naówczas do chwały swojego imienia wypisanego na szczycie wieży syońskiej, przydałaby koronę nieśmiertelną; koronę, która trwać będzie, kiedy wszystkie inne przepadną.”

W epoce, do której dochodzi to opowiadanie, Mormoni byli w stanie kwitnącym pod wszelkim względem; ale to długo trwać nie mogło. Rozmnażając się, rosnąc w potęgę, ściągnęli na siebie nowe nieszczęścia, nierównie większe nad te, jakie dotąd przebyli.

Dziwny ten epizod tegoczesnej historii, oparty na źródłach wyżej wspomnianych, żadnej nie pozostawia wątpliwości. W tym nawet roku na kongresie amerykańskim, jak urzędownie czytamy w dziennikach Washingtonu, były rozprawy o organizacji terytorium Utah, czyli jak mówią Mormony, o przypuszczeniu na łono konfederacji prowincyi Deseret: trudno więc wątpić o rzeczywistości tego epizodu, jakkolwiek dziwnym i niepodobnym się wydaje.

Przez długi czas Mormony i ich prorok Józef Smith, który był już murem i generałem milicyi w Nauvoo, korzystali z smutnego, jakie przeszli, doświadczenia. Nie byli już tak wyniośli ani okrutni w stosunkach z poganami, jak nazywali wszystkich, którzy nie należeli do ich kościoła. Lecz powodzenie jakie ich spotkało w Illinois, nagłe postępy w Nauvoo wkrótce ich popchnęły w dawny grzech niezawisłości i dumy. Niezgody, które ucichły w przeciwnościach, pojawiły się znów w powodzeniu; władza i wpływ Józefa były zawielkie, żeby nie wzbudzić zawiści, a Sidney Rigdon nieszczególną stowarzyszeniu wyświadczył posługę wprowadzając niebezpieczną nowość, która przyjęła nazwisko nauki „małżonki duchownej”. Nowość ta narobiła zgorszenia pomiędzy Mormonami, jako też i poganami. Sam nawet Józef, chociażby był niegodnie spotwarzonym i choćby dowody ogłoszone przez jego nieprzyjaciół były fałszywe, zdaje się, że miał tyle pociągu do wielożeństwa, co sam Mahomet. Sidney Rigdon, jeżeli na tej samej oprzemy się powadze, przeszedł go pod tym względem, i użył do tego szczególnych objawień, które mu posłużyły do zaspokojenia jego namiętności. Może jest trochę przesady w tych historyach, lecz zdaje się, że jest i wiele prawdy.

Pewien professor imieniem Newhall, ogłosił w *Salem advertiser* sprawozdanie z podróży do Nauvoo, którą odbył w r. 1843. Opisuje kościół jako gmach wspaniały, odrębny od wszystkich, jakie w dawnych i nowszych widziano czasach, a legią generała Smith jako bardzo piękną. Był obecnym na wielkim przeglądzie osobiście przez Józefa Smith odbytym, gdzie towarzyszyło mu sześć kobiet na koniach, które ubrane w czarne aksamitne suknie, z białymi piórami na głowach, w galopie pędziły przed frontem pułku. O Józefie samym mówi jako o człowieku towarzyskim, miłym, wesołym i bardzo gościnnym, słowem, wesołym towarzyszu i ostatnim z ludzi, którego Bóg, według niego, wybrał

na proroka lub kapłana. Predykator metodystów, imieniem Prior, co innego w tymże samym czasie ogłosił o Józefie Smith; mówi:

„Nie będę opisywał różnych uczuć mojej duszy, gdym usiadł na boku wpośród zebrania, które w głębokiem milczeniu oczekiwało ukazania się proroka. Podczas gdy doświadczał cierpliwości swoich słuchaczy, miałem czas przywiesić sobie na pamięć wszystko, co wiedziałem i co słyszałem o dziwnym tym człowieku. Spodziewałem się ujrzeć twarz smutną i ponurą, noszącą ślady exaltacji i nienawiści: mniemałem, że łatwo tam dośledzę rysów zamyslenia, tego wejżenia mistycznego i pełnego ironii, jakie przypisywano dawnym mędrcom. Rachowałem; że uchwycę na jego obliczu jakiś wyraz pomieszanego i rumieniącego się sumienia, z jakim koniecznie wydać się powinien po tém wszystkiem, com o nim słyszał. Ukazał się nareszcie, a Bóg świadkiem, jakem się omylił: w miejsce rogów bydłęcych i rozdartej racicy fałszywego proroka, ujrzałem człowieka zwyczajnej fizjonomii i więcej niż średniej postawy. Bardzom się omylił, jak rzekłem, ale mniemałem, że jeżeli jego powierzchowność nie przeciw niemu nie mówiła, przynajmniej usprawiedliwi to, co o nim mówiono, gdy kazać pocznie. Śledziłem go więc uważnie. Wziął text nie z księgi Mormona, ale z biblii. Rozpoczął kazanie spokojnie, i mówił bez żadnej passyi, kiedy ja spodziewałem się tych gwałtownych pocisków przeciwko innym sektom, tych ognistych do zemsty poruszeń, tych przekleństw ciskanych na wszystko, co nie było mormońskiem, o co go właśnie oskarżano, że ciągle wmawiał w swoich uczniów. Czekałem napróżno, słuchałem z zadziwieniem, że mi było na mojem miejscu. Nie mogłem wmówić w siebie, żeby obecność moja była mu wiadomą, żeby mowę swoją do mnie wymierzył tak, żebym nie do przygany nie znalazł: bo zamiast niewytrawnych myśli, zamiast potoku złorzeczenia i namiętnych pogroźek na tych, którzy z nim nie trzymali, zamiast nakręcania pism i naciągania do swoich widoków, zamiast sieci ciemności i sofizmów dla obejścia prawd ewangelicznych, zamiast nakoniec tego wszystkiego, czegom się spodziewałem: usłyszałem człowieka, który rzecz swoją rozwijał zajmująco i gładko, i z całą troskliwością i szczęśliwą łatwością osoby przejętej ważnością swojego położenia i swoich powinności ku Bogu i bliźnim.”

Ten sam autor tak opisuje Nauvoo:

„Nakoniec ukazało się miasto. Zamiast kilku baraków z drzewa i chat glinianych, które znaleźć się spodziewałem, zdumiałem się, widząc jedno z najbardziej malowniczych miast, jakie spotkałem na Zachodzie. Domy, chociaż wiele z nich było małych i z drzewa, nosiły ślady obędlóstwa, jakiego nigdzie znaleźć mi się nie przytrafiło. Niezmierna pla-

szczyzna, jaka rozpościerała się u stóp wzgórza, była ubrana domkami porozrzucanymi tak wspaniale, że na chwilę nie mogłem się oprzeć złudzeniu, i sądziłem, że zamiast być w Nauvoo, w Illinois, pomiędzy Mormonami, znajduję się we Włoszech, w Liwurno, do którego Nauvoo bardzo jest podobnym. Długo patrzałem w zachwyceniu, ze wzruszeniem nawet, na płaszczyznę, która rozścielała się pod mojami nogami. Tu i owdzie wznosiły się wielkie i piękne budowle z cegły murowane, świadczące zaszczytnie o gieniuszu i wytrwałości mieszkańców, którzy z łona pustyni wydobyli to piękne miejsce, a w dwóch czy trzech latach zamienili je na najpiękniejsze miasto Zachodu. Wzgórze na którym się znajdowałem było całe okryte mieszkaniem ludzkimi, a w środku nich wznosił się kościół z ciosowego kamienia. Kilka drzew, które oszczędzono, były w pełnym rozwiciu i z cudowną nieregularnością czepiały się pagórka. Przebiegłem pilnie najczynniejszą część miasta, przeglądając każdą ulicę i uliczkę, żeby naocznie się przekonać, co się tam działo. Znalazłem wszystkich zajętych jaką pracą użyteczną i zdrową. Zajęcie wszędzie było widoczne, a nawet większe niż po innych, jakie widziałem miastach, odkąd przesilenie handlowe zaczęło oddziaływać. Naprózno szukałem jakiego śladu niemoralności, i zdziwiony byłem i szczęśliwy, nie znalazłszy nic podobnego. Nie widziałem ani próżniaków po ulicach, ani pijaków po karczmach. Nie spotkałem żadnej złowrogiej postaci, które zdradzają albo złego lub źle wychowanego człowieka. W całym mieście nie usłyszałem przekleństwa, nie widziałem twarzy ponuręj: wszyscy byli weseli, grzeczni, przemysłowi."

Od tego czasu aż do roku 1844 bogactwo i potęga sekty ciągle wzrastały: przybywały jęj posiłki z Stanów Zjednoczonych, a nawet z Liverpool. *Times and Seasons* z 15 maja tego roku donosił świętym, że „Nauvoo stawało się wielkióm miastem, że wiele nowych wspaniałych budowało się domów. Trzy oddziały wiernych w czasie wiosny przybyło z Anglii, a prorok cieszył się dobrém zdrowiem jak i nadzieją. W roku 1844 Mormony tak się podnieśli w siłę i zaufanie w przyszłość, że Józefa Smith podali na kandydata do prezydentury Stanów Zjednoczonych, a Sidneja Rigdon na wiceprezydenta. Józef wiedział, że kandydatura ta była tylko demonstracją przyjemną dla jego uczniów, dlatego też pisał do p. Clay, który miał wielką nadzieję być wybranym, pytając go, jakieby było jego postępowanie co do Mormonów, jeżeliby był obrany prezydentem. Ponieważ Józef Smith mógł rozrządzać wielką liczbą głosów, odpowiedź p. Clay była grzeczną i wyrobioną: „śledziłem, mówię, z żywém zajęciem postępy świętych dnia ostatecznego, żywy też brałem udział w cierpieniach, jakie im niesprawiedliwość zadała, a mnie-

mam, że jako wszystkie stowarzyszenia religijne, mają i oni prawo do bezpieczeństwa i opieki, jakie ustawa i prawa zaręczają wszystkim." Józef naówczas wzbil się do szczytu potęgi, do jakiej mógł dobieć się na tym świecie; a byłby się bez wątpienia uważał za szczęśliwego, nawet wpośród prześladowań, jakimi go ścigali poganie, jego sąsiedzi, głyby nie odszczepieństwa które rozrywały jego kościół, i smutne następstwa, jakie wydawać poczynała nauka *małżonki duchownej*, objawiona przez nieroztropność przyjaciela Sidneja Rigdon. Ludność w Nauvoo była prawie wyłącznie mormońska; urząd municypalny, w którym prezydował prorok jako mer, zapragnął niezależnej władzy, a nawet dopuszczał się nieprzyjaznych postępów przeciw głównemu zarządowi Illinois, zaprzeczał ważności najwyższych rozporządzeń państwa, jeżeli nie były kontrasygnowane przez mera Nauvoo; nawet wydał postanowienie, żeby karać każdego przychodnia przekonanego że źle mówił o Smicie. Te rozszewnia wznieciły znów nienawiść ku sekcje, i wkrótce była zagrożoną wojną z 9 hrabstwami graniczącemi z Handiosk, w którym leży Nauvoo. Prócz tego dawne zatargi z Missouri nie ustawały, a ciągle podsypane były sądowem śledztwem, jakie nieprzyjaciele Smitha z zażartą wytrwałością przeciwko niemu prowadzili.

Zastępca gubernatora Missouri, Boggs, jednego dnia mało nie był zabity od Mormona, który doń z karabina wypalił. Zaprzysiął on w sądzie, że w jego przekonaniu Józef Smith był w zмовie o zamach morderstwa. Śledztwo sądowe, które wypadło z tego oskarżenia, utrzymywało największą nienawiść pomiędzy poganami i świętymi. Mimo to, nauka małżonki duchownej najwięcej narobiła zgorszenia i była głównie przyczyną morderstwa Józefa i jego brata Hirma Smith, którzy obadwa śmierć ponieśli od rozżłoszczonego motłochu w więzieniu Kartagi.

Z różnych sprzecznych opowiadań, które były ogłoszone o tym wypadku, to zdaje się najpewniejsze, że niejaki doktor Foster, sam także Mormon i członek trupy Danitów albo aniołów zniszczenia, oddalwszy się dnia jednego z domu, powrócił nagle nie uprzedziwszy żony o swoim powrocie. Znalazł powóz proroka przed swoim domem, a gdy i sam był naczelnikiem schizmy wpośród Mormonów, a miał już, jak mówią, podejrzania mniej więcej pewne, co do niewierności swojej małżonki, natychmiast więc jak Smith odjechał, ściśle badać ją począł. Nieprzyjaciele proroka zapewniają, że wyznała, iż prorok ją usilnie namawiał, ażeby została jego „małżonką duchowną.”

Doktor Foster z początku na jakiś czas ukrył swoją nienawiść, ale widząc, że pomiędzy odszczepieńcami wiele jest takich, którzy byli gotowi wspierać napady wymierzone przeciw Józefowi Smith i Rigdonowi,

rozpoczął w samém mieście Nauvoo przy pomocy pewnego Law, wydawanie dziennika pod tytułem: *Expositor*. W pierwszym numerze ogłosili zeznania 16 kobiet, które utrzymywały pod przysięgą, że Smith, Rigdon i inni usiłowali wpoić w nich naukę „małżonki duchownej” i uwieść je, ogłaszając, że w tym przedmiocie mieli szczególne pozwolenie nieba. Drukować podobne rzeczy w Nauvoo, było rzecz zaśmiała. Józef Smith, jako mer, zwołał natychmiast radę municypalną, żądając jej zdania, co wypadło robić w skutek takowego ogłoszenia. Rada wyrzekła jednoznacznie, że w zwłoce było niebezpieczeństwo dla moralności publicznej, i rozkazała marszałkowi miasta zabrać natychmiast wszystkie exemplarze tego dziennika. Mnóstwo wiernych, przeszło do 200 osób zebrało się, by wyrok wykonać, a w zapędzie gorliwości zburzyli dom, w którym było biuro i drukarnia *Expositora*: zniszczono także prasy, meble, papier, numera zabrano i spalono na stosie. Foster i Law musieli uciekać z życiem, i szukać schronienia w Kartadze. Mormoni z największym oburzeniem zaprzeczają oskarżeniu Józefa Smith, co do jego „małżonek duchownych”, i historią Fostera uważają za podłą i niekzemną potwarz. Co się tyczy Sidneja Rigdon nie tak się upierają, jakkolwiek skutki tego były niezmierne dla Mormonów.

Foster i Law od urzędu hrabstwa zasiadającego w Kartadze otrzymali rozkaz dostawienia Józefa i Hiram Smith. Rozkaz ten oznajmiono merowi Nauvoo. Ten nie chciał uznać jego ważności, a woźny który go przyniósł, był wygnany z Nauvoo przez marszałka miasta. Władze hrabstwa nie mogły przenieść w milezeniu zniewagi wyrządzonej prawu, jako i im samym, i zwołały milicję, żeby siłą zbrojną pochwycić Smithów. Mormony ze swjej strony wzmocnili się w mieście, postanowiwszy bić się do ostateczności w obronie swojego proroka. Bracia zbiegali się ze wsząd na pomoc kościołowi. Illinois i Missouri były podzielone na dwa wielkie obozy, za i przeciw Mormonom: i tak się stan rzeczy pogorszył, że sam gubernator musiał stanąć na czele milicyi. W proklamacyi do mieszkańców Illinois, mówił, że był przekonany, że tylko zburzenie Nauvoo zaspokoi żołądactwo zostające pod jego rozkazami, i jeżeli wejdzie do miasta, mimo jego usilności, znajdą powód do powszechnj rzezi. Pragnąc uniknąć rozlewu krwi, prosił dwóch Smithów, żeby poddali się bez oporu, przyrzekając im wszelką opiekę swoim słowem i honorem państwa. Wezwał także Mormonów aby oddali broń, która im była wydana z arsenałów, a legia Nauvoo żeby na komendanta przyjęła oficera skarbowego. Poddali się Mormony, a Józef ze swoim bratem dali się uwięzić. Miał jednak prorok złowrogie przecucia: idąc do więzienia powiedział: „idę jako baranek na zabicie, lecz mam czyste sumienie

i umrę niewinny." Kiedy był w więzieniu w Kartadze, wymierzono przeciw niemu i bratu zaskarżenie o najwyższą zdradę państwa Illinois. Gdy zaś motłoch samą nienawiścią pałał przeciw tym dwóm więźniom, a milicya podzielała tę opinią, tak, że nie można było na nią rachować w razie jakiegoś zamachu ludu przeciw Smithom; Mormony prosili gubernatora, żeby straż w więzieniu postawił. Rano d. 26 czerwca 1844 r. gubernator sam odwiedził więźniów, i dał znowu słowo, że bronić ich będzie przeciw wszelkiemu gwałtowi. Te nawiedziny pomiędzy ludem rozszerzyły odgłos, że zaniechają podwójnej skargi przeciwko Smithom, i że sam gubernator czyni co może, by im ucieczkę ułatwić. Banda szaleńców rozjuszonych podobnemi pogłoskami ułożyła pomiędzy sobą, że ponieważ prawo nie miało dość siły do ukarania winnych, proch i ołów dosięgnie ich. D. 27 około 6tej wieczorem, niewielka straż która pilnowała więzienia została otoczona i rozbrojona od 200 przeszło ludzi, którzy sobie twarz poczernili, żeby nie byli poznani, i wpadli do więzienia. Dwaj bracia mieli wówczas naradę ze swoimi dwoma przyjaciółmi. Zapaleńcy wystrzelili do wszystkich czterech: Hiram ugodzony pierwszy upadł, wołając: jestem zabity. Józef chciał oknem wyskoczyć, i odebrał śmiertelny raz w chwili, kiedy ułatwiał wypaść. „Panie, mój Boże!” wymówił, ostatnie wydając tchnienie. Trupy po śmierci jeszcze odbierały strzały. John Tjaylor, jeden z Mormonów, którzy byli w izbie, odebrał ciężką ranę, ale wyzdrowiał.

Takim sposobem zakończył życie dziwny ten człowiek. „W krótkim przeciągu czasu, bo lat 20”, mówi historia jego męczeństwa, która dopełnia księgi nauk, „wydał książkę Mormona, której dobroć i potęga Pana pozwoliły mu wytłumaczyć i rozgłosić na obu półkolkach. Rozesłał dopełnienie wiecznej tej ewangelii, którą owa książka zawierała, po czterech częściach świata. Wydał jeszcze objawienia i przykazania, które składają księgę nauk, jako też i wiele innych dokumentów i nauk dla dobra ludzi. Zebrał wiele tysięcy świętych *dnia ostatecznego*, założył wielkie miasto, i zostawił chwałę i imię, które żadna ręka ludzka zabić nie potrafi. Żył i umarł wielkim przed obliczem Boga i swojego ludu, i jako wielu pomazańców Pańskich dawnych czasów, przypieczętował krwią własną posłannictwo i dzieła swoje, jakto uczynił także brat jego Hiram. Nie byli rozdzieleni za życia, nie byli rozłączeni po śmierci.”

Chrystyan Reflector, krytyk nie tak życzliwy, w ten sposób mówi o jego życiu i śmierci:

„Donoszą o śmierci Józefa Smitha. Ciało jego spoczywa teraz w łonie ziemi, a dusza jego poszła odebrać nagrodę swoją. Różne są zdania

ludzi tym dziwnym człowieku: lecz jakiegokolwiek są pojęcia o jego zasadach i moralności, wszyscy się na to zgadzają, że to był człowiek najznakomitszy naszej epoki. Piętnaście lat nie upłynęło jeszcze od dnia, w którym powstało w Palmyrze, w prowincyi New-York, stowarzyszenie złożone z 6 osób, a na ich czele Józef Smith. Byli to ludzie nie najlepszej sławy, znani z niedotrzymania słowa i niepłacenia długów, z występku x słynni po całym kraju. Zarabiali na utrzymanie, nie pracą uczciwą, a oszukaństwem swoich sąsiadów, opowiadając im niestworzone baśnie o cudownych kopalniach, w których znajdowali złoto i srebro. Mimo nikczemnego pochodzenia, mimo ubóstwa i okropnej niemoralności swoich członków, którzy składali tę bandę kuglarzy, wzrosli dziś i rozmnożyli się, że ich jest przeszło sto tysięcy, a przy śmierci proroka rozwijali się czynniej niż dawniej. Urodzony na ostatnich szczyblach towarzyskiego porządku, karmiony w ubóstwie, wychowany w występku, obdarzony zdolnością zaledwie zwyczajną, prosty i nieokrzesany w swoim obojętności, prorok Józef Smith potrafił jednak założyć religią, której zasady były ogłoszone po całej Ameryce. Sława proroka doszła do Europy; ministrowie Nauwo zawsze byli dobrze przyjmowani w Azji; chorągiew świętych dnia ostatecznego powiewała nad brzegami Nilu, a nawet Ziemia święta była nawiedzona przez wysłańców oszusta”.

„Założył miasto w położeniu najwspanialszém, jakie być może na ziemi, nad czarującym zakrętem ojca wód, a w tém mieście zebrał ludność więcej niż 25,000 dusz, przybyłych ze wszystkich stron świata. Zaczął budowę kościoła zachwycającej okazałości, podniósł mury do 50 stóp wysokości, i jeżeli zostanie ukończony, będzie to jedna z najpiękniejszych, najkosztowniejszych, najwspanialszych budowli Ameryki. Mury są z kamienia, szerokie na 4 stopy, a podparto 30ma marmurowemi kolumnami. Ta jedna budowla daje poznać podróżnemu gieniusz fundatora?”

„Akta życia proroka pokazują charakter jego dziwny i znakomity zarazem. Jeżeli uwierzemy własnym jego słowom i powieści świadków naocznych, był on razem przedstawicielem Boga na ziemi i karczmarzem; prorokiem Jehowy i libertynem zatopionym we wszystkich występkach; ministrem religii pokoju i generałem; najwyższym zarządcą tysiącami ludzi, i niewolnik swoich namiętności; kaznodzieja cnoty i złorzeczący; czciciel Bachusa i mer miasta; wzgardzony skrzypek po szynkowniach, i sędzia wydający wyroki; burzyciel wszystkiego, co stanowi stosunki cywilne, socyalne i moralne pomiędzy ludźmi, a mimo tych wszystkich niewłaściwości charakteru, mimo sprzeczności wszelakich, tysiące ludzi zawierzyło mu w sprawie swojego zbawienia. A potem domyślać się możemy, że czas

i odległość przybiorą to życie w jakie rzadkie i nieznanne cnoty, których w nim nie widzieli najpierwsi jego przyjaciele, kiedy z nim żyli”.

„Ze skutku wnosząc o przyczynie, przynależnie musimy, że prorok Mormonów był człowiekiem rzadkiego gieniuszu. W tém, że mu się tak widocznie oszustwo udało, mamy najjaśniejszy dowód łatwowierności znacznej części rodu ludzkiego. Czegoż w ludzi wmówić nie można, jakiej im wiary nie narzucić?”.

Nie można było odkryć sprawców morderstwa dwóch braci; kilka osób przytrzymanych, uwolniono dla braku dowodów. Było smutny wypadek dla rozsądnej części ludności. Najzaciętsi nieprzyjaciele Mormonów najbardziej go żałowali. Józef Smith zamordowany ukazywał się większym prorokiem, niż Józef Smith żywy. Przyjaciele i nieprzyjaciele zarówno w tém się zgadzali, że jeżeli szybko były dotychczas postępy sekty, daleko będą szybsze, kiedy fanatyzm uzna go za męczennika wiary, kiedy błędy Smitha będą zapomniane, a historią jego śmierci odżyje pamięć jego zasług. Przepowiedzenie ziściło się wkrótce, ale Mormoni musieli przeżyć też nowy peryod prześladowań i cierpień.

Jak tylko Smithowie zeszli z drogi długiej a zacieklej ambicyi, natychmiast Sidney ogłosił się następcą proroka. Omylił się jednak co do swój władzy i wpływu. Józef nigdy mu nie ufał i trzymał go na uboczu. Niedowierzanie to proroka podzielali pierwsi z Mormonów, a nauka *duchownej małżonki* zniechęciła do niego wielką liczbę tych nawet, którzy go niedawno uważali za jednego z fundatorów wiary i za filar kościoła. Po śmierci Józefa Smith ogłosił, że miał objawienie, które nakazywało świętym wydaląć się z pośrodku swoich nieprzyjaciół, opuścić Nauvoo, a osiedlić się w Pittsburgu. Objawienie to było przeciwne objawieniom Józefa, dlatego też święci, idąc za radami Brigham-Young, który także miał swoje widoki ambicyi, uważali objawienie Sidneya jako „zmyślenia człowieka, który kłamał przed Panem, a knował zniszczenie świętych”. Był zapozwanym za swoje złe sprawy przed radę kapłanów i nie stawiał się. W nieobecności wytoczono mu proces, przyjęto zeznania świadków, wypędzono go z kościoła, a używając słów samego wyroku, „oddano go wykonawcom szatana”.

Po śmierci proroka nienawiść Missourów i anti-Mormonów zdawała się uciechnąć na chwilę, i przez rok jeden w Nauvoo wszystko szło spokojnie. Brigham-Young był powołany na przełożenie kościoła, a święci z zapałem dokonywali budowy kościoła i ratusza w Nauvoo, by spełnić objawienie i dowieść, jako mówili, poganom nietylko świętości ich posłannictwa, ale także ich potęgę, bogactwo, wytrwałość. Przecież z czasem nadeszły niezgody i pomnożyły się. Nie można było wymagać

od Mormonów, żeby znosili zniewagę nie nie odpowiadając, a wpośród ludzi którzy prawie zawsze broń nosili, nie dziwnego, że niezawsze na samych słowach się kończyło. Były bójki, i trzeba było przyzwać milicyą dla utrzymania pokoju. Przyszło nawet do regularnej potyczki, krew płynęła, a rozjątrzenie dwóch stronnictw stało się żywsze, niż było dotąd. Rząd był wezwany do czynnego wystąpienia: *meeting* delegowanych z 9 hrabstw sąsiednich Nauvoo zebrał się i jednomyślnie przyjął postanowienie, w którym powiedziano, że dotąd nie będzie pokoju w Illinois, dokąd Mormoni tam zostawać będą. Delegowani zobopólnie zobowiązali się na honor, że siłą nawet pomagać sobie będą, jeżeliby nie było innego sposobu uwolnienia się od tych niespokojnych przychodniów. Po różnych potyczkach i układach, wytrzymawszy regularne oblężenie miasta Nauvoo, święci przyrzekli opuścić Illinois na wiosnę 1846 roku, „jak tylko wody zaczną płynąć, a trawa puszczać się po łąkach”; z warunkiem, że przez ten czas nie będą niepokojeni, i że im dadzą czas potrzebny do sprzedania swoich gruntów i własności. Pierwsze oddziały rzeczywiście przeszły Mississipi 3 lutego 1846 roku. w liczbie 1,600 osób, mężczyzn, kobiet, dzieci, którzy po lodzie przeszli rzekę. Równemi siłami podobne oddziały wychodziły aż do sierpnia, na wózkach zaprzężonych wołmi, i zmierzały ku Kalifornii, wtedy prawie nieznaną, i gdzie nie było podówczas stu mieszkańców pokolenia anglosaxońskiego. Anti-Mormony upewniali, że zamiarem świętych było podburzyć Indyan przeciw rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych, i na czołe armii wrócić i pomścić prześladowania, jakie wycierpieli. Nie wchodziło to jednak w prawdziwe ich zamiary. To istotnie mieli na celu, żeby urządzić swój kościół w jakimś miejscu żyznym i nieznanym, gdzie mogliby czcić Boga swoim sposobem, nie obawiając się niczego od innych sekt chrześcijańskich. Stany Zjednoczone podówczas prowadziły wojnę z Meksykiem; żeby doświadczyć wierności Mormonów, nieprzyjaciele ich kazali im dostawić 500 ludzi na usługi ojczyzny. Mormony zezwolili na to, a 500 najsilniejszych młodzieńców, zaciągnęło się pod rozkazy generała Kearney i odbyli całą kampanię z wojskami Stanów Zjednoczonych. Przy końcu wojny, korpus ten był rozpuszczony w wyższej Kalifornii, a Mormony utrzymują, że jeden z tych ludzi pracując we młynie, odkrył miny złota w Kalifornii. Z drugiej strony zapewniają, że święci znaczną ilość drogiego metalu wybrali, zanim dowiedzieli się o nim poganie.

Płaszczyna wielkiego jeziora Słonego, położona pomiędzy górami Skalistemi i Sierra-Nevada, była obrana na przyszłe mieszkanie sekty, i ku temuto miejscu zmierzają corocznie liczne oddziały Mormonów. Od tego

czasu nadzieja odżywiła Mormonów, a w żadnej epoce swój historii nie mieli tyle ufności w przyszłość, co dzisiaj. Płaszczyna jeziora Stonego, w prowincyi Deseret, ma około 80 mil długości, a 20 do 30 szerokości. Skrapia ją ożywczy bieg wody, któremu Mormony dali nazwę zachodniego Jordanu. W roku 1847 nakreślili plan miasta, i rozpoczęli budowę nowego kościoła. Klimat, powiadają, jest prześliczny, a ziemia bardzo żyzna. 15,000 Mormonów, nie rachując Indian, mieści się już na tej płaszczynie. Około 5,000 osób, rozdzielonych na oddziały po 4 do 500 ludzi, są w drodze z Nowego-Orleanu, przechodząc przez St. Louis i Council-Bluffs, żeby połączyć się ze swoimi braćmi. Powinni przyjść, lub przybędą na miejsce swego przeznaczenia w miesiącu sierpniu, wrześniu lub październiku tego roku. Na pół drogi, przy stacyi Council-Bluffs zamieszkała ludność około 20,000 Mormonów, którzy wykarczowali łąkę, rozległą na 100 mil długości, a do 50 lub 60 szerokości. Tamto podróżni zaopatrują się w żywność dla przebycia pustyni, kupują zwierzęta, naprawiają wozy, a niekiedy pracą zarabiają sobie małą sumkę, której potrzebują na osiedlenie się ostatecznie w mieście wielkiego jeziora Stonego. Wielka nawet liczba spośród nich przepędza rok lub dwa lata w Council-Bluffs, zanim nazawsze nie zapuści się na zachód. Główne miasto tej kolonii, nazywa się Kanessville, i ma ludności 1,000 do 1,200 dusz.

Zkąd pochodzi ta emigracya? jak się urządziła w Stanach Zjednoczonych, w Europie, a nadewszystko w Anglii, zkąd z samego Liverpoolu wyprowadziła 13 do 14000 ludzi? jak ci wychodźcy żyją w nowej ojczyźnie? jakich już prac dokonali? jaki sobie polityczny zarząd obrali? — są to ciekawe pytania, na które pokrótce odpowiedzié zamierzamy.

Wielu emissaryuszów albo apostołów zostało wysłanych do Europy na początku tego roku, których zadaniem było zebrać świętych europejskich i poprowadzić ich do nowego Syonu. Jedni poszli do Niemiec, inni do Francyi, ci do Norwegii; jednak kraj, w którym sekta liczy najwięcej wiernych w dawnym świecie jest bez zaprzeczenia Anglia. Starsi utrzymują, że w Wielkiej Brytanii jest do 30,000 osób ich kościoła, i że nie masz większego miasta, w którémby nie mieli zgromadzenia. Liczba Mormonów w Londynie dochodzi do 1,200, w Liverpool 600, w Manchester 700, w Birmingham 1,100, w Glasgowie 500, w Edyburgu 300, w Sheffield 400, w Macelesfield 200, w Paisley 100, w Dundee 100, nie licząc tych, co są po mniejszych miastach. Liczba wychodźców wyprawionych z Liverpool przez agenturę założoną w tém mieście 1841 r. wynosi już, wedle podania głównego apostoła mormońskiego w Liverpool, 13,500 osób. Przez dwa lata, które poprzedziły śmierć Józefa Smith,

13 okrętów opłaconych zupełnie przez Mormonów, wypłynęło z Liverpool do Nowego Orleanu. W ostatnim roku liczba wychodźców mormońskich dochodziła do 2,500 osób. Największa liczba tych wychodźców składa się z rolników i rzemieślników; można tam jednak znaleźć wielu komisantów domów handlowych i lekarzy. Sąto powszechnie ludzie roztropni i dobrego prowadzenia: wielu z nich nawet bardzo poważnych. Pospolicie biorą z sobą narzędzia, które im są potrzebne do prowadzenia rzemiosła na płaszczyźnie jeziora Stonego. Po największej części wychodzą z okręgów rękodzielnych. Szkocya i kraj Gallów najwięcej im dostarczyły. Kiedy Szkoci albo Gallowie postanowią jechać, to pospolicie w bardzo licznych oddziałach. Czyn godny uwagi, że Irlandczycy ani jednego nie dali im rekruta. Mormony nie chcą jechać na okręcie na którym są inni podróżni, a jeżeli inaczej być nie może, dopominają się oddzielnego pomieszczenia.

Środki policyjne przedsięwzięte przez wychodźców mormońskich dla utrzymania porządku i czystości na okręcie, są wyborne. Pierwszém ich staraniem, kiedy tam przybędą jest złożenie *meetingu* powszechnego, na którym wybierają prezydenta i sześciu kommissarzy. Prezydent wykonywa władzę samowładną nad wszystkiemi podróżnemi na statku: onto wyznacza łóżka, rozsądza spory, opatruje wszystkie potrzeby, robi wszelkie zażalenia w imieniu podróżujących; onto naucza jak trzeba zakupywać i po jakiej cenie żywność i inne rzeczy potrzebne. Kommissarze czuwają nad ładunkiem. Jeden z nich dzień i noc jest na straży, dokąd statek jest na morzu, by obcych nie dopuszczać. Posłuszeństwo dla tych, których wybrali jest zupełne; każde słowo jest tu prawem, szanowane jest i wypełniane natychmiast. Pomiedzy sobą nazywają się bracia i siostry.

Mormony, jak powiadają, odłożyli 94,080 uncyj złota zebranego w Kalifornii, które mają być obracane na kosztą podróży dla biednych udających się do wielkiego jeziora Stonego. Rachując uncją po 4 funt, szter. czyli złp. 160, wypadnie summa 15,052,800 złp. Może być, że summa ta jest przesadzoną, ale sami Mormony tak opowiadają. Widziałem w Liverpool kilka sztuk złota wybitych w ich nowém państwie Deseret. Sztuka 5 dollarów (złp. 40) jest z czystego złota Kalifornii, boż żadnej mieszaniny, nieco mniejsza a cięższa od suwerena angielskiego. Na jednej stronie napis: *Holinees to the Lord* (poświęcone Panu) umieszczony niżej oka Jehowy i czapki w kształcie mitry; wszystko dosyć niezgrabnie wykonane. Na drugiej stronie są dwie ręce złożone i wyrazy: *Five dollars* (5 dollarów.)

Mormony zrobili fundusz nieustającego wychodźstwa, którego układ i cel są wyłożone w następującym liście, pisany przez terazniejszego naczelnika ich kościoła, następcę Józefa Smith, do swojego agenta w Liverpool:

„Starszemu Orson Pratt.”

„Miasto wielkiego jeziora Slonego, d. 14 października 1849 r.

„Kochany bracie! Z naszego listu powszechnego dowiesz się o wypadkach jakie tu zaszły; szczególnie chciałem ci napisać o kilku sprawach dobra powszechnego, a głównie co się tyczy funduszu nieustającego wychodźstwa, przeznaczonego dla świętych ubogich. Fundusz ten, zwróć na to uwagę, ma być wieczny, to jest żeby nie ustał, potrzebuje ciągłych zasilków. By temu zaradzić, mniemamy, że ci wszyscy, którzy z niego będą pożytkować, nie omieszkają zwrócić tego, co pożyczili, jak tylko skutecznie to będą mogli, a ku temu znajdą tu przy robotach publicznych wszelką łatwość; trzeba też, żeby oliary dobrowolne przychodziły ze wszystkich stron świata dla wspierania połączenia się świętych. Nietyle chodzi o towarzystwo biorące w tym udział, ile o dzieło miłosierdzia. Twój dom w Liverpool jest upoważniony do przyjmowania wszystkich oliań pieniężnych, czyto z tego pochodzących funduszu, czyli z dziesięciny po całej Europie; ale nie będziesz czynił wydatków tylko wedle naszego rozkazu i jedynie osobom, które my oznaczymy. Pałamy żądzą największą sprowadzenia w nasze strony machin i przemysłu wszelkiego rodzaju. Od dziś począwszy wspieraj nas w naszym przedsięwzięciu, a bądź pewien, że nim nam przyslesz robotników, bawełna, len i inne pierwsze materyały na nich czekać będą. Na przyszłą wiosnę nasze osady rozszerzą się aż na brzegi jeziora, gdzie będzie można uprawiać bawełnę, ryż, trzcinę cukrową i t. p. Jeżeli przeto znajdziesz ludzi, którzy tu przybyć zechcą dla robienia tkanin, urządź tak, ażeby mechanicy, rzemieślnicy i inni, przybyli ile można najprędziej, z narzędziami, jakich przemysł ich potrzebuje. Utworzyliśmy towarzystwo, które ma obowiązek przyprowadzania wychodźców z rzeczami ich od Missouri, tak, że dziś nie potrzebują zakupywać ani wołów, ani wozów, i natychmiast udać się mogą na miejsce przeznaczenia. Uznaliśmy potrzebę pobierania teraz dziesięciny w pieniądzech, a nie w pracy, jak dawniej; dlatego też możemy używać nowych przybyszów do robót publicznych, i opłacać ich czyto gotówką, czyli w żywności potrzebnej dla nich i rodziny. Ruzumié się, że to wszystko nie narusza funduszu nieustannego wychodźstwa, który jest wyłącznie przeznaczony na cel święty, zgromadzenia świętych. Nasza prawdziwa polityka dzisiejsza jest, żebyśmy sobie sami wystarczali naszym przemysłem, wyrabiali sami, i to ile mo-

żna najprędzej wszystko, czego potrzebujemy. Rób więc wszystko co możesz dla poruszenia wychodźstwa rzemieślników ze wszystkich krajów; zbieraj też dziesięciny."

„Nasz ukochany brat Franklin D. Richards wysłany w poselstwo do Anglii, wspólnie z tobą ma pracować i da ci obszerniejsze objaśnienia."

„Zostajemy z uczuciem najwyższego szacunku, miłości i czułości, waszym bratem w nowym i wiecznym przymierzu."

Brigham Young.

Szczegóły to dają poznać, że Mormony od śmierci Józefa Smith wielkie uczynili postępy. Kalifornia stała się źródłem ich pomyślności obecnej, a nadziei na przyszłość.

Następne szczegóły o mieście wielkiego jeziora Stonego, zapewne z zajęciem czytane będą:

„Legia z Nauvoo, mówi list powszechny pisany do świętych pod d. 12 października 1849 r., była zreorganizowaną na płaszczyźnie. Byłoby to wielką radością dla wszystkich świętych rozrzuconych po całej kuli ziemskiej, gdyby mogli być obecni przy obrotom wielkiego przeglądu, gdyby widzieli prawdziwą armią ludzi silnych i marsowej postawy, jako ustawiali swoją broń w kozły, a potem biegli na miejsce oznaczone dla nowego kościoła, i tam z kielnią i motyką w rękę, kopiących fundamenta poświęconego Panu przybytku, wznoszących kolumny, mury, dach, tak, że dziś mamy wygodny gmach, długi 100 stóp a 60 szeroki, gdzie zbieramy się ze świętymi każdego dnia sabatu, a prawie każdego wieczora w tygodniu dla nauczania i obmyślenia sposobów rozszerzenia królestwa bożego."

„Dzień 24 lipca jest dniem, który nie zaginie w pamięci tych, którzy byli obecni na płaszczyźnie; jest to dzień, w którym obchodziliśmy rocznicę przybycia pierwszych poszukiwaczy, jest temu lat dwa. Widząc ogromnej wielkości stoły, które otaczały kościół, a zastawione były wszystkimi płodami ziemi, i tych, którzy rozdawali biesiadującym wszystko, co tylko ziemia wydać może; widząc miejsca zajęte przez ludność, która prześladowaniem tylu lat pozbawiona podobnych uroczystości, dziś chętnie rozdawała miejsca przy stołach wszystkim obcym, obecnym na płaszczyźnie; widząc to w miejscach oddalonych więcej nad 1000 mil od wszelkiej cywilizacji, i gdzie przed dwoma laty rosła tylko trawa pustyni: byłoto dla wszystkich powodem dziękczynień dla Dawcy dóbr wszelakich, byłoto dla nas jutrenką dnia, w którym dzieci królestwa zasięga pod latoroślą winną i figą, i mieszkać będą w domach znikąd złego

się nie obawiając. Oby wkrótce nadszedł czas, w którymby rozproszone pokolenia Izraela zasiąść mogły na podobnych ucztach w ogrodach Józefa!

„Tysiące wychodźców z różnych krajów dla poszukiwania złota przeszli nasze miasto w tym roku, przynieśli nam wielką ilość wyrobów i przedmiotów wszelkiego rodzaju, które zamieniali na konie i muły, a zamiany te były korzystne dla stron obudwóch. Liczba świętych którzy w tym roku tu osiedli, wynosi do 500—600 wozów, oprócz tych, którzy idąc na wyszukanie złota, wysłuchali ewangelii i zostali wpośrodku nas nie chcąc iść dalej, uwierzywszy i będąc ochrzczeni.”

„Dnia 28 września, 14 czy 15 naszych braci przybyło z krainy złota; kilku z nich zebrało obficie drogiego kruszcu, a inni, którzy byli chorzy, wrócili tak ubodzy jak wyszli. Że jest wiele złota w Kalifornii zachodniej, o tém wątpić nie można; ale płaszczyna Sacramento jest niezdrawą, a święci lepiej zrobią uprawiając ziemię, budując domy w tym kraju, aniżeli szukając złota w Sacramento. Prawdziwy użytek złota jest aby obracać go na brukowanie ulic, pokrycie domów; a kiedy święci ogłoszą ewangelią, wykarzczą grunta, zbudują wiele miast, Pan otworzy miny złota wystarczające na potrzeby swojego ludu. Do tego zaś czasu niech ich nie kusi szatan chciwości, bo bogactwa ziemi do Pana należą, który je ukaże, kiedy i jak mu się podoba. Urodzaje zboża były dobre w tym roku w naszej dolinie. Jednak potrzebujemy wiele rąk nowych, któreby nam pomogły w budowaniu i karczunku. Ludzi nam brakuje. Bracia! pospieszajcie ze wszystkich krajów, przybywajcie ze wszystkich narodów; pomagajcie nam budować i uprawiać, aż dotąd, kiedy będziemy mogli zawołać: nie ma już miejsca na płaszczynach Efraim!”

Wieleby jeszcze dało się powiedzieć o dziwnej tej sekcje; ale to, co się rzekło dosyć wyświeca wielkość zadania przedsięwziętego przez jej naczelników, a odkrycie Kalifornii nadało mu daleko większe znaczenie. Kiedy urzędowe żądanie zanesione przez Mormonów do Zjednoczenia amerykańskiego będzie rozbierane na sejmie, można się spodziewać wielkich rozpraw; obudzą one zastarzały spór krajów wolnych i krajów niewolniczych. Wedle ustawy jaką sobie nadali i mieli prawo nadać, Deseret chce być krajem wolnym: to samo już będzie powodem do namiętnych rozpraw, ale będą ożywione przez tych samych Mormonów, którzy niegdyś pogardzeni, prześladowani, wygnani, uważają się dziś za wolnych, potężnych, bogatych, i w położeniu, w którym mogą jako równy z równym stanąć z każdym krajów związkowych.

Dodamy to jeszcze, że Mormony wierzą w blizki upadek wszystkich królestw ziemi, w natychmiastowe utworzenie królestwa Chrystusowego, ogłoszonego naprzód przez Mormonów w kraju Deseret,

a. rozciągającego się z tamtąd po całym lądzie Ameryki. Oczekują przyjścia Chrystusa, jako władcy ziemskiego, i założenia *millenium* (królestwa tysiącletniego), którego owoców sami Mormony używać będą wyłącznie.

Ostatnie wiadomości ze Stanów Zjednoczonych przyniosły nam nowe szczegóły o obecnym położeniu Mormonów. Potwierdzają wszystko, cośmy dotąd powiedzieli; mówią, że im się dobrze wiedzie, i że są gościnni dla niezliczonych karawan, które wyszedłszy z Stanów Zjednoczonych przebywać muszą całą Amerykę północną w największej swojej szerokości, by się dostać do Kalifornii. Jakkolwiek jest sąd o religii Mormonów, trudno im nie przyznać moralności, uważając, jak ich rząd stara się ją rozwijać, i jakie ku temu przedsiębierze środki. Jedno tu tylko przywiedziemy rozporządzenie pod d. 4 lipca tegoż roku, które się składa z trzech artykułów:

Art. 1. Zgromadzenie powszechne rozkazuje, że wszystkie napoje upajające sprzedawane w kraju Deseret, płacić będą taxę 50 za 100 ich ceny sprzedaży.

Art. 2. Dlatego assesor i kollektorowie tax pobierać będą ten podatek wedle formy przepisanej prawem z d. 10 stycznia 1850 r.

Art. 3. Wszystkie żelaza, stal, odlewy, szkła, gwoździe, farby, oliwy, herbata, kawa, cukier, ryż, owoce suszone i inne korzenie, lekarstwa, obuwia, i wszystkie gatunki skór, są wolne od wszelkiej opłaty.

Oto główne szczegóły dziwacznej tej historyi, którą angielskiej publiczności opowiedział dziennik *Morning Chronicle*, a dla francuskiej w skróceniu podał *Journal des Débats*, z kąd czerpaliśmy główne rysy.

Ks. Józef Szpaderski.

Łabędź żałobnie śpiewający nad grobem Wielmożnego Pana Mikołaja Dunina Modliszowskiego, z Modliszowic, hrabię Skrzyńskiego etc., których żałobnych trenów, pomógł mu na pogrzebnym kazaniu ks. Jacynt Przetocki, pleban wysocki, etc..... w Skrzywnie, roku 1642, d. 3 kwietnia.

Taki jest tytuł kazania drukowanego w Krakowie, w drukarni Franciszka Cezarego, roku 1843. Broszurka ta w 8ce wielkiej, zawiera wraz z tytułem stronic 28 nienumerowanych. Na drugiej stronicy jest drzeworyt wyobrażający herb nieboszczyka: „Łabędź”, a nad nim godło:

„Luboś nie mistrzem szlacheckiej kapele,
 Jednak łabędziu, rządysz chórem śmieie,
 Sławnym Duninom *requiem* zaczynasz,
 Aleć to sobie nuczisz i poczynasz.
 Oni żyć w stawie nieśmiertelnej będą,
 Póki promieni, gwiazdy swych nie zbędą”.

Załączam niektóre ustępy z tego kazania, zapewne bardzo mało albo i wcale nieznanego u nas. Z kazania tego, malującego nieraz właściwą sobie epokę i charakter kościelno-oratorski, zamieściłem tylko najcharakterystyczniejsze miejsca, a opuściłem nieskończone cytaty łacińskie i powtarzania, zachowując dla ułatwienia czytającym piśmownię dzisiejszą.

Szanowny pleban Przelocki tak swoją mowę zaczyna:

In imagine pertransit homo!

„W tej smutnej trumnie, patrząc na ten żaloszny depozyt y okrzeplę ciało ś. p. J. M. P. Mikołaja Dunina Modliszowskiego, hrabię Skrzyńskiego, wolalbym przeznaci słuchacze, nie ćwiczone w żalach oczy swe rozkwilić, i pomódz wam żalu, aniżeli przy tak wielkiej kupie ludzi was zacnych i mądrych, prawie nagle mieć dziś kazanie. Zwłaszcza, że w tym kościele, przy katafalku, już ojczysty klejnot niebośczykowski, łabędź, żałobne treny nam wszystkim zaczął, gdy przy tym grobie rekwalny aparat założył. A do płaczu raczej niż do mówienia mam słuszną przyczynę.”

Po kilku cytatach z pisma świętego, tak dalej objaśnia nam kaznodzieja dewizę: *In imagine pertransit homo.*

„Człowiek stworzony będąc na obraz Boski, w tym obrazie i postaci jego, *pertransit*, przemija świata tego znikome włości, a idzie do kresu zamierzonego, przy którym nieprzeżyta wieczność różne korony wije, i różnie różnym one rozdawa: jednym z róży, drugim z pokrzyw; tym ze złota, owym z żelaza; inszym z chwały wiecznej, a inszym z wiecznego kontemplantu. Bądź też te słowa prorockie: *In imagine pertransit homo*, tak sobie rozumić będziemy. Gdy sobie człowiek układa w głowie swej największe imaginacye i radości długich lat, zabaw, honorów, fortunnych pociech, *pertransit*, to jest: odbiega wszystkiiej obłudy świata tego. Bądź na ostatek ten obraz Boski, tak sobie w rozumie postawimy. Każdy człowiek urodziwszy się, wychodzi na świat, jako na jakie *theatrum*, aby życia ludzkiego odprawił komedią. Którego theatru będąc panem Bóg, twórca wszystkiego, tworzy sobie aktry, i onym wedle mądrości swój Boskiej, różne persony rozdawa: i tego czyni biskupem, owego królem; tego ksiąźciem, a tego senatorem, kanclerzem, hetmanem koronnym albo inszym dygnitarzom; znowu tego czyni mieszczaki-

nem, a owego chłopkiem, woźnicą, żebrakiem. Bo to wszystko od Boga. Nie wybieramy sobie person, stanów, urzędów i zabaw na tym świecie tego *theatrum*, ale ich od Boga czekamy, i mamy. W tém pochwała największa każdego człowieka, który dobrze i przystojnie personę swoją odprawi. J. M. P. Mikołajowi Modliszowskiemu każdy dobry i zły przyznać to musi, że na *theatrum* świata tego wyszedłszy, komedią życia swego przez lat kilkadziesiąt wyprawując, dobrze, sławnie, i z pochwałą wszystkich naokoło sąsiad, persony swoje odprawił. Co przy tym żalonym akcie pokazać będę chciał”.

Zanim jednak mówca rozbiiera żywot nieboszczyka, prawi szeroko o tak nazwaną przez niego kondycyi ludzkiej, która jest: *Nasci i mori*, i tak między innymi mówi:

„Rozum to nie rozum, serce to nie serce, słyszeć o cudzej śmierci, stać przy czarnym katafalku, trzymać się trumny, patrzeć na nieczulogo trupa, a nie pomyśleć i tak żyć, jakoby drugi nigdy nie miał umrzeć. A owo nie wió żaden, co mu do pokoju *serus vesper vehet*. Nauczta filozofia, że kolor biały z natury swój *disgregat visum*, zaś czarny kolor, z natury swój *congregat visum*, wzrok do kupy zbiera. Wlepiwszy oczy w Pański majestat, w hetmany, w przyjacioły, w promotory swoje, w pożądanó honory, urzędy, dostatki, bogactwa i inne uciechy; nieba częstokroć, Boga i sumienia naszego nie widzimy, i podobnobyśmy nigdy nie widzieli, gdyby oczu naszych katafalk, trumna i żałoba nie zbierały do kupy. Tencito czarny kolor nauczył patrzeć Karola Vgo cesarza. Miał ten cesarz w Madrycie w więzieniu Franciszka Igo króla francuzkiego, który w *melankoliej* przechadzając się raz po zamku, obaczy *symbolum* Karola Vgo: dwa słupy między morskiemi nawałnościami, z tym napisem: *plus, ultra*. Przypatruje się król i myśląc, mówi sam w sobie: *plus, ultra?* czy nie o mojm to więzieniu dalszém prognostyk? I wziąwszy węgla, pod onemi słowy, Karolowi Vmu *ad intende* napisał: *Hodie mihi, cras tibi*. Dano znać o tém cesarzowi. A cesarz co?—przejrzał. Ten czarny węgiel, *congregavit visum*, wzrok mu do kupy zebrał, oczy otworzył. Przeto wziąwszy także cesarz węgla, pod onemi słowy króla francuzkiego, a natenczas więźnia swego, napisał pokorne słowa: *Homo sum, humani a me nihil alienum puto*. Kondycya tedy każdego człowieka, jako widzicie, jest urodzić się i tego zaraz momentu urodziwszy się, konać”.

„.....Gdy się dziecię zawiązuje w żywocie matki, przychodzi natura ludzka z metryką, w którą pisze wszystkie ludzkie, na świat się rodzące, i dla znaku pisze nad oną jeszcze niekształtną materją *orior*; w tenże moment przychodzi śmierć, i do tego słówka *orior* przypisuje pierwszą

literę swego nazwiska, *M.*; alić natychmiast co było *orior*, wnetki jest *morior*, i równo to już z sobą rośnie i chodzi. Przeto nad kolebkami dziatek swoich, takowe już odtąd słowa kaźcie pisać: *Dum orior, morior*. Alić już co na świecie krok, to do grobu skok; a nie bez gwardyey, bo nędze i choroby wprzód wyżywszy, a nie bez muzyki, bo często bywa, że drugi zacząwszy tu w kolebce płakać, oczu swoich nie może osuszyć aż do śmierci."

„Nie inaczej więc tylko, jako roboczy kosiarz wszedłszy na łąkę, nie respektuje na śliczność i rozliczność kwiatków, ale zawadza kosą w trawę, i jako chłop ślepy, wraz z trawą i wonne kwiatki, i do aptek pożyteczne ziola, kładzie przyszyły półmisek bydłęcy na pokosie. *Omnes morimur*, jeden w szańcu, drugi w tańcu; ten przy dworze, ten przy oborze: ten przy księgach, a ten przy kieliszkach. Już widzicie więc, że ta jest kondycya ludzka „*nasci et mori*”, albo raczej komedya, którą każdy człowiek odprawiać jest powinien, wyszedłszy z *prosceniam* żywota matki swój na *theatrum* świata tego. A na téj komedyi ś. p. J. M. P. Dunin Mikołaj Modliszowski, pamiętając na *Laudum* niebieskie i na powszechny oblig ludzki, nietylko prolog życia swego pobożnego, ale i scenę pańskich i chrześcijańskich postępków, nakoniec i epilog lat swoich szczęśliwych, przezacnie odprawił. A nie dziw, bo miał do ćwiczenia wielce biegłych i wielce zacnych instruktorów, przodków swych Łabędziów, którzy nietylko na *theatrum* koronne polskie wyszedłszy, przez lat blisko 600 w oczach wszystkiój ojczyzny, z wielką pochwałą *Immortalitatis*, persony swoje odprawowali: ale téż i w inszych odległych królestwach i państwach w oczach świata wszystkiego, z podziwieniem różnych stanów, chwalebnie akt życia swego skończyli, zostawiwszy wszyscy przykład nieboszczykowi p. Mikołajowi Modliszowskiemu, aby tak dobrze i zacie odprawił personę swoją w ojczyźnie, jako z nich jedni w Polsce, a drudzy w odległych krajach odprawili."

Tu następuje heraldyczny wywód familii Łabędziów, w którym szanowny autor dalekiej sięga starożytności, mówiąc:

„Wielki to był aktor we włoskiej ziemi *Dux Ligurum*, którego ojciec zwał się *Cygnus*, a na jawne pokazanie herbu ojczystego, zawsze chodził pod wachlarzem piór łabędzich. Wielki to był i sławny aktor *Annibal Paenorum Dux*, który przez niebotyczne *Alpes* uczynił sobie drogę do Rzymian, krusząc twardą skałę ogniem i octem, i był tak Hiszpanom, Francuzom i Rzymianom srogi, jako żaden na świecie. A i ten s. g. jako piszą, łabędziem pieczętował. Ba, sam nawet *Herkules monstrorum dominator* już nie jednego za herb łabędzia, ale kilku, a po powietrzu locących nosił wyrytych na paiziu swoim."

Tu kaznodzieja wspomniawszy jeszcze kilka znaczniejszych domów cudzoziemskich tegoż klejnotu, mianowicie włoskich, przechodzi do łabędziów ojczystych:

„Wielki to był mistrz i zacy aktor na theatrum korony polskiej anno 1124 Piotr Dunin hrabia Skrzyński, kaliski, kruszwicki i wrocławski starosta, który wzięwszy w małżeństwo księżnę ruską, powinowatą Bolesława Krzywoustego, rozmnożył w Polsce przesławnych Duninów, zostawiwszy w sercach i animuszach coś książęcego, coś królewskiego; ponieważ *non imbellis feroces, prognerant aquilae columbam*. Po tym Piotrze było pięć Piotrów Duninów ludzi mądrych i zacych i odważnych; *marie et arte*, senatorów i obozowi wielce wiadomych rycerzów. Ci wszyscy Duninowie przezacy pisyacy się na tym *theatrum* korony polskiej, przesławne dzieła i żywy konterfet enót swoich zostawili na wszystkie wieczność w kronikach polskich swoim successorom....

....„Przystępuję bliżej do nieboszczyka. Dział tego zacygo zmarłego Hieronim z Modliszowie nie wydał w niczym przodków swoich; bo i ten w senacie miał swój stół, był podkomorzym plockim, potem kasztelanem, i małogoskim, łomżyńskim, zembrowskim etc. starostą. Ten dopiero *e propinquo* zostawił ćwiczenie, jako na *theatrum* korony polskiej w odprawowaniu sceny swojej miało się zachować *decorom*. Piękną tu jedyną rzecz przypomnę; miał ten Hieronim syna, imieniem Jana, który pogardziwszy światem i wszystką pompą jego, został Kapucynem i rodzica swego godnością daleko przeszedł, bo ojciec jego miał stół w senacie ziemskim, a ten ma i mieć będzie na wieki stół w senacie niebieskim; a i wyubodzy mnichy i wzgardzone u świata duchowieństwo, tylko życie wedle wokacyej i reguł swoich, a będziecie siedzieć między assessorami i trybunalistami bozkimi. Ojciec tego zmarłego pana, Jędrzej Dunin Modliszowski dopiero był dziatkom swoim zwierciadłem enót szlacheckich, wizerunkiem dobrych obyczajów i uczyciołem wszelkiej przystojności. Długi czas pod bokiem i majestatem pańskim trawił, a zawsze przystojnie. Onto z górnego frauencymeru królowej polskiej wiedząc, że *pa-res cum paribus, veteri proverbio, facile congregantur*, wziął sobie w małżeństwo starościankę checińską, Dembińską herbu Rawicz, o której familiej, kto nie wie jest albo gościem, albo przychodniem do Polski”...

....„O łabędziach piszą, że pracę mają między sobą przy wychowaniu dziatek podzieloną. Samice w dzień siedzą w gniaździe z dziećmi, a samcowie w nocy też dziatki swoje włożywszy na własne skrzydła, uczą pływać. Przezacni Duninowie, których wspomniałem, własni łabędziowie. Ci na *theatrum* korony polskiej odprawując chwalebnie sceny i per-

sony swoje, uczyli sławnéj pamięci J. M. P. Mikołaja Dunina Modliszowskiego, już nie pływać, ale godnie scenę i personę swoją odprawiać.

Daléj pleban wysocki, prawie do samego końca kazania obznajmia słuchaczy z życiem nieboszczyka, mówiąc, czego zmarły nauczył się od przodków swoich łabędziów.

„Sławnéj pamięci J. M. P. Mikołaj Dunin Modliszowski będąc od zacnych rodziców na toż *theatrum* korony polskiej wysadzony, nauczył się godnie swe persony piastować, które od Boga na się włożone miał. To jest nauczył się od Piotra Dunina hrabi Skrzyńskiego przodka familii swojej wielkiéj pobożności i ku Bogu szczodrośliwości. Ten albowiem Piotr 77 kościołów na cześć Bogu i chwale Najświętszój Panny z ciosanego kamienia zmurował i nadał. Dwa klasztory fundował i w jednym panny zakonne na Kujawach osadził, które potém do Strzelna przeniósł, a w drugim kościele pod tytułem świętego Wincentego, na przedmieściu we Wrocławiu, zakonniki posadził i nadał. Ale ten kościół złutrzawszy Wrocławianie już spustoszyli. Przeto rzadki dzień, którego by nie miał u stołu swego kapłana świeckiego albo zakonnego. A gdy się takowy dzień trafił, że nie mógł mieć kapłana u siebie, srodze tęsknił, i on dzień, zażywając słów niegdyś cesarskich „*o amici diem perdidimus*” miał sobie za nieszczęsny z téj przyczyny. Ten sławny nieboszczyk w majątnościach swoich nie wziął żadnemu kościołowi z prowentów i gruntów jego *ne unum palmum terrae*, ani téż *ne obulum*, z należytých od stworzenia świata kapłanom dziesięcin. Nauczył się tenże nieboszczyk od tegoż Piotra swego przodka, że nieszczęsna fortuna stoi na okrągłej gałce; nauczył się i tego, że ludzi niewinnych sam Bóg jest obrońcą i opiekunem, jak to widzimy, gdy łabędziowi Duninowi Piotrowi urznięty język i oczy wyklute cudownie przywrócił. Od arcybiskupów i biskupów łabędziów jako i on nauczył się JMP. Modliszowski Boga swego i bliźnich serdecznie miłować, ponieważ miłość łoża i miłość bliźniego w jednéj sforze z sobą chodzą. Przeto on ludzi różnych ciężkie urazy pięknie i dowcipnie koił, i między sobą równał; on zastarzałe rankory w przyjaciółach umarzał, rozróżnione affekty, rozумы, animusze, wota i mowy miarkował i do zgody prowadził, chcąc koniecznie, aby było *cor unum et anima una*. Ale ta miłość jego ku bliźnim najbardziej się wydała ku ubogim tak świeckim jako i duchownym, którym co rok wielkie jałmużny tak z szkatuły jako i z gumna i spiżarni dawał. Bo téż, jeżeli jest na psy, na płaki, na szkapy, na muzykę, na niepotrzebną gwardyę, na goście ustawiczne; czemu nie ma być na ubogich, którzy są drogą do nieba? Zgoła, my na-przód kapłani utraciliśmy gorącego miłośnika stanu i honoru duchownego i wielkiego w domu uczciela naszego; wy wierni i życzliwi słudzy

utraciliŒcie pana wielce dobrego; ubodzy chłopkowie i poddani utraciŒcie ojca miłosiernego, nędzni żebrakowie jałmuźnika, mizerni zakonni kwestarze folwark, wszyscy utraciliŒcie dobrodzieja, a wy miłosciwi panowie, utraciliŒcie kosztownego przyjaciela i nieoszacowanego sąsiada.”

„Od kanoników i innych prałatów łabędziów, jako i sam, nauczył się nieboszczyk nabożeństwa. Uchowaj Boże! mszy Œtój nie słuchać, uchowaj Boże, zwyczajne modlitwy swoje opuŒcić, choć teŒ w największych publicznych trudnościach. Œgo Marcina dla wielkiego nabożeństwa zwano perłą, *Gemma sacerdotum*. Dla takiegoŒ pewno nabożeństwa dam ja dziŒ tytuł wielce pobożnemu temu Duninowi *gemma nobilium*, perła stanu szlacheckiego, w którym wiele jest takich co mówią: „Dali-bóg, nie mam kiedy i pacierza zmówić.”

„Od Kapucyna stryja swego rodzzonego łabędzia, jako i sam, nauczył się ten zmarły głębokięj pokory, gdy prosił z płaczem, aby go bez wszelkięj pogrzebnęj pompy jak najuboŒej w habicie grubym bernardyńskim pochowano. O czém ja pewneŒ zasięgnięszy wiadomości, pytam łask waszych wielmoŒni miłosciwi panowie, komu dziŒ w tym koŒciele tak gromadno posługę ostatnię oddawacie? Czy panu jakiemu? czy jakiemu ubogiemu? Słyszę, gdy ma umierać rozkazuje pokojowym wywlec zpod siebie miękkię poŒciol, a włoŒyć sobie pod głowę wielkię i twardę bryłę ziemi: to pewno ubogi ktoŒ. Znowu słyszę, do róznych koŒciolów testament leguje blisko 30,000 złotych, na pogrzeb, na msze Œwięte, na jałmuŒny naznacza niemałą summę. To wierno pan! Patrząc w trumnę widzę ciało pokryte grubą i szarą sukmaną. To pewno ubogi! Obróciwszy oczy na koŒciół, widzę butny katafalk, obok niego wiele Œwięc i lamp, wiele aparatów pogrzebnych od srebra i róznych czarnych materyj, wiele herbów i klejnotów ojczystych na atlasach, adamaszkach i kitajkach. To zaiste pan! Chłopkowie i ubóstwo z płaczem ciało wprowadzili i prawie do koŒciola wniesli. Toć prawdziwie ubogi! Prałaci, senatorowie, urzędnicy koronni i piękne grono szlachty zjechawszy się na ten pogrzeb, temu zacnemu ciału jako widzę ostatnię posługę oddawają. To juŒ szczery pan! pan i ubogi, ubogi i pan. A to nie jest *paradoxum*. Bo Œóraw w studnię-tém samém że go z wiadrem zniŒasz, tém samém podnosisz.”

„Od wojewodów i kasztelanów łabędziów, jako i sam, nauczył się słuŒyć rzeczypospolitęj, a słuŒyć mądrze i roztropnie. PrzetoŒ dla nabycia nauk i mądroŒci, któręj do usług swoich ojczyzna potrzebuje (bo cóŒ kiedy dobrego głupi nieuk sprawi): jechał do cudzych krajów, przejechał Hiszpanię, włoŒkę ziemię, Francyę, Belgium, Inderlandy (1) i sztukę In-

(1) Niderlandy.

dyi: gdzie nie przypatrywał się damom, skokom, pługom, baletom, ale mądrym różnych nauk professorom, dobrym obyczajom, sztukom *rycerskim* i wojskowym, rządowi miast cudzoziemskich, kosztownym pałacom, poważnym winnicom, misternym budynkom, potężnym fortecom i innym zacnym w architekturze sztukom. Zkąd za kilka lat powróciwszy, sejniku żadnego nie omieszkał, na sejmy walne często posłan bywał, na trybunale prawie co trzeci rok deputatem, a w sprawach przyjacielskich co dzień i co godzina życzliwym i dobrą Minerwę mającym i szczęśliwym sędzią."

„Od hetmanów koronnych łabędziów, jako i sam nauczył się, że *dulce est pro patria mori*. Przeto żadnej ekspedycyjej nie opuścił na którąby kosztem wielkim, pod chorągwią dworską królewską nie miał stawić pocztu przystojnego i porządnego, pokazując na oko zgnitym domatorom, że ojczyzna taka jest, *pro qua mori et quasi nos consecrare debemus*. O którym jego dobrym i gorącym ku rzeczypospolitój affekcie, aby wiedziała *in perpetuum sera posteritus*; a totem przodków swoich idąc, umyślił żyć w stanie świętym małżeńskim. Do których zamysłów przybrał sobie przyjaciela i towarzysza w domu Jch. M. M. P. P. Grzymułtowskiich, kasztelanę sredzką. Rozstał się prędko z tym miłym przyjacielem nieboszyk i ponowił sakrament małżeński wzięwszy sobie za małżonkę starościeinę tłumacką z domu Jch: M. M. P. P. Ostrorogów. W którym wielmożnym domu, co Ostrorog, to niemal albo górny wojewoda, albo wielki kasztelan, albo hetman, albo pieczętarz, albo jaki znaczny dygnitarz koronny. W którym domu co kiedy mogła dokazywała uczona Pallas, albo straszny Mars, nie przestaną kroniki powiadać nieskończonej wieczności."

„Od kancelerzów łabędziów, jako i sam, nauczył się królom wiernie służyć. Bo na dworze ś. p. Zygmunta III króla polskiego służył dworzańsko czas niemały, dostatkiem i kosztem wielkim."

„Od marszałków łabędziów, jako i sam, nauczył się nie przed królem z łaską chodzić, ale z cnotą przed Bogiem. Nakoniec od starostów przodków swych łabędziów, nauczył się być sprawiedliwym ku Bogu, ku duszy swój, ku bliźniemu, oddając każdemu z nich co jemu należało: Bogu serdeczną miłość, bliźniemu miłosierdzie, sobie płacz przy częstych spowiedziach, duszy modlitwę i wewnętrzne rozmyślenia, ciału umartwienie i twardą pokutę za grzechy."

„To od rozumnych łabędziów, wielmożnych przodków swoich ten zacny i rozumny łabędź sławnej pamięci J. M. P. Mikołaj Modliszowski będąc na theatrum korony polskiej nauczył się tego, coście słyszeli. A od łabędzia nierozumnego swego herbownego czego się nauczył? Widzę, że

chcecie wiedzieć, więc jeszcze słuchajcie, bo tu skończę. Nauczył się wesoło z baczeniem i szczęśliwie umrzeć i personę swoją godnie odprawić, albo raczej wszystkiemu aktowi życia swego, szczęśliwy dać epilog.”

* * *

Tu szanowny kaznodzieja kończy swoją mowę, stosując ostаточно chwile nieboszczyka do śpiewu konającego łabędzia, mówiąc, że rozkoszny to sonet, wdzięczny kanzon, który z ust umierającego słyszał kapłan zakonny: „*Pater*, nie rozumiej, bym co żałował z tego świata; tak sobie ten świat waży, jako włos, który mi z głowy spada.

M. Morz.....

O dawném województwie sieradzkim (1).

Województwo sieradzkie pomiędzy stopniami 50 i 52 północnej szerokości geograficznej, a zaś 15 i 18 stopniem długości położone, graniczyło od wschodu przez część rzeki Pilicy z województwem sandomierskim, od południa z krakowskim, na zachód ze Szlązkiem przez część rzek Lizwarty i Proсны, od północy zaś z województwem kaliskim tudzież łęczyckim przez rzeki Ner i Wolborzę. Środkiem województwa tego płynęła od południa ku północy rzeka Warta, zpod miasta Kromolowa początek biorąca, a przepływając koło miast: Starój Częstochowy, Metowa, Działoszyna, Oszykowa, Bużenina, Sieradza, Warty i Uniejowa, wpadała przy wsiach Osiny i Zawada do województwa kaliskiego, powiększając koryto swoje znakomitszemi rzeczkami i rzekami: Wiercią, Liszwartą, Widawką i innemi.

Herb wzmiankowanego województwa stanowiły pół orla czarnego w polu czerwonym, i pół lwa czerwonego (2) w polu złotym,

(1) Antoni Pstrokoński, regent i archiwaryusz akt dawnych sieradzkich, w ciągu przeszło trzydziesto-letniego swego urzędowania, nagromadził mnóstwo materyałów do opisanja, w najdrobniejszych nawet szczegółach, całego województwa sieradzkiego posłużyć mających; lecz takowe, bez obrobienia po śmierci jego w r. 1843 nastąpiłcej, na własność familii jego przeszedłszy, po dziś dzień jeszcze na kupie z biblioteką pomieszczone i zamknięte, jako należność małoletniego od lat kilkunastu pod strychem zbawienia swego oczekują. Częstkę z takowych, lecz już wypracowaną, wydał W. H. Gawarecki jeszcze za życia autora w Przeglądzie Warszawskim z r. 1840. T. I, str. 207 i 313.

(2) Lwa takowego czarunym być miał ks. Wład. Lubieński w swój Geografii, str. 386.

grzbiecami z sobą zrosnięte, wspólną złotą koronę na głowach mające, z wywieszonymi u obu językami. Niesiecki, idąc za Paprockim i Nakielskim przytacza, iż kiedy w walce z Krzyżakami szlachta województwa łęczyckiego otoczona, chorągiew swoją straciła, przybiegli jej Sieradzanie na pomoc, a nieprzyjaciela przemogłszy, braci i sąsiadów ocaliwszy, chorągiew tychże odbili. Czyn takowy wynagradzając panujący dozwolił rycerstwu województwa tego używać laku czerwonego do pieczętowania swych listów, co tylko książętom i tychże kancelaryom przedtém było wolno; a nadto pozwolił im utworzyć urząd drugiego chorążego, czém inne województwa poszczycić się nie mogły, i odtąd występuje chorąży większy i mniejszy sieradzki, co się stać mogło za rządów Łokietka, lubo w księgach sieradzkich dopiero pod r. 1398 o drugim chorążym wzmiankę znajdujemy.

Województwo sieradzkie dzieliło się na 4 powiaty, tojest: sieradzki, szadkowski, piotrkowski i Radomski, oraz ziemię wieluńską z przyłączonym do niej powiatem ostrzeszowskim. Odbywało swoje obrady czyli sejmiki (oprócz ziemi wieluńskiej) w Szadku, gdzie wybierało zarazem czterech posłów na sejm, tudzież w Sieradzu, jak miejscowe księgi świadczą, dla obierania podkomorzego, sędziów ziemskich i deputatów na trybunał koronny. Popisy rycerstwa i zebranie tego województwa i ziemi wieluńskiej miały miejsce pod Sieradzem na rozległych błoniach, pomiędzy wsiami Męką i Wośnikami. Liczyło ono dwóch większych senatorów, tojest wojewodę i kasztelana sieradzkich, mniejszych zaś czyli drążkowych trzech, tojest kasztelanów rozpińskiego, spicimirskiego i sieradzko-konarskiego, oprócz wieluńskiego, czyli rudzkiego. Starostwa grodowe były w Sieradzu i Piotrkowie, niegrodowe zaś, czyli tenuty: radomskie, szadkowskie, kłonowskie, tuszyńskie, wartskie i szczerczowskie; ziemstwa były w miastach powiatowych: Sieradzu, Szadku, Piotrkowie i Radomsku.

Przejdźmy do wojewodów. Wojewody (palatinus) kiedy nazwisko (1) u nas powstało, trudno z krytyką wysledzić; początek urzę-

(1) Palatinus zwał się jeden z siedmiu pagórków Rzymu, na których Romulus sławne miasto założył. W średnich wiekach *Palatini* nazywali się ci, którzy pałac cesarski zamieszkiwali; w Węgrzech zaś *Palatinus* był pierwszy magnat, który wybrany przez stany z czterech magnatów, przez króla przedstawionych, króla samego w potrzebach zastępował. Pierwszy historyk nasz Marcin Gall, Nestorowi współczesny, na początku XIIgo wieku zmarły, wyraz *Comes Palatinus* za jedno znaczący z *Militiae Princeps* przywodził (cf. Nies. edyc. lipsk. T. I, str. 393) jakby to był urząd pałacowy i nadworny.

dowi temu nadaje Naruszewicz (1) od czasów Bolesława Chrobrego, gdy podówczas dostojność hetmana czasowo sprawując, wojsko do boju wiódł, jako *princeps militiae* czyli *magister militiae*. Początkowo był zapewne jeden tylko na całe królestwo wojewoda, lecz gdy po śmierci Bolesława Krzywoustego w r. 1139 zaszł, w skutek podziału kraju przez niego pomiędzy swoich synów skutecznego, mnóstwo księstw udzielnych powstało, z których każde dworem znakomitym, na wzór panującego otoczyć się pragnęło; urząd więc *principis militiae* przeszedł i do księstw szczególnych, zamienił się w takowych z czasem na urząd stały z możliwością zastępowania w czasie pokoju samego księcia lub króla, a w końcu z zaszczytem przewodniczenia sejmikom i sądom wiecowym swego województwa. stanowienia w takowem ceny towarów, dostrzegania sprawiedliwości, i czuwania nad bezpieczeństwem publicznem.

Wojewoda sieradzki, wybierając z prawa podwojewódzych powiatowych: sieradzkiego, szadkowskiego, piotrkowskiego, radomskiego, wieluńskiego i ostrzeszowskiego. miał przydane do urzędu swego wsie Szadkowice i Sobakow, a już w r. 1418 i Dębowiec (2).

Po dostojności wojewody, pierwsze miejsce jako senator zajmował w województwie kasztelan sieradzki, już za czasów Bolesława Śmiałego pod rokiem 1081, przez Paprockiego przytoczony. Szereg takowych aż do roku 1795 sięgający, dla uniknienia jednostajności, i nie nadwerżenia cierpliwości, nie każdemu przystępny, pomijam, do historii województwa sieradzkiego przechodząc.

Ze prowincye, województwo sieradzkie składające, od przedchrześcijańskich nawet czasów licznie zamieszkane były, a nawet i handel z odległemi krajami prowadzić musiały, dowodzą tego gęsto w tych okolicach wykopywane urny, tudzież mnóstwo denarów srebrnych rzymskich z czasów cesarstwa, w ziemi odkrywanych; lecz jaką te prowincye nosiły nazwę, i przez jakie gminy pod naczelnikami rodziny zamieszkiwane były, tego dla braku piśmiennych dowodów zaledwie nam tylko domyślać się można. Ze stolica sieradzkiego województwa już podówczas istniała, przypuścić się godzi, lecz że pomiędzy dwunastu wojewodami krajem rządzącemi i sieradzki zasiadał, to wszystko dostatecznie i krytycznie Naruszewicz, tudzież autor uwag nad Mateuszem herbu Cholewa unieważnili. Rządy Bolesława Chrobrego (od r. 992 do r. 1025), nie wskazują nam podziału

(1) Naruszewicz Histor. wydanie Lipskie tom IV, str. 46, przyp. 3.

(2) Acta terrestria Siradiensia Anni 1418. Liber. 6, pag. 46, versa.

kraju na województwa, ale raczej na kasztelanie, a potem na ziemie, pomiędzy którymi i sieradzka czytamy. (1).

Bolesław III idąc za przykładem mocarstw ościennych, wielki błąd popełnił, królestwo całe pomiędzy swoje dzieci dzieląc, i władzę zwierzchniczą przy najstarszym z nich Władysławie II zostawując, któremu w udział i ziemia sieradzka się dostała; od roku 1139 zaczęły się więc tworzyć księstwa z udzielnymi dworami. Władysław, namowami Agnieszki, z domu Rakuzkiego, małżonki swojej, niewiasty chciwej i lakomiej podburzony, zabiera braciom dzielnice; lecz pod murami Poznania w r. 1148 pobity, zwierzchność i dzielnicę utracą. Ziemia sieradzka przeszła w r. 1149 na brata jego Bolesława IV, Kędzierzawym zwanego, i zarazem monarchę polski; a po jego śmierci r. 1173 nastąpniej, wraz z berłem na Mieczysława III Starego, tegoż brata. Mieczysław niesprawiedliwością, gwałtami i okrucieństwem naród zniechęciwszy, w roku 1177 wypędzony, władzy zwierzchniczej i wielu ziem, a pomiędzy niemi i sieradzkiej, na osobę Kazimierza II Sprawiedliwego, najmłodszego z synów Bolesława III, zrzec się musiał. Kazimierz, ten sieradzki książąt, protoplasta łagodne rządy kraju w r. 1194 śmiercią zakończył.

Po nim tron z księstwem sieradzkim odziedziczył syn tegoż Leszek, od jasnych, włosów Białym nazwany; lecz berłem się kontentując ustąpił ziemię sieradzką i łączyczką Kazimierzowi, synowi po bracie swym młodszym Konradzie (2). Lubo po śmierci Leszka roku 1227 syn i następca jego Bolesław Vty Wstydlivy, jako monarcha tytułu księcia sieradzkiego mógł używać, rządy atoli księstwa tego, ojca wolę szanując, przy bracie swoim stryjecznym Kazimierzem pozostawił. W roku 1241 nieszczęście na Polskę zesłane, dotknęło i księstwo sieradzkie; Mogołowie bowiem, klęskę Polakom dnia 18 marca pod wsią Chmielnikiem zadawszy i Kraków spaliwszy, rozlali się pod wodzą barbarzyńskiego Kajdana po kraju i ziemię sieradzką i łączyczką z Kujawami mieczem i ogniem zniszczyli (3). Ze nie sam tylko Kazimierz wszystkiemi, ziemię sieradzką składającemi prowincjami zarządzał, znajdujemy dowód w księgach szadkowskich (4), w których za oblatowanym przywilejem z roku 1233, Bolesław książę sieradzki, (brat rodzony Kazimierza) nadaje w Piotr-

(1) Naruszewicz Histor. wyd. lipskie T. V, str. 121.

(2) Kadłubek. Edycyl dobromil. str. 573.

(3) Naruszewicz Histor. wyd. lipskie T. VII, str. 60.

(4) Terra Szadcov. Lib. 10. Obl. roku 1425, str. 47.

kwie konwentowi Cystersów sulejowskich obydwą brzegi rzeki Ner, tudzież wolne łowienie bobrów w dobrach Beldrzychowic; dowodzą to klótnie pomiędzy synami Konrada o części tego księstwa, które Naruszewicz przywodzi (1), iż powyższy Kazimierz zaraz po śmierci ojca swego Konrada w r. 1247 nastąpionej, chcąc sam panować w pozostałych po nim ziemiach, zabrał Łęczycę, Spicimierz i Rozprzę; a gdy po śmierci brata Bolesława w r. 1249 sieradzkie księstwo w spadku do Kazimierza i Ziemowita braci należać miało, opanował takowe sam Kazimierz, uwięziwszy Ziemowita z żoną jego Gertrudą. Kazimierz przyciśnięty latami, dręczony sumieniem dla krzywdy braciom wyrządzonej, z których już czterech życie zakończyło, a on sam tylko z Ziemowitem pozostał; skruchą, czy przykładem innych książąt powodowany, założył w roku 1260, w sieradzu z zamku swego klasztor dla księży Dominikanów, a we dwa lata później w Brześciu kujawskim; rządy zaś księstwa sieradzkiego, w roku 1261 w ręce syna swojego Leszka, od koloru włosów Czarnym zwanego, złożył.

Leszek zajął się szczerze pomyślnością podwładnych swoich, zakładał wsie i miasteczka, i takowe na prawie niemieckiem lokował, by ludnością z zagranicy przynęcaną księstwo swoje, przez napady mogolskie i tatarskie zniszczone i wyludnione, do lepszego przyprowadzić bytu; jak to przywileje z czasów jego zarządu, w księgach sieradzkich przez oblaty dochowane, przekonywają. Nie wahał się naród, po śmierci Bolesława Wstydliwego w roku 1279 zaszlęj, powierzyć mu berło krakowskie, które przyjąwszy, rządy nad księstwem sieradzkim bratu swemu z innej matki, Władysławowi, od nizkiego wzrostu Łokietkiem przezwanemu, oddał.

Jakie koleje Władysław przechodził, jak koronę polską po kilka razy zyskiwał i znowu ją tracił; dalej jak z niesprawiedliwego i okrutnego przekształcił się nieszczęściami, doświadczeniem nabytém i hartem duszy swojej, na sprawiedliwego króla, ojca dzieciom i walecznego rycerza; wreszcie jak nad tonią przepaści kraj postawiony dzielną prawicą uratował: tego wszystkiego uczą nas dzieje krajowe. To tylko nadmienić muszę, iż w czasie jego wygnania księstwo sieradzkie już to do Waclawa króla czeskiego i polskiego, już to do Przemysława księcia kujawskiego na Bydgoszczy, syna Ziemomyśla, a bratanka Łokietkowego, przechodziło. Władysław jednocząc księstwa odrębne w jedną całość, wcielił i księstwo sieradzkie

(2) Naruszewicz Hlst. wyd. lipskie T. VII, str. 159.

do Korony, a zarazem sprawdził nieomal przepowiednię autora żywota Stanisława świętego (1).

Odtąd sieradzkie księstwo zpod rządów monarchy się nie wychylając, przybrało nazwę województwa, i wszelkie koleje szczęśliwe i nieszczęsne wspólnie i zarówno z innemi w kraju przechodziło, licząc się trzeciém z porządku województw Wielkopolski, po poznańskim i kaliskim. aż w roku 1768 województwu gnieźnieńskiemu miejsca ustąpiwszy, zaraz po niem następowало.

Przejdźmy do zwyczajów, przesądów, zabobonów i tym podobnych okoliczności, odwiecznie niemal w województwie dawném sieradzkim w używaniu będących, zachowując porządek miesięcy w roku po sobie idących. W uroczystość Trzech Króli święcą kredę, mirę i złoto, po babkach lub prababkach na ten cel gdzieniegdzie portugaly szwedzkie, hiszpańskie, a niekiedy i polskie pielęgnując. Kredą, do domu wróciwszy, piszą na wszelkich drzwiach zabudowań mieszkalnych i inwentarskich początkowo litery nazwy trzech królów z krzyżykami i rok nowy, jako środek przeciw wszelkim czarom i przystępowi złych duchów; kto na ból gardła cierpi, temu krzyże złotem święconém na nim kreślą i mirą okadzają. W wigilią dnia tego wszelkie ognie ze szczętem wieczorem wygaszają, a dopiero po nabożeństwie w samo święto odbytém, zapalają przy ogniu poświęconym kawał powroza, z nim spieszą do domu, ogień rozniecają, i takowy przez rok cały utrzymać się starają. Przed wschodem lub po zachodzie słońca w żadnym prawie domu ognia nie użyczą. W dzień św. Fabiana i Sebastjana obserwują gospodarze powietrze; jeżeli deszcz pada, wtedy cała zima będzie wilgotna; jeżeli zaś mróz, ciężkiój zimy oczekiwać należy. W wigilią Matki Boskiej Gromnicznej, jako téż wszelkich uroczystości Boga-Rodzicy, lud pości trzymając się przysłowia: „Kto kocha Maryą, nie pyta się o wilią.” W sam dzień

(1) Martini Galli Chronicon, przez Bandtkiego, p. 378. Et sicut ipse Corpus Martyris in multas partes secuit (scilicet Boleslaus) et in omnem ventum bestis terrae et volucris coeli dispersit, sic Regnum Deus ab eo, et a posteris ejus scidit et, ut in praesentiarum cernimus, propter peccata terrae, quia multi principes ejus, idcirco ipsum Regnum gentibus per circuitum in directionem et concalcationem dedit. Sed sicut Divina providentia idem Beatissimi Pontificis et Martyris corpus, sine Caelestium notamine, retrogravavit, et ipsius Sanctitatem signis et prodigiis declaravit, sic futurum est, ut per ejus merita Regnum divisum, Deus in pristinum statum restantet, justitia et iudicio roboret, gloria et honore coronet. Hoc autem probabile est et verissime, quod dicimus.

Matki Boskiej Gromnicznej uważają gospodynie, czy wiszą sople lodu przy strzechach, rokując sobie znakomity lnu urodzaj; w czasie nabożeństwa dają do poświęcenia świece grube woskowe, gromnicami zwane, takowe wiankami ozdobione zawieszają nad łózkami, i oneż w czasie mocnej nawałnicy dla odwrócenia jej zapalają, lub osobom konającym zapalone przy modlitwach w rękę przytrzymują. W dzień św. Błażeja święcą jabłka, które na ból gardła cierpiącym do spożycia dają, a ostrużynami gardło okadzają. Na św. Agatę święcą sól i chleb i takowe przy silnym pożarze w żywiół zażarty wrzucają, przypisując im własność usmierzenia ognia lub odwrócenia wiatru na pole, by nie szkodził budynkom w pobliżu stojącym; albo wynoszą obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, lub innego jakiego świętego, i tychże opieki doznają. W wigilią św. Apolonii poszczą niektóre osoby na intencyą, ażeby też patronka od bólu zębów zachować je raczyła.

W czasie karnawału stan wyższy korzystając z sanny, dąży licznie zebrany przy dźwięku dzwonek, na pasach u rącznych czwórek pozawieszanych, przy huku z batów i odgłosie szumnej muzyki na kulig w dom ościenny obywatelski, a hoża poprzebierana młodzież, miłością i węgrzynem zagrzana, zapuszcza się w śmiałego Mazura lub krętego obertasa, dopóki rozjaśniony widnokrąg, światła licznych świec i kandelabrow nie przyćmi. Wieśniak zaś nuąc swe pienia przy lichym dźwięku strun skrzypiciela, kręci się w gęstych parach na ksobkę, lub przy często krążących półkwaterkach za stołem gawędząc, trunkiem i snem zmorzony w kącie zasypia. Nadchodzi popielec: klocki, kości i nogi kurze pojawiają się u wyższej młodzieży na plecach, a gospodarze więcej z gospodyniami spieszą do karczmy, by z kmotrami uraczyć się przepalanką na intencyą, ażeby im konopie się porodziły. Nastaje post wielki; dwory zaopatrzone dyspensą od proboszcza, wstrzymują się od mięsa przez pierwszy tydzień oraz dwa ostatnie, niemniej przez wszystkie piątki i soboty; lud zaś wiejski tylko olejem strawy swoje kraszi. W czasie postu nabożny posiadacz wsi zbiera co wieczór czeladkę na pacierze, i z nią kłęczący śpiewy o męce pańskiej nuci. Dziewki zbierając się na wsi w jednej chałupie, przędą wspólnie kądziel (zład kądzielnicami przewane) i tamże czas przy pracy wymierzonej na opowiadaniu powieści różnych odwiecznych, o czarnoksiężnikach, upiorach, zbrojcach, i t. p. gadkami zwanych, sobie skracają.

Za nadejściem marca, jeżeli w którykolwiek dzień tego miesiąca mgła się pokaże, zapisują go sobie starzy gospodarze, a w dniu se-

tnym po tymże, ulewy wielkiej oczekują; nadto obserwują dzień 40 męczenników, w którym jeżeli mróz przypada, mocno są przekonani, iż jeszcze 40 dni mrozów mieć będą, a gospodynie wstrzymują się za niemi z siewem wszelkich delikatniejszych nasion. Zwyczaj atoli powszechnie przyjęty mieć chce, ażeby w wigilią św. Grzegorza pierwszą siano rozsądę, drugą w wigilią s. Józefa, trzecią w wigilią Zwiastowania N. P. Maryi, a ostatnią w Wielki Piątek. Obok tego, w wigilią św. Józefa na wyniosłych dębach, topolach albo lipach naprawiają gniazda dla bocianów, albo nowe brony dla tychże lub koła od wozów bez najmniejszego żelazka zaprowadzają, i w nich pieniądze jak i srebrny zamieszczają dla większej ptaków przynęty. Gospodynie, za nadejściem św. Benedykta cieszą się przysłowiem: „Na święty Benedykt, kaczką jaje myk,” że kaczki nieść poczną; a schwyciwszy ukradkiem mężczyźnie czapkę, wkładają w nią jaja kurze i niosą pod kurę w przekonaniu, iż jaja się nie zepsują, lecz kurczęta pewnie i razem się wylęgą. Na wiosnę zjawiają się skowronki, bociany i jaskółki; uszkodzenie gniazda którego z tych ptaków, a tém bardziej zabicie jego, lud za grzech wielki poczytuje. Na wschodzie, czyli w czasie ubywania księżycy, który tutaj *miesiącem* zowią, tynkują izby i pokoje, ażeby się od natręctwa różnego ściennego uchronić robactwa.

Dzień pierwszego kwietnia wysila młode umysły na rozliczne środki do zwodzenia jedno drugiego, które się kończą wykrzyknikiem „prima aprilis!” W Wielki Czwartek zajmują się gospodynie przygotowaniem pieczywa chleba i ciast, a gospodarze napominani często, by się nie zbliżali, albo nawet burę otrzymawszy, wynoszą się z domu mrużąc przysłowiem: „Kiedy kobieta pierze, albo chleb piecze, to się ledwie nie wściecze”. Nazajutrz, jako w rocznicę umęczenia Pańskiego, wszelkie lustro czarną lub inną powłoką przykrywają, napominając dzieci, by się nie przeglądały, gdyż im się djabeł w całej swej okazałości pokazać może. W polu groch sieją w tym dniu starzy gospodarze, ażeby takowego robaki nie toczyły, a wieczorem do kościoła na passyą dążą. W Wielką Sobotę, po ukończeniu przygotowań nakrywają stół, na którym całe święcone zastawiają; po południu zaś proboszcz miejscowy umyślnie przybyły, poświęca cały dobytek; następnie wychodzi na podwórze, gdzie kobiety ze wsi dwoma rzędanami ze swemi święconkami zasiadłszy, w milczeniu go oczekują; po poświęceniu, organista od każdej z nich po jajku wybiera. W uroczystość wielkanocną właściciel wsi ezeladkę na rezurekcyę fornalkami dworskimi lub nakazanymi ze wsi furmankami naprzód wysławszy,

sam z familią pospiesza za niemi, prowadzi jako kollator w czasie processyi proboszcza pod rękę, a huk z mozdierzy daje znak okolicy, iż nabożeństwo już się rozpoczęło. Gdzieniedzie włościanie przebrani w szaty żołnierskie pilnują z halabardami lub dobytymi szablami grobu Pańskiego, a w chwili podniesienia uderzają pałasz o pałasz, kółki zdejmują i na kolana padają, skruchę i zapal powszechny religijny wzbudzając. Nazajutrz po Wielkanocy nastaje *dęgus*, w wyższym a szczególnie w wiejskim stanie w całym swoim znaczeniu zachowywany; nic bowiem dziwnego, jeżeli dziewczka całą konew wody na parobka wyleje, albo jeżeli parobcy takową do sadzawki zaniosą i tamże w radosnym śmiechu zanurzają. W tym dniu parobcy chodzą po dęgusie z kogutkiem, tojest z wózcikiem o dwóch kółkach pomalowanym, na którym ustrojony kogut w pierze naturalne, i kilka osóbek najczęściej traczy, żołnierzy, za pociąganiem sznurkami, w tę lub owę stronę się ruszają, zaopatrzeni w sikawki, kije i kobiałki, i śpiewają całym chórem: „Chrystus zmartwychwstaje...” Na nich szczególnie, gdy pieśń ukończą i wódką, kolaczem lub pieniędzmi obdarowani zostaną, dybią dziewczki dworskie za węglami, lub na górze pod strychem z wodą ukryte. Kiedy się taka kompania z drugą spotka, przychodzi do bijatyk, rabowania kolaczy, i do psucia kogutka; dlatego też średnicy (chłopcy około 15letni) przybierają do grona swojego parobków. Dziewczeta małe wiejskie chodzą z gaikiem, tojest z wierzchołkiem choiny w rozmaite wstążki, pierza, świecidelka i papiery kolorowe przypstrzonym, śpiewając przed oknami dworskimi piosnkę: „Mój gaik zielony, pięknie ustrojony i t. d.”

Przed świętym Wojciechem obserwują grechotanie żab, utrzymując, iż na ile dni przed tymże świętym żaby się odezwią, tyle dni jeszcze po nim mrozów albo przymrozków będzie. W sam św. Wojciech zatykają łąki wiechami, na przestrożę, iż odtąd więcej na nich bydła pasać niewolno; w dniu tym zwykli się także odmieniać w obowiązkach karczmarze i owczarze. Jeżeli na św. Marek deszcz pada, całe lato będzie suche; gdy jest pogoda, lato ma być dżdżyste. Po wsiach parafialnych wychodzą dnia tego w solennych processjach na pole do krzyżów, figur lub kapliczek, błagając Stwórcy o urodzaje i hojne żniwa. Z processyj tych urosło przysłowie:

Święty Marek,

Zobaczyć żytko

Wyszedł na folwarek,

Czyli weszło wszystko.

Po innych wsiach w dniu św. Marka, przynajmniej do południa, byłem rogatém nie orzą, by takowemu, jak utrzymują, szyje na przyszłość od jarzma się nie psuły i nie ślimaczyły.

Początku maja młodzież szkolna niecierpliwie wyglądała, gdyż zapraszana zwykle od jakiego obywatela, wychodziła w towarzystwie nauczycieli przynajmniej o milę na mijówkę, gdzie uraczona piwem, chlebem, masłem i mléką, grywała w piłkę w różne gry, bądź w łapę, metę lub palanta. Dni świętych Pankracego, Serwacogo i Bonifacego, z upragnieniem oczekują ogrodnicy i gospodynie, z niemi bowiem spodziewają się zakończenia wszelkich przymrozków, nasionkom wielce szkodzących, a po upływie tychże, swobodnie już resztę w ogrodach zasiewają.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Słowo o czynnościach Wydziału archeologicznego w Krakowie.

Przed rokiem Tow. Nauk z uniw. Jagiellońskim połączone, w myśl wniosku p. Karola Kremera dyrek. budow., zwracającego uwagę na pomniki przeszłości i na sposób zachowania ich, utworzyło z grona swego wydział archeologiczny, poruczając mu założenie przy bibl. Jagiel. *muzeum starożytności krajowych*. Wydział ten pierwotnie złożony był z czterech tylko pracowników, tojest: pp. Józefa Muczkowskiego, K. Kremera, W. Pola i Teofila Żebrawskiego. Później przybrano p. Ant. Helcla prof. prawa pol., a zaproszono pp. Józefa Łepkowskiego, J. Jerzmanowskiego i Erazma Niedzielskiego. Prace wydziału rozpoczęły się związaniem licznych korespondencyj z krajowemi i zagranicznemi zakładami naukowemi, z mężami na polu naukowym znanemi, z posiadaczami prywatnych zbiorów i miłośnikami lub znawcami zabytków przeszłości. Krok ten zjednał wydziałowi przychylną pomoc, pomnożył nowemi nabytkami dawniejsze zbiory uniwersyteckie: urny, znaczna liczba numizmatów, ważne dyplomata i dokumenta piśmienne, sprzęty starożytne, rzeźby i tym podobne kosztowne zabytki, wpłynęły z wielu stron; a co najważniejsza, wydział obudził uwagę powszechną na to, co nieraz okryte wiekowym pyłem, nawet spostrzeżonem nie było. Tak więc stara się ochronić zabytki od zepsucia, oświecając niewiadomość, i ostrzegając lekkomyślność i złą wolą, okazując, iż jest w kraju opieka, czuwająca nad spuścizną przeszłości. Ku osiągnięciu tych celów niemało pomogła *Odezwa Wydziału*, obejmująca zarazem: *Wskazówkę do archeologicznych poszukiwań i badań*.

Wydział rozciągnął także swoją opiekę nad zrujnowaniu lub niszczeniu ulegającymi pomnikami sztuki i przeszłości; a tym sposobem,

szeroko zakres swych czynności rozwijać począł. Pożar, owo główne przeszloroczne nieszczęście, nowe choć smutne otworzył przed wydziałem pole, zasiane gruzami; gdzie przyszło zbierać cegłę do cegły, gzyms do gzymsu, by dawne odżywiać gmachy. Wielkie to zadanie prócz pracy, gorliwości i nauki, wymagało i wielkich nakładów. Tow. Nauk. wyznaczyło na pierwotny fundusz sumę, ale ta była zaszczupłą; bo Tow. posiada zbyt ograniczone dochody, i te obraca na druk naukowych i elementarnych książek. Wszakże przyszła rychto zkadnąć pomoc. Komitet pogorzeli ułatwiając Tow. Naukowemu dokonanie uczciwych jego celów, przekazał mu sumę 8,000 złp. na poratowanie pomników nadwierzonych pożarem, mianowicie w kościołach OO. Dominikanów i OO. Franciszkanów. Przy tym zasobie wydział archeologiczny zajął się około tój pracy, zabrał się do sporządzenia dokładnych rysunków pomników, które już przechować się nie dadzą, a restauracją tych, które jeszcze ocalić można. Mimo pory zimowej, odnowiono pomniki: Sebastjana Petrycego, Wybranowskiego, Johanny Borkowej, przecudny nagrobek Piotra Kochanowskiego i kilka pomniejszych, zdobiących pyszny niegdyś Franciszkański kościół. Zdolny rzeźbiarz i kamieniarz Edward Stehlik, zajęty jest ciągle restauracją, pod kierunkiem członków wydziału. Zalecone téż sztuką lub starożytnością obrazy biskupów: św. Stanisława Szczepanowskiego, Tomickiego, Gamrata, Maciejowskiego, św. Piotra męczennika, utwór Wacława z Oświęcimia (1559 r.), i inne religijnéj treści malowidła, na nowo wskrzeszone zostały talentem pana Cholewicza. Wydział ma nadto zamiar, po skończeniu pownej liczby tych restauracyj, wystawić je na widok publiczności. Wydział przygotował jeszcze i oddał już do druku i litografii piérwszy poszyt *Skarbeca*, poświęcony wyłącznie archeologicznym badaniom kraju. Skarbiec wydany kosztem Tow. Nauk., będzie składał część *Zabytków historycznych*, ogłaszanych przez niego. (Czas).

O stanie kościoła rzymsko-katolickiego w Szlązku.

Wyszły z upłynionego roku *Szematyzm biskupstwa wrocławskiego*, zawiera następujące data o stanie kościoła rzym.-kat. na Szlązku. Biskupstwo dzieli się na dwie części: pruską, obejmującą Szlązk pruski, z wyjątkiem hrabstwa Klecka (Glatz), należącego do arcybiskupstwa prąskiego, i dystryktu *Kaezer*, liczącego się do Ołomuńca, tudzież brandeburską Marchią i Pomorze; oraz na austryacką z Cieszynem.

Część pruska podzielona jest na 10 komisaryatów biskupich: Wrocław, Głogów, Hirszberg, Jawor, Münsterberg, Ziębice, Nissa, Opole, Pszczyb, Raciborz i Wschowa. Do niej należą delegacye biskupie

dla Marchii i Pomorza. Komisaryaty te obejmują 72 archidiecezji, z ludnością 1,206,870, i mają 1,044 księży różnego stopnia. Delegacya ma 8 probostw i 4 miejscowości (Lokalien) z 18 duchownymi i ludnością 37,181 osób. Licząc do Szlązka Klecko i Kaczer (Kietrz), pierwsze z 46 probostwami, 8 lokaliami, 142 kapłaństwami i ludnością 140,212, a drugi z 4 dekanatami, 39 probostwami, 9 lokaliami i 31 kapłaństwami na mieszkańców 96,357, okaże się, iż w pruskim Szlązku zamieszkuje 1,443,439 katolików.

Cześć pruskiej diecezji posiada 15 klasztorów; to jest 4 Braci miłosierdzia (Bonifratrów), 2 Urszuliniek, 1 Elżbietek, 1 centralny żeński klasztor, 1 Maryi Magdaleny, 6 Sióstr miłosierdzia, z których jeden w Berlinie. We wszystkich klasztorach znajdują się 44 mężczyzn, i 162 niewiast. Klasztory trudnią się prawie wszędzie pielęgnowaniem chorych, a niektóre żeńskie wychowaniem dziewcząt.

Cześć austriacka diecezji wrocławskiej ma 12 archidiecezji, 183 duchownych, 13 zakonników miłosierdzia i 11 zakonnic w 3ech klasztorach, t. j. kolegium Pijarów, Braci miłosierdzia i Elżbietek. Liczba katolików 209,977. Razem przeto diecezja wrocławska liczy ludności katolickiej 1,454,028, a księży 1,255, licząc w to 10 kapelanów wojskowych.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Drogą niniejszej odezwy oświadczamy serdeczną wdzięczność p. Adamowi Stowikowskiemu, który od r. 1824 pracując na niwie naszego piśmiennictwa, raczył nam jako materyał do *Dziejów Literatury* nadesłać rys swojego pisarskiego zawodu. Znadto młodzi i niesmiali, aby żądać dowodów podobnego współczucia od innych żyjących autorów, teraz mając uprzedzonym nasze miłe tajemne życzenia, bierzemy pochop do prośnienia innych współczesnych pisarzy, aby raczyli, czyja łaska i wola, nadsyłać nam podobne o sobie wiadomości. Któż nie wie, jak u nas są rzadkie materyały z pierwszej połowy bieżącego stulecia, owe *Dzienniki*, *Tygodniki*, *Pamiętniki*, *Rozmaitości*, *Gazety* i t. d., które przed dwoma dziesiątkami lat były organem i wyrazem owoczesnej literatury? któż może trafniej udzielić nam wiadomości nieznanych, uzupełnić niedokładne, sprostować mylnie podane, jeśli nie sami żyjący autorowie, do których naszą prośbę zanosimy. W tej chwili w naszych *Dziejach Literatury* kończymy epokę Wazów; mamy więc jeszcze kilka miesięcy czasu dla przygotowania się do kreślenia obrazu współczesnego piśmiennictwa. Z wdzięcznością przyjmujemy każdy podobny materyał do naszej pracy, nadesłany do jednej z wileńskich księgarni: Józefa Zawadzkiego, lub Teofila Glücksberga.

Szanowna redakcyo Biblioteki Warszawskiej raczy ogłosić w swoim piśmie niniejszą naszą odczwę, i przyjąć zapewnienie prawdziwej czci.

D. 1go czerwca, 1851.

Wł. Syrokomla.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

WARSZAWA.

56. Anglia dziś i dziesięć lat temu. Wspomnienia z podróży po Anglii, przez autora Podróży po Danii, Szwecyi, Norwegii i t. d. 8ka. Warszawa, 1851. Nakład G. Glücksberga, druk Strąbskiego. Kart 2, str. XL, 252.

57. Gry i zabawki dla dzieci. Naśladowane z francuzkiego. Z dziełką rycinami kolorowanymi. 8ka podłużna. Warszawa. 1851. Nakładem J. Bernsteina, druk J. Jaworskiego. Karta napisowa 1 i str. 55. Złp. 6 gr. 20.

58. Historia podróży i odkryć dokonanych na morzu i lądzie od początku XV wieku aż do dni naszych. Przekład z francuzkiego Wojciecha Szymanowskiego. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 2 tomy. 1851. Nakładem Merzbacha. Druk Gazety Codziennej. Tom I str. 298; II, 331.

59. Krótki katechizm wytrwałości, czyli wykład historyczny, dogmatyczny, moralny i liturgiczny religii, od początków świata aż do dni naszych, przez księdza J. Gaume. Z francuzkiego. 2 tomy. Warszawa, 1851. Nakład Merzbacha, druk Ungra. Tom I, str. XVII i 264; II 214.

60. Mappa całkowitego zaćmienia słońca, przypadającego w dniu 10^{go} lipca 1851 r., starannie i dokładnie ułożona i odrysowana, tycząca się Pruss, Polski i pogranicznych krajów, przez D. F. Schorr. Arkusz wielkiego formatu. W Litografii J. V. Flecka.

61. Nadyr czyli Thamas Koull Kan. Tragedya w pięciu aktach oryginalnie przez Bulssona napisana. Przekład Ignacego Badenlego rady tajnego, członka towarzystwa naukowego krakowskiego. 12ka. Warszawa, 1851. Druk Gazety Codziennej. Str. 78.

62. Paweł z Przemankowa. Rys historyczny z drugiej połowy XIII wieku w Polsce, z nieznanych po większej części lub mało znanych źródeł skreślony. Przez Alexandra Przedzleckiego.

Z godłem.

Scribitur ad narrandum et ad probandum.

8ka. Warszawa, 1851. Druk St. Strąbskiego, nakład Ig. Klukowskiego. Kart napisowych 2 i str. 58.

63. Piotr Wielki i wiek jego. Obraz historyczny przez Leona Rogalskiego. Z jedenastą rycinami na stał. 8ka. Warszawa, 1851. Nakład Gustawa L. Glücksberga, druk Ungra. Kart napisowych 2 i str. 336. Rejestru kart 2. Złp. 30.

64. Powszechne ogrodnictwo obejmujące uwagi nad zakładaniem ogrodów, ogólne zasady uprawy roślin, tudzież praktyczną naukę urządzania inspektów, cieplarni i oranżeryj, rozmnażania i pielęgnowania wszelkich ogrodowych ziół, krzewów i drzew, tak użytkowych, jako i zdobnych czyli kwiatów. Na długim doświadczeniu oparte, i do potrzeb kraju zastosowane. Przez Michała Czeplńskiego, ogrodnika i właściciela ogrodu w Warszawie przy ulicach Marszałkowskiej, Hożej i Wielkiej nr. 1447. Z XIII tablicami rycin. Wydanie drugie poprawione i znacznie powiększone. 8ka. Warszawa. 1851. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra. Str. XII i 671. Złp. 24.

65. Sztuka wyrabiania wszelkich przedmiotów z papieru dla nauki i zabawy młodzieży obojgę płci. Z francuzkiego P. Becourt. Z XXII tablicami rycin, przedstawiającemi wszelkie wzory i sposób ich składania. 16ka. Warszawa, 1851. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 79. Złp. 4.

66. Zaćmienie słońca w dniu 16/28 lipca r. b., na miejsca, w których ma się okazać całkowitem lub bardzo wielkém, ściśle obliczone i jasno wyłożone przez D. F. Schorr, byłego współpracownika przy królewsko-unwersyteckim obserwatoryum w Wroclawiu. Z litografowanym wyobrażeniem zaćmienia dla 54 miejsc. (Po niemiecku i po polsku). 12ka. Warszawa. 1851. Druk J. Jaworskiego, skład główny u R. Friedleina. Str. 143.

67. Zasady położnictwa, czyli wykład nauki i sztuki położniczej, mianowicie dla niewlast temu zawodowi poświęcających się (,) ułożone przez Jakóba Michała Frey doktora medycyny, magistra chirurgii i akuszerza, dyrektora instytutu położniczego, członka rady lekarskiej Królestwa i Towarzystwa Lekarskiego warszawskiego. 12. Warszawa, 1851. Nakładem autora, druk S. Orgelbrauda. Kart 4. i 398. Rejestru str. VI. (Z 4 tabl. ryciu).

K R A K Ó W.

68. Gorale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D. (elawo). 12ka. Kraków, 1851. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. 151. Złp. 6.

W I L N O.

69. Komedye prozą i wierszem. Kazimierza Bujnickiego. 8ka. Wilno. 1851. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. 164. Złp. 5.

70. Kollokacya. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. (Wydanie drugie poprawne). 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 353. Złp. 10.

71. List Stefana Zlenowicza profesora uniwersytetu kijowskiego do Henryka hrabiego Rzewuskiego obejmujący pomysły autora o całym obrębie nauk przyrodzonych, razem z odpowiedzią pp. J. I. Kraszewskiemu, Karolowi Kaczkowskiemu, Ludmiłowi Wołyńskiemu i t. d. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem księgarni Rubina Rafałowicza, druk M. Zymelowicza. Napisów kart 2 i str. 88. Złp. 5.

72. Nowe Pamiętniki Lamartin'a. (Przekład J. I. Kraszewskiego). 8ka. Wilno, 1851. Druk J. Zawadzkiego. Napisów kart 2 i str. 163. Złp. 6 gr. 20.

P E T E R S B U R G.

73. Marja. Powieść ukraińska przez Antoniego Malczewskiego. 16ka. Petersburg, 1851. Nakładem B. M. Wolffa, druk K. Kraja. (Z 12 drzeworytami hr. Fredra). Złp. 8 gr. 10.

L E S Z N O.

74. Gnojownia a dla rolnika „źródło złota.” Życzliwa rada ku podźwignieniu wiejskiego dobrobytu przez Franciszka Nowaka, rozsądnego i zaradnego gospodarza. Z niemieckiego podług drugiego wydania przetłózone. 16ka. Leszno. 1851. Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera. Str. 48. Złp. 1.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

S. Orgelbrand wkrótce zacznie drukować: *Obrazki wiejskie* Jana K. Gregorowicza w 2 lub 3ch tomach.

— *S. Merzbach* wydał poszyt XII *Księgi Świata*, zamykający ogłoszoną prenumeratę w r. 1850 na dwie części. Nowa serya tegoż dzieła ma dalej wychodzić poszytami.—Tenże księgarz przygotował drgnie wydanie powiększone: *Obrazu świata* w 2 tomach.

— *G. L. Glücksberg* drukuje: *Pisma Henryka Cieszkowskiego* (wierszem i prozą) w 2 tomach.

— *Dra Tripplin'a* zapowiedziany pierwszy oddział w 4ch tomach: *Podróży po Danii i Norwegii, Anglii i Szkocyi*, już opuścił prasę drukarską.

— *Julian Bartoszewicz* przygotowuje do druku: *Biografie* znakomych w dziejach naszych osób (A Naruszewicz, I. Krasieki, Lubieński, Orzelska, Moszyńscy, de Nassau, Kazimierz kżę Poniatowski, Łojko, Bryl i t. d.), które w trzech sporych tomach mają być wydane.

— *Stanisław Lisowski* w obszernym zakresie przygotowuje do druku rozprawę: *O księgarniach i drukarniach warszawskich od najdawniejszych aż do naszych czasów*, czyli po rok 1851.

— Nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu wyszły: *Polonezy Ogińskiego*, z kartą tytułową przedstawiającą na sali balowej tańczony polonez; piękna kompozycja p. Zaleskiego artysty, który tak rozgłośnie imię swoje zrobił obrazami do *Pamiętników Paska* w *Album Wilczyńskiego*. Tegoż także nakładem: *Komedyanci*, powieść J. I. Kraszewskiego, we 2 tomach.

— *P. Stattler* w Krakowie zajęty jest teraz obrazem z życia polocznego. Płótno średniej wielkości, przedstawia jego pracownią, napełnioną obrazami artysty, jak: *Machabeusze*, *chrzest Chrystusa*, *Chrystus ukrzyżowany*. Wielkie te obrazy pokazują się nam w zmniejszonych miniaturowych rysach, lecz są wykonane z taką precyzją, żeby za najdoskonalsze kopie njęć mogły. Na środku sali widzimy rodzinę artysty: żona maluje, Henryk modeluje z gliny głowę, drobniejsze dzieci się bawią; sam zaś artysta przedstawił się na wschodkach z pędzlam i paletą, jakby zdaleka przypatrywał się i jednej i drugiej działwie, nasycając oko ojcowskie tym podwójnym widokiem.

— W drukarni J. Zawadzkiego drukują się następnie dzieła, które wkrótce prasę opuszczają: *Historja rewolucyi francuzkiej Ponjontala*, przekład L. Kondratowicza, tom IIgi.—*Przekłady poetów polsko-lacińskich* L. Kondratowicza, tom 4ty i 5ty: *Poezye ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego*.—*Kordecki*, powieść historyczna J. I. Kraszewskiego, 2 tomy.—*Nowe wędrowki oryginała*, tom 2gi i ostatni.—*Dzieci królewskie*, powieść A. Kosłuskiego, 3 tomy.—*Athenaeum* nowy oddział na r. 1851.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

Maj 1851.

Dostrzeżenia w Obserwatorjum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 307 6 stopni partyklich nad poziom m...
czyli w roku 1841 25 2 3 na wa...

Dni	Barometr w milimetrach słupkowych do 0°				Termometr słupkowy				Opisywanie pogody
	8	10	4	10	8	10	4	10	
1	748.14	749.70	749.01	747.17	+ 3.4	+ 11.8	+ 14.2	7.4	1
2	747.70	749.00	748.01	746.47	7.0	11.3	11.0	7.4	2
3	747.10	748.47	747.47	745.87	7.5	11.3	11.0	7.4	3
4	746.00	747.47	746.47	744.87	7.5	11.3	11.0	7.4	4
5	746.15	747.47	746.47	744.87	7.5	11.3	11.0	7.4	5
6	745.70	747.01	746.01	744.41	7.5	11.3	11.0	7.4	6
7	745.01	746.30	745.30	743.71	4.0	11.3	11.0	7.4	7
8	745.70	747.01	746.01	744.41	7.5	11.3	11.0	7.4	8
9	746.47	747.70	746.70	745.10	11.7	11.3	11.0	7.4	9
10	745.00	746.10	745.10	743.71	9.1	8.3	10.4	9.2	10
11	746.47	747.70	746.70	745.10	7.5	11.3	11.0	7.4	11
12	746.70	748.01	747.01	745.41	7.0	11.0	10.3	11.4	12
13	746.00	747.30	746.30	744.71	7.0	11.0	10.3	11.4	13
14	745.41	746.70	745.70	744.10	7.0	11.0	10.3	11.4	14
15	745.00	746.30	745.30	743.71	8.4	8.3	8.9	8.5	15
16	745.70	747.01	746.01	744.41	7.0	11.0	10.3	11.4	16
17	746.00	747.30	746.30	744.71	7.0	11.0	10.3	11.4	17
18	746.30	747.60	746.60	745.01	8.4	8.3	8.9	8.5	18
19	746.70	748.01	747.01	745.41	8.5	8.3	8.9	8.5	19
20	746.00	747.30	746.30	744.71	11.5	11.5	11.5	11.5	20
21	746.30	747.60	746.60	745.01	8.0	10.3	10.3	11.4	21
22	746.60	747.90	746.90	745.30	7.0	11.3	10.3	11.4	22
23	746.90	748.20	747.20	745.60	10.3	11.3	11.3	11.4	23
24	747.20	748.50	747.50	745.90	10.3	11.3	11.3	11.4	24
25	747.50	748.80	747.80	746.20	10.3	11.3	11.3	11.4	25
26	747.80	749.10	748.10	746.50	8.0	11.3	11.3	11.4	26
27	748.10	749.40	748.40	746.80	8.0	11.0	11.0	10.2	27
28	748.40	749.70	748.70	747.10	10.4	11.2	11.2	11.2	28
29	748.70	750.00	749.00	747.40	10.4	11.2	11.2	11.2	29
30	749.00	750.30	749.30	747.70	8.3	11.0	10.7	11.0	30
31	749.30	750.60	749.60	748.00	10.8	11.0	11.0	11.1	31
Suma	748.14	749.130	748.01	747.01	+ 8.4	+ 11.30	+ 12.30	+ 8.30	1

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorjum Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Maj, 1851.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.917	27	7.993
Najwyżej dochodził — d. 15 o g. 10 r.	755.63	27	10.967
Najniżej — — d. 4 o g. 10 w.	740.19	27	4.123
Średnia zmiana dzienna barometru	3.15		1.397
Największa zmiana dzienna barometru			
d. 13—14 o g. 10 w.	9.58		4.24
Średnia wysokość barometru jest niższa o	0.36		0.16

od stanu normalnego z 25 lat			
poprzedzających	740.280	27	8.153
Średnia temperatura maja wynosi:	+ 10.9808 C.		+ 8° 646 R.
i ta jest niższa o	2.830	„	2.264
od stanu normalnego z 25 lat po-			
przedzających	+ 13.638	„	+ 10.910
Największe ciepło dochodziło d. 9			
o godz. 4 wiecz.	+ 17.9	„	+ 14.32
Najmniejsze dochodziło d. 14			
o godz. 10 wiecz.	+ 3.9	„	+ 3.12
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.613	„	2.090
Największa zmiana			
d. 9—10 o godz. 10 rano	8.4	„	6.72

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 15.5 R. d. 23 po połud.

Minimum: + 0.5 „ d. 15 z rana.

Wody z deszczu spadło wysoko na 76,1 milim., czyli 33,73 lin par.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 73,4 na 100, albo co do wagi 7.50 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 0,05, większa jak zwykle.

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 11, pochmurnych 16.

— deszczu 19 (d. 1, 4, 6, 7, 12, 13, 14, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 25, 26, 27, 28, 29, 31).

— gradu I (d. 21).

Wichrów 1 Zachodni.

Wiatr panujący: Zachodni i Północno-Zachodni.

Wiatrów mocnych 8: 3 Północnych, 4 Zachodnich i 1 Północno-Zachodni.

Maj r. b. był niepogodny, słotny, bardzo chłodny i przeszedł o 2 stop. R zimniejszy jak zwykle, zbliżał się do stanu tegoż miesiąca w r. 1843, a zimniejszy był o 6 stop. R. od maja w r. 1841. Deszcze częste i obfite przy wiatrach Zachodnich i Północno-Zachodnich znacznie wpływały na oziębienie powietrza. Najcieplejsze dni były: 9, 17, 19, 28, 29; najchłodniejsze d. 6, 7, 10, 14, 15, 16, 21, 25. Grzmotów i błyskawic nie było, gdy przeciwnie w kwietniu r. b. były częste.

D. 3 widziano plamy na słońcu.

D. 9 o godz. 5 min. 54 wiecz. powstał wichur nader gwałtowny Zachodni.

D. 21 o godz. 5 min. 30 wiecz. była tęcza świetna.



ZDOBYCIE WARSZAWY PRZEZ SZWEDÓW R. 1656

OPISANE W LISTACH KRÓLOWEJ POLSKIEJ

MARYI LUDWIKI,

ZACHOWANYCH W RĘKOPISIE WŁASNORĘCZNYM W BIBLIOTECE
NARODOWEJ PARYŻKIEJ.

PRZEPISAŁ, WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRYŁ

L. Grangier de la Marinière (1).

Z FRANCUZEKIEGO NA POLSKI JĘZYK PRZEŁOŻYŁ, I PRZYPISKI DODAŁ

Alexander Przezdziecki.

Wiadomo z jednomyślnego świadectwa społecznych, że ze wszystkich królowych polskich, jedną z najznakomitszych z piękności i z cnoty była Marya Ludwika z Gonzagów, żona Władysława IV, a po jego śmierci, brata jego, Jana Kazimiérza. Ale co niedość znaném było, to odwaga bohaterska, którą ta królowa okazała wśród największych niedoli, i gorąca miłość, jaką ukochała przy-

(1) Pan *Grangier de la Marinière*, b. członek Zgromadzenia Konstytucyjnego we Francyi, zwiedził przed kilką miesiącami Warszawę, Kraków i Poznań, dla wyszukania miejscowych materyałów do życia *Maryi Ludwiki z Gonzagów*, i *Maryi Kazimiery d'Arquien*, dwóch królowych polskich, rodaczek swoich. Za powrotem do Paryża zabrał się do pisania żywota piérwszej, pod tytułem: *Marie de Gonzague et la Princesse Palatine sa soeur*, i część ciekawszą swoich materyałów przysłał do Biblioteki Warszawskiej, jako dowód wdzięczności za doznaną tu pomoc naukową.

braną ojczyznę swoją, Polskę; a której poświęciła wspomnienia kraju rodzinnego, przyjaźń dla królowej Anny (wdowy po Ludwiku XIII), wdzięczność dla kardynała *Mazarin*, pokój ostatka dni swoich, i majątek osobisty.

Niezbyt dawno, ważny zbiór dokumentów wydany przez hr. Edwarda Raczyńskiego, pod tytułem: *Portofolio królowej Maryi Ludwiki* (1) rzucił niespodziane światło na część najszczytniejszą jej życia, chcemy mówić—na jej wygnanie. Dotąd znaleźliśmy tylko przez jej wrogów jej wyobraźnię świetną i romansową, pobożność żarliwą, dziedziczną we krwi Gwizów, usilne staranie w odzyskaniu rozpadającej się na wszystkie strony władzy, i nieprzełamanej aż do ostatniego tchu życia wolą przysposobienia razem dziedzica dynastji Wazów, i króla Polsce. Teraz wiemy, że najzdrowszy rozsądek miarkował tak gorącą wyobraźnię; że pobożność jej oddychała niestychaną słodyczą najtkliwszej duszy; że ta chęć niezmierna zapewnienia tronu po Janie Kazimierzu, bądź członkowi rodziny własnej, bądź któremu z Burbonów, nie pochodziła jedynie z dumy rodowej, ale raczej z przezorności prorocznej, którą przyszłość aż nadto usprawiedliwiła, a więc i potomność rozgrzeszyć ją musi. Zostawiona samej sobie w kraju, którego nie znała ani języka, ani obyczajów, ani ludzi; oszukana przez nieprzyjaciół, zdradzona przez własnych stronników, otoczona samolubstwem, zaślepieniem, pochlebstwem: nieraz zbłądziła wprawdzie, (któż bez grzechu?). Ale dość dla nas, że obca na tej ziemi, ukochała ją, a królowa polska, chciała kraj swój ocalić; aby nie wierzyć ślepo jej oskarżycielom, i pamięć jej znaczącą zemścić.

Tento obowiązek sprawiedliwości dziejowej, którego nikt się dotychczas nie podjął, w braku doskonalszego dziejopisa wzięliśmy na siebie. Zabraknie nam może talentu; ale nie zabraknie ani gorliwości, ani cierpliwości, ani dobrej woli. Zpomiedzy dokumentów dawnych, wyszukamy niektóre zanadto zaniebane dotychczas. (2) Dla odróżnienia prawdy od fałszu, pój-

(1) *Poznań*, 1844 roku. 2 tomy w 12ce.

(2) Najdawniejsza apologia Maryi Ludwiki jest *Wydzigi* (późniejszego prymasa, a wówczas kanclerza królowej): *Historja albo opisanie wielu poważniejszych rzeczy, które się działy podczas wojny szwedzkiej w Królestwie Polskiem od r. 1655 w miesiącu lipcu aż do r. 1660 w miesiącu maju trwającą*. Dzielka tego niestychanej rzadkości, przygotowuje Pan K. Wł. Wojciech drugie wydanie, z wielkim dla dziejów naszych użyt-

dziemy do źródeł, z których powinnością było czerpać. Porównywać będziemy wszystkie świadectwa, aby z nich światło prawdy wytrysło. Słowem, wypełnimy obowiązek sędziego na śledztwie, dla okazania niewinności, w miejscu winy.

Krok za krokiem szliśmy za Maryą Ludwiką: od dworu francuzkiego, na którym młodą, dowcipną, czarującą, lubioną od królowej, od książąt krwi, pokazywano dumnie posłom zagranicznym, jako chlubę Francyi; dopóki ostatnie słowa nieszczęśliwego *Cinq-Mars*, i pamięć śmierci jego na rusztowaniu, nie zamieniły jęj życia dworskiego, na życie poświęcone bolesci w Bogu. Chciała nawet całkiem opuścić dwór, i zamknąć się w klasztorze *Port-Royal*, który zaczynał wtedy być głośnym; ale przyjaźń i rady królowej rejentki Anny, ukoiliły pierwszą gwałtowną bolesć. A wkrótce przyjmując we Francyi, z polecenia królowej, wygnaną córkę Henryka IV, królową angielską, żonę Karola I, gdy u stóp ołtarzy ły ich razem płynęły, zapomniała na chwilę własną bolesć dla pocieszenia przyjaciółki, od której uczyć się mogła jak dzwigać świetną koronę królewską, która się tak często w koronę męczeństwa przemienia!

W trzy lata później jednak, długo wahała się, ażali przyjmie ofiarowaną sobie koronę polską. Opierała się prośbom rodziny, rozkazom królowej; rady dopiero sławnego opata *de Saint-Cyran* wskazały jęj tę drogę do poświęcenia wolności swojej Bogu:—poszła nią Marya Ludwika.

W Polsce oczekiwały ją trzy lata pożycia z niemiłym i nie-lubiącym ją małżonkiem Władysławem IV; a po jego śmierci, ledwie oddała rękę nowemu królowi, Janowi Kazimierzowi, zdolniejszemu ocenić taką małżonkę, i umięjącemu łącniej uledez jęj wyższości: *rebellia kozacka* i wojna szwedzka wstrząsły ich królestwo do samej posady. „Królowa nie ma już przytułku (pisze *Bossuet*), opuściła Warszawę po męznym, ale daremnym oporze; król musiał za nią pojechać. Schronieni do Szlązka, gdzie im na najpięrszych potrzebach zbywa, nie pozostaje im nic więcéj, jak spoglądać w którą stronę spadnie to wielkie drzewo, tyłą rę-

klem. Pan *Grangier* miał je sobie komunikowaném, a zresztą korzystać będzie z tłumaczenia włoskiego przez ulejakiego *Poliarco Micigno*, przypt-sanego królowej Maryi Ludwice, a którego autograf znajduje się w Paryżu, w bibliotece S. Genowefy. (Ob. *Alex. Przędzieckiego: Wiadomość bibliograficzna o rękopismach zawierających rzeczy polskie i t. d. Warszawa, 1850 r.*

koma wstrząśnione, tyłą ciosami uderzone w korzenie, i kto odłamane od niego konary oderwie!” (1).

Wtenczas Marya Ludwika całą moc ducha, całą przebiegłość rozumu poświęciła sprawie polskiej, sprawie męża, sprawie swojej nareszcie. Zniosła wszelkie niesnaski, walczyła z niebezpieczeństwem, pokonała wszystkie trudności. Z niesłychaną zręcznością odzyskała wielu stronników, których pierwsza chwila nieukontentowania oddała w ręce króla szwedzkiego, ale ich odstręczyły wkrótce ucisk i duma zwycięzcy. Zastawiła klejnoty swoje dla zaciągnięcia wojska. Otrzymała od siostry swojej, księżnej Anny falcgrabiny reńskiej w pożyczce znaczny zasilek pieniężny. Gdy Jan Kazimierz miał za oręż, posyłała do wszystkich miast polskich zaufanych ludzi, zawiązała sekretną korespondencją (której ślad do nas doszedł), z wodzami nieprzyjacielskimi. Umiała pozyskać dla siebie duchowieństwo; w imieniu Boga i kraju ludność wiejska przyłgnęła do konfederacyi tyszowieckiej. Nakoniec dzięki jej niezmordowanej czynności, przy cudach waleczności Czarnieckiego, kraj pomimo gruzów tyłu miast spalonych, pomimo tak ogromnego wstrząśnienia, odzyskał królów swoich i sztandar, który dwadzieścia lat później pod murami Wiednia miał wypędzić Turka i zbawić Europę! „Bóg inaczej rozrządził, (wykrzykuje *Bossuet*): Polska potrzebną była kościołowi, winną mu była mściciela!”

Taką była Marya Ludwika na tronie i na wygnaniu! Najlepiej maluje siebie samą w tych przeważnych chwilach, w listach własnoręcznych, pisanych z Głogowa na Szlązku w pierwszych miesiącach 1656 roku, do pani *de Choisy*, jednej z najpowabniejszych dam dworu królowej rejentki francuzkiej, Anny, a swojej przyjaciółki od lat młodocianych; godnej wyniosłością uczuć i umysłu pozostać jej przyjaciółką w nieszczęściu. Te listy zachowane w autografie w bibliotece Narodowej paryzkiej, wskazał mi hr. Alexander Przędziecki, w swojej: *Wiadomości bibliograficznej o rękopismach zawierających rzeczy polskie* (2).

Aby ocenić cały ich wdzięk, trzeba przypomnieć sobie, że mowa francuzka ledwie się była wykształciła; a wychowanie dam, zwłaszcza księżniczek (oprócz księżnej *de Longueville*, i kilku innych wyjątków), nie było tak staranne, jak w lat kilkanaście pó-

(1) *Bossuet*: Oraison funebre d'Anne de Gonzague, Princesse Palatine.

(2) Biblioteka Narodowa paryzka. *Mss. 9359. Français*. (Ob. *Wiadomość bibliograficzną* t. d. str. 150).

zniej. W tych pobieżnych kartach, które zapełniły często niepokój i boleść, podziwiać należy przede wszystkim naiwność wyrażenia, dokładność myśli, żywość a razem szlachetność uczuć. Marya Ludwika wylewa najtajemniejsze zmartwienia swoje na łono przyjaciółki, a mogłaby zawsze głośno myśleć. Nic poziomego, nic czego by się wstydzić miała, nie wysliznie się zpod jej pióra; nawet tam, gdzie się namiętność przebija. Pokazuje się często kobięta, zawsze pozostaje królowa; znać wychowaną w szkole Kornela. Tej mieszaniny godności i prostoty, dziś już nie można znaleźć.

A jakież życie, co za szczerowość w uczuciach! Zdaje się, że wszystkie koleje szczęścia i wojny wplatają się do stylu jej listów, na tle odrazy i wzgardy dla Szwedów. Chciałaby widzieć ich zgnębionych; ale tyle razy omyliła ją nadzieja, że zaraz potem wykrzykuje: „Poddaję się woli bożej!” Odważną jest gdy potrzeba walczyć, i chociażby z działa wystrzelić, jak księżna *de Montpensier*; ale gdy idzie o króla, o niebezpieczeństwa na jakie ma się narażać, drży cała, boi się; już tu nie ma nic królewskiego—wszystko tu ludzkie; zapomina o stałości, o rezygnacyi: znać dawniejszą gwałtowność młodej dziewicy. W chwili smutku takie wyznanie czyni: „Mówisz, że lepsze panowanie jak samotność; nie podzielam twojego zdania. Jakże stan spokojności umysłu i sumienia zbliża się do anielskiego! Proś Boga, aby mi pozwolił wrócić do samotności!”—A jednak w tymże samym liście pisała: „Przyznasz teraz, że gdym ci wyliczała siły tego królestwa, nie byłam zanadto chępliwą! Powtarzam ci, że Polska jest nieporównanym królestwem, na którym sami krajowcy się nie znają, a które, jeśli kiedy do dobrego rządu przyjdzie, świat cały podbije!”

Tak trzymała o Polsce, tak ją podziwiała! A jednak na dwudziestu latach które tam przeżyła, piętnaście przepędziła wśród wrzawy wojennej, na tułactwie z miejsca na miejsce, na wygnaniu, prawie w nędzy i o głodzie! Jest za co przebaczyć winy, jakieby jej słusznie zarzucić można: upor i zawziętość w raz powziętych zamiarach, i nieugiętość charakteru, na której zbywało jej mężowi, i dlatego właśnie ulegać jej musiał.

Listy Maryi Ludwiki usprawiedliwią ją nieraz; z nich najlepiej możemy ją poznać i ocenić (1). Pierwszy datowany jest

(1) Ciekawe jest bardzo porównanie tych listów, z listami téjże daty pisanymi przez sekretarza królowej, *Paua Des Noyers*, a które hr. Raczyn-

22 marca 1656 roku. Król dopiero co wrócił do Polski; ją zostawił w Głogowie, pod opieką prymasa. Tak donosi królowa pani *de Choisy*, o pomyślnościach oręza Jana Kazimierza:

Głogów, 22 marca 1656 roku.

Bez wątpienia, wielce niespokojną czynią mię odebrane wiadomości o zamiarze króla szwedzkiego zbliżenia się do Lwowa. W listach króla J. M. i wszystkich otaczających go, maluje się wielka radość z tego powodu, i niecierpliwość z jaką go oczekują. Mnie się widzi, że nie będzie dość szalonym, aby tam iść, i że to przechwałki tylko. Jeżeli pójdzie, to go chyba szczęśliwa lub nieszczęsna dola poprowadzi; bo wbrew rozsądkowi ludzkiemu podróżby tę przedsięwziął. Wiész, że lubię domysły czynić, a także złemu wierzyć. Zaczynam bać się, aby ten Rakoczy nie porozumiał się ze Szwedami. Oba są nieprzyjaciółmi naszćj wiary, i namiętnie pragną Polskę pomiędzy siebie podzielić. Boję się téż tego Chmielnickiego, który nie chce w układy żadne wchodzić, jeżeli król do Kamieńca nie zjedzie; nie ufa bowiem żadnemu z kommissarzy polskich, powiadając, że go oszukali. Król zaś nie chce się oddalać, z powodu zbliżania się Szweda. Słowem, tak mię dręczy to oczekiwanie i ubieganie się za wiadomościami, iż chciałabym już widzieć jakibądź koniec wszystkiego. Książę Zamojski utrzymał się w mieście swojém (1). Nie poruszyły go ofiary króla szwedzkiego. Widziałas go w Paryżu, tańcował w *pałacu królewskim* (2). Bardzo zacny człowiek z niego teraz. Wówczas był jeszcze bardzo młody. Ma siedmkroć sto tysięcy liwrów dochodu. Król szwedzki zemścił się nad nim, paląc mu wiele miast i znaczne ekonomie.

skł w *Portefolio królowej Maryi Ludwiki* przetłumaczyć i wydać kazał. Nie wątpimy, że pan *Grangier de la Marinière*, wedle obietnicy swojej, wszystkie listy własnoręczne *Maryi Ludwiki*, w dodatku do dzieła swego wydrukuje. Zbiór ten nada dziełu jego wielką wartość, a dla dziejów naszych będzie bogatém, oryginalném źródłem.

(1) Jan Zamojski wnuk kanclerza, bronił się w Zamościu. Królowa zawsze go księciem, *Le Prince Zamoyski* nazywa.

(2) *Palais Royal* w Paryżu, mieszkanie królowej *Anny*, wdowy Ludwika XIII.

Donosisz mi, że kupcy piszą, jakoby Polacy mnie przypisują swoje klęski. Ty, co tak zręczną jesteś, staraj się odkryć zkąd to pochodzi, a poznasz złośliwość téj wieści. Na dowód, że nie jestem znenawidzona, powiem ci, że dopiero co dwa znaczniejsze województwa przysłały tu osobę znakomitą, z wiadomością, że chcą powstać, i że zostawują mi wybór wodza, który ich poprowadzi i którego słuchać mają. Ponieważ do króla daleko (jest we Lwowie), nie chcą na niego czekać; uderzą naprzód na załogi szwedzkie, które ich uciskają, a potem pójdą dokąd król rozkaże. Chyba królowi szwedzkiemu los szczęście przeznaczył; inaczéj nie wysiedzi w Koronie ani w Litwie. Moskwa odebrała mu już kilka miast, które mu był książę Radziwiłł nieboszczyk poddał (1). Wieść chodzi, że drugi, który żyje, pobity został chcąc obronić miasto, gdzie złożone zostało ciało jego krewnego, a które wojsko litewskie oblega. Prawdziwie, tak mi wojna dokuczyla, że już jéj cierpieć nie mogę. Jakikolwiekby pokój wolała, hyleby mi dał spokojność. Nie mając dzieci, co mi po tém wszystkiém?

Głogów, 20 kwietnia 1656 r.

Gdybym miała konia *Pakoleta* (2), posłałabym ci go z doniesieniem, że król szwedzki co dzień gorzej stoi. Czy jest, czy go nie ma, zawsze pobity, jak się dowiesz z opowiadania, które ci *Des Noyers* posyła (3). Bardzo ciekawa jestem w jakich wyrazach p. *Silhon* (4) to wiadomości ogłasza. Szwedzi, którzy odgłosem dawniejszój sławy tylko żyli, długo pobici będą, nim się do tego przyznają. Piszą do mnie z Wiednia, że rezydent szwedzki pokazuje listy o bitwach z Polakami, wygranych przez swojego króla. Niesłychana to beczelność; nie wstydzą się wygiwać

(1) Janusz Radziwiłł hetman w. litewski, niedawno zmarły w Tykocinie. Książę Bogusław Radziwiłł trzymający się także stronnictwa szwedzkiego, idąc na odsiecz zamkowi tykocińskiemu, zbity został przez szlachtę podlaską. Ob. *Portofolio królowej Maryi Ludwiki*. T. I, str. 289.

(2) *Pacolet*. Czyto była jedna z osób jakiego romansu rycerskiego, czy podobno nazwa Apollina?—nie wiadomo.

(3) *Des Noyers* sekretarz Maryi Ludwiki, którego korespondencya stanowi znaczniejszą część dzieła, wydanego przez hr. Edwarda Raczyńskiego pod tytułem: *Portofolio królowej Maryi Ludwiki*.

(4) *Silhon* radca stanu, któremu Mazarin poruczył wszystkie interesy dotyczące się Polski i Szwecyi.

z czarnego na białe. Nie wiem także, jak tam p. *d'Avaugour* z Elbląga pisał. (1). On to tylko widzi i słyszy, co chce *Oxenstierna*, kanclerz szwedzki. Boję się, żeby nie zapóźno dopięro Francya poznała się na pomocy, której od Szwedów żąda. Z listów przejętych (które mi codzień przynoszą), widzieliśmy, że brakuje im ludzi i pieniędzy. Nie myśl, że tak wiele znaczą dla nich miasta pruskie, które trzymają. Więcej będą mieli kłopotu obronić się od mieszkańców, niż od postronnych; a władając krajem wcale im nieprzyjaznym, trudno aby się w nim długo utrzymać mogli. Ale w téj chwili właśnie donoszą mi o bezprzykładnej złości tych Szwedów; oto podkopują miny pod całym Krakowem, w zamku i w mieście, aby wszystko w powietrze wysadzić; a zapewniają mię, że i Warszawę chcą spalić. Przyznaję się, że jeśli tam kiedy powrócę, a dom własnymi rękami mojemu zbudowany w gruzach widzieć będę, to gorzko zapłaczę. Jeśli takie barbarzyństwo popełnią, przyznasz, że ten naród powinienby być wyłączony z towarzystwa ludzi. Kochaj mię zawsze. Poczta nie przyniosła mi listów z Francyi, co mnie mocno niepokoi.

Głogów, 26 kwietnia 1656 r.

Dochodzi mię twój list z ostatniego marca; z jakąż niecierpliwością go czytam! Widząc, że nic jeszcze o sprawach polskich nie wiesz, zdumiewam się, że się Francya tak łatwo oszukać dała; spodziewam się, że p. *d'Avaugour* dobrą burę odbierze za to, że tak źle donosił o wszystkiem królowi. Ja ci zawsze prawdę mówię bez ogródki. Otóż przyznaję, że wojewoda wileński (2), wypuścił króla szwedzkiego z półwyspu, gdzie już bardzo kuso koło niego było, dlatego, aby Lublin odebrać, gdzie Szwedzi złożyli byli wszystkie zagrabione pieniądze. Poczém znowu wojewoda za nimi się pogonił. Bądź pewna, że gdyby mnie był o radę zapytał, nie byłby takiego błędu popełnił. Po wzięciu króla szwedzkiego, Lublin, który nie jest bardziej obronny od naszego *Vaugirard* (3), niedługoby się opierał. Ale cóż robić? Trzeba cierpieć to, czemu zaradzić nie można.

(1) P. *d'Avaugour* był posłem francuzkim w Szwecyi.

(2) Paweł Sapieha.

(3) *Vaugirard*, wieś pod Paryżem.

Nasz Radziwiłł bawi się rozbojem na Podlasiu. Po jego porażce, gdy wojsko litewskie obległo Szwedów, dzielny ten książę zebrał tysiąc czy tysiąc dwieście złodziei, i z nimi obchodzi domy biednej szlachty, a mianowicie tych, którzy nie mogli czy nie chcieli iść na wojnę. Bierze ich w niewolę, rabuje i przymusza zaprzysiądz wierność królowi szwedzkiemu. Ma się rozumieć, że ich woda święcona rozgrzeszy. Aż do starego 80letniego wojewody, który z miejsca na miejsce przechodził, i tego w niewolę zabrał. Codzień zapewnia króla szwedzkiego o wielkich wygranych bitwach. Nie wątpię, że szkatułki pana *Silhon* wypełnione są jego pomysłami.

Dobry nasz brat han tatarski przysłał znowu murzę do króla J. M. z doniesieniami, iż prędko w pomoc przyjdzie. Tenże sam murza ma jechać do Prus, do kurfirsztu. *Des Noyers* posyła do Paryża kopią listu hana. Nie powiedzą tym razem, że sama pisała.

Król kazał mi jechać do Polski, i pojechałabym za kilka dni, gdybym nie musiała czekać na wiele znakomitych osób obojczy płci, które mi towarzyszyć mają. Cesarz i cesarzowa oświadczają się z życzeniem widzenia się ze mną na pół drogi do Wiednia; ale wyjazd mój temu przeszkodzi. Francuzi, którzy w usługach moich zostają, nie posiadają się z radości, że wracać mają do Polski. Prawda, że to kraj żyzny i bogaty w porównaniu z tutejszym, a mieszkańcy bez porównania grzeczniejsi. Sądzę, że ty to nazwiesz marzeniem, ale to czysta prawda.

Mam nadzieję po drodze odzyskać Kraków (1). Król J. M. posłał więźnia szwedzkiego do komendanta powiedzieć mu, że gdyby zamek wysadził, to wszystkim więźniom, których jest najmniej dwa tysiące, głowy pościnać każe. Modlitwy nie były bezskuteczne: dobrze jest udawać się do Pana Boga. Pragnęłabym tylko dowiedzieć się, z jaką radością kardynał Mazarini odebrał dobre wiadomości o nas. Nie wątpię, że ze względu na religię tylko, bardzo rad z nich będzie. Zawsze pamiętam, żeś mi przepowiadała, że jeśli pobijemy Szwedów, będziemy mieli wielu przyjaciół. Cesarz, jak temu łatwo uwierzysz, bardzo kontent, i już wojska jego w Belgii naprzód idą; co do cesarstwa, zdaje mu się

(1) Królowa wysłała była do Krakowa Anglika szplega, który podjął się być wyprowadzić w pole komendanta Wirca; ale mu się nie udało. *Temberskiego* Hlstorya, w rękopiśmie, od r. 1647 do 1656.

obiór syna jego niewątpliwy, i mnie także. Żal mi bardzo tego kredensu i tych prezentów, które posyłają dla Szwedów (1). Wszystko to wkrótce sprzedaném zostanie, i robota stracona. Dowiedzieliśmy się z listów przejętych, że brak im pieniędzy, tak jak nam. Król JMé ze Lwowa wyruszył z nowemi zaciągami piechoty i z armatą.

Panna *Cornuti* prosiła mnie już od sześciu miesięcy (a jam zawsze zapominała), abym otrzymała od ciebie wstawienie się do pana de *Charost*, za niejakiim *Fontesne*, który się ożenił z jej siostrą; nateraz jest porucznikiem w garnizonie w *Calais*, i ma ochotę do kapitaństwa. Jeśli pan de *Charost* kocha mię jeszcze, to zrobi to dla miłości mojej. Ostatni list twój zaginął, z wielkim żalem moim. W moim ostatnim prosiłam podziękować tym wszystkim, którzy ci o mnie dobre słowo powiedzieli, osobliwie księciu de *Condé*, i pani de *Ventadour*. Nie wierz nigdy nowinom z Wrocławia. Ci heretycy oplakują teraz niedolę Szwedów i pisząc, zawsze mijają się z prawdą; ja ci ją zawsze powiem, czy dobrą czy złą.

* * *

P. S. Nie dziwuj się, jeśli *Levesque* nie otrzymuje wiadomości z Gdańska. Szwedzi są przedziwni szalbierze. Wszystkie listy w których opisane są ich klęski, chowają, tak, że Gdańsk to tylko wieć, o czém sami wiedzieć dają. Ale teraz bardzo trudno im będzie prawdę ukrywać, gdyż Bogu dzięki, dość ją rozgłaszam. Gdy mnie tu nie będzie, może trudno będzie listy posyłać. Boje się, aby ich Szlązacy nie przejmowali. Donoś mi regularnie o odebraniu każdego. Wszyscy panujący włoscy łączą się z papieżem dla zachowania pokoju we Włoszech. Chociaż to sprzeciwia się widokom Francyi, taki mam wstręt do wojny, że się z tego cieszę.

Książę Zamojski, o którym mówiono, że wraz z synem układał się ze Szwedami, połączył się owszem z wojskiem litewskiem, w pogoni za niemi. Jestto młody człowiek, którego widziałas we Francyi, i który nie ma ani ojca, ani synów. Zdaje mi się być zakochanym w małej *d'Arquien* (2). Jeśli kiedy pokój będzie w Polsce, to będzie miał siedmkroć sto tysięcy liwrów intraty, i najpiękniejsze domy na świecie, ślicznie umeblowane.

(1) Byłyto podarki od Ludwika XIV dla króla szwedzkiego.

(2) Marya Kazimiera de la Grange d'Arquien, młoda i piękna panna z francymera królowej. Wyszła za mąż za tegoż Jana Zamojskiego; a po jego śmierci, powtórnyim ślubem za Jana Sobleskiego marszałka w. k. a późnjej króla polskiego.

Głogów, 18 maja.

Dziwna to rzecz oddalenie, i że wiadomości moje tak długo w drodze leżą! Pan *d'Avaugour* mało na szpiegów wydał, lub przyjaźń jego dla naszych nieprzyjaciół, przymuszała go prawdę taić. Proszę mi donieść, czy mu tego za złe nie mają?

Teraz przybywa szlachcie z wojska koronnego, pod dowództwem pana Czarnieckiego. Ten pisze do mnie, że pod Gnieznem miał spotkanie z nieprzyjacielem, który byłby ze szczętem znie-siony, gdyby nasi nie pospieszyli się uderzyć na Szwedów w miejscu dla nich nader dogodnym; gdyż z przodu tylko mogli na nich nasi nacierać. Ocaliła ich piechota i armata. Stracili do tysiąca ludzi, a my 50 czy 60. Pan Czarniecki dodaje: „ta utarczka posłużyła tylko do przyzwyczajenia naszych, jak pogardzać armatą, a szablą drogę sobie otwierać“.

Donosiłam ci dawniej, że niektóre województwa prosiły o wodza. Dałam im wojewodę podlaskiego (1); posłużyło mu szczęście, odzyskał wiele zamków, obległ Kościanę, a gdy do 2,000 Szwedów poszło na niego, pobił ich, wodza ich dostał w niewolę, i wziął dziewięć sztandarów. Pan Czarniecki ode-brawszy fałszywą wiadomość o cząstkowej porażce jego, rozka-zał mu odstąpić od oblężenia i z nim się połączyć. Za każdym przybliżeniem się nieprzyjaciela, zaraz znajdują się uciekający, którzy krzyczą, że wszystko stracone.

Król szwedzki zgromadził do 10,000 ludzi ze wszystkich załog i z Pomorza. Był w Prusiech w Toruniu, za posiłkami. Nasi starają się wszelkimi sposobami wyciągnąć go w pole; ale nie chce im w tém dogodzić. Wojsko nasze rozdziela się na dwoje. Pan Czarniecki pozostaje na straży króla szwedzkiego, i donosi mi, że ze szlachtą i nieco kwarcianych pójdzie na spo-tkanie króla, który połączy z nimi nowy zaciąg piechoty i ar-matę; a gdy wojsko litewskie się przyłączy, to będzie przeszło 50,000 ludzi, nie rachując Tatarów. Brat mój han, codzień przysyła wiadomość, że już przybywa, ale dotychczas się opóźnia.

Królowa szwedzka w okropnym strachu była, zbliżając się do Polski. Udała się tak spiesznie do Szczecina, że konie pada-ły po drodze, a Polacy nie chcieli jęj ścigać. Król, mąż jój w cza-sie ostatniej bytności swojej w Warszawie, dał rozkaz wziąć na

(1) Piotra Opalińskiego.

tortury starego słuę króla JMci, dla dowiedzenia się, czyli jakich sprzętów nie pochował (nie wiem czyli z tego nie umrze), oraz odzwierneę z domu ogrodowego (1). *Des Noyers* na tém straci cokolwiek, ja nic. Pan *de la Motte* prawdę mówi, gdy powiada, że będę jeszcze miała zmartwienia (2). Najpiérwsze już to, że są jeszcze Szwedzi w Polsce, a gdyby tylko chciano, król szwedzki byłby zamknięty; nic łatwiejszego nie było. Dowiemy się kiedyś, dlaczego Pan Bóg na to nie pozwolił. A potém nudzę się śmiertelnie. Gdy już miałam wyjechać, arcybiskup i wojewoda sandomierski, moi przewodnicy, sprzeciwili się podróży przez Węgry (3). Kości ich podagra osłabione, obawiają się wstrząśnienia po górach. Dobra ich wszystkie po téj stronie Wisły, a Zamość, dokąd chciałam się udać, po tamtéj. Spodziewają się, że wkrótce kraj ten wolny będzie, i chcieliby abym kilka tygodni poczekała. Posłałam do króla po rozkazy stanowcze, a generał Hatzfeld wczoraj jeszcze był u mnie w imieniu cesarza, prosząc, abym poczekała, gdyż pośpiechem naraziłabym się na strach przy najmniej. Jużbyś mnie nie poznała; tak jestem mężna. Zdaje mi się, żebym się z ochotą udała do wojska. Kraków oblężony mojm staraniem, ale nadto się spóźniono; lękam się, żeby się nie udało. Czekaę z ogłoszeniem udziału, jaki w tém miałam, aż się dowiesz o skutku. Jeśli dobry, to mnie pochwalisz, jeśli zły, to milczéć będziesz. Zda mi się, że jest do 100,000 ludzi pod bronią w Polsce; ale boję się zawsze: los oręza tak niestały! Wiele listów smutnych odbierałam od ciebie, gdy cieszyłam się sama; lękam się, aby kiedy ty się ucieszysz z naszej sprawy, nie nastąpił jaki powód do smutku w tutejszym kraju.

Głógów, 8 czerwca.

Twój list z 12 maja odbieram pełen radości z powodu dobrych wiadomości tutejszych. Przyznasz teraz, że gdym wyliczyła ci siły tego królestwa, nie byłam zanadto chepliwą! Może prędzej uwierzysz mi teraz, gdy ci powtórzę, że Polska jest niezróż-

(1) Było pałac późnieę Kazimierzowski zwany, o którym królowa wyżej pisała, jako własnem ję rękami zbudowanym.

(2) Było przyjaciel pani *de Choisy*, bawiący się astrologią; często wspomniany bywa w tych listach.

(3) Arcybiskup gnieźnieński *Jędrzej Leszczyński*, i wojewoda sandomierski *Alexander Koniecpolski*, którym królowa powierzona była.

wnaném królestwem, na którém sami krajowcy się nie znają, a które niweczy wolność ich nieokiełznana porządkiem. Lecz jeśli kiedykolwiek do rządu samowładnego dojdzie, świat cały podbije; a jeśliby je król szwedzki posiadał, za dziesięć lat nie byłoby ani jednego katolika w Europie.

Teraz niepokoi mię tłum osób około króla JMci zebranych. Lękam się niezgody i zazdrości, które zazwyczaj wkradają się do wielkich zgromadzeń, i do tak wielkiej liczby osób znakomitych, ubiegających się prawie o jedno. Choroba ta jest dość pospolita po dworach, ale Polacy z wolnością swoją bardziej jęją się podlegli i niebezpieczniejsi.

Trzy są wojska. Jedno Warszawę oblega, i to 20,000 liczy, oprócz szlachty i pospolitego ruszenia bez liczby. Marszałek wielki (1) ma drugie wojsko, które oblega Łowicz, i liczy 7—8,000, oprócz pospolitego ruszenia z Wielkiej polski, stanowiącego znakomity poczet. Nakoniec Czarniecki pod Toruniem ma 15,000, oprócz pospolitego ruszenia pruskiego. Oprócz tego szlachta po ziemiach odbiera wszystkie zamki przez Szwedów zabrane. Piotrków oblężony, a może już wzięty, jak Krzepice. Kraków prawie całkiem osaczony.... Ale Chmielnicki jeszcze odpowiedzi nie dał. Boję się go, a prawdę mówiąc wszystkiego lękać się będę, aż do zawarcia pokoju. Wiiesz, że z charakteru zawsze złemu prędzej wierzę. Tak dziwaczne rzeczy widziałam w roku przeszłym (2), że niczego już nie jestem pewną.

Warszawa, jak powiadają, dobrze obwarowana. Jeżeli król szwedzki ma siłę, okaże ją w posiłkach, jakie pośle do Warszawy, gdzie jest Wittemberg i część ich łupów. O tém dowiesz się prawie w jednym czasie ze mną, przez Gdańsk. Król szwedzki cicho siedzi dotychczas wraz z żoną. Bałam się, żeby nie czekał na Kozaków. Tak umiem wynajdywać powody dręczenia siebie samę! Mówisz, że lepsze panowanie, jak samotność. Nie jestem twego zdania. Jakże stan spokojności umysłu i sumienia zbliża się do anielskiego! Wiele można zrobić w wielkim kraju, mając w nim władzę. Ale gdy się w nim nie jest, cięży tylko odpowiedzialność za opuszczenie, a grzechy którym przeszkodzić nie można, potępią. Proś Boga, aby mi pozwolił wrócić do samotności.

(1) Jerzy Lubomirski.

(2) Podbite całej Polski niemal przez Szwedów; ucieczka króla i królowej do Szlązka; obrona Częstochowy i zawładnięcie się konfederacyą tyszowiecką, która Polskę ocaliła.

Jeżeli bitwa nastąpi, to w Warszawie. Lękam się jęj z przyczyny proroctwa pana *de la Motte* (1).

Głogów, 27 czerwca.

Wczoraj do ciebie pisałam, ale wiadomość o wzięciu Warszawy przez trzech kuryerów przyniesiona, przymusza mnie jeszcze jedną kartę przyłożyć (2). Wittemberg trzymał się dopóki mógł. Opowiadają o nim rzecz zabawną. Wyszedł był z miasta dla bronienia domu na przedmieściu, mającego komunikacyą z miastem. Dom ten zdobyto. Trzeba ci wiedzieć, że ten Wittemberg od bardzo dawna chory, i na kulach chodzi. Tak źle było koło niego, że z przestachu rzucił podpory i zaczął biegać jak gdyby zdrow i młody; od tego czasu już dobrze chodzi. Pełen był odwagi, chociaż go strach napadł. Ale też była to straszna rozprawa. To go najbardziej boli, że go ciury zwyciężyli. Albowiem gdy się ta chałastra nastęrczyła, król J. M. który miał niewiele piechoty, i rad był ją oszczędzić, przyjął chętnie tych ochotników. Ochotnicy z paniąt nie narażają się tu tak jak we Francyi. Nie wiem jeszcze szczegółów kapitulacyi, gdyż kuryer od króla J. M. nie przybył dotąd; nadto był zajęty, aby zaraz napisać. Prywatni to potajemnie umyślnych przysłali.

Nie wiem gdzie podzielił się brat króla szwedzkiego z wojskiem, oraz Douglas i Wrangel, którzy mu towarzyszą w zamiarze obronienia Warszawy. Musiało im być markotno, że w ich oczach miasto wzięte. Teraz przychodzi wiadomość poddania się Piotrkowa; komendant i załoga wstąpili do służby królewskiej, ale pod warunkiem, że nazywać się będą *moim pułkiem*. Już od pewnego czasu z nim układy prowadzę; załoga ta składa się z Włochów, ale oficerów ma Szwedów i Finlandczyków. Gdybym w tym kraju pozostała, spodziewam się, że Kraków niedługoby się opierał. Już

(1) P. de la *Motte* przepowiedział jakies nieszczęście królowi podczas bitwy.

(2) Warszawa wzięta została 1 lipca. Królowa wyjechała z Głogowa 28 czerwca. (Ob. *Portofolio Maryi Ludwiki*. T. II, p. 33). Wiadomość o wzięciu Warszawy była zatem przedwczesną. Jakoż w liście datowanym z drogi, z Częstochowy 3 lipca, pisze *Des Noyers*: „Za dwa lub trzy dni wybieramy się do Warszawy; jest nadzieja, że ją wczoraj przemocą zdobyto, ale chociażby jeszcze nie była w naszym ręku, jednakowoż tam pojedziemy, a królowa stańe w Ujazdowie” (*Portofolio*. T. II, p. 33).

obleżony; załoga bardzo mała, a żołnierze szwedzcy w takięj nęczy, że aż litość bierze...Ale muszę jechać.

* * *

Jakoż w kilka dni później królowa wyjechała do Warszawy, dokąd przybyła w połowie lipca. Ledwie miała czas wypocząć z drogi, gdy pewnego wieczora dano znać, że pokazuje się już wojsko szwedzkie, i odzywają się ich armaty. Szczegóły téj bitwy pod Warszawą, która trzy dni trwała (28, 29 i 30 lipca), z gazet ówczesnych tu podajemy, dla porównania później z opowiadaniem królowej (1).

W piątek 28 lipca pod wieczór kurfirszt brandeburski i król szwedzki przybliżyli się do Warszawy, i poza Wisłą, w 25,000 obóz rozłożyli. Prawém skrzydłem tego wojska dowodził król szwedzki osobiście, a pod sobą miał brata swego księcia Adolfa, młodego margrabiego badenkiego, hrabiego *Horn*, i wielkiego ministra artyleryi generała *de Sparre*. Lewém skrzydłem dowodzili kurfirszt brandeburski i generał *Wrangel*.

Wojsko polskie około 60,000 liczące, a złożone z hajduków, lancknechtów, ułanów, Litwinów i Tatarów, od samego rana przebyło Wisłę, i obwarowało się pod Pragą, pod dowództwem króla, oraz Czarnieckiego, Zamojskiego, Sobieskiego, hetmana Potockiego i marszałka Lubomirskiego. Przez całą noc przygotowywano się do dnia jutrzejszego w uroczystém milczeniu, przerywaném tylko wystrzałami dział z szanców.

Nazajutrz (29) już o trzeciej z rana, Tatarzy wedle zwyczaju krzyknęli przeraźliwie, i posunęły się oba wojska. Walka rozpoczęła się ze wszęch stron zażarta. Polacy liczniejsi, z trzech pagórków na których rozstawiona była ich armata, strzelali na szwadrony szwedzkie, zagrzeźłe w bagnach zawiślańskich, sprawiając w nich straszny pogrom. Pole bitwy bronione piędź po piędzi, zarzucone było zabitemi, konającemi, końmi, strzelbą, kopiami, orężem, chorągwiami. Pułki całe ścierały się z sobą tak gwałtownie, że zdawały się w ziemię zapadać. W jednęj takięj potyczce husarz wskoczył pomiędzy przyboczną straż Karola Gustawa, i kopią

(1) W niektórych autorach znajdujemy datę téj bitwy pod dnem 18 lipca, wedle starego kalendarza, co odpowiałoó wówczas 28. Cały ten wyciąg z gazet spółczesnych francuzkich, zawierający szczegóły, których w Krajewskim, ani téż w źródłach jego, Kochowskim i Rudawskim nie znajdujemy, ułożył *p. Grangier de la Mariniere*.

ledwie że do piersi królewskiej nie dotarł; ale ten szpadą odbił uderzenie, a drugą ręką z pistoletu zabił nieprzyjaciela (1). Po dwakroć Tatarzy wydali okrzyk zwycięzki, przebiwszy hufce szwedzkie, myśląc, że już zdobyte trzymają. Po dwakroć kurfirszt wśród gradu kul i strzał, nieporuszony z rzadkiem mężstwem nacierających odparł. Krew lała się potokiem, powietrze rozpalone było ogniem, nasiąkło prochem; z obu stron ta sama zapalczliwość, te same cuda odwagi!

Z tarasu pałacu swojego, królowa od samego rana przypatrywała się straszному widowisku. Ale gdy ze zbyt daleka nie mogła dobrze rozeznąć szczegółów walki, zeszła na wzgórek ponad samą Wisłą, oszańcowany dla obrony mostu. Tam spostrzegłszy, że bateria z której strzelano bezustannie na Szwedów do lasku po drugiej stronie rzeki, nie dosięgała ich dla zbyt dużego oddalenia, kazała odłożyć konia od karocy swojej, i zawieźć dwa największe działa niżej, na cypel wierzbiną obrosły, który aż w wodę zachodził. Z tego cypla tak zaczęły dokuczać armaty Szwedom, że się cofać zaczęli; a król na przedniej straży widząc to cofanie się nieprzyjaciela, sądził, że już odniesiono zwycięstwo, i posłał uprzejmie do królowej z powinszowaniem. Królowa siedząc na bębnie, okryta oponczą tatarską przed skwarem słonecznym, obiadała na kolanach jadła, i wpatrywała się w bitwę, jak gdyby na początek porażki. Ale o godzinie trzeciej, zatrzymali się Szwedzi. Napróżno raz po raz uderzali na nich hussarze. Królowi szwedzkiemu i kurfirsztowi udało się przywrócić porządek w szeregach wojska swojego, dzielnych niedobitków z 30letniej wojny, i do wieczora już nieporuszone stały, pomimo ręcznej walki na ostrze szabli, i na lufy pistoletów, pomimo ciągłego nacierania piechoty, konnicy, lancknechtów i artylerji. O godzinie jedenastej, po dwudziestogodzinnej walce, noc całkiem zaszła, nie widać było własnego wojska. Jedni drugich zabijać mogli: ledwie wówczas bić się przestano!

Trzeciego dnia, ledwie mgła się rozeszła, i jedni drugich poznać mogli, wszczęła się walka na nowo, z większą jeszcze niż przeszłego dnia zapalczewością; ale już Polacy stracili zaufanie w sobie. Podczas nocy Tatarzy umknęli, zdobywając swoje unosząc,

(1) Był to *Jakób Kowalski* żołnierz chorągwi królewskiej. Karol Gustaw kazał mu wspaniały pogrzeb sprawić u Bernardynów na Pradze. (Ob. *Krajewskiego* Dzieje panowania Jana Kazimierza. T. I, p. 5).

a obóz zostawując w okropnym nieładzie. Król wściekły od gniewu, usiłował wojsko zagrzać, i sam był dziś kapralem i wachmistrzem, jak wczoraj prostym żołnierzem. Na nic nie przydały się rozpacz jego ani przykład. Po pięć godzinnej walce, ujrzał ustępujące hufce swoje, przelamane szyki wojska litewskiego, Szwedów tratujących opierające się jeszcze niedobitki; i sam z płaczem, ze szpadą w rękę, znękany, z głosem stłumionym, niemal ostatni z pola bitwy dał się oderwać, dla połączenia się z królową, która z trudnością wymknęła się z Warszawy.

Po skończonej bitwie Jan Kazimierz usiłował w Lublinie zgromadzić rozproszone wojsko, a królowa udała się do zamku łancuckiego, z fraucymerem swoim, z dworem i nuncyuszem *Vidoni*. Ztamtąd napisała do pani *de Choisy* list następujący, w którym maluje się tak tkliwie gorzka boleść jej duszy!

Lancut, 11 sierpnia.

Nic dziwniejszego nad to, co pod Warszawą zaszło, i nie wierzyłabym temu, gdybym nie widziała sama. Szwedzi do rozpacz przywiedzeni z posiłków tatarskich, i z niemożności kurfirsza pozostania z nimi, gdyż mu zagrażała ruina Prus, przeprawili się przez Bug, w nadziei zaskoczenia zniemacka części wojska polskiego, która Wisłę przebyła. W piątek (28 lipca) przystąpili blisko Warszawy, ale poznali błąd swój, gdyż całe wojsko przeprowiło się przez Wisłę. Tego wieczora skończyło się na kilku wystrzałach z armat z obu stron. Tatarzy byli o cztery mile (*lieues*). W nocy przybyli, i stanęło na tém, że do bitwy nie przyjdzie, a tylko Szwedów ogłodzą. W sobotę zaraz Tatarzy odbili Szwedom ze 200 wozów z żywnością, i dokuczali im bardzo. Udałam się do szańca, zkąd patrzałam na oba wojska, jak gdyby z *Chaillot* na równinę *Grenelle* (1). Polacy stali na miejscu, i były tylko harce, w których armata nasza wielkie szkody Szwedom zrządziła (2), tak, że często musieli z miejsca wyruszać. Pod wieczór wreszcie na polu bitwy zostali Polacy, i wszyscy cieszyli

(1) *Chaillot* pod Paryżem, nad brzegiem Sekwany, ma wiele podobieństwa co do położenia z Warszawą.

(2) Królowa wspomina niżej o tej armacie, którą sama przewieźć kazała.

się, że Szwedzi na swoje nieszczęście tu przybyli, nie wątpiąc, że tu zginą. O północy hetman wielki koronny (Potocki) kazał odeśłać wozy swoje na drugą stronę Wisły; drudzy to samo zrobili. Na ten widok wojsko zaczęło się trwożyć, mniemając, że groziło jakieś niebezpieczeństwo, ponieważ hetman wozy swoje ratował. Król widząc taki nieład, i nie mogąc mu już wśród powszechnego popłochu zapobiedz, chciał piechotę i armatę do szanieów przedmostowych schronić; ale zapełniały je przeklęte wozy! Nakoniec godziną całą przed nadejściem nieprzyjaciela, nie było już ani jednego Polaka. Z tarasu w ogrodzie patrzyłam na to pierchania; możesz sobie wystawić z jakim sercem; ja com mniemała, że już koniec wojny przez zgubę nieprzyjaciela, a tu właśnie przeciwnie. Wyjechałam z Warszawy w takiej passyi, że i wyrazić nie potrafię. Nad wieczór opuszczono Warszawę, bez załogi żadnej, gdyż warownie niegdyś przez Szwedów zbudowane, nietyłe murami silne były jak 3,000 ludzi, które zajmowały je pod dowództwem Wittemberga. Szwedzi dość ludzi stracili; Polacy niewiele, ale 10 dział na przodzie; resztę wraz z piechotą wycofano. Tatarzy zniechęceni bardzo, podobno ku Prusom idą. Król szwedzki przysłał traktować o pokój. Odpowiedziano, że i owszem, ale na tych samych warunkach, co przed ostatnią bitwą, gdyż ta nie o wiele stan nasz pogorszyła.

Jestem teraz w Łancucie. Nie chciałam się w bliższym miejscu zatrzymać, a to dla zgryzoty, jakiej mię postępowanie Polaków nabawiło; życzę sobie oddalić się od ich obrad. Pisałam ci, że żyli w Warszawie jak w zabranym kraju. To rzecz okropna, że nie chcieli uderzyć na króla szwedzkiego, kiedy nie miał jeszcze posiłków od kurfirsztą, i byłby niezawodnie tył poddał. Słowem, cztery razy król szwedzki był w ręku Polaków, a zamiast zniweczenia go, dali mu nowych sił nabrać. Nie wiem jakie są zamiary Pana Boga, ale to pewna, że zaślepia Polaków nad wszelkie wypowiedzenie.

Powód niezostawienia załogi w Warszawie jest ten, aby nie narazić na zniszczenie dwóch domów, które tam król posiada.

Lublin, 12 września.

Z wielkim żalem moim jeszcze z tego miejsca list datuję; przyczyną tego powolność, z jaką Polacy zamiary swoje wykonywają. Wyjedziemy przecież w przyszły czwartek. W piątek prze-

prawimy się przez Wisłę, a król z wojskiem pociągnie Wielkopolską ku Pomorzu i Gdańskowi. Nie wiem jeszcze, co się ze mną stanie; ale dam ci wiedzieć. Posłowie francuzoy *d'Avaugour* i *de Lombres* wyjechali wczoraj, nie wyjednawszy wymową swoją, przybycia pełnomocników szwedzkich do tutejszego miejsca. Chce się pokoju, ale nie można traktować o niego bez pośredników, dla złej wiary Szwedów.... Posłowie wasi chcieli we mnie wmówić, że mam wiele wpływu w tutejszym kraju. Nie wiem czy tak myślą, czy też mniemali, że mi się tém przysłużą. Ale dużo pracowałam nad tém, by ich wywieść z błędu, bądź co do rzeczy samej, bądź co do przyjemności, jaką mi to gadanie sprawić miało; gdyż doprawdy wszystko idzie tak dalece przeciw mojemu zdaniu i mojemu rozumowaniu, iż byłoby mi bardzo morkotno, gdyby myślano, że w tém mam wielki udział....

Tatarzy bardzo surowo obchodzą się z więźniami szwedzkimi, których zabrali przed trzema tygodniami, poraziwszy 2,000 Szwedów na głowę. Jeżeli kiedykolwiek tych barbarzyńców potrzebować będziesz, to udaj się do mnie. *Szefer-Kazy-Aga* (1) jest wielkim przyjacielem moim. W Polsce oprócz króla i pana Czarnieckiego, tylko mnie szacuje. Gdybym w kilku słowach mogła ci jego rozmowę wyrazić, podobałaby ci się, bo zabawna i pełna dowcipu. Wyruszyli ku Prusom kurfirsza, pod dowództwem hetmana litewskiego (2). Przez Gdańsk o nich usłyszysz. Moskwa ciągle zażartą wojnę ze Szwedami prowadzi.

Wrzesień, 1656 r.

Doniosłaś mi, że miałam chorować w sierpniu. Rzecz dziwna, że gdy mi polskie sprawy dokuczają, jestem zdrowa, jak nią byłam przez cały sierpień; a gdy te lepiej idą, to mi niedobrze. *Des Noyers* powiada, że u mnie duch rozpędza humory. Donosisz mi, że pan *de la Motte* powiada, iż rok ten jeszcze nędzny będzie, a ja będę miała zgryzoty! Mój Boże, jakże mi to przykro! *Des Noyers* zapewnia, że moja *rewolucya* (3) bardzo niedobra. Wszystko to w mocy Pana Boga.

Książę *Zamojski* tak zakochany, że ofiaruje sto tysięcy talarów (*écus*) swojej kochance, dwanaście tysięcy liwrow dochodu

(1) Wódz posiłków tatarskich.

(2) *Wincentego Gąsiewskiego* hetmana polnego i podskarbiego litewskiego. (3) Astrologiczny peryod.

na śpilki, a czterdzieści tysięcy liwrow intryty dożywotnej na jakim starostwie. A jeśli będzie się dobrze prowadzić gdy zostanie jego żoną, i miłość jego zwiększy, obiecuje jej wiele innych rzeczy. Po podpisaniu interczy pośle ją matce, i będzie pisał do ojca i do matki.

Rozchodzi się wieść o śmierci Chmielnickiego, ale nie ma w tém pewności żadnej (1).

Nareszcie mają Kraków oblegać, i marszałek wielki zbiera wojsko na to. Mimo całej usilności, nie potrafiłam wyrobić tego przed szczęścią miesięcy; a podówczas daleko łatwiej było niż teraz, kiedy załoga mocniejsza. Nie będzieto oblężenie zupełne, ale tylko blokada, aby przeszkodzić wycieczkom załogi.

Donosisz mi, że pani *de Senuey* (2) dopytuje się o mnie. Przyznaj się jej przecież, żeś nigdy nie pisała mi o tém, że jej za to bardzo wdzięczna jestem, i że pierwszy raz dowiedziałam się, iż brała udział w moich zgryzotach.

Wolbors, 27 października.

Miejsce z którego piszę do ciebie, jest o mil (*lieues*) dwie od Piotrkowa, a o czternaście od Warszawy. Dom biskupi dość wygodny. Zostaję tu, jako w środkowym punkcie wszystkich wiadomości. Nie pisałam do ciebie ostatniej poczty, bo chorowałam nieco. Ale kazałam panu *Des Noyers* donieść ci o szczęśliwych sprawach krajowych. Po smutku, jakiego doznałaś w skutek złych wiadomości odemnie, jak mi w listach swoich piszesz, terazniejsze wczas przyjdą.

Dziwić się trzeba zmianom wojennym, porównywając położenie króla szwedzkiego terazniejsze z przeszłoroczném. Tyleż posłów, ile on miał przy sobie w Prusach, ma teraz król JMÉ w tém samym miejscu. A on, który nie chciał wówczas słyszeć o pokoju, prosi o niego usilnie, a kurfirszt jeszcze bardziej. Jednakże w ciągłej jestem obawie, i mimo wszystkiego nie mogę całkiem zaufać Polakom; zawsze mam przed oczyma ucieczkę ich pod Warszawą.

Pan *de Lombres* do dworu naszego dotąd nie przybył. Bardzobym chciała wiedzieć, jakie uczucie obudziło w tobie wzię-

(1) Jakoż umarł w roku następnym dopióro, 15 sierpnia 1657 roku.

(2) Dama dworu królowej rejentki francuzkiej, *Anny*.

cie w niewolę Radziwiłła (1). Lubo w gruncie serca jego poznałam złość i niewdzięczność, nie głosuję za śmiercią, ale za wieczną bannicyą. Nie wiem co z tego będzie. Wojna z czasem wszelkiej czułości pozbawia. Cieszyłam się w sobotę, 29 lipca w Warszawie, na widok działa, które na inne miejsce przeniosłam, jak rozrzadzało hufiec nieprzyjacielski. Podówczas pragnęłam mieć cię przy sobie; mówiłam to tym, co cię znali; wprawdzie sądziłam, że już bitwa wygrana i pokój bliski.

Kraków dość ściśle obleżony. *Wir*, który w nim siedzi, śmiały i dobry żołnierz. Nie ręczyłabym za skutek tego obleżenia, ani za cokolwiek innego; będę się cieszyć, jeśli na dobre wyjdzie, a w przeciwnym razie poddam się woli Boskiej.

Pisałam do króla JMci o tém, coś mi o nim doniosła. Mówiłam mu, że ogłosiła jego bohaterskie czyny w nieszczęśliwej bitwie warszawskiej. Prawda, że uczynił, co tylko mógł jako człowiek uczynić, i tak się uniósł gniewem, że nie można było przemówić do niego, ani sam nie mógł się odezwać: tak się był skrzyczał. Głos stracił całkiem, i w ośm dni później jeszcze ledwie gobyło słyhać. Kurzawa i skwar były niezmierne.

Bądź zdrowa i kochaj mię zawsze.

Wolborz, 2 listopada.

Odebrałam twój list i relacyą o czynnościach królowej Krynstyny. Wydała mi się ona tak wyborną, że ułożyłam z niej list do cesarzowej, którą to bardzo ucieszy, i przyjemną rozrywką będzie dla jój męża. Dziwi mię, że nie nastrecza ci żadnej uwagi zmiana jój postanowienia, i tak spieszny powrót do Rzymu, w czasie powietrza. Co do mnie, sądzę, że kuzyn musiał jój dać do zrozumienia, iż nie chce jój mieć w swoim kraju. To pewna, że w terażniejszym czasie, gdyby tylko chciała, z łatwościąby mogła na tron powrócić. Lud szwedzki rozjątrzony i bliski powstania. Ale należałoby się lękać, aby jój nie zamknięto w miejscu warowném, i to może przyczyna tego wielkiego smutku, który dawał się widzieć na jój obliczu.

Od téj znakomitej bitwy, którą hetman litewski wygrał, nie słyszałam więcej o tém wojsku. Nie wiem, gdzie się podziało.

(1) Książę Bogusław Radziwiłł wzięty był w niewolę 18 października, w bitwie z hetmanem Gąsiewskim.

Dlatego zrozpaczyłam o szczęściu Polaków, bo nie umieją do-
trzcć nieprzyjaciela. Ale nawracać ich, to to samo, co mur głową
rozbijać.

List twój dałam do czytania kilku Polakom, chcąc ich
zawstydić za czynność ich pod Warszawą. Oni utrzymują,
że nie można tego nazywać haniebną ucieczką; że to u nich
zwyczaj wojenny cofać się, jak widzą niebezpieczeństwo; że
każdy kraj ma swój obyczaj; że dla nich ostatnią bezecnością
jest oręż składać, i poddać się w niewolę i na wolę nieprzyjaciela,
jak Francuzi i Niemcy; że u nich to jest ostatnią podłością;
że trzeba albo cofać się, kiedy nie można dać rady, albo umie-
rać. Ta ostatnia alternata jest zgubą stronnictwa; pierwsza opóźnia
tylko zwycięstwo. Że oni zwykle szykują się na nowo, i pobijają
wroga, który się z urojonego zwycięstwa cieszy; że zręczność z ja-
ką umieją konie swoje doskonale prowadzić, przyzwyczała ich
tak postępować; inne narody tracą odwagę, upadają na duchu na-
tychmiast, albo też mieszają się, i w połowie ucieczki zatrzy-
mani są ciężkością swoich koni. Prawda, że w tej ostatniej bi-
twie w Prusiech, Radziwiła i kilku oficerów schwytano w uciecz-
ce po lasach. Trzy razy od porażki warszawskiej, Szwedzi pobici
zostali, a za każdą razą więcej stracili, niż wygrali podówczas.

Obiecałam napisać co oni mówili, i pokazać im twoją odpo-
wiedź. Zastanów się więc, jaką dla nich ułożysz. Nie zgodziłam
się na wszystko co oni mówili; jest coś dobrego, jest i złego
w ich zwyczaju.

Posyłając te listy dla czytelników Biblioteki Warszawskiej,
nie możemy nie zakończyć kilką słowami, które poczytujemy so-
bie za obowiązek wdzięczności. Doznaliśmy tak uprzejmego przy-
jęcia w podróży naszej do królestwa polskiego, iż czujemy po-
trzebę złożenia publicznego podziękowania za czyn i zasługi peł-
nym mężom, którzy nam pomocną rękę podali. Uprzejmość ich
sprawiła nam prawdziwą rozkosz rozkosz że tak powiemy *histo-
ryczną*; albowiem szczęśliwi byliśmy u synów znaleźć sławną go-
ścinnosć przodków.

Paryż, 15 maja, 1851 roku.

ZASADY PRAW DAWNYCH POLSKICH

O SPADKACH.

PRZEZ

A. Przeszkodzińskiego.

CZĘŚĆ Isza.

Jeżeli prawo spadkowe, jak powiedział któryś ze sławnych prawników francuzkich, jest najwierniejszym odbiciem życia i ducha narodu, który je utworzył; to poznanie tego ducha regulującego i urządzającego społeczność, może doprowadzić jedynie do poznania ducha naszych praw spadkowych.

Czynność na polu poszukiwań źródeł historycznych, nagromadziła już mnóstwo materyałów, które i na jedno i na drugie wielkie rzuciły światło. Te materyały zużytkować, badania historyków pod względem życia wewnętrznego naszych przodków, do jednego z najżywotniejszych stosunków prawnych, to jest spadków przymierzyć i tym sposobem je sprawdzić, a w skutek tego prace uczonych, ten sam przedmiot przed kilkunastu laty i więcej traktujących, rozwinąć lub uzupełnić: będzie pisemka tego zamiarem.

Podstawą urządzenia narodu słowiańsko-polskiego była wspólność, zacząwszy od rodziny ostatniego ogniwa, aż do najgłówniejszego narodu, ogół rodów w pewnej całości politycznej obejmującego.

Natura wspólności wymaga równości praw i obowiązków każdego z jej członków, bo bez nich nie byłaby już wspólka; wymaga pewnej swobody każdego.

Podstawą rodu jest małżeństwo, ojciec i matka. Jednostki dwie, oddzielnych dwóch rodów łączą się, aby nową jednostkę polityczną, to jest wspólkę utworzyć. Przybywają dzieci i stwarzają rodzinę. Dzieci dorastają i dzielą prace i zatrudnienia rodziców; praca więcej jak krew daje im tytuł do praw wspólności. Odtąd majątek rodziny jest wspólnym wszystkich, bo im wspólnie daje utrzymanie, bo na utrzymanie to wszyscy pracują. Rodzice i z wieku i z pierwszeństwa w objęciu wspólki, a raczej jój utworzeniu, są naczelnikami, są węzłem skupiającym rodzinę; dopóki żyją, wspólka jest nierozrwaną całością. Jedno z nich umiera, wspólność się zrywa; dzieci, młodsza i z natury uległa część wspólki, wstępuje w prawa zmarłego, na równiej linii staje z pozostałym małżonkiem, ma prawo rozzerwać jedność którą małżeństwo utworzyło. Więc to nie spadek, lecz podział wspólności. Ale im wolno żyć razem, i prowadzić wspólkę aż do drugiego pokolenia. W starszym stopniu, że tak powiedzieć można, będą bracia względem siebie, w drugim ich dzieci, a szczegółowo biorąc stryjowie i synowce. Wspólność staje się więcej skomplikowaną, bo do rodziny przybywają małżonki innego rodu, bo dwa, trzy małżeństw jakby oddzielnych wspóltek składa tak powiększoną rodzinę. Jedność, dusza takiej wspólności trudniejsza do zachowania, węzeł krwi i przywiązania niezawsze dosyć silny, aby ją utrzymać. Taką wspólkę jedynie nacisk zewnętrznych okoliczności w całości utrzymać zdolny. Mogła więc być powszechną, dopóki obszerniejsze rody, gminy, opola, ziemie, nie doszły do takiej spojności i wyrobienia, aby bezpieczeństwo i prawa pojedynczych rodów zapewnić; dopóki potrzeba było, iżby pojedynczy ród sam o nich miał pieczę, bo wtenczas potrzebował większej siły fizycznej, większej że tak rzekę massy, aby tém łatwiej się z niej wydobyć. W miarę więc kształcenia się wielkiej wspólki, to jest społeczności, w miarę podrastania jój w siłę fizyczną i moralną, obręb pojedynczej rodziny ścieśnia się, i dlatego z historycznych naszych czasów widzimy już tylko rodziny z ojca i dzieci, jako najprostszyc, najwięcej łączności naturalnej mających jednostek złożone.

Ale obok wzajemnego stosunku osób wspólkę rodzinną składających, przedmiot jój materialny, to jest zatrudnienie i majątek wspólce uległy, ważny na jój skład, urządzenie i obrób działalności wpływ wywiera. Gdyby bowiem jeden z wspólności trudnił się rolnictwem, inny rzemiosłem, przy różnych celach, środkach

i zyskach, z szczegółowej działalności i pracy osiągniętych: zgoda, a za nią idąca najgłówniejsza podstawa wspólki — jedność, jest niepodobną. Lud nasz od najdawniejszych czasów z szczególnym zamiłowaniem oddawał się rolnictwu. Wspólka więc rolnicza była powszechną, rzemieślnicze wyjątkiem. Ponieważ na wzór pojedynczej rodziny utworzyły się obszerniejsze rody, to jest osady, opola, ziemie; też same zasady i warunki do ich istnienia były konieczne, z stosowną zmianą i modyfikacją względnie ich obszerności. Osada więc rolnicza, małym rozszerzeniem rodziny będąca, musiała być czysto rolniczą. Dlatego też im dawniejsze rozpatrujemy w tym względzie pomniki, widzimy częściej oddzielne osady rzemieślnicze: rybitwy, sokolniki, bednary, łuczники, korabniki i t. p., które dopiero w obszerniejszym zakresie wspólności, to jest opolu, łączność wspólną znaleźć mogły.

Im wyraźniej i silniej występowała na jaw jedność polityczna, idea narodu i państwa, do swego bytu siły materialnej ciągłej, to jest siły wojennej potrzebująca; tém bardziej mieszał się porządek, rozstrajała jedność wspóltek. Pierwiastkowo jak na obronę rodzinną strzechy, tak na obronę osady, opola, każdy kto miał siłę, gdy tego wypadła potrzeba, występował i występować musiał. Każdy rzucał chwilowo swoje zatrudnienie, aby chwilowe niebezpieczeństwo odeprzeć. Ale gdy wspólność rozciągnęła się do wielkiej jedności narodu, gdy niebezpieczeństwo zagrażające części o kilkadziesiąt mil odległej, było takim samym, a może większym, jak spadające na pojedynczą osadę, bo nie chwilowa zatarza lub nienawiść przemijająca je wiodła; gdy potrzeba się było ścierać z dobrze urządzonym i uzbrojonym nieprzyjacielem: dorywczoby uzbrojone gromady nicby mu nie podobały, hoby na czas w odległe miejsca nadbiedz nie mogły, bo potrzeba się było mierzyć nie tylko liczbą, ale i zręcznością w robieniu bronią. Niebezpieczeństwo to zresztą nie było chwilowe, lecz ciągle: to w jednym, to w drugim krańcu ziemi grożące; utworzyło się więc oddzielne zatrudnienie, wyłączone rzemiosło, niepodobne do pogodzenia się z czysto rolniczym. Woj rzucał na większą część roku, a często na dłuższą, rodzinną strzechę i rodzinę; *lachał* (1) od jednego końca do drugiego swęj ziemi, aby ją piersiami swemi od

(1) W okolicach nad Gopłem *lachać* znaczy włóczyć się, wałęsać. Nie dlatego jednak wyraz ten kładę, aby z niego koniecznie nazwę szlachty wprowadzać.

Przyp. aut.

napadu ucywilizowanych niby sąsiadów, Niemców, zasłonić. Nie dzieląc zatrudnienia swój rodziny czysto rolniczego, wyosobniał ją niejako od wspólki miejscowej, robił ją jednostką rodzinną, *rzemiosłu wojennemu* oddaną, lachów. Lach nie pracował z rodziną nad uprawą roli, bo nie miał do tego czasu: zimę ledwo miał wolną; ale ćwiczył w swém rzemiośle dzieci, by je brać na wyprawy, gdy w siły podrosną. Lach więc mógł nie mieć środków wyżywienia, rola jego leżałaby odłogiem, gdyby nie miał rodziny; ale on z powołania należał do obrony osady, opola: więc osada, opole o jego wyżywieniu z rodziną pamiętać musiały, przynosiły daininy, pomagały do obrobienia ziemi. W rodzinie, w osadzie, każdy był równym, każdy pracować musiał; lach brał wielki i trudny ciężar za osadę, a za to zyskiwał jakąś wyższość, przywilej, który nietylko go z równości wyłączał, ale dawał mu prawo żywienia się pracą rolniczą innych. U góry społeczeństwa tworzyła się jedność, państwo, silne i bezpieczne tylko przez lachów: ztąd polityczna ich wyższość, ztąd wyróżnienie się, które idąc za popędem ducha wspólkowej dążności narodu, w oddzielną wspólkę, a następnie stan szlachecki ich zlewa. Przy wyobrażeniu wspólki, odrębna, wyłączna własność jest niepodobną: ziemia należała do wielkiego ogółu, do ziemi. Każda rodzina, każda osada miała jej tyle, ile w niepamiętnych czasach losem jej przypadło. Każda rodzina siedząc na swym losie, żrebiu (*sorte*), miała prawo do tego tylko, co pracą swoją z niej wydobyć zdołała. Do czego ręki swój nie przyłożyła, należało do większej wspólki, osady, opola. Las, naturalne pastwisko, zwierzęta dzikie, choćby na jego żrebiu zrodzone i żywiące się, ryby w rzece przy jego gruntach płynącej, tak były jego, jak całej osady własnością. Osoba ginęła w rodzinie, nie miała indywidualnego znaczenia i prawa. Dopokąd trwała rodzina wspólkę stanowiąca, posiadała swój udział, swój żreb; gdy wymarła, żreb pusty, puścizna, wpływał do najbliższej wspólki osady. A że ta na jednolitości polegała, obsiadał ją inny rolnik, jeżeli była rolniczą, rzemieślnik jeśli rzemieślniczą. Każda rodzina miała względem osady, względem opola pewne ciężary, pewne obowiązki; reprezentowana przez głowę swoją na wspólnych naradach, wiecach, przyjmowała je i uiszczała. Lach nietylko z natury swego rzemiosła od obowiązków tych wyłamał się, bo nie siedział w domu, ale i z innymi lachami oddzielne wieca składać zaczął. Przedmiotem ich ogół, narada: jak i gdzie bronić kraju, jakie środki do tego potrzebne. Przewodniczył na nich

ksiądz, książę, najwyższy naczelnik narodu, najwyższy sędzia i prawodawca. Lach narodowy prawodawca, gardzi gminnymi drobnymi wiecami, albo jako doświadczeńszy na nich przewodniczy. Zreb jego wyłączony od ciężarów, uprzywilejowany pomocą osady, jest coś odrębnego od innych zrebów. Lacka rodzina gaśnie; nie osiadzie jego zrebu rolnik lub rzemieślnik, bo lachy są niezbędne, bo ich oddzielne jest rzemiosło: lach posiadać go tylko może. Ale lachy nie siedzą w jednym miejscu; wspólka ich bardzo obszerna, ale rozproszona; pustka więc nie idzie na wszystkich lachów, ale do najbliższego z jego rodu, najpóźniej oddzielną rodzinę składającego: to dopiero zaród spadku. Lach, jużto nie łagodny, spokojny, zgodny rolnik lub rzemieślnik: zahartował się trudem, zesrozał i prawie zdziczał w ciągłej wojnie. Niemiec łapie go w powrozy jako niewolnika, wlecze do swój ziemi i każe pracować, najniższe odbywać postugi. On nawzajem łapie naprzód Niemca, a potem każdego z kim wojuje, przyprowadza do swego zrebu, każe mu ziemię za swoje dzieci i rodzinę uprawiać. Obdziera, łupi w nieprzyjacielskiej ziemi, i łupy jako swoje wyłączną własność do domu znosi. Tworzy więc wyłączną rodzinną własność, staje się panem. Przywykły do postuszeństwa, do władzy nad sobą, zaprowadza ją w rodzinie, miesza i psuje równość. Duch, zasada wspólki zostały, ale wstrząśnięte, podkopane obcym sobie żywiołem upaść muszą, a przynajmniej coś mieszanego wyrodzić. Od podziału wspólki doszliśmy do zarodu spadków. Przypatrzmy się bliżej, jaki skutek wyniknął z tych krzyżujących się pierwiastków, gdy się przez kilka wieków fermentacyi w jednę znów całość zlały.

Wspólność rodzinna jest zawsze zasadą, chociaż zwichniętą w podstawie, zmaconą w źródle. Kto wychodzi ze wspólności, odbiera swój udział w ruchomościach lub pieniądzach, przechodzi do obcej rodziny albo oddzielną rodzinę zakłada. Syn, który spłacony ze wspólki wyszedł, czy się ta wspólka śmiercią rodziców rozwiązała, czy za ich życia, nie miał już prawa żadnego do niej. Córka, jako kobieta, mniejszy miała udział w pracach i utrzymaniu wspólności, mniejszy też jój udział. Idąc za mąż, przechodziła do obcego rodu, wychodziła więc ze wspólności, ale jój nie rozrywała. Wspólka zostawała: ona tylko wynagrodzenie swego udziału w posagu odbierała. Odebrawszy go jednak, nic już nie miała do majątku wspólnego. Prawa jój z braćmi były równe, zmodyfikowane tylko udziałem, jaki pracą swą osobiście do wspólności przy-

niosła. Wyposażenie więc córek nie jest obcym pomysłem; nie służba wojskowa nawet, ale natura wspólki jest jego podstawą. Ojciec i matka, to główny, pierwszy stopień wspólki. Dzieci, mianowicie synowie, drugi. Jeżeli jeden z synów we wspólnicy będących umarł, pozostawiając dzieci, one jego osobę zastępują, one stanowią jako szczepek, jako podrzędna rodzina, część ogółu rodziny. Gdy ojciec i matka umiera, wspólka cała przechodzi do drugiego stopnia, do drugiego pokolenia; gdy tego nie ma, wedle pierwotnych zasad byłaby pustka, puścizna, przechodząca już, a raczej wracająca się do wspólki ogólnej, do osady, do gminy; wedle takich wyobrażeń, przychodził do niej ród najbliższy i stopień najbliższy wedle zasad wspólkowych. Zasada to rodzima, tylko okoliczności dają jej pozór obcy. Wystawmy sobie obszerniejszą rodzinę, z dwóch braci i ich dzieci złożoną. Z pokolenia pierwszego prawa wspólki nie łączą się z prawami tegoż stopnia pokolenia, ale przechodzą na drugie; brat jeden i żona jego umiera, dzieci ich całą połowę wspólki wyobrażają: połowa wspólki przechodzi wprost na drugie pokolenie, bo ono wtenczas już połowę we wspólnicy wyobraża. Gdyby jeden brat umarł bezdzietnie, część jego we wspólnicy nierozwiązanej, przyrasta do reszty wspólki reprezentowanej przez pozostałego przy życiu brata. Jeżeli ten ma dzieci, a mianowicie synów, oni z praw wspólności równo z ojcem tę przybyłą część obejmują.

Że takie wyobrażenia po kilkuset latach fermentacji dotrwały do XIVgo wieku, że nie są tylko rezultatem rozumowania, zobaczymy to w przepisach statutu wiślickiego:

Pierwszy stopień wspólki rodzinnej stanowią rodzice, to jest ojciec i matka. Matka jako kobieta obcego rodu przyniosła do wspólki posag tylko i wyprawę; zdawałoby się więc, że jej śmierć na stosunki wspólki nie powinna wywrzeć wielkiego wpływu; a przecież po jej śmierci następował już rozdział wspólki na dwie połowy: przy jednej zostawał ojciec, drugą brały i miały prawo wziąć zaraz dzieci. Zwyczaj ten odwieczny ogranicza prawodawca wiślicki. Oto jego przepis:

De filiis qui moriente matre, petunt a patre portionem maternam, antequam secundam uxorem ducat.

„Ex communi usu in regno nostro extitit observatum, quod moriente matre, pueri omnium bonorum a patre ipsorum tollunt medietatem pro portione et hæreditate materna, propter quod soepe contingit, filios in teneris annis existentes, rebusque suis

consulere non valentes, sic receptam haereditatem, inutiliter consumere, expendere et dissipare consuevisse, patri denique de pietate et beneficiis ingratitude exhibentes, impellunt etiam plerum que eundem vergere ad inopiam, sicque vicissim sentiunt incommoda et jacturas, quare æquum extitit nobis et nostrae militiae ut matre moriente, filii non petant bonorum et haereditatis maternelae devolutae portionem et successionem a patre donec ad secundas nuptias convolabit, nisi tunc velut famæ suæ prodigus bona et haereditates illas communes indebite dissiparet." (Jus. Pol. Bandtkiego f. 81).

Tenże przepis w tłumaczeniu z r. 1449:

„Z obyczaju pospolitego w królestwie naszym trzymają, iż gdy umrze mać, wszego imienia dzieci ojca ich bierzają połowicę i t. d.

(więc nie macierzystego, ale wszego) widziało się jest nam i naszej szlachcie, aby gdy macierz umrze, synowie nie prosili imienia przychodzącego z strony ojcowej, której części od ojca pierwój, niżli wtorą swadzbą ślubi, to jest żonę pojmic, niśliby tedy jako swój pocziwości rozproszca, imienie a dziedziny ony pospolite źle rozpraszał.“

Na przypadek gdy ojciec wprzód umarł, taki był przepis:

„Statuimus: quod marito mortuo uxor circa donationem et dotem et quælibet paraphernalia in pecuniis, gemmis, lapidibus et vestibus superextantibus et remanentibus, debeat remanere ipsa autem mortua, ad liberos si ipsos habuerit, praedicta omnia bona devoluantur. Quae mulier habendo pueros, si alium virum receperit, vel recipere voluerit, decernimus quod tantum modo ad eosdem pueros omnia bona paternalia integraliter, cum alia parte ipsos in divisione concernente, quorumlibet bonorum maternalium, in quibuscunque rebus consistant, absque aliqua contradictione devolvantur et cum alia residua suorum bonorum parte maritum accipiat iuxta suam voluntatem.“ (J. P. B., f. 92).

W tłumaczeniu z r. 1449:

„Ustawiamy, aby gdy mąż umrze, żona przy dziedzynie i przy wienie i przy wszój wyprawie a przy prawie w pieniądzech, w perłach, w drogim kamieniu, i w odzieniu będącém miała ostać; a ona kiedy umrze, tedy na dzieci acz je będzie miała, przerzeczonye wszystko ma spaść. Taż niewiasta mając dzieci, acz innego męża weźmie albo wziąć będzie chciała, skazujemy, aby tylko na też dzieci wszystko imienie ojczyzne spełna z drugą czę-

ścią ich dotykającą któregoś z nich, w którychkolwiek rzeczach będącego, przez wszego przeciwnika spadło, a ona z ostałą drugą swego tego imienia częścią, męża sobie weźmie podług swój woli.“

Przepisy te z statutu małopolskiego za prawo ogólne przyjęte. W Wielkiej Polsce inny był zwyczaj: statut piotrkowski bowiem przepisuje:

De divisione bonorum post obitum matris.

„Statuimus: quod, ubi pater, post obitum suae conjugis, inter filios suos fecerit divisionem bonorum suorum, quam filiis denegare non potest, quamvis per nos vel capitaneum nostrum, eadem divisio ratificata non fuerit sue confirmata, eodem patre mortuo, filii ipsam rescindere non valebunt, quocunque modo, sed paternam portionem inter se dividunt. Isto modo facta autem huius modi divisione bonorum, ut dictum est, si pater aliam uxorem duxerit, et filios susceperit ex eadem, filii prioris matrimonii, ad paternam partem nequeant conspirare, sed erit portio secundi matrimonii filiorum. De filiabus vero si quis habuerit vel eas reliquerit fiat ut prius est constitutum. Si duo vel tres fratres divisionem inter se fecerint, uno ex ipsis mortuo, nec fratres superstites nec filii fratris praesumant rescindere eandem divisionem, quamvis eorum divisio nec per nos nec per nostrum capitaneum fuerit confirmata.“ (J. P. B., f. 147—8).

Tłumaczenie z roku 1449:

„Ustawiamy: aby, kiedy ojciec po śmierci swój żony między synami uczyni rozdzielenie imienia, jegoż (którego) synom odmówić nie może, a przez nas alibo starostę naszego ten dział poczwierdzon nie będzie, wzdzy po śmierci ojcowej, synowie nie mogą jego wzdruszyć, obyczajem którymkolwiek, ale ojcową część między sobą rozdzielią tym obyczajem słowie jako i macierzyną. Pa-knięli ojciec uczyniwszy taki dział jako już rzeczono jest, inszą żonę przyjmie, a syny z niej przyjmie, to jest mieć będzie, synowie pierwój macierzy alibo pierwego oddania, ku części ojcowej nie będą mógł przyjsć, ale będzie ta część synów wtórego oddania; ale o dziewczkach, kiedy je kto będzie miał, albo ich odumrze, stanie się jako i pierwój jest ustawiono, a gdy dwa alibo trzej bracia rozdział między sobą uczynią, acz jeden z nich umrze, ani bracia ostała w żywocie, ani synowie brata ich umarłego mają śmierć wzdruszyć, ani będą mógł tento dział, acz kakole ich dzielenie ani przez nas, ani przez naszego starostę było poczwirdzono.“

Okazuje się ztąd, że zwyczaj czyli duch narodu przeciwnym już był wspólności, w Wielkiej Polsce mniej, w Małej więcej. Prawodawca poszedł za zwyczajem małopolskim. Wspólność więc przez zwyczaj odepchnięta, przez prawodawcę potępiona, przestała mieć w pierwotnej obszerności prawne znaczenie. Ale naród nie zmienia tak łatwo odwiecznego zwyczaju; czas go modyfikuje i przekształca stosownie do życia i ducha narodu, ale zasada odwieczna, rdzeń zostaje podstawą i dalszych stosunków. Dlatego też mimo potępienia wspólności, z przedstawionych przepisów widzimy, że jeszcze nie zajęła jej miejsca spadkowość, na bliskości krwi oparta; jestto zawsze wspólność tylko na sposób spadku zmieniona. Odwieczna zasada: że majątek rodziny jest wspólnym; że rodzice reprezentują węzeł tę wspólność łączący; że skoro jedno z nich umrze, węzeł ten rozrywa się, a więc się i wspólność zaraz rozpada na dwie połowy: jedną pierwszego, drugą drugiego pokolenia. Bo, że prawodawca odroczył ze względów bardzo mądrych podział wspólki, że zarząd jej pozostawił w ręku ojca lub matki pozostałej, dopóki w drugie małżeństwo nie weszli, lub majątku nie marnowali: to nie zmienia jeszcze natury rzeczy, nie stanowi sukcesyi, gdyż zawsze synowie za życia rodziców mieli już prawo do ich majątku, a to z najkardynalniejszą zasadą spadkowości pogodzić się nie może, ale owszem sam prawodawca pozostawiony majątek w czasowej administracji ojca lub matki wspólką mianuje:

„nisi bona et haereditates illas communes indebite dissiparet”

„niśliby tedy imienie, a dziedziny ony pospolite źle rozpraszał.“

Prawodawca wiślicki kładąc za podstawę swego rozporządzenia bezwzględną równość praw i sprawiedliwość, dopuścił się pomyłki, która utrzymać się nie mogła. Bo, że ojciec który miał dotąd zarząd wspólki nadal ją zatrzymywał, to rzecz bardzo prosta, użyteczna i sprawiedliwa; ale, że matka jako kobieta do zarządu tego mniej zdolna, nigdy go sama nieprowadząca, zresztą z posagiem tylko do rodziny obcej przychodząca, a zatem małe bardzo prawo do tego mająca, miała pozostać głową i rządczynią wspólki, to było niesłuszne i dobrego skutku przynieść nie mogło. Zobaczymy też, że się niedługo to prawo utrzymać zdołało.

Co do samego podziału synów z ojcem i matką, prawo stanowi różnicę z natury wspólki pomiędzy rodzicami wypływającą. Mąż wnosił do wspólki majątek rodzinny nieruchomy; żona posag wierzwiastkowo zapewne w ruchomościach i kosztownościach,

później w pieniądzach. Część jej we wspólnie łatwa do stracenia, mąż więc stosunkowo do wartości posagu, musiał wskazać równą wartości nieruchomości, i tę na zabezpieczenie posagu przeznaczyć: to się nazywało wianem (dotalitium). Wolno mu było jednak oprócz wiana więcej jeszcze wnieść do wspólności małżeńskiej, jak wartość posagu wynosiła, i to nazywano przywiankiem. Do wspólki więc małżeńskiej należała nieruchomość lub nieruchomości, wyrównywające posagowi, wianu i przywiankowi, i na zabezpieczenie ich wskazane; należały wszelkie ruchomości i kosztowności przez żonę w dom męża wniesione. Takiej wspólkowej, to jest obciążonej posagiem żony nieruchomości, mąż bez zezwolenia jej ani sprzedać, ani tytułem darmym na nikogo przelać nie mógł. Ztądto widzimy w najdawniejszych aktach wpływające do nich, i dające zezwolenia żony. Jeżeli mąż oprócz takiej nieruchomości miał jeszcze inną nieruchomość, do wspólki małżeńskiej nie należąca, tą mógł już bez zezwolenia żony rozporządzać, ale nieruchomość ta jeśli była rodową, ulegała wpływowi familii, jak to niżej zobaczymy. W tak urządzonj wspólnie, przybývają dzieci, a mianowicie synowie, i stają się współnikami, tak majątku ojczystego, jak majątku wspólnej małżeńskiej składającego. Dlatego też, gdy umrze matka:

„pueri omnium bonorum a patre ipsorum tollunt medietatem.”

Gdy umrze ojciec, dzieci brały cały majątek ojczysty i połowę całego majątku do wspólki małżeńskiej należącego.

„wszystko imienie ojczyzne spełna, z drugą częścią ich dotykającą, którego kole dobra macierzystego, w których kole rzeczach będącego.”

Prawodawca wiślicki zaś postanowił, że po śmierci ojca, matka ma pozostać

„circa donationem et dotem et quaelibet paraphernalia in pecuniis, gemmis lapidibus et vestibus superextantibus et remanentibus;

a zatęm przy całym majątku do wspólki małżeńskiej należącym. Jeżeli więc pozostał jaki majątek ojczysty, w którym matka wspólki nie miała, a synowie byli doletni, zaraz go objąć mogli. Ojciec zaś cały majątek podług statutu wiślickiego zatrzymywał, dopóki w powtórne małżeństwo nie wchodził.

Pozostała też i druga zasada wspólkowości: iż członek wspólki, który raz z niej wyszedł, nie miał już żadnego do niej prawa.

Prawda, że wyraźnie obejmuje ją tylko przepis, przywiedziony wyżej ze statutu piotrkowskiego: iż ojciec po śmierci piérwszej żony połowę swego majątku oddać powinien, drugą zaś dla siebie zatrzymuje; a gdyby wszedł w powtórne małżeństwo, synowie z drugiej żony, mają wyłączne do téj połowy prawo.

Ależ i prawodawca wiślicki ten sam zwyczaj zachował, gdy w motywach swego postanowienia, właśnie o skutkach takiego podziału mówi; to jest, że synowie wziętą połowę w młodym wieku stracić mogą, i nie potem nie będą mieli, bo im ojciec nic nie da.

Zasada ta zaś nie pozwala nawet wyobrażenia spadku, na przywiązaniu rodzicielskiém, a więc równém, i na bliskości krwi opartego: bo tym sposobem, jeżeli z piérwszego małżeństwa było trzech lub więcéj nawet synów, brali połowę majątku ojczystego, a z drugiej żony jeden zabierał całą drugą połowę.

Zobaczymy teraz przepisy o udziałach siostr, to jest wyposażeniach, a przekonamy się, że ani śladu nawet spadkowości jeszcze nie było, że owszem zawsze była zasadą współka:

„De filia vivente patre dotata“.

„Statuimus etiam: quod postquam aliquis nostrorum nobilium, filiam suam vivens nuptui tradiderit, et dotem sibi assignaverit competentem, ipso tandem defuncto eadem plura a fratribus repetere non poterit. Si vero patre mortuo, filia vel filiae remanserint solutae neque per patrem dotatae, si filia fuerit palatini, et possessiones fuerint multae, eidem centum marcae pro dote per fratres assignantur, ubi vero possessiones paucae et filiae multae, vel una haereditas, fiat aestimatio in valore, et pars contingens cuilibet sorori per fratrem nomine dotis, pecunia persolvatur; et idem sentimus de filiabus inferiorum nobilium a palatino, quod cum eas tradiderit maritis, dote eidem similiter assignata competenti, quibus de hac luce sublatis fratribus questionem pro majori haereditatae movere non poterint, fratres vero uterini cuilibet sorori quadraginta marcas solvere teneantur si possessiones sunt multae ut praefertur, si vero paucae, fiat aestimatio ut supra, et pars contingens cuilibet sorori in pecunia per fratres exolvatur; fratribus vero uterinis non existentibus, idem volumus de patruelibus esse intelligendum; et patruelibus non existentibus, tunc quilibet de eisdem armis et signis, consanguinitate saltem proximior, in bonis haereditariis seu patrimonialibus succe-

dere poterit, sororibus dotatis ut superius est descriptum; et interim quosque sorores non fuerint matrimonialiter copulatae haereditates patrimoniales quocumque modo vocitentur praedicti fratres possidebunt, quosque eas nuptui tradant et dotent modo praemisso. Hoc specialiter declarando prout etiam superius praemissimus quod, cum pater in vita sua aliquam nuptui tradiderit, ex hoc debeat contentari, quod sibi pater assignaverat, dum ad huc viveret in humanis, nec fratribus pro dote aliquam poterit movere quaestionem, sed contentari debet de eo quod parentes ipsius viventes et sui compotes existentes, sunt largiti, adiacentes: quod fratribus seu mortuis, seu (non) existentibus filiae haereditatibus non succedant sed contententur dote eis tradita, ut superius continetur“. (J. P. B., § 128, f. 105—106).

W tłumaczeniu z roku 1449 jest ten przepis cokolwiek odmienny, a mianowicie:

„Ustawiamy, iż gdy który naszych szlachciców dziewczkę swoją za mąż da, a posag podobny namieni (1), a w tém umrze, tedy brat rodzony albo brat stryjeczny nie będzieli rodzonego, byłaby dziewczka wojewodza, a imienie wielkie, sto grzywien dać ma po niéj, ale gdzieby było małe imienie, a dziewczek wiele, alibo jedna dziedzinę, tedy obszacowanie będzie zać stoi, a część słuszająca, każdej siostrze, przez brata rodzonego, alibo stryjecznego, nie będzieli rodzonego, imieniem posagu pieniądźmi ma być zapłacona. A takóž czujemy o dziewczkach szlachciców niższych wojewody, aby je za żywota dali mężom posag im podobny, takóž naznamionowawszy: iż (którzy) gdyby z tego świata zeszli, tedy bracia rodzeni alibo stryjeczni każdej siostrze czterdzieści grzywien zapłacić mają i powinni mają być, acz wielkie będą imiona jako przereczono; ale będąi małe imiona, tedy będzie obszacowanie jako wyżéj rzeczono, a część dostająca się każdej siostrze, pieniądźmi ma być namieniona. A bratów stryjecznych albo rodzonych nie będzieli, każdy jen z tego pokolenia bliższy będzie, póki siostry nie będą małżeństwem złączone, dziedziny to lubo bliskością, lubo którymkole innym obyczajem k' nim słuszające, mają mieć i też osiągnąć obyczajem przereczonym. Wykładamy též, iż ojciec za żywota swego, dziewczkom swoim może imienie kupione, alibo též z królewskiéj dani odzierżone, jeźby po nim żywc

(1) Tu opaszczone: „tedy po śmierci ojca, ta dziewczka na braciej więcéj nie zyszczo. (Wydanie Wojcickiego, fol. 53). Jeźeli zaś posagu nie wyznaczy,”

ostały polecić, ale brat części pieniędzmi siostróm spleci, a sam dziedzinę odzierzy. Dziewki téż za żywota rodziców swoich za mąż wydane, bratu stryjecznemu, alibo téż rodzonemu o swój posag ni jenéj skargi ruszyć nie mogą, bo dosyć mają mieć na tém, co im rodziciele ich żywi będąc za posag im podobny są udzielili. Przydawając téż, aby gdy bracia zemrą, alibo nie będą, dziewczki w dziedzinach nikako bliskości imić nie mogą, albo nie mają, ani ich być namiestniczkami, ale dosyć mają mieć na posagu im danym, jako wyżéj się mieni, a bliższy ich nie dawszy téż im posagu w téj dziedzinie wstąpią, wyjąwszy to, co rzeczono jest wyżéj o dziedzinach kupnych, albo téż wysłużonych, iż dziewczki w takie wstąpią, to jest prawo k' nim mieć mają, alie bliższa bracia im pieniądze za nie dadzą, a sami dziedziny takie odzierzą. Téż zapowiadamy owszejki, aby dziewczki w dziedzinach, co jest puszcina rzeczony nie wstępowały ani namiestniczkami były, a gdzieby niektórzy przez płodu zeszi, bliżsi ich odzierzą dziedziny, a im w nich będą namiestniki“.

Obok takiego przepisu w zwykłych wydaniach statutu wiślickiego, to jest w *Voluminach legum* i w zbiorze Bandtkiego znajduje się przepis, zasady odmienne przedstawiający: tyt. *de virginum desponsatione et earum dotatione*.

„Item statuimus: quod cum aliqua domicella maritatur, aut nuptui alieni traditur, dos seu dotatio in pecunia parata sufficiat quae in praesentia amicorum assignetur, bona vero haereditaria coram regia maiestate debeant assignari. Etiam statuimus: quod si quis militum aut nobilium de hoc saeculo migraverit, habens filios vel filias, tunc filiae per fratres maritis tradantur, dote tamen eis more consueto assignata; si autem filios non habuerit sed filias tum filiabus omnes possessiones cedant paternae. Et si fratres patruelles huius modi haereditates obtinere voluerint tunc milites secundum ipsorum conscientiam praedictas haereditates taxabunt et a die taxationis hujusmodi dicti fratres patruelles sororibus intra annum parata pecunia (secundum quod fuerint taxatae haereditates) persolvere tenebuntur, et si in tempore unius anni neglexerint solvere tum filiae haereditates perpetuo possidebunt“ (J. P. B., f. 93. Vol. leg. I f. 38).

Nim więc do rozbioru dalszego przystąpi się, wypada przede wszystkim tę pozorną sprzeczność usunąć. Dowodnie to już wykazano, że przed zjazdem wiślickim, na którym ogólny zbiór praw dla całego wówczas królestwa ułożono, prowincya Wielko-

polska oddzielnie w Piotrkowie, a Małopolska w Wiślicy zebrały swoje zwyczajowe przepisy, i z niemi na ogólny zjazd udały się, aby je roztrząsnąć, pogodzić i w jedną zlać całość. W jaki sposób to zlanie dwóch prowincjonalnych praw nastąpiło, jaki był ów statut wiślicki staraniem króla Kazimiérza ułożony i na cały kraj obowiązywać mający, z pewnością nie wiemy. Krytyczna i mozolna w tym względzie Bandtkiego praca, nie usunęła licznych wątpliwości i usunąć ich nawet nie mogła. Autor początkowego prawodawstwa polskiego objaśniając los statutu wiślickiego po śmierci Kazimiérza, dowodnie wykazał, że pierwotny text jego dla nas zginął już niepowrotnie, bo później został upstrzony we wszystkich nawet najdawniejszych rękopismach, to późniejszymi dodatkami, to przyczepieniem do niego tych przepisów, które prawodawcy wiślicy odrzucili, a które przecież prowincjonalne życie długo zachowały.

Zdaje się przeto, że artykuł dopiero powołany, obejmujący przepis dopuszczający do dziedziczenia córki jest z liczby tych dodatków, bo niepodobna przypuścić, aby prawodawcy wiślicy dwa tak niezgodne rozporządzenia w swém dziele zamieścili, a więc tak rażącej dopuścili się sprzeczności. Składa się on właściwie z dwóch artykułów: pierwszy od początku jest czysto proceduralny i zgodny jest z duchem powyżej przywiedzionych przepisów. Były przypadki, kiedy córka dobra posieść mogła, więc prawodawca przypomniał tylko, że naznaczenie w posagu dóbr przed królem czyli jego urzędem nastąpić powinno: taka bowiem była wówczas jeszcze forma co do wszelkich alienacyj nieruchomości. Artykuł téż ten mieści się jako wiślicki we wszystkich najdawniejszych rękopismach.

Drugi zaś artykuł zaczynający się od: *Etiam statuimus*, zjawia się dopiero jako wiślicki w edycjach drukowanych i Łaskim. W rękopismach zaś dwóch tylko i to z drugiej połowy XV wieku a nawet nieodznaczających się porządkiem i dokładnością, znalazł go Bandtkie pomiędzy ustawami wiślickimi; w innych albo do ustaw warteńskich Władysława Jagiełły dołączony, albo téż na samym końcu statutu piotrkowskiego mieści się. I treść więc i krytyka odpycha go od statutu wiślickiego. Łaski mógł go zamieścić, bo zasada w nim objawiona już zapewne w powszechném była użyciu. Obok więc przestarzałej i wyszłej z życia praktycznego formy wyposażenia siostr, nie uderzał przepis nową w tym względzie zasadę obejmujący. Zwłaszcza, iż przepis ten zdaje się

być nawet dawniejszym od warteńskiego prawodawstwa, że jest nawet przedwiślickim, chociaż do wiślickiego nie przyjętym i nie wcielonym. Nie jestto dopiéro utwór zjazdu warteńskiego, bo przepisy warteńskie *de filiabus carentibus fratribus germanis* i *de tutoribus virginum* już na zasadzie dziedziczenia córek w braku braci rodzonych są oparte. Nadto, w statutach warteńskich wszędzie gdzie ustawy wiślickie zmieniono lub zmodyfikowano, wyraźnie to prawodawca objawia, i na przepis wiślicki, który zmienia, powołuje się, jak: *de uxore in sede viduali constituta; in quibus vidua succedere possit; de pueris matre orbatis*; tu zaś prawodawca mówiąc o dziedziczeniu córek wyraża się jako o rzeczy pewnej i niewątpliwiej, jako o prawie moc mającém. Wtenczas więc już przepis ten jeżeli nie za wiślicki, to za obowiązujący jakby był wiślickim uważano.

Artykuł ten większa część rekopismów mieści pomiędzy statutami piotrkowskimi, a więc wielkopolskimi; a właśnie sęto rękopisma, które najporządniej prawodawstwo wiślickie od wielkopolskiego oddzielają, które ustawy piotrkowskie najkompletniej obejmują. Ależ i ustawa wiślicka niewątpliwa, najpiérw przez nas przywiedziona o posażeniu siostr, wzięta jest ze statutu piotrkowskiego. Nowa więc sprzeczność: bo gdyby to jeszcze albo jeden albo drugi przepis był małopolskim, nie byłoby tyle rażącém. Lecz to właśnie podaje nić do wyjścia z téj trudności, do objaśnienia i udowodnienia czasu powstania tego prawa. Obadwa przepisy są wielkopolskie; ale jeden więcéj do dawnego porządku rzeczy przystający, zgadzający się zapewne z powszechnym zwyczajem w Małéj Polsce, do statutu wiślickiego wcielono, to jest przepis: że córki nie biorą dóbr rodzinnych wychodząc ze wspólki, lecz posag, że mając nawet wyznaczone w posagu dobra przez najbliższych krewnych są na skupie. Zwróciłem już bowiem uwagę, że taki przepis nie przyszedł z zagranicy, nie był utworem przypisywanéj przez niektórych badaczy skłonności do arystokracji i naśladowania w tém Niemców przez szlachtę wielkopolską; ale owszem był czysto rodzimym, z natury wspólki rodzinnej wynikającym. I owszem, przypuszczenie kobiet do posiadania i dziedziczenia dóbr nieruchomych w Wielkiéj Polsce także powstało, i późniéj dopiéro w całym kraju w powszechny zwyczaj weszło. Wspomniałem już wyżej, że nie znamy i znać nie możemy czystego statutu wiślickiego, tém mniéj nie znamy dokładnie, jaki to był statut wielkopolski w Piotrkowie ułożony. Wielkopolska

stosunkowo rzeczywiście dwa razy obszerniejsza przeszło od Małopolski, składała się z kilku księstw, oddzielny był polityczny długo mających, oddzielnie kształcących i przerabiających życie wewnętrzne, prawa i zwyczaje. Jak więc na sejmie wiślickim nie jeden zwyczaj wielkopolski lub małopolski odrzucono, tak na zjeździe piotrkowskim nieraz zapewne ścierały się różnorodne z różnych okolic zwyczaje i przepisy, i te z nich tylko wybrano, które były powszechniejsze, które więcę odpowiadały wyobrażeniom szanowanym przez ogół. Pomiędzy temi przepisami, mniejszość za sobą mającemi, był zapewne i ten, nad którym obecnie zatrzymujemy uwagę; utrzymał się dawniejsze wyobrażenia przedstawiający, i ten wszedł do statutu wiślickiego. Że to był przepis istotnie wielkopolski, a mianowicie sieradzki, naprowadza na domysł przywilej Kazimierza ks. łęczyckiego i kujawskiego dla miasta Warty r. 1250 (C. D. P. II, f. 53—55) wydany, w którym postanowiono.

„Statuimus etiam hoc concedentes quod parentibus non solum filii, verum etiam filiae succedant in omni utilitate et jure paternatus.”

Stwierdza zaś zamieszczenie go pomiędzy przepisami statutu piotrkowskiego w większej części i to porządniejszych rękopismów. Los statutu wiślickiego objaśnia, jakim sposobem różne prowincjonalne przepisy do niego wcisnęły się, a postęp wyobrażeń skutkował, że ustawa o dziedziczeniu siostr stała się powszechną.

Prawodawca wiślicki nadając moc obowiązującą swemu prawu na cały kraj, oparł się na ogólnej dążności do zjednoczenia i bliższego pobratania długo rozerwanych prowincyj, zapewniając chętnie bardzo posłuszeństwo temu rozkazowi. Po śmierci jednakże Kazimierza, za panowania Ludwika, zamieszania wewnętrzne sprawiły, że świeżo przyjęty statut nie tylko utwierdzić i rozwinąć się nie mógł, lecz prawie w zupełne poszedł zapomnienie. Odżyły wtenczas po różnych miejscach zwyczaje niezawsze zgodne z prawem powszechnem, lecz owszem często nawet wprost mu przeciwne; Wielkopolska szczególnie wróciła się do swoich zwyczajów i statutu piotrkowskiego. Nastąpiło znów odstrychnienie się Wielkiéj polski od Małopolski, a rozdział ten poszedł aż do powiatów i ziem, które do swych miejscowych zwyczajów powróciły. Niemało się do tego przyczyniała trudność posiadania w większej liczbie odpisów statutu wiślickiego; mało komu był

on znany, a jeszcze w odpisach tych przepisowacze starali się dogodzie upodobaniu miejscowości, i wciskali do przepisywanego egzemplarza przepisy, obejmujące zwyczaj pewnego województwa lub może nawet powiatu. Ztąd owa pstrocizna widoczna na oko zaraz we wszystkich najdawniejszych rękopismach, która nigdy porządnie i krytycznie oczyścić się nie da. Ztąd też i przepis który nas zastanawia, dostał się do statutu piotrkowskiego a następnie wiślickiego.

Zbyt może obszernie zastanawiałem się nad tą drobną napozór okolicznością. Rzeczywiście jednak nie jest ona mało znacząca; bo bez jej wyjaśnienia trudnoby było pojąć i konsekwentnie wystawić ducha prawa wiślickiego, bo przepis ten był skałą, o którą wszyscy traktujący rzecz o spadkowości, nie bez szwanku zahaczyć i uplątać się musieli. Skoro zaś przepis ten nie jest wiślickim, jednakże miejscowym i dawniejszym od wiślickiego statutu, choć może w niewielkiej tylko okolicy obowiązującym; skoro zwyczaj po śmierci Kazimierza Wielkiego uczynił go powszechnym, tak dalece, że już na zjeździe warteńskim, zasadę przez niego głoszoną za podstawę innych przepisów przyjęto: przeto pozostawiając to do pośredniej epoki między wiślickim a statutem w Warcie uchwalonym, teraz jedynie rozbiorem statutu wiślickiego się zajmę.

Z całego rozporządzenia o posagach okazuje się, że jakkolwiek kobiety nie miały prawa i nie mogły posiadać i obejmować w dzierżenie nieruchomości, jednakże wysokość posagu stosowną była do wartości części, jaka dla nich ze wspólki przypaść mogła. Zarządcami nieograniczonymi wspólki byli rodzice dopóki żyli. Oni więc, gdy dzieci dorosły, czynili dział, jeżeli to za życia swego za stosowne uważali, oni córkom naznaczali posag, to jest wynagrodzenie za udział we spółce. Dział taki czyto względem synów, czy względem córek wyższy był nad wszelki ezarzut. Prawo do wzruszania go nie daje żadnej pomocy i środka; wydzielony ze wspólki, wychodził z niej na zawsze, pozostawiając resztę tym, którzy w niej pozostali. Córka więc wyposażona za życia przez rodziców, nie miała już żadnego prawa do majątku rodzinnego, po ich śmierci pozostałego. Majątek ten przechodził, jeżeli nie było braci rodzonych, na innych męzkich krewnych. Majątek taki pod żadnym tytułem nie mógł przejść w posiadanie linii żeńskiej; ojciec nawet nie miał prawa dać i przeznaczyć go w posagu.

Jeżeli rodzice umarli nie wyposażywszy córek, majątek rodzinny obejmowali synowie, z obowiązkiem wyposażenia siostr. Prawo popierając zasadniczy zakaz, aby dobra rodzinne w ręce kobiet nie przechodziły, ścieśniło nawet pierwiastkowy zapewne zwyczaj, iż siostra niewyposażona przez rodziców, brała szacunek części we wspólnym majątku równo z braćmi na nią przypadającą; chciało ustanowić pewien jeszcze przywilej dla linii męskiej, brania stosunkowo więcej, nierozdrabniania majątków. Gdy bowiem umarł wysoki jaki urzędnik, np. wojewoda, pozostawił liczne imiona, a córkę tylko jedną, bracia obowiązani byli dać jej za posag sto grzywien; lecz jeżeli pozostało się kilka córek, albo gdy dziedzina była niewielka, wtenczas rodzeństwo szło do równego działu, a szacunek części na córki przypadających, bracia obowiązani im byli tytułem posagu zapłacić. Po śmierci zaś każdego szlachcica, bracia w przypadku gdy będą liczne lub obszerne dobra, każdej siostrze po czterdzieści grzywien mają dać posagu; jeżeli zaś niewielki majątek, następuje oszacowanie, i tylko siostry szacunek przypadającej na nie części na posag biorą.

Jeżeli po śmierci rodziców, nie zostało się synów tylko córki, lub jeżeli synowie obojga rodziców przed wyposażeniem siostr wymarli, najbliższymi byli do objęcia majątku współkowego rodzinnego bracia stryjeczni, a w braku stryjecznych najbliższy krwią z tegoż rodu z linii męskiej.

(*quilibet de eisdem armis et signis consanguinitate saltem proximior.*)

z obowiązkiem wyposażenia córek podług zasad dla braci rodzonych wskazanych. W prawdzie dosłownie trzymając się textu łacińskiego, przed braćmi stryjecznymi mieliby pierwszeństwo bracia przyrodni z matki (*fratres uterini*). Ale takiego tłumaczenia natura wspólności rodzinnej nie dopuszcza, i wyraźnie wskazuje, że *fratres uterini* nie mają tu rzymskiego znaczenia, że w wiekach średnich co innego, nie braci przyrodnych oznaczali. Przywiedzione tłumaczenie z r. 1449, wykląda *fratres uterini* na braci rodzonych, i dopiero późniejsi, a mianowicie z wieku XVI tłumacze ściśle się znaczenia łacińskiego trzymali. Ducange pod wyrazem *uterini* objaśnia taki wykład: *Interdum uterini, etiam noncupantur ex altero matrimonio procreati, ad discernendum duntaxat eorum, qui eodem patre sed diversa matre ex prioribus nuptiis nati sunt.* W średniowiecznej przeto łacinie *fratres uterini* była nazwa, braci z jednego ojca i téjże matki zrodzonych, dla ściślejszego od-

różnienia ich od braci ogólnie rodzonymi zwanych (germani), z jednego ojca choć różnych matek pochodzących. Takie też znaczenie ma *frater uterinus* w wyroku z r. 1254. (Codex. Dyp. Poloniae. Tom. II, k. 51 i 52).

Tak nazwana przeto bliskość, nie jest jeszcze spadkiem, lecz prawem do osierociałej wspólki. Mówię osierociałej, dla odróżnienia od opustoszałej, opuszczonej, puścizny, o której później będzie mowa. Osierocenie zaś nazywam wtenczas, gdy z wspólki została się tylko kobieta, która jej dzierżyć nie mogła. Zwracaliśmy już wyżej uwagę na tę zasadę współkowości, że gdy jedno z rodziców umiera, połowa wspólki przechodzi na dzieci, mianowicie też synów; gdy oboje umrą, cała wspólka przechodzi do następnego pokolenia, to jest na dzieci. Jeżeli jest tylko córka, bliskość do majątku stanowi położenie dalszych krewnych w obszerniejszej wspólnicy rodzinnej. Gdyby bracia rodzeni ojca nie byli się z nim rozdzielali, gdyby w dalszej wspólności pozostali: po śmierci jednego brata udział jego obejmowałyby jego dzieci, a mianowicie synowie; gdyby zaś ich nie miał tylko córki, zawsze ten udział przechodzi do drugiego pokolenia: dzieci więc drugiego brata są bliższe od swego ojca, bo są tegoż stopnia, to jest drugiego z stryjeczną siostrą. Ztąd też gdy nie było braci rodzonych, stryjeczni byli bliższymi.

Dopiero gdy tych nie było, bliskość polegała na bliższości w pokrewieństwie. Czy więc w takim razie synowie stryjecznego brata zmarłego ojca rodziny i naczelnika wspólki byli bliższymi jak stryj tegoż? Podług mego zdania, nie. Obręb wspólki nie rozciągał się tak daleko, zasada jej stosowała się tylko do rodziny, jaka rzeczywiście istnieć mogła: ztądto w dawném prawie *propinqui*, *proximiores* i *remotiores* bliżsi i dalsi. Bliżsi, było rodzeństwo stryjeczne, z któremi jeszcze wspólka była możebna; dalsi, wszyscy inni krewni, których stopień bliskości stanowiło pokrewieństwo. Prawo wyraźnie mówi:

„*quilibet de eisdem armis et signis consanguinitate saltem proximior*”

więc już co do dalszych krewnych, objawia się zasada spadkowości na stopniu pokrewieństwa oparta. Bliższy po krwi, po stopniu pokrewieństwa obejmuje dziedzinę.

Ścisłość zakazu nieposiadania dóbr przez kobiety, zdaje się że w czasie statutu wiślickiego nie była już powszechną: dopusz-

czala wyjątków. Przeszarzały to widać zwyczaj prawodawcy wiślicy, zwracając więcej uwagi na urządzenie i ujednostajnienie postępowania w sądach, tudzież na prawo karne, w swój statut włożyli, który już nie miał dosyć życia w praktyce, aby się długo mógł utrzymać. Przywiedziony przez nas text wprowadzić wyraźnie i szczegółowo ten zakaz objawia:

„et interim quousque sorores non fuerint matrimonialiter copulatae, haereditates patrimoniales, quocunque modo vocitentur praedicti fratres possidebunt;”

ale jeszcze w XIII wieku natrafiamy na dowody, że kobiety tytułem posagu dobra nieruchome posiadały. Że zaś to nie było wypadkiem odosobnionym, lecz na zwyczaju moc prawa mającym oparte, przekonywają texta najdawniejszych rękopismów łacińskich i przywiedzione przez nas równie dawne tłumaczenia polskie, które w tym względzie tak się wyrażają:

„et interim quousque sorores non fuerint matrimonialiter copulatae haereditates sive ex successione paterna sive quocunque alio modo debeantur eisdem, valeant possidere atque etiam vindicare, declarantes: quod pater in vita sua, filiabus suis, possit bona empta, seu etiam ex regia donatione obtenta assignare, quae autem superstites fuerint, portiones fratres sororibus in pecunia assignabunt et soli haereditatem obtinebunt.”

„Każdy więc z tego pokolenia bliższy będzie, póki siostry nie będą małżeństwem złączone, dziedziny te lubo bliskością, lubo którymkole innym obyczajem k'nim słuszające, mają mieć i też osiągnąć obyczajem przereczonym. Wykładamy też, iż ojciec za żywota swego, dziewczkom swoim może imienie kupione, alibo też z królewskiej dani odziczone, jeźby po nim żywe ostały polecić, ale brat części pieniędzmi spłaci siostrom, a sam dziedzinę odziczy“.

Dobra kupione, albo od króla nadane, wolno było córkom na posag przeznaczyć; wprowadzić i z takich dóbr bracia skupić je mogli, ale powinni byli cały szacunek za nie zapłacić, czyli je odkupić. Byłato więc trudność, która pomogła bardzo często do pozostania takich dóbr w ręku córek. Inaczéj było z dobrami rodzinnymi: bo skoro córki za życia rodziców wyposażenie pozyskały, choćby bracia rodzeni pomarli, lub ich nie było, stryjeczni a nawet dalsi krewni nie im nie dawszy, prawem bliskości objąć je mogli.

„Przydawając téż, aby gdy bracia zemrą alibo nie będą, dziewczki w dziedzinach nikako bliskości mieć nie mogą, alibo nie mają, ani ich być namiestniczkami, ale dosyć mają mieć na posagu im danym, jako wyżej się mieni, a bliższy ich nie dawszy téż im posagu w téj dziedzinie wstąpią, wyjąwszy to, co rzeczono jest wyżej o dziedzinach kupnych albo téż wysłużonych, iż dziewczki w takie wstąpią, to jest prawo k'niem mieć mają, alie bliższa bracia im pieniądze za nie dadzą, a sami dziediny takie odzierzą“.

Przywiedzione ustępy nie znajdują się w texcie wydanym przez Łaskiego, a wyżej przytoczonym; zdaje się jednakże, że niewłaściwie z niego wypuszczone zostały, bo zwracając uwagę na inny przepis statutu wiślickiego, stanowiący:

„Item statuimus quod cum aliqua domicella maritatur aut nuptui alicui traditur, dos seu dotatio in pecunia parata, sufficiat quae in praesentia amicorum assignetur, bona vero haereditaria coram Regia Majestate debeant assignari;”
 przypuścićby wypadalo, iż prawodawcy albo dopuścili się sprzeczności, albo ubocznie utwierdzali zwyczaj, który wprost odrzucili. Wyznaczając bowiem formę zapisania w posagu imienia nieruchomego, przyznawali tém samém możność dania go w posagu.

Ale ustępy dopiero przywiedzione objaśniają jeszcze, że siostry wyposażone czyto przez rodziców, czy przez braci, a zatém wyszłe ze wspólki, po śmierci braci rodzonych do puścizny po nich nie miały żadnego prawa; dostawała się ona innym mężkim krewnym. Owszem, wyraźniej i ogólniej jeszcze prawodawca wiślicki wyraził się, powtarzając zaraz:

„też zapowiadamy owszeyki, aby dziewczki w dziedzinach co jest puszcina rzeczony nie wstępowały, ani namiestniczkami były, a gdzieby niektórzy przez płodu zeszli, bliżsi ich odzierzą dziediny, a im w nich będą namiestniki”.

Kobiety więc do majątku rodzinnego, czy puścizna utworzyła się po braciach rodzonych, czy dalszych krewnych ojczystych, nie miały żadnej bliskości. Jeżeli jednak w puściznie po bracie pozostały dobra nabyte lub od króla nadane, siostra miała do nich prawo; była tylko na skupie, to jest, że krewni brata z linii męskiej mogli jęj te dobra odebrać, szacunek ich zapłaciwszy.

Rozbieraliśmy dotychczas pierwszy stopień podziału wspólki, odpowiadający spadkowi zstępnych; widzieliśmy, że majątek po ro-

dzicach biorą tylko synowie, że córki do posiadania go nie przypuszczone. Jeżeli synów nie ma, a są córki, wspólka nie jest pusta, ale z zarządcy, namiestnika osieroconca. Wspólka już przeszła do niższego stopnia spadkowości, do drugiego pokolenia, które jest niezdolne reprezentować rodu, bo do obcej przeszło lub przejść może rodziny. A duch wspólki rodzinnej, to duch rodowości w najobszerniejszym znaczeniu. Członkowie się dzielą, rozrywają wspólkę: jeden bierze wynagrodzenie, drugi zatrzymuje nieruchomość wspólną, bo inaczej, nie chcąc żyć wspólnie, uczynić nie można. Ale skoro ta dziedzina, to imię rodzinne znajdzie się w takim położeniu, że ma przejść w obce zupełnie ręce: bliższym jest do jego posiadania ten, który sam lub jego przodkowie byli współwłaścicielami od każdego obcego. Wziąwszy wynagrodzenie zrzekał się wspólności względem brata lub ojca, zrzekał się pracy i starań przez ojców jego w tę część ziemi włożonych, zrzekał się niestartego tytułu swój rodowości, bo od imienia majątku brano imię, na korzyść plemiennika; ale udział jego samego lub przodków we wspólnie, stanowił tytuł w odległym nawet pokoleniu do przyjścia napowrót do rodzinnego imienia. Widzieliśmy też, że bliskości tej nie nadawał stopień pokrewieństwa, ale bliższy stopień we wspólnie. Córka w niej pozostała, jako niezdolna do posiadania, przenosiła ją przecież do drugiego pokolenia; uważano więc, że tak jakby po niej opustoszała dziedzina; dlatego też najbliżsi bracia stryjeczni, dalej inni krewni. Ale jeżeli pozostał syn i córka, sya siostrę wyposażył i sam obejmuje dziedziny majątek. Syn ten umiera bezdzietnie, bez płodu; siostra po nim nie ma prawa brać puścizny. Jeżeli siostra umiera bezdzietnie, brat lub dzieci jego biorą po niej to, co z rodzinnego majątku wyniosła. To już linia boczna, spadek kollateralny. Nie ma wprawdzie na to wyraźnego przepisu, ale zwyczaj który był także prawem, w innym przepisie tak widocznie przebija, że się zaprzeczyć nie da. Ustawa ta statutu wiślickiego jest taka:

De fratricidio, patricidio, sororicidio

„Et licet lex tam novi, quam veteris testamenti fratricidium et alia saeva crimina graviter puniat et damnet, tamen quidam velut hostes proprii sanguinis et honoris, legis poenam minus formidantes, fratricidium committunt, sorores etiam vel proximos occidunt, ut ex eorum morte bona haereditaria lucrentur; volumus itaque ut unde bona haereditaria et lucra habere cupiunt inde damnis afficiantur, aut puniantur

in quo peccaverint. Ideo omnes regnicolae et nobiles regni nostri fratres aut ipsos consanguineos interimentes in haereditaria succedere possessione non valebunt, nec ullum ad eam accessum obtinebunt, quinimo sententiamus ipsos et eorum filios et privamus omni legitima talium haereditatum portione, in quibus bonis seu haereditatibus, alii consanguinei licet remotiores in linea, obtinebunt successionem."

Po zmarłym przeto bezdzietnie bracie lub siostrze, brat lub jego dzieci brały dziedzictwo. Znanę więc było zastępstwo, reprezentacya, nie jako utworzobcy z prawodawstwa rzymskiego przybyły, ale jako naturalna wynikłość stosunku osób we wspólnie rodzinnej. Dziecko od urodzenia było już współnikiem ojca; dojsście do lat pewnych nie rodziło praw, ale zawieszono ich użytkowanie niedojrzałością zapewniało. Ojcu wolno było podług swój woli majątkiem rodowym rozporządzać, ale przy każdej alienacyi widzimy zezwolenie synów dorosłych, a nawet dalszych krewnych. Bo syn, jako członek rodu, miał niezatarte niczém prawo rodzinne, dające mu pierwszeństwo nie tylko przed obcym, ale nawet dalszym krewnym do posiadania majątku rodowego. Prawo to bliskości tém było silniejsze, gdy po śmierci ojca, prawa jego skupiły się w synu. Stawał on na równi z żyjącymi stryjami, gdy szło o bliskość; a były przypadki, gdy swoje osobiste prawa wykonywał i pierwszeństwo miał przed niemi: bo, jakśmy widzieli, gdyby w dziedzinie stryja pozostała córka, synowiec przed stryjami miał pierwszeństwo.

Jeżeli po zmarłym bezdzietnie nie pozostali się ani bracia rodzeni, ani ich synowie, przed siostrą mieli pierwszeństwo bracia stryjeczni lub ich synowie, a w braku tych ktokolwiek z krewnych męzkich, bliższy pokrewieństwem, *quamvis remotior in linea*;

„insi przyrodzeni alibo dalsi w rodzaju odzierzą namiastność”.

Tłumaczenie z r. 1449.

„w których dobrzech alibo dziedzinach inni krewni aczkolwiek dalsi w linii albo stopieniu odzierzą spadek”.

Tłumaczenie Łaskiego.

Tłumacz z roku 1449 najwybitniej oddaje i odróżnia wyobrażenia dziedziczenia na wspólności oparte. Przyrodzeni to *consanguinei propinqui*, bliżsi krewni; *remotiores in linea* dalsi w rodzaju. Jak daleko sięgali ci bliżsi, jużśmy widzieli rozbiegając przepis o wyposażeniach, że ostatni byli bracia stryjeczni, inni

krewni już dalsi. To nam podaje wążek do wyrozumienia całego wyobrażenia wspólki rodzinnej. Napomknęliśmy już w ogólności, że ściślejsza rodzina wyobrażała ojca familii z synami i wnukami. Teraz przyszedłszy do stwierdzenia tej zasady w samym prawie. Dziad był najdalszym przodkiem, pniem rodziny bliższej; nie bez powodu też majątek spadkowy nazwano dziadziną, dziedziną. Obszerniejsza bowiem wspólka w praktyce jest prawie niepodobną. Wszyscy więc od jednego dziada pochodzący, są owemi bliższymi krewnymi. Dawniej zapewne w braku takich krewnych już dziadziina była zupełnie pustą, już bliskość do niej krewnych ustawała. Poza obrębem takiej rodziny krewni, czyli z tegoż rodu pochodzący, dopiero po ustaleniu się zasad prawa kanonicznego o stopniach pokrewieństwa, pozyskali prawo bliskości, po dzisiejszemu spadkowości: dlatego też prawo takich krewnych nazywa *remotiores in linea*, dalsi w rodzaju, bo pochodzący od brata dziadowskiego z którym nie żył we wspólności, stanowią oddzielny już ród, jednoczący się tylko w rodzaju, we wspólnym szczepie. I rzeczywiście podług naszego nawet prawa, wnukowie takich dwóch braci są już względem siebie w szóstym stopniu. Pomiędzy takimi już krewnymi bliskość pokrewieństwa stanowiła pierwszeństwo. A więc poza obrębem dopiero rodziny, rozwijały się wyobrażenia spadkowości na pokrewieństwie oparte. Ostatni to już ślad w statucie wiślickim widzimy tej jedności rodziny i na jej podstawie bliskości do namiestnictwa, to jest do zajęcia opróżnionego miejsca we wspólnocie. Zobaczymy niżej, że wyobrażenie ogółu skłaniało się już i wtenczas do spadkowości, że przepisy, któreśmy rozbierali, nie łączyły się z obyczajem, z życiem narodu, kiedy w kilkadziesiąt lat zupełnie prawie w zasadzie zmienione, upadły. Że te wyobrażenia o rodzinie są pośrednie, są już z czasów chrześcijaństwa i przybyłego z nim innego wyobrażenia o pokrewieństwie i rodzinie, nie podpada wątpliwości. W dawniejszych czasach obręb rodziny był jeszcze szczuplejszy, jeżeli rzeczywiście stosunki wspólki jej nie łączyły. Kto umierał bezdzietnie, bez płodu, jak się dawni pisarze wyrażają, zostawiał majątek pustym, puścizną. Samo więc nazwisko dostatecznie rzecz wyjaśnia. Statut wiślicki w dwóch tylko miejscach o puściznie wspomina. Raz, mówiąc o córkach i wyposażeniu ich, gdzie dokładnie objaśnia co rozumieć przez puściznę:

„tęż zapowiadamy owszeyki, aby dziewczki w dziedzinach co jest puszcizna rzeczony, nie wstępowały, ani namiestniczkami

były; a gdzieby niektórzy przez płodu zesli, bliżsi ich odzierzą dziedziny, a im w nich będą namiestniki."

Drugi raz w art. pod tyt.: *de bonis derelictis villanorum vel civium absque prole decedentium*.

„Abusiva consuetudine noscitur esse observatum: quod cum aliqui *Kmethones* seu rustici vel alii civiles homines, absque prole de hac luce decedunt ipsorum omnia bona mobilia et immobilia nomine vulgariter *puścizna* domini eorundem consueverunt occupare, unde nos eandem consuetudinem uti juri contrariam et absurdam reputantes, statuimus; quod de bonis eorundem decedentium, si tantum reperiatur in eisdem calix pro marca cum media ecclesiae parochiali dandus comparatur, reliqua vero bona ad proximos consanguineos vell affines cessante quolibet impedimento devolvantur prout aequitas et justitia suadent."

W tłumaczeniu z r. 1449 tyt. o puścinach:

„Przewrotnym obyczajem znać byto chowano, iż kiedy który kmiecie z tego żywota przez płodu schodzą, ich wszystko imienie ruszające i nieruszające puścina rzeczona, obykli są obłapać sobie panowie; ztąd my tento przewrotny obyczaj ganiąc, ustawiamy: aby z imienia tychto umierających, acz tyle w nim będzie nalezione, kielich za półtoręj grzywny jenby dan cerkwi parochijnej, sprawion był, a ostatek imienia ku bliższym przyrodzonym alibo rodzicom przestany, wszego przekazu spaść ma."

Przepis ten ostatni daje wyobrażenie o puściznie kmiećej, a zatem dawniejszej od wyobrażenia puścizny, jakie z powołanych wyżej przepisów statutu wiślickiego powzięliśmy. I bardzo naturalnie, że dawny obyczaj dłużej się zachował pomiędzy kmieciami trzymającymi się urzędzeń gminno-współkowych, jak pomiędzy szlachtą, która już w tym czasie nie tylko zpod wspólności gminnej zupełnie wyswobodziła się, ale na zarządców, na panów gmin wyszła.

Puścizna więc jest majątek cały tak ruchomy, jak nieruchomy, pozostały po zesłym z tego świata bezdzietnie, bez płodu. Nie jestto tytuł do pozyskania takiego mienia, lecz samo imię, sama dziedzina. Gdy córka się pozostaje, nie ma puścizny nawet w kmiecych majątkach. Można by ztąd wznosić, że w odległych czasach, kobiety mogły obejmować i dzierżyć majątki nieruchome, zwłaszcza wtenczas, gdy były zamężne, gdy z mężem już nową

rodzinę tworzyły. Bliżej się jednakże rozpatrując przekonamy się, że tak nie było i być nawet nie mogło. Jestto niewątpliwą rzeczą, że usunięcie kobiet od dzierżenia dóbr nieruchomości, jest pomysłem miejscowym, jest wpływem wspólności. Jeżeli ktoś miał córkę i wydał ją za męża, córka ta wzięwszy posag, wyszła ze wspólki i do reszty majątku nie miała już prawa. Jeżeli jój nie wydał, nie była ona zdolną prowadzić dalej ani wspólki i zatrudnień do niej przywiązanych, ani ponosić ciężarów i obowiązków, to jest głównie służby wojskowej. W takim razie nie byłoby wprawdzie puścizna, ale wspólka z głowy osierocona, niezdolna do dalszego istnienia, i podobnemu jak puścizna ulegała losowi.

We wspólnie rodowo-gminnej, ród był ostatnią jednostką; indywidualność znika w rodzie, jak ród znika w gminie, a gmina w opolu i t. d. Od pojedynczego więc rodu aż do najobszerniejszego narodu, solidarność praw i obowiązków, węzeł prawny jest jedynym punktem zjednoczenia i bliskości. Kto wyszedł ze wspólki rodu, kto oddzielną jednostkę rodzinną tworzyć zaczął, wchodził w obszerny łańcuch wspólki i stawał się ogniwem, takie tylko prawa względem dawnego rodu mającém, jak każdy obcy. Dlatego też gdy takie urządzenie społeczne w całej mocy i czystości było w obyczaju, puścizna, to jest opuszczone przez ród mienie przyrastało do obszerniejszej rodziny wspólkowej, to jest gminy. Jak pierwotne zrebia losem zapewne na wiecach, z uroczystościami prawnymi i religijnymi rodom się dostawały; tak puścizną na wiecach pod przewodnictwem najwyższego sędziego, a może razem kapłana rozporządzano. Jaka była zasada do pozyskania takiej puścizny, co nadawało pierwszeństwo, niepodobna jeszcze odgadnąć; być może, że coraz skrzętniej i staranniejszemu odszukiwane źródła i na to nam dostarczą wyjaśnień i dowodów: to tylko pewna, że pokrewieństwo żadnego nie miało znaczenia. Dowód na to stawia przywiedziony dopiero przepis wiślicki o puściznach kmiecych; rozpatrzmy go tylko starannie. Prawodawca potępia i przewrotnym nazywa obyczaj, iż puścizny kmiecie panowie grabili i sobie przywłaszczali; jakież tedy był prawny obyczaj? Gdyby branie jój przez krewnych, byłoby niezawodnie prawodawca wprost to powiedział, i usunąwszy bezprawie, prawo do dawniej mocy przywrócił. Ale tak nie zrobił, lecz wyraźnie powiada, że nową ustawę stwarza, że to co nakazuje, sam postanowił. Nadto, gdyby krewni mieli prawo do puścizn, szczególną i uderzającą byłoby rzeczą, aby to prawo tak powszechnie zgębione i stłumione

przewrotnym obyczajem brania ich przez panów zostało, że aż prawodawczego gromu na zwalenie tego nadużycia potrzeba było, kiedy aż do czasów statutu wiślickiego kmiecie mieli przystęp do sądów, kiedy jednym jeszcze ze szlachtą a więc panami ulegali prawom, i choć z trudnością może, ale zawsze sprawiedliwość znaleźć mogli. Wszakże rozpatrując te niezliczone przywileje i nadania, które wyzwoloną już ze wspólności szlachtę, podnosiły wyżej nad gminne urzędy, które jej nadawały nawet nad gminami sądownictwo: rzadko kiedy widzimy, aby panujący całą i zupełną swoją władzę, aby wszystkie swoje prawa na uprzywilejowanego przelewał. Do najgłówniejszych wyjątków, które nadający szczególne sądownictwo sobie zastrzegali, były *quaestiones haereditariae*; tak dalece, że zaledwie kilka znalazło się przywilejów, w których panujący takich praw sobie nie wyexcypował. Gdy więc w skutek osłabienia, następnie zwichnięcia, nakoniec zmieszania i rozprzężenia się porządku gminowego, wieca dawne poszły w niepamięć, a wieca szlacheckie odepechnęły kmieci: sam książę został reprezentantem i wykonawcą gminnych praw wiecowych, on sam rozsądzał *quaestiones, causas haereditarias*, on sam stanowił co do puścizn i niemi rozporządzał. Jegoto więc prawa dotknęło nadużycie szlachty, i dlatego z taką na nie powstał surowością. Jednakże nie przywraca go do dawniej mocy, bo już czas nie był po temu, bo inny powstał porządek społeczny, ważniejsze panującym kierowały zamiary. Wspólka szlachecka wyłamała się prawie zpod puścizny, nazwę jej tylko zachowując. Krewni nawet dalecy mieli prawo zgłaszać się do niej i zajmować ją. Na zjeździe wiślickim jak był jeden panujący, świeżo zjednoczonego narodu, tak miało być prawo dla wszystkich równo ustanowione. Zniósł więc panujący nadużycie, że szlachta, że panowie przywłaszczając sobie jego prawa, grabili puścizny kmieci; ale téż i zniósł dawne ich znaczenie niezgodne z nowym porządkiem rzeczy, porównał je z puściznami szlacheckimi, przeznaczając je krewnym: jednakże po raz ostatni wykonywając swoje prawo rozporządzania niemi, przeznaczył z nich pewną część, legitymę, dla miejscowego kościoła. Użył w tém król swojego dawnego prawa, bo czyżby nie zastępował nadużycia nadużyciem, gdyby własnością obcą tak dowolnie rozporządzał.

Pod tym więc przepisem kryje się szczątek najdawniejszej zasady prawnej, zasady, na której się spadkowość wykształciła.

Podług téj zasady, poza obrębem wspólki rodzinnej, nie było już rodziny, była tylko gmina większa lub mniejsza. Oprócz spadku w linii zstępnej prostéj i to męzkiej, nie było spadku. Puścizna wracała do źródła z którego wyszła, to jest ogółu, ztamtąd ją inna rodzina nowém zupełnie prawem obejmowała. Co do kmieci, obyczaj ten acz zwichnięty przetrwał do statutu wiślickiego; szlachta oddawna go zmieniła i zarzuciła.

Wojenne rzemiosło szlachty, idące za niém prawa i obowiązki, trudne do pogodzenia z życiem wspólkowo-gminném, jeszcze przed chrześcijaństwem wylamały i wyosobniły z gminy jój zrebny. Szlachta żyła oddzielnemi rodami, niemającemi żadnej z sobą styczności, żadnego wspólkowego połączenia. Każda wspólka rodowa szlachecka tworzyła niejako oddzielną gminę. Rody szlacheckie łączyły się wszystkie w jedną całość, tworzyły oddzielny naród szlachecki, który po zniszczeniu instytucyj gminnych, przerobiwszy sam w sobie nowe wyobrażenia, pochłoniął w sobie całe życie narodu, i sam został narodem.

Puścizna szlachecka takiemu zapewne w początkach ulegała prawu, jak kmieca. Ale po wyosobnieniu ze wspólki gminnej rodów i zrebów szlacheckich, musiała nastąpić zmiana. Ród wymarł, została pustka; nie należał on do gminy, nie łączył go z innymi rodami solidarny węzeł wspólności. Zreb opustoszały nie mógł przejść do żadnej gminy, nie mógł go osiąść kmieć rolnik, lecz przypaść musiał lachowi wojowi. Wracał on niejako do ogółu; mógł nim zapewne z początku jak puścizną kmiecią rozporządzać na wiecu książę, ale komuż go oddać? W gminie zapewne członek téjże gminy miał pierwszeństwo. Szlachta nie żyła gminami, lecz członkowie rodziny choć oddzielnie żyjący, choć składający oddzielne już rody, stanowili niejako jedną gminę. Majątek rodziny całej stanowił własność ogólną. Do takiego ogółu wracała puścizna; pierwszeństwo zatem do jój objęcia stanowić zaczęło pojęcie ściślejsze pokrewieństwa przez prawo kanoniczne rozwinięte, a wciśnięte w formę miejscową, w wyobrażenie wspólki. Widzieliśmy to w wykonaniu, w zastosowaniu, w prawie. Złąd prawo do wspólki opustoszałej nazwane bliskością. Kto był bliższy pastój wspólki, ten ją obejmował. Najbliżsi byli bracia rodzeni, choć rozdzieleni, dalej bracia stryjeczni, poza temi już tylko stopień pokrewieństwa dawał pierwszeństwo, bez względu na zwyczaje i urzędzenia wspólkowe. Obszernie już to rozbiegane, nie potrzebuje powtarzania. Poza bliższymi zatem krewnymi, każdy krewny miał prawa równe, prawa osobiste bliskości. Nie było więc

i nie mogło być reprezentacyi, bo tym sposobem wszyscy członkowie żyjącej rodziny na końcu we wspólnym przodku wykazałyby równe prawo bliskości. Zasada tego prawa taka sama jak wtenczas, gdy jaka nieruchomości miała przejść z rąk członka rodziny do członka innej rodziny, do innej niejako gminy, że każdy z téjże rodziny bliższy był do jój kupienia od obcego.

Zasada ta nie na wyobrażeniach arystokratycznych, lecz na naturze spółkowego urządzenia całego społeczeństwa polega. Częśćka ziemi wydzielona z ogółu była akcją, nadającą jój posiadaczowi tytuł do wszystkich praw współnika — robiła go obywatelem. Kto jój nie miał, był niczem, był gołotą. Szczupłe środki zarobkowania nie łatwem czyniły nabycie nieruchomości, kto jój po przodkach nie miał. Ztąd ten przywilej bliskości dla najdalszych nawet członków rodziny, zatrzymania sprzedawanój nieruchomości, aby w obce ręce, do innego rodu nie przeszła.

Prawodawcy wiśliccy nie sprzyjali już tym wszystkim wyobrażeniom spółkowości, jako w zwyczaju z nowemi wyobrażeniami rodziny walczącym, albo z niemi pomieszanym, a więc prawdziwego znaczenia pozbawionym w społeczeństwie, które już inną formę przybierało. Potępiając więc w ogólności spółkę *sicut matrem omnis dissensionis et discordiae* (Vol. L. I fol. 40 tyt.: de divisione facta coram amicis), ograniczyli przywilej bliskości do lat trzech (Vol. leg. I fol. 10 i 44 tyt.: de praescriptione) a skutkiem tego sprzyjając wszelkiemu podziałowi majątku, choćby nie w formie uroczystej, lecz prywatnej sporządzonemu, takimże przeciągiem trzechletnim czasu niewzruszoność mu nadawali. Ślady dawnego obyczaju, któryśmy z przepisów statutu wiślickiego uchwycili i rozbierali, były prawie anachronizmem, którego z prawa usunąć jeszcze nie można było, ale innemi przepisami obcięty, ograniczony i podkopany, uległ naciskowi nowych wyobrażeń.

Od roku 1347 do ustaw warteńskich z r. 1420 tylko lat 73 upłynęło, a w życiu politycznym narodu zaszły wielkie i stanowcze odmiany. W życiu wewnętrznym, w wyobrażeniach prawnych nie mniejsze się okazują. Byłto czas ostatniego starcia się i stanowczego zamalgamowania nowych wyobrażeń z dawnymi. Ściśle to stosujemy głównie do przedmiotu przez nas rozbieranego. Taki czas fermentacyi nie jest porą do prawodawczych urzędzeń, bo byłyby albo zawczesne, albo spóźnione. Nie mamy też z téj epoki żadnych u nas praw uchwalonych. Ustawy dopiero warteńskie świadczą, jaka zaszła w wyobrażeniach odmiana. Nim jednakże do ich rozbioru

przystąpimy, pominąć nie możemy ustaw w ks. mazowieckim wydanych, bo te i do ustaw wiślickich za objaśnienie i utwierdzenie poprzedniego rozbioru posłużą, i będą śladem tej wewnętrznej pracy ducha narodu, jednocześnie we wszystkich, acz politycznie oddzielonych częstkach odbywaną, która nowymi wyobrażeniami, nowymi formami objawiać się miała. Nie bierzemy do tego statutu mazowieckiego całego, ale tylko te ustawy, których data jest pewna i właśnie na czas od statutu wiślickiego do ustaw warteńskich przypada, aby tém widoczniej, tém dotykalciej to preradzanie się wyobrażeń pokazać. Na cały zaś statut mazowiecki w swoim miejscu i obszerniej zwróconą będzie uwaga.

Zbyt ważny wpływ prawodawstwo wiślickie wywarło na rozwinięcie się i ustalenie wyobrażeń prawnych w Polsce, aby nie oddział na bratnie, chociaż politycznie oddzielone Mazowsze; zwłaszcza, że jednoplemienność i blizkie stosunki na równym stopniu co do ukształcenia i wyobrażeń oba ludy stawiały. Widzieliśmy, że prawo wiślickie jeżeli nie zdołało jeszcze zakryć nową formą zasady wspólki rodzinnej, jeżeli ślad jęj widoczny pozostawiło, to obok tego tak ją ścieśniło, skrepowało, że dłużej żyć już nie mogła.

Główna podstawa wspólności rodzinnej, blizkość (*propinquitas*) do najdalszych stopni rozciągnięta, ograniczona w swém trwaniu do lat trzech. Tak samo Jan książę mazowiecki statutem w roku 1390 w Zakroczymiu uchwalonym, tyt.: *Acturus pro haereditate infra triennium agit* (*Jus Polonicum Bandtkiego*, f. 423) postanowił:

„quod quicumque habuerit intentionem agendi pro aliqua haereditate, ille inhoet causam suam infra triennium. Qui vero causam suam neglexerit inhoare infra triennium, ut praemititur, idem triennio revoluto cadet a suo jure, imo perpetuum silentium debet ei imponi.”

A więc położył główną podstawę do utrwalenia spokojnej wyłącznej własności. W następnym zaś artykule pod tyt.: *Venditio haereditatis redimatur per propinquos*:

„Item, si aliqui terrigenae pro suis bonis haereditariis forum perpetuum in presentia domini ducis, aut judicii terrestris, contraxerint, et munimenta super id habuerint, aut receperint, in testimonium suae emptionis, amici propinqui venditoris hujusmodi bona vendita revocare possunt ad triennium. Et si infra triennium a tempore venditionis propinquiores amici ejusdem vendentis hujusmodi emptionem seu alias bona vendita non revocaverint, et emptorem ad iudicium pro praedictis bonis

non attraxerint, extunc elapso praedicto triennio in perpetuum tacere debebunt."

Prawo bliskości, jeszcze wedle statutu wiślickiego: „ad quemcumque de eisdem armis et signis” rozciągające się, ograniczone do *amicos proximiores*, krewnych bliższych, których znaczenie już wyżej wyjaśniliśmy, skrópowane trzechletnim przeciągiem czasu; krok więc tylko mały potrzebny, aby zupełnie zniknęło. Statutem z roku 1410, w Warszawie uchwalonym, tyt.: *de commutatione perpetua bonorum immobilium* (J. P. B., f. 429), zpod prawa bliskości wyjęto dobra zamienione; przepisuje bowiem ten statut:

„Quod commutatio haereditatum seu bonorum immobilium inter nobiles, vel cujuscumque status et conditionis homines, de mutuo eorum consensu et voluntate facta, sive cum aliqua additione pecuniarum vel aliarum rerum, sive etiam absque additamento, si fuerit inscripta et ratificata eorum praesentia nostra aut officii nostri, talis commutatio ad utrasque partes commutantium in perpetuum debet et permanere et inviolabiliter observari, et nulla persona ex linea consanguineitatis ipsorum dictam commutationem revocare et impedire potest, quam pacifice et quiete possidebunt in perpetuum”

Ułatwienie i utwierdzenie działów, to główna broń na zniszczenie wspólki. Jak prawodawca wiślicki, tak statut mazowiecki z roku 1377, tyt.: *divisio perpetuatur triennio* (J. P. B., fol. 418) nadając ważność i trwałość działom nawet prywatnie zdziałanym, jeżeli w przeciągu trzech lat skarżonemi nie były, potępił wspólkę na zawsze, i na zagładę ją skazał.

Tak podkopana i zmieniona zasada na której familia i jej stosunki wzajemne polegały, wymagała ustaw, któreby nowy porządek zaprowadziły i opisały. W statucie wiślickim widzieliśmy, że stare zasady częściowej tylko uległy zmianie, a sam czas miał reszty dokonać. Tak samo było i w księstwie mazowieckim. Przy rozprzeżeniu wspólki rodzinnej, przy ścieśnieniu jej obrębu nie mógł się utrzymać odwieczny zwyczaj, że po śmierci jednego z rodziców rozwiązywała się wspólka i dzieci przychodziły do brania w nią udziału. Dłużej jednakże Mazowsze przy nim obstawało, bo dopiero na zjeździe w Warszawie roku 1421 zapadła ustawa, podobna do wiślickiej, tyt.: *Quando pueri apud patrem porcionem recipiunt* (Bandtkie, fol. 434).

„Item statuimus et praesentis statuti vigore ordinavimus: quod omnis terrigena, cujuscumque status fuerit, et uxorem legi-

timam habuerit, ex qua pueros sexus utriusque procreaverit, quamdiu Deo volente cum ipsa uxore in humanis perstiterit, pueri apud eam nullam portionem mobilium et immobilium bonorum praeter ipsius voluntatem habeant, vel aquirant, nisi tantum, quantum ex gratia speciali eis voluntarie dederit et assignaverit, si vero talis uxor de hac luce migraverit, etiam quamdiu pater ad secundas nuptias non convolaverit, similiter pueris nihil dabit, sed potius ipsa bona, de quibus mentio supra fuit facta, pacifice et quiete possidebit. Ipse vero ad secundas nuptias veniens, sive aliam uxorem ducens, praedicta bona cum pueris uxoris primae per medium dividat, sic, quod pater cum ipsa secunda uxore de medietate, et pueri de altero medietate vivant”.

Jednocześnie jednakże prawodawca mazowiecki dalej zaszedł od wiślickiego, bo w następnym zaraz artykule, tyt.: *Patre mortuo pueri de quacumque uxore dividantur per aequanimitatem*, postanowił:

„Nempe si tertiam uxorem duxerit, et prolem utriusque sexus ex ea habuerit, ipsi pueri, quamdiu mater in hac luce cum patre eorum manserit, apud ipsos nullam portionem petere poterint, nisi ea mortua, et patre, ut dicitur, quartam ducente, petere haec valebunt, et sic intelligitur de caeteris, tantum de uno, quantum de altero, ad consummationem vitae. Inter caetera vigore praesentis statuti ordinavimus et ordinamus: quod patre, de quacumque uxore pueris utriusque sexus procreatis, de hac luce decedente omnes et singuli pueri bona ipsorum mobilia et immobilia in aequales partes dividant, salvo jure consortis ultime defuncti, de quo facta fuit mentio in statuto jam descripto“.

A więc tak bracia jak siostry do równego podziału przypuszczeni, bez różnicy nawet, czy z jednéj czy z kilku matek pochodzą: to już zupełny spadek, a do niego nawet statut warteński nie doszedł.

Upadek, a przynajmniej osłabienie wspólkowe, wielki wpływ wywarło na stosunki kobiet. Dlategoż tak w statucie wiślickim jak w ustawach mazowieckich wiele znajdujemy przepisów, dowodzących, że wyobrażenia w tym względzie dopiéro się kształciły i ustalały. Jeszcze w statucie wiślickim widzieliśmy, że córka nie mogła na udział we wspólnie brać dóbr nieruchomości, a w rzadkich przypadkach, gdyby się jej dostały, skupioną z nich być mogła. Tu w powołanym dopiéro statucie mazowieckim widzimy, że zdobyła już równe prawa z braćmi. Nie nowa to nawet była ustawa, bo już statutem warszawskim z roku 1414: tyt.: *Quomodo soror par-*

icipat in haereditate paterna cum fratribus, et quomodo non. (Bandtkie, f. 431), postanowiono:

„Statuimus: quod quodocunque aliquis nobilis noster terrigena natam vel filiam suam maritaverit, seu matrimonialiter viro legitimo conjunxerit, post cujus quidem matrimonii consummationem, si qua bona paterna remanserint et vacaverint, tunc hujusmodi bona post mortem patris, aut fratrum suorum, remanentia ad ipsam pertinebunt, eo excepto, si ipsa filia nullum fratrem germanum vivum haberet, ad quem hujusmodi bona jure haereditario spectare debebant, tunc dicta bona ad ipsam filiam partinebunt per eam pacifice possidenda. Isto etiam adjecto: si ipsam filiam seu mulierem fratres sui maritaverint, et aliqua bona haereditaria eorundem remanserint, tunc eadem mulier una cum ipsius fratribus participabit de eisdem bonis, sic, quod ipsa bona remanentia ipsam concernant, ad eamque pertinebunt, sicut ad aliquem suum fratrem. Cum autem eadem mulier eorum nobis, vel nostris successoribus pro tempore existentibus, hujusmodi bona haereditaria resignaverit, et juri suo, quod sibi ad ea competebat, renuntiaverit, suumque jus praedictum in fratres suos transtulerit, tunc a modo ad hujusmodi bona eadem mulier nullum jus obtinebit.“

Wprowadzie nie upadła bliskość do skupienia siostr z dóbr nieruchomości, ale ograniczoną została do samych braci rodzonych, i do spłacenia zaraz gotowemi pieniędzmi; ma się rozumieć w czasie trzyletnim. Tak stanowi statut z roku 1421, tyt.: *Exemptio bonorum haereditariorum a sororibus* (Bandtkie, fol. 432).

„Item, quotienscunque et quodocunque ex nunc aliqua bona haereditaria per quoscunque terrigenas a sororibus juxta consuetudinem terrae redemi debeant, tunc ipsa bona, cujuscunque valoris existant, per amicos utriusque partis componentur, et paratis pecuniis monetae communiter in terra nostra currentis redimantur et solvantur exnunc, cessante compositione equorum, equarum, pecorum et pecudum, et aliarum rerum“.

Ustawy mazowieckie objaśniają bliżej stosunek małżonków co do posagu i wiana, i za uzupełnienie tego, co się przy statucie wiślickim w tym względzie powiedziało, posłużyć mogą. Przywiedziemy je tu kolejno, jak zapadły, bo ich osnowa objaśnienia nie potrzebuje.

Statut z roku 1404, w Zakroczymiu (Bandtkie, f. 426):

„Si aliqua virgo, vel domina militalis, vel de nobili genere procreata, matrimonium contraxerit, et si suus maritus de hoc saeculo migraret, eidem consorti suae pecuniam in aliqua parte

sua partimonii ratione dotis non donans, aut non assignans, ex-tunc ipsa domina post mortem sui viri quindecim sexagenas grossorum communiter in terra currentium tantummodo pro crinali levare et tollere debet".

Statut z roku 1414, (Bandtkie, f. 430):

Domina sterilis, quam partem dotis alienare poterit.

„Quod quotienscunque et quodocunque aliqua nobilis mulier, cujuscunque status et eminentiae, dotem suam, alias *possak*, vel dotalitiu, alias *wiano*, in villa, seu haereditate, vel portione sui mariti, sibi assignatam vel assignatum habuerit, et ipsa sit sterilis, prolemque de se ex marito suo legitimo non procreaverit, extunc, mortuo suo marito, licebit dictae viduae, ob remedium suae animae, aut suorum cognatorum, tertiam partem hujusmodi dotalitiu seu dotis, quo vis impedimento cessante, impartiri, duabus portionibus hujusmodi dotalitiu seu dotis pro illis, quorum interest, et quibus de jure spectant et pertinent, reservatis".

Z tegoż roku: tyt. *Divisio mulieris cum amicis mariti defuncti.*

„Quod quodocunque et quotienscunque aliqua mulier relicta post mortem sui legitimi mariti in praesenti seculo viva remanserit, dotemque sibi deputatam per eundem maritum, dum viveret, assignatam et ascriptam in bonis haereditariis habuerit, nullam que prolem ex eodem marito genuerit, tunc dote sua, sic ut praedicitur per maritum suum sibi deputata stet contenta, residuis bonis haereditariis pro cognatis ejusdem mariti mortui, ad quos spectare de jure videbuntur, devolutis. Si autem eadem mulier vidua nullam dotem per maritum ipsius viventem in aliquibus bonis haereditariis sibi deputatam habuerit, ex tunc in domo, quam idem vir suus, dum vivebat, inhabitare consueverat, et in bonis domus ejusdem post mortem dicti mariti derelictis manebit, usque ad tempora vitae suae, reliquis bonis haereditariis, si insuper aliqua extiterint, ad cognatos ejusdem mariti mortui, quibus ad ea jus competere videbitur, vel illum, qui de jure sua interesse putaverit, devolutis. Si vero aliqua bona in pecuniis paratis, vel in auro, seu argento, aut gemmis, post mortem mariti sui remanserint, tunc omnia bona et singula praedicta in pecuniis, auro et argento, vel margaritis praedictis, eadem vidua cum cognatis ejusdem mariti sui legitimis, ad quos de jure noscuntur pertinere, per medium debet dividere, pecoribus aut pecudibus domus praedictae, cujuscunque ge-

neris extiterint, et bladis, et frumentis grani et generis quorumlibet, hyemalibus et aestivalibus ad eandem viduam devolutis omnino, de quibus dicti cognati non debent existere participes, nec ad eos pertinebunt“.

Statut z roku 1421, tyt.: *Articulus dotalitii*.

„Item, primo statuimus: quod quotienscumque et quandocumque aliqua domina nobilis dotalitium suum, alias *wyano*, in aliquibus bonis, villa, seu villis, portione, seu portionibus, habuerit per maritum suum assignatum, et nostris literis ratificatum, tunc post decessum ipsius mariti sui gaudere ipso dotalitio et eo contentari debet, si autem dotalitium non habuerit, et ejusdem maritus plures villas, seu haereditatum portiones habuerit, extunc post decessum mariti sui in villa et domo, in quibus suus vir de hac luce decessit, ad tempora vitae suae, vel quamdiu ad secundas nuptias non convolaverit, pacifice et quieto permanebit, aliae siquidem villae sive portiones haereditatum quarumcunque ad proximos mariti mortui prout de jure spectabunt et pertinebunt. Si autem una villa tantum fuerit sive portio qualiscumque, et pueros eadem mulier habuerit, tunc ipsa villa sive portio in aequales portiones inter matrem et pueros dividantur et nihilominus domus super matrem teneatur. Si vero pueros ex se non procreaverit, tunc totam villam, portionem, aut portiones, in quibus eam reliquit maritus, ipsa domina habeat. Verum etiam si ipsa pueros ex dicto marito procreatos habuit, et ipsi pueri nondum ad annos debitae discretionis pervenerint, per ipsam matrem usque ad annos discretionis teneantur et regnantur; dummodo ipsa mater eosdem pueros suos utiliter, et provide, debiteque regat. Si autem in ipso regimine puerorum per consanguineos seu amicos damnosa vel inutilis reperta fuerit, jure victa ipsum regimen tanquam ab inutili removeatur, ipsaque bona ad manus amicorum duntaxat illorum qui illis pueris melius fecerint, in regimine committantur.“

Przepisy te objaśniają owę tak nazwaną przez nas wspólkę małżeńską, to jest majątek w którym żona udział miała. W statucie wiślickim bowiem jest ustawa na przypadek tylko, gdy pozostała wdowa ma dzieci; tu jest mowa o bezdzietnej małżonce. Widzieliśmy, że cała wspólka małżeńska pozostawała się przy wdowie bezdzietnej na dożywocie, to jest dobra na których jej posag i wiano były za-

bezpieczone. Widzimy dalej, że pieniądze, złoto, srebro i kosztowności, jako także do wspólki małżeńskiej należne, w połowie dla wdowy przypadają. Było zaś, zboże i wszelkie inne ruchomości w majątku obciążonym jej wianem, były jej wyłączną własnością. Widocznie przeto wszelki majątek ruchomy w inny sposób ulegał podziałowi, jak nieruchomości; i zdaje się, że od najdawniejszych czasów, ruchomy majątek równo na synów i córki przypadają, kiedy przy skupie siostrz z majątku nieruchomego, wolno im było zatrzymać stada koni i bydła, jako skupieniu nieulegające. A przynajmniej zasada równego podziału najpierw do ruchomości i kosztowności, jako w dawnych czasach nielicznych i rzadkich; zastosowanie znalazła. Zobaczymy to jeszcze przy statucie warteńskim, do którego teraz przystępujemy.

Duch narodu nie próżnuje: postępuje naprzód. Wywiedziony z ubitego toru dawnego obyczaju czy siłą okoliczności, czy wolą prawodawcy, chwytą nową ideę, nową formę, przerabia ją i kształtuje podług siebie, sam sobie w danym kierunku dalej drogę toruje. Następniemu prawodawcy pozostaje tylko zbadać tę pracę narodowego ducha, ująć ją w jednostajne karby i ustawą uwiecznić. W takim położeniu był prawodawca warteński, Władysław Jagiełło, a raczej pod jego imieniem zjazd r. 1420 względem statutu wiślickiego. Tamten widział rozbitą, w ruinie stojącą budowę społeczną narodu i pod względem politycznym, i pod względem wewnętrznego urzędzenia. Zlepił ją politycznie Władysław Łokietek, o ile mu czas i okoliczności dozwalały. Następca jego, jak podnosił i budował nowe grody i zamki, tak od fundamentów chciał odnowić, wyrestaurować, a gdzie potrzeba odbudować i do czasu zastosować gmach społeczński. Ztąd myśl na powszechnym zjeździe wiślickim, zebrania, porównania i w porządną całość ułożenia najgłówniejszej podstawy społeczńskiej, prawa. Myśl to wielka, nie bacząc nawet na wady, jeżeli je w wykonaniu znaleźć się zdarzy. Niełatwa też to była, a zawsze wyższa nad wiek praca. Gmachu stojącego głównie na podstawie obszernej wspólki rodzinnej, nietylko ściany, ale i fundamenta poszły w rozsypkę. Prawodawca wiślicki nie miał czasu, a może i przekonania, że do takiej budowy trzeba naprzód plan wyrozumować i ułożyć, zastosować go do materiałów, jakie znajdzie w zapasie wyobrażeń narodowych, albo nadstawiając je nowemi, przewidzieć, że do całości nowej stosowne będą, że trwałością wyrównają tym odwiecznym szczątkom miejscowego obyczaju, który do odbudowy zgromadził. Nie zrobił wprawdzie tego, ale bacząc na wiek tej pracy nie zasłużył na zarzut,

bo i dziś byłobyto zadanie niełatwe, praca, w której trudno błędów uniknąć.

Rozsypała się pod naciskiem nowych wyobrażeń odwieczna wspólka rodzinna, ale myśl narodowa błąkała się ze smutkiem obok tej pięknej niegdyś budowy, nie mając ani nowego planu, ani dostatecznych materiałów do jej odbudowania. Prawodawca też wiślicki, jak widzieliśmy, brał z niej całe bryły, obcinał, gładził i jak mógł do całości stosował. Odbudował pospiesznie gmach, ale zaledwie skończył pracę, przetrawiony już materiał rozsypywał się i niszczał, budynki niyby nowy wyszedł popękany i skrzywiony. Statut wiślicki, jak widzieliśmy, zatrzymał odwieczny zwyczaj współkowości co do usunięcia kobiet od posiadania majątków nieruchomości, co do ich wyposażenia, co do podziału wspólki; a z drugiej strony współkę tę potępił, obciął i rozbiciem zupełnym zagroził. Przepisy, któremi w tym względzie całość uzupełnił, jako zbyt daleko od pierwotnego zwyczaju odstępujące, jako zadaleko na wiek posunięte, zamiast pomódz, zaszkodziły tylko całości. Zwyczaj też narodu targnął się na jego pracę i po swojemu ją przerabiał zaczął. Rzucił w zapomnienie co było przestarzałe, podstawił w to miejsce zwyczaj w Wiślicy odrzucony. Takąto drogą wszedł do statutu wiślickiego ów wyżej przez nas powołany wielkopolski przepis, co do dziedziczenia córek, który w polskiem tłumaczeniu jest taki:

Tę ustanawiamy, kiedy który ze szlachciców z tego świata zjedzie mając syny i dziewczki, tedy bracia swe siostry mają dać mężom, posag im naznamionowawszy obyczajem pospolitym. dziedziny i inne. Niemial, ale dziewczki, tedy dziewczkom wszystkie stryjeczni je odzierać, tedy ojczyme. A będąci chcieć bracia rzeczzone dziedziny złożą alibo osz. według sumienia ich prze- już rzeczona bracia stryjeczna siostram w 10. oszacowania dzmi zapłacić mają podług oszacowania, a zamiesz. czas jeno roku zapłacić, tedy dziewczki dziedziny wiekuisz. odzierać.

Prawodawcy warteńscy znaleźli ten przepis już w tak powszechnym użyciu, że na jego zasadzie do dalszego uzupełnienia lub zmiany ustaw statutu wiślickiego, dotyczących stosunków familijnych, przystąpili.

Statut wiślicki zniósł dawny zwyczaj, że po śmierci jednego z rodziców zaraz dzieci miały prawo obejmować połowę majątku wspólnego, i postanowił, aby nadal cały majątek w ręku pozostałego

przy życiu współmałżonka, to jest ojca lub matki pozostawał, dopóki by w powtórne związki małżeńskie nie wchodził, albo nie okazało się, że majątek ten niszczy i rozprasza. Nowy ten zwyczaj zadaleko, szczególnie względem kobiet i porównania ich w prawach z mężczyzną posunięty, wyrodził nadużycia; dlatego też statut warteński przepisuje, tyt.: *De uxore in sede viduali constituta* (J. P. B., l. 203):

„Ad abolendam damnosam consuetudinem, quae hactenus inter subditos nostros solum ex communi usu servabatur, quod uxor, marito mortuo, in sede viduali, contra quandam antecessoris nostri institutionem, quae incipit statuimus, etc remanens, omnia bona possidebat, propter quod nonnulla bona pueris vel proximioribus, per inadvertentiam, et malam ipsorum procuracionem annihilabantur et desolabantur, unde talibus obviare volentes, statuimus de caetero: quod uxor, marito mortuo, tantum dotem et dotalitium habeat alia vero bona, in quibus dotem et dotalitium non habuerit, pueris vel proximioribus tenebitur resignare.”

Tę część majątku w której żona udział miała, nazwaliśmy współką małżeńską, i przy rozbiorze statutu wiślickiego zwróciliśmy już uwagę, że wdowa tak jak prawodawca warteński objaśnia, tylko przy jej posiadaniu pozostać mogła. Następnie jednakże statut warteński zwraca uwagę na drugą jeszcze niedogodność ustawy wiślickiej, z powodu pozostawienia wdowy przy posiadaniu majątku ruchomego, i stanowi tyt.: *In quibus vidua succedere possit* (i. c.).

„Licet etiam antiquitus per antecessores in quodam capite statutum sit, quod, marito mortuo uxor donatam, et dotem, et quaelibet paraphernalia, videlicet, ien quia non modica damna per hoc pertinetum et baronum nostrorum, omnimode et caetera remaneat, thesauro videlicet pecuniis et argento, equis magnis, cum omnibus armis, (equireis exceptis), quae omnia ad pueros devolvantur; declarantes insuper: quod talis mulier circa omnia pecora, et quaevis alia, quae in dote sua et dotalitio fuerint, una cum equis vectigalibus, quibus tempore mariti sui vehebatur, remaneat, demptis vestibus, et equis parvis, in valore trium marcarum mariti defuncti, quae in aequallem sortem seu portionem dominae cum pueris cedere debent, et dividi cum effectu.”

Jednocześnie przeto prawie i w Polsce i w Mazowszu wydano ustawy, bliżej określające prawa wdowy czyto bezdzietnej, czy mającej dzieci, do majątku ruchomego po mężu pozostałego. Ta okoliczność, że w tym przedmiocie uznano potrzebę wydawać przepisy, przekonywa już, że wyobrażenie tego stosunku prawnego nie było jeszcze dokładnie wyrobione, że było nowsze. Zwyczaj bowiem sankcyj wieków za sobą mający, nie bywał nigdy przedmiotem odosobnionych ustaw, chyba wtenczas, gdy go puszczono w zapomnienie, zmieniono lub mylnie tłumaczono na skutek nowego wyobrażenia lub zmiany stosunku.

Dopóki wspólność familijna trwała w całej praktycznej mocy, gdy członkowie wspólki wychodzili nie rozrywając jej: bydło, trzody, zapasy zboża, sprzęty, broń, kosztowności, były przedmioty, któremi wychodzący współnik udział swój odbierał, a reszta, jak wprzód, do całej wspólki należała. Wtenczas gdy opustoszała wspólka, puścizna wracała do ogółu, i najbliższy wspólki brał ją, nie wprost swoim tytułem jako spadek, ale jako udział od ogółu mu nadany, do którego był bliższym tylko od każdego obcego. Wtenczas to zapewne powstał zwyczaj, że panujący, ogół reprezentujący, przywłaszczał sobie majątek ruchomy, nieruchomości tylko krewnym zwracając. Ślad tego widzieliśmy już na puściznach kmiecych. Inny dochował się nam nie w przepisach prawa, lecz w podaniu, a mianowicie o grabieniu majątku ruchomego po księżach. Jeżeli bowiem mieli dobra nieruchome, te ulegały ustalonemu i prawnemu porządkowi. Że jeżeli księża z powołania swego w majątkach swych nie mieszkali, że majątek ruchomy pozostawał oddzielnie, dlatego więc, iż nie był pod żadną wspólnością, jako *res nullius*, jako puścizna. Lecz kiedy upowszechniony zwyczaj, jako puścizna, brazenie spadkowości; do nieruchomości wyrabiać zaczął wyrobnych, najpierw spadkowość zastosowano. Wówczas, jeżeli ten, komu nieruchomości w udziale dostawała się, czyli, podzielnosci były niejako przyrostem do majątku nieruchomego. Gdy jednakże kto umierał nie w swoim majątku, nieruchomości po nim pozostałe dostawały się temu z dzieci lub krewnych, u którego życie zakończył. Zwyczaj to wysnuty z wyobrażeń wspólki, bo kto wchodził w dom czyj z ruchomościami, zawierał niejako z nim wspólkę, a będący we wspólnocie wyłączał tych, którzy z niej wyszli. Statut wiślicki dla zniszczenia wspólności, którą za niedogodną i zgubną nawet dla gospodarstwa i porządku uważał, dając porękę i ułatwienie wszelkiego rodzaju podziałom, co do nieruchomości nie odstąpił jeszcze

od dawniejszego zwyczaju, i cały majątek ruchomy przy wdowie pozostawił. Dopiero prawodawcy warteńscy do spadkowości zbliżyli się, dzieląc ruchomości te na przywiązane do gruntu, który matka zatrzymywała, i te jój w całości przeznaczając; inne zaś wszelkie ruchomości przez połowę z dziećmi dzielić nakazuje. Chwiejące się przeto i niewyrobione jeszcze było wyobrażenie prawne w tym względzie: bo jak wiadomo, w tym właśnie czasie ustalił się zwyczaj, że majątek ruchomy po księżach, zwłaszcza wyższego stopnia, nie szedł na krewnych, lecz był pod rozporządzeniem papieża, a więc niejako na kościół przechodził.

Za to co do nieruchomości, ustawy warteńskie usuwając pozostawione w statucie wiślickim resztki wyobrażeń współkowych, uświęciły i w prawo zamieniły czyste zasady spadkowości, jak o tém przekonają następujące przepisy, tyt.: *De pueris, matre orbatís, habentibus patrem, et bona maternalia*:

„In quadam constitutione nostri praedecessoris decretum extitit, videlicet in capitulo: ex communi usu, etc. quod moriente matre puerorum, patre cum alia contrahere volente, pueri a patre petere valeant portionem maternam, et ideo considerantes in eadem constitutione, quod propter ingratitude patri factam per filios, et depressionem status sui, quem a filiis nonnunquam in tantae partis bonorum receptione et privatione patiebatur, et quia multoties filii, ad inopiam vergentes, ad patrem convolabant et recurrebant, qui, superiora advertens, eisdem succurrere non curabat, nec volebat, unde inter utramque partem rancor et displicentia oriebatur, quibus incommodis filios, dum postpientes, exnunc statuimus: quod pater, si filios convolaverit non mortem genitricis eorum, praedictis filiis suis portionem tenebitur, nisi dummodo dissipator bonorum non existat, ad mortem suam in bonis haereditariis quibusque dominari et manere valebit et poterit, assignata duratione dotis seu nuptiarum tulit et recepit.”

Tyt.: *De eo, qui filios habuerit, superduxeritque secundam uxorem, et filias propagaverit.*

„Declarantes statuimus: quod, si contigerit, patrem cum secunda uxore filios non habere, sed filios, et cum prima habuerit filios, extunc patre mortuo puerorum praedictorum pars aliqua secundae uxoris filias non continget, sed filii sive filius

primae uxoris superstites sorores suas juxta consuetudinem terrae maritabunt, assignata ipsis in pecuniis dote competenti, bonis maternis duntaxat exceptis, si ipsae praedictae sorores habuerint, quae pro ipsis debent remanere. Cum vero pueri primae uxoris portionem suam aequalem, a patre eis sponte ex divisione perpetua oblatam, obtinuerint, tunc portio secundae uxoris filiis aut filiabus ejusdem cedere debet integraliter."

Z tych więc przepisów widzimy: że majątek ojezysty oddzielony jest od macierzystego. Po śmierci matki prawodawca nie nazywa już macierzystą całej wspólki małżeńskiej, ale tylko posag, który w dom męża wniosła, i ten ojciec obowiązany jest zaraz wydać dzieciom, gdyby w powtórne związki małżeńskie wejść zamierzał; inaczey cały swój i żony majątek dożywotnie posiadać ma prawo. Złe tylko i rozrzutne zarządzanie tym majątkiem stawia go w konieczności wydzielenia podług dawnego zwyczaju połowy dla dzieci.

Jezeliby z tak niewydzielonym majątkiem powtórna żona pojał, i z nięj córki tylko spłodził, córki te nie mają prawa do majątku ojezystego, tylko w naturze spłacalne są przez braci przyrodnych z piérwszey żony posagiem, pieniędzmi, a więc nie wartością części na nie w dziale przypadających; ale za to majątek ich matki, czyto ruchomy, czy nieruchomy nie wpływa do wspólki i wyłącznie na nie przypada.

Nie mogli się jednakże jeszcze prawodawcy warteńscy otrząsnąć zupełnie z wyobrażeń spółkowych, bo w końcu postanowili: że gdyby ojciec z dziećmi piérwszey żony, za życia dobrowolnie podział, ale wieczysty, to jest nie jako zaliczenie na schedy, lecz i w formie prawem przepisanej i przy pokwitowaniu go zupełném, oraz zrzeczeniu się reszty, skutecznił; ta część majątku, która w skutek takiego podziału przy nim pozostała, choćby z drugiey żony miał tylko córki, do nich wyłącznie należecć będzie.

Że prawo odkupu majątku nieruchomego rodowego z rąk kobiet, dawniej wszystkim krewnym z linii ojezystey mężkiey służące, ograniczone tylko zostało do braci rodzonych, przekonywa przepis następujący:

Tyt.: *De filiabus, carentibus fratribus germanis.*

„Ut viam dubiis pracludamus, interdum contingit, filias post obitum patris, carentes fratribus germanis, in bonis haereditariis remanere, quas solent patriui, vel amici proximiores, nomine tutorio, observare in hunc finem, quod ipsas, quibuscunque conditionibus, sive pactis, de haereditatibus excludant, volentes ipsis pecuniam, cum maritantur, assignare, eisdem igi-

tur de nostra clementia providere cupientes, statuimus deinceps: quod si mariti earum, taliter pecuniis a patruis, vel amicis, aut tutoribus receptis, ex pacto de non receptione honorum ipsas concernentium adstrinxerint, qualitercunque, sive per fidejussoriam cautionem, vel alio quocunque modo tale pactum intervenerit aut aliquis fuerit adstrictus, illud decernimus irritum fore et inane, utque praefatae filiae redeant ad earum haereditarias portiones non obstantibus pactis aut cautionibus quibuscunque, sed sponte praefatae filiae bona sua haereditaria, si ipsis placet, vendendi, ut antea habeant facultatem at omnimodam potestatem."

Doszliśmy więc do wyobrażeń spadkowości; zobaczymy w dalszej kolei, jak te wyobrażenia rozwijały się i kształciły, jak następnie zepchnięte z dobrej drogi, zbalamucone nauką, mianowicie zasadami prawa rzymskiego, gdy stracono podstawę miejscową, wpadły w zamieszanie, tak dalece, że na końcu nie rumieniono się utrzymywać, iż nie mamy w naszym prawie przepisów o spadkach, i brak ten użyciem obcych praw zastępowano.

Dla uzupełnienia tylko przepisów z téj epoki zwrócić jeszcze wypada uwagę na statut łęczycki, bo to przyniesie przekonanie, że zasada wspólności za statutu wiślickiego tyle jeszcze mająca życia, około roku 1420 już w zupełności upadła.

Statut bowiem z roku 1418, obala w zupełności owę bliskość, jeden z głównych filarów podpierających wspólkę rodzinną, stanowiąc:

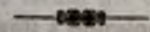
„Quando frater germanus sorori suae maritatae vendit haereditatem, postea alter frater elenodialis illam haereditatem vellet acquirere, dicendo: ego sum propinquior quam soror, habens maritum alterius clenodii; decretum extat: quod talis est propinquior quam frater clenodialis“.

Tam nawet, gdzie prawo bliskości miało zastosowanie, statut łęczycki ogranicza trwanie jego do bardzo krótkiego przeciągu czasu, to jest sześciu tygodni: oto jego ustawa:

„Statuit dominus Joannes de Olesznicz, quando aliquis alteri vendit haereditatem et resignat, talis literam non debet exigere usque expiratis sex septimanis, propter proximiores, et hoc tota terra consensit. Et si nullus citat pro eadem resignatione et non intercedit in sex septimanis, talem literam seu privilegium notarius dare debet super haereditatem, alioquin pro-

ximus potest redimere, solvens quicquid in litera seu privilegio continetur illi, qui emit, et hoc facere debet ad primum festum circumcisionis domini sine juramento. Quod si proximus debito tempore, ut dictum est resignationem intercedit, et citat infra sex septimanas, acquirit haereditatem, proximitate. Tunc ille, emens haereditatem, deponat juramento proprio: quod pro aequo emit, et proximus solvere debet ad proximum festum circumcisionis domini, alioquin ille emens perpetuo haereditatem obtinebit, et notarius sibi literam dare tenetur. (J. P. B. S., 197).

ESCHYLUS: ORISTIA



PROBY PRZEKŁADU AGAMEMNONA

Z TRYLOGII

ESCHYLOSA: ORESTEJA.

PRZEKŁAD

Lucjana Siemienińskiego.

Objaśnienie.

Eschylos stoi na czele traidków greckich; słusznie mu też nazwisko ojca tragedyi przyznają. Żył on w chwilach największego znaczenia Aten; a cały tchnąc duchem swojej ojczyzny, nietylko reprezentował ją w swoich utworach, ale obywatelskiemi zasługi przyczyniał się do jej wielkości; pola Maratonu, Salamina i Platea widziały go walczącego przeciw perskiej nawale. Używając wielkiego znaczenia, usiłował podnosić ducha Ateńczyków utworami swemi, w których bohaterstwo maratońskich czasów umiał z olbrzymią prostotą malować. Jednakże wykwintna cywilizacya biorąca górę, nie mogła już smakować w jego starożytnej prostocie; gładszy i wykończenszy Sofokl wydarł mu palmę. Najważniejszym z jego utworów jest trylogia: *Oresteja*, składająca się z trzech dramatów: *Agamemnon*, *ofiara grobowa* (*Choeforoi*) i *Eumenidy*. Treścią trylogii jest zamordowanie *Agamemnona* przez własną jego żonę *Klitemnestrę*; *Orestes*, syn *Agamemnona* i *Klitemnestry*, przyszedłszy do lat, mści się śmierci ojca i zabija matkę; za ten czyn ścigają go *Erynnie*; lecz *Alhene* uwalnia go od winy, a *Erynniom* zapewnia wieczną cześć w *Attyce*. Utwór ten osnuł *Eschylos* na mitycznym podaniu o *Oreście*, które się łączyło z historycznemi powieściami o *Pelopidach*; lubo z drugiej strony gotowy materiał do *Oresteji* mógł znaleźć w *Homerze* (*Odyssea*), gdzie cały ten wypadek tak jest dobitnie skreślony, iż niektórzy

objaśniacze epicznego cyklu przypuszczają, że do epicznych płodów Homera, mogła i Oresteja należeć. Opuszczam cały mityczno-historyczny wywód nieszczęść domu Atrydów, jako pospolicij znajomy; a głównie zwracam uwagę na niniejszy utwór Eschyła, w którym tenże traik olbrzymiami rysami rzucił pomysły swoje o porządku niebieskim i o władzy jego nad światem. Uderzającym jest to, co powiada, iż łańcuch nieszczęścia ciągnie się z ręki do ręki i staje się prawie dziedzicznym, ponieważ ludzie, którzy powinni być narzędziem pomsty boskiej, w ślepym szale namiętności gwałcą świętą powinność, a tém samém nowe ściągają na siebie kary, dopóki nie stanie się zadość wszystkim wymaganiom sprawiedliwości; a z tego twierdzenia wychodząc, usiłuje szorstkie przeciwieństwa natury i moralności pojednać, pokazując zakończenie walki starych bogów z nowymi. Z tego pojmovania stosunków nadziemskich, widoczném jest, że Eschylos wyobraził sobie fatum nie ogołoczone z moralnej prawdy. Przeciwnie niepodległość woli i moralne działanie wyraźnie uznaje, kiedy twierdzi, iż człowiek ściąga na siebie nieszczęście, przekraczając granice przepisanego sobie prawa. Te właśnie miejsca tak w objaśnieniu starożytności ważne, znajdują czytelnicy w ustępach przytoczonych poniżej. Ażebym zaś początek mego przekładu wydał się mniej oderwanym, daję tu treść Agamemnena. Zamordowanie tego króla przez małżonkę jego Klitemnestrę, stanowi osnowę tragedyi. Osoba Agamemnona nakazuje poszanę; a jednak ściągnął on na dom swój cierpiący, na stare rany okropne przeznaczenie, przez to, iż dogadzając wojennej pysze, poświęcił w wyprawie na Ilion życie tylu ludzi, a nawet i życie własnej córki, Ifigenii. Klitemnestra występuje w charakterze dumnej niewiasty, mającej w sobie bardziej pierwiastek męzki niż kobiecy. Miłość dla dzieci i męża, zgwałciła w samym źródle, w niebytności małżonka płodząc bezwstydy z Egistem, który ze swjej strony także knuł zemstę za morderstwo, jakie Atryd na jego ojcu Thyescie popełnił. Klitemnestra z najzimniejszą krwią i rozmysłem zabija wracającego zpod Troi małżonka wraz z branką Kassandrą, i czyn swój ogłasza z całą bezczelnością zgromadzeniu starców, których chór przedstawi. Na usprawiedliwienie się, ma śmierć Ifigenii, miłostki Agamemnona pod Troją i ducha zemsty swego domu; uwaga ta łagodzi cokolwiek tę niepotrzebną zbrodnię, która w oczach widzów nie byłaby niczém usprawiedliwioną.

Co zaś do próby dołączonego tłumaczenia tyle mogę powiedzieć, że trudności samej teksty, język zawily, przytém konieczność zbliżenia się do pierwotworu spowodowały mię do przekładu prozą, tém bar-

dziej, gdy mi na myśl przyszła uwaga, tak głęboko rozsądna Göthego: „Jak rytm tak i rym považam wielce, przez niego bowiem poezya staje się dopiero poezya; lecz właściwie głębokiem, mającém gruntowną wartość, oświecającém i kształcącém jest tylko to, co pozostanie z poety, jeżeli go przetłumaczym na prozę.” (Dichtung und Wahrheit. Część III, str. 73).

Agamemnon.

(Zamek królewski w Argos. Widok na morze, góry i miasto. Na płaskim dachu skrzydła pałacowego strażnik wstaje z posłania).

Strażnik.

Błagam was bogowie zwolnijcie mię z tój pracy, z tój długiej, wieloletniej straży, którą odprawiam, by czujny pies, na szczytach zamku Atrydów! Poznałem się już z całą czeredą gwiazd nocnych: wiem, które ludziom lato, które zimę przynoszą; widuję tych promienistych królów, jak na wyiskrzoném sklepieniu wschodzą i zachodzą co doba. A czyż i teraz nie wyteżam ocz za onym znakiem płomiennym, co ma zaświtać wieścią o zdobyciu Troi? Pani moja, z mężkiem i pełnem nadziei sercem taki mi dała rozkaz. Znużon czuwaniem padnę niekiedy na garść słomy zwilżonej nocną rosą, sen niemniej odemnie ucieka; miasto niego obawa mię dręczy, abym nieszczęściem nie zmrużył powiek. Czasem chcę sobie co zaucić, lub zagwizdać dla ulgi w strażniczym czuwaniu; i wnet gorzko się rozplacę nad niedolą tego domu podupadłego w swój dawniej świetności. Niechże już raz koniec przyjdzie tym trudom! niechże już raz wystrzeli płomienny zwiastun! (*plomień wybucha*).

Witaj mi nocna luno! Zwiastujesz nam dzień jasny, i w całym Argos budzisz płąsy dziękczynne za odniesione zwycięztwo! Hu! ha! (*zbiega na scenę*).

Polecę z krzykiem do małżonki Agamemnona; niech co tchu łoże porzuca; niechaj ściany zamkowe hymnem wesela pozdrowią tę lunę: Troja już wzięta, świadkiem stos gorejący! Oj na godowych płasach będę rej wodził; przecież szczęścia moich panów jam sprawcą, jam dopatrzył tę potrójną szóstkę, która im padła w grze losu! Obym przynajmniej drogą prawicę wracającego nam gospodyna tą dłonią uścisnął! Zresztą sza! złoty zamek usta mi zamyka; mury te, gdyby mówić umiały, wiele mogłyby mu powiedzieć. Kto świadom rzeczy, z tym człowiek rad gwarzy; kto nieświadom, dla tego i ja nie wiem (*odchodzi*).

(*Nadciąga chór argejskich starców*).

Chorowód.

Jużto dziesiątek lat, jak przeciwnik Priama, król Menelaos z Agamemnonem, oba niezłomni Atrydzi, których nieba pobłogosławiły podwójnie berłem i tronem, odpłynęli ztąd na wojnę pod tyśiącem żagli argejskich.

Na bój! wołali piersią ziejącą mordem, by drapieżno sępy, którym z gniazda wydarto pisklęta, a one żałośnie jęcząc, niezmordowanym skrzydłem sieką powietrze i wieszają się nad pustym gniazdem, osieroconém teraz z ich trosk ojcowskich.

Lecz z wysokości bóg jakiś, Apollon, czy Pan, czy Zews usłyszał głos rozlegającego się jęku za wydartemi pisklęty i zesłał Erynią, mającą prędzej lub później ukarać wydzierców.

Podobnie bóg szanujący gościnność, wypuścił przeciw Alexandrowi (1) Atrydów; i oto—o niewiastę, co rada zmieniała mężów, ciągną Danaje na Trojan w bój, taki nieubłagany, taki morderczy, że aż kolana zaryły się w ziemi, a kopie w drzazgi lecą walczącym na przodzie.

Niechże będzie jak jest. Ani całopalenia, ani libacye, ani lzy, nie zagaszą gniewu bóstw obrażonych za niezapaloną obiatę.

Lecz my, których zgrzybiałe członki wykluczały od wojennej wyprawy, zostaliśmy doma, podpierając dziecienniałą starość koszturem. War krwi młodocianej co pędzi do czynów skrzepnął w nas; żądza bojów w stariej piersi nie mieszka. Kogo starość przygniecie, komu jesień zwarzy liście, musi pełzać o trójgu nóg, słaby, by naj-słabsze dziecko; istna mara ponocna na pełnym dniu.

(*Orszak dziewic służebnych wychodzi z zamkowych podwoi, niosąc czasze i dzbany i otacza dokola oltarze; królowa Klitemnestra występuje w swoim orszaku, i zabiera się do spełnienia ofary. Chorowód mówi następne słowa*):

Ależ królowo, córo Tyndora, Klitemnestro, mów co się stało? jakie doszły cię wieści? na czyje doniesienie rozdzielasz dary obiatne, i wszystkim bogom, obrońcom miasta niebiańskim, piekielnym, ziemskim, na każdym oltarzu dajesz żertwienny ogień zapalać?

I tam i sam płomień wystrzela wysoko ku niebu; z poświęconego dzbana nie moc zdradnych czarów, lecz kosztowna i święta podnica go oliwa. Mów mi tedy co możesz i chcesz powiedzieć;

(1) Parys.

stań się lekarką w moim kłopotcie i niepokoju: bo niepokój zdradliwie wciska się do duszy, kiedy ją widok tych ofiar rzeźwi i weseli, odstrasząc chmurną, płaczącą tęsknotę.

Chór.

Jakżebyś rad wyśpiewać szczęśliwy odjazd naszych owróźbionych witeziów. Bogowie zsyłają natchnienie, mam ufność w pieśni, że zdołam wyśpiewać te czasy wojennych zapasów, jako niegdyś dwutronni Achiwi, z sobą zgodni hetmani, przewodniczący helleńskim mołojcom, ciągnęli z oszczepem w mściwej prawicy na Troję; wtenczasło widziano, jak dwaj króle powietrzni, onym królom korabli, pojawili się w pobliżu tych zamków po stronie ręki, co dzierży kopię; byli to dwaj orłowice: jeden czarny, drugi biały. Upadłszy oba na szczyt zamkowy rozszarpywali między sobą jelita brzemiennęj zajęzycy, zmordowanęj ucieczką przed skrzydlatą pogonią.

Biada, o biada! wołajcie, lecz niech zwycięży pomyślność!

Gdy wróżbit doświadczony zmierzył okiem obu Atrydów, odgadł wnet w drapieżnych ptakach dwóch hetmanów wyprawy; więc w taki sposób wróżbę wyklada: „po długich leciech gród Priuma stanie się wojsk zdobyczą i wszystkie skarby, które król, które zbierał lud, gwałtem kiedyś zagrabi Moira. Oby tylko zawiść między bogami nie zerwała bicia uplecionego na Troję. Artemis gdzieś zapewne złości się na te skrzydlate psy swojego ojca pana, za to, że biedną macierz rozdierają wraz z małemi w żywocie. Z obrzydzeniem pogląda na tę orlą biesiadę. Biada, o biada! wołajcie; lecz niech zwycięży pomyślność!”

„Piękna bogini równie troskliwą opieką czuwa nad pomiotem groźnego lwa, jak nad koziołkiem wiszącym u piersi łani. Te orły zwiastują już pomyślność, już klęskę. Taka jest wola bogini. Wezwę ja pomocnika, wezwę Peana, aby Artemis wiatrów przeciwnych nie zsyłała Danajom, i nie żądała ofiary przeciwnęj słuszności i prawu, ofiary, z której się zrodzi waśń domowa, a przed którą on, mąż nie zdrzży. O, bo we własnóm jego gnieździe, wyleże się skryta i chytra jedza, grzejąca zemstę za śmierć dziecięcia!”

Tak brzmiała przepowiednia Kalchasa w dniu wyprawy; królewski ród wielkiego szczęścia miał doznać, ale i wielkiej niedoli.

Odtwórzcie wróżbio Kalchasa; biada o biada! wołajcie, lecz niech zwycięży pomyślność!

Zewsie! ktokolwiek Zewsem jesteś, jeśli ci miłe to miano, tedy cię wzywam niem. Przyrównać cię z niczém nie mogę, chociaż się

gubię w zaciekach: boś tylko ty jest tym bogiem, co może zdjąć ze mnie brzemię czczych domysłów i niepewności.

Ów, który pierwszy panował nad światem, ów bóg niegdyś potężny, dziś nie jest tém, czém był. Inny co po nim nastąpił, uległ również zwycięzcy; lecz kto Zewswi zabrzmi hymn pochwalny, pokój dla duszy zdobędzie!

Onto prowadzi ród ludzki drogami mądrości, on przez cierpienia naucza. Wszakże i podczas snu, serce nieraz zapłacze zgryzotą, i mimo naszej woli pada nań ziarno mądrości. Dowód to łaski potężnych bogów, siedzących u steru świata.

Podobnie i ów starszy hetman greckiej wyprawy nie wybuchnął gniewem na wróżbita, ino w żalości poddał się grożącym losom, podczas gdy wojska greckie zatopione w beczynnym spoczynku, leżąc przed Chalkisem, z wybrzeżów Aulidy patrzyły na szalejące morze.

Złe wiatry dęły od Strymonu, wiatry niosące mozolną beczynność, bezcelną żeglugę, przewłokę, a korablom i żaglom szkodę; w długięj, nużącęj zwłoce usychając młodź hellenska, marniało. Lecz wróżbit w imieniu Artemidy podał hetmanom sposób przebłagania jęj stokroć sroższy, niż najsroższa burza. Co usłyszawszy Atrydzi wbili głębokó w piasek swoje posochy i leż wstrzymać nie mogli.

Wtedy najstarszy hetman ozwał się w te słowa: biada mi jeśli nie usłucham, biada jeśli zabiję własne dziecko, klejnot domu, i na ołtarzu, w krwi córki zbrocę tę ojcowską rękę! I tak i siak równa niedola! Mamże pulków moich odbieżyć, święte zdradzić przymierze? Wszystko co żyje, woła o krew dziewiczą, mającą wiatry przebłagać. Niechże i tak będzie!

Agamemnon poddał się jarzmu konieczności; myśl zmienił, uknuł zamiar zbrodniczy, bezbożny i już się waży na wszystko. Pierwszy krok krzywy pozbawia rozumu i staje się źródłem goryczy. Na własne dziecko nie wzdryga się podnieść ręki i czemu? oto, by okupić drogą ofiarą powodzenie wyprawy mszczącęj, porwanie jednéj niewiasty!

Ani próśby, ani zaklęcia na imię rodzica, ani panienskie piękne jęj latka, nie mogły rozbroić surowej cnoty hetmańskięj. Sam odprawil modlitwę, sam przyzwał slugi i kazał jak kozłatko jakie zawnioną w rańtuchy, z opadającą główką ciągnąć na ołtarz; i jakby małó, pięknych jęj ust pilnować, aby nie wyrzuciły ostatniego przekleństwa na ród Atrydów.

Już ją związali, już szafranowa sukienka spłynęła do ziemi, a ona wzrokiem modlącym o litość spogląda wokoło na swoje opra-

wcc. Ni to posąg jaki: piękna i niema; myślałbyś, że coś przemówi do nich, jak niegdyś w świetnych komnatach ojcowskiego zamku; ale nie, świętym jest dla niej wyrok ojcowski, więc mu się poddaje z miłością.

Co dolój zaszło nie widziałem, nie powiem, dość, że Kalchasowa wróżba nie minęła się z prawdą. Z doznanych ciosów możemy odgadnąć, jakie spadną w przyszłości. Lecz czemuż głowę łamać nad przyszłością, kiedy jój wybiegać się nie można? Czemu martwić się przed czasem, kiedy co ma przyjść przyjdzie, tak pewno, jak jutrzejszy poranek. Jakikolwiek los padnie, niechże zeń wykwitnie szczęście i zbawienie dla nas, gwoli życzeń téj mocy, która dziś w Apii sama jedna włada i gospodarzy.

Chorowód i Klitemnestra.

Chorowód.

Klitemnestro! przychodzę czołem uderzyć twój potędze; czcić małżonkę królewską, kiedy tron w owdowieniu, jest powinnością poddanych. Na jakąż wieść wiarogodną, gwoli jakiegoż wesela, kazesz zapalać obiaty? Z duszy pragnąłbym wiedzieć, jednakże jeśli tak chcesz, uszanuję twoje milczenie.

Klitemnestra.

Stare mówi przysłowie: wysłanka matki nocy jutrzeńka, dobrą wróżbę zwiastuje. Nad podziw weselszą wieść ogłaszam ci: Achiwi zdobyli gród Priama!

Chorowód.

Co słyszę? słowu ulatującemu nie śmiem wierzyć.

Klitemnestra.

Grecy są panami Troi: czy jasno?

Chorowód.

Radość do głębi mnie przenika, łyż mi wyciska.

Klitemnestra.

Z ocz twoich widzę, że mówisz co czujesz.

Chorowód.

Jakto? więc masz dowody, masz pewność?

Klitemnestra.

Dowód? o bez wątpienia, chybaby ów bóg mię oszukał.

Chorowód.

Może dajesz się mamieć jakim samém widziadłem?

Klitemnestra.

Nigdy nie wierzyłabym rozmarzonym zmysłom.

Chorowód.

Więc na płonnej pogłosce budujesz swą radość?

Klitemnestra.

Czymto ja łatwowierne dziecko?

Chorowód.

Od kiedyż miasto zdobyte?

Klitemnestra.

Tój samój nocy, co zrodziła dzisiejszy dzień.

Chorowód.

Jakież goniec mógł się tak prędko uwinąć?

Klitemnestra.

Hefestos ze szczytu Idy przysłał mi jasny swój znak. Od stosu do stosu posłannik ognisty biegł z wieścią. Z Idy skoczył do przylądku Hermesa na Lemnie, z Lemnos w trzecim skoku dostał się na górę Zewsową, na Atos. A ztamtąd szeroko, daleko, rozlał się wędrowny blask, i ryby z głębin wywabił na grzbiety fal; gorejąca sosna podobna słońcu, podaje swoje światło strażnikowi na wzgórzach Makistu. Z wieży chwyta je czujne oko, i w mgnieniu wyprawia dalej, ostrzegając stróżów pilnujących na Messapie, kędy płynie Eurypas. Ci wnet odpowiadają, posyłając wieść pożarem, ze stosu traw wysuszonych. Jarki ogień wciąż podsypany rozlewa się po równinie Axopu, by jasne światło miesięczne, aż po szczyt skały Kiteronu, i następnym znowu przekazuje swoje poselstwo. Stróże dojrawszy to hasło, stos swój zażegli, który wystrzela jaśniej i wyżej niż na innych miejscach, rzucając odblask za jezioro Gorgopis; a napotkawszy górę Egiplanktos, nie zatrzymuje się, ino dalej światłe pasmo rozacza; w okamgnieniu puszcza strażnicy kłęb płomieni, który niezmiernym ogonem sięga dalej niż wybrzeża zatoki Saronińskiej, i dostaje się na szczyt Arachnajonu, widny z naszego miasta. Ztamtąd już zamek Atrydów powitał to światło, którego dalekim pradziadem był stos zapalony na Idzie. Otóż w ten sposób urządziłam te ogniste posłańce; płomień szybko zapalał się po płomieniu; zwycięzcą więc w tej gonitwie jest pierwszy stos, co dał hasło, i ostatni, co je dopatrzył. Macie tedy wieść niemylną, którą mi z Troi małżonek przysyła.

Chorowód.

O królowo! natychmiast podziękujemy bogom, lecz gorąco pragnąłbym raz jeszcze słyszeć, podziwiać każde two słowo; chciój więc powtórzyć.

Klitemnestra.

W téj chwili Grecy panami Ilionu! Zgiełkiem i wrzawą rozlega się gdzieś całe miasto. Bo kiedy nalejesz w to samo naczynie octu i oliwy, ujrzysz, jak się oddziela i nigdy nie miesza; podobnie inny tam krzyk zwycięzców, a inny zwyciężonych: wymowny świadek różnicy ich losu. Tutaj pochyleni nad ciałami zabitych mężów i braci, a nad siwemi ojcami dzieci, nigdy już wolną piersią doli swych powinnyich oplakiwać nie będą. Owdzie po trudach naszej bitwy, żgani głodem, zwycięzcy włóczą się ulicami, chwytając gdzie co popadną. Wszędzie nieład, nikt nie pilnuje porządku szeregów, ani starszeństwa, tylko każdy jak chce rozkłada się po zdobytych teremach trojańskich, zamieniając polne obozowiska i zimne rosy na wygodną strzechę. Szczęśliwi! całą noc mogą przespać wygodnie, nie potrzebując strażników. Jeżeli szanują bogów zwyciężonego grodu, jeśli niezbzezesczą ołtarzy, wtedy zwycięzcy nie legną pod własnym zwycięstwem. Byle łakomstwo nie wzięło góry nad wojskiem, byle nad potrzebę nie biegło na grabież; bo przecież do szczęśliwego powrotu w domowe progi, taką samą przestrzeń mają do przebycia, jaką przebyli. Jeżeli zaś wrócą gniewem bóstw obciążeni, ocknie się natychmiast krew tylu pomordowanych i zemstę wywoła, chociażby nową zbrodnią nie dali do niej powodu. Słyszałeś czego pragnę, słyszałeś z ust moich, z ust kobiety! Oby łaskawe nieba obdarzyły ich szczęściem bez skazy; drogiemi ofiarami oplacam tę prośbę!

Chorowód.

O pani! mówisz jak mąż rozumny. Wiadomość jest pewną, wątpić o niej nie mogę; więc bogom zawiodę pieśń dziękczynną. Wysoka nagroda uwieńczyła tyle, a tyle trudów!

(Klitemnestra odchodzi).

Wszechwładny Zewsie i ty przyjazna nocy, dawczyni świetnej sławy, coś gród Ilionu opasała wkoło łowczemi sieciami, że nikt nie uszedł czyto wielki, czy mały, sidłom niewoli; bo wszystkich w czambuł zagarnęło nieszczęście. Ciebie gościnnie Zewsie, ciebie ubóstwiam żeś ukarał Pryamowego syna. Długo trzymałeś napięty weń łuk zemsty nie chcąc ani zaweznać, ani w błękitne powietrze daremnej strzalać wypuścić!

Chór.

Poznali Trojanie jakto Zews strzela; poznali z doświadczenia, że joka drogo, taki i cel! Bogowie nie lubią trudnić się ludźmi, co najświętsze ustawy nogami deptać. Mówić o tém, bluźnierstwo: dowód na tych szaleńcach, co nabytą gwałtami i rozbojem bogatą puściznę przekazują wnukom, która ich upaja szalem zbrodni. Stan ubożuchny z czystém sumieniem, dość dla mnie! Bogactwo nie zdoła obronić człowieka, co w przesycie szczęścia, zuchwałą nogą obala sprawiedliwości ołtarze.

Czarowny język zbrodni odurza dzieci występku, i muszą płacić za wykroczenia ojców. Nie ma ratunku. Jak nie gaśnie ogień ciągle niczony, tak przewinienie wciąż się żarzy. Jak miedź podłej wartości z rąk do rąk przechodząc traci swój połysk, tak i człowieko ocenia. Ptak ulatuje goniony przez chłopię, a zmaza na miasto pada. Żaden bóg odtąd nie słucha jego modłów, tylko przestępcę wyrzuca z liczby żyjących.

Podobnie Parys przyjęty w dom Atrydów zbecześcił gościnny stół porywając cudzą małżonkę, która rodzinnym brzegom zostawia po sobie: szcęk oręży, puklerzy, zbrojenie korabli, a Ilionowi niesie w posagu—zugładę. Uciekła bramami Argos, waząc się na wszystko, a za nią domowi wróżbici żalosne podnieśli jęki: biada temu domowi! biada ci rodzie królewski! biada ci małżeńska łóżnico, świadku bezwstydnój ucieczki! A on na to w milczącej zniewadze, bez gniewu, bez skargi, marzy o porwanój i w utęsknieniu zda mu się, że jój cień śłania się po domu; cudnie rzezane posągi wstrętne jego oczom, bo z utratą jój spojrzeń od wszystkiego mu serce odpadło!

We śnie, żalem wywołane obsiadają go zwodniczo i urocze widziadła; zwodnicze, bo w chwili kiedy je myśli schwycić, z rąk mu się wymykają rączemi skrzydły i giną w sennój otchłani. Takieto smutki ciążyły nad domem królewskim, ale i większe nań przysły. Ci bowiem, co z greckich ziem zaciągnęli się pod znaki, pozostawili w domu tęsknotę bezustanną i tyle serc zakrwawionych. Pamiętne nam imiona owych co tam poszli; za to z powrotem w domowe progi, miasto niejednego męża, ujrzym ryszczunek jego lub popioły.

Ares, który trupy mienia na złoto, który w bitwach krwawą trzyma wagę, odsyła z Troi wyglądającym krewnym nędzną puściznę po poległym, wzorzystą popielnicę z garścią pyłu. Gorzko za nim zawodzą, wychwalając już cnoty wojennego witezia, już, że ślicznie zginął, bijąc się za cudzą żonę! Tak ludzie przebakują w cichości, i głucha nienawiść owłada sercami ku Atrydom, sprawcom tej wojny.

Tymczasem kto głową nałożył spoczywa sobie pod murami, w trojańskiej mogile, przysypan ziemią nieprzyjazną.

Głos ludu wrzący niechęcią srogiem jest brzemieniem; przekleństwami płaci on haracz powinny. Tajemne przeczucie ostrzega mię, że się coś złego knuje w ciemnościach. Kto tylko w krwi broczył, nie ujdzie śledczego oka bogów, i czarne Erynnie przyjdą dręczyć człowieka szczęśliwego z krzywdą sprawiedliwości: siły jego nikną powoli i już go nie ma! Nawet i bogactwo sławy ciąży na życiu, bo wtedy najczęściej uderza piorun zawistnym pociskiem! Wolę szczęśliwość nie wzbudzającą zazdrości; nie chcę grodów burzyć, ale też i w rękę wroga jeńcem być nie chcę!

Gończy ogień prędko rozniósł wiadomość po naszym mieście. Lecz czy to prawda, któż zgadnie? Tylko bogowie prawdy świadomi. Znajdą się łatwowierni i ślepi, których radością zapali ta wieść co gruchła, aby potem w rozpacz popadli, gdy się przeświadczą, że mylna? Niewieście tylko przystoi wprzód nim jest pewność, cieszyć się z odniesionego zwycięstwa! Lekko jak wiatr rozlecą się niewieście plotki; za to jak wiatr w nie się obróca.

Wnet okaże się, azali te gończo płomienie, te strażnicze pochodnie płonące jedne po drugich zwiastowały nam prawdę, lub czyli samemu widmu podobne, zwodniczym blaskiem omamiły mi zmysły? Widzę od brzegów morskich idącego ku nam woźnego z gałązką oliwną na skroni. Wzbijający się tuman pyłu, ten brat rodzony błota, zapowiada zdaleka, że to nie milczący posłaniec, nie płomień stosu zapalonego na górach, ani dym, jego towarzysz, ale ktoś co prostemi słowy, pomnoży nasze wesele, lub... Ale precz z złowróżbą obawą—aby rzeczywiste szczęście przeszło granicę oczekiwań. Ktoby co innego śmiał życzyć temu grodowi, niechże sam zbierze owoce niechętnych życzeń!

Woźny (χρημῆς).

O droga ziemio rodzinna! o moje Argos! Otóż po latach dziesięciu wracam do ciebie, wprowadzie nie jedną nadzieją uboższy, lecz zato jedną bogaty! Czyż spodziewałem się kiedy, że w Argos, na tój ziemi kochanej, znajdę wieczny spoczynek mym kościom? Witajże kraju mój! witaj światło słoneczne! i ty strózu tój ziemi Zewsie, i ty władco pityjski, z nieprzyjaznego łuku już strzał ku nam nie miotasz.... Długoś też był przeciwny nad brzegiem Skamandru, bądźże nam znowu pomocą, i bitew towarzyszem! I was bóstwa, opiekuny bojów, was także przyzywam; i ciebie niemniej, obrońco mój, Hermesie, czoło heroldów! I was nakoniec heroje, przewodnicy w po-

dróży, przyjmijcie dobrotliwie wracającą garstkę, oszczędzoną żelazem wrogów!

Oh! to zamek panów moich, drogie gniazdo! Bogowie jaśniejący w promieniach słonecznych, jeżeli kiedykolwiek, to teraz pogodnym obliczem powitajcie króla mojego, po tak długim odejździe. Agamemnon już wraca, wam i wszystkim światło niesie po długiej nocy. Przyjmijcie go uroczysto, jak zasługuje ten, co Zewsovą motyką Troję zburzył, porawszy wszérz i wdłuż ziemię niewiernych. Znikły bogów świątynie i ołtarze; zbożne łąny zbite do szczytu. Takieto jarzmo wbił na karki miastu Pryama wielki nasz Atryd, witez niezłomny, godzien najwyższej cześci od wszystkich co żyją. Zaiste Parys i współwinowajcze miasto nie pochełpią się, że ich zbrodnia większą była od kary; ów porywca i gwałcieciel nie utrzymał swojej zdołbyczy, a starożytny szcep królewski on sam pomógł wyrócić! Takto za grzech dwojaki odpokutowali Pryamidził!

Chorowód.

Heroldzie Achiroów, cześć ci! witaj z powrotem.

Woźny.

Co mi cześć! umrzeć—więcej niczego nie pragnę.

Chorowód.

Więc dojmowała ci tęsknota za ojczyzną?

Woźny.

Czyż nie widzicie, że powrót ły mi wyciska?

Chorowód.

Dzieliłeś zatem tę słodką boleść?

Woźny.

Jakto? mów jaśniej, a zrozumiem to słowo.

Chorowód.

Nieprawdaż? za temi, którzy was tu kochali paliła tęsknota.

Woźny.

Czyż kraj równie wyglądał nas, jak my wyglądaliśmy kraju?

Chorowód.

Ściśnione serce niedarmo wzdychało za wami.

Woźny.

Zkądżcz ponury ten smutek i w was i wojsku?

Chorowód.

Oddawna milczenie jest mi lekarstwem w niedoli.

Woźny.

Ztémwszystkiém skończyło się pięknie! Zapewne rzeczce kto, że w tak długim lat przeciagu, to i owo udało się, to i owo musiało chybić. Któż? jeżeli nie sami bogowie przez cały ciąg żywota wolni być mogą od zgryzot? Gdybym tylko chciał nasze trudy opowiedzieć: nużące czaty, chuda strawa, zła leża, a każdą dnia chwilę wydzieraj żywiolom i oplakuj. Złe było na morzu, na lądzie jeszcze gorzej: pod murami nieprzyjacielskiego grodu stanęliśmy taborem, z góry moczyły nas zimne deszcze, z dołu wilgoć dokuczwała błotna, odzież gniła, a włos splatał się w koltuny. A któż policzy owe zimy, te nieprzyjaciółki ptastwa, srogie naspami śniegów na Idzie? owe upały, gdy o południu morze bezfałne układało się martwym snem? — puste skargi. Złe już minęło, minęło i dla tych nawet, co w boju legli, co pewnie nie pragną powstać z umarłych. Rozpowiadać zatém o nich mnie, żyjącemu, odnawiać rany przebolełego serca, nie przyda się na nic; odepchnę raczej gorycze wspomnień! Albowiem przy nas, przy tój resztkie ocalonego argiejskiego wojska wygrana została, przeważająca wszystkie cierpienia. Toż w obliczu dzisiejszego słońca słusznie pochelpi się każdy, kto skrzydłem sławy lądy i morze przeleciał: *Wojsko Danajów zdobyło gród Ilionu, a łupy, te świetne niegdyś godła zawiesiło w chramach Hellady, bogom na cześć!* Słyszac to każdy zmuszon jest wielbić i naród ten i jego hetmanów, a nadcwzysztko czołem bić Zewsowi, który sprawił te dziwy. Nie mam co więćj powiedzieć.

Chorowód.

Teraz nie waham się uwierzyć twojemu słowu; starość zawsze będzie młodą, kiedy się ma czego nauczyć. Tak dla domu jak i dla Klitemnestry nieocenione to wieści; we mnie samym budzą tyle otuchy.

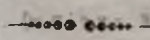
Klitemnestra.

Nie posiadam się z radości odkąd nocny strażnik moich ognistych gońców przybył z najpiérwszą wieścią o wzięciu i upadku Troi; wprawdzie niejedyn mówił szyderczo; ułasz płomiennym blaskom i wierzysz, że Ilion zburzony? Niewieścia to rzecz, serce częzą baśnią nadymać! W takiém rozumieniu mogłam się wydać szaloną; a jednak rozkazałam czynić obiaty. Posłuszne moim rozkazom niewieścim, tu i owdzie zabrzmiały święte pieśni, tu i owdzie obstępiono ołtarze zażegnione płomiennem z wonnych kadzideł. Czyż mi potrzeba więkšej pewności? Gospodyn mój niebawem przybędzie i sam mi wzsztko opowie. Śpieszę więc godnie przyjąć dostojnego małżonku.

O! bo cóż pożądaniejszego dla żony jak dożyć tego dnia, w którymby mężowi swemu wracającemu szczęśliwie z wyprawy, wrota otworzyć mogła? Zanieś mu odemnie tylko to, niech spiesznie wraca do stęsknionego miasta, gdzie znajdzie wierną małżonkę, taką, jak ją odjechał, domu pilną strażniczkę, przywiązaną doń, jego wrogom nienawistną, zgoła we wszystkiém jak dawniej była. Przez tyle a tyle lat nie naruszyła pieczęci obowiązku; a wszelka rozkosz, toż wszelka zmaza na mojem imieniu, tak mi jest obca, jak sztuka barwienia miedzi.

Woźny.

Jeśli w tém samochwalstwie tkwi istotna prawda, tedy mowa taka przystoi szlachetnej matronie. (*Klitemnestra odchodzi*).



W tym miejscu znajduje się fragment tekstu, który jest częściowo niewidoczny i trudny do odczytania. Wykazuje on fragmenty słów i wyrazów, które mogą być związane z poprzednim tekstem lub stanowią osobny fragment. Widać fragmenty takich słów jak: "W tym miejscu", "niech spiesznie", "matronie", "Klitemnestra", "odchodzi".

(1) Cyprius von Lauen: Reisen durch Ostsch. Halle, 1782, p. 314. (2) ar. 17. Handbuch der Geographie von Ostsch. 1876. Wittenberg. (3) Handbuch d. Geogr. Leipzig 1782, 1. Bd., pag. 314.

O CZYTANIU RUNÓW SŁOWIAŃSKICH.

NAPISAE

Jozeſz Lefkhoruſki.

(Z ryciną).

Runy mają zwykle za pismo używane w czasach przedchrześcijańskich przez ludy północne, Duńczyków i Szwedów, i że od tych przeszło do południowych. Są, którzy mniemają, że runy powstały z uproszczenia kształtu głosek łacińskich, i długo po Chrystusie w użyciu były, co ma dowodzić kamień runami opisany z datą 1409 (1). To pewna, że runy sięgają przed-Ulfilasowskich czasów, to jest istniały już przed wiekiem IVtym po Chr.; gdy Ulfilas biskup Gotów, przekształcił alfabet łaciński na gocki. Są runy: słowiańskie, germańskie czyli markomańskie, normandzkie, anglosaskie, helsyngskie; pruskich nie odczytano. Mniemają, iż nazwa runów pochodzi od staro-niemieckiego słowa *rauen*, *all-rauen*, co znaczy: mówić tajemnie. Nie zbywa nam na słowiańskich tego rodzaju pomnikach; mamy wiele, bardzo wiele odczytanych, lub nieodczytanych tajemniczych napisów. Kantaczyc napis na złotej blasze, wykopanej w Wiedniu, czyta po słowiańsku. W ziemi siedmiogrodzkiej wykopano misy złote, napisami okryte. W Petau w Styryi południowej, znaleziono hełmy, znane pod nazwiskiem styryjskich. W Bambergu, Kollar znalazł

(1) *Carls von Linne: Reisen durch Oeland*. Halle, 1764, p. 244, tabl. 2, nr. 17. *Manductio ad runographiam scandi*. Upsal, 1675. *Heiden-Begräbnisse v. Arnkiel*. Hamburg 1702, 4 llb., pag. 314.

RUNY SLAWIAŃSKIE

	<i>Mascha. Zelmeta, Potockiego</i>	<i>Kochanowski z Helmon i Kollara</i>	<i>Wucharski z Torunskiej Chrześcielnej</i>	<i>Tudewicz z Molanowskiego</i>	<i>Germaniska</i>
a	AT	AA R ^(a)	ARAN	AT ^(a) AN ^(a)	FAF
b	FTLX	/// III	66	□	BE
c	└ ^(k)	└ ^(cx)		└ ^(k) └ ^(cx)	└ ^(k)
d	DPXD	Δ	DN	DPX	ΔΔ
e	XJJEJ	JJJ	JJ	EJ.K	M
f	Y	Y	F ^(f) F		Y ^(f)
g	YV		ΓΓ	Γ ^(g)	X ^(g) X
h	X*Y				NX
i	IJ	I	ISO	VIJ ⁽ⁱ⁾	I
k	└ ^(k) └ ^(cx)	X		Z	X)(Φ
l	NJ	II	BTBT	ALI	Iλ
m	Y ^(m) Φ ^(m)	M	dδ	W	ΔΔ
n	h	Y	RR	W ⁽ⁿ⁾	Y ⁽ⁿ⁾ X
o	FTΔ	Δ ^(oy)	OO	◊◊	Y ^(o) Y ^(o)
p	ΠNM	Φ	ΠΠ	ΓΓJ ^(p)	X ^(p) Y ^(p)
q					Y ^(q) h
r	RR	O	PP	▷ ^(r)	R ^(r) R
s	IN ^(s)	ΣΣ	S ^(s) AN	~Σ ^(s)	Y ^(s) I
t	└ ^(t) └ ^(k)	↑	Γ ^(t) Γ ^(k) Γ ^(t) Γ ^(k)	└ ^(t) └ ^(k)	└ ^(t) └ ^(k)
u	XJY ^(u)		V ^(u) V ^(u)	V ^(u) L ^(u)	
w	Π ^(w)	Y	B ^(w) V ^(w) B ^(w)	Y ^(w)	
x	ΦΦ ^(x)				
y			X ^(y) X ^(y)		Y ^(y) Ma
z	Φ ^(z)	Φ	Σ ^(z) Σ ^(z)	Y ^(z) Y ^(z)	Y ^(z) W

Napis z kamienia wykopanego w Lublinie 1847r.
 (Y K A F T I, Δ Γ (O H E Λ X N A C Y T.
Napis na domu N° 16 w Lublinie.
 Y I S E Z S A S * M

Czarnoboga. W Toruniu chrzcielnicę i odrzwia kościelne, tajemnicze okrywają napisy. Wreszcie bożyszczą Obotrytów z re-trejskiej bożnicy, znalezione nad jeziorem Tolenca, mnóstwo mają napisów. Nakoniec Wolański Tadeusz w badaniach swoich odczytuje i przywłaszcza Słowianom kamienie i bożyszczą w Crecchio, Capui, Anzi, Lecce, Lizie, na ziemi włoskiej i w Sardynii odkryte.

Aby dać wyobrażenie jak część grafiki, o odczytach runów traktująca, mało jest obrobioną, i prawie wcale dotąd krytyce u nas nie uległa; podam tu wiadomości o odczytach wspomnianych zabytków.

Runy słowiańskie znane z powieści Dytmara o napisach na posągach, ile mi wiadomo, dopiero w roku 1771 jawnie się nam pierwszy raz ukazały. Tego bowiem roku, panom: Sempels i Sponholz dostały się tak zwane *obotryckie* starożytności, lub *prylwickie bałwanki* znalezione w Meklemburgu-Szwerynie, nad jeziorem Tolenca, we wsi Prilwitz, w miejscu, gdzie stała pogańska Retry świątynia. Andrzej Gotlib Masch, wspólnie z Danielem Wogen opisali i wydali w Berlinie, 1771 roku te 65 zabytków, pod tytułem: *Die gottesdienstliche Alterthümer der Obotriten aus dem Tempel zu Rhetra am Tollenzer See*, i w dopełnieniu powyższego dzieła, wydaném 1774 roku w Szwerynie: *Beyträge zur Erläuterung der Obotritischen Alterthümer, von A. G. Masch*. Odkrycie bożyszczy prylwickich wedle Mascha, nastąpiło między 1687 a 1697 rokiem; winniśmy je pastorowi Fryderykowi Sponholz, który posągi te szczelnie w skrzyniach zamknięte, znalazł zakopane w swoim ogrodzie. Po śmierci pastora, żona jego znaczną część zabytków tych pozbyła na materiał do dzwonu, który w Neubrandeburgu podówczas lano; reszta, jako własność familijna, w roku 1771 znajdowała się w rękach rodziny Sponholz w części, a w części sprzedaną została doktorowi Sempels i panu Masch. 65 bałwanków w rękach ostatniego będących, tenże, jakośmy widzieli, opisał i z rycinami wydał; pozostałe zaś 118, zostające w zbiorze pana Sponholz w Neubrandeburgu, w rycinach wystawił, opisał i odczytał nasz Jan hr. Potocki w swoim wielkiej dziś rzadkości i wartości dziele, wydaném w Hamburgu, 1795, pod tytułem: *Voyage dans quelques parties de la Basse Saxe fait en 1794. par Jean Comte Potocki*, w 4ce, z rycinami, na 31 tablicach.

Między badaniami nad zabytkami pogańskiej starożytności, pryłwickie bałwanki najwięcej ze wszystkich krytycznym szczycą się opisem i odczytem; z powodu, iż przed Maschem i Potockim (1) i po nich, długo były przedmiotem pilnych badań i uczonej polemiki. Byli nawet tacy, co usilnie przeczyli autentyczności tych zabytków (2). Dziś jednak już nikt nie wątpi, iż w sprawie téj nie ma fałszu; dość bowiem zważyć, iż bałwanki te odkryto w czasie, gdy jeszcze nie umiano dość cenić podobnych nabytków, albowiem stało się to przy końcu XVIIgo wieku; nadto odkryli je Niemcy, a wbrew swojemu zwyczajowi, za słowiańskie bożyszcza uznali: nie było więc najmniejszego powodu do fałszerstwa. Masch odczytywał napisy runiczne na bałwankach wedle alfabetów Clüvera i Westphala. Potocki w wspomnioném dziele swójem poszedł za odczytem Mascha, i przyjętym przez niego kluczem odczytuje pozostałe wyobrażone w jego dziele napisy, zostawiając niektóre z nich nieodczytane. Potocki nie odczytał tych napisów, gdzie głoski nie są umieszczone w szeregach, ale rozrzucone po całej postaci naczynia lub bałwanka; te napisy nazywa on charakterem magicznym, niby świętym, przez kapłanów używanym. Możebym się i zgodził z tém mniemaniem, bo widzimy u ludów starożytnych zawsze dwa pisma: jedno do rzeczy świętych, drugie do użytku zwykłego, jak to było w Egipcie, u Indyan i t. d.

W nowszych już czasach, bo długo po odkryciu i opisanu bałwanków pryłwickich, L. wskrzesił na nowo badania o tym przedmiocie, i w roku 1822, w wydanej Wilnie broszurze: *Nauki dające poznać źródła historyczne*, podał w rysunku 20 ciekawszych bałwanków i naczyń. Później w Iszym tomie ważnego dzieła: *Polska wieków średnich*. Poznań, 1846 roku, podał znów L. rysunki niektórych bałwanków, i uczoną rozprawę o czci bałwochwalczej Słowian i Polski. W rozprawie téj, jak to widzę, wedle Potockiego i Mascha alfabetu czyta L. napisy, stwierdza ich autentyczność zapiskami kronikarzy, filologicznemi uwa-

(1) W ówczesnych piśmach peryodycznych rozpoczęła się najpierw naukowa polemika, jako w *Altonischer Mercurius*, roku 1768, ur. 34, 44; *Rostocksche Wochenblatt Gemeinnützige Aufsätze*, 1769 roku, nr. 12, 16, 17, 21, 23, 42, 43; 1770 roku, nr. 18; w *Nützliche Beiträge zu den Intelligenzen*. Neustrelitz, 1768 roku, nr. 21, 23.

(2) Lewezów w piśmie: *Abhandlungen der Königlichen Akademie der Wissenschaften zu Berlin*, roku 1836. Nr. 146 do 386, arty. pod tytułem: *Über die Echtheit der obotritischen Runen-denkmäler zu Neustrelitz*.

gami i podaniami miejscowego ludu. Na dołączonej tu tabliczce załączam ułożony przezemnie runiczny alfabet, wedle powyższych trzech odczytywaczy pryłwickich napisów.

Pokusił się też L. i o odczytanie owych napisów, których Potocki nie czyta, ale je magicznemi zwie; ta jednak praca niezadowolająco się udała. Cóż bowiem za korzyść z następnego np. odczytu napisu (na bożku rysowanym u Potockiego pod lic. 6, u L. lic. 22) *bim. ir. is. acz. iacz. balaine. racz. racz. gim. ia. racz. sitis?* w którémto przeczytaniu nawet sam uczony odczytywacz sensu znaleźć nie może.

Podawszy króciuchną wiadomość o najważniejszym i autentycznym zabytku słowiańskiego runicznego pisma na bożkach pryłwickich; powiemy teraz nieco o pracach poświęconego przez lat 30 temu zawodowi, p. Tadeusza z Wolań Wolańskiego, zamieszkałego w księstwie Poznańskim w Rybitwach pod Pakością. Nie można zaprzeczyć temu mężowi czei, jeżeli przypatrzwszy się dobrze ogromowi tyloletnich jego mozolnych badań, ocenimy jego pracowitość, naukę i wytrwałość; ale też, zdaniem mojem, nie należy zawierzać wszystkiemu co p. Wolański napisał, ani też uważać jego odczytów za dokonane. P. Wolański według mego widzenia rzeczy, należy do liczby tych szanownych ludzi, co usiłując dowieść jakiejś nowej, noszonej w swęj duszy myśli, długiem nad wyszukiwaniem dowodów ślęceniem, tak się sami zexaltują, iż w końcu uwierzą w to, co jest tylko utworzoną przez nich hipotezą; a wreszcie, nie kładąc dowodów, każą i drugim wierzyć. P. Wolański uwierzył, iż istnienie Słowian jako narodu zamieszkującego Europę, jest stare jak świat; a oparty na tęg myśli, najdawniejsze europejskie pomniki Słowianom przyznaje. Można się o tęg przekonać przejrzawszy jego prace (1), gdzie dowodzi: rzeczywistości istnienia Leszków i Popielów, których medale przytacza. Rozbiera rozprawy tęczące się czei Swiatowida, Nii, Dzedzilii, Tura i wedle swych odczytów, amuletów duńskich nowe nam o nich prawi rzeczy. W ogłoszonym w jego pismach liście do Ces. Ros. Akad. Nauk, stara się dowieść, iż złoto bra-

(1) *Tadeusza Wolańskiego odkrycie najdawniejszych pomników narodu polskiego.* W Poznaniu u Stefańskiego, 1843 r., 4ka, z tablicami. *Tadeusza Wolańskiego listy o starożytnościach słowiańskich.* Gniezno u E. Günthera, w 4ce, z 143 rycinami.

Schrift-denkmäle der Slaven vor Christi Geburt, von T. Wolański. Gnesen. Verlag J. B. Lauge, 1850 r. 4ka z 14 rycinami.

kteaty i numizmata przez Thomsona dyrek. król. duń. numizmatycznego gabinetu ogłoszone, są monetami z IX, X i XI wieku po Chr. bite, za panowania Ruryka, Igora, Swiatosława Igorowicza i Włodzimierza I. W listach do T. Narbutta dowodzi: że przytoczone w jego Historji Litwy pieniążki i pieczętki inaczej determinować należy; obszernie rozbiera źródła z kąd można mieć prawdziwe wyobrażenie przedstawionj u Narbutta (Tabl. VI) chorągwi Wejdeduwutowskiěj; przekłada, iż brakteaty w dziełach Bircheroda, Arnkiela i Suhma opisane, a w skarbcu numizmatycznym duńskim zachowane, są medalami Miecysława I, Bolesława Chrobrego i t. d; wreszcie okazuje monety litewskie na 50 lat przed Chry. bite. W liście do król. duńskiego towarzystwa archeologicznego w Kopenhadze, mniema, iż jasno okazał z przytoczonych przez niego rysowanych zabytków, iż w świątyni Retry była cześć Chrystusa. Wreszcie determinuje mnóstwo monet, amuletów i brakteatów, na których jak najpłynniej odczytuje wszystko to, co mu do okazania przyjetj myśli ogólnej, potrzebnem się wydaje. Nakoniec w świeżo po niemiecku, w Gnieźnie wydanych badaniach, zaczynając od dewizy: „Fuimus Troes” nie dowodzi, ale twierdzi z pewnością, iż w odległych przed Chrystusem czasach ludy słowiańskie zamieszkiwały cały starożytny świat, i zostawiły po sobie pomniki. Na dołączonych tablicach przedstawia Wolański 13 różnego charakteru niby greckich i na zabytkach znajdujących we Włoszech runicznych napisów; takowe płynnie czyta; nie odwołując się na żadne dzieła i powagi, wcale innym jak dotąd sposobem fakta dziejów przedstawia; nie zniza się wcale do zbijania przez cały uczone świat uznanych twierdzeń, ale jakby z trójnoga wyrokuje. Weźmy np. przedstawiony na tabl. I napis na kamieniu, znaleziony r. 1846 w grobie w Crecchio, przez Teodora Mommsena w dziele: „*Die unteritalienischen Dialecte*” opisany. By dać wyobrażenie jakiego rodzaju są badania Wolańskiego, przytoczę jego odczyt napisu i tłumaczenie tegoż. Po gorzkich i dumnych przycinkach dla zagranicznych uczonych, czyta W.... jak następuje:

„Reskl wes Bóg, wyż Wima i Dima, Ezmenju Rasiej
 Imże o pece dom i deces lepcin Ezmen
 Ekatezin daleczin, do doloztem pojeżeju
 To ei vero-vero es! kakoen Enej car-rodę
 Sydez s Ladolm w Ellisow, Lety pojmacz zabywłajej
 Oj drogi choroszły.”

„Rajski wszech Boże, wyż Wima i Dima, Jezmleńce Rossyjej,
 Mieże w oplece mój dom i dzieci, najlepszy Jezmleńce!
 Hekateozin dalekim, do dołu ziemi wyjeżdżam,
 Toż zaprawdę tak jest! jakem Enej król z rodu
 Siedząc z Ładonem w Elizie, Lety czerpasz zabywasz
 O ty drogi, wyborny!”

Lepiej jestto polskie *lepiej*, *Rosiej* znaczy *rossyjski lud*, a napis cały jest pomnikiem Eneasa. Eneasza był Słowianin, Trojańczykowie są Słowianie, a nazwa Scytów pochodzi od *szczyć się*. Jako rzecz o Eneaszu Słowianinie, co już o Rossyi wiedział kiedy z Troi do Italii przybył, takim sposobem i wiele innych pomników czyta i tłumaczy p. Wolański. Załączam tu alfabet, którym te odczyty uskutecznią. Nie cenię lekce mozolnej i długiej pracy p. Wolańskiego, nie odsuwam z pogardą wszystkiego, co on napisał: sądzę, iż z badań jego wiele nauczyć się można; ale też myślę, iż wielu się znajdzie co mi przyznają, iż w odkryciach tego autora dojrzyć można manią tworzenia najstarszych na świecie Słowiańszczyzny pomników.

Przejdźmy teraz do odkryć na tém polu poczynionych przez zasłużonego w tej gałęzi umiejętności b. profesora uniw. warsz. p. Andrzeja Kucharskiego. Roku 1812 karczując las w Styryi, w powiecie negawskim, obwodzie margburskim, niedaleko Petau (Płuja) i Radkersburga (Radgonia), znaleziono dwanaście hełmów miedzianych, znanych w świecie naukowym pod nazwiskiem *hełmów styryjskich*. Kształtem hełmy te nie różnią się od greckich i rzymskich, a szkliva zielona patyna, dowodzi, że już wieki pod ziemią przetrwały. Dopiero 1826 roku uczeni zwrócili uwagę na ten zabytek: odrysowano je i pilnie obejrzano, a na dwóch znaleziono napisy runiczne. Z początku miano je za grecko-lacińskie, i wedle znanych runicznych alfabetów tych narodów, odczytano na jednym z hełmów napis: *Siraku... Harispas Titi filius* (1). Odczytanie to zdawało się słusznym, bo było uskuteczniwym wedle powszechnie za autentyczne przyznanych alfabetów i usprawiedliwiało je zwykłe u Greków i Rzymian rycie nazwiska zmarłego na jego hełmie. Pan Kucharski uznał ten odczyt za niezadowalający, a nawet bezzasadny, i sam wziął się do odczytania. Za wskazówkę służyły mu początkowe litery abecadła, które r. 987 po Chr. jako

(2) *Stayermarkische Zeitschrift, redigirt von J. R. Kalchberg*. VII Heft. Gratz, 1826 str. 48—60, gdzie dołączono i ryciny hełmów.

próbę pisma Rusinów zapisał w swój encyklopedyi Arab Abul-Feradż (1). Na tej zasadzie począł nasz badacz czytać napisy, i w artykułach (2) o tém swoim odkryciu ogłosił temi słowy rezultat odczytu: „Wszelkie dotąd odkryte z owych czasów napisy słowiańskie podlegały wątpliwości. Te, które ja odkryłem, nie podlegają żadnej... Starożytne runy, pismo słowiańskie, od prawej do lewej ręki, rzecz niesłychana! Nie jestto przecież mara: wszystko tu na jawie. Żaden podstęp, żadna wątpliwość nie mają tu miejsca. Słowa: „*Židaku tu dli Jarmysel županowy pan u Api*“ „Mularzu! tu spoczywa Jaromysł żupanowy pan”, są hasłem powszechnego wzburzenia w świecie naukowym słowiańskim, hasłem nowego porządku rzeczy. Za nic obszerne rozprawy za i przeciw Słowianom, na samych domysłach opierane. Krzyczeli przeciwnicy: gdzie macie te pisma słowiańskie?... gdzie macie te starożytne litery?.. Dość tego niedowiarkowie! przestańcie na chwilę! A czy napis na starożytnych hełmach wykopanych w Styrii potraficie inaczej czytać niż po słowiańsku i to od prawej ręki do lewej? Myśl słów zupełnie stosowna, a *Žydak* u wszystkich Słowian znaczy dotąd mularza. Nie mógł być położony napis *przechodniu!* bo hełm głęboko w ziemię zakopany. A któż głęboko w ziemi kopie, jeżeli nie mularz? i t. d.”

Odczytał więc p. Kucharski na jednym hełmie: *Židaku tu dli Jarmysel županowy pan u Api*. Mularzu! tu leży Jarmysel żupanowy pan u Api; na drugim: *Ejarifas i eie abil*, Ejaryfas go zabił.

Mimo przytoczonych szumnych wykrzykników i przechwałek, na zimno biorąc rzeczy, jak to umiejętnym przystoi badaniom, niezupełnie autentyczną i jasną wydaje się myśl napisu. Nie mamy podobno drugiego na świecie przykładu prócz niniejszego odczytu, aby ktoś chowając do ziemi zmarłego ciało, był tak ostrożnym, by do mularzy zwracał swój głos; to zda mi się być właśnie nie-

(1) *Biblioteka dla czytelnika* z r. 1836, T. XV, 1 pismo „*Magazin für die Literatur des Ausland*. 1836 r. 10 tom, nr. 79; nadto: „*Pamiętnik nauk. krak.* zeszyt 9, 1838 r., str. 344 przytaczają ten ustęp z arabskiej encyklopedyi.

(2) *W Powszechnym Dzienniku Warsz.* r. 1829 nr. 38. Michał v. Kunitsch w *Allgemeine deutsche Garten-Zeitung*. Passau, 1830, 8 Jahrgang, 20 Juli nr. 28 str. 237—252 umieścił wiadomość o tych odkryciach pod tytułem: „*Notitzen über die Reise des H. A. Kucharski etc.*”; z tych pierwszych publikacyj, powtórzyły wiadomość o odczycie inne pisma czasowe i dzieła.

jasném i wiele nakręconém. Imiona: Jarmeyssel, Ejaryfas, Api, brzmią jakoś niezupełnie po słowiańsku. Zresztą kształt runów jest prawie ten sam, co na bałwankach pryłwickich, a p. Kucharski wcale inne w swoim odczycie nadaje im znaczenie. Podając tu te moje uwagi nie czynię tego w myśli antysłowiańskiej, ani w duchu rewolucyjnym burzenia tego, co nawet przy pomocy mularza zbudowano; ale niniejsze myśli rzucam bez namiętności i wykrzykników, powodowany tylko miłością prawdy, choćby przyszło uznać napisy te za niemieckie, ruskie i tureckie nawet. Ośmielam się rzucić tu jeszcze ten domysł, iż napisy owe na hełmach zda mi się będą prędzej zdaniem moralném, lub godłem w rodzaju napisów na kaskach rossyjskich lub starych szablach, aniżeli pomnikiem grobowym; zwłaszcza, że je w ziemię zakopano, a więc nie myślano o tém, aby wzbudzały wspomnienie lub się stać miały przedmiotem odczytów i uczonych badań, a tém mniej, aby miano w czasach przed-Chrystusowych już o tém marzyć, iż mularze choćby w XIX wieku będą umieli czytać.

Za najważniejsze z badań p. A. Kucharskiego uważam zdanie jego o nazwie runów. Z uwagi, iż znaleziono runy w Tartaryi, Rossyi i południowej Panonii, wnosi nasz badacz, iż pismo runiczne nie u północnych germańskich poczęło się pokoleń, ale runy z Azji przyszły do Europy, do Etrusków, Słowian pogańskich i obotryckich. Od Słowian nauczyli się pisać Duńczykowie, zostający z nimi w handlowych stosunkach. Nazwę *run* wywodzi p. Kucharski od wyrazu *groniś*, co znaczy u dolno-łużyckich Serbów: *nazywać się, mówić*. Jako więc od *głagol* słowo, pochodzi u Słowian wyraz *głagoliti* mówić i pismo *głagolica* zwane, tak od *gronis* pochodzi pismo: *gronami, hronami*, wreszcie *runami* mianowane.

Roku 1835 przejeżdżał p. Jan Kollar przez miasto Bamberg w Prusach, i zwiedzając tameczną katedrę, przy progu po prawej i lewej stronie drzwi, ujrzał dwa lwy kamienne, z runicznymi jednakiemi na obu zapiskami. Napis ten odstępując od znanych kluczków runicznych, np. tych, wedle których czytali Masch, Potocki i L. mimo, że kształty głosek są też same; odczytał p. Kollar, jakoby było zapisane: *Czurnibóg*, przypuszczając nadto w tym krótkim wyrazie dwa monogrammata czyli skrócenia (1).

(1) Podobną napisu i rysunek lwów patrz w *Czasopiśmie czeskiego muzeum* z 1837 r. posz. I, str. 37—53.

Poganie wystawiając swoich bożków, używali symboliki na odróżnienie jednego boga od drugiego; a wreszcie sam kształt bóstwa: dwie, trzy lub cztery głowy, rogi lub kręgi, ruch i t. d., odróżniały jednego boga od drugiego, tak, iż trudno przypuścić aby ci, co ich czcili, mieli obawiać się że zapomną imię czczonego boga, i dopiero na czole, piersiach lub bokach zapisywali jego nazwisko. Zda mi się, iż prędzej człowiek zapomnieć może własne imię, aniżeli miano Boga, którego czci; dlatego nie widzę słuszności, aby wystawiając sobie w lwie złęgo ducha, mieli mu na boku napisywać jego nazwę: Czarnibóg. Ze Masch, Potocki i L. na czołach i piersiach bałwanków prylwickich czytają nazwy bogów i ten ich odczyt za niewątpliwy poczytywać należy, to rzecz inna. Ci trzej przyjęli jeden Clüvera alfabet, i w odczytywaniu nim napisów zupełnie się zgodzili; a więc tą zgodą autentyczność odczytu stwierdzili. Zresztą nie jest podejrzanem ani dziwnem, dlaczego na bałwankach umieszczono ich nazwy. Bożków bowiem prylwickich znaleziono pilnie w skrzyniach zachowanych i zakopanych, z jednego kruszcu, jedną ręką odlanych; co okazuje, iż przy schyłku zapewne pogaństwa, w myśli wrócenia kiedyś czci porzucenym bogom, lub zachowania ich pamiątki, zbiór ten odlano w modelach i zakopano (1). W takim więc razie prawdopodobnem się zdaje umieszczenie na postaciach bogów ich nazw, a dziś wyczytywanie takowych; tém więcéj, że dzieje potwierdzają wycytane imiona.

Z odczytu hełmów styryjskich i Czarniboga zebrało się 17 liter, z których p. Michał Olszewski ułożył słowiański runiczny alfabet (2), który alfabetem Kucharskiego na tabliczce dołączonej nazwaliśmy. Zastanawiając się nad kształtem głosek powyższych runicznych alfabetów, przychodzi nam tu jeszcze jedną ogólną podać uwagę. Wziąwszy pod pilną rozwagę kształty głosek bożków

(1) *Die gottesdienstlichen Alterthümer der Obotriten v. Masch* § 44.

(2) Alfabet ten oraz rysunki hełmów i mulemanego Czarniboga, patrz *w Pamięć. Nau. krak.* z r. 1838. Zeszyt 9. Nie rozumiem, dlaczego *w Pow-szech. Dzień. Warsz.* wyżej cytowanym, sam p. Kucharski czyta *Żidadka*, a w rzeczonym krakowskim Pamiętniku i w L. (*Polska wieków sred.* T. I, stron. 408) podano, iż p. Kucharski przeczytał: *Si Daku*, patrz *Daku*. Nie wiem zkąd ta różnica w podaniu rezultatu odczytu? Zda mi się jednak, że i *Patrz Daku* równie jest niestosownem jak *Mularzu!* bo trudno przypuścić, aby grzebiący hełmy żądali, by *Dak* na nie patrzył, a kilka łokci głęboko w ziemię je zakopywali.

prylwickich Mascha i Potockiego, hełmów styryjskich i Kollarowego Czarniboga; dostrzeżemy, iż kształty tych runów, a nawet postaci runów germańskich, mało się od siebie różnią; widać więc, iż głoski te mimo odmian jakie w nich wieki i kreślące je różnych ludzi ręce sprawiły, zdają się pochodzić z jednego wspólnego źródła, bo je cechuje jeden ogólny charakter. Co do mnie, ośmieliłbym się mniemać, iż źródło runów leży w greckim lub łacińskim, przez narody barbarzyńskie przekształconym alfabecie. Zkądże tedy pochodzi, że jedni tój lub owój głosce to, inni głosce tegoż samego kształtu, inne nadają znaczenie? Czemużby alfabetami Kucharskiego, Kollara i Wolańskiego, gdyby były autentyczne, nie miały się z małemi odmiany dać czytać i inne słowiańskie runiczne napisy? Miałyżby te klucze służyć każdy do odczytania tylko tego napisu, który nim czytają? Jeśli kształty runów na hełmach prylwickich i na hełmach są też same, dlaczegoż w jednych napisach co innego, a w drugich co innego znaczyć mają? Jeśli tedy runy na bałwankach prylwickich tak pilnie przez Wogena, Mascha, Potockiego i L. odczytane, za autentyczny odczyt uznamy; to przez toż samo zaprzeczmy autentyczności odczytom Kucharskiego, Kollara i Wolańskiego, z których każdy ten sam kształt inaczej czyta; np. kształt podobny do rosyjskiego *H* u pierwszych i w runach germańskich czytają jako *s*, u Kollara zaś jako *n*, u Wolańskiego z i t. d.

Swieżym, bo dopiero zeszłego roku skutecznionym odczytem p. Kucharskiego, jest napis na chrzcielnicy w Toruniu w kościele św. Jana, który on za najdawniejszy zabytek polszczyzny ogłosił (1). Napis ten niedopiero był znanym, bo już 1844 r. szanowny uczoney ś. p. dr. Ney ogłosił jego podobiznę w *Przyjacielu Ludu* (r. 10 nr. 44). Chrzcielnica ta (jak ją opisuje) ulaną jest z kruszcu białego, podobnego do cyny, kształtu zwykłego; napis wypukły czarno pomalowany idzie wokoło, pola górne w ozdobach poprzedzielane są łukami, a w każdym wymalowany jest kwiat. Podanie mówi, iż jakiś generał rosyjski tę chrzcielnicę darował. Kiedy?—nie ma śladu. Napis na ówjej chrzcielnicy nie jest weale runicznym, ale wnosząc z kształtu, głoski wyglądają jakoby kirylica z pismem łacińskiem mieszana; napis poczyna i kończy się krzyżykiem. Gdybyśmy tylko to, co tu podałem, o tój

(1) Rzecz o tym zabytku i rycinę głosek podał p. Kucharski w 112 poszytce *Biblioteki Warszawskiej*, z r. 1850.

chrzcielnicy wiedzieli, a do tego pamiętali, że jest kształtu zwykłych chrzcielnic i na właściwe tego rodzaju kościoła naszego naczynie sporządzona; jużbyśmy jęj za zabytek z czasów blizkich pogaństwu uważać nie mogli. P. Kucharski jednak czyta napis następnie: *Z dyaboty w lewo Jesus Gospod chce zlawac ciebie wodą tą i żywot woda ta zdrowy podaje ludowi*. Powtóre, nie zważając, że w napisie czyta imię Chrystusa, a naczynie jest chrzcielnicą, uważa, iż zabytek pisany jest runami mieszanymi z głagolicą i piśmem greckim, pochodzącem z czasów pogańskich z wieku *niezawodnie XIgo*.

Mniemanie to, mimo że przez szanownego badacza za *niewątpliwe i niezawodne* zostało ogłoszonem, przecież nie zdaje mi się być nietylko autentycznym domysłem, ale nawet prawdopodobnym; a to wzięwszy na uwagę następane powody:

1. Kształt chrzcielnicy, wedle opisu dra Neya nie pozwala mniemać, aby ona tak starych sięgała czasów.

2. Uczenie opierając się na dowodach, okazał doktor Ney, iż istniał stary i nowy Toruń; a kościół, w którym jest chrzcielnica, zbudowanym został w pierwszej połowie XIIIgo wieku (1). To jednak rzecz mniejszej tu wagi. Na odrzwiach głównej bramy kościelnej, będącej w wieży kościoła św. Jakóba, także w Toruniu, są napisy temiż samemi głoskami i sposobem pisane, co napis na chrzcielnicy, a wieża ta, jak dr. Ney twierdzi (2), razem z kościołem wystawioną była dopiero w roku 1307. Ta więc okoliczność zdaje mi się, iż może unieważnić podanie o darowaniu chrzcielnicy przez oficera, a zarazem dowodzić, iż chrzcielnica jest zabytkiem z XIVgo, a nie z XIgo wieku. Bliższe na miejscu badania, możeby okazały przyczynę wspólności i związku napisu na odrzwiach kościoła św. Jakóba, z napisem na chrzcielnicy kościoła św. Jana.

3. Dr. Ney był bezsprzecznie jednym z najsumienniejszych badaczy i wiernym rysownikiem; nie ma tedy powodów wątpienia, aby rysowane przez niego napisy chrzcielnicy i odrzwi, umieszczone w *Przyjacielu Ludu*, nie miały być wiernymi. Porównując tedy przerys jego z rysunkiem, który miał pan Kucharski, okazuje się, iż ten ostatni, niewątpliwie (jak mówi) przeczytał z wątpliwęj kopii.

(1) Patrz *Przyjaciel Ludu*, r. 10, nr. 12.

(2) Tamże, nr. 44.

Na załączonej tabliczce umieścitem głoski wedle rysunku, który miał pan Kucharski, pojedynczemi kreskami, a obok nich też same głoski wedle dra Neya podwójnym rysunkiem; to zestawienie okazuje dowodnie wielką w niektórych różnicę. Prócz tego, pan Kucharski w swoim rysunku (1), w wierszu drugim od strony lewej po D, ma głoskę V, której nie ma w rysunku dra Neya. Głoska ω jest u Neya wszędzie jednaka, a u pana Kucharskiego ma różne kształty, i czyta się już to jako z, już to jako i. Ten kształt ω nie uważałbym za głoskę, ale raczej za znak oddzielający wyrazy. W tym odczycie zabytku niby z XIgo wieku, podaje pan Kucharski głoskę q, której przed wiekiem XV z pewnością nigdzie nie widziano. Nakoniec w rysunku dra Neya poczyna i kończy się napis na krzyżyku; a więc należy zacząć i skończyć czytanie od znaku krzyżyka, który w pana Kucharskiego ryćcinie przypada w środku wyrazu *ciebie*, i stanowi głoskę.

Mojem więc zdaniem ostatni ten odczyt pana Kucharskiego jest wątpliwym, i bardzo wątpliwym. Proszę więc, iżby go dla miłości prawdy albo odwołać raczył, albo odczytanie poprawił, jeżeliby się przy jego autentyczności utrzymać zdołał.

Tak pokrótce podaliśmy wiadomość o odczytach naszych, lub za nasze mianych runicznych pomników. Widzieliśmy, że w tej gałęzi prac naukowych zbywa nam na krytyce, która tylko sama może usiłowania na tém polu korzystnemi dla nauk uczynić; nie dopuszczając, by zarozumiałość w tej sprawie miejsce mieć mogła. Wypada tu jeszcze nadmienić, iż napis na okrągłym kamieniu z rzeźbą pięciu popiersi na nim będących, w 1847 roku w Lublinie znaleziony, a przez szanownego pana *Kazimierza Stronczyńskiego* w przerysie ogłoszony, dotąd podobno czytany nie był; nie zwrócono też uwagi na kamień umieszczony na domu prywatnym w Lublinie (2), gdzie zda się runiczny lub ćwiekowy znajduje się napis. Oba te napisy załączone na tabliczce.

Pisałem w Krakowie, d. 9 marca 1851 roku.

(1) Rysunek ten patrz w Bibl. Warsz., z roku 1850, poszyt 112.

(2) Kamień ten podany w przerysie, w *Sierpińskiego Obrazie miasta Lublina*, umieszczonym jest od strony ulicy Jezuitckiej, na domu pod l. 16.

POCZĄTEK WILHELMA TELLA.

(RZECZ W KANTONIE URI).

(MELODYA KOBZ GORALSKICH).

Chłopiec rybacki (w łodzi).

Sptów.

W zwłerciadeł kaptelę wabi uśmłech śwleży,
Spt chłopłę na kraju kwleclstęj wybrzeży;

Brzmlą słodko wód szyby,

Niby fletu sptów,

Głos anolów nby

Zkądś od rajskich stref.

Wtém gdy jawa z powlek błogle wldma strąca,

O senną pierś chłopca pryska fala drżąca,

Z głębl głos się szery:

„Tyś mój! lube chłopłę!

Ja wablę pasterzy,

Wclągam Ich I toplę.”

Pastérz (na górze).

Błoń lśnłąca bogato,

Łąkl, żęgnam was!

Z włosny blzklę lato,

Dalęj w śwlat! już czas

W góry! Z mlęjsca w mlęjsce błądzl lud skolarzy,

Gdy kukulka buknlę, głos w plęśń się rozgwarzy,

Gdy złemla skroń śwleżą strol w kwlecle nowe,

Rozszcurza się strumleń przez smugl majowc.

Błoń lśnłąca bogato,

Łąkl, żęgnam was!

Z włosny blzklę lato,

Dalęj w śwlat! już czas!

Myśliwiec (z urwiska skały).

Grzmłą wierzchy, wskróś zrębów drżą światła posady,
 Odważnego łowca nie wstrzyma strach blady.

Wśród lodów przestrzeni,
 Pnie się on zuchwale;

Tam błoń bez zieleńi
 Wiosny nie zna wcale.

Pod stopą mu mglista otchłan w mgły zasłonię
 Widok ludzkich siedzib rozplywa i tonię.

Ledwie z chmur, przelotem,
 Świat się boży zmaça,

Gdzieś pod wód namiotem,
 Błoń zieleniejąca.

Warszawa, 1850 r.

WĘDROWNIK.

(PIEŚŃ SZUBERTA).

Wędrownik ja, zstępuję z gór,
 Tam ziemia śni w powiecu chmur;
 Tęsknota mną po świecie rwie,
 A serce wciąż pyta się: *gdzie?*

I słońce tu zda się tak mgłę,
 Zwiędły tu kwiat, powietrze złe,
 W dźwięku ich słów, próżnia i czczość,
 Bo wszędzie, ach! jam jako gość.
 Gdzieżeś ty, gdzie, kraluo ma?
 Z dziecinnych snów, dusza cię zua.

Gdzież jest ten kraj zielony tak,
 Gdzie w wleńcu róż śpiewa mój ptak,
 Gdzie zmarłych rój, na wleczny młr,
 Wzlatuje w mgłach przy brzęku ltr.

Z milczącą łąą, poglądam w kraż,
 A serce: *gdzież?* pyta się wciąż.
 Duchowym tchem głos obwiał młc:
 Szczęście tam tylko, gdzie nie ma cię.

(Wydawca: J. W. G. G. G.)

Wszystko, co jest w tym świecie, jest tylko
odwrotnością tego, co jest w świecie innym.

Wszystko, co jest w tym świecie, jest tylko

odwrotnością tego, co jest w świecie innym.

Tam, gdzie jest światło

Wszystko, co jest w tym świecie, jest tylko

LITERATURA NIEMIECKA I MADZIARSKA.

PRZEGLĄD.

Wszystko, co jest w tym świecie, jest tylko

odwrotnością tego, co jest w świecie innym.

Tam, gdzie jest światło

Literatura niemiecka traci coraz bardziej indywidualną postać, która ją dotąd cechowała: coraz to więcej zbliża się naśladownictwem do literatury francuskiej. Już po 1830 roku, gorączkowe natchnienie, które wydało tytuł pisarzom nowej francuskiej szkoły, poruszyło zarówno umysły powieściopisarzy niemieckich; dziś *Gutzków* w obszernym romansie, pod tytułem: *Rycerze ducha*, naśladuje teraźniejszych francuskich fejtetonistów. Zdaje się, że autor sam wątpi o swoim powodzeniu, tak się bowiem w przedmowie odzywa do publiczności: „Długą i odległą podróż przedsięwzięję z tobą czytelniku. Uzbrój się w cierpliwość, a nadewszystko zahartuj pamięć, żebyś jutro nie zapomniał, co ci opowiem dzisiaj. Nie trać odwagi, gdy cię będę wodził po przestrzeniach bez końca, kiedy cię wprowadzę w ciemne wąwozy, lub też, gdy spostrzeżesz, że droga wytknięta, nagle niknie w obłokach“. Zdaje się, że *Gutzków* zupełną miał słuszność. Jakkolwiek romans jego dalekim jeszcze jest końca, przecież początek zapowiada wyraźnie, że ten rodzaj literatury nie zakwitnie w Niemczech.

Gdy jedno szkoły literackie zużyte, niktą, gdy opinia publiczna, kierowana wypadkami ostatnich lat, staje się coraz poważniejszą, i rzeka się dawnych uprzedzeń: obszerne pole sztuki otwiera się dla nowych artystów. Chwila stanowcza nadeszła, burza uniosła odwieczne przesady, a publiczność smakować zaczęła w tkliwych i prostych obrazkach, pełnych wdzięku i natchnienia. Już we Francji kilka utworów tego rodzaju, powszechnie otrzymało współczucie; w Niemczech zaś pani *Karolina Zoeller*, znana pod pseudonimem *Goelren*, pełna prawdziwie poety-

cznego ducha i rzeczywistych zalet pisarskich, świetnie rozpoczęła w tym rodzaju literacki swój zawód. Pani Zoelher wydała dotąd trzy powieści. Dwie z nich, *Córka przybrana* i *Robert*, pojawiły się w 1846 roku; ostatnia zaś, pod tytułem: *Ottomar*, wyszła kilka miesięcy temu. Autorka powstaje najmocniej na przewrotne zasady panujące w wielkim świecie, depce przesady, gromi szkodliwe nałogi wyższego społeczeństwa, oddanego po większej części próżnowaniu. Uczucie szczere, szlachetne i głęboko moralne, pióro jęj ożywia. W *Córce przybranej*, autorka wskazuje główne wady w zbyt powierzchowném wychowaniu kobiet, pod którego wpływem kobieta nie może nabrać samodzielności, upada w obec rzeczywistego nieszczęścia, a wiedziona próżnością, dąży do własnej zguby. W owej powieści jakkolwiek przebija już znakomita zdolność, przecież strona artystyczna słabsza jest niżeli w dwóch następnych. Owe nieszczęścia ukryte, których źródłem lekkomyślność świata, owe walki staczone codziennie w milczeniu, owe straszne boleści, co wybrane dusze bezkarnie rozdzierają, budzą głębokie współczucie pani Goehren. Autorka z upodobaniem staje się ich mścicielem. W powieści *Robert de Wallrode* hrabia nie jest w gruncie zepsutym człowiekiem; jest to raczej dusza lekkomyślna, bez żadnej stałej zasady; jestto jeden z owych ludzi niepojmujących obowiązków życia, a którzy bez złości, bez przewrotnych zamiarów, z wdziękiem i zaniedbaniem postępując drogą złego, krwią znaczą stóp swych ślady. Robert pojął w małżeństwo bliską krewnę, hrabiankę *Adelę*, tkliwą i pełną poświęcenia dziewczęcę. Cicho jęj wszakże zalety, nie zdołają ujarzmić lekkomyślnego Roberta. Młoda kobieta zle jest uzbrojoną do walki; przyroda albowiem złowając na nią hojnie swe dary, odmówiła jęj pięknej powierzchowności. Miłość nawet nie zdoła rozjaśnić szpetnego jęj oblicza. Znając siebie dokładnie, Adela z szlachetną dumą odrzucała poprzednich zalotników, w przekonaniu, że ogromny majątek był jedynie celem ich zabiegów. Miłość dla Roberta zaślepiła ją, pod jęj wpływem pierzchła wszelka obawa; Adela uwierzyła w przyrzeczenia i przysięgi: to téż śmiercią przyplaca biędna zbyt zaufanie. Obraz szalonych błędów hrabiego, obok poniżenia i powolnego skonu tkliwęj małżonki, prawdziwie jest pięknym. Nieszczęśliwa ofiara spragniona spoczynku po tylu wewnętrznych walkach, w których wyczerpały się jęj siły, uśmiecha się do śmierci, i w chwili skonu odzywa się boleśnic. „Idę przecie w ten świat, gdzie ni-

czém są powierzchowne wady i zalety, gdzie dusza sama zostaje". Śmierć Adeli, do głębi wzruszyła serce Roberta, ale potrzeba mieć siłę, ażeby umieć korzystać z nieszczęścia. Wśród nowych rozrywek, Robert zapomina o wszystkim. Opatrzność przecież straszną gotuje nań karę. Hrabia zwiedzając dobra swoje położone w głębi Szlązka, poznaje rodzinę zamieszkałą w sąsiedztwie: widzi tam młode dziewczę zachwycającej piękności. Dusza jego głębokiego doznaje wrażenia. Uczucie prawdziwe i tkliwe, zmienia całą jego istotę. Robert nigdy tak jeszcze nie kochał. Młoda dziewczica jest sierotą; nie znała nigdy rodziców, a wychowanie winna ubogiemu pastorowi: jest nauczycielką w owym domu. Robert bez trudu otrzymuje jęj rękę. Oczekują tylko na pozwolenie przybranego ojca. Serce Roberta otwiera się pod wiośnianém tchnieniem nowego życia, dziwne uczucie kołysze błogo jego duszę. Z jakąż rozkoszą oprowadza młodą narzeczoną po swym zamku i ogrodzie, i wskazuje jęj przyszłe dziedzictwo! Ale niebawem nadchodzi list pastora, zawierający straszną tajemnicę. Owe dziecię powierzone mu przez umierającą matkę, jest córką Roberta de Wallrode. Robert umiera w szalenstwie. Na chwilę jednak przed skonem, obłąkanie ustępuje. Pragnie być pochowanym obok Adeli, smutnej swojej ofiary. Owa zaś córka, niewinne narzędzie Bożej kary, postanawia obmyć skazę urodzenia, i podnieść ducha swego w zupełném poświęceniu się dla bliźnich i ludzkości. Zostaje siostrą miłosierdzia, i życiem pełném zaparcia siebie i nadziemskiej cnoty, okupuje ojcowskie winy.

W *Ottomarze* zbyt wiele ustępów rozrywa uwagę czytelnika. Przecież i tu widać artystyczne natchnienie autorki; i tu przebijają uczucie prawdziwej godności, współczucie dla słabych, chęć pomszczenia zbrodni bezkarnych w obliczu prawa. Hrabia Adolf Wartenberg młody trzpiot z arystokracji wiedeńskiej, stosownie do ostatniej woli stryja, zaślubił młodą hrabiankę Sinden, wychowaną zdala od świata w wiejskiej prostocie i niewinności. Ależ owa prostota jakkolwiek ponętna, mało ma powabu dla salonowego bohatera. Młoda hrabina Alma de Wartenberg nie umie się znaleźć właściwie w wielkim świecie: każdy jęj krok niepewny jest i chwiejący. Hrabia próżny i zepsuty nie umie ocenić niewinności małżonki, a chciwy powodzenia, pragnie nadewszystko zadowolnić szaloną miłość własną. Hrabina Aurelia sławna w świecie tak z nieporównanego wdzięku, jako téż z umysłu dumnego i zuchwałego, zwraca na siebie uwagę hrabiego. Młoda Alma

cierpi widząc rozwiane swe złudzenia, a w ich miejscu smutną i złowieszczą prawdę. Z boleścią porównywa młode lata spędzone w błogięj zaciszy wiejskiej, z rozpacziwém obecném położeniem, gdy samotna wśród obojętnego tłumu, nie ma chwili pokoju. Pani Goehren z prawdziwym artyzmem skreśla cierpienia młodej kobiety. Obok talentu przebija tu głębokie uczucie. Hrabia z małżonką i Aurelią odbywają letnią przejażdżkę do Węgier. Walka między dwiema kobietami jest nierówną. Aurelia pewna zwycięstwa, zaufana w swęj wyższości jako kobięta światowa, nadto licząc na próżność Adolfa, okazuje niekiedy litość nad poniżoną Almą. Obraz dumnej przewagi, obok cichego poddania, skreślony jest z goryczą. Ale czas gotuje pomstę. Owa młoda kobięta, a raczej owo dziecię niewinne i bojazliwe, tak nieprzygotowane do ciężkiej walki z życiem, zawiedziona i poniżona, przejęta wzdargą dla męża, ucieka na łono matki, do tęg wsi, gdzie zbiegły jęg lata dziecinne. Kilka lat upływa. Z młodocianej dziewczicy wyrosła na kobietę, a jęg niewinne wdzięki, zamieniły się w doskonałą pięknosć. Powraca więc w świat którym gardzi, pragnie albowiem wytrącić berło z rąk dumnej Aurelii. Nadchodzi chwila zemsty. Hrabia z rozpaczą ocenia skarb, który utracił. Ale Aurelia nietylko w miłości własnej odnosi zasłużoną karę: serce dumnej kobiety zranione jest dotkliwie, albowiem próżna Aurelia kocha namiętnie młodego malarza, Węgra Ottomara, a ten staje się narzędziem bożęj sprawiedliwosći. Ottomar po nizeczemnej śmierci Adolfa zaślubia młodą Almę.

Pani de Goehren piękną drogę obrała w swych powieściach. Umie ona podnieść godnosć kobiety i prawdziwym otoczyć ją urokiem. Będąc wiernym tłumaczem jęg boleści, nie przekracza nigdy obrębu prawdy. Pamięta zawsze o surowych przepisach obowiązku, uczy poddania i podnosi z upadku złamane cierpieniem dusze. U nięg nigdy smutna ofiara mścić się nie umie za wyrządzone sobie krzywdy. Zemsta jest zawsze dziełem wyższej woli. Ta jest właśnie piękna strona wszystkich jęg powieści. Zarzuciłby im tylko można rozwlekłosć, oraz zbytek drobiazgowych szczegółów, odrywających od głównego przedmiotu uwagę czytelnika; wszelako spodziewać się należy, że ta słaba i ujemna strona zniknie w dalszych utworach przy rzeczywistym talencie autorki.

W obecnej literaturze niemieckiej uderza nas dążnosć usilna w odrodzeniu na nowo ducha poczui. Od lat dziesięciu walki

polityczne zajęły wyłącznie umysły. Umilkli wielcy poeci. Jedni z nich pomarli, inni zniedołężnieli i zgrzybieli, inni nakoniec w wirze nowych wyobrażeń są obcemi wpośród nowego pokolenia. *Uhland* zajął się wyłącznie badaniem średniowiekowych *Minenzingerów*. Niewyczerpany *Rückert* tłumaczeniem zastępuje oryginalne utwory. *Justinus Kerner*, który niegdyś tak ponętnie umiał stworzyć świat nowy, zdala od zgiełku i namiętności wicherzących wówczas Europę, dziś rozczarowany z poetycznych snów i marzeń, pisze pamiętniki i wspomnienia swojej młodości. Tylko *Grillparzer* i *Zedlitz* w wypadkach lat ostatnich umieli zaczerpnąć prawdziwie młodzieńcze natchnienie. Inni wyobraźciele poetycznej Germanii umilkli głęboko. *Mikołaj Lenau*, umarł kilka miesięcy temu. Skromny i natchniony *Gustaw Schwab*, poszedł za nim niebawem. Zdaje się, jakoby kir żalobny pokrył i zaćmił poetyczną wyobraźnię Niemców. W miarę jak materyalizm bierze górę, w miarę jak technienie grobowe osusza źródła, niegdyś tak świeże ducha i poezji niemieckiej, śmierć lub milczenie wielkich mistrzów tém dotkliwiej uczuwać się daje. Nowa szkoła głośna i wrzaskliwa, która usiłowała zatrzeć ich pamięć, rozpierzcha się obecnie. Owi krytycy i poeci zgromadzeni pod chorągwią *Arnolda Ruge*, którzy w imię romantyzmu poniewierali wszelką wiarą idealną tak niezbędną w poezji, dążą dziś wyraźnie do upadku. Daremnie usiłowali oni obalić godność sztuki i zniżyć wyobraźnię do służenia ich poziomym celom. Przyszła nakoniec chwila ocknienia, a piórwrsze oznaki życia, szczęśliwie pojawiać się zaczynają. Pomijając owę zbląkaną szkołę, która chciała uspić wiek XIXty średniowiekowemi legendami, poezya niemiecka wraca na właściwe stanowisko; pragnie otworzyć znów wyobraźni źródła prawdziwego natchnienia, a sztuce przywrócić godność i swobodę. Czyli jęj się powiedzie? nie wiadomo. Arcydzieła nie częściej pojawiają się dziś, jak dawniej. Dążność przynajmniej jest dobra, a rozważa, doświadczenie i upamiętanie, wróży o pomyślnym na przyszłość skutku. W ostatnich czasach zwróciły powszechną uwagę poezye *Ludwika Wihl*, zapowiadające w uczonej formie zwrot czysto religijny. *Ludwik Wihl* jest izraelitą: czerpie on pieśni swoje w biblii, z wdziękiem opowiada historią *Ruthy*; czuje on szczytną piękność ksiąg świętych: to właśnie nadaje pieśniom jego zupełnie samodzielny charakter. Odtąd jak usiłowano zastąpić myśl i uczucie oryginalnością przedmiotu, wielu poetów szukało na Wschodzie jaskrawych

barw do swych utworów. Tym sposobem *Freiligrath* przepelnił swe obrazy obcemi postaciami lwów, szakalów, Murzynów, a ogniste jego szkice, olśniły wprawdzie chwilowo. Innym jest Wschód Ludwika *Wihl*; wieszcz izraelita nie wyszukuje samej powierzchownej barwy, ale z głębokim zapalem w duszy i myśli uwielbia wielkość pierwotnego świata, owój kolebki chrześcijaństwa. Inny znów poeta, śmiały, giętki, prawdziwie samoistny, o którym już krytyka wielostronnie wyrzekła, *Fryderyk Hebbel*, w utworach swoich objawia przedziwnie oryginalne pomysły i obfitą bujność fantazyi. *Hebbel* zasługuje na szczegółową uwagę. Dramata jego jako téż komedye i poemata, mają wyłączną barwę i cechę. Autor Maryi Magdaleny, Judyty, Genowefy, Heroda i Maryanny, nie jest bynajmniej zwolennikiem Hegloskiej szkoły. Szkoła ta nowe zapreczenie znalazła w świeżym poemacie *Maurycego Hartmana*. Poeta jak widać przedsięwziął stanowczo dzwignąć sztukę z obecnego upośledzenia.

Poemat *Hartmana*, jestto sielanka w siedmiu pieśniach pod tytułem: *Adam i Ewa* (1). Autor przyozdobił swój utwór niesłychanem bogactwem uczucia i wyobraźni. *Hartman* czuje potrzebę opuszczenia bitéj drogi, a chcąc uchronić bohaterów swoich od zewnętrznych wpływów, mieści ich zdala od świata, wpośród samotnych lasów. Cóż powiedzą na to teoretycy, którzy pragnęli uczynić z poezyi podporę dziennikarstwa, organ wrzawy i namiętności, miotającej tłumami? *Hartman* odpowiada im słusznie, że można zamknąć się na ustroni z myślą swą i czynem, a nie zaniedbać przeto powinności człowieka. Kto wysnuje z duszy szlachetny wątek, kto w tych czasach nędzy i upadku, ocali jedno uczucie, jedno ciche natchnienie, kto je zechce ująć w stałą zasadę, czyliż ten nie służy ludzkości?

Dlaczego tytuł *Adam i Ewa*? Zdaje się zrazu, że autor zamysła utworzyć jakiś poemat symboliczny, zechce nagiąć do punktu widzenia obecnej filozofii, dawne legendy chrześcijańskiej wiary. Tego rodzaju pomysły aż nadto się często w obecnym czasie pojawiają w Niemczech. Młoda szkoła Hegloska posiada cały zastęp powieściarzy i poetów, którzy lekkomyślnie i nieprzystojnie, przekształcają księgi święte, a szczytne rozdziały *Genezys*, kalamajpanteistycznemi wyobrażeniami. Ale *Hartman* nie należy do

(1) *Adam und Ewa, eine Idylle in sieben Gesaenge von Moritz Hartman, Leipzig, 1851.*



tęj szkoły. On raczej szuka poezji w własnym sercu i otaczając go przyrodzie, a nie w lubieżności i ateizmie niemieckim. Chciałoby więc poeta naśladować Milтона? ale porównanie byłoby niebezpieczne, i Hartman nie myślał o nim zapewne. Trudno więc usprawiedliwić niewłaściwy tytuł sielanki. Nadpisy każdej pieśni tém bardziej jeszcze zdumiewają czytelnika; idą albowiem w następującym porządku: *stworzenie, raj, wąż, drzewo mądrości, drzewo życia, on będzie twoim panem, nakoniec wyjście z raju.*

Rzecz dzieje się w rodzinnym kraju poety, wpośród lasów Czechii, w roku 1813. Europa sprzymierzyła się już przeciw Napoleonowi, a zponad brzegów Donu i Dniepru, zbiegają się liczne zastępy na pogrzebienie Francji. Postrach panuje dokoła, mąż drży o swą żonę, ojciec o córkę, rolnik o owoc krwawej swjej pracy. Małeńka wioska *Wiesenthal*, nadobna ustron w głębi Czech, oddalona dotąd od europejskiej wrzawy, jest w tej chwili pastwą srogiego niepokoju. Ruch panuje niesłychany, przestraszonych znać na obliczach wszystkich. Wojsko zbliża się nakoniec. Stary Tomasz niemniej od innych przerażony, bo ma córkę, szesnastoletnie dziecko, piękną, czystą i niewinną, jak śnieg tylko co spadły z nieba. Gdzież ukryje Ewę przed zuchwałym okiem żołnierza? Co czynić, jak ukryć ów skarb drogocenny? Nad tém przemyśla Tomasz i jego małżonka. Namysłają się wreszcie: Tomasz ma syna przybranego, młodego sierotę Adama, którego przyjął i wychował za własne dziecko. Adam ma lat 20, jest najdzielniejszym strzelcem w okolicy, a serce jego prawe i szlachetne. Tomasz powierza mu Ewę. „Idź, mówi doń, wprowadź twą siostrę w najciemniejszą gęstwinę lasu; znajdziesz tam będę starą i opuszczoną, będę, gdzie ojciec mój, drwal, spędził całe życie; a dopóki żołnierz nie wyjdzie z kraju, nie opuszczaj cichego ustronia.” Opis owego ustronia, wraz z obrazem pełnej wdzięku niewinności, stanowi treść sielanki. Hartman rozwinął w niej wszystkie zasoby czystej wyobraźni i zachwycającej poezji. Cała sielanka oddycha życiem; zdaje się, że w niej czuć świeżą woń leśną, że słyhać oddalony gwar na dolinie, że widać ustron prawdziwie sielskiej piękności. Walka Adama z wilkiem, rozmowy młodziana z Ewą, gdzie jęj tłumaczy cuda przyrody, oddane są z prawdą i rzeczywistym pojęciem sztuki. Razi tylko cokolwiek postać mnicha Kamillusa, niegdyś żołnierza francuzkiego, który następnie znalazł schronienie w pobliskim klasztorze.

Przychodzi on codziennie, i długie rozmowy prowadzi z dziećmi. Postać ta psuje cokolwiek ogólną harmonią. Niebawem po niewinnych i tkliwych obrazkach, następują głębsze wrażenia. Dziwne uczucie budzi się w sercu Ewy. Niektóre ustępy przypominają Pawła i Wirginią, a jednak nie można autora obwiniać o naśladownictwo, albowiem wszędzie przebija właściwe mu natchnienie.

„Któż mam przywołać mużę (woła Hartman, wprowadziwszy w głąb lasu dwie głównie osoby sielanki), ciebież skromna córko pastora, którą Voss natchnioném uczcił pieniem? Ciebież Doroto, której Goethe zbadał tajemnicze dzieje? Ale nie, córka pastora zbyt jest poważną, zbyt poważną zarówno, przyodziana w pyszne szaty poezyi, jest bohaterka Goethego”. Hartman więc przyzywa pamięć znanego niegdyś dziecięcia rodzinnej wioski, na ducha opiekuńczego swemu dziełu. Nie rad on naśladować ani zbyt sztywnego stylu Vossa, ani zbyt uczonego Hermana i Doroty. Więcej go ludzi łatwość i prostota *Auerbacha*, i autorki *Djabłój kałuży* (Jerzego Sanda). Ów zwrot do prostoty, owe badanie poezyi i literatury ludu, zasługują na wyłączną uwagę. Już oddawna próby tego rodzaju pojawiać się zaczęły; pierwszy popęd nie wypłynął ani od *Auerbacha*, ani od Jerzego Sanda; pierwszy bowiem wzór w tym względzie dali nam Immermann i Pestalozzi. Ale byłyto tylko wówczas pojedyncze pomysły; dzisiaj rodzaj ten zajął obszerną gałąź literatury, a powodzenie jakie otrzymuje niekiedy, współczucie czytelników, oraz liczba naśladowców, nadaje temu rodzajowi niesłychaną wagę. Co jest tego powodem? Byłabyto chęć odświeżenia wzruszeń poetycznych, ocknienia uwagi czytelnika nowemi obrazami, gdy dawna literatura zupełnie już została wyczerpaną? Czyli téż wyższego celu w tym zwrocie dopatrywać należy? Byłabyto objaw szczerego współczucia dla ludu, chęć podniesienia go na wyższe stanowisko, i ukazania mu własnej siły w chwili, gdy duch czasu wprowadza go do życia społecznego? Zdaje się, że obadwa powody wpływają na to niewątpliwie; pierwszy jednakże przemaga. Główną wadą obrazów tego rodzaju, nie wyłączając najlepszych, jest przesada. Znać tu zawsze usiłowanie poety, odgadnąć można tajemną jego dążność, widać sztukę, a ztąd niknie złudzenie. Nie oduczonych literatów oczekiwać należy utworów czysto ludowych: nie ma w nich prawdy. Należy raczej sięgnąć do samego źródła, ścisnąć myśl ludu w pierwiastkowym jej polocie.

Miejscowe piosnki niektórych okolic, poczye bretońskie z Morbihanu i kraju Gallów, legendy niemieckie i pieśni słowiańskie, więcej nam powiedzą o prawdziwem uczuciu ludu, aniżeli uczone literatów utwory.

Ostatnie europejskie wypadki, zwróciły powszechną uwagę na poezją ludową, mało znanego dotąd w literaturze narodu. Poezja Madziarów posiada nieprzeliczone skarby, i rozlacza przed okiem naszym tajemniczy świat cudów. Węgry mają niezliczoną moc pieśni narodowych, a jak u wszystkich ludów, których główny charakter pozostał niezmienny, liczba owych pieśni zwiększa się corocznie. Główną ich cechę stanowi duch wojowniczy. Pojawił się obecnie w niemieckiem tłumaczeniu najwięcej upowszechniony madziarski poemat, pod tytułem: *Janczi*. Schandar Petosi, autor poematu, człowiek jeszcze młody, przechodząc rozliczne koleje życia, przejął się snadno duchem rycerskiej poezji swego narodu. Urodzony w wiejskim stanie, kształcił się w szkołach publicznych, a następnie służył w wojsku w czasie ostatniej wojny; obdarzony nadto poetycznym duchem, dostarczył narodowi swemu niesłychaną liczbę pieśni. Rolnicy orząc spokojnie skibę, oraz żołnierze węgierscy wśród wojennej wrzawy, powtarzają zarówno jego ballady i rycerskie pienia. Petosi ogłosiwszy już około dziesięciu tomów, dał dowód nadwyzczajnej łatwości w tworzeniu. Najznakomitsze z dzieł jego, są zbiory pieśni, oraz długie opowiadania i urywki epepei, gdzie z dziwnym urokiem przebija cudowność i duch prawdziwie rycerski. Do tych ostatnich utworów należy *bohater Janczi*, i według niezaprzeczonych świadectw, jestto poemat najwięcej ulubiony pomiędzy krajowcami.

Przypomnijmy sobie owe średniowieczne poemata, gdzie trubadur, pojmując ducha awanturniczego swego czasu, bawił wyobraźnię słuchaczy opisem nadwyzczajnych i odległych wypraw, przebiegał Europę z końca do końca, opowiadając cudowne walki i zwycięstwa. Dodajmy do tego szczerą i niewinną wesołość, a nadewszystko świeże barwy wiosennej pieśni, pieśni znad Cisy i Dunaju, a mieć będziemy cały poemat. Młody wieśniak prostomyślny i zakochany, Janczi, pasie trzodę gospodarza na połoninie; niedaleko ztamtąd jasnowłosa Iluska pochylona ponad strumieniem, pierze płótno w bieżącej wodzie. Nie po raz pierwszy Janczi spotyka tu piękną Iluskę. Młodzian rad pogląda na jasne włosy dziewczęcia, a dziewczę rade słucha głosu mło-

dziana. Praca leniwo postępuje przy rozmowach bez końca. Nie-
litościwa gospodyni nie daruje dziewczęciu straconego czasu.
Gorzój jeszcze dzieje się z młodzianem. Wilk pozjadał mu owce,
a gospodarz wypędził go z domu. Gdy noc ciemna zapadła, mło-
dzieniec wraca do wsi i puka z wolna do okienka kochanki, bierze
fujarkę i gra na najsmutniejszą nutę: „Ilusko, muszę cię opuścić,
idę w świat szeroki. Czekaj na mnie dziewczę, pozostaj mi
wierną, a niedługo z wielkimi powrócę bogactwy”. I odchodzi
ze łzą w oku i ścisniętém sercem. Idzie sam nie wie gdzie, idzie
noc całą, a wełniana odzież cięży mu na barkach. Cała ta część
poematu pełna jest niezrównanego wdzięku. Sprzeczne uczucia
oddane tu są z szczerą i niewinną prostotą. Przejście z jednego
w drugie łatwe i nicnaciągnięte. Święto naturalne wybuchy ser-
ca. Na tém kończy się wstęp poematu. Po sielance następuje
część bohatera, po tkliwych scenach z domowego życia, mamy
awanturnicze wyprawy madziarskiego rycerstwa. Janczi napoty-
ka żołnierzy, i przystaje bez namysłu do zastępów Macieja Kor-
wińskiego. Młody Madziar zna się z koniem od dzieciństwa, pięknie
mu przypada kurtka huzarska, a pałasz jego cudnie błyszczy na
słońcu. Wojsko madziarskie postępuje spiesznie; pilno mu, al-
bowiem niesie pomoc królowi francuzkiemu, napadniętemu od
Turków. Ciężka to i daleka droga, trzeba albowiem przebyć
kraj tatarski, Włochy, Polskę i Indją. Dziwnato geografia; owe
wspomnienie Turków i Francuzów, owe nieskończone wyprawy,
nie są wymysłem autora. Znać tu wyraźny ślad wieków średnich,
tradycje i legendy dawno upłynionych czasów. Poeta zebrał je
z ust ludu, i wprowadza je do broszury, z udaną wiarą, obok
lekkiej ironii: z kąd wypływa zachwycająca oryginalność utworu.
Madziary przybywszy do Francji, hojnie są wynagrodzeni za swe
trudy. Cóżto za pyszna okolica? Doliny Chanaanu niczém są
w porównaniu z jej bogactwem. Raj ziemski nie jest piękniejszy!
Przybywają oni w porę, chciwy bowiem Turczyn plądruje do
woli, łupi kościoły, miasta obraca w gruzy, zboża tratuje końmi;
król wygnany z swego pałacu, tuła się pośród zwalisk, a barba-
rzyńcy porywają mu jedyną córkę. „Kto mi wybawi dziecę mo-
je, córkę ukochaną, woła król, widząc przybywających obrońców,
oddam mu ją za żonę”. Ja ją wybawię, pomyślał każdy z ryce-
rzy madziarskich; wynajdę ją lub zgine. Janczi sam obojętnym
jest na słowa królewskie; on w marzeniach swoich widzi jedynie
rodzinną wioskę i jasnowłosą Iluskę. A jednakże on zabija tu-

reckiego baszę, i uwalnia królewską dziewicę. Od niego zależy zasiąść na francuzkim tronie; ale Janczi nie waha się ani chwili: Iluska przyrzekła mu czekać; wraca więc do kraju, uwożąc niezliczone skarby. Wsiada na okręt. Ale nie na tém koniec ciężkich przygód. Straszliwa burza powstaje, okręt rozbija się, i skarby przepadają w otchłaniach morskich. Janczi o nic nie dba, byleby jak najprędzej ujrzał Iluskę. Ale niestety, niestety, za przybyciem do domu zastaje nieżywą kochankę. „O! czemuż, woła bohater ze łzami, czemuż nie zginąłem pod żelazem Turczyzna? Czemuż mię morskie nie pochłonęły wały?”. Tu nowe rozpoczynają się przygody. Już młody Madziar pragnie stać się godnym kochanki i zdobyć dla niej skarby; przebiegł świat z orężem w ręku: teraz zaś poeta otwiera mu świat inny, nadzmysłowy, pełen cudów i tajemnicy. Tu w miejscu Tatarów i Indyan, napotkamy olbrzymów, karłów, wróżki, słowem cały szereg fantastycznych bohaterów i krajów ludowej poezyi, kędy Janczi ma wynaléźć Iluskę.

Otóż i cały poemat. Obrazy pełne życia i ruchu, spokojne w uczuciach, cudowne opisy wypraw rycerskich, odsłaniają nam dziecinne oblicze ludu wojowniczego. Nic dziwnego, że taki utwór przyjęty został z zapalem, i powtarzany jest w niezliczonych rapsodach. Jestto bowiem narodowa epopeja, zawierająca w sobie wszelkie uczucia, marzenia i podania, właściwe ludowi madziarskiemu. Poetyczne jéj ustępy odbijają naprzemian szczerą prostotę, niewinną wesołość, zapal niezrównany, i dumę rodową, naiwnie wyrażoną. Według poety węgierskiego, plemię madziarskie najdzielniejsze jest na świecie. W sprawie zagrożonej Francyi, podnosi oręż przeciw Turkom. Piękneto zaiste wspomnienie XV wieku! Wojska Jana Huniada i Macieja Korwina zasłaniały Europę od napaści Ottomanów. Francya dla średnio-wiecznych Węgrów wyobrażała Europę: ztąd powstało podanie o oswobodzeniu Francyi od łupieztw tureckich, przez dzielnych Madziarów. Poeta zbierając wszystkie krążące legendy, jednocząc rozpierchłe rysy historycznego życia Węgrów, stworzył epopeję w części rzeczywistą, w części urojoną, w której naród przejrzał się jakby w zwierciadle. Styl zastosowanym jest doskonale do przedmiotu: tkliwy, wesoły, łatwy, niekiedy lekko ironiczny, wiernie oddaje zmienne wrażenia opowiadacza. Największą jego ozdobą jest niewinna swoboda i pełne świeżości zwroty, dowodzące czerstwości i siłę wyobraźni. Nie ma tam śladu

owój myśli tęsknej i pochmurzonej, cechującej germańską poezją. W tkliwych ustępach z domowego życia, słowa wierném są odbiciem niewinnych i prostych uczuć. W obrazach wojennych opowiadanie jest silne, jakoby tętent końskich kopyt, szybkie jak błysk szabli.

Oprócz Petozi, kilku jest innych jeszcze samoistnych poetów węgierskich. Do znakomitszych należy *Kisfaludy*; siła niepospolita cechuje jego utwory. *Voeroesmarty* otrzymał powodzenie w dramatach przedstawionych na teatrze w Peszcie. *Császár pelen* świetnej wyobraźni, zadziwia niesłychaną łatwością pióra, Słowem, poezja madziarska ma w sobie silny zaród życia, a rozwijając się dalej na narodowych podaniach, może kiedyś zająć niepospolite w Europie stanowisko.

Pomiędzy powieściopisarzami madziarskimi na czele stawić możemy *Józefa* barona *Eötvös*. Obecnie powieść jego p. n.: *Der Dorf-Notair*, 3 tomy, 8ka, przełożona jest na kilka języków. Tłumacz angielski *Otto Wencktern* utwór ten obsypuje pochwałami, a krytycy angielscy literacką wartość tej powieści wynoszą nade wszystko, uważając szczególnież ze stanowiska, jako wierny obraz, szeroko i śmiało narysowany życia społeczności węgierskiej w ostatnich czasach. Obszerną jest treść tego *Notaryusza wiejskiego*: osoby wchodzące w ten wielki dramat wyszczególniają się i dobitnością postaci, i oddania mistrzowskiego zarysów ich charakterów. Poprzestaniemy tu na przywiedzeniu jednego ustępu, który zarazem jest początkiem powieści.

„Kto z was przebiegł okolice ponad niższą *Cissą*, choćby niewiele kraju przejechał, śmiało powiedzieć może, że poznał cały. Trafia się czasem między członkami niektórych rodzin tak dziwne podobieństwo, taka rzecz można jedność rysów, że aby jednych od drugich rozróżnić, trzeba ich długo i często widywać: tak to i w obwodach nad niższą *Cissą*. Niech cię tylko kołysanie powozu na godzin kilka uspi wśród dróg naszych pełnych piasku i pyłu, zbudzisz się, a po niczém inném, chyba po zachodzącém już słońcu i znużeniu koni poznać będziesz mógł, żeś się dalej posunął. W fizyonomii kraju ogólnej, w szczegółach nawet, nic nie oznajmi zmiany miejsca: jak majtek co drogi swój wśród fal Atlantyku dostrzedz nie może, i tybys próżno jój szukał. Przed tobą stopy niezmierzone, gdzieniegdzie studnia zarzucona prawie, zrzadka przechadzające się poważne bociany, ponad wpół-wyschłemi moczarami, pola źle uprawne, których plony zboże i ku-

kurydza, leżą na łasce bożej, zostawione na pastwę włóczęgów, co się o nie pokusić mogą. Gdzieniedzie samotna chatka, przy niej stróżujące dwa brytany, z długim włosom, pilnują świętego prawa własności. Sterty siana i słomy przeszłorocznej jeszcze, na które patrząc nie wiesz, czy ziemianin ma zanadto paszy, czy zamało bydła: oto panorama, na którym zamknęły się oczy twoje, i na które się otwarły. Nawet wieżyczki kościołów panujące nad doliną, którą widziałeś usypiając, zdają się gonić za tobą, i tak mało różnią się jedne od drugich, jak wieś którą przejeżdżałeś z rana, i wieś którą przebywasz wieczorem. Toż podobieństwo w niskich rzeki brzegach. Cissa, poczciwa sobie obywatelka, co ma, to w domu spożywa, a prócz tego najszczęśliwsza z rzek w świecie, najłagodniejszego charakteru: nikt się w jej sprawie nie miesza; spokojna i jedyna może na całą Europę, o której powiedzieć można, że została tém, czém ją Pan Bóg stworzył."

„Nic uroczystsze, nie spokojniejszego, nie powolniej sobie idącego ze wszystkich rzeczy chodzących (wyjąwszy procesu w Węgrzech) nad Ciszę, regularną i umiarkowaną; można z góry zapowiedzieć czas, w którym niechybnie wyleje, oznaczyć nawet ściśle na karcie granice wylewu, niewinnej rozpuszty, szalu tak spokojnego, jak naszych (węgierskich) urzędników, wychodzących z weselną ucztą, z *instalacyi*, lub *restauracyi* (rodzaj wyborów), pomimo upojenia swojego, godnych i poważnych."

Eötwös zebrał w *Wiejskim* swym *Notaryuszu* rysy obyczajowe całego żywota Węgrów; celem było pokazać zepsucie, które się zakradło wszędzie, i groziło zniszczeniem najpiękniejszym przymiotom narodowym. Ale autor zbyt może ostro, zbyt surowo, z goryczą osądził swoich współczesnych. Obwinić go mogą o paszkwil i satyrę. I zaprawdę: w jego dziele sam cień bez światła przedstawiony za wierny obraz społeczności, uderza i razi, lubo pojedynczo wzięte wizerunki i zarysy, prawdą są nacechowane.

Baron Eötwös jest szlachcicem węgierskim: ojciec jego na zwodniczych spekulacyach stracił cały majątek w r. 1841. Syn skutkiem cisnących potrzeb, rzucił się do pióra. Eötwös w r. 1848 był pod Bathyanym ministrem stanu, później osiadł w Bawaryi.

WYSTAWA POWSZECHNA

W LONDYNIE.

(ARTYKUŁ DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

III.

Londyn, 10 lipca.

Od dziesięciu tygodni pałac wystawy jest otwarty. Zebrano ogromne miliony, dzięki którym i wszystkie koszta oddawna się wróciły, i dostateczny zebrał się fundusz na nagrody, i znaczny powstanie kapitał, bądźto na utrzymanie gmachu, bądź też na zapas do przyszłych tego rodzaju przedsięwzięć (1). Dzienniki wcześniej poruszają kwestyą, na co po ukończeniu wystawy poświęcić wspaniałe gmach; jedne chcą z niego utworzyć muzeum narodowe, drugie, jak *Times* radzi, obrócić na ogród zimowy, założony i utrzymywany kosztem dobrowolnych uczestników. Tak jedno wielkie przedsięwzięcie nowe wywołuje; i być może, że do tego samego budynku, gdzie ludzie nieśli płody swego przemysłu, zwiozą okręty płody żywotnej natury, i utworzą najpiękniejszą, bo z całego świata oranżeryą. Lecz w tém co mówię nie ma nic stanowczo zadecydowanego; właśnie w tych dniach zwołał *meeting* genialny Paxton architekt-ogrodnik, aby wywołać dyskusyą publiczną, a z niej myśl, któraby naród cały zadowolniła. Mówiono też o tém i w parlamencie.

Niezliczone krocie ludzi zwiedziły wystawę, a zapal do niej bynajmniej nie ustaje. Choć cudzoziemców mniej w ogóle zjechało się niż mniemano, i rzeczywiście dopiero od kilku tygodni większa się pokazuje ich ilość, braku gości nie znać bynajmniej:

(1) Szczegółowy wykaz dochodu, znajdzie czytelnik przy końcu niniejszego artykułu.

bo nie mówiąc już o przybywających z miasta, każdy pociąg kolei żelaznej przywozi tłumy ciekawych z prowincyi. Pięćdziesiąt do siedmdziesiąt tysięcy można każdego dnia naliczyć, a zjawisko jeszcze bardziej pocieszające przedstawia ruch, coraz to ogólniejszy, i porywający do wystawy coraz głębsze masy ludności. Bogatsi ułatwiają podróż i wnijsie uboższym, a nierzadko się zdarza, że właściciel lub fabrykant, za wszystkich wyrobników płaci bilet wejścia. Tak przed kilkoma dniami orszak 600 wieśniaków wszedł parami, w białych bluzach, do pałacu, i w nim z wszelkim pożytkiem dzień cały przepędził. Dowiedziałem się później, że za nich lord pewien, właściciel tamecznych dóbr, podróż i wnijsie opłacił. Podobnie jeden z bogatszych kupców węgla, dwustu swoim wyrobnikom podarował dzień cały, i dał każdemu w rękę po pięć szylingów na bilet i obiad po wystawie. Że po takich przykładach już wielu znalazło się i znajdzie naśladowników, mówić nie potrzebuję; ani też o tém, jak wielkie skutki na cywilizacyą, przemysł i moralne podniesienie narodu, wyrzucić musi ten ogólny interes do wystawy, i to przypuszczenie do niej klasy najuboższej.

Sposób, w jaki ta różnolita publiczność zwiedza wystawę, przedstawia nader ciekawe pole badania. Kiedy cena biletu jednorazowego wynosiła funt, lub pięć szylingów, publiczność widno przychodziła więcej dla zabawy, niż dla nauki. Wtedy grupy rzeźb, bogate meble Leistlera, Kohi-noor, dyamenty Lemonniera, Meurica arcydzieła jubilerskie, bogactwa jubilerów angielskich, maszyny w ruch puszczone, a bardziej nad to wszystko nieporównany ze środka nawy poprzecznej widok; igraszki fontanny Oslera, wspaniałe drzewa i wonne góry kwiatów, poza którymi odsłaniały się bufety z lodami i chłodnikami: — czarowały oczy i zwabiały do siebie tłumy wykwintnych widzów. Po niedbałości w zwiedzaniu, po tym braku planu i systematu, odgadnąć było łatwo, iż to są ludzie szukający jak przyjemnie czas przepędzić, goniący za wrażeniem, formę i artystyczność nad rzeczywisty pożytek przenoszący. Od chwili kiedy wpuszczono publiczność jedno-szylingową, zmieniła się fizjonomia wnętrza pałacu: zwiedzający przeszedłszy raz i drugi po obu nawach, rozpierchają się po bokach, dawniej zwyczajnie pustych, wybierają swój przedmiot, oglądają powoli, rozważnie, rozprawiają, pytają, uczą się. Zaniedbane pierwój maszyny rolnicze, kopalniane, pro-

dukta surowe, otoczone są teraz nieustannie gronem poważnych i myślących widzów.

Każdy oddział narodowy ma ich podostatkiem, lecz najwięcej angielski; choć zaprawdę musi mieć niemało odwagi ten, co się porwie na sumienny i szczegółowy jego przegląd. Anglia miała wszystkie ku temu środki, aby przed oczyma zdumionej Europy stanąć w pałacu kryształowym w całej pełni i rozwoju swego przemysłu. Ogrom bogactw nagromadzonych na skrzydle angielskiem we wszystkich gałęziach pracy, zdziwił nawet samych Anglików. Oni tak dumni, i tak pewni siebie; oni, których oko i umysł przyzwyczajone są do ogromnych rezultatów narodowej potęgi, na widok pałacu kryształowego, na widok tam zebranych cudów, nie mogli ukryć zdumienia nad własną wielkością! A cóż za wrażenie sprawiać muszą skarby te na cudzoziemcach, na mnie, któremu w myśli snują się ubogie rodzinne chaty wiejskie, przemysł chwiejący się i dopiero w pieluchach, handel kramarski w ręku żydów! Było zrazu w tym widoku coś ogluszającego, a ile razy przechodziłem przez salę i zabierałem się do specjalnego rozbioru, nie bez trudu przemogłem na sobie pewien rodzaj uczucia przykrego, jakobym sam jeden wchodził do nieskończonych sal Watykanu, lub jakobym był owym młodzieńcem z arabskich powieści, który stojąc przed otwartymi bramami pałacu, widząc kalifa na złocistym tronie, nie śmiał przekroczyć stopni, i wyjść z podwórza, aby go nie oślepił blask budowli.

W poprzednich listach zdając sprawę to z ogólnego wrażenia, to z pobieżnej wędrowki po całym świecie, nie dotknąłem prawie Anglii: bo postanowiwszy przejść systematycznie celniejsze oddziały przemysłu, wiedziałem, że w każdym przyjdzie mi głównie mówić o angielskich produktach. Można uchwycić wystawę innych krajów w jednym lub kilku szkicach, nawet wystawę dwóch krajów najcelniejszych po Anglii w pałacu kryształowym, to jest Francyi i Austryi można choć nie bez wysilenia określić za jednym zachodem; ale jak się znaleźć odrazu w nawie angielskiej, w tym niezmiernym, przepelnionym labiryncie, gdzie się znajduje wszystko, co tworzą milionowe warsztaty królestwa Wielkiej Brytanii, i wszystko z bajecznym zasobem, począwszy od olbrzymich lokomotyw, aż do najdrobniejszych igiełek. Tu już potrzeba systematu, klasyfikacji, a nadewszystko wytrwałości i nieprędko męczącej się uwagi, aby siebie i czytelnika nie

zgubić. Przejdźmy zatem cenniejsze klasy o ile publiczność polską mogą obchodzić, i o ile pióro moje coś o nich napisać potrafi.

Dziwném to się wydawać może, że Anglicy za jedną z najważniejszych poczytują wystawę surowych produktów, i o niej mówią zawsze najpierw, polecając ją pilnej uwadze tak widza, jak fabrykanta i sztukmistrza. Przyczyna leży w duchu praktycznym Anglików, który wszędzie szuka dla siebie nauki. Bo w rzeczy samej trudno byłoby fabrykantom większe oddać dobrodziejstwo, jak ustawiając przed ich oczyma zupełny szereg materiałów surowych, nie tych tylko co są dobrze znane, i znajdują się oddawna w handlu, ale i tych, co dotąd nie wyszły za kraj rodzinny. Mimo tylu środków pomocniczych, jakie dzisiaj łatwość transportów, wysokie stanowisko geografii i mnóstwo podróży podają: to, co w odleglejszych krajach się rodzi, mało jest znane tym, których to obchodzi najwięcej. Rzadko więc fabrykant, gdzieby można dostać produktów najtaniej i w najlepszym gatunku; rzadko więc producent, który i w jakim kraju fabrykant wyrobu jego potrzebuje. Dzieje się to skutkiem przesądów i wstrętu do nowości, skutkiem też nieznajomości zysków, jakieby spłynąć obustronnie mogły. Dokładna wystawa otwierając wzajemny stosunek, spełnia życzenia jednych i drugich, a nauka z niej wypływająca, przyczynia się często do podniesienia i ulepszenia produkcji. Fabrykant odkrywa na niej nowe źródło dobrze znanego produktu, dowiaduje o lepszym onegoż zastosowaniu, natrafia nawet na zupełnie nowy produkt. Zwiększa się żądanie produktu, producent musi użyć więcej sił i kapitału, więcej do uprawy i zbioru przykładu starania; jednym słowem, produkt ulepsza i pomnaża ilość produkcji, wyteżając siły własne. Z nowym napływem surowego materiału, czy taniego, czy też w lepszym gatunku, fabryka jakoby nową znajduje potęgę: pomnaża czynność, wydaje więcej i lepiej. Lecz przedewszystkiém potrzeba, aby fabrykant obznajmił się z produktem, a tego bez wystawy dopiąć nie można: bo jak w kraju własnym nikt nie jest prorokiem, tak też i materiał surowy znajdujący się w obfitości bywa zaniedbany, choćby go gdzieindziej szacowali wysoko i wyszukiwali starannie. Kiedy podróżny w odległym kraju spotyka taki przedmiot, i wypytuje się o niego krajowców, śmieją się z jego pytań o rzeczy tak powszednie, i nie dadzą się namówić do lepszej i staranniejszej produkcji, dopóki ich własny zysk nie skłoni; podobnie i fabrykant za-

wiązawszy raz z producentem stosunki, nie zrywa ich i nie zadaje sobie starań w dowiadywaniu się o dogodniejszy materiał. Obie więc strony w oddaleniu trzyma siła nawyknięcia.

W żadnym kraju wystawa produktów surowych nie jest tak zupełną, jak w Anglii; postarano się o nią tak dobrze z krajów europejskich, jak kolonij azyatyckich, afrykańskich, a szczególnie pamiętano o australskich. To też dwie osobne sale zastawione są surowemi materiałami z Zelandyi, Van Diemen, Bahamy, i t. d. Oprócz wszelkiego rodzaju produktów tamże dobywających się, przedstawiono narzędzia, któremi się tamtejsi krajowcy w ich obróbieniu posługują. Geograf znajdzie rysunki dokładne kraju i ważniejszych okolic lub budynków; albo jeśli chce poznać życie krajowca, może się przypatrzeć modelom chat jego, oplecionej komorze na przechówek cenniejszych szat, sprzętów, i żywności przeznaczonęj, wielkiej świetlicy na drągach opartęj, gdzie pozawieszane hamaki, łodzie z kory, rozłożone suknie, ustawione naczynia, czółgające się dzieci i psy, przedstawiają wierny obraz obyczajów i sposobu zatrudnienia.

Materiały surowe w katalogu i na wystawie tworzą pierwszą sekcją, podzieloną na cztery klasy: produkta kopalne, chemiczne i farmaceutyczne, produkta zwierzęce i roślinne. Klasa pierwsza przedstawia szereg bardzo interesujący próbek wszystkich ważniejszych minerałów, kamieni budowlanych, kamieni drogich, metalów rodzimych, a zarazem ich zastosowania i procesów, z pomocą których, materiały te przetwarzane są na zaspokojenie naszych potrzeb codziennych. Takie próbki, częstokroć bardzo piękne, znajdują się w każdym kraju; w oddziale rossyjskim, fabryki królestwa polskiego przedstawiły kompletny szereg ustawionych w porządku i opatrzonych polskimi napisami. Mówiłem już potrochu i wspomnę jeszcze o kopalniach zagranicznych; ale największa część pochodzi z kopalni angielskich, bo żaden kraj nie jest tak hojnie od natury uposażony w bogactwa mineralne, jak Anglia. Bryły większe, po kilkadziesiąt stóp wysokie, umieszczone są przed pałacem, jak np. kolumna dorycka z granitu, pochodząca z Cornouailles, z jednéj sztuki, 20 stóp wysoka; z Galii i Szkocyi ogromne masy węgla, marmuru czarnego irlandzkiego i t. p. Wszedłszy bramą zachodnią, i zwróciwszy się na prawo, znajdziemy zbiór metallurgiczny, ułożony wzdłuż ściany północnej. Obok kollekcyi téj bardzo uczącej, spostrzegamy zarazem przyrządy służące do rozpoznania chemicznego każdego ma-

terytału. Dołączone modele wyjaśniają naukę krytalografii, przedstawiając stosunek między kryształami skomplikowanymi, znajdującymi się w naturze, a formami pierwotnymi najprostszymi, do jakich je można sprowadzić. Obok téj kolekcji, widzimy próbki masy ołówkowej z kopalni Borowdale (Cumberland) wydającej najlepszy ołów czarny do wyrobu ołówków. Widzimy ją w kształtach nieforemnych, jak się zachodzi zwyczajnie w granicie, a czasem, chociaż rzadziej, w pokładach węgla. Jestto materya kosztowna; w Borowdale, aby zapobiedz kradzieży, przed otworem do kopalni zbudowano gmach, gdzie górnicy zmieniają odzież i rewidowani są starannie. Co rok, tylko przez sześć tygodni wydobywają zwyczajnie tę masę w Borowdale, a produkt wydobyty w tak krótkim przeciągu czasu, wart jest milion i dwa miliony złp. Widzimy w pobliżu zbiór kamieni i gładzików z Cairngoram (Aberdeenshire), próbki granitów z Aberdeen i Peterhead; perły szkockie znajdujące w Don, Y-then, Ugie; alun w stanie pierwotnym i przechodowym, i liczne próbki gliny chińskiej czyli kaolinu z St. Stephen i St. Austel (Cornouailles), gdzie jęj przygotowanie zatrudnia niemal całą ludność. Massa ta tworzy się z rozkładu feldspatu, znajdującego w skałach granitowych; tracąc pierwiastki alkaliczne, wydaje substancją bogatą w krzemionkę i glinę alunową, a zachowuje bardzo małą ilość potażu i sody. Oddziela się kaolin od piasku krzemienego, z którym jest stale złączony, przepuszczając przez niego prąd wody, który zostawia z niego piasek, a glinę z sobą unosi i osadza w głębokich dołach. Widziałem także tak zwany kamień chiński, który zdaje się być feldspatem w mniejszym stanie rozkładu niż kaolin. Kamień ten mając w sobie wielką ilość alkaliów, przechowanych pierwotnie w feldspacie, topi się przy wysokiej temperaturze, i służy na polewę przezroczystą, używaną zwyczajnie do naczyń glinianych. Do kaolinu dodano modele, bez których nie możnaby mieć wyobrażenia o metodzie używanej przy wypalaniu naczyń, robionych z kaolinu. Przedstawiono znaczną ilość próbek gliny do podlegszych wyrobów glinianych, jak niemniej fajansu, folardy, piasku krzemienistego, który jest tak ważnym artykułem w fabrykacji wszystkich gatunków szkła i kryształów. Tutaj są różnego rodzaju i koloru okry, które właściwie są tylko glinkami przesiąknionymi mniej więcej niedokwasem żelaza, a używają ich malarze i fabrykanci kolorowych papierów. Płyty porfiru czerwonego i zielonego,

i stół porfirowy centkowany, liczący w sobie przeszło pięćdziesiąt rozmaitych sztuk, pochodzą również z Cornouailles.

Pomijam kamienie, granity i inne materyały budowlane, bo zastanowię się nieco dłużej przy węglu kamiennym. Żaden z mineralów na wystawie angielskiej umieszczonych, nie daje tyle do myślenia nad potęgą i pomyślnością W. Brytanii, jak węgiel, ten dyament czarny, to niewyczerpane źródło jój przemysłu. W Szkocyi i Anglii dobywają go co rok z głębi ziemi 700 milionów centnarów. A przecież nie jestto przedmiot znany od zbyt dawna, bo przed XIIIym wiekiem nie słyszano o nim wcale i na prawdę konsumpcya jego i produkcya zarazem, rozwinęły się od wynalezienia machin parowych. Anglia i Belgia stosownie do swój wielkości, mają najbogatsze zapasy węgla. Wielkość pokładu obliczają w Anglii na $\frac{1}{20}$ część jój powierzchni, w Belgii wynosi ona $\frac{1}{24}$ część. We Francyi znane dotąd pokłady nie przenoszą $\frac{1}{200}$, a inne państwa europejskie są pod tym względem jeszcze uboższe. Nie mają węgla prawie wcale: Rossya, Szwecya, Norwegia, Włochy i Grecya. Z państw do rzeszy niemieckiej przyłączonych, Czechy i Szląsk są najbogatsze, a w piérwszych kopalnie rakowickie i pilnickie. W roku 1837 wydobyto w czeskich $2\frac{1}{2}$ miliona centnara. Z właściwych Niemiec, tylko prowincya saska, nadreńska i Westfalia obfitują w węgle; te ostatnie wywożą go podostatkiem. Jest nieco węgla w Wirtembergu, Bawaryi i Hanowerze, nadto w niektórych austryackich prowincyach, lecz reszty państw niemieckich produkcya jest bardzo słabą. W prowincyach polskich najbogatsze są okolice Krakowa; w ogólności w Polsce wydobywają go mało, podobnie jak w Hiszpanii i Portugalii. Są znaczne pokłady na Węgrzech, ale niedosyć exploatowane, choć na kilkaset lat znajduje się zapasu. Większa jest produkcya w Morawii, a w ogólności wzrasta ona w Austrii z każdym rokiem. Zpoza europejskich, nad wszystkie najbogatsze są kopalnie w północnej Ameryce.

Czytelnicy znają zapewne olbrzymie kopalnie angielskie w New-Castle, Walii i t. p. Opisywało je wielu ludzi, wystawiając jako cuda potęgi człowieczej, i zaprawdę opisy nie były przesadzone; lecz zabląkać się do nich w tój chwili nie mogę, chociaż mi stoją w myśli owe mosty straszliwe, maszyny parowe, ogromne szyby, i owe nadzwyczajne środki ostrożności, celem zapobieżenia eksplozji gazu, który się wydobywa często z pokładów węgla.

Różnice węgla pochodzą ze starości pokładu, zewnętrznego połysku i wartości; nigdzie niema śladu budowy drzewa od którego mają pochodzić, chociaż nierzadko spotyka się odciski roślin. Węgłe tworzą masę zbitą, barwy mniej więcej brunatnej lub czarnej, zwykle połyskującej się, przyczem zachodzi nieraz gra kolorów tęczy. Ich ciężkość gatunkowa zmienia się od 1, 15 do 1, 50. Leżą ukośnie i odłupują się pod kątem prostym do poziomemu pokładowi. Z wystawionych w pałacu najpiękniejsze są z południowej Walii i Tipperary w Irlandyi. Budowa ich jednostajna, odłam muszelkowaty, połysk szklany, często różnobarwny. Do produkcji gazu nie dadzą się używać; natomiast najwięcej używany w tym celu jest węgiel z Lancashire, gdy 20 centnarów tego węgla umieszczonego należycie w zwykłych retortach, dostarcza 11,000 stóp sześć. gazu, ale za to do zwykłego paliwa mniej jest użyteczny. Szkocki zpod Edyburga mało ustępuje angielskim.

Znaczna ilość modeli prześlicznie wykonanych, wykazuje następnie sposób wydobywania węgla i wentylacji min. Między innymi uderzył mnie przyrząd bardzo prosty i dowcipny, za pomocą którego wagony przechodząc do galeryi, otwierają i zamykają przyrządy, umieszczone dla ułatwienia wolnego prądu powietrza. Oszczędza się w ten sposób pracy jednego człowieka, który dawniej musiał otwierać za zbliżaniem się wagonów z węglem; a że przyrząd daleko pewniej i lepiej niż człowiek tę przysługę oddaje, unika się zarazem wypadków, pierwiej niezbyt rzadkich. Są także przyrządy zapobiegające spadnięciu koszu na dół, w przypadku gdyby lina windująca je, przerwała się.

Przechodząc następnie od węgla do żelaza, widzimy próbki jego rozłożone w wielkiej obfitości. Model kopalni Ebbu-vale zbudowany na wielką skalę, wykazuje stopniowo różne kondygnacje kopalni, sposób eksploatacji i rząd w jakim po sobie następują pokłady węgla i rudy. Pomiedzy modelami machin do wentylacji kopalni znajduję tutaj jedną, zasługującą na szczególną uwagę, bo mojem zdaniem żaden inny przyrząd nie odpowiada równie swemu powołaniu. Szybki ruch koła tworzy prąd powietrzny; w tém bowiem kole są trąby rozchodzące się promienisto, a złączone na osi wydrażonej i tworzącej koniec rury, przez które powietrze zepsute ma być czerpane. Skoro para albo woda z wielką szybkością puści w ruch ten przyrząd, siła odśrodkowa tworzy jeden prąd od środka do okręgu, a drugi odpowie-

dni pompujący w kolumnie głównej. Są tu także modele wielkich pieców z tą różnicą, że gdy dawniej ciepło zbyt znaczne uchodziło kominem, teraz tworzy parę i ogrzewa ogromną kolumnę powietrza, puszczaną ciągle do tych niezmiernych kraterów kopalnianych.

Na sąsiednich stołach znajdują się liczne próbki w różnych stopniach przetopu, a kto bacznie się przygląda, może się nauczyć rozróżniać ich wartość, porównywając w przetomach budowę włoskową metalu.

Kopalnie miedzi są również zaszczytnie reprezentowane; z przysłanych na wystawę próbek, wspomnę o ogromnej bryle, dobytą z kopalni Par-Consols w Cornouailles. Próbka ta waży 1500 funtów; podobne choć nieco mniejsze bryły, pochodzą z kopalni irlandzkich. Znajduje się wiele modeli do wytapiania tego metalu. Pomiędzy innemi próbkami, uderza potworny kryształ siarczanu baryty; jestto niezawodnie najpiękniejsza jaką widziałem próbka tego ciała w stanie krystalizacyi, z formami najwłaściwszemi temu minerałowi.

Oprócz miedzi, spotkałem w tym oddziale ołów i srebro zmieszane i oddzielnie, podobnież w rozmaitych stopniach przetopu, obok modeli fabrykacyi odpowiednich. Uderzyła mię blacha czystego srebra, ważąca 12,000 uncyj, i wartująca przeszło sto czterdzieści tysięcy złp.

Z wystawy kolonialnej i zagranicznej odznacza się kilka bardzo pięknych próbek. Z Kanady są próbki żelaza i miedzi, minerały mające 3 1/2 % srebra, złoto rodzime, węglan magnezyi, kamienie litograficzne i okry różnego koloru. Na wystawie Stanów Zjednoczonych znajduje się, jak wspomniałem, miedź rodzima, węgiel, węglan żelaza. Z New-Jersey jest bryła cynku, ważąca 164,000 funtów. Na wystawie rosyjskiej jeśli pominiemy kamienie drogie i żelazo z fabryk królestwa polskiego, mało ujrzymy próbek, ale są piękne, mianowicie cynku i miedzi. Natomiast wystawa szwedzka i norwęgka cechuje się głównie sławnem swem żelazem; ma także nieco niklu, kobaltu i t. d. Piękne są zbiory Sardynii i Związku Celnego; siarczany antymonium i ołów, najpiękniejsze z Hiszpanii i Portugalii. Wystawa francuzka pod tym względem jest bardzo słaba, ale belgijska odznacza się tak wielością, jako też układem próbek żelaza, cynku, kaolinu, węgla, ołowiu i t. d. Z Kalifornii widziałem tylko butelkę merkuryusza.

Kamienie drogic zajmują niepoślednie miejsce w pałacu. Dyament, ten czysty węgiel, służy nietylko do ozdoby, ale i w przemyśle jest nader użyteczny; używają go do osi zegarmistrzowskich, do krajania szkła, a pośledniejsze do szlifowania drogich kamieni. Zwykle nie ma on koloru, ale na wystawie znajduje się dosyć kolorowych. Żółte i zielone są mniej szacowne. Błękitne, aczkolwiek nie mają wielkiego połysku, w handlu bywają cenione wysoko; z kolorowych najkosztowniejsze są różowe.

Dyament przez szlifowanie utracą połowę swęj wagi: dlatego nieszlifowany jest o połowę mniej wart od szlifowanego równęj wielkości. Wartość zaś dyamentu idzie w stosunku kwadratowym do jego wagi; i tak, ponieważ karat dyamentu surowego wart jest 2 f. s., zatem dyament szlifowany wążący jeden karat będzie już wart 8 Ł., co znaczy wartość dwóch karatów dyamentu surowego. Umieszczam tablicę, której trzymają się tutejsi złotnicy w szacowaniu dyamentów:

Dyament szlifowany wążący	3 karaty, wart. jest	72 Ł.
"	4	126 "
"	5	200 "
"	10	800 "
"	30	7,200 "
"	40	12,800 "
"	50	20,000 "
"	60	28,000 "
"	100	80,000 "

Wyżej, a nawet w granicach tęj tabliczki nie ma już ceny handlowęj na dyamenty, bo nie ma na nich kupców.

Jeden z angielskich jubilerów przedstawił szereg wszystkich wielkich znanych dyamentów przewybornie naśladowany, począwszy od owego nieszlifowanego portugalskiego, który wążący 1680 karatów, a wart 5,644,800 Ł.; wielkość jego jest gęsiego jaja. Drugi po nim znajduje się w berle rossyjskim, wążący 779 kar. a wart. 4,854,728 Ł. Pomniejszych prawdziwych dyamentów jest wielka ilość na wystawie; dyament błękitny p. Hope znajduje się obok sztaby złota z Kalifornii, wystawionęj przez bank angielski w galeryi głównej; wążący 177 karatów (1). Gablotka Lemonniera z Paryża jest wysokięj ceny; ale nie może wyrównać bogactwu wystawy londyńskich dwóch jubilerów, p. Hope i p. Hems Rosskell.

(1) Jest także dyament zupełnie czarny p. Hope, wążący 300 karatów; tak jest twardy, że dotąd nie znaleziono sposobu wyszlifowania go.

Są tam dyamenty różnokolorowe, cudowne opale, szmaragdy; są bukiety z dyamentów i ogromnych pereł. Niedawno przysłał do pałacu p. Hope największą perłę na świecie $2\frac{1}{2}$ cala długości, a $1\frac{1}{2}$ cala szerokości. Pokazywano mi brylanty, jak mówiono Branickiego, przeszło milion fr. wartości. Atoli ze wszystkich dyamentów na wystawie, najpiękniejszy, najkosztowniejszy jest Koh-i-noor, należący dawniej do Runjeet-Singha. Kosztowny ten brylant jest jednym z większych, a szacowano go na 2 miliony ŁŁ . Przez cały dzień, dopóki pałac jest otwarty, strzeże go dwóch konstablów, aczkolwiek jest umieszczony pod słojem szklanym i w klatce stalowej wyłącanej.

Nie brak także na innych kosztownych kamieniach, opalach, szmaragdach, ametystach, a od chwili odsłonięcia wystawy rosyjskiej, na malakitach wielkości u Anglików nieznaną. Nie wystawiano sobie, aby utwór stalaktytowy, mógł obok regularnej formacji, przybrać tak olbrzymie wymiary; to co dotąd widziano z malakitów węgierskich, saskich, tyrolskich, nawet największa bryła jaką przysłali obecnie z Australii, z Burra-Burra, nie mogły dać wyobrażenia o malakitach rosyjskich. To też gdy obaczono ogromne wazy, kominki, drzwi kilkanaście stóp wysokie i mnóstwo innych przedmiotów z tego pysznego minerału wykutych, powstał jeden krzyk uwielbienia, i publiczność tłumnie waliła się do sali rosyjskiej, aby ujrzyć w ogromnych bryłach ten kosztowny kamień, który dotąd po wysokich cenach na brosze i spinki sprzedawano. Niemniejsze zadziwienie budził widok wyrobów jubilerskich wielkiej wartości, bogate kamienie i wielkie massy drogiego metalu: z kąd urosło przekonanie, że wystawa rosyjska w bogactwie i elegancji zachodnich wyrobów, spięra się z zagranicznymi.

Drugie z kolei miejsce zajmują produkta chemiczne. Znajdują się one w każdej niemal wystawie, lecz na nieszczęście nie można nic o nich powiedzieć, dopóki sędziowie przysięgli, którzy jedni tylko mają prawo każdy produkt wypróbować, wyroku nie wydadzą. Z polskich widziałem tylko Hirschmanna i Kijewskiego z Warszawy. Wystawa niemiecka w tym względzie jest bardzo bogata. W austriackiej celuje sól, soda, minium, cynober i przeszło 180 rozmaitych delikatnych kolorów. Francya przysłała piękne próbki alunu, siarczanu miedzi, siarczanu potażu, jodynę, chloran potażu; z Portugalii i Madery kwas winny, lagier, siarczan sody, saletran baryty i ołowiu, niedokwas cynku, węglan potażu i t. d.

Z Toskanii szklane przyrządy chemiczne, kwas saletowy i siarkowy i t. d. Między temi produktami znajdują się bez wątpienia bardzo piękne, lecz i pod tym względem wystawa zagraniczna nie może się porównać z angielską. W galeryi południowej, nieco na wschód od nawy głównej, znajduje się ogromny zbiór preparatów chemicznych i farmaceutycznych angielskich. Niepodobna mi wyliczać ani tych pięknych wyrobów, ani połyskujących kryształów, ani nawet modeli machin, i przyrządów do wytwarzania preparatów służących, które fabrykanci zarazem ustawili. Trzeba na to więcej specjalnych wiadomości, trzeba obszernego dzieła. Jestto ogromne pole nauki dla każdego chemika; ja wspomnę tylko o tém, co mnie w tym przeglądzie najwięcej uderzyło. Obok ściany południowej znajduje się mała szafa, zawierająca rozmaite akta, papiery, książki, ryciny i mapy zniszczone czasem, dymem, parą albo ogniem, a z pomocą wynalazku pp. Jerzego Clifford i Jennera Temple, przywrócone do dawnego stanu. Między temi aktami, Anglicy z wielkiem zajęciem ukazywali papiery wyrwane z pożaru Lincoln-Inn, które przeszedłszy proces chemiczny wynalazku, stały się zupełnie czytelnymi.

Tu miejsce wspomnieć o produkcie, którego niegdyś nasze portowe miasta wyłącznie dostarczały, a dzisiaj cechuje on wystawę jednego tylko kraju, to jest Prus: chcę mówić o bursztynie. Wilhelm Roy z Gdańska nadesłał cztery skrzynie surowego bursztynu, któreby mogły być ozdobą muzeum naturalnego. Między sztukami tamże złożonemi, najciekawsze są te, w których się znajdują zamknięte owady, co jest wyraźnym dowodem, że bursztyn niczem innem nie jest, jak tylko żywicą roślinną, do której w czasie jej tworzenia przyłgnione robaczki, pokryte zostały nową warstwą napływową żywicy. Takie sztuki są tutaj w wysokości cenie, a jeśli czyste, sprzedają się prawie na wagę złota. P. Roy nadesłał kilka brosz, bransolet, a nawet tacę bursztynową. Kupiec Wolff Manheimer z Królewca wystawił dwie piękne sztuki surowego bursztynu rzadkiej wielkości, z których jedna waży 4½, a druga 6 ff. Te ostatnie szacują na 9,000 złp. Z bursztynów nadesłanych przez Tesslera, funt większych sztuk kosztuje 100 talarów, mniejszych 50. Obaj Hoffmanowie z Gdańska wystawili naszyjniki bursztynowe, w których każda sztuka szeroka na cal lub dwa cale. Mogą one się wydawać mniej piękne, ale są ważnym przedmiotem handlu wywozowego za Europę, mianowicie

do Afryki, gdzie narody pogańskie z wielką uroczystością palą bursztyn na ołtarzach.

Wystawa Winterfelda z Wrocławia dowodzi, jak wysoko można posunąć sztukę w obrabianiu tak trudnego materiału. Zwraca powszechną uwagę jego waza bursztynowa (wartości 350 tal.), umbrelka płaska od świecy, na której wyróżnione są herby i portrety królowej Wiktorji i ks. Alberta. Wszelako nad tym przedmiotem dłużej nie chcę się zatrzymywać; dodam tylko, że choć w innych krajach znajdowano bursztyn w małej ilości, dotąd prusy zachowały odziedziczony po Polsce monopol dostarczania tego produktu. Wprawdzie bursztyn nie posiada ani dosyć połysku, ani też twardości, aby go można umieścić w rzędzie kosztownych kamieni; ale szacowny dla swego użytku, może w ręku biegłych sztukmistrzów stać się przedmiotem wysoko cenionym. Najpiękniejszy dotąd znany kawał bursztynu znajduje się w gabinecie berlińskim, i szacowany jest na 16,000 talarów.

Z produktów surowych roślinnych i zwierzęcych, są przedmiotem najpilniejszego badania te, które służą jako materiał przedzalny. Najpowszechniejszym jest jedwab'; widzę go wszędzie, tak dobrze w Rosyi jak Hiszpanii, południowych austriackich prowincjach, w Turcyi, we Włoszech, Francyi, a nawet w Anglii. Między jedwabiami indyjskimi uderza wszystkich jedwab' szary, napozór gruby, a pod nazwiskiem Fussur-Eri i Mongo używany do przędzy przez mieszkańców Assam. Widziałem tam jedwabnika jako poczwarkę, następnie worek w którym się zasnuwa, a dalej jako motyla, w którego się przemienia. Kolekcya chińska odznacza się jedwabiem białym; jedwab' żółty prześlicznego blasku znajduje we włoskich prowincjach, lecz pod względem jedwabiu białego nic nie może się porównać z rasą *Brońskiego*. Zdaje mi się, że czytelnicy nie wezmą mi za złe, jeżeli o niéj powiem słów kilka.

Major Broński rodem z Litwy, zamieszkawszy w dep. Bordeaux, znalazł we własności pana André-Jean, z którym razem wymyślił pług nowego rodzaju, drzewa morwowe, co go nakłoniło do zajęcia się chowem jedwabników. Pracował nieustannie od roku 1833, aby stworzyć nową rasę zastosowaną do klimatu, a zadowalniającą hodowników tak pod względem szybkości rozwoju, zdrowia robaczków, jak i jednostajności i siły produkcji, i dobroci jedwabiu. Zajmował się najprzód rasą silniejszą, wydającą jedwab' żółty; lecz przekonał się, że bielienie jedwabiu przez parę

siarkową, odejmuje mu żywotność. Wtedy postanowił szukać nowój rasy przez krzyżowanie dawnych. W tym celu zebrał najlepsze rasy jedwabiu białego, brał worki rasy *Sina*, słynnej przez swą białosc, i zbadał, że ten jedwab' wprawdzie delikatny i niepośledniej białosci, nie miał połysku i był słaby. Wybrał dwie inne: 1 *Syrie*, bogatą w jedwab' choć niedosć delikatny i wpadający w kolor zielonkowaty; 2 *Novi*, rasę mniejszą, której woreczki są silne i dobrze usnute, ale jedwab' ma kolor nieco żółtawy. W roku 1837 odbył cztery chowy, odłożył woreczki *Syrie* i *Novi*, a za wykluciem się motyli połączył samców *Novi* z motylicami *Syrie*. W roku 1838 wykuł się plód ztąd powstały, a w roku 1839 i 1840 powtórzył też same operacye. Co do rasy *Sina*: w roku 1837, kiedy się robaczki wydobyły, p. Broński oddzielił białe od czarnych, wybrał najlepsze woreczki, i nasienie zebrał osobno. Tę operacyą powtarzał w roku 1838 i 1839, lecz w roku 1840 połączył samce z woreczków robaków czarnych z motylicami robaków białych. Już zaś w roku 1841 zetknął samce rasy *Sina* z samcami utworzonemi przez wspomniane poprzednie skrzyżowanie ras *Novi* i *Syrie*. Krzyżowaniem tém stopniowem doszedł nareszcie pan Broński do rasy nowój, niepodpadającej chorobom, z woreczkami zapełnionemi jedwabiem równym, pełnym jędrności i połysku, a którego chów wcale nie dostarczał odmiennych woreczków. 200—225 woreczków tej rasy waży 500 gramów; 4½—5 kilogramów daje 500 gramów jedwabiu, z 31 gramów nasienia otrzymuje 75 gramów woreczków.

Po kilku chowach regularnie odbytych pokazało się, że nowa rasa jest stałą, a korzyści jej stwierdzone świadectwami władz i stowarzyszeń kompetentnych są następujące: 1) Jednoczesne wykuwanie się; 2) chów odbywa się w ciągu 23 dni; 3) nie było ani jednego wypadku śmiertelności; 4) robaczki były ciągle zdrowe; 5) wszystkie woreczki błyszczały nieporównaną białością; 6) długość nici w woreczkach wynosiła w średniem przecięciu 1057 metrów; 7) jedwab' tą metodą otrzymany jest delikatny, bardzo elastyczny, jędrny, i połysk ma dotąd nieznan; 8) jednostajność koloru i gatunku w całej rasie. W skutku tego w roku 1844 i 1849 nagrodzono pana Brońskiego medalem złotym. Minister handlu nalegał na niego usilnie, ażeby z wynalazkiem swoim przeniósł się w okolico Francyi, głównie jedwab' produkujące; lecz gdy do tego p. Broński nakłonić się nie dał, rząd postanowił kupić od niego ważny ten wynalazek, stanowiący epokę

w produkcji jedwabiu białego. Równie i na wystawie londyńskiej pierwszeństwo dla rasy Brońskiego przyznane zostało powszechnie, gdy z nią tak dobrze europejskie, jak i zaeuropejskie porównania wytrzymać nie mogą. Nietrzeba bowiem znawcy aby został uderzony różnicą białości, jaka od razu uderza oczy między jedwabiami Brońskiego, a innemi dotąd jako pierwsze znanymi.

Czytelnicy zapewne przebaczą mi ten ustęp, nad którym nie bez przyjemności rozszerzyłem się, bo mi podał rzadką na wystawie sposobność oddania sprawiedliwości rodakowi. Wracam do produktów surowych.

Biorąc na uwagę rośliny włókienkowate, trudno nie zdumieć się nad obfitością, z jaką je Opatrzność rozsypała. Czémże się więc dzieje, że dotąd dwóch czy trzech materij zaledwo użyto? Sądzę, że nieco pracy i przemyślnego gospodarstwa, byłoby dostatecznym do zużytecznienia wielu innych. Jednym z najważniejszych produktów tego rodzaju jest len. Północ Europy jest jego ojczyzną, sam może on się rodzić bez uprawy, lecz dzisiaj stał się przedmiotem usilnego badania. Wspomnę o tém niżej. Przeciwnie, konopie pochodzą głównie z okolic cieplejszych, gdzie przy małej uprawie bujnie wyrastają. Portugalia dostarczyła na wystawę przelicznych próbek; podobnie Holandya i Włochy. Wiele innych materij włóknistych znajduje się w krajach międzyzwrotnikowych, jakoto: aloes, ananas, *Phormium tenax*, czyli len Nowej Zelandyi, roślina chińska i t. p., a ich włókno połyskuje się jak jedwab'. Lecz rośliny te są zaprawdę małoważnemi, skoro oko zatrzyma się na puchu, którym okryte są ziarna drzewa bawełnianego. Na wystawie amerykańskiej przypatrywałem się z zajęciem jednej gałęzi tego drzewa z Karoliny południowej, którego torebki otwierające się, dozwalają widzieć puch. Ogromna przestrzeń ziemi, pokryta jest już dzisiaj tém drzewem: Indye, Egipt, Malta, a szczególniej téż Ameryka zasypuje produktem tym cały świat. Lecz ażeby z tego puchu utworzyć przedzę, z przedzy nici, a z nici odzież lekką i powabną; ileżto trzeba pracy, czasu, narzędzi, ile wreszcie poniesiono zachodów, aby przemysł ten stanął na stopniu, który dzisiaj potęgę Anglii utrzymuje. Dzisiaj zdaje się, że przemysł bawełniany doszedł do najwyższego szczytu: i bądźto niedostatek produkcji wobec wznmagającej się ciągle konsumcyi, bądź téż korzyści lnu, sprawiają, iż potrzeba tego ostatniego staje się coraz większa, i być może, że za lat niewiele zastąpi bawełnę, skoro tylko wyciskanie kolorowe na przedzach lnianych stanie się tak

łatwém i doskonałym, jak dotąd na materjach bawełnianych. Przemysł angielski w tój chwili z całą usilnością pracuje około tego zastąpienia bawełny przez len, chodzi mu bowiem o to, aby nie był podległy Ameryce, jak niemniej, aby surowego materiału rolnicy angielscy sami dostarczać mogli. Panowało dawniej mniemanie, że uprawa lnu wysila grunt; czyniło więc liczne doświadczenia tutejsze *Agricultural society*, a obok tego, zeznania praktycznych gospodarzy, dowiodły mylność tój opinii. Konsumeya lnu, tak w celu gospodarskim jako i przemysłowym, od lat 20stu wzrosła w Anglii niestychanie, a w tym samym stosunku jak się podniósł duch przedsiębiorczy fabrykantów, wzmagał się przywóz produktu tego z zagranicy; i jakoz, gdy w roku 1831 sprowadzono go za jeden milion funtów szterlingów, w 18 lat później roczny przywóz wart był dwa miliony, a urzędowe wykazy stwierdziły, że za sam len i makuchy, zapłacili Anglicy 9 milionów f. s.

Lecz abym w dzisiejszym liście dokończył tego pobieżnego obrazu, który dla was skreśliłem, muszę choć z żalem porzucić tę jój część, gdzie nietylko rolnik, fabrykant, sztukmistrz, czerpie naukę, ale gdzie każdy człowiek myślący przechodząc uważnie, widzi się być odrazu wtajemniczony we wszystkie potęgi natury, poznaje jój warunki, działania, bije czołem przed usilnością ludzką, która siły fizyczne do swoich potrzeb nagina i w płody natury ducha swego włożywszy, takowe uszlachetnia. Postępując w opisie porządkiem katalogu, który produkta surowe wyliczywszy, wyszczególnia przyrządy do ich przetwarzania służące, zanim przystąpię do tego rezultatu połączonych sił natury i człowieka, to jest fabrykatów, wypada mi się obecnie zastanowić nad machinami. Przedmiot to zastraszający wielkością: sala na 700 stóp długa, zastawiona gęsto samemi machinami angielskimi, które z pomocą maszyny parowej o sile stu koni, wszystkie puszczone są w ruch. Kanaly podziemne pobocznego budynku przeprowadzają do tój sali siłę poruszającą. Tu się odkrywa tajemnica potęgi Anglii, tu jój gieniusz jaśnieje blaskiem nieporównanym.

Wystawa machin angielskich podzielona jest na trzy części: w pierwszej są przyrządy użytku bezpośredniego, działacze pierwotne, służące do dźwignia, ważenia, liczenia; tu są windy, prasy, olbrzymie żorawie; tu narzędzia matematyczne i fizyczne, a wreszcie rolnicze. Druga największa zajmuje maszyny właściwie fabryczne; trzecia modele wszystkich budowli opartych na inżynierji i mechanice.

Najliczniej jest dotąd zwiedzany oddział machin fabrycznych. Tłumy widzów otaczają działające maszyny, z zadziwieniem patrzą na te stopy kółek, śrubek, drążków, które poruszają się z taką regularnością, zimną krwią, z taką pewnością samego siebie, jakoby w nich siedział duch genialnego mechanika, który je stworzył. Tu zbiegają się inżynierowie i mechanicy zagraniczni, przejęci zdumieniem na widok tak ogromnych postępów nauki, niejako zawstyżeni, poniżeni w sobie w obec tylu najtrudniejszych zagadnień, rozwiązanych z taką łatwością i prostotą; tu schodzą się fabrykanci lądowi, pytając siebie niemal ze strachem, jak wielki to musi być naród i jak ufny w samego siebie, kiedy nie waha się każdemu ofiarować za darmo owoc tyloletnich wysiłków i zachodów. Nie pamiętam, aby w moim życiu cośkolwiek więcej mnie zajęło nad ten szereg machin rozklassyfikowanych wedle rodzaju produkcji, i odstawianych stopniowo postęp każdego fabrykatu, a wlewających w duszę tę myśl pocieszającą, iż zaspokojenie moich potrzeb w dzisiejszej cywilizacji, nie wymaga już krwawego potu robotnika, że człowiek chrześcijański bliźniego swego od najcięższych robót uwalnia, i zdaje je na maszyny; że więc jeśli pracę moją wymieniam za rezultat rozmyślań mechanika, i niezbyt nużące zatrudnienie robotnika, wymiana jest sprawiedliwa, a każdy biorący w niej udział, stosownie do zasługi zyskuje nagrodę.

Cała fabrykacja od początku aż do końca stoi przed oczami widza. Z wielkich pak bawełny wydobyte arkusze wychodzą z maszyny oczyszczonemi pasami; te składane w rulonie metalowym, z następną wychodzą już grubszemi lub cieńszemi niciami. Z nici dalsze maszyny tworzą tkanę, a wszystko się odbywa z taką szybkością, że w ciągu jednej minuty, można wyrobić 60 jardów. Jeżeli Szekspir w wyskoku swojej fantazyi, chciał raz ziemię całą w przeciągu 40tu minut jednym pasem otoczyć, to zaprawdę duchem wieszczym przewidywał maszyny, które tu dzisiaj Manchester wystawiło.

Skoro ogromne sztuki wyrobów bawełnianych wychodzą obielone z maszyny, czeka je najważniejsza praca, to jest tak zwane farbowanie i drukowanie. Są tu maszyny, które farbują na raz z obu stron, które wyciskają ośm a nawet czternaście kolorów. Taką jest właśnie machina pp. Nelson, Knowless et Comp. Farbowanie wyrobu zajmowało długo teoretyków i praktyków; dotąd zaś farbują tylko trzy materycy włókniste, to jest wełnę, jedwab i bawełnę. Wszystkie te trzy ciała obejrzane przez mikroskop, mają jeden charakter; są porowate, przepelnione koinórkami. Skoro im się przy-

rzy po ufarbowaniu, ujrzymy, że materya farbująca zapełniła te komórki, a farbowanie jest *złym* lub *dobrym* w miarę jak mimo działaczy rozpuszczających, jakimi są, mydło, woda i alkalia, farba nie wychodzi z komórek, do których je wcisnęto. Autorowie, którzy dotąd w tym przedmiocie pisali, nie zgadzają się co do przyczyny przylegania farby do komórek we włóknach. Jedni uważają ją jako prosty fakt mechaniczny, i komórkę ufarbowaną porównują do brylantu osadzonego w metalu; inni zaś przypuszczają, że zachodzi pewien proces chemiczny między ciałami. Wiadomo, że nie wszystkie ciała włókniste zatrzymują jednaką ilość barwy; różni się pod tym względem tak dobrze jedwab, jak wełna i bawełna. Są kolory przystające jedynie do materyj zwierzęcych, a inne do roślinnych, i na tém się opiera rozumowanie tych, co obstają za powinowactwem chemicznym. Przeciwnicy ich odpowiadają, że ta różnica tłumaczy się stosunkiem, jaki zachodzić powinien między wielkością atomu farbującego, a objętością komórki. Zresztą, jedna i druga teoria wyjaśnia sposób farbowania, a jakakolwiek jest przylegania tego przyczyna, rzecz pewna, że go zetknięcie samo nie sprawia. Trzeba, aby szczególne okoliczności przychodziły w pomoc. Tak np. niedokwas żelaza nadaje bawełnie kolor płowy, bardzo trwały, wytrzymujący zarówno powietrze, światło, mydło, alkalia, i najmocniejsze tarcie. Gdyby chciano ubarwić bawełnę przez samo tylko dotknięcie z niedokwasem, nie uda się próba; widocznie, że albo atomy niedokwasu są zawielkie i nie mogą się wcisnąć do komórek, albo też komórki zawielkie i atomy z nich łatwo wypadają. Należy wezwać w pomoc czynnika chemicznego, a rozpuściwszy w nim niedokwas, natychmiast atomy jego przylgną do komórek. Używa się w tym celu kwasu octowego: w nim zanurza się żelazo i otrzymuje się sól, zwaną octanem żelaza. Bawełna napuszczona taką cieczą, wystawia się na powietrze; wtedy kwas octowy ulatnia się, niedokwas żelaza pozostaje i materya otrzymuje silny kolor rdzawy. Zresztą nie masz podobno nikogo, coby tego doświadczenia nie robił: wszakże plamy atramentowe nie są czem innym, tylko ubarwieniem materyi za pomocą niedokwasu żelaza. Dość rozpuścić żelazo w occie, wymyć materyę, a plama zniknie. Przykład ten wyjaśnia dokładnie tajemnicę sztuki farbowania materyi, która tak wielką rolę odgrywa w tej części wystawy.

Podobnie jak maszyny do przędzenia bawełny, do których wszędzie zastosowano nieoceniony system Jacquarta, ustawione są w szeregu wedle postępu fabrykacyi maszyny do przędzenia lnu, jedwa-

biu, welny, a obok rozwieszono po ścianach materye przez też same maszyny wyrobione. Ich przegląd jest sownie nauczający, oswaja najmniej świadomego z tajemnicami przemysłu. Z maszyn do lnu najwięcej mnie uderzyła Roberta Plummera, patentowana zaprzeszłego roku.

Komu nie tajno jak wiele len przy ręcznej robocie wymaga czasu, zachodu, a nawet zdrowia obróbenie i wyczyszczenie lnu i konopi, jak dalece największą trudnością w postępie produkcji tego materiału w naszym kraju jest mitrega, której dla wydobywania włókna uniknąć niepodobna; ten błogosławić będzie maszynę, która z pomocą kilkorga dzieci w ciągu jednego dnia wyrobi więcej, niż kilkadziesiąt kobiet u nas. A dodać jeszcze należy, że oczyszczenie jest nierównie doskonalsze, i że się materiału zdolnego do użycia bynajmniej nie traci. Maszyna Plummera składa się z trzech przyrządów:

Pierwszy zwany *breaking-Machine* składa się z pięciu walców, ustawionych poziomo w dwóch szeregach. W przednim szeregu są dwa walce, w tylnym trzy. Wszystkie walce mają po sobie karby, które wzajemnie zachodzą, tak, że poruszenie jednego sprawia ruch wszystkich. Motek lnu wsuwa się w szereg tylny między walec górny i środkowy; gniecie go maszyna i przepuszcza raz drugi między walec środkowy i dolny, z kąd się dostaje do przedniego szeregu, i tam po raz trzeci w żłobkach walców doskonale się kruszy. Jeśli tę samą operacją powtórzymy drugi raz, skruszy się do reszty powłoka twarda na włóknie. Operacja jest tak szybka i tak mało kosztowna, że pokruszenie centnara lnu kosztuje jednego penny, to jest pięć polskich groszy. Motek w pierwszym przyrządzie połamany idzie do młynka zwanego *Seutehing Mill*, gdzie się natychmiast oddzielają paździerze i wychodzi samo włókno. Młynok ten potrzebuje czterech rąk, a wyrabia pięć centnarów dziennie. Aby włókna do jednakowej długości przyprowadzić i nici dokładnie oczyścić, służy trzeci przyrząd szczotkowy *Heckling-Machine*, w którym szczotki metalowe w ruchu oscylacyjnym puszczone, czeszą włókna w ciągu kilku sekund tak, że przyrząd ten potrzebujący właściwie pięć rąk, to jest jednej do wsuwania motków, a cztery innych do odbierania i przekładania, gdy jeden człowiek nie nastarczyłby w odbiorze, oczyści trzyście centnarów w ciągu jednego dnia. Jedna maszyna parowa o małej ilości koni, do poruszania wszystkich trzech przyrządów jest dostateczna.

Jako maszyna pomocnicza, niezmiernie ważna a zadziwiająca doskonałością, jest maszyna *Crabtree* (Tomasza) z Londynu do ro-

bienia grępli. Mała ta machinka ma w sobie trzy ruchy, które przy danym materiale bez pomocy człowieka dostarczają wyrobu. Z koła obwinionego taśmą bawełnianą spuszcza się ona na dół, drugie koło boczne rozwija drut, a przyrząd środkowy porywa go, załamuje, ucina i jako podwójne igielki wsuwa w taśmę; inny zaś przyrząd z drugiej strony wsunięte druciki przyciąga i umocowyywa. Nie bez zadziwienia oglądałem gręple; pikowanie jest tak dokładne i regularne, że ręka ludzka nie podobnego zrobić nie może. Maięj praktyczne wydały mi się maszyny Appolda, tak zwane pompy odśrodkowe, które mają być używane do osuszania bagien. Za pomocą wirowego obrotu podnieść można wodę do żądanej wysokości, lecz że obrotów koła potrzeba przeszło 1,000 na minutę, zatem tak wielkiej siły bez maszyny parowej otrzymać nie można. Na zasadzie ruchu odśrodkowego utworzony jest młyn cukrowy Manlove Alliota. Panew wkleśła obraca się z nadzwyczajną szybkością, przez co tworzy się silny prąd powietrza, który osusza głowy cukru; lecz że głowa cukru jest w ruchu, odrywają się więc od niej cząstki nieczyste i osadzają na ścianach. Korzystny ten przyrząd zaprowadzony we wszystkich lepszych rafineryach w Europie, pracy kilkodniowej dokonywa w ciągu 8—10 minut, i oszczędza bardzo wiele miejsca, którego potrzebowano dawniej rozstawiając suszące się głowy.

Niepodobna pobyć chwili w sali maszyn, aby nie zostać uderzonym ogromną prasą drukową Middletona. Porusza ją siła pary, co wreszcie w Anglii jest już zwykłym, bo wprowadzono tę metodę po raz pierwszy w r. 1814. Machina ta odbijając cztery exemplarze na raz, stawia kolumnę arkuszową pionowo w walcu, a zatem układ kolumn pojedynczych jest łukowym. Walce obracając się ciągle, w czasie obrotu cztery razy sprowadza zetknięcie papieru z kolumną; wszakże w innych maszynach zetknięcie to dzieje się ośm razy, gdy ośm exemplarzy odbija na raz. Jeżeli zwrócimy uwagę, że za każdym odbiciem kolumna obciera się o czernidło, jeżeli zważymy, jak ogromną stawia trudność wielkość formatu, zawierającego z jednej strony 24 kolumn: to zaprawdę nie będziemy się mogli dość wydziwić szybkości i dokładności operacji połączonym razem, i przeszlicznemu mechanizmowi, który nie pozostawia nic więcej człowiekowi, jak tylko przysunąć pod zęby maszyny papier czysty i wyjąć zadrukowany. Ta jedna machina po maszynach przedzalnianych przedstawia mechanikowi pole, na którym się może wyuczyć mnóstwa ruchów, kombinacyj i nieporównanej zgodności układu.

Jest jeszcze w tym oddziale mnóstwo machin zadziwiających dowcipem, nowością wynalazku, zręcznym zastosowaniem; są maszyny introligatorskie do składania papieru, są kuźnie mechaniczne, nadające sztabom i prętom żelaznymi dowolną formę bez najmniejszego wysilenia człowieka; są maszyny okrętowe zastępujące wiosła lub koła parowe, są dźwignie i windy hydrauliczne, maszyny robiące same koperty, drukujące liczby z ciągłym postępem numerów; jest wiele innych przyrządów, których prosty spis zabiera w katalogu kilka arkuszy ścisłego druku; ale powtarzam, na zbadanie i opisanie tych przyrządów, trzeba by lat i tomów kilku. Uderzają wszystkie cudzoziemca i oswojonemu z Anglią przypominają tylko to, co oddawna widział; Anglicy bowiem jest to jedyny naród, których użytek praktyczny przekonywa odrazu; umieją oni ocenić nowe wynalazki, bez namysłu ich nie przyjmują, ale też nie odrzucają uparcie tylko dlatego, że są nowe. Dla uzupełnienia tego obrazu inuszę wspomnieć, że w tej galerii są jeszcze zbiory modeli mostów, tam, portów, machin czerpiących, wiaduktów, tuneli, dachów, chodników, domów, okien, kominów, przyrządów nurkowych, baterij galwanicznych do wysadzania min, sygnałów okrętowych, pomp, łańcuchów, drzwiczek okrętowych, przyrządów gazowych i gazometrów, których wystawa jest bardzo ograniczona, gdy w pałacu zabroniony jest ogień i światło. Jest ogromna prasa hydrauliczna, której użyto przy budowie mostu Britannia-Bridge, jest model tego mostu, jak niemniej mostu na Dnieprze pod Kijowem, Renie pod Kolonią i t. d. Niemala ilość pomniejszych przyrządów, pomiędzy którymi uważałem przyrządy dwóch Polaków osiadłych w Anglii, to jest: Dunina maszyna złożona ze sprężyn stalowych, w postaci człowieka, a służąca do brania miary na męzkie suknie, i Renczyńskiego model mostu wiszącego drewnianego, obok wozu poruszanego przez kręcenie śruby bez końca i t. p.

W porównaniu z ogromnym zbiorem angielskim, mocno uderza niedostatek machin na wystawie zagranicznej, i to podobno tłumaczy różnicę między rozwojem przemysłu angielskiego i zagranicznego. Prawda, że niektóre narody w pewnych specjalnych oddziałach, a jak Francuzi we wszystkiem co się tyczy gustu, pobili Anglików; ale nie masz żadnego rodzaju przemysłu w Europie, któryby w skrzydle W. Brytanii nie był reprezentowany dostаточно z bogactwem niepojętym, z wykazem zasobów niewyczerpanych. Prawda, że w nawie angielskiej nie masz tak miniaturowych robót, jakie np. widziałem w chińskich; ale i to prawda, że, jak obrachowano, aby

Chińczycy mogli wyrobić to, czego same tylko maszyny przedzielne angielskie dostarczają, potrzebowaliby całorocznej pracy 200 milionów ludzi. To też Anglia uzbrojona w maszyny, przemysł całej Europy może wyzwalać na rękę, i walkę zwycięzko odbędzie; tak dalece jest faktem, że przemysł w obecnym czasie nie jest już możliwy tam, gdzie jego podstawą nie są maszyny. Porównajmy wystawę maszyn zagraniczną; jedna Belgia stosunkowo do swego obszaru, zasługuje na uwagę po Anglii. Holenderskie maszyny są nieliczne i drobne; austriackich prawie wcale nie ma; w oddziale niemieckim widziałem tylko dwie maszyny, nad którymi zastanowić się warto: to jest maszynę menniczą, i przyrząd do odlewu czcionek, o których w przeszłym liście mówiłem. Wystawa Ameryki północnej pod tym względem jest bardzo uboga. Zajęła mnie na niej maszyna cieplikowa Erriksona. Już jako dzieło wyrobione mistrzowsko, już też jako próba wydobycia z powietrza ogrzanego siły, którą się otrzymuje przez maszynę parową z daleko większą stratą paliwa. Aczkolwiek na wystawie nie może ona być puszczona w ruch, rad posłyszę o próbie, jaką z nią przysięgli odbędą, bo maszyna ta jest ulepszeniem innej, przed kilkoma laty wynalezionej w Anglii, i zdaje się mieć przed sobą przyszłość wielką. Perkins, ten sam, co wynalazł ową nieszczęsną fuzyję parową, ogrzewa piec wodą wrzącą. Z innych maszyn, zasługują na uwagę przyrządy rolnicze.

Na wystawie duńskiej znajduje się jedna tylko maszyna składania i rozkładania czcionek. Przekonawszy się, że dotychczasowe tego rodzaju wynalazki były złudzeniem, obejrzawszy dawniej maszyny kosztowne, jak np. w zakładzie Melina w Brukselli, wcale nieużyteczne, zbliżyłem się do wynalazku z mocnym niedowierzaniem; lecz maszyna której autorem jest Duńczyk Söreusen, odznacza się taką prostotą, kombinacją tak pewną i rozciągłą, że rozproszyła większą część mego uprzedzenia. Oto jest jej układ:

Jak wszystkie maszyny tego rodzaju próbowane dotąd, oznaczona jest klawiszami, mającemi na sobie znaczki alfabetyczne. W środku narządzą się dwa bębny albo raczej dwie kaszty położone nad sobą, której runda są z blachy miedzianej. Kaszta mniejsza służy do składu, wyższa do rozkładu czcionek. Pedaly puszczają maszynę w ruch; czcionki ułożone pionowo w króbkach kaszty, tak, że składają stopy tychże samych liter. Kiedy się uderza w klawisz w stronie odpowiedniej, mały sztyfcik mosiężny wyrzuca czcionkę w lejek wspólny wszystkim czcionkom, którego otwór rurki przypada na długi winkelak, umieszczony pod narzędziem. Każda więc wyrzu-

cona czcionka, stawia się kolejno w winkelaku; tworzy się w ten sposób wiersz długi, który się następnie przelamuje stosownie do szerokości kolumny. Tyle co do składania.

Rozkład jest jeszcze prostszy. Za pomocą dźwigni przechyla się obie kaszty, i położenie ich z pionowego staje się poziomem. Podnosi się kolumnę do rozkładu przeznaczoną, porówna z rowem wspólnym obu kasztom, i wsuwa się kolejno do tego rowka wiersze kolumny rozkładowej (formy) idące po sobie, aż do rowku kaszty wyższej. Skoro jeden rowek jest napelniony, nasuwa się drugi, a skoro cała kolumna przeszła w ten sposób do rowków kaszty wyższej, skręcają się obie kaszty, i przyjmują napowrót kierunek poziomy. Za pomocą pedałów, czcionki z rowków kaszty wyższej przechodzą do niższej w króbkę właściwą, to jest: a do stosu a , b do stosu b , tak, że żadna czcionka nie może zmylić miejsca. Jakże się to dzieje? sposobem bardzo prostym, bo każda czcionka ma na sobie karby odpowiednie otworowi króbek, i kiedy na nie nachodzi, własnym ciężarem wpada. W ten sposób można rozłożyć 10,000 czcionek na godzinę, kiedy najrzęczniejszy zecer, połowy w ciągu tego czasu nie rozłoży. Chodzi teraz o to, czyli tarcie, któremu te czcionki są podległe, nie zużywa zbyt prędko odlewu, i czyli nie ściera się karbki na czcionkach, przez coby te wpadały do krobek sobie niewłaściwych? Na te pytania tylko praktyka może odpowiedzieć. Cóżkolwiekby, machina Sörensena zdaje mi się być ogromnym ulepszeniem w drukarstwie, i zbliża nas do epoki, kiedy zecer uwolniony będzie od mozolnej pracy, składu i rozkładu czcionek.

Największa po angielskiej jest wystawa machin francuzkich; lecz w ojczyźnie Jacquarta mało widzę machin przędzalnych, a te co są, zdają mi się być niższe od angielskich. Z pomniejszych uderzyła mnie Poiriera prasa litograficzna do kopiowania, mogąca dostarczać wielkiej ilości kopij; zolarnia przenośna (buanderie portative), działająca z pomocą pary i czyszcząca bieliznę bez mydła, wynalazku Charla et Com., któraby u nas, szczególnie na wsi, bardzo się przydała; pompa pozioma, machina do ważenia monet Seguiera, używana oddawna w większych bankach, oddzielająca monetę zbyt lekką, zbyt ciężką i odpowiednią; dowcipna machinka do pisania dla ślepych, wynaleziona przez ślepego; dalej kilka lokomotyw, dźwigni, pras, a w końcu przyrządy Polaka Baranowskiego, które chociaż małe u nas mogą mieć zastosowanie, zasługują jednakże choć na krótki opis w piśmie polskiem.

Trzy są rodzaje przyrządów Baranowskiego: 1) Przyrządy rachunkowe, w których z pewnych danych za odślonięciem guzika, wypada natychmiast nieomylny rezultat. Takim jest przyrząd do obliczania należności za transport na kolei żelaznej, procentów od kapitałów, z uwzględnieniem najkrótszych terminów, wypłaty zarobku robotnikom z uwagą na dnie, godziny i kwadransy pracy, wedle płacy dziennój, zmiany wekslarskie i bankowe. 2) Machiny zasadzające się na wzajemném *nieustającym* zaczepianiu się kółek (*engrenage continuel*), i wybijające postępowy numer na biletach kolei żelaznej, teatru, balów i t. p., z tém nad dotychczasowe angielskie ulepszeniem, że machina wykazuje ostatni numer odbity, którego zmienić niepodobna, co służy za kontrolę, i że dowcipny układ kół, pozwala wedle wielkości machiny posunąć ostatni numer do jakiegokolwiek bądź wysokości; a nakoniec 3) machiny do wotowania pojedynczego lub wielokrotnego, tajnego i t. p. Z tych ostatnich, widziałem tylko jedną machinę, zastosowaną do zwyczaju w izbach francuzkich panującego, to jest *scrutin de division*. Za pociągnięciem guzika w jedną lub drugą stronę, postępuje ilość wotów za lub *przeciw*, a zmieniający się z drugiej strony numer, ostrzega biuro, że reprezentant już wotował, chociaż mu nie oznajmia za czém wotował. Tak zaś jest przyrząd ułożony, że nikt dwa razy wotować nie może, bo po każdym przesunięciu guzika, prezes musi pociągnąć tylny guzik zatrzymujący postęp liczby. Wszystkie te machinki dowodzą wielkiej biegłości w rachunku, i niemalój znajomości mechaniki; dla nas byłyby przydatne tylko te, które odbijają bilety z numerem postępowym.

Przechodzę obecnie do machin rolniczych. Rozpatrując się w tej części wystawy nie można nie wpaść na myśl, że narzędzia rolnicze, które dotychczas dochowały nam się tak, jak je przekazali odlegli przodkowie, blizkiemi są ogólnego przeobrażenia. W całej niemal Europie zmieniły się stosunki włościańskie, a czém jest zniszczenie pańszczyzny na Wschodzie, tém zdaje się być i usunięcie praw zbożowych w Anglii. Wszędzie umysł rolnika zmuszony jest, czy to przez brak rąk, czy też przez konieczność większego korzystania z gruntu, do szukania sposobów pomnożenia produkcji zbożowej. Tego dopiąć bez machin nie może, z kąd się wykrywa potrzeba udoskonalenia tych, których dotąd używano, a ta potrzeba odkrywając szerokie pole zysku mechanikom, zagnała ich aby umiejętności swój zasoby rolnictwu poświęcili, tak, jak dotąd obracali je prawie wyłącznie na korzyść przemysłu. Już dzisiaj maszyny rolnicze w wystawie każdego narodu zajmują miejsce dosyć poważne; a choć te, co są wy-

stawione nie zdają mi się być dosyć praktyczne, okazują jednakowoż symptom o którym mówię, to jest zwrotu działalności ludzkiej w tę stronę. I pod tym względem wystawa angielska góruje niezmiernie nad zagraniczną, co wreszcie odpowiednio jest różnicy gospodarstwa w Anglii i zagranicą, i co wreszcie jest skutkiem wpływu wielkich stowarzyszeń rolniczych. Sami Anglicy to przyznają, że przed dziesięcioma laty zupełnie inną byłaby wystawa angielska machin rolniczych. Dzisiaj liczy ona przeszło 300 wystawiających, a we wszystkich tych narzędziach widzę silną wolę człowieka, łamiącą się z trudnościami i starającą się, aby z pracy ludzkiej osiągnąć jak największe rezultaty, o ile jej zastąpić się nie da siłą koni lub pary.

Jako osobliwość uderzył mnie nasamprzód plug parowy. Powiem odrazu co o nim myślę. Choćby pod względem uprawy roli nie pozostawiał on nic do życzenia i wynalazcę zupełnie zadowolniał, to kwestya ceny przyrządu nasuwałaby wielką trudność. Jak dalece ona zachodzi powiedzieć nie umiem, ale myślę, że czytelnik nie bez przyjemności dowie się kilku szczegółów o układzie tego narzędzia. Wyobraźmy sobie naprzód lokomotywę poruszającą się środkiem pola na drodze żelaznej przenośnej, złożonej z ruchomych szyn, stawiających się jedna za drugą kolejnie. Ta lokomotywa waży 70 centnarów i ma siły 36 koni, zowie się zaś Kalifornia. Imię to symboliczne jest i pięknej wróżby, bo jeżeli rozwiązaniem zostanie zagadnienie, będzie w tej lokomotywie tyle przynajmniej złota, ile w owjej ziemi, w owym celu wędrowki połowy świata. Na prawo i na lewo maszyny parowej są dwa systemy plugów, mogących się odsuwać lub przysuwać do lokomotywy, a to z pomocą dosyć długiego *łańcucha bez końca*. Łańcuch ten okręca się z jednej strony około walca obracanego przez maszynę parową, z drugiej około walca utwierdzonego stale w gruncie w odległości umiarkowanej łańcuchem bez końca. Jakżeż plugi postępują? Naprzód zbliżają się do lokomotywy orząc, poczem zmieniwszy przyrząd przyłączenia łańcucha bez końca, oddalają się nie orząc, gdy prosty przyrząd pozwala im nie dotykać gruntu. Ruch plugów jest kolejny, tak, że jeden bez orki dochodzi aż do końca pola, drugi zaś orząc kieruje się do środka; każdy system ma cztery lemieszki, a na każdym systemie czyli wózku z plugami siedzi jeden człowiek kierujący. Zapewniano mnie, że plugi te orząc uchodzą pięć mil angielskich na godzinę, że zastępują szesnaście plugów dwukonnych i ośmiu ludzi: zkadby wypadła oszczędność ośmiu ludzi i trzydziestu dwu koni. Rachunek nie jest łatwy, bo z jednej strony trzeba odtrącić koszt paliwa, niszczenie maszyny i przypadki, które

mogą uszkodzić narzędzia; z drugiej kapitał na kupno koni, ich zużycie się i śmiertelność. Samo tylko doświadczenie może powiedzieć co ten przyrząd jest wart; nie może zaś być używany jak tylko na płaszczynach, lecz i tych jest dosyć na świecie, a u nas podobno nie najmniej.

Ważniejsze przyrządy rolnicze na wystawie angielskiej są z maszynami parowymi stałymi lub ruchomymi. Niektóre z nich zalecają się budową i łatwym zastosowaniem. Takimi są np. młockarnie, siewkarnie, młyny, maszyny do przebierania owsa, młecia siemienia lnianego i t. d. Pomiedzy narzędziami polnemi są plugi wszelkiego rodzaju, brony, maszyny do rozbijania bruzd, brony norweskic, siewniki, motyki, grabie, maszyny do rżnięcia siana, żniwiarki i t. p. Angielscy gospodarze wysławiają niezmiernie motyki i siewniki mechaniczne p. Garetta. Obie używane są zwykle razem, ponieważ jedna przygotowuje robotę drugiej. Używają ich do wszelkiego rodzaju ziarna. Motyka mechaniczna p. Garetta jest na kołach; ile ich jest przy jednem narzędziu, tyle dźwignia stopniowo podnosi i spuszcza tak głęboko, że z łatwością wyrwa dzikie zieleńskie i korzenie, choćby grunt oddawna i głęboko zanieczyścili. Oprócz oszczędności czasu i kosztów ma ona tę jeszcze wyższość nad motyką ręczną, że porusza znaczną warstwę ziemi i dodaje w ten sposób nowe soki roślinom, nigdy zaś ich nie narusza. W Anglii do takiej motyki przyprzegają jednego konia, a dwóch ludzi nią kierujących może oczyścić i przerobić dziesięć do piętnastu akrów dziennie. Przy innych maszynach Garetta nieodzowne są maszyny parowe, i to jest właściwą cechą tej części wystawy angielskiej. Tutejsi rolnicy nabierają tego mniemania, że rzadko kiedy para nie może zastąpić siły końskiej. Gdyby to praktyka stwierdziła, uważałbym nową metodę za wielką oszczędność, bo mniej więcej koń użyty do uprawy roli zjada piątą część tego co zarobi, kiedy tymczasem, zastosowane maszyny do siewkarni, młockarni i t. p. oszczędzają przynajmniej szóstą część wydatku na konie, którychby wypadło użyć do tej roboty. Lecz z drugiej strony i to trzeba mieć na względzie, że w Anglii w niektórych miejscach centnar węgla, mimo wysokiego zarobku górników, kosztuje cztery złote polskie, a jest nieporównanie lepszy od naszego! Dlatego wszystkie maszyny parowo-rolnicze pomijam, i nie będę o nich pisał, chyba kiedy przysięgli odbywszy próbę, wykażą niezaprzeczone a ważne korzyści. Nad żadnem narzędziem rolniczym nie pracowano tyle, co nad plugiem: dlatego też po doświadczeniach robionych z nim w ciągu lat trzydziestu, stanął on już w rzedzie maszyn

blizkich doskonałości. Z angielskich najwięcej zwracają uwagi plugi Howarda i Bedforda z żelaza kutego. Skład ich elegancki, proporcye kroju i lemiesza wymierzone są na zasadach geometrycznych, przez co zmniejsza się opór i skiby krają się równiej. Dom Ransoma et Comp. znany wszędzie (bo jego katalogi widziałem w Polsce, a narzędzia liczą się do najlepszych), przedstawił kilka wyrobów własnych, a mianowicie plug uwieńczony już nagrodą stowarzyszenia rolniczego, mogący orać (za pomocą drobnego przyrządu), tak dobrze w ciężkim jak i lżejszym gruncie.

W wystawie niemieckiej widziałem kilka modeli rolniczych Sprengla i Hartmana, między któremi kilka jest nowych. Tak np. jest plug z 16 lemieszami, inny zagłębiający się od 16—23 cali, plug pomorski, belgijski. Austria przysłała kilka plugów wynalazku Infelda rządcy dóbr ks. Lobkowicza; ale przeciw tym narzędziom byłoby wiele do powiedzenia. Plugi belgijskie są mocne, lecz zaciężkie i robota gruba. W wystawie francuzkiej najlepszy jest plug wynalazku pp. André-Jean i Brońskiego. Może on więcej lub mniej się zagłębiać i da się użyć do wszelkiego rodzaju ziemi; model wystawiony jest drewniany. Broński połączył go razem z siewnikiem i broną. Ze wszystkich narzędzi rolniczych, ten najśmieliej gospodarzom polskim mogę zalecić. Wszakże z wystawy zagranicznej najbogatszą w tym oddziale jest wystawa Ameryki północnej. Nie wchodząc w porównanie plugów starego i nowego świata, przestanę na opisie kilku nadesłanych z Nowego-Yorku i Bostonu. Większa część ma odrębną, właściwą sobie formę. Drzewo użyte do budowy może się zdjąć łatwo dla naprawy lub przesyłki w odległe strony; żelazo zaś jest mieszaniną metali, dzięki której staje się mocnym i trwałszym niż zwykłe, a pokryte polewą ma połysk błękitnej stali i nieprędko rdzewieje. Lecz co mnie w nich najwięcej uderzyło, to sposób zaprzęgu; uważam go za daleko doskonalszy od europejskiego, bo wreszcie próba jest łatwa do zrobienia za pomocą dynamometru. Jest on oparty na rachunku naukowym. Znajdują się także inno przyrządy, jakoto: brony, przewyborne grabie, motyki do kopania ziemniaków (urządzone tak doskonale, że nie dotykają i nie obrażają kartolli), kosy, siewniki i t. d. Żniwiarek widziałem dwie, obie są ciężkie, niezgrabne, zbyt wielkie, a choć jeden z tych fabrykantów przechwala się, że sprzedał kilka tysięcy naszych narzędzi, nie mogę przypuścić, aby one były praktyczne.

Następny oddział machin podzielony jest na cztery części: 1) Narzędzia miary, to jest do mierzenia czasu, miejsca, objętości, wagi i ró-

żnych zjawisk fizycznych; 2) narzędzia wykazujące zasady fizyki; 3) narzędzia muzyczne; 4) narzędzia chirurgiczne. W galerji południowo-zachodniej znajdują się zegary. W przechodzie uważałem zegar wieżowy Denta. Ma on to właściwego, że skazówka minut zamiast posuwać się zwolna, skacze co pół minuty, jak to jest zwyczajnym przy skazówkach sekundowych. Dzwony są z żelaza lanego. Postępując dalej spotykam tak wielką ilość zegarów doskonale wykonanych, że czuję się w kłopotcie, które wybrać, aby o nich coś powiedzieć. Wszelako zegary Roberta są od innych oryginalniejsze. Jest tutaj niemała liczba regulatorów, o których już pisałem. Zegary stołowe pod względem gustowności ozdób, ustępują zupełnie francuzkim. Interesujące są zegary wykazujące ruch gwiazd; najważniejszym z nich jest zegar Lovelaca, dokonany w zeszłym wieku; mówią, że nad nim pracował 34 lat. O zegarkach kieszonkowych angielskich niewarto mówić; są niezgrabne, ciężkie, a co najważniejsza, trzy razy droższe od genewskich.

Z codziennych wykazów w dziennikach ułożyłem następującą tablicę, która z wszelką dokładnością wylicza summę powziętą z codziennej sprzedaży biletów i liczbę osób.

Summy cząstkowe w tej tabliczce oznaczone są z tygodnia.

Miesiąc	Dzień	Liczba osób placących przy bramie		Summa zebrana przy bramie		Liczba do rozumiana osób wchodzących za biletami ciągłym	Ogólna liczba osób wchodzących do budynku, wraz ze sztabem, ekspozytorami, służbą, podana przez policją
		Liczba	Cena wejścia	Ł.	sz.		
Maj . . .	1					19,000	25,000
	2	560	Ł. 1	560		15,000	15,560
	3	482	Ł. 1	482		15,000	15,482
	Summa	1,042		1,042		49,000	56,042
Maj . . .	5	5,452	5 sz.	1,362	19	12,304	17,756
	6	5,834	5 sz.	1,458	10	12,321	18,156
	7	7,163	5 sz.	1,790	15	12,314	19,479
	8	8,072	5 sz.	2,018		13,000	21,072
	9	7,298	5 sz.	1,824	10	12,310	19,614
	10	7,375	5 sz.	1,843	15	14,801	22,176
	Summa	41,194		10,298	9	77,050	118,253
Maj . . .	12	6,390	5 sz.	1,597	10	12,932	21,322
	13	8,918	5 sz.	2,229	10	13,027	23,945
	14	8,259	5 sz.	2,064	15	13,131	23,390
	15	9,704	5 sz.	2,426	0	13,527	25,231
	16	10,226	5 sz.	2,556	10	13,804	26,030
	17	9,889	5 sz.	2,472	5	13,700	25,589
		Summa	53,386		13,346	10	80,121
Maj . . .	19	9,380	5 sz.	2,345		13,740	25,120
	20	13,443	5 sz.	3,360	15	13,800	29,243
	21	14,049	5 sz.	3,512	5	14,200	30,249
	22	15,892	5 sz.	3,797	11	13,500	31,393
	23	16,382	5 sz.	4,095	10	14,000	32,352
	24	20,312	5 sz.	5,078		22,200	44,512
		Summa	89,458		22,189	1	91,400
Maj . . .	26	18,402	1 sz.	920	2	7,000	25,402
	27	27,957	1 sz.	1,347	17	2,043	30,000
	28	37,184	1 sz.	1,869	4	3,421	40,605
	29	47,518	1 sz.	2,375	18	4,370	51,888
	30	22,713	2½ sz.	2,839	9	22,956	45,669
	31	7,083	5 sz.	1,770	15	20,747	28,550
	Summa	160,857		11,123	5	60,537	222,114

Miesiąc	Dzień	Liczba osób płacących przy bramie		Summa zebrana przy bramie		Liczba do-rozumiana osób wcho- dzających za biletami cią- głym	Ogólna liczba osób wchodzą- cych do budyn- ku wraz ze sztabem, expo- zytorem, służ- bą, podana przez policję
		Liczba	Cena wejścia	£.	sz.		
Czerwiec	2	42,581	1 sz.	2,129	1	3,709	46,290
	3	48,302	1 sz.	2,415	2	2,327	50,629
	4	50,016	1 sz.	2,500	16	4,619	54,635
	5	51,337	1 sz.	2,566	17	3,917	55,254
	6	20,468	2½ sz.	2,558	11	5,666	26,134
	7	6,095	5 sz.	1,634	15	7,563	14,102
		Summa	218,799		11,123	5	60,537
Czerwiec	9	48,714	1 sz.	2,436	4	5,480	54,194
	10	45,444	1 sz.	2,272	2	4,253	49,697
	11	43,219	1 sz.	2,160	19	4,535	47,754
	12	44,667	1 sz.	2,233	7	3,651	48,318
	13	17,650	2½ sz.	2,206	5	6,870	24,520
	14	6,539	5 sz.	1,634	15	7,563	14,102
		Summa	206,233		12,943	12	32,352
Czerwiec	16	57,089	1 sz.	2,854	9	6,680	63,769
	17	63,821	1 sz.	3,191	1	4,433	68,154
	18	59,947	1 sz.	2,897	7	4,716	62,663
	19	59,692	1 sz.	2,984	12	4,171	63,863
	20	22,553	2½ sz.	2,819	4	9,281	31,834
	21	6,698	5 sz.	1,674	10	6,034	12,732
		Summa	267,800		16,421	3	35,215
Czerwiec	23	60,373	1 sz.	3,018	13		66,679
	24	60,389	1 sz.	3,202	7		67,633
	25	62,324	1 sz.	2,695	18		57,637
	26	54,850	1 sz.	2,727	10		57,114
	27	21,358	2½ sz.	2,973	10		26,955
	28	6,371	5 sz.	1,607	12		10,645
		Summa	275,665		16,325		
Czerwiec	30	49,380	1 sz.	2,469	16		52,316
Lipiec . .	1	48,695	1 sz.	2,429	10		50,453
	2	47,898	1 sz.	2,375	9		49,399
	3	53,039	1 sz.	2,662	9		55,600
	4	20,737	2½ sz.	2,614	3½		26,007
	Summa	226,763		12,533	7½		234,772

Uwaga. Od dnia 23 czerwca nie mogłem wyrachować liczby osób wchodzących za biletami ciągłymi, gdy wykazów jeszcze nie ogłoszono.

Ogólna summa. Od d. 1 maja do 5 lipca było ludzi w pałacu wystawy 2,133,548, a zapła- cili za bilety ciągłe i jednorazowe 186,245 £. 12½ sz.

INSTYTUT KREDYTOWY SZŁĄZKI Z ROKU 1835.

PRZEZ

Adama Bagniewskiego.

W chwili kiedy zaczyna się coraz więcej ustalać u nas przekonanie o potrzebie i użyteczności nadania kredytowi ziemskiemu ile można znacznej rozciągłości, właściwem znajduję bliższe zapoznanie się z instytucją w sąsiedniej prowincyi pruskiej, tojest w Szlązku, już od lat kilkunastu istniejącą, która pod tym względem przodkuje wszystkim innym gdziekolwiek znanym; i która przytém obejmując niektóre nowe zupełnie i godne wszechstronnej uwagi zasady, poda mi zrzeczność zapatrzania się na ten przedmiot więcej jeszcze ze stanowiska praktycznego jak naukowego.

Dekretem króla pruskiego z dnia 8 czerwca 1835 r. zaprowadzony został dla prowincyi szlązkiej Instytut kredytowy, udzielający pożyczki w listach zastawnych, po pożyczkach landschaftowych, najwyżej do dwóch trzecich części wartości dóbr, a w gotowiznie i poniżej $\frac{2}{3}$ części téjże wartości (1).

(1) Jestto pomysł zgasłego dwa lata temu (dnia 7 listopada 1849 r.) ministra pruskiego i prezesa królewsko-pruskiej kompanii handlu morskiego p. Rother, rodem Szlązaka (patrz dodatek do Gazety Szlązkiej z r. 1849, nr. 265). Z pamięcią tego znakomitego męża stanu wiąże się kilka wielkich ekonomicznych i finansowych zagadnień, do których rozwłazania na drodze praktycznej, przyłożył on się dzielnie i skutecznie, niżby to na samej drodze naukowej dopełnić się dało.

W artykule „Krótki rys powstania i rozwijania się kompanii handlu morskiego w Berlinie”, głównie Rotherowi pomyslnosc swoję zawdzięczającą. (Biblioteka Warszaw. z r. 1845) miałem już sposobność napomknąć o niektórych z tych zagadnień; jakże zaś pod względem kredytu ziemskiego

Zarząd jój powierzony został władzy bezpośrednio królowi odpowiedzialnej, od innych władz niezależnej, w Berlinie urzędującej, a złożonej z członków przez króla mianowanych, z pomiędzy których wybierani są kommissarze w prowincyi szlązkiej urzędujący. Nadane jój zostały prawa korporacyom służące, a w szczególności prawo nabywania dóbr i kapitałów, i ich lokowania.

Prezydujący w Instytucie jest zarazem szczególnym kommissarzem królewskim. Ma on w zarządzie Instytutu (jak się wyraża de-

miął Rother zasady, świadczy o tém Instytut kredytowy szlązki, będący jednym z praktycznych pomników jego sławy. Wspomniawszy o tym znamienitym i już dziś zgasłym mężu stanu, nie mogę przeleneć na sobie, abym pamięci jego nie poświęcił w tém miejscu kilka słów uwielbienia. Był on niegdyś mieszkańcem Warszawy, i od roku 1797 do 1809 urzędował tu w kilku władzach: za czasów pruskich w magistracie i w kamerze dóbr, a po zawarciu pokoju tylicyckiego w ministeryum sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego. W roku 1810 udał się do Królewca, i odtąd nieprzerwanie aż do roku 1848 w służbie pruskiej zostawał. Ja zaznałem go przed laty dwudziestu, kiedy był jeszcze w sile wieku i w samej pełni swojej działalności. Jeden z głównych twórców przemysłu pruskiego, przyklaskiwał on postępowi, jaki i w naszym kraju zaczął się właśnie wówczas wybitnie objawiać, a przyklaskiwał nie tylko przez miłą pamięć kraju niegdyś przez siebie zamieszkiwanego, ale może i w mniemaniu, że postęp ten był choć w części skutkiem zapatrywania się na własną jego działalność. Odnoszę to do budowy dróg bitych, jakiej w roku 1829 podjął się Bank Polski, tak samo, jak na pięć lat wprzód podjęła się jój w różnych prowincjach pruskich zarządzana przez Rothera kompania handlu morskiego.

Oprócz wspomnianej dopiero budowy dróg bitych, tudzież zaprowadzenia Instytutu kredytowego szlązkiego, o którym tu w szczególach pomówię, Prusy zawdzięczają Rotherowi wzniesienie w celu znakomitych zakładów fabrycznych, które niedość rozwiniętemu i lekliwie postępującemu przemysłowi krajowemu dzielny nadały popęd, i że tak powiem, dały mu wyrosć z młodzieńca kierunku potrzebującego, na męża o własnych już postępującego siłach (Biblioteka Warszawska z r. 1845). On wreszcie uporządkował finanse pruskie, i zaprowadził kasę umorzenia długu publicznego.

Do spełnienia tego wszystkiego Rother posiadał wysokie zdolności, które z rzadką pracowitością, wytrwałą wolą, wzorowym porządkiem, tudzież początkowaniem w pomysłach połączyć umiał, a nadewszystko umiał zasłużyć aż do końca swego publicznego zawodu na nieograniczone zaufanie swoich monarchów. Zarząd kompanii handlu morskiego poręczony mu został w roku 1820, a to (słowa reskryptu gabinetowego z dnia 17 stycznia 1820 r.) z władzą nieograniczoną i osobistą odpowiedzialnością; sprawował zaś go w takim zakresie i nieprzerwanie do roku 1848, miał więc i czas do przeprowadzenia swoich widoków.

kret królewski), pełnomocnictwo nieograniczone, i specjalny nadzór nad jego czynnościami, a to pod osobistą odpowiedzialnością. Ilekroć zatem różni się w zdaniu z decyzją Instytutu, większością głosów zapadłą, mocnym jest zawiesić jej wykonanie, i żądać decyzji monarszej. Również do niego tylko zanoszone być mogą wszelkie przeciw Instytutowi zażalenia, które on sam rozpoznawać, i w razie potrzeby do decyzji monarszej przedstawiać może.

Przeznaczeniem Instytutu jest:

1) Tym właścicielom ziemskim, którzy już zaciągnęli pożyczki landschaftowe, lub w przyszłości zaciągną, udzielać bezpośrednio po nich pożyczki w listach zastawnych, na okaziciela wystawionych, a przez rząd zagwarantowanych, do $\frac{2}{3}$ części szacunku dóbr.

2) Tym właścicielom ziemskim, którym pomoc powyższa nie wystarcza, lub udzieloną być nie może, udzielać pożyczki w gotowiznie nawet po pożyczkach Landschafty i Instytutu, i niżej $\frac{2}{3}$ części szacunku; a gdzie i to nie pomoże, ułatwiać pośrednictwem swoim regulacją długów.

I. Pożyczki w listach zastawnych.

Listy zastawne o jakich mowa, z małemi tylko odmianami podobne są do listów landschaftowych szlązkich, a dla odróżnienia oznaczone są literą B. i tak je też w cennikach giełdowych mianują. Wystawiane są w wysokościach talarów 25, 30, 100, 200, 500, i 1,000, z numerami biegnącemi dla listów każdej wysokości, i tak, że połowa listów na każde poszczególnie dobra udzielonych jest na talarów 500 i 1,000, a druga połowa w wysokościach mniejszych i w równym pomiędzy sobą stosunku.

Wszystkie listy wydane na jedne i też same dobra mają między sobą równe prawo pierwszeństwa. Na procenta 4% dołączane są kupony półroczne na lat 5, płatne w styczniu i lipcu we Wrocławiu, a w lutym i sierpniu w Berlinie.

Gwarancya rządu rozciąga się tak za kapitał listów, jak i za przywiązane do nich procenta. Tym celem udzielony został Instytutowi, i do jego zarządu oddany, odpowiedni bezprocentowy, rozporządzalny, i od biegnących wydatków państwa niezawisły awans, a przytém Instytut ma fundusze z udzielanych mu pożyczek z depozytów sądowych i pupilanych.

Tak zagwarantowane listy lit. B uważane są przez władze za przedstawiające także samo bezpieczeństwo jak listy Landschafty,

a posiadaczom ich służy względem Instytutu prawo do regularnej opłaty procentu i kapitału w sposób ustawą oznaczony, bez względu na zaległości z dóbr odłużonych; a względem właściciela dłużnego prawo specjalnej hipoteki za kapitał, procenta i kosztu, który znowu nie stoi w żadnym zobowiązaniu osobistym względem posiadaczy listów, mogących z poszukiwaniem iść tylko do *respective* dóbr, i to wtedy dopiero, kiedyby Instytut zobowiązaniom swoim w czasie właściwym zadość nie czynił.

Listy zastawne jako umarzalne nie mogą być przez posiadaczy wypowiedane, i również prawo wypowiedzenia i żądanie spłaty w gotowiznie nie służy ani pojedynczym właścicielom dóbr, ani Instytutowi. Temu ostatniemu służą tylko dwa wyjątki do wypowiedzenia, to jest: jeżeli dłużny właściciel nie czyni zadość wezwaniom Instytutu o prowadzenie porządku rachunkowości i dobrego gospodarstwa, tudzież kiedy w miejsce pożyczki landschaftowej wprowadzi przez subrogacją innego prywatnego wierzyciela.

Właściciele dóbr w prawie zaciągania długów nieograniczeni, przystępować mogą do Instytutu Kredytowego szląckiego z takimi tylko dobrami, na jakie pożyczka Landschafty jest już lub jednocześnie zostanie zaciągnięta, i jakie przytém posiadają prawem sukcesyi, lub przynajmniej od lat dziesięciu w razie nabycia, w czém jednak wolno jest Instytutowi w szczególnych wypadkach czynić wyjątki. W pierwszych pięciu latach od zawiązania Instytutu dosyć było udowodnić pięcioletnie posiadanie właścicielskie.

Rzeczą jest właściciela dóbr przedstawić sposób w jaki długi hipoteczne, zaciągnąć się mającą od Instytutu pożyczką, spłacone będą, tak, aby ta następowała zaraz po pożyczce Landschafty. Złożyć także winien dowody szacunkowe, jakoto: ostatnią taxę landschaftową, a gdzie téj nie było, poświadczenie o przyjętym przez Landschaftę szacunku dóbr, dokładny opis gospodarstwa, świadectwa z ubezpieczenia od ognia tak nieruchomości, jak i inwentarzy żywych i martwych, świadectwo z ubezpieczenia od gradobicia, a gdzie można i od zarazy na bydło.

Instytut stara się następnie zebrać jak można najdokładniejsze przekonanie o stanie zagospodarowania i wartości dóbr. Tym celem, za pośrednictwem szczególnych kommissarzy sprawdza stan dóbr i złożoną sobie taxę, a gdzieby jój nie było, może jój zażądać.

Instytut nie ma żadnego obowiązku przyznawać pożyczki do pewnej oznaczonej wysokości szacunku dóbr, i wysokość ta jest wyłącznie jego uznaniu pozostawiona; z tém tylko ograniczeniem, że wy-

sokość listów lit. B. łącznie z dwuletnim procentem od listów land-schaftowych, który w szczególnych tylko wypadkach wolno jest wy-puszczać z obrachowania, mieścić się powinna w $\frac{2}{3}$ częściach sza-cunku dóbr, przez Instytut przyjętego.

Zaciągający pożyczkę wystawia na rzecz Instytutu obligacją pię-cioprocentową w stosownej osnowie, która wraz z wygotowanemi przez Instytut listami zastawnemi lit. B. objawioną zostaje w rubryce IIIój świadectwa hipotecznego (odpowiada działowi IV wykazu naszój hypoteki).

Przystępowanie do pożyczek Instytutowych nie ma oznaczonego terminu prekluzyjnego, jest zatem ciągle i w każdym razie za zgło-szeniem się nastąpić może.

Wyplata pożyczki ma tylko wtedy miejsce w listach zastawnych lit. B., kiedy jest jako nowy dług zaciągana; jeżeli zaś posługiwać ma na spłatę wierzytelności hipotecznój już istniejącej, listy zastawne pozostają własnością Instytutu, wyplata zaś sposobem obowiązkowym następuje w gotowiznie, chyba, że i dłużnik i wierzyciel żądają wy-platy w listach. Jeżeli i dłużnik i wierzyciel życzą sobie wypłaty w listach zastawnych lit. B., winni o tém Instytut na 4 tygodnie przed terminem wypłaty uwiadomić.

Wyjednywanie pierwszeństwa przed wierzytelnościami hypo-tecznemi, pożyczkami Instytutu niespłacanemi, potrzebne jest wtedy tylko, kiedy pożyczka przewyższa dług spłacany, w wysokości kapi-talnej, lub w wysokości przywiązanej doń stopy procentowój. Wier-zyciel zaś hipoteczny, którego kapitał w sposób przynależny wypo-wiedziany został, nie może wzbraniać się od przyjęcia zapłaty od In-strytutu, a jeżeli wypłaty w terminie nie przyjmuje, Instytut składa na jego rachunek i ryzyko kapitał do depozytu właściwego sądu; po-czém wierzytelność hipoteczna na imię Instytutu przepisana zostaje.

Właściciel dóbr obowiązany jest uiszczać opłatę 5 $\frac{0}{10}$ do kassy Instytutowój we Wrocławiu, w czterech ratach kwartalnych, a to aż do zupełnej amortyzacyi długu, lub do jednorazowój jego spłaty.

Z opłaty 5cio-procentowój liczy się na właściwy procent 4 $\frac{0}{10}$, na umorzenie $\frac{3}{4}$ $\frac{0}{10}$, a na koszta administracyi $\frac{1}{4}$ $\frac{0}{10}$. Procent od zaległości wynosi 4 $\frac{0}{10}$, na koszta wygotowania listów $\frac{1}{5}$ $\frac{0}{10}$. Ściąga-nie zaległości następuje albo przez właściwy sąd, który przystępuje do exekucyi bez poprzedniego zwykłego postępowania sądowego, al-bo w drodze sekwestracyi, którą Instytut prowadzić może do wy-boru, sam, lub poruczając ją władzom Landschafty. Pierwszeństwo do takiój sekwestracyi służy zawsze Instytutowi, który w każdym ra-

nie może ją przejąć na siebie, za zwrotem Landschafcie zaległości i kosztów; a wolno mu także kontrolować ją przez szczególnych swoich kommissarzy.

Jeżeli po upływie roku gospodarskiego, sekwestracja nie pokryje zaległości i kosztów tak Landschafcy jak i Instytutu, służy ostatniemu prawo zażądać subhastacyi przez właściwy sąd, a w tym razie taxę do subhastacyi potrzebną sporządza Landschafto, z przybraniem ze strony Instytutu jednego kommissarza. Instytutowi służy także prawo zastrzegania w warunkach licytacyjnych spłaty części swojej należności w listach zastawnych lit. B.; za część zaś téjże należności przy gruncie pozostającą, i w postąpionym szacunku przekazaną, odpowiada nabywca osobiście z całego swego majątku.

Za kapitał spadły na licytacyi, służy Instytutowi regres nie tylko do pierwiastkowo dług zaciągającego i jego sukcesorów, ale i do wszystkich następujących po nim do owéj chwili właścicieli dóbr, którzy listy zastawne na rachunek ceny szacunkowéj przyjęli.

Dłużnikowi z powodu doznanych klęsk niewypłacalnemu, może być dana folga od 6 do 12 miesięcy, ale tylko co do $\frac{4}{5}$ części; albowiem piąty procent przeznaczony na umorzenie i koszta administracyi, musi być w każdym razie zapłacony.

Pożyczki Instytutu jako udzielane do wyższej skali szacunku od pożyczek Landschafcy, narażają go na większe ryzyko, a przeto zastrzeżoną jest dlań nie tylko kontrola przy sekwestracjach i taxach jak wyżej, ale nawet ma on prawo czuwać nad stanem zagospodarowania w dobrach odłużonych; wglądać czy przepisy w téj mierze Landschafcy obowiązujące, są ściśle wypełniane; zarządzać od czasu do czasu rewizye przez swych delegowanych, a czynić się mogącym na téj drodze spostrzeżeniom, Landschafta zadość jest uczynić obowiązana. Wolno jest wreszcie Instytutowi włożyć na właściciela dóbr obowiązek prowadzenia ściślej rachunkowości, która od czasu do czasu jest przez kommissarza spatrywaną i sprawdzaną; wolno mu odbierać od zarządców przysięgi; zgoła przedsiębrać może na drodze prawem dopuszczonej wszelkie możliwe środki do utrzymania inwentarzy i dóbr w stanie należytego zagospodarowania.

Fundusz amortyzacyjny $\frac{3}{4}$ 0/0, obracany jest wyłącznie na kupno listów lit. B, a losowanie ich wtedy tylko, i o tyle ma miejsce, o ile kupno najwyżej po cenie imiennéj nastąpić nie może. Losowanie to odbywa się proporcjonalnie w listach rozmaitych wysokości; wypłata zaś wylosowanego listu, następuje w Berlinie lub we Wrocławiu, w sześć miesięcy po najbliższym terminie opłaty procentów.

Za użycie funduszu amortyzacyjnego na cel właściwy, członkowie Instytutu są osobiście odpowiedzialni.

Dozwoloną jest także jednorazowa splata części lub całości zaciągniętego długu; wykreślenia jednak z hipoteki żądać można tylko w razie splacenia tym sposobem przynajmniej $\frac{1}{5}$ części zaciągniętej pożyczki w kapitale.

Instytut zwolniony jest od wszelkich opłat stęplowych i portoryj: kontrola i rewizya landschaftowych tax i sekwestracji, rewizye inwentarzy, stanu zagospodarowania i inne czynności, nie pociągają żadnych dla dłużnika wydatków, które już wszystkie zaspokajane są z funduszu na koszt administracji obmyślonego. Z tego także funduszu Instytut pokrywa rzeczywiste niedobory w kapitale i procentach, a jeżeli fundusz ten łącznie z procentem od udzielonego Instytutowi przez rząd bezprocentowego awansu, nie wystarcza na pokrycie wszystkich wydatków, czerpie się z kapitału tegoż awansu. Nawzajem, jeżeli dochody przechodzą wydatki, zakupowane są za przewyżkę listy zastawne lit. B, któremi na wniosek Instytutu, później rozporządzone być ma.

2. Pożyczki w gotowiznie.

Aby podać Instytutowi możność przychodzenia z pomocą i tym właścicielom ziemskim, którym pomoc ad lmo nie wystarcza, lub udzieloną być nie może; a zarazem, aby depozyta sądowe i pupilarne prowincyi szlązkiej już istniejące, lub w przyszłości powstać mogące, upożytecznić w taki sposób, iżby obok bezpieczeństwa, przynosiły korzyści tak stronom interesowanym, jak i tej prowincyi do której się odnoszą, postanowioném jest: że wszystkie tego rodzaju depozyta do Instytutu na cel pożyczek w gotowiznie udzielanych przeniesione być mają. Wszakże wolno Instytutowi w miarę posiadania gotowych funduszy, odmówić przyjęcia depozytu, lub już przyjęty za czterotygodniowém wypowiedzeniem, zwrócić generalnemu depozytowi.

Od depozytów pupilarnych, Instytut płaci $3 \frac{1}{2}$ % procentu, od sądowych 3 %. Rząd zaś poręcza tak za wypłatę procentów jak kapitałów, a przytém zrzekł się prawa poprzedniego, odsyłania stron do funduszy Instytutu.

W związku z takim powiększeniem swojego obrotowego kapitału, Instytut kredytowy ma sobie wskazane za szczególny obowiązek przykładanie się wszelkimi środkami do przywrócenia kre-

dytu dla właścicieli ziemskich w Szlązku, i do utrzymania ich przy własności posiadanych dóbr. Tym celem jest on władny z obrotowego swojego kapitału udzielać pożyczki w gotowiznie, bądź na regulacją długów, bądź na polepszenie gospodarstwa, nawet tym właścicielem dóbr, którym pożyczki w listach zastawnych lit. B, do $\frac{2}{3}$ części szacunku udzielone, stanowczęj pomocy przynieść nie mogły, a którzy przy dostatnich inwentarzach gruntowych, odznaczają się porządnym gospodarstwem, i którzy w braku prawnego na dobrach bezpieczeństwa, dozupełnić go mogą złożeniem rękojmi, lub zastawów (1).

Pożyczki te dawane są na 4 0/0, na spłatę zaś ich oznacza się najmniej 5 0/0 na rok, a przytém Instytut w takich razach ma już obowiązek czuwać, aby udzielony zasilek na cel właściwy obrócony został, i tym celem stypulować jest władny zastrzeżenia, mogące mu zapewnić wpływ do zarządu gospodarstwa i innych stosunków dłużnika.

Nawet w tych wypadkach, w których żadna już pożyczka nie może być właścicielowi dóbr z bezpieczeństwem udzieloną, Instytut na żądanie właściciela pośredniczyć może w regulacji jego majątku i długów, przejmując zarząd dóbr na siebie, traktując z wierzycielami, udzielając zaliczeń na zaspokojenie ich w drodze układu, i przedsiębiorząc wszelkie inne prawem dopuszczane środki, dążące do utrzymania dla dłużnika posiadania dóbr, a przynajmniej starając się o zapewnienie dla niego i dla jego rodziny przyzwoitej kompetencyi.

Wreszcie dozwolone i zalecone jest Instytutowi, nawet na te dobra, na których nie ma pożyczki landschaftowej, lub które się do niej nie kwalifikują, udzielać pożyczki w gotowiznie, za stosownym według przepisów depozytalnego urzędnienia, hypotecznym ubezpie-

(1) Według powszechnego prawa pruskiego, mający prawo rękojmi obowiązany jest na ulęj poprzestać, gdy ta zapewnioną być może na posiadłościach ziemskich w pierwszych $\frac{2}{3}$ częściach, a na gruntach miejskich w pierwszej połowie wartości, albo też na wierzytelnościach hypotecznych w szacunku jak wyżej umieszczonych.

Przy składaniu na rękojmią przedmiotów ruchomych w zastaw, miany jest wzgląd na $\frac{3}{4}$ oszacowanej ich wartości.

W miejsce rzeczowego bezpieczeństwa przyjętą być może i prosta przysięga poręczenia, wtedy, gdy bezpieczeństwo rzeczowe stawione być nie może, a dwóch obywateli dobrej sławy używających i stosunki ręczyciela dobrze znających, tegoż za dostateczule pewnego uznają.

czeniu, a w razie potrzeby, za poprzedniem na koszt właściciela dóbr sporządzeniem taksy; tudzież z wyraźnem poddaniem się nadzorowi Instytutu pod względem utrzymania w dobrym stanie inwentarzy gruntowych i gospodarstwa.

Instytut kredytowy nie zdaje sprawy publicznie ze swoich czynności, ani téż żadne w téj mierze raporta nie są drukiem ogłaszane.

Na drodze tylko prywatnej, której przecież zupełnie ufać można, powziąłem wiadomość, że wysokość pożyczek w listach zastawnych lit. B, udzielonych do $\frac{2}{3}$ szacunku dóbr, dochodzi 7 milionów talarów. Rozległość prowincyi szlązkiej wynosi 741 mil geograficznych, to jest około $\frac{1}{3}$ rozległości królestwa polskiego. Jestto więc summa znakomita, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę, że tylko na takie dobra udzielano pożyczki w listach zastawnych lit. B, które są obciążone pożyczkami Landschafty, zajmującemi jak wiadomo połowę szacunku dóbr, a udzielonemi tylko na dobra szlacheckie, z wyłączeniem dóbr rządowych. Znać z tego, że znaczna część dóbr prowincyi szlązkiej korzystała z dobrodziejstwa, pożyczkami Instytutu zapewnionego.

Pożyczki w gotowiznie poniżej $\frac{2}{3}$ części szacunku dóbr udzielane są z wielką ostrożnością; wynoszą téż dlatego mało tylko znaczącą summę, na której przecież żadnych strat nie poniesiono.

W roku 1843, to jest już po obniżeniu stopy procentowej od różnych listów zastawnych przez Landschafty pruskie wypuszczonych, obniżono także procent i od listów Instytutu szlązkiego, z 4 na $3\frac{1}{2}$ % (dekret królewski z dnia 31 marca 1843 r.).

Nie znizono jednak dotychczasowej opłaty 5 % przez dłużników uiszczanej, ale postanowiono, że w miejsce $\frac{3}{4}$ procentu, liczone być ma na amortyzacyą $1\frac{1}{4}$ %. Postąpiono w téj mierze na podobieństwo pożyczek Landschaftowych, które znizenie stopy procentu przeznaczyły na amortyzacyą listów zastawnych.

Różnica w tém tylko zachodzi: że gdy pożyczki Landschaftów pruskich, wyjąwszy poznańskiéj, były nieamortazyjne, znizenie stopy procentu posłużyło na stworzenie funduszu umorzenia, bez podwyższenia opłat dla stowarzyszonych; w Instytucie zaś kredytowym szlązkim, znizenie procentu posłużyło tylko do powiększenia już istniejącego funduszu umorzenia, zawsze przecież bez podwyższenia opłaty od dłużników przypadającej. I w tém także zachodzi różnica: że Instytut kredytowy szlązki przyjąwszy szeroką zasadę niewypowiadalności listów, nie konwertował listów 4ro-procentowych na $3\frac{1}{2}$

procentowe, jak to w chwili znizenia stopy procentowej zrobily wszystkie Landschafty, lecz tylko przyjal zasadę, że dalsze od roku 1843 pożyczki w listach zastawnych B., udzielac będzie na stopę $3\frac{1}{2}\%$, 4% iż dziś w obiegu znajduja się dwojakie listy zastawne B, to jest tak; i $3\frac{1}{2}\%$.

Później nawet (dekret króla pruskiego z dnia 11 lipca, 1845 roku), postanowiono: że pożyczki Instytutu w listach zastawnych B, mają być udzielane stosownie do woli zapożyczającego, albo w listach 4ro-procentowych, według ustawy z roku 1835, albo $3\frac{1}{2}\%$ procentowych, według dekretu z roku 1843. Jakie mogło być motiwum takiego dekretu, domyslić się trudno. Mielizby niektórzy z właścicieli dóbr pożyczki zaciągający przekładać, aby z ogólniej opłaty 5% , przez nich w obu razach uiszczanej, szło na amortyzacyę, raczej $\frac{3}{4}$, lecz z procentowaniem na skalę 4% , niż $1\frac{1}{4}$, a z procentowaniem tylko na skalę $3\frac{1}{2}\%$? Być może, że przy udzielaniu pożyczek w listach zastawnych $3\frac{1}{2}\%$ procentowych, które naturalnie niżej od listów 4ro-procentowych notowane być musiały, Instytut wzbierał się zatrzymywać je na własność swoje, bez dopłaty różnicy kursu; co i rząd wnioskować się daje, że dekret z roku 1845, waruje przytém, że przy spłacaniu gotowizną przez Instytut kredytowy wierzycieli hipotecznych, tylko listy zastawne 4ro-procentowe mają być na własność Instytutu przejmowane.

Wreszcie dekretem z dnia 17 maja 1847 roku, postanowiono: że dla nadania większej skuteczności Instytutowi kredytowemu, tenże upoważnionym zostaje udzielac sposobem wyjątkowym pożyczki w listach zastawnych lit. B, nawet po długach prywatnych hipotecznych, jeżeli te natychmiast umorzone być nie mogą.

Obligacye długu rządowego pruskiego (Staatschuldscheine), przynoszą $3\frac{1}{2}\%$ procentu. Takiz sam przynoszą procent i listy Landschaftowe szląskie po swém skonwertowaniu. Owoz notowania giełdy wrocławskiej z miesiaca lipca r. b. okazują, że kurs listów zastawnych lit. B, także $3\frac{1}{2}\%$ procentowych, wyższym jest od kursu obligacyi długu rządowego o mniej więcej 4 na sto, a prawie tyleż niższym od kursu listów Landschaftowych. Zaiste, ta ostatnia różnica niewielka, skoro się zna, że listy Landschaftowe zawsze tylko pierwsze miejsce w hipotece, i nie wyżej jak do połowy szacunku zajmują; listy zaś Instytutu wypożyczane są na drugi numer hipoteki, do $\frac{2}{3}$ części tegoż samego szacunku, a od roku 1847, mogą być nawet poprzedzone wierzytelnościami prywatnemi.

Też same notowania okazują także, że pomiędzy listami Instytutu 4% i 3 1/2 procentowemi, różnica wynosi do 10 %. Różnica ta jest na korzyść listów B, 3 1/2 procentowych; bo jeżeli listy 4 procentowe stoją pari, listy téj saméj zupełnie natury, i tylko niższą stopą procentu opatrzone, to jest 3 1/2 procentowe, staćby powinny niespełna 88 za sto, a zatem o 12 %o niżéj.

Obecnie taki jest ich kurs:

Listy zastawne B, 4 %o, 103 1/2 %o.

Listy zastawne B, 3 1/2 %o, 93 %o.

Listy landschaftowe szlązkie 3 1/2 %o, 96 1/2 %o.

Obligacye długu rządowego 3 1/2 %o, 89 %o.

Nadmienić jeszcze wypada: że jakkolwiek według zebranych przezemnie wiadomości pożyczki Instytutu kredytowego szlązkiego okazały się dla téj prowincyi bardzo użyteczne, i przyczyniły się rzeczywiście do utrzymania w wielu wypadkach własności dóbr w ręku dotychczasowych ich posiadaczy; ztémwszystkiém instytucya ta w żadnej innéj prowincyi monarchii pruskiéj naśladowana dotąd nie została. Ale téż nie ulega wątpliwości, i wszyscy to w Prusach przyznają: że żadna tyle jéj nie potrzebowała, ile prowincya szlązka, będąca zdawna teatrem częstszych, jak gdzieindziej spustoszeń wojennych.

Takie są zasady, i taka historia Instytutu Kredytowego Szlązkiego.

Dla czytelników naszych wyprowadzam ztąd następujące, z samego odczytania tego dekretu nastroczające się spostrzeżenia:

1) Zruchomienie części wartości ziemi za pośrednictwem wypuszczenia w obieg papierów procentowych na okaziciela, jakimi są listy zastawne, potrzebuje z natury rzeczy otoczenia wypłacalności dłużników przepisami wyjątkowemi i ściślejszemi od tych, jakie służą wszelkim innym wierzytelnościom prywatnym, na dobrach hipotekowanych. Potrzeba ta jest tak powszechną, że wszystkie gdziekolwiek dotąd istniejące instytucye kredytowe tego rodzaju, musiały jéj uczynić zadość. I zaiste, nie ma środka, któryby działał skuteczniej na regularność dłużników w uiszczaniu przypadających od nich należności, i któryby większą dawał rękojmię pomyślnemu kierunkowi tych instytucyj. Można nawet posunąć się do życzenia, aby środki wykucyjne, raz dobrze obmyślane, to jest ograniczone na tych tylko, które rzeczywiście skutecznemi być mogą, były posunięte aż do bezwzględnej surowości. Ale któż nie dostrzeże: że właśnie ta tak potrzebna wyjątkowość i surowość kroków wykucyjnych, ograniczać

musi kredyt na pozostającą część szacunku dóbr, pożyczkami kredytowymi niewyczerpaną. Do uznania téj prawdy dojsćby można na drodze saméj teoryi, a cóż dopiero gdy ją doświadczenie utwierdza. Doświadczenie to jest tak widoczne, że, jak uczą motywa dekretu o Instytucie kredytowym szlązkim, trudność uzyskania kredytu tak na spłatę hipotecznych długów po pożyczkach Landschafty umieszczonych, w razie ich wypowiedzenia, jak i na kapitał obrotowy na zastaw drugieć połowy szacunku dóbr, pożyczkami Landschafty niewyczerpanéj, stała się powodem zaprowadzenia tego Instytutu, dla czego téż położono tam za prawidło: że takie tylko dobra uzyskać mogą pożyczki w listach zastawnych B., na których jest już Landschulta, przez co chciano dać poznać, że dobra pożyczkami Landschafty nieobciążone, kredytu takiego jeszcze nie potrzebują.

Jestto więc w naturze rzeczy, że wszelka instytucja kredytowa udzielająca pożyczki niewypowiadalne, a z wyjątkową exekucją, dążyć musi do takiej extensyi, aby udzielane przez nią pożyczki, wyczerpywały ile można największą część szacunku dóbr, to jest taką, jaka z ich bezpieczeństwem, będącém tu główną i fundamentalną podstawą pomyślności samych instytucyj kredytowych, pogodzić się daje; o ile bowiem właściciele na téj drodze uzyskają lub uzyskać w każdym razie mogą kredytu zbiorowego, o tyle inniéj potrzebować go mogą na drodze prywatnéj. Dążenie to do extensyi pożyczek kredytowych i w tém jeszcze znajduje żywiol a zarazem i rękojmią, że z postępem bogactw towarzyskich, wartość ziemi dąży do wzrostu, za czém idzie: że nawet pożyczki kredytowe udzielone na skalę dostatecznie obmyślona, okazać się muszą z czasem niewystarczającymi.

Wynikłością téj prawdy stały się w Prusach rewizye tax, na zasadzie jakich udzielono pożyczki landschaftowe; a dążeniem ich było nietylko wywołane doświadczeniem udokładnienie samych zasad szacowania dóbr, ale zarazem i doprowadzenie pożyczek do wysokości odpowiadającéj szacunkowi dóbr, jaki także z postępem czasu nie mógł zostać jednym i tymże samym.

Taką naprzykład było zatwierdzona dekretem królewskim z d. 30 listopada 1840 r. rewizya zasad szacowania dóbr, należących do Landschafty w Wielkiém Księstwie Poznańskim.

Takież samo dążenie jak wykazano, objawił Instytut kredytowy szlązki, i takież samo dążenie i takóż sama potrzeba objawia się wszędzie; wszędzie albowiem wyjątkowa exekucya jaka pożyczkom kredytowym towarzyszyć musi, utrudnia kredyt poza temi pożyczkami,

i wszędzie także, gdzie tylko przemysł i warunki dobrego bytu się ulepszają, szacunek ziemi dąży ku wzrostowi; wreszcie dążenie to objawiać się może i tam nawet, gdzie jest obfitość kapitałów przemysłowi rolniczemu poświęconych: bo i tam właściciel może ubiegany kapitał obrócić na kupno listów zastawnych dla spłaty zaciągniętego w nich długu, co mu wszędzie wolno; albo téż, co mu zwykle jest dogodniejszém, może nie wykreślając długu z hypoteki, listy nabyte zatrzymać przy sobie jako tytuł wierzytelności procentowej. Powiększanie więc pożyczek hipotecznych niewypowiadalnych, jakimi są pożyczki landschaftowe lub podobnych im instytucyj, czyli raczej zruchowienie wartości ziemi, jest nieprzeparłą koniecznością, której prędzej czy później, w miarę towarzyszących temu okoliczności, stać się musi zadość.

2) Charakterystycznym w swoim rodzaju jest przepis Instytutu kredytowego szlązkiego, że tylko tacy właściciele dóbr mogą uzyskiwać pożyczki w listach zastawnych lit. B, których tytuł pochodzi z sukcesyi, lub z nabycia przynajmniej od lat dziesięciu; jak niemniej, że udzielanie pożyczek w gotowiznie niżej $\frac{2}{3}$ części szacunku dóbr, tudzież wszelkie inne na drodze prawnej dopuszczalne współdziałanie Instytutu w regulacji interesów pieniężnych odłużonych właścicieli, ma na celu (§ 87 i 89) utrzymanie ich przy własności.

Zapatrując się na przepisy te, choćby tylko z samego stanowiska ekonomicznego, uważać je jeszcze należy za trafne. Gospodarstwo wiejskie składa się z mnóstwa szczegółów, zastosowanych do położenia dóbr, natury gleby, i szczególnych własności każdej ich cząstki. Powstaje ztąd wielka bardzo różnaitość w układzie gospodarstwa, i sposobie jego prowadzenia, a tém samém i potrzeba zaznajomienia się z wszystkimi jego szczegółami, tudzież przymiotami ziemi na której gospodarstwo to ma się wykonywać. Im dłużej takie zaznajomienie trwa, tém i gospodarstwo lepszém być może, a lepszém i dlatego także, że właściciel samym przeciągiem czasu przywiązuje się do posiadanego przez siebie kawałka ziemi, i nabiera zamiłowania, do jakiego nowy właściciel nie tak zaraz jest zdatnym. I nie należy lekceważyć takiego zamiłowania właścicielskiego; bo przywiązanie do kawałka ziemi na którym żyjemy, płynie ostatecznie z tegoż samego źródła miłości powszechniej, z jakiego płynie i przywiązanie do osób z którymi przestajemy, z którymi wzajemne stosunki tém są ściślejsze, im są dawniejsze; bo wreszcie przywiązanie do ziemi jest dla nas bodźcem w troskliwém chodzeniu około gospodarstwa, za czém idzie nietylko własne nasze dobro, ale i po-

wyślność ogółu interesowanego do obfitości plonów rolniczego przemysłu. Daleko ztąd jeszcze do teoryi nieprzechodzenia ziemi z rąk do rąk, ale jest do życzenia, aby obok możności alienowania dóbr jaką się cieszymy, sprzedaże ich, nawet z wolnej ręki, a cóż dopiero wywłaszczenia, były tylko rzadkie. Nigdy zgodzić się nie mogą na to, aby tak bardzo wynoszona łatwość cyrkulacyi rozciągana być potrzebowała i do cyrkulacyi samychże dóbr, i nie przestane frymarkę niemi uważać za nader szkodliwą dla rolnictwa krajowego, a nawet dla obyczajów.

Nie przeczę, że zdarzają się wypadki, i nietylko rzadkie jakby tego życzyć sobie można, w których przejście własności z rąk podupadłego, w ręce zamożnego, pożądanem się staje; ale jestto już ostateczne lekarstwo prowadzące za sobą różne niedogodności, i niepowrotne straty materialne; lepiej więc zawsze, jeśli temu złemu poratowaniem podupadłego właściciela zaradzić można. Dość, kiedy szacunek dóbr zostaje zruhomionym i cyrkuluje z łatwością pod formą papiéru na okaziciela procent przynoszącego; ale nie ma czego życzyć, aby i same nieruchomości cyrkulowały. Jest nawet do życzenia, aby się i dzierżawcy ile można nie zmieniali; a pomiędzy powodami długoletnich dzierżaw jest także i ten: że dzierżawca wieloletni więcej ma czasu i sposobności zapoznać się z gruntem i jego własnościami. Wszakżeż tak w zakładach fabrycznych, jak i w handlach, szanowane są dawne firmy; dlaczegóż więc i w rolnictwie nie pragnąc utrzymania przy własności dawnych posiadaczy, jak tego zgodnie ze zdrowemi pojęciami ekonomii politycznej, i zgodnie z potrzebami rolniczego przemysłu, pragnie Instytut kredytowy szlązki, który téż okazał na drodze praktycznej: że między utrzymaniem majątków ziemskich w ręku dotychczasowych posiadaczy, a możliwością zruhomienia za pośrednictwem pożyczek niewypowiadalnych, ile można znacznej części szacunku tychże majątków, ścisły zachodzi związek.

SPOMINKI HISTORYCZNE I ARTYSTYCZNE.

III.

Wyroby złotnicze za Zygmunta Igo. — Słynny z piękności wykonania i kosztowności ołtarz szczero-srebrny w kaplicy Zygmuntofskiej, katedry krakowskiej, przez króla Zygmunta Igo wystawiony, uchodzi dotąd za dzieło złotnika norymberskiego *Alberta Glim*. Zdanie to podzielają wszyscy uczeni archeologowie nasi, o ołtarzu owym piszący. Takto powiedział pierwszy Ambroży Grabowski w wybornym opisie historycznym miasta Krakowa, wydanie 4te, str. 145, opierając się wszakże na słowach J. L. Deciusa, w opowiadaniu czasów Zygmuntofskich, przy kronice Miechowity wydrukowaném. Za Grabowskim powtarzają tę wiadomość J. Mączynski: *Pamiętka z Krakowa*, II, 53; niemniej F. M. Sobieszczański: *Wiadomości historyczne o sztukach w Polsce*, II, 305. Atoli twierdzenie powyższe jest błędne, z mylnego tłumaczenia słów Deciusa widocznie wynika. Zobaczmy, jak się wyraża Decius: „Sub eo anno (roku 1512), Sigismundus cepta aedificia arcis Cracco. singulari studio continuavit, in divi Stanislai sacello quod in rupella appellatur, monumenta posuit, Federico cardinali olim germano aereum fieri fecit tumulum, votumque deo ac divo Stanislao patrio sancto de faelicibus belli Valachici successibus factu. uti eo loco narratur, Imagines argenteas multis aureorum millibus comparatas ad divi Stanislai tumulum erectas explevit, quae hodie ab omnibus cernuntur in opere, industria ac artificio singulari, ab *Alberto Glim* Nurenbergae factu”. Jodoci Ludovici Decii *de Sigismundi regis temporibus*, przy kronice Miechowity, str. 84. Z słów tych okazuje się jasno, że Zygmunt Iszy roku 1512, wywiązując się z ślubu w czasie wojny wołoskiej poczynionego, obrazy srebrne wielkim nakładem sprawione przy grobie św. Stanisława złożył, które osobliwszą sztuką wykonał w Norymberdze *Albert Glim*. Podanie to zgodne jest i z innemi o kaplicy św. Stanisława dochowanemi wiadomościami. Przewodnik kośc. krak., str. 17, przywiedziony przez A. Grabowskiego, str. 164, powiada: „Kaplica 23cia św. Stanisława, w pośrodku kościoła, od króla Zygmunta Igo zbudowana, w której jest ołtarz ozdobny marmurowy..... a w nim obraz srebrny

odlewany, od króla Zygmunta Igo także sprawiony". To samo i dokładniej mówi Stanisław Górski w rękopiśmie: *Epistolarum et Legal. Sigismundi*, I, tom IIgi: „Roku 1512, Zygmunt Iszy wypełniając ślub w czasie wojny wołoskiej uczyniony, obrazy srebrne w Norymberdze zrobione, w kościele katedr. krak., u grobu św. Stanisława zawiesił". Podobnie pisze Bielski w Kronice pod rokiem 1512: „Tymże czasem król najwięcej się budowaniem bawił około zamku krakowskiego i kościoła, do którego obraz srebrny z obietnice onęj pierwszej, na ołtarzu św. Stanisława postawił, który robiono w Norymbergu". Wyd. warsz., 1830, XVI, 139. Nie ulega więc wątpliwości, że obraz srebrny, przez *Alberta Glim* w Norymberdze wykonany, a przez Zygmunta Igo wielkim nakładem sprawiony, zawieszony był przez niego roku 1512 w ołtarzu kaplicy św. Stanisława. Zobaczmy teraz, kto był sam ten artysta złotnik. Doppelmayr nazwy téj wcale nie zna, atoli przywodzi bardzo zdolnego złotnika norymberskiego *Hanns Klimm*, zmarłego około roku 1550, który wyrabiając doskonale wielkie obrazy w srebrze, nabył sławy i był wielce ceniony, zwłaszcza od Alberta Durera: bo się téż odznaczał z biegłości w rysunku i sztycharstwie. Tak samo mówi o nim G. K. Nagler, VII, 63, nieznający także *Alberta Glimma*. Zdaje się więc, że ów *Albert Glim* nie kto inny jest, jak tenże *Hanns Klimm*, przez J. G. Doppelmayra (*Hist. Nachricht von den Nürnbergischen Mathematicis und Künstlern. Nürnberg, 1730, fol., str. 194*) przytoczony, u którego jako artysty zdolnego, obstalunek król Zygmunt Iszy uczynił. Wnosić można, że J. L. Decius mniej bacząc na dokładne oznaczenie artysty, przekręcił jego nazwę, i z *Hanns Klimma* zrobił *Alberta Glimma*.—Wróćmy się teraz do ołtarza srebrnego obrazowego kaplicy Zygmuntofskiej. Ołtarz ten szafisty, naprzód obozowy króla Zygmunta Igo, potem przez niego złożony w kaplicy Zygmuntofskiej, cały z czystego srebra ulany, a przyozdobiony wybornemi obrazami czyli wypukłorzeźbami, w srebrze wykonanemi, opisany jest dokładnie przez uczonych naszych archeologów powyżej przytoczonych. Na spodzie czyli postumencie także srebrnym ołtarza, wyryty jest napis, świadczący, że król Zygmunt ołtarz ten wystawił roku 1538; jeżeli więc jestto data jego roboty, dowodzi, iż od obrazu kaplicy św. Stanisława znacznie jest późniejszy. Dla masy srebra, piękności roboty obrazów, kosztować on musiał sumę ogromną; jakoż roku 1680, oszacowany był przez złotników krakowskich na złp. 300,000. Kto zaś go wykonał, zostaje do dochodzenia. Przerzeczony Doppelmayr, a za nim Nagler, objaśniają to, zdaje się, dostatecznie: oba opowiadają o słynnym złotniku norymberskim *Melchiorze Bayr* (u Naglera *Bair* lub *Bayer*), zmarłym dnia 3 sierpnia, roku 1577, który będąc przytém doskonałym rysowni-

kiem, zjednał sobie wielką sławę z wyrobów srebrnych wielkiego rozmiaru. Między zaś innemi, wykonał dla króla Zygmunta srebrny oltarz, który dla szczególnej wielkości, a sztuki w zdobiących go wypukłorzeźbach, jako nader znakomite dzieło przez znawców był podziwiany. (Doppelmayr, str. 204; Nagler I, 229). Że do dzieła tego przygotowawcze snycerskie roboty wykonywał mu Piotr Flötner, a tenże r. 1546 już umarł, przeto oltarz *M. Bayra* znacznie przed tymże rokiem musiał być robiony, co z datą wyżej wymienioną, 1538 rokiem, dosyć się zbliżać daje. Wnoszę więc, że oltarz srebrny kaplicy Zygmuntofskiej nie czyjś innej jest roboty, jak owego norymberskiego zawołanego złotnika *Melchiora Bayra*.—Jeżeli się tu cokolwiek przydłużę, a dla niejednego czytelnika zmu-dniej rozszerzyłem nad tym wywodem najznakomitszych dzieł sztuki złotniczej wieku XVIgo w kraju naszym; uczyniłem to ze względu, iż ścisłe i dokładnie wiadomości w tym względzie, nieodzowne są w ogólnych dziejach sztuki krajowej; powtóre, że chciałem zwrócić i tutaj uwagę badaczy na potrzebę wielkiej oględności w dochodzeniach i cytatach, ażeby zawsze i wszędzie istotna prawda była wiadoma.

Rzeźba na kamieniu twardym za Zygmunta Igo i Zygmunta Augusta.—Skreślając życiorys Jana Regulskiego rzeźbiarza na kamieniu twardym (Bibl. Warsz. z roku 1848, II, 262 do 272), powiedziałem cokolwiek o téj sztuce w kraju naszym. Wspomnę tu jeszcze o jednym artyście znamienitym, który w wieku XVIIym wyborne tego rodzaju prace podejmował niewątpliwie na dworze królów w Polsce. *Caraglio Jan Jakób*, a nie Joachim, jak go wymienia A. Grabowski, pisany takż *Caratio* i *Caralius*, urodzony w Parmie, czy może w Weronie roku 1500 oddawał się naprzód rytownictwu i wzniósł się w niém do pierwszego rzędu artystów włoskich. Po niejakiem czasie zwrócił się on wyłącznie do rycenia na kamieniu twardym i medalierstwa, a w sztuce téj znowu zjednał sobie wysoką sławę. Z tegoto powodu sprowadził go do Polski król Zygmunt Iszy r. 1539; tak zaś on, jak i jego następca Zygmunt August, poruczali mu rozmaite roboty, z których artysta wywiązywał się z największą dla siebie chwałą i niemalym téż pożytkiem, hojnie przez obu monarchów będąc wynagradzany. Roku 1568 był jeszcze w Polsce, lecz pod tę porę powrócił do Włoch i tamże w majątności swój ziemskiej w Parmeńskim, roku 1570 umarł. Jakiehyto roboty wykonywał *Caraglio* dla obu Zygmuntofs, mało jest nateraz wiadomo; że dla nich pracował w Polsce niemało, dowodem tego jest i to, co o nim mówi Vasari, iż na schyłku życia roku 1568 zamysłając o swym powrocie do swój ojczyzny, do Parmy, wysłał tamże znaczne summy pieniężne,

z szcudroblowości monarchów polskich uzbierano. Na medalach z panowania Zygmunta Igo, nie widzimy jego podpisu; jeden tylko artysta, także Włoch, objawia się na nich, a tym jest *Jan Marya Paduańczyk. Johannes Maria Patavinus*, którego trzy modale, wszystkie z roku 1532 znane są (u Raczyńskiego nr 7, 9 bis. i 11). W mniemaniu mojem *Caraglio* wykonywać musiał niektóre z pięknych medali panowania tego, na jakich się przecie nie podpisał. Książd Sebastyan Ciampi, który o pobycie jego w Polsce ciekawo podaje wiadomości (Bibliogr. Critica, Firenze, 1839, II, 245 do 247), powiada, iż jego dziełem jest medal królowej Bony i inny jój dworzanina Włocha Alexandra Pesenti. Obok tego domyślać się można, iż rzeźbił na kamieniach drogich wizerunki królewskie i tym podobne, jakie zwykle do sygnetów i do noszeń na łańcuchach podówczas używano, a które nazywano dawniej *gamaje, gamajniki*, widoczno nazwy *kamea* spolszczenie. Takoweto kosztowności, zarówno pod względem sztuki jak i starożytności cenne pamiątki, wielką stały się dziś rzadkością: czas i przygody krajowo wyniszczyły lub zatraciły je u nas. Być może, że przy obudzonej troskliwości uczonych i miłośników, zabytki jakowe tego rodzaju odszukanemi szczęśliwie będą. Wszakże natrafić je dziś prędjiej można za granicą, jako z Polski wywiezione, w chwilach krajowych niepowodzeń zabrane lub wykupione. Dowodem tego niepoślednim jest dochowujące się dziś jedyne dzieło gliptyczne *Jana Jakóba Caraglio*, w Polsce wykonane, a utwierdzające w mniemaniu, iż prac tego rodzaju znacznie więcj tutaj wykonywać musiał. Tą nader szacowną pamiątką jest popiersie królowej Bony, na agacie wschodnim wyrzeźbione, kosztowny zbiór Debruge Duménil w Paryżu wzbogacające, z napisem okólnym: „Bona Sphor. Regina Poloniae. Jakobu. Veron.“ Że do robót tego rodzaju trzymał go również Zygmunt August, twierdzi to J. Albertrandi (*Życie Zygmunta Augusta*, w *Dzienniku Wileń.*, z roku 1818, I, 544), w słowach następujących: „Miał (Zygmunt August) do klejnotów i rycin na kamieniach Jana Jakóba z Werony”. A że tak było istotnie, i że dla króla tego wiele z szczególną zaletą odrabiać musiał robót rzeźbiarskich na kamieniu drogim, niezaprzeczonem dowodem jest nadany artyście przez Zygmunta Augusta w nagrodę położonych zasług, przywilój na szlachectwo polskie i *equitatus auratus*, z daty w Piotrkowie *seria sexta ante festum Sanctorum Philippi et Jacobi apostolorum proxima*, roku 1552, w którym pisze go: „*incisor gemmarum* z dawnych lat przez nas używany”. Dokument ten autentyczny, dochowany w aktach metryki koronnej, ks. 82, str. 222, jako dla dziejów sztuki krajowej wielce ciekawy, zamieszcza się tu w całości:

„*Nobilitatio Joannis Jacobi Veronensis.* In Nomine Domini Amen. Ut sempiterna sit ejus quod infrascriptum est memoria. Recte hoc in more institutisque maiorum fuisse positum accepimus, ut singulorum hominum proborum virtus, singularibus honoris praemiis remunerata ornaretur. Idque Nos Sigismundus Augustus Dei gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, nec non terrarum Cracoviae etc. ita imitamur, ut plebeiorum etiam et obscuro loconatorum hominum virtutem, ea honoris habendi mercede fraudandam non arbitremur, multosque quorum egregia virtus ignorari se ac negligi non patitur, nobilium Regni Nostri imaginibus ac libertate et praerogativis ornare et dotare solemus. Quoniam igitur *Joannes Jacobus Veronensis, quo Nos gemmarum incisore iam multos annos utimur*, suam Nobis fidem ac observantiam, suamque industriam et probitatem ita probavit, ut nulli non sit satis conspicua, tametsi natus sit *ex nobili ac honesta Caraliorum familia*, ideoque et ipso generis splendor satis eum nobilitet, et singulari virtutis colendae studium tamen gratum ac faventem in homines virtutis amantes animum, praecipue vero in hunc *Joannem Jacobum* volentes testari ac declarare statuimus *Nobilem eum Polonum* atque adeo *Equitem etiam Auratum* creare, creamusque literis hisce Nostris et esse volumus. Cuius autem Nobilitationis et Aurati Equitis insignia atque imagines damus ei Leonem colore aureo, corona aurea conspicuum in rubentis campi spatio posterioribus pedibus insistentem; veteres autem eius familiae a maioribus acceptae imagines sunt haec: Phoenix purpurea pennas auro loniter conspersa, in campo coelestino truncis lignorum ardentibus innitens, atque aureos solis radios intuens. Quibus quidem duplicibus imaginibus, hoc est veteribus et a nobis datis, clypeum coloris ferrei qui supraemum utriusque campi spatium medium amplectatur addidimus, ex quo deinde clypeo anterior aurali leonis pars corona aurea redimiti prominet. Ab utroque autem clypei latere, quaedam maiorum pennarum facies deorsum leviter vergentes luxurient, quemadmodum solers artificis manus hic singula apertius depinxit. Quibusquidem imaginibus ad obsignandas suas literas, ad aedificia ac monumenta vel ornanda vel tanquam indicanda ut reliqua Regni Nostri nobilitas plenam habeat utendi potestatem, neque in iis solum sed et in torneamentis, hastiludiis, aliisque omnibus armorum sive ludiorum sive seriis exercitiis nobili homine et Equite Aurato dignis. Damus illi praeterea omnem eam libertatem, immunitatem et praerogativas, quibus dotati et ornati sunt Nobiles Regni Nostri, atque cum ad omnes dignitates et honorum gradus ad quos solis alioqui in Regno Nostro Nobilibus aditus patet admittimus. Quapropter universis id ed singulis regni provinciarumque nostrarum hominibus, praec-

cipue vero nobili Sanguine natis publicoque administrationis seu praefecturae et dignitatis cuiuscunque munere fungentibus denuntiamus et notum ac testatum esse volumus atque mandamus pro autoritate nostra ut *Joanni Jacobo de Curaliis, Veronensi*, tam justa de causa honoris premiis decorato, non solum nemo sit qui hac in parte iniquum se et parum faventem prebeat. Sed etiam ut exemplo Nostro virtuti, et ei qui tam excellentis tamquam locupletis testimonii honore merito decoratur, plurimum se favere declaret. Id quod Nos optimum quemque pro officio suo et favoris ac clementiae Nostrae studio, secus nec facturum, nec fieri debere putaturum plane confidimus. Si quis vero obtrectare illi, et de fama, virtute nobilitate ejus Equitis Aurati titulo insignibus ne illis datis ausus fuerit, contra hoc aedictum et privilegium Nostrum clam vel palam detrahare, ei Nos centum marcarum auri mulctam irrogamus. Cuius mulctae medium fisco Nostro Regio, reliquum autem ei cui fuerit obtrectatum numerandum adiudicamus. Eorum omnium ut tanta sit quantam esse oportet autoritas, literas hasce Nostras ipsi subscripsimus et sigillo Nostro curavimus obsignari. Datum Piotrcoviae feria sexta ante festum Sanctorum Philippi et Jacobi Apostolorum proxima Anno Domini Millesimo Quingentesimo Quinquagesimo Secundo Regni Nostri xxiiij^o.

Sigismundus Augustus Rex Subscripsit.”

Zarzucono mi, iż artystę owego *Caraglio* nie zamieściłem w Słowniku Malarzów polskich; zarzut ten utoli jest bezzasadny. *Caraglio* był bardzo biegłym sztycharzem, potem medalierem i rzeźbiarzem na kamieniu twardym, a obok tego i rysownikiem, co samo z siebie wypływa; atoli, jak to mylnie twierdzi p. Szczęsny Morawski we Lwowie, malarzem nigdy nie był, a do Polski sprowadzony jako medalier i rzeźbiarz na kamieniach drogich, w tych obu tylko sztukach mógł prace u nas podejmować. Ztąd też pomieszczenie go w Słowniku Malarzów nie byłoby wcale właściwem.

Przytoczony powyżej *Jan Maryja Paduańczyk* medalier, zwał się *Mosca*, a był zarazem rzeźbiarzem, uczniem A. Zoppo, w sztuce swój wysoce uzdolniony. Sprowadzony do Polski około r. 1530, wykonywał tu zarówno medalierskie i rzeźbiarskie w marmurze roboty. Przydłuższy jego pobyt w kraju naszym udowadniają następująco o nim dochowane wiadomości. Pod r. 1541 wspominają go akta radzieckie krakowskie, jak to wyszedził uczoney A. Grabowski „*Joannes Maria Italus lapicida*” (Dawne zabytki miasta Krakowa, 1850 r. str. 165). R. 1553 wynajął w Krakowie od władzy uniwersyteckiej bursę niemiecką, gdzie trzymał swoją pracownię: *Jan Maryja Włoch* z Padwy, kamieniarz królewski (*J. Muczowski, Mieszkania uczniów krak. 1842, str. 40*). Za panowania

króla Zygmunta Augusta był on czynnym w Wilnie, jak to opowiada M. Baliński w *Historji m. Wilna*, 1837, II, 94: że w mieście tém Jan Marya oraz Jan de Senis (z Sienny), przez lat sześć ciągle pracując, wzniesli z kosztownych marmurów dwa wspaniałe grobowce w kościele św. Stanisława, dla żon Zygmunta Augusta, Elżbiety i Barbary. Jego takż dziełem ma być okazały grobowiec króla Władysława Jagiełły w katedrze krakowskiej, staraniem króla Zygmunta Igo wystawiony. Wspomnę tu w końcu, że szanowny archeolog F. M. Sobieszczański, w t. II, dzieła: *Wiadomości histor. o sztukach pięknych*, artystę tego *Jana Maria Mosca* zdaje się rozdzielać na dwie oddzielne osoby: rzeźbiarza u króla Zygmunta Augusta, str. 242 i rzeźbiarza i medaliera u Zygmunta I, str. 355; co przecie tak nie jest, gdyż to jest niewątpliwie jeden i ten sam sztukmistrz.

Koilkowski Józef. Wspomnienie pozgonne.—Miesiący kilka upływa, jak w Warszawie szedł z tego świata znamienity lubownik a znawca sztuki malarskiej. Umiejący w wyższóm znaczeniu czuć i oceniać sztukę w powszechności, niósł on ku własnej krajowej szczególne zamiłowanie. Postępy w niej tegoczesne, czyto nowy jaki świetniejszy utwór, czy objawiająca się zdolność, cieszyły go nieskończenie; z równém téż zajęciem patrzył na prace, przeszłość sztuki rodzimój odsłonić, rzetelne i przynależne jój stanowisko z zapomnienia i niesłusznego zlekceważenia przywrócić usiłujące. Na polu tém każda nowa zdobycz, każde odkryte dzieło, czy nazwisko, każde rozobszernienie lub ustalenie wiedzy, przejmowało go istotną rozkoszą; śledził te badania, zachęcał do nich i sam dopomagał czynnie. Z tego powodu związała się była długoletnia z nim młoda zażyła znajomość; a zawdzięczałem jój wiele szacownych materyalów, uwag trafnych, objaśnień i ubogaceń mnogich. Dziś, gdy u grobu szanownego męża złożyć tylko mogę ręką przyjazną cyprysową gałązkę żalu, pragnę treściwém o nim wspomnieniem, cześć należną pamięci i zasługom jego oddać.

Józef Koilkowski radca dworu, były oficer wojsk polskich i urzędnik emeryt, po kilkodniowej chorobie, rozstał się z życiem w Warszawie, dnia 11 stycznia r. 1851. W mieście tém takż przyszedł on był na świat dnia 19 listopada 1791 r., a pochodził z szlacheckiego rodu herbu Postoja. Otrzymałszy pod troskliwém okiem rodziców starowne piarwiastkowe wychowanie, w młodzieńczych już latach poświęcił się stanowi wojskowemu, w roku 1810 wchodząc jako kanonier do pułku artylerji pieszej Księstwa Warszawskiego, i w tym jeszcze roku postąpił na porucznika z przeznaczeniem do sztabu głównego. W latach następnych odbył wyprawy wojenne z r. 1812 i 1813, a stan jego służby

objawia, iż znajdował się w bitwach pod Smoleńskiem, Mozajskiem, Czerykowem, Tarutyno, Wiazmą, Borysowem, Gabel, Loebau i Lipskiem. W téjto ostatniej bitwie mając pod sobą ubitego konia, wzięty był do niewoli, w której do r. 1814 pozostawał. R. 1815 z nową organizacją wojska królestwa polskiego, umieszczony jako porucznik-adjutant w sztabie głównym, z odkomenderowaniem do sekretaryatu generalnego naczelnego wodza Jego Cesarzewiczowskiej Mości Wielkiego Księcia Konstantego Cesarzewicza. R. 1816 przeznaczony do batalionu grenadyerów gwardyi, r. 1820 postąpił na kapitana w tymże pułku grenadyerów gwardyi, z pozostawieniem w sekretaryacie generalnym naczelnego wodza. Odznaczenie się wojenne zjednało mu już r. 1812 krzyż złoty orderu wojakowego polskiego; w następnej służbie nagrodzony w r. 1825 pierścieniem brylantowym przez cesarza i króla Alexandra I, w roku 1829 orderem św. Stańsława klasy 3, a w roku 1830 znakiem honorowym za lat 15 nieskazitelnej służby oficerskiej. W roku 1831 umieszczony w sztabie gubernatora m. Warszawy; w r. 1832 otrzymał przeznaczenie w wydziałach po byłej kommissyi wojny w obowiązku szefa biura. W służbie téj zaszczycony znowu r. 1840 orderem św. Włodzimierza klasy 4tej, pozostawał w niej do roku 1843, w którym otrzymał uwolnienie jako emeryt z pensją, tudzież stopień radcy dworu. Tak po 32letniej ciągłej publicznej służbie, zwrócony do prywatnego życia a swobodnego spoczynku, oddał się teraz Koitkowski z podwójnym zapałem szlachetnemu zamiłowaniu sztuk, zwłaszcza malarstwa. Był on niém przejęty zawsze, a mając smak wrodzony zasilać pilną nauką, doszedł z czasem do wyższego znawstwa. Potrafił też długoletniém staraniem ukształcić sobie wcale znamienity zbiór obrazów, który stał mu się umileniem życia, a w którego powolném gromadzeniu dał piękny choć nie pierwszy przykład, iż wielka usilność i wytrwałość pokonać mogą nieraz nieprzełomne napozór trudności, zastąpić samą niedostatność materyalnych środków. Z żalem przychodzi tu powiedzieć, że zbiór ten wkrótce po właściciela zgonie poszedł w drodze publicznej sprzedaży w rozsypkę. Takowe rozpraszenie w jedno nagromadzonych dzieł sztuki, niewypowiedzianą są w kraju dla sztuki saméj stratą. Warunkiem albowiem niezbędnym kwitnienia sztuk w każdym kraju, są właśnie zakłady i duch przechowawczy, zamożność i trwałość; bez tego najokazalsze sztuk dzieła zatracają się, niszczejają, idą w rozsypkę, a z czasem pamięć nawet o nich niknie. Takięto niedotrwanie zbiorów sztuk było zdawna jakąś fatalnością kraju naszego; po wszystkie czasy znajdowali się światli miłośnicy, którzy one kształcić umieli, lecz wszystkie prawie rozproszyły się brakiem przechowawczego żywiołu. Ileżto galeryj i szacownych zbiorów

w samój Warszawie los ten za mojej już pamięci spotkał? Poszły na licytacyo galeryo księcia J. Poniatowskiego, hr. Alexandra Chodkiewicza, hr. Józefa Ossolińskiego, zbiory malarza szambelana Wincentego Lessoura, pułkownika Michała barona Kosińskiego, hr. Józefa Sierakowskiego, Antoniego Czyżewskiego, malarza Kokulara, sędziego Hangla, hr. Jana Suchodolskiego, p. Szacfayera, że przemilczę inne; wieleż powiedziéby mogli o tém starsi, jakie straty i zagłady objawiają dzieje! Tu właśnie znajduje się główna przyczyna rozszerzonego, a przez niechętnych cudzoziemców powtarzanego skwapliwie mniemania owego, jakoby Polska nie była nigdy sztuki krainą; że mieszkańiec jój do pług i oręża tylko sposobny, nie umiał cenić i posiadać sztuki znamienitszych tworów. Twierdzenie to zupełnie jest błędne; a chociaż dziś, niestety! na drodze tylko historycznej zbijać i wyświecać je pozostaje, przesąd takowy przecie osłabiać się zaczyna; dalsze da Bóg gorliwe badania i wywody, obalą go do reszty niewątpliwie. Zbiór Koitkowskiego, który do tego małego zboczenia stał się powodem, prócz wielu pięknych dzieł w rozmaitych rodzajach, odznaczał się zwłaszcza w obrazach szkoły flamandzkiej, jako szczególnie posiadaczowi ulubionój; atoli przed wszystkiém zwracały tu uwagę krajowca mistrzowskie rzuty i niektóre wykończone prace Alexandra Orłowskiego.

Koitkowski zaszczytnie odznaczony w życiu publiczném, już jako żołnierz dzielny, już jako urzędnik zdolny, prawy i sumienny; w życiu prywatném ozdobiony był najpiękniejszymi przymiotami serca i duszy. Skromny, łagodny, stateczny, pełen dobroci i prawości; dla rodziny swój wyłany, w przyjaźni stały i do poświęceń gotowy; dla bliźniego uczynny a pobłażający, surowy sędzia sam tylko dla siebie; w umysłowych zajęciach umiał on szukać pociech i najmielszych rozrywek życia, którego osłoda było dla niego sztuk nadobnych zamiłowanie, wyższém ukształceniem obudzone, a ciągle nabywanemi wiadomościami zasilane. Przy skonic, lubo pozbawiony najdroższych pociech, jako w stanie bezzennym żyjący, doznał przecie w nagrodę prawego żywota niepoślednich łaskawości niebios: zgasł po niedługich cierpieniach, przyjął w chrześcijańskiej skrusze zasitek duchowny przebaczenia i otuchy, oddał głucha na rękach przyjaźni, pozostawił po sobie żal szczerzy, a pamięć poważaną powszechnie.

E. Rastawiecki.

KRONIKA LITERACKA.

Druskieniki. Szkic literacko-lekarski przez J. I. Kraszewskiego i Ksawerego Wolfganga. Z dwiema rycinami. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego, 1848, 8ka, str. 186.

J. I. Kraszewski, autor większej połowy powyższego dziełka, szukając pomocy nadwątlonemu zdrowiu w Druskienikach, powziął myśl rzucenia w świat niewielką książeczkę, w celu przypomnienia współziomkom naszym, jak zbawienny środek uzdrawiający mamy u siebie, jak godne to miejsce, aby do niego udawali się cierpiący.

P. Kraszewski zaczyna opisem wyjazdu z domu. Przebywa Łuck, stary gród Witoldowy, Kowel nędzne miasteczko, za nim *Ratno*, a za tém czteromilową pustynię, gdzie tylko piaski żółte, poplamione sośninką ciemną, poprzecinane brodkami i błotkami, roztwarły ramiona na twe przyjęcie.

„Posępne oblicze téj krainy, (mówi autor) nabawia cię rozpaczą, strachem, nudą; nie myśl jednak pospieszać zamknąwszy oczy, i nie naglij ani woźnicy, który ziewa jak ty, ani koni, którym ta droga srożej dopieka niż tobie. Piasek zatrzymuje cię za koła, dalej grzązkie kałuże, dalej jeszcze gorsze groble ustane dla wygody dylami, po których skacze i rzuca niecznośnie powóz; dalej piasek jeszcze, potem korzenie drzew, potem groble znowu, brody znowu. Te cztery mile staną i wydadzą się dzieńią. Mamy czas przypatrzyć się pustyni, którą żadna wieś, żadna budowa, żadna żywa dusza, żadne nawet zwierzę nie urozmaica. Zdaje się, że wszystko wymarło: nawet ptastwo i drobne owady. Szorstkie tylko wiszary szeleszczą w niezmiernych błotach, woda leniwie sączy się po rowach, szumią sosny drzémiące, ziewają żółte piaski”.

„Ale to piaski, las, groble, błota nawet tutejsze, niepodobne są żadnym innym. Jestto dzikość bez wdzięku, bez powabu, bez charakteru,

podniesiona do najwyższego stopnia, do nieokreślonej potęgi. Wszystko się spika na wbicie ci téj myśli, że na wieki wieków jechać będziesz tą pustynią, aż do Józefatowej doliny. Płaski kraj nie dozwala ci okiem nawet wybiedz naprzód; wjedzieszli w wydmy żółte, wydadzą ci się nieskończone; w las, zda ci się nieprzebyły; na groble, myślisz, że nigdy nie dojrzysz ostatka. A niczém oka ubawić, myśli nigdzie zawiesić! Żebyż drzewo dorodne, żeby kamień choć na drodze kształtem lub wielkością zastanawiający, żeby woda rozległa; ale nie! drzewa rachityczne wszystkie, kamyki zmielone na otręby, woda czarna, kałużowata, i więcéj grzęzawisk niż strumieni."

Po takiéj drodze dobiera się nasz autor do *Dywina*, ztąd do *Kobrynia*, *Prużany* i wjeżdża w *Białowieszką puszcze*.

„Niepodobna i najobojętniejszemu człowiekowi przebyć tego lasu, pozostałości, resztki dawnych puszczy Litwy, nie doznawszy wrażenia. Jest w nim coś tak majestatycznego, tak wielkiego, tak dzikiego, co mimowolnie przemawia do duszy, i dumać zniewala. A w dumaniu wysnuwają się mury przeszłości: dawne łowy Jagiellów, Zygmunatów, potém królewskie polowania Sasów, i żubry, których tu w Europie ostatnie schronienie. Drzewa Białowieskiej puszczy zdają się wynioślejsze, wspanialsze od innych: bujniéj zda się rosnać, gęściéj do siebie się tulać, jakby człowieka do serca tego lasu ostatka dopuścić nie chciały. Las to, który jeden u nas dać może pojęcie pierwotnych Ameryki gąszczy, zwłaszcza w ostępach jak *Nieznanów*, ledwie ludzką stopą tkniętych, gdzie stosy trupa karmią nowe życie roślinne. Ileżto rzek z tego serca wypływa, i żyzne a piękne wody, na przeciwne kraju strony posyła! Przejazdźka Białowieszką puszcza jest miłą podróży chwilą, cóż, gdy do niej jeszcze przywiąże się wspomnienie jakie, co życiem darzy ją nowém. Takto spostrzegamy nad drogą *dom ubogi* Karpińskiego, który teraz pustką stoi: tę górę, na której się on modlił; pola, które z kmiotkami ręką własną trzebił, i cmentarz, nad którego bramką już nie ma dawnego napisu. Westchnąłem nad losem poety! umarł tęsknąc! tak, i biédny: bo nie umiał sobie zdać sprawy z tęsknoty swojej. Narzekał na świat, ludzi, ubóstwo, a nie czuł, że w nim nieśmiertelna dusza tą tęsknotą nienasyconą, nieogarnioną, wrywała się ku niebu. Teraz pustką domek biédny, puszcza od niego uciekła, rozstąpiły się drzewa, zarosły chwastem drożyny; nic nie pozostało, nic, a nowe pokolenie nasze nie poszanuje starca, i nie wznowi wspomnieniu niczém. Gdyby choć prosty krzyż na tém wzgórzu, gdzie się modlić siadał!"

Kraszewski tak bolesném dotknięty wspomnieniem, opuszcza co prędzej to miejsce, i minąwszy *Swistocz* przybywa do starego *Grodna*,

poświęciwszy mu obszerniejsze wspomnienie; wita nareszcie cel swój podróżny—Druskieniki.

Nazwa ich pochodzi od wyrazu *Drustas*, sól znaczącego po litewsku. Z właściwym talentem opisuje p. Kraszewski druskienickie kąpiele i miasteczko samo, a ten obraz urozmaica szkicowaniem postaci różnych, które mu pod oczy podpadają. Nie pomija i okolic, słynnego *Merecza*, gdzie Władysław IV dnia 20 maja w piękną wiosenną porę 1648 roku, zaziębiwszy się na łowach, umarł, pożegnawszy ostatniemi słowy: *dobranoc bracia!* i w rysunku dom ten nam przedstawia, jako historyczny pomnik po tym królu. Wraca do Druskienik, i uwagę i pióro zwraca nasz autor, to na piękny *piłnik*, gdzie się wesoło i ochoczo bawiono, to na chorobę *arystokracji* towarzystwa druskienickiego, to na zupełne otrętnienie umysłowego życia, to w ostatku na wydatniejsze typy, które dosadnie narysowuje: *karyerowiczów, wydrwigrosza, szulera*, przedziwny gatunek brabiów druskienickich. Wreszcie taką wedle prowincyj układa charakterystykę:

„Litwin istotnie ma swoją odrębną fizyognomią: coś w nim jest serdecznie dobrodusznego, prostego, poczciwego; trochę niezgrabstwa przytém, trochę zadomowienia. Przy nim Wołyniak, ze swoją pretensją do państwa, francuzczyzną, krygami, ubiorem wielce modnym i miną arystokratyczną, widocznie bardzo odbija. Obywatel Królestwa równie wykwintnie ubrany, chętniej się godzi z Litwinem, skorszy do głośniejszej rozmowy, i rad się czasem tém i owém pochwalić, popisać: mówi wiele o fabrykach i gospodarstwie. Ukraińiec całą gębą pan, a popularny i grzeczny, głowę nosi wysoko; pieniądze, które czuje w kieszeni, znać jak mu odwagi dodają. Dobry przytém człowieczysko, a nawet oświeceńszy od wielu współziomków, tylko że ma trochę kozaczą minę; pewnie temu nie winien.”

W zarysach różnych typów i figur, czasem pan Kraszewski dobiega zbyt jaskrawych farb; ale wie dzie go zacy cel—prawda. Ożywia on niemi wielce swój opis Druskienik, lubo niekiedy przypomina czytelnikowi, że sam schorzał, przybywszy tu szukać zdrowia, z rozdrażnieniem chorobliwém kreśli niektóre ustępy.

Zakończymy nasze sprawozdanie przywiedzeniem opisu śmierci znanego i kochanego poety. Wspomniawszy o wesołym gwarze Druskienik, tak dalej mówi:

„Jedna śmierć tak cicho tędy przechodzi, tak nieznacznie się prze-myka, że jej całkiem nie widać; nawet w rubrykach tutejszych doniesień lekarskich, na śmierć nie ma miejsca. Zadzwońią po umarłym w kościółku, ale któż wie na co dzwońią? i—po wszystkiém. W nocy cicho

wywożą trumnę do *Botnicy*, bo tu nie ma ani cmentarza, ani pogrzebu, aby chorych nie przerażać. I słusznie: wody to mają do siebie, że w początkach człowiek rozdrażniony i tak aż nadto marzy czarno, na cóż mu dolewać chmurnych myśli do zbolałej głowy? W tym roku (1847), jedną tylko śmierć, śmierć Jana Czeczota, autora piosenek *znad Niemna i Dźwiny*, i *Pieśni ziemianina*, postrzegły całe Druskieniki; téj ukryć nie było można. Przybył tu ten pelen prostoty wiejski śpiewak, pelen cnót człowiek, po długich a długich cierpieniach zamknąc zgonem chrześcijańskim życie prawdziwie chrześcijańskie. Ubogi jak J. I. Rousseau, bo dumny ze swego ubóstwa jak on, Czeczot w małej chatce, w niedostatku, któremu musiano zapobiegać tak, że o tém nie wiedział prawie, skończył dni swoje. Jedna siostra płakała u osamotnionego łóżka, które odwiedzali nieustannie wszyscy; ale *odwiedzający* nie przerywają samotności. Umarł osamotniony, jakem powiedział, bo nie miał ani rodziny, prócz siostry, ani przyjaciół swych ze starych lat. Pięknioto dla Druskienik, że ostatnim godzinom i pogrzebowi, nie brakło ani funduszów, ani czynnej i troskliwej opieki”.

„Kto widział Czeczota na łożu śmiertelném, trudno, aby go mógł zapomnieć. Twarz to była uśmiechnięta w uśmiechu słodczy pełnym, anielskim. Okropne zniszczenie choroby nie zmasało z niej śladów, jakie dusza wryła na obliczu cnotliwego. Usta sine po śmierci jeszcze do zawarcia trumny, zgięte były spokojnym, niewyrażonym uśmiechem szczęścia jakiegoś nieziemskiego. Na prostym tapczanie spoczywał w granatowym surducie, w którym chodził zwykle; na ręku wychudłym leżał zużyty obrazek. U nóg we łzach kłęzała siostra, w głowach staruszka odmawiała spokojnie modlitwy, z boku dwóch starców spędzali zieloną gałęzią muchy z twarzy żółtej nieboszczyka, w którego głowach czarny krucyfiks, i dwie świece żółte płonęły. Ten obrazek z ubogą chatą, o niskim suficie, z ciasną izdebką, która go obejmowała, każdemu co nań spojrział, wryć się musiał w pamięci.”

Opis Druskienik obrazowo-historyczno-obyczajowy, zajmuje stron 105; poczem Xawery Wolfgang, dawny wydawca *Ondyny druskienickich źródeł*, a doktor miejscowy, dołączył swój opis pod *względem lekarskim*. W rozprawie téj, podawszy naprzód wiadomości o pismach Druskienikom poświęconych, przechodzi dalej: o możności i potrzebie wprowadzenia w użycie kąpieli z wód mineralnych druskienickich w porze zimowej; wskazuje wynikające korzyści z leczenia się wodą druskienicką w porze zimowej, i zarazem choroby, w jakich taż woda używać się może w każdej porze roku; następnie podawszy postrzeżenia prakty-

czne ogólne, oraz o picciu téj wody na wiosnę i w zimie, kończy kilka uwagami o soli, z téj wody mineralnej wywaranej.

Dwie ryciny pana Kraszewskiego dołączone są do jegoż tekstu: pierwsza przedstawia trzy włościanki z okolic druskienickich, druga dom w ruinach w Moreczu, gdzie król Władysław IV umarł.

Wł.

Nauka Chrześcijańska, obejmująca wykład prawd religijnych w dokładnym katechizmie, z załączeniem wypisów biblijnych w pytaniach i odpowiedziach, z niemieckiego na język polski przełożona. Gdańsk, 1851. W drukarni Wedelskiej. W komisie księgarza B. Kabusa. 8ka, str. 164.

Znany autor Słownika polsko-niemieckiego ks. Mrongowius kanonikiem przy kościele świętej Anny w Gdańsku, pomimo późnego i sędziwego wieku, wierny swemu powołaniu, nie tylko słowy, ale i piórem coraz nowe zasługi kładzie, w utrzymywaniu i rozszerzaniu języka polskiego. W Królewcu w drukarni *Hartunga*, wydał niedawno *Postyllę hościelną i domową*, to jest zbiór kazań podwójnych, gdzieniegdzie i potrójnych na niedziele i święta uroczyste całego roku, z najlepszych mowców niemieckich na język polski przełożoną; w roku zaś bieżącym dziełko do powszechnego użycia ludowego, z napisem, któryśmy na czele przywiedli. Druk całkowicie jest gocki, dla ułatwienia czytającym, nawykłym do tego kształtu liter.

P. Mrongowius w przedmowie mówi:

„Zdawna nauczyciele religii w różnych wyznaniach chodzili koło wykładu nauki chrześcijańskiej, a tak i nasz autor (pan Dreuttel) chciał się tém dziełkiem nam przysłużyć. Ponieważ jego wierna praca w Niemczech z pochwałą przyjęta była, więc to było powodem do przekładu polskiego, w zaufaniu, że się w téj mierze niejednemu dogodzi. W dodatku umieszczone dziesięcioro przykazań Bożych i kilka pieśni duchownych.”

Cały wykład ułożony w pytaniach i odpowiedziach, odznacza się jasnością, prostym a pięknym językiem, i pisownią bezbłędną.

Nowy przekład siedmiu pieśni duchownych (*na nowo*, jak wyraża p. Mrongowius *spolszczonych*), ma wszystkie zalety dobrego tłumaczenia, bo przy prostocie wyrażań, moc i jasność języka naszego.

K.

Kilka słów z powodu recenzji IIgo tomiku Przekładów poetów polsko-lacińskich, przez p. Lisowskiego, umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej na r. 1851. (Miesiąc marzec, str. 576 i nast.).

Wołamy na potrzebę krytyki, oceniamy jej ważność i dla autora, i dla dzieła, i dla czytającej publiczności, a z kądże pochodzi, iż tak niewiele posiadamy sprawozdań literackich odpowiadających swojemu celowi? Oto, mówmy śmiało, nasze wyobrażenia o świętości krytyki niedosyć są wzniosłe: mało kto z godnością krytykuje, mało kto z godnością umie przyjąć krytykę. Recenzje u nas są najpospolicij pedanckie, zimne, dowcipne kosztem dzieła lub autora, słowem—zaczepne; autorowie zaś, lud drażliwy z natury, rozjątrzony niewłaściwym tonem krytyki, urażają się, odstrzeliwają dowcipem za dowcip, dają osobistej niechęci przystęp do serca: i owo zamiast żywotnych korzyści, jakich sprawa literatury ma prawo oczekiwać od krytyki, ta ostatnia staje się rękawicą wyzwania. Na papierowej scenie pism peryodycznych występują dwaj szermierze uzbrojeni w ostre, żółcią napojone pióra, i rozpoczynają walkę; publiczność zaproszona na świadka, z uśmiechem, czasem ze zgorszeniem przygląda się bojom; zapaśnicy walczą aż nim wymaganiom honoru obojój strony stanie się zadosyć, a odchodząc z przechwałkami, obiecują sobie pozostać i nadal w swych *niepoprawionych grzechach*.

Podobne zapasy tak są pospolite, tak nienowe (1), tak mało budujące, że nie mamy wcale ochoty występować w szranki; owszem, pochlebiamy sobie, że spór nasz z szanownym recenzentem *Przekładów poetów polsko-lacińskich* zakończymy w sposób godniejszy, i stron obu, i publiczności, która jest naszym świadkiem. Szlachetnie wyznajmy co nas boli, niech szan. recenzent osądzi czy mamy słuszność, potem zapomnimy co było, i z miłością prawdy, bez gniewu, pójdziemy dalej drogą prac naszych.

Oto naprzód, bolą nas rzeczy *nienależące do sprawy*, które p. Lisowskiemu podobało się zamieścić w swojej recenzji IIgo tomu. Kiedyśmy w Tygodniku, odpowiadając na jego pierwszą recenzją, zakończyli nasz artykuł prośbą, aby p. Lisowski jako znający rzecz i sumienny krytyk, zechciał i nadal być naszym sprawozdawcą: to nie zasłużyliśmy na tak dziwny docinek, jaki czytamy w drugiej recenzji: „Jeżeli wreszcie nasz rozbiór zawierał jakowe pochwały, to szan. tłumacz niesłusznie

(1) Redakcja Biblioteki wszakże nie zna i nie znalazła dotąd podobnych.
Przyp. Red.

przymawiał się o dalsze sprawozdanie z jego przekładów, bo to niby jakby żądał podobnych pochwał." Najuroczyściej oświadczamy, że nie pragniemy *pochwał dla pochwał*, bo nie myślimy jeszcze spoczywać na naszych laurach, ale wciąż idąc drogą naszego zawodu, potrzebujemy ocenienia, porady, sądu od znawców, aby wiedzieć czy się trafnie idzie, czy, i gdzie się zboczyło. O to prosiliśmy u recenzenta, nie dla siebie, ale dla dobra naszego dzieła; w tém znaczeniu potrzebowaliśmy krytyki, to jest *pochwały i nagany*, bo te obie rzeczy są zarówno pożądaną dla nas, bośmy nie doszli do téj zarozumiałości aby rzec: że nie dbamy o jedną i drugą, bośmy wierzyli w korzyści jakie autor z krytyki odnosi, i wierzyli w wyższy pogląd na rzeczy, w trafność sądu p. Lisowskiego. Za cóż szanowny recenzent pojął nas w sposób tak pospolity? Czyż prosić o krytykę znaczy dmuchać w trybularz wonnego kadzenia, aby nasze nerwy słodził swym dymkiem połechtał? czy p. Lisowski nie wierzy, że można pożądać krytyki dla czegoś więcej, jak dla dziecięcej pochwały? czy nie wierzy w wyższe względy pisarskiego zawodu, i w wyższe znaczenie swych własnych krytycznych rozpraw?

Drugie miejsce, które z przykrością odczytaliśmy w recenzji, jest to owo zapytanie na końcu artykułu (str. 588 i 589), „kto jest właściwie pan Syrokomla? czy rzeczywiście tak się nazywa, czy też to tylko miano przybrane; i jeżeli tak jest, to w jakim celu?”—Jak gdyby nazwisko autora wpływało coś na wartość książki, albo na większą lub mniejszą dozę pochwał, jakieb krytyka ma udzielić?

Rzecz tedy o pochwałach, o pseudonymach, o naszój herbownój tarczy, i o tarczy Rawitów czy Rawiczów, uważamy za przedmiot wy-czerpany; przystąpmy do istotnej części recenzji p. Lisowskiego, t. j. do przeglądu II tomiku *Przekładów*. (Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego). Tu się zgadzamy z recenzentem na wszystkie wytknięte nam błędy w tłumaczeniu; za pochwały dziękujemy grzecznie, ale ostrożnie, aby nas nie posądzono, że się o nowe nienasycenie dopraszamy. Przytoczymy tylko, co mamy powiedzieć gdzieniegdzie na nasze usprawiedliwienie; i tak:

1) Sam recenzent wyznaje, żeśmy nie dali powodu do obawy, iż użyjemy straszliwie przestarzałych archaizmów: *jątrew, jakmiarz, szybal* i t. d.; na cóż więc ten przypisok ostrzegający zawczasu (str. 577)?

2) Nie tłumaczyliśmy fraszki łacińskiej pod napisem *Votum*, bo ja sam Kochanowski pięknie i prawie dosłownie przełożył. Recenzentowi musi być znajomy ów polski wiersz Kochanowskiego:

„Jam nigdy nie dbał o złoto,
Alem zawsze prosił o to,

Aby kufel stał przedemną,
I przyjacieli pijał ze mną." i t. d.

3) W edycji łańciskiej *Fraszek* (u Łazarza 1584.) z której dokonaliśmy nasz przekład, pod liczbą odpowiadającą naszej 44tej wyraźnie stoi *ad Candidulum*, nie zaś *ad Aurelium*. Recenzent musiał mieć pod ręką inne wydanie.

4) Wyrazów: *sumioty*, *nożny* (zamiast nożyce), *krusować*, nie uważaliśmy za niezrozumiałe prowincjonalizmy. Wyraz *nie jużto*, jako oddający zapytanie razem z powątpiewaniem, uważaliśmy za lepszy od książkowego *czyliż?*, bo w ogólności mamy wstręt do interrogacyj książkowych *czyli, ażali*, i t. p. i wtedy ich tylko zwykliśmy używać, kiedy nieudolność nie dozwala nam znaleźć wyrazu naturalniejszego. Z tych wszelako grzechów obiecujemy poprawę.

Nakoniec aby uzupełnić recenzją przekładu Kochanowskiego dodajmy to, czego p. Lisowski nie mając pod ręką oryginału łańciskiego nie mógł uczynić, a mianowicie, że *Epinikion* tak jakeśmy go przełożyli, nie zgadza się co do miary wiersza z pierwowzorem. U Kochanowskiego jest wiersz krótki, zastosowany do muzyki, i lekki; u nas długi i monotony tak dalece, że Stefan Batory po tylu wojennych znojach snadź twar-doby usnął, gdyby mu Klabonus wyśpiewał przy lutni choć połowę w naszym przekładzie *Epinikionu*, składającego się z 73 strof, a 876ciu dwunastogłoskowych wierszy.

Kończymy naszą odpowiedź, tusząc, że szanowny recenzent za złe nam jej nie poczyta, a dalsze sprawozdania dopełni w tonie przyzwoitszym wysokiemu powołaniu krytyki.

D. 13 czerwca, 1851.

Wł. Syrokomla.

ROZMAITOŚCI.

O dawnym województwie sieradzkim.

(Ciąg dalszy).

Około Zielonych Świątek, To najlepsze wzłątek—

przywodzą gospodarze, gdyż kto ma jeszcze zapasy zboża, albo inwentarze zbywające od roli, takowe w czasie przednowku najkorzystniej spieniężyć może, albowiem teraz już żadnej o paszę nie masz trudności. Uroczystość Bożego Ciała wyprowadza liczną processyą z kościoła na wieś lub na dziedziniec dworski, gdzie zwykle przy czterech ołtarzach, na cztery strony świata świeżo wystawionych, miejscowy kapłan przez kollatora prowadzony, przy pomocy jakiego zakonnika z blizkiego klasztoru przybyłego, obrządku religijnego dopełnia; w czasie zaś oktawy, nabożni właściciele idąc za śladem swych przodków, sprowadzają do siebie proboszcza, uwite wianki rozwożą wraz z księdzem po wszystkich granic swoich narożnikach; a poświęcone wraz z czterema ewangeliami, na czterech odrębnych kartkach pisanemi, tamże zakopują, w przekonaniu religijném, iż przez ciąg roku bieżącego, wolni będą od gradobicia. W wigilią św. Jana Chrzciciela nie widać śladu dawnych sobótek, czyli skakania przez ogień z tańcami, lecz pozostał jeszcze u ludu ten zabobon tradycyjny, iż kto jest śmiały i życia nienagannego, niech się uda samotnie przed północą do lasu, rozpostrze klęcząc i modląc się chustkę pod paprocią, a o samą północy kwiat odpadnie na chustkę. Z nim niech spieszy do domu, nie zważając na wszelkie poza nim krzy-

ki, zjawiska biesów w różnych postaciach, i na łoskot obalających się sosen; kto się odwróci, leb będzie miał ukręcony, kto zaś wszystko w modlitwie przetrwa, odkryje za pomocą kwiatu opadłego skarby w ziemi ukryte, i we wszystko przy szczęściu obfitować będzie. Figury św. Jana Chrzciciela przystrajają wieczorem dnia tego w kwiaty i wience, nucąc przy tychże nabożne pienia. W sam dzień św. Jana, chodzą jeszcze przed wschodem słońca kąpać się, ażeby uchronić się nazawsze, lub przynajmniej na ten rok od wrzodów, i tym podobnych wyrzutów lub świerzbu. Jeżeli w tym dniu deszcz pada, przez 40 dni następnych padać musi, chociażby tylko jak rosa.

Święty Jan
Krećljan.

brzmi w ustach wielu, gdyż dzień ten hywa zwykle terminem ruchu powszechnego: jednych na transakcyę do miast grodowych, innych dla objęcia dóbr nowo zakupionych lub w dzierżawę wziętych, albo dla przeprowadzania się z miejsca na miejsce obywateli lub ekonomów; dlatego też w czasie takowym najwięcej fur sprzęty domowe przewożących na prowincyi spotykać można, aż do dwóch tygodni, jako czasu do tak zwanój rumacyi (przenoszenia się) używalnie dozwolonego. Osoby staroświeckie szukają bacznie w kalendarzu, czy świętego Marka nie przypada w dzień Wielkiénocy albo św. Antoniego w Zielone Świątki, lub św. Jana razem z Bożem Ciałem; a gdy to dostrzegą, żałośnie się odzywają:

Dum Marcus pascham dabit,
Antonius pentecostabit,

Et Johannes in corpore stabit,
Totus mundus veh! clamabit.

W wigilią św. Piotra i Pawła, sadzą skrzętne gospodynie brukiew, ażeby takowa słodką i miękką była.

Dzień Nawiedzenia Najświętszej Panny Maryi (2 lipca), nasi przodkowie co do pogody uważali: gdy deszcz w nim się pokazał, przez 40 dni takowego się spodziewali według przepowiedni:

Si pluit in Visita,
Pluet quadraginta.

Nadejście św. Jakóba radością młodzież napępniało, z których jedni powtarzali:

Na święty Jakób
Grochu naskub;

a drudzy po mozolnych naukach wzdychali:

Święty Jakób
Ze szkół wykup.

Na co ostatnim odpowiadano:

Hodie bisones,

Cras vacatones.

Jakoż na św. Jakób był początek wakacyj, trwających do św. Idziego; formalnie zaś nauki rozpoczynano ze świętym Michałem, zkad urosły przysłowia:

Święty Idzi
Do szkół pędzi.

Święty Michał
Do szkół pychał.

W sierpniu, dzień Przemienienia Pańskiego w bardzo wielu miejscach święcą, wstrzymując się do południa przynajmniej od cięższych gospodarczych robót; w wigilią zaś św. Wawrzyńca otwierają ulę, w których skoro pszczoły miodu podrobiły, wyrzynają im po kilka plastrów. Na Wniebowzięcie N. P. Maryi, czyli na Matkę Boską Zielną, kobiety ze wsi zbierają rozliczne zioła, część takowych do dworu przynosząc, resztę biorą z sobą do kościoła, a poświęcone, starannie zachowują do kąpieli, lub do nakadzania krów w czasie cielenia się, ażeby im dużo mléka dawały; z czego niekiedy wypadki pożarów bywały. Jeżeli w tym dniu deszcz pada, wtedy gospodarze ciągle sobie deszcze aż do Narodzenia Matki Boskiej wróżą.

Kiedy w polu resztę oziminy zerzną, natenczas przodownica, która w ciągu żniwa całego żniwiarzom w pracy przewodniczyła, przystrojona w wieniec z orzechów laskowych, żyta i pszenicy uwity, zbliża się na czele gromady do dworu, i doręcza tenże przy śpiewie chóralnym swemu panu. Ten czyniąc jój zaszczyt, wyprowadza ją w pierwszą parę do tańca, gospodyni domu tańczy z przodownikiem, panicze jeżeli są w domu idą w ślad za nimi, a w końcu lud kręci się obertasa przy odgłosie muzyki, lichego skrzypka z sobą przywiedzionego. Włodarz lub karbowy częstuje gromadę piwem i wódką, przez dwór na wyrzynkę (okrężno) wystawionemi, a pozostałą resztę biorą z sobą do karczmy, i tam sami hućnie i ochoczo się bawią. W wigilią ściecia św. Jana, starzy rolnicy muszą koniecznie, chociażby tylko parę wiertelci zasiał żyta, ażeby całoroczne grady od pola swego odwrócić; zwolennicy zaś rybołówstwa, wyrzynają sierpami po stawach lub sadzawkach gęstą trzcinę pod wodą, tak, ażeby ponad wodą żadnego jój śladu nie zostało, w tém mocném przekonaniu, iż ona sama przez się wyginie i nie będzie im stała na zawadzie, gdy im ryby łowić wypadnie.

Na święty krzyż,

Owce strzyż,

odzywa się właściciel folwarku do owczarza, i wszelkie ku temu przygotowania czyni.—Osoby myśliwe nie czekając dnia św. Bartłomieja, śledzą

po owsach farbówek, lub po kartoflach marczaków, nie przepuszczając nawet wrześniakom (1). Odgłos trąbki pojednego rozlega się po lasach, ogary gnają za tropem kota, lisa lub sarny, gdy tymczasem gospodarze rolni zajęci są sprzętem reszty jarzyny, gospodyni zaś moczeniem lnu, jego suszeniem i łamaniem.—Za nadejściem św. Jadwigi, tylko kapusty, brukwie i rzepy na polu znajdować się powinny, co weszło w przysłowie:

Na święty Łukasz,

Czego po polu szukasz?

Na co św. Jadwiga odpowiada: rzepy. Lecz i z tych zbiorem pospieszają, w obawie śniegów lub mrozów, na świętych Szymona i Judę oczekiwanych.

W Dzień Zaduszny wszyscy dążą do kościoła, podają z imion i nazwisk zmarłych swoich krewnych, dobrodziejów, przyjaciół i znajomych organistów, który od każdej zapisaney osoby po 3 grosze przyjąwszy, kartę proboszczowi doręcza, a ten wznosi za nimi wspólnie z korzącym się ludem modły do Stwórcy. Następnie lud wiejski i miejski nawet, tamten w karczmach, a ten po szynkach topi do późnej nocy, swe smutki w anyżówce tak, iż częstokroć z guzami, siniakami i oczami podbitymi do domu powraca. W nocy przed samemi Zaduszkami, utrzymują, iż dusze w czyscu gorejące, zbierają się po kościołach, nabożeństwa przykładowie słuchają, i processye, nie każdemu widzialne, po en entarzu odbywają: dlatego więc niektóre osoby w jak najlepszej objawiają wierze, iż o północy słyzały odgłos dzwonów, a nawet kościół rześisto oświetlony widziały.

Św. Marcin na białym koniu przyjedzie,

mówią rolnicy, śniegu w tym czasie się spodziewając; a gęsi stadami w dniu owym śmierć ponoszą, z których kości piersiowych biegli prognostycy, powietrze zimy nadchodzącej przepowiadają.

Zbliża się adwent, przez ciąg którego, według religijnych przepisów, zaślubiać się nie jest dozwolone. Młodzież ciekawa przyszłości, pragnie dociec swoich przeznaczeń; i tak: młodzieńcy w wigilią św. Katarzyny, dziewczęta zaś w wigilią św. Andrzeja, baczenie na sny uważają. kładą kartki różnoimienne co do osób pod poduszki, albo oków roztopiony na zimną wodę wylewają; z wyciągnionego zaś losem imienia lub kształtu utworu z ołowiu, wnioskują o swych narzeczonych. Obok tego, w wigilią św. Andrzeja dziewczęta chciwe wiadomości, która z nich najprzód się wyda, składają każda po jednym trzewiku; trzewiki te od

(1) Farbówki sąto kuropatwy młode, kolor ceglasty już przybierające; a zaś marczakami i wrześniakami nazywają myślwi zajęce, w miesiącach marcu lub wrześniu upłęzone.

ściany drzwiom do sieni przeciwległej, kładą na podszwie, czubkami do drzwi w linii prostej, jeden za drugim, a gdy ich braknie, ostatni z tyłu naprzód umieszczając; który z nich pierwszy za próg dosięgnie, właścicielka jego naprzód za mąż pójdzie, a następnie porządkiem wychodzących trzewików. Pod względem zakazania małżeństw, dochowały się nam przysłowia:

Święta Katarzyna śmiechem,
Święty Andrzej grzechem.

Albo: Święta Katarzyna zawiązuje,
Święty Andrzej zakazuje,

gdyż św. Andrzej adwent rozpoczyna.

W adwenta

Same posty i święta,

niesie przysłowie; w tym czasie bowiem, oprócz piątków i sobót, wstrzymują się od pokarmów mięsnych, a niekiedy i maślanych nie tylko we środy, lecz nawet i w wigilio do świąt Matki Boskiej, a nadewszystko w przypadające podczas adwentu suchedni. Po kościołach odprawiają przededniem nabożeństwa, roratami, od wyrazu łacińskiego, początkującego *rorate*, nazwane; a ile świec przed ołtarzem jest zaświeconych, tyle tygodni karnawału przyszłego lud przepowiada:

O dniu świętej Barbary, mówią:

Gdy na świętą Barbarę mróz,
Sanie chłopie na górę włóż,
A szykuj dobry wóz;

co znaczy, iż zima nadchodząca będzie mało śnieżną, lecz natomiast mroźną.

Na święty Toma

Gody doma (w domu):

powtarza sobie lud wiejski, za kilka dni bowiem następuje Boże Narodzenie, w czasie którego gospodarze rolni czeladź odmieniają i rocznie się godzą pod względem przyodziewku, przysiewku i myta (zasług).

W wigilią Bożego Narodzenia, przed świtaniem, matki wiążą dzieciom w serwety strucelki, pierniki, jabłka, orzechy, elementarz, rozliczne zabawki i potężną różgę, które im śpiącym ostrożnie pod poduszki podkładają, a z rana się zapytują, co im dzieciątko Jezus przyniosło; zachęcając je do grzeczności z groźbą: „bo na wilią, dzieci biją.” Przez wigilią post ścisły zachowują: stan niższy na oleju, wyższy zaś na oliwie. W dniu tym według dawnego zwyczaju po wsiach, mierzwę od wszelkiego inwentarza, chociażby nawet w niewielkiej ilości koniecznie wyrzucać muszą. Gospodarz zwołuje czeladź, łamie się z takową po kolei opłatkami białymi, kolorowe na pieczętowanie listów zachowuje, a przyrządzone z rutą, bydłu spożywać daje; z rodziną zaś raczy się strucelami z mio-

dem, z powidłami i śledziem. Dzień ten pod względem pomyślności lub przygód, jest przepowiednią na cały rok przyszy: dlatego myśliwi próbują w nim szczęścia, radośni, jeżeli im w nocy śnieg poproszył, że za ponową łatwo zwierzę poszlakować zdołają; złodzieje wszelkich używają forteli, by tajemnie i zręcznie cudzą sobie własność przyswoić; rybacy sieciami w tonię pod lód zapuszczonymi, *chochlują* (posuwają) widelkami tyki, z sznurami do nich przywiązanemi od przerebła do przerebła w półkole, a po wyciągnięciu sieci z drugiej toni, z kornalcami do kupy zebranemi niecierpliwie skutku połowu w matni upatrują; szulery wietrzą fryców, by ich na dyskę, figurę lub dwójkę pociągnąć można. Wieczorem o gwiazdzie na niebie, a przy świecach na stole zastawiają potrawy, pod stołem zaś siano i słomę mieszczy. strzegąc pilnie, by 13 osób nie zasiadało razem, hoby jedna z nich w ciągu roku umarła. Zwykłemi potrawami corocznie przynajmniej w liczbie 9, w stanie wyższym używanemi są: zupa migdałowa, kluseczki z sosem, karp' na szaro, szczupak z szafranem, andrótty z makiem albo kluski z miodem i makiem, suszone gruszki i śliwki gotowane, grzybki suche na oleju smażone, groch biały i karaski w oleju tretowane (smażone) z kapustą. Lud wiejski kontentuje się siemieniuchą, tojest: zupą z siemienia konopnego, kaszą jaglaną, kapustą z grzybkami, kluskami z makiem, i grzybami w oleju smażonemi.

W sam dzień Bożego Narodzenia, przed świtaniem wybierają się do kościoła na pasterkę, gdzie organista nuci do organów pieśni kantyckowe o narodzeniu Pańskim, a chłopcy na chórze przywtarzają mu niekiedy naśladowaniem słowika lub kanarka, piszczałką glinianą w wodzie zanurzoną. Gospodarz po powrocie z nabożeństwa do domu, udawał się do pszczolnika (pasieki), a pukając do każdego ula, wymawiał słowa: Chrystus Pan się narodził; następnie po świętach, słomą zpod stołu od wigilii obwiązywał na pęk każde z drzewek rodzajnych w sadzie. Synowie ze szkół na święta przybyli, na środek wystąpiwszy, deklamowali rodzicom oracye, przez dyrektorów (*directores*) ich ułożone, z powinnowaniem świąt, i różnemi życzeniami.

W drugie święto, rolnicy zaopatrzeni owsem po kieszeniach, rzucali nim po dokonaniu nabożeństwa na kapłana, jako pamiątkę rzucania kamieniami na św. Szczepana, pierwszego męczennika za wiarę chrześcijańską. Czeladź wiejska w dniu tymże swobodna, powtarzała:

Na święty Szczepan,
Każdy sobie pan,

gdyż służbę dawną zakończywszy, na nową się wybierała, a gospodarze

przywodziłi, iż w ten dzień czeladź drogą chodzi, oni zaś ścieszkami tylko, bo ich sobie upatrywać i przynęcać muszą.

Starzy rolnicy, lubiący prognostyki, zapisują od dnia 13 grudnia, czyli od świętej Łucyi począwszy włącznie, każdego dnia pogodę, i to wciąż przez dni 12, aż do Bożego Narodzenia czynią, naznaczając takż sam stan każdemu z dwunastu miesięcy następnego roku; np. gdy przez cały 13 grudeń jest mróz, cały styczeń będzie mroźny, a gdy w wigilią (24 grudnia) śnieg pada, wtedy cały grudeń roku przyszłego śnieżny przepowiadają. Takież same obserwacye powtarzają od Bożego Narodzenia przez dni 12, aż do święta Trzech Króli, w przekonaniu, iż jaki stan powietrza jest w dniu 25 grudnia, taki sam będzie przez cały nadchodzący miesiąc styczeń, a jaki jest w dniu 5 stycznia, taki sam będzie w miesiącu grudniu.

Od Bożego Narodzenia aż do zapust, proboszcz w towarzystwie organisty objeżdżał wie do paralii jego należące, po kolędzie. Przybywszy do dworu, zasiadał w komży na stolku, błogosławił lud zebrany, który na odgłos dzwonka na kolana padał; słuchał dzieci i czeladzi katechizmu, a umiejętnym rozdawał obrazki. Po wydaleniu się parocha ze dworu lub chaty wiejskiej, dziewczęta ubiegały się do stotka po kapłanie, a która z nich piérwsza na nim usiadła, okrzyczano ją, iż w ten rok jeszcze się wyda (za mąż pójdzie). W tymże samym czasie po miastach i miasteczkach chodzą chłopcy wieczorem, śpiewając pieśni kantyczkowe z szopkami, wewnątrz oświetlonemi w kształcie gwiazdy lub stajenki, z wyobrażeniem Dzieciątka w żłobie, z osłem i wołem, tudzież z ruchomemi maryonetkami, pomiędzy któremi zwykle król Herod, śmierć, żyd, djabeł, czarownica i huzar głównie role grają. W sam zaś dzień Nowego Roku, chłopcy około dziesięcioletni (niegdys pauprami zwani), zwiedzają domy z powinszowaniami i oracyami, z których tutaj jednę dostownie przytaczam:

Winszuję państwu
 Doczekanego Nowego Roku,
 Zdrowia, szczęścia, fortuny
 I w niebie korony.
 Ja mały żaczek,
 Jako robaczek,
 Niewiele umiem,
 To państwu powiem;
 Powiedziałbym więcéj,
 Lecz nie mam pamięci.
 W szkole nie bywałem,

Różgi nie widziałem,
 A różga zielona
 Z drzewa wylałana.
 Malutkie dziatki,
 Zbierają kwiatki,
 Po drodze rzucają,
 Jezusa witają.
 Ach mój Jezu drogi!
 Ja Tobie pod nogi,
 Rączkę podnoszę,
 O kolędę proszę.

Wykazawszy mniej więcej docieczone zwyczaje, przesady i zabobny w ciągu każdego roku peryodycznie w byłem województwie sieradzkiem napotykanę, przejdźmy do innych, w rozmaitych okolicznościach i przy różnych zdarzeniach się pojawiających, a nasamprzód pomówmy o urodzinach, ślubach i pogrzebach. W domach staroświeckich, akuszerki doktorkami mianowane, dopełniają swoich obowiązków pilnując osoby chorój, przy oknach zasłoniętych; ilekroć zaś mężczyzna, familią lub przyjaźnią spowodowany, położnicę odwiedzi, a doktorki datkiem jakowym nie opatrzy, takowa stara się wszelkiemi sposobami dostać jego czapki, i onęż mu przechowuje. Szukanie czapki przy pożegnaniu wywołuje żarty, rumieniec, i pożądany skutek sprawia. Kobiety wiejskie używają za doktorkę jedną z pomiędzy siebie praktycznie usposobionę, na których w żadnej prawie wsi nie zbywa. Niemowlę bierze matka z sobą w pole, wkłada w płachtę, zawiesza u dwóch gałęzi gruszki polnój a sama mało o krzyk jego dbając, pracy się oddaje; w karczmie i dziecię gorzałki koniecznie skosztować musi.

Kiedy zamęście w wyższym stanie jest udecydowane, i zaręczyny już nastąpiły, wtedy narzeczony składa podarunek swojej oblubienicy, a matka jego dziękuje rodzicom za przyrzeczenie. W dzień obrzędu zbiera się licznie familia, przyjaciele i zaproszeni sąsiedzi. Pan-młody wszystkie suknie musi mieć na sobie nowe, jak mówią z igły zdjęte; broń Boże, gdyby coś przy nim czarnego dostrzeżono koloru, boby to smutek oznaczało w pożyciu. Oblubienica w białej atlasowej z powłoką (ogon) sukni, z wiankiem na głowie z mirtu i rozmarynu uwitym, i welonem czyli woalką białą długo spuszczoną, opatrywaną zwykle bywa przez matkę lub opiekunkę w monetę złotą i kawałek chleba, oraz cukru, by takowe jój przez ciąg pożycia w małżeństwie nieodstępniemi były; podobnie i narzeczony. Druchny przypinają młodzieży po gałązce mirtu i rozmarynu, białemi wstążeczkami w kokardę związanych. Na kobiercu wpośrodku pokoju rozpostartym padają narzeczeni do nóg ojcom i matkom swoim, a błogosławieństwo tychże i łzy, czułą ceremonią w domu zakończają. Panna-młoda w towarzystwie matki i z druchnami wyjeżdża pierwszym powozem do kościoła, za nimi pospiesza oblubieniec z swą matką własnym okwipazem, a następnie łańcuch powozów, bryk brodzkich i bryczek pomniejszych. W kościele, po odbytej poprzednio spowiedzi, postępuje narzeczona wśród dwóch drużbów, a oblubieniec pomiędzy druchnami na rozłożony przed wielkim oltarzem kobierzec; tu słuchają, klęcząc obok siebie, całego nabożeństwa, a matka narzeczonego składa na oltarzu dwie obrączki złote, przez niego dostarczone. Po nabożeństwie zbliżają się do stopni oltarza; oblubienica z matron na-

mowy, upuszcza rękawiczkę lub chustkę, do której podniesienia narzeczonego skłaniają w duchu, ażeby jój na przyszłość był uległym; nikomu zaś z obcych podnieść jój niewolno. Następuje przemowa kapłana, ślub, i huczny odgłos organów lub muzyki towarzyszy śpiewowi: *Veni Creator...* Oblubienica prowadzona pod rękę przez statecznych mężów, a narzeczoney, postępując wśród dwóch matron, wsiadają razem do powozu pana-młodego, i na czele pojazdów spieszą ku domowi. Wszelki wypadek w ciągu drogi, nawet co do drobnych szczegółów pilnie obserwowany bywa, i z niego zaraz o przyszłym wnioskują pożyciu; a kiedy deszcz się opuści, optakane będzie ich życie. W domu następują powinszowania, obiad, usadowienia państwa-młodych na pierwszym miejscu obok siebie, i ścisłe matron dostrzeganie, ażeby pan-młody wina pod miarę używał. Po obiedzie, przy blasku sabatników i kandelabrow zwykle się kończącym, huczna muzyka i rześkie tańce przerywane zostają trzaskiem z biczów przed dworem zebranych stangretów, których ofiara pieniężna, ze strony pana-młodego udzielona, do karczmy przenosi. W pokoju sypialnym dla państwa młodych przeznaczonym, łożnicą zwanym, młody małżonek w późną noc przyrządza kosztem swoim cukrową kolacją: torty w piramidy z cyframi nowożeńców poustawiane, rozliczne gatunki cukrów, bombenków (karmelków) i ciast rozkłada cukiernik symetrycznie po blatach i farfurkach (talerzach), a stary Węgrzyn w zgodzie z Małagami i Francuzami, w baterye na bocznych stołach ustawiony, oczekuje swego przeznaczenia. Wtém sędziwy obywatel wyprowadza młodą małżonkę do poloneza, w ślad za nim idzie towarzystwo całe, sala się wypróżnia, a w mgnieniu oka wszelkie siedzenia uboczne w sypialni pleć piękna zajmuje. Tutaj dopiero pan-młody i jego familia czynnemi się okazują: sypią się cukry paniom oblicie na łona, tokaj z małagą się krzyżują, a zaplesniałe gąsiorki szybką kolejką za zdrowie i pomyślność państwa-młodych w kulawkę (puhar bez nogi) lub w ból z ostrogą (kształt puhara) przelewane, z oczu znikają. Po nastąpioném oczepieniu goście wracają do sali, państwa zaś młodych samych dalszemu zostawiają przeznaczeniu. Nazajutrz zsiwiałe matrony i łysi żonkosie żarcikami młodożeńców do grona swego przyjmują, a przyjaciele i znajomi za pierwszym widzeniem się witają ich kosmato, przez połę od szaty.

W stanie wiejskim swat, przezwany družbą lub starostą, udaje się do rodziców panny-młodej z fiaczką wódki w kieszeni; córka za piec się chowa, a gdy przyjmie kieliszek wódką napełniony, interes za skończony się uważa, i to nazywają zmowinami. W wigilię ślubu młodziany (po naszymu družby) w świąteczne szaty przyodziani, chustkami przez ramię przepasani, w towarzystwie družby, białym ręcznikiem, na wzór rańtucha

przepasanego, z kapłonem pod pachą na podarunek i pałkami w rękę, przybywają do dworu, prosząc pana miejscowego o zezwolenie na ślub, tudzież o dziewczki dworskie na obchód weselny; zaprosiny zaś na sam obrządek tak brzmią:

Nawiedzają nasze nogi
Przed wasze progi.
Jesteśmy tu zesłani
Od Pana Boga,
Od pana ojca,
Od pani matki,
Od pana-młodego,
Od panny-młodej;
Prosimy na war piwa,
Na pieczywo chleba,
Co nam go potrzeba;
Na kieliszek wódki,
Bo mamy czas krótki;
Na wołu tucznego,

Na wioprza karmnego,
Miotłą porażonego;
Na parę kuropatw,
Żeby pan-młody panny-młodej dopadł;
Na parę łabędzi,
Nie te, co po polu latają,
Ale co pod dachem siadają;
Byście nami nie gardzili,
Do stołu małżeńskiego doprowadzili.
A wy druchenki
Spódniczki fałdujcie, cie,
Pończoszki maglujciejcie,
Młodemu panu, młoděj pannie
Wstydu nie zadajcie.

W sam dzień ślubu z rana przybywa panna-młoda w towarzystwie szwacy i druchnów, młoduchami zwanych, do dworu. Pani miejscowa lub córki jęj doroste stroją głowę narzeczonej, przypinając jęj mnóstwo wstążek różnokolorowych i świecidełek, a na sam wiérzch koronę błyszczącą; młoduchom upinają na głowy staroświeckie czołenka czarne aksamitne, wstążkami jasnych kolorów ubarwione. Wkrótce nadchodzi po nie towarzystwo weselne z muzyką, z skrzypców i basetli złożoną, a uraczeni anyżówką, powracają wszyscy na wieś, by do kościoła wyruszyć. Na czele wesela jadą konno, batami opatrzeni, młodzianie, za nimi wóz czterokonny z panną-młodą, młoduchami i mnóstwem kobiet z muzyką; następują inne z kobietami i wieśniakami. Muzyce wtorują kobiety śpiewami i klaskaniem w ręce. Wszystko, powozu nie wyjąwszy z drogi ustępować im musi, chcąc zatargów uniknąć, bo inaczej małżeństwu na przyszłość niedobrzeby się wiodło. Po ślubie następuje uczta, kosztem rodziców panny-młodej wyprawiona, a po nięj tańce w karczmie. Nazajutrz każdy z gości przynosi w podarunku gęś, prosię, kurę, kapłona, kaszy, mąki, słoniny, soli, wódki, co kto może; wznawia się uczta wspólna, w dniu trzecim dopięro zakończona. Jeżeli proboszcz, dla zaszłęj jakowej religijnęj przeszkody ślubu odmówi, odbywają mimo tego wesele, porządkiem powyższym oczepiny, łożnicę, i państwo młodzi bez żadnego skrupułu z sobą mieszkają; w czasie atoli oznaczonym do ślubu przybywają. Małżeństwa u włościan, pomimo częstych bijatyk pomiędzy sobą, żyją w zaprzysiężonęj wierności w społeczeństwie aż do śmierci.

Przejdźmy z kolei do obrzędów i zwyczajów pogrzebowych. W stanie wyższym osoba zmarła, obmyta, ubieraną bywa w szaty najwspanialsze, panny zaś w suknie jak do ślubu. W pokoju piérwszym na marach dywanami okrytych, w trumnie kosztownej leżą zwłoki, obstawione świecami jarzącemi i lampami, z rękoma złożonemi, w których obrazek jaki, lub ukrzyżowanego Chrystusa zamieszczają. Ubodzy licznie zebrani, dzień i noc ciała pilnują, kadzą mirą lub bursztynem i pieśni nabożne śpiewają. Sąsiedztwo odwiedza zwłoki nieboszczyka, modląc się kłęczący przy trumnie za jego duszę. W dzień drugi lub trzeci po zasłębieniu śmierci zjeżdżają się przyjaciele, sąsiedzi i kapłani pod wieczór na exportację: zaprzężona czwórka z przyrządzoną na wzór karawanu pod kobiercami bryką zajeżdża, konia każdego trzyma przy wędzidłach włościanin, by dla blasku światła i odgłosu śpiewów i muzyki się nie rzuciły. Po wyniesieniu trumny i postawieniu jej na krzeselkach przed dworem, zamówiony kapłan żegna w przemowie, exortą zwaną, familią, przyjaciół, czeladź i włościan, a następnie cały kondukt przy świetle pochodni, świec woskowych, żółtych u bractwa, a jarzących w ręku rodziny i gości, wyrusza z miejsca ku kościołowi. Po drodze palą się w kilku miejscach porozstawiane beczki od smoły. Dawniej kapłan exportujący, w kapę przybrany, siedział, jak niesie tradycya na trumnie, żałobno nucąc pienia; teraz duchowni postępują przed trumną, za nią grono osób ostatnią posługę zmarłemu oddających, a w końcu szereg próżnych pojazdów. W kościele rzesisto świecami i lampami po ołtarzach, piramidach i świerkach na ten cel porozstawianych, oświetlonym, pomiędzy któremi u góry nad trumną portret zmarłego bywa zawieszany, proboszcz miejscowy przyjmuje stosowną mowę przybyłe zwłoki, a po odśpiewaniu *Requiescat in pace* i modlitwie, księża świeccy i zakonni udają się na plebanią, gdzie we wszelkie potrzeby co do pożywienia, nawet dla ich ludzi i koni przez dwór w smutku pogrążony zaopatrzeni, noc przepędzają. W sam dzień pogrzebu kapłani wychodzą z mszami żałobnemi, śpiewają wilije, a po zgromadzeniu się rodziny odprawiają nabożeństwo, w środku którego stosowna z ambony bywa przemowa. Za odśpiewaniem *Salve Regina...* przenoszą się zwłoki na barkach krewnych i przyjaciół w miejsce pochowania, gdzie ostatnią mową wynurza kapłan pożegnanie i podziękowanie imieniem zmarłego za ostateczną przysługę mu wyświadczoną, a na wpuszczoną już w grób trumną, rzucają obecni po garści ziemi, mówiąc z westchnieniem: wieczny odpoczynek racz mu dać Panie... Smutkiem przejęta familia zaprasza gości przytomnych obchodowi, i wszystkich bez wyjątku księży, do siebie; ubodzy licznie z okolicy zebrani z torbami, zaopatrywani bywają porcyami słoniny, grochu, kaszy, soli, mąki, chle-

hem i datkiem pieniężnym. W czasie obiadu osoby z nieboszczykiem spokrewnione, częstują hojnie kapłanów, i według stanu paczką zawiniętą, każdego z nich szczegółowo wynagradzają i obok tego zakonom jałmużnę na klasztor zapewniają. *Miserere mei Domine...* chórem sług bożych zaintonowane oznacza koniec obiadu, po którym goście, długo nie bawiąc się, rozjeżdżają. Z upływem pewnego czasu wyprawiają krowni za nieboszczyka żałobne nabożeństwo w parafii, lub jakowym klasztorze, i dają na wypomiuki roczne z ambony za jego duszę ofiarę.

Biedny kmiotek, w długą koszulę, na wzór alby uszytą, *zgiętem* nazwaną, po śmierci ubrany, kontentować się musi czterema deskami, do kupy zbitemi, i to jeszcze niekiedy ukwestowanemi. Cokolwiekbydź szyją dla umarłego, chronią się robić węzłów u nici, gdyż takim sposobem grzechy odpuszczoneby mu nie były. Na wierzchu trumny malują krzyż gruby czarną farbą, a w braku téżo węglem; trumnę kładą na wóz zaprzężony parą wołmi lub końmi, i przy śpiewach nabożnych, oraz dzwonka dworskiego odgłosie, wieś cała towarzyszy ciału ku parafii. Przy pierwszej figurze lub bożej męce zatrzymują się wszyscy, występuje jeden z włościan pod figurę i przemawia do obecnych w imieniu nieboszczyka, żegnając ich, dziękując za ostatnią posługę i prosząc o przebaczenie za wszelkie z jego strony za życia doznane urazy. Następują pod gołóm niebem częstowania wódką, gromada do wsi powraca, a kilka osób śpiewając psalm: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”.. towarzyszy zmarłemu przed kościół. Tutaj wychodzi proboszcz z organistą, a czasem i sam organista, śpiewa, modli się i wodą święconą ciało pokrapia; przyjaciele zaś grób kopią, do niego trumnę wpuszczają i ziemią zasypują.

Przystąpmy teraz do przesądów ludu dawnego województwa sieradzkiego pod względem zjawisk atmosfery, przepowiedni, leczenia różnych chorób, i jakie wyobrażenie mają o zmorach, czarownicach i diabłach?

Jeżeli się zorza północna w jakimbydź kształcie, lub kometa pokaże, wtedy powszechna wieść krąży, iż trzeba się obawiać nędzy i krwawych wojen, przez znaki niebieskie grzesznemu plemieniu ludzkiemu objawianych. Światła w powietrzu spadające, uważa lud za oczyszczenie się gwiazd przez oderwanie się jednej z takowych, i święcie utrzymuje, iż ślady spadnięcia w *massie* flegmistej na ziemi pozostają. Zaćmienie słońca sprowadza, jak mówią, zarazę na wszelkie ziemne istoty: dlategogo zamykają lub zakrywają wszelkie studnie, by od niej wodę zabezpieczyć, a bydła w pole wcale nie wyganiają. Pojawiające się nocną porą świa-

tła po błotach zowią świeczkiem, którego wyobrażają sobie jako złego ducha niewidzialnego, z trzema świecami, ludzi uciekających goniącego, a śmiałków na topiele naprowadzającego. Gdy w czasie lata czarne chmury widnokrag zaemią, wtedy trwożliwe matrony zapalają gromnice, modlą się klęcząc przed obrazem Małki Bożkiej Częstochowskiej, albo stanawszy na środku podwórza żegnają chmury na cztery części świata, i dzwonkiem loretańskim dzwonią, a za połyskiem błyskawicy chyląc się wymawiają pobożnie: „w Nazaret się począł, w Betleem się zrodził, w Jeruzalem umarł; a słowo stało się”.... Gospodarze zaś dla rozpędzenia chmur gradowych każą dzwonić w dzwonek na podwórzu zawieszony, a proboszcze uderzali w dzwony kościolne. W czasie grzmotu zamykają wszelkie drzwi i okna, wypędzają z pokoju psów i kotów, i opodal stoją od okien. Budynku od piorunu zapalonego wzbrania się lud gasić w przewidzeniu, iż go niczém, jako na spalenie od Boga przeznaczonego, ugasić nie można, lecz owszem przez bronienie jeszcze więcej zabudowań zapalić się może. Piorun takowy, jak lud utrzymuje, wpada głęboko w ziemię, i ślad po sobie w kamieniu żółtawym, kształtują cylindrowego pozostawia, który skrobany i z wódką pity, na różno choroby ma być lekarstwem. Nie zna się włościanin na zegarze, i żadnego też nie ma u siebie, lecz podług wysokości słońca i chęci do jądła potrafi czas we dnie przy pracy oznaczyć, w nocy zaś według piórwszego, drugiego lub trzeciego piania kogutów, wysokości lub pochyłości gwiazd, jutrzeńki, bab i kosiarzy, z którymi praktycznie jest obznajmiony, świtanie doskonale wyrachować zdoła. W gęstym lesie zabłądziwszy, pozna on bardzo łatwo stronę północną po mchu od tej strony na drzewach rosnącym, i według niego o położeniu wsi swojej wnioskuje. Promienie słońca jednocześnie z deszczem złowróźnie uważa, mówiąc:

Słońce świeci, a deszcz leci,

Czarownica masło kleci.

Chłopczy usłyszawszy piérwszy gzmot w locie, przewracają koziółki po ziemi, ażeby ich krzyże nie bolały; a starzy gospodarze dzień ten sobie zapisują, i w tenże sam dzień w czasie właściwym groch sieją, ażeby go robaki nie toczyły. Gwałtowne wichry przypisują albo powieszeniu się kogoś, albo też wojnie w odleglejszych krajach.

Mieszkańcy wioski mają rozliczne przepowiednie, po części na stałych zasadach, lecz najwięcej na tradycjach odwiecznych, w istocie samej wątplych, oparte. I tak: jeżeli w locie upał słońca dopieka, koguty we dnie pieją, gęsi lub kaczki po wodzie się trzepotają, jaskółki się tłuką i wody nad stawami dziobkami lub skrzydełkami dotykają, kania przelatująca się odzywa, żabki zielone na liściach skrzeczą, i piskorze na ten cel w butlach

utrzymywane są w ruchu: natenczas deszczu spodziewać się można. Spuszczanie się na kogo z góry po nitce pająka, spotkanie przy pierwszym wyjściu zrana żyda, kobiety z konewkami wodą napełnionemi, kichnięcie na czezo, pomyślność i szczęście sprowadza. Myśliwy szczególnie z żydem się zszedłszy, pełen radości spieszy do celu; lecz kobietę naprzeciw siebie dostrzegłszy, traci nadzieję ubicia zwierzyny. Gdy bociaw piskłę (młode) z gniazda wyrzuci, głodu obawiać się trzeba. Psów wycie żałosne, i odzywanie się puszczyka, *pućką* tutaj zwanego, śmiercią osobie jakowej w tym domu grożą; złąd też włościanie utrzymują, iż puszczyk wywołuje:

Pójdź w dołek

Pod kościołek.

Od której strony kot się łapką myje, od tój strony goście przybędą, a jeżeli w dzień poniedziałkowy goście zawitają, codziennie przez cały tydzień kogoś spodziewać się należy. Podobniez ktoś obcy przybędzie, jeżeli drzewo na kominie się palące (świerkowe lub jodłowe), węgle żarzące na pokój wystrzela. Swędzenie prawej ręki oznacza wydawanie pieniędzy, lewej zaś, zgarnianie; dzwonicie w prawém uchu przyniesie pomyślną nowinę, w lewóm zaś smutną. Gdy przy obiedzie wypadnie komu nóż z ręki; wtedy mówią (niby to do wiersza) że przybędzie w gościnę Francuz; jeżeli widelec, przybędzie Niemiec; a gdy łyżka, to spodziewana Polka. Poniedziałek i piątek poczytują za dni feralne tygodnia, i w nich wzdrygają się większej pracy rozpoczynać i kończyć. Komu zając przez drogę przebieży lub kobiéta przejdzie, nieszczęście albo przypadek mu zagraża, dla odwrócenia którego znak krzyża świętego czyni. Dzieci nie można odsadzać od piersi w czasie, w którym ptaki od nas do cieplejszych odlatują krajów, boby one dorostszy miejsca jednego nie zagrzały, tylkoby po świecie biegały. Przestrzegają, ażeby kolebek próżnych nikt nie kolebał, gdyż przez to dziecię bólu głowy doznaje: w piątek ich nigdy nie kąpią, gdyżby przez to suchot dostać mogły. Z ogniem dzieciom igrać nie pozwalają, ażeby się w nocy nie podlewały.

Na rozmaite choroby i słabości wewnętrzne i zewnętrzne rozliczne posiadają włościanie lekarstwa, jawne i potajemne; i tak: na ból oczu smarują powieki olejkim z wątróbki miętusowej na słońcu uzyskanym; kiedy proch jaki w oko wpadnie, ruszają trzęsąc powieką, i często spluwają, ażeby wypadł, albo wkładają pod powiekę tak zwane oko racze, które obiegłszy dokoła oko, samo wypada i proch z sobą wymiata. Na ból gardła kręślą na tórnże krzyże złotem w Trzy Króle święconém i mirą kadzą, albo świniogorz (gniazdo gąsienic w kształcie rurki na gałązkach drzew śliwkowych się znajdujące) na szyi zawieszają. Kiedy języczek spadnie, kładą pomiędzy zęby w usta szeroko otworzone, palec wielki

zgięty, ściskają po 3 kroć na krzyż głowę, i kosmyk włosów w samém ciemieniu trzy razy do góry mocno pociągają. Gdy się kto w czoło uderzy, przykładają natychmiast nóż, sierp, lub kosę, ażeby guz nie wyskoczył. Wściekliczną leczą cisowém drzewem skrobaném, w wódce zadawaném. Na mocną gorączkę przykładają do gołych stóp dwie połowy lina żywcem wzdłuż rozplatanego. Gdy ząb boli, nakadzają go pod nakryciem przy ustach otwartych szalejem, w mniemaniu, że robak ząb toczący zdechnie i z ślinami wypłynie, albo płuczą usta zielem kaczyniec zwaném, w wodzie wygotowaném. Sączącą się gwałtownie krew wstrzymują chlebem z pajęczyną. Ażeby zaś dzieciom zęby z łatwością wychodziły, dają im ząb wileczy w srebro oprawny do zabawy, lub zawieszają na szyi kilkanaście ocz raczych, w wstążeczkę na połowę wzdłuż złożoną powszywanych. Miejsce oparzone okładają gliną mokrą albo kartoszlami świeżo skrobanemi; gliną także przykładaną zapobiegają puchnięciu ciała od pszczoły użądłonego. Osoby chore na reumatyzm trzymają w pokoju świnkę morską albo gila w klatce, którym przypisują własność przyciągania chorób. Na rozwolnienie dają pié kwiat z terek czyli z ciernia zebrany i w cieniu ususzony. Poty wzniecają kwiatem bżowym, miodem osłodzonym. Na kaszel rozbijają żółtko od jaja z cukrem i piją z odwarem kwiatu lipowego. Kto się oberwie, trą na donicy niepolewanéj kamień od oberwania (Lapis haematidis, Blutstein) z piwem lub z wódką, i takowe czerwono zafarbowane wypijają. Ażeby się koltun wywinął, kropią włosy odwarem barwinku, a następnie takowy w dniu pogodnym pod pewnym znakiem niebieskim upalają, mruczając niezrozumiało wyrazy, i tenże upalony zakopują albo pod strzechę chowają. Jeżeli kto uroku dostanie, to jest, gdy zniacnacka zblednie, ból głowy, oraz nudności uczuje, odczyniają mu urok nalewając w szklanke zimnej wody i kładąc do niej trzy żarzące się węgle, tudzież trzy skórki spodnie od chleba; jeżeli chleb utonie, urok pochodzi od niewiasty; skoro zaś węgle na dół opadną, mężczyzna uroczył. Następnie dają słabemu po trzy kroć napić się téj wody, a resztę wylowają na zawiasy od trójga drzwi; albo téż mężczyźnie obcierają twarz koszulą niewiasty, a niewieście mężką. Na zanokcicę zanurzają po trzykroć palec cierpiący w wodzie wrzącej, w której się kartosle gotują. Postrzał, to jest chorobę w której kości z rany wychodzą, leczą owczarze lub owczarki strzelając pod ciałem cierpiącym, modląc się, plując, wyrazy niezrozumiałe mruczając, zażegnując, i o dziwy! bardzo często w krótkim czasie do zdrowia przyprowadzają. Brodawki chcąc zgubić, rozrznają nawpół jabłko, pocierają tym sokiem brodawkę, składają następnie te połówki i zakopują w ziemię, tam, gdzie trzoda nie chodzi; gdy jabłko zgnije, i brodawka zniknie. Skoro dziecko piérwszy raz kon-

wulsyj dostanie, zdejmują z niego koszulkę, rozdzierają przez pół i takową Bożą mękę obwiązują. Bardzo stosownie wiersze co do leków po wsiach przytacza książka lekarska pod tytułem: *Compendium Medicum*, w traktacie trzecim, w Częstochowie drukowana, w każdym niemal porządniejszym domu się znajdująca, takowej osnowy:

Mają i baby leki przedziwne,
 Różnym chorobom bardzo przeciwne:
 Dziegiecie i smalce, woski topione,
 I różne chwasty z niemi smażone;
 Korzenie, zioła, kwiecica prażone,
 Kąpieli, plastry, trunki warzone,
 I konfekciki, soki smażone:
 Wódki, krystery im doświadczone,
 Którymi leczą, jak doskonale
 Lekarki baby, bardzo zuchwałe.
 Gdzie się uczyły nauk lekarskich?
 Kto ich wyéwiczył sztuk aptekarskich?
 Co baba, doktor: z kąd promocyja?
 Czy od kądzieli, gdy przędzion zwija?
 Nie zna natury ani choroby,
 Daje na domysł, doznaje próby.
 Wszędy się wrazi, jakby co złego
 Uczyć medyka, choć i biegłego.
 Racya za nie medyka stoi,
 Baba uporna androny stroi.
 Gdy się przylepi szeptem do ucha,
 Zwiedziony radą, chory jój słuca.
 Chociaż przemawia, kręśli i chucha,
 Mruczy i żegna, nad głową dmucha,
 Nie dba na gusta człek omamiony,
 Że ciężko grzeszy, od bab zwiedziony.
 Winawiają w chorych dziwne choroby,
 Suchoty, wraz wzdęcie wątroby,
 Czary, kołtuny i podziwienia,
 I inne różne do podziwienia.
 Kry jakieś w lokach, które smarują,
 Trą, rozcierają, one sznurują;
 I utrażnienie zawsze wmawiają
 W białą płeć, czém ją oszukiwają.
 Na które patrzą, kurzą, smarują,
 I różne plastry jój wynajdują,
 Ściągają boki i one prażą,
 Aż drugiój oczy na wierzech wylażą.
 Uroki, glisty w dzieci wmawiają,
 Na nie przemierzło mikstury dają.
 Gdzie bius nie może, tam babę wrazi,
 Na każdą sprawę, one narazi;

Jak starym wiecchiem, dziury zatyka
 Babami, gdy ich w każdą rzecz wtyka.
 Więc się ich chronić jak czego złego,
 Jak bazyliuszka jadowitego,
 Abyś dostąpił zdrowia miłego,
 Zażyj medyka rady biegłego.
 Nie daj się zwodzić babskiej chytrności,
 Przez które szatan wypełnia złości;
 Oczyść twe serce grzechem zmazane,
 Mić ufność w Bogu, że pożądanę
 Otrzymasz zdrowie w pomocy Jego,
 Gdyserce twoje skłonisz do niego.

Wyobrażenie o zmorach takie ma lud dawnego województwa sieradzkiego, iż one po nocach nie tylko ludzi, bydło, konie, lecz nawet wodę i ciernie duszą, dlatego chcą dostrzegać niektóre niewiasty z rana pomaczane i podrapane. Zmora może się przemienić w różne istoty: w kota, żabkę, powróż i t. p., a najczęściej dostaje się przy drzwiach zamkniętych do osoby, którą dusi, w kształcie słomki, przez otwór od klucza lub szparę we drzwiach. Chcąc się od niej uchronić, potrzeba dzień i noc nosić przy sobie igłę w koszulę wetkniętą, albo nóż w łóżko na noc włożyć; osoba przez zmorę dręczona, bywa zwykle bladą. Jeżeli przy chrzcie rodzice chrzestni idą za kapłanem, w pacierzu się zmylą, albo go niedobrze umieją, lub zamiast wiara, wyrzekną „mara”: wtedy niemożliwe to, skoro dorośnie, zmorą zostanie. Zmora tak jest ciężką, jak kamień młyński; trwożliwy obudziwszy się, przyrzeka jój chleba z masłem, a nazajutrz z rana, daje go pierwszej przybyłej niewieście, gdyż onato była ową zmorą, i wolnym już od cierpień pozostanie; śmielszy chwytą w nocy po sobie, a jeżeli złapie kota, żabkę lub słomkę, trzyma ją silnie aż do dnia. Wtedyto zmora prosi mu się, by ją puścił, przyrzekając, że go więcej dusić nie będzie; on żąda, ażeby mu wymieniła kto ona jest, grożąc, że jój łapy lub głowę utnie; ta wymienia swą nazwę, lecz puszczona, dusić go na przyszłość nie przestanie. Niektórzy sechwytaną zmorę nielitościwie wybijają i potłuką, a wtedy nazajutrz, kobieta w zmorę przemieniona, ciężko choruje, i znaki na niej pobicia dostrzegać się dają; gdyby zaś ktoś łeb zmorze uciął, kobieta takowa nazajutrz nieżywą znalezioną będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Pan Chevreul zawiadomił w imieniu pp. Gratiolet i Cloez Akademią umiętności paryżką, o skutkach trujących, cieczy wychodzących z brodawek młecznych salamandry i ropuchy.

Oddawna utrzymują, że salamandra ziemna (*Lacerta salamandra*), ma w sobie mocną truciznę. Jakkolwiek dzisiaj nie dają temu wiary, przypisują jednak wielką ostrość cieczy lepkiej młecznej, którą wydają z brodawek skórných, rzeczone płazy. Oto są doświadczenia niniejszego przedmiotu dotyczące:

Ciecz wydawana przez brodawki skórno salamandry, jest biała, odurzającej woni; w początkach wychodzi ze zwierzęcia w postaci gęstego młéka, które wprędce krzepnie; posiada zaś mocne działanie kwaśne. Turkawka po napuszczeniu tą cieczą zdraśniętego jéj skrzydła, żyć przestała w ciągu 20 minut, wpośród okropnych konwulsyj i sparaliżowania. Małe zwierzęta ssące np. świnki morskie, szczury, ulegały jedynie konwulsjom, które się śmiercią nie kończyły.

Podobne doświadczenia wykonywano z cieczą młeczną zawartą w brodawkach grzbietowych ropuchy (*Rana bufo*). Ciecz rzeczona jest gęsta, lepka, żółtawa; zapach ma odurzający, a smak obrzydliwy gorzki. Jeden z czyniących doświadczenie, skosztował jéj przypadkowo, ale w skutku tego nie doznał w ustach bólu. Ciecz tę zaszczerpiono pięciu ptaszkom, a te wszystkie utraciły życie w ciągu 5 do 6 minut, ale bez konwulsyj; otwierały tylko dzióbek, chwiały się, zamykały potem oczy jakby do spania, i traciły życie. Przekonano się, że jad ten zabija ptaki nawet gdy będzie wysuszony, lub gdy kwas jego nasyci się potażem. (Treść z pisma *L'Institut* z 23 kwietnia 1851 r.).

* *Bytność jodu w powietrzu.* P. Chatin professor w szkole farmaceutycznej paryzkiej, doniósł Akademii umiejętności, o bytności jodu w powietrzu, i o pochłanianiu tego pierwiastku w czasie oddychania zwierzęcia.

Uważając na znikanie powolne jodu, znajdującego się w wielu wodach, za ich odparowaniem; ulatnianie się prędkie tego ciała za ogrzaniem wody, i okazywanie się jego w wypadkach otrzymanych z przepędzania; na wydzielanie się jodu z wód *twardych*, i to tak gwałtowne, że nie często można go tam wykryć, nawet wtedy, gdy wody te wypływają z pokładów zawierających w sobie znaczną ilość tego pierwiastku; oraz na wypadki jakkolwiek jeszcze niedokładne, otrzymane przy doświadczeniach z wodą deszczową; p. Ch. wpadł na myśl, że jod może znajdować się w powietrzkregu: co téż rzeczywiście się sprawdziło.

Z doświadczeń p. Ch. okazało się, że w 4,000 kwart powietrza paryzkiego, znajduje się jodu około $\frac{1}{500}$ milligrama; bo w pierwszych dniach lutego znalazł tę ilość, a w dniach dżdżystych marca tylko $\frac{1}{100}$. Przypuściwszy, że człowiek zużywa dziennie 8 metrów sześciennych czyli 8,000 kwart powietrza, okaże się, że wciąga wtedy $\frac{1}{250}$ milligrama w płuca jodu, czyli tyle, jak gdyby wypił dziennie 2 kwart wody.

Również p. Ch. przekonał się o bytności jodu w wodzie deszczowej. Ilość nawet tego ciała jest tam bardzo wielka, bo wynosi częstokroć w Paryżu $\frac{1}{50}$, do $\frac{1}{40}$, $\frac{1}{30}$, $\frac{1}{20}$, milligrama na kwartę, czyli na kilogram wody.

W śniegu (10 marca) znalazł także p. Ch. jod, ale w mniejszej ilości o jedną dziesiątą od wykrytej w deszczu wkrótce potem spadłym. Również wykrył to ciało i w rosie. (Treść z pisma *L'Institut* z d. 7 maja 1851).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

WARSZAWA.

75. Prawo prywatne polskie napisane i wykładane przed rokiem 1830 w b. Warszawskim Alexandryjskim uniwersytecie przez Jana Wincen-tego Bandtkle Stężyńskiego, radcę stanu..... Dzieło pogrobowe. 8ka. War-szawa. 1851. Druk Banku Polskiego. Str. X i 480. Spisu rzeczy str. XIV. Złp. 13 gr. 10.

76. Wspomnienia z podróży po Danii, Norwegii, Anglii, Portugalii, Hiszpanii i państwie Marokańskiem. Przez Dra T. Triplina. 12ka. 4 tomy. Warszawa. 1851. Druk Gazety Codziennój. Tom I, str. 204. II, 168. III, 341. IV, 304. Listy pren. str. liczb. 10. Złp. 33 gr. 10.

77. Złote nasionka czyli wiazarek dla dzieci, zawierające w sobie drobne utwory wierszem i prozą, oryginalne lub przełożone z obcych auto-rów, przez T. Nowosielskiego. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Ad. Krethlow. Str. 137. Złp. 3 gr. 10.

W I L N O.

78. Złoty ołtarzyk czyli krótkie zebranie różnego nabożeństwa z przy-daniem niektórych modlitw i pieśni w kościele rzymsko-katolickim używa-nych. Wydanie nowe przez jednego gorliwego kapłana przejrzone, popra-wione i pomnożone. Z rycinami na stali. 16ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. XXX i 657. Złp. 9.

W I E D E Ń.

79. Rozmowy łatwe zastosowane do życia towarzyskiego młodych panien. Dla użytku szkół panieńskich przez M. J. Frings, nauczyciela języka francuzkiego w Berlinie. Przełożył na język polski J. Julian Szczepański. Czwarte, poprawne wydanie. 8ka. Lwów, Stanisławów i Tarnów, nakładem J. Millkowskiego, drukiem J. P. Sollingera w Wiedniu. Str. 167. Złp. 3 gr. 20.

W R O C Ł A W.

80. Marja. Powieść ukraińska przez Antoniego Malczewskiego. 8ka. Wrocław. 1851. Nakładem Z. Schlettera, druk C. H. Storch. Str. VI Wspo-mnienia o Malczewskim p. A. Mosbacha. i str. 68. (Z ryciną). Złp. 2 gr. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Poszyt IV kończący tom pierwszy dzieła W. A. Maciejowskiego, p. n. *Pismienictwo polskie*, opuścił prasę drukarską.

— Nakładem S. Orgelbranda wyjdzie wkrótce *Biblioteka starożytna pisarzy polskich*, w 2głym wydaniu, w VI tomach, znacznie pomnożona lak przedrukami dzieł rzadkich, jako też i rękopismami dotąd nieznanemi.

— Nakładem S. H. Merzbacha: *Historji Hiszpanii podług najlepszych źródeł ułożonej przez T. Dziekońskiego*, tomu Igo poszyt 6ty wydany został. Poszyt 6ty zamyka tom pierwszy.

— Jan Glücksberg ogłosił przedpłatę na nowe zeszytowe pismo: *Podróż wokół świata* zastosowana dla młodzieży.

— Tom VIII *Historji literatury polskiej* Michała Wiszniewskiego już znajduje się w księgarni Klukowskiego do nabycia. Tom IX ma być ostatnim, i ma zamknąć wielkie to dzieło.

— Stanisław Bogusławski ukończył komedią wierszem p. n. *Serdeczna przyjaciółka*, dla teatru warszawskiego.

— Obszerny dramat oryginalny *Kajetana Niepowie* (ś. p. Frankowskiego): *Upadek wielkiego domu*, w r. b. będzie przedstawionym na scenie warszawskiej.

— Powieść J. I. Kraszewskiego, p. n.: *Stary sługa*, ogłaszana częściowo w Gazecie Warszawskiej, wyjdzie (nakładem S. Orgelbrönda) oddzielnie we lch tomikach.

— Ewaryst Estkowski pracujący w zawodzie pedagogicznym wydał: „Książka do pierwszego czytania”. „Żywot człowieka poczciwego, na wzór zwłoczdła Mikołaja Reja”.

(Wyjątek z listu Karola Szajnochy. 12 czerwca, 1851).

„Pracuję od kilkunastu miesięcy nad nowym, obszerniejszym od dotychczasowych, obrazem historycznym, przedstawiającym dzieje Jadwigi i Jagiełły. Pojmuję te dzieje jako jedną z najpiękniejszych próbek powszechnego zbliżenia się, łączenia, bratania wszystkich części ludzkości w jedną kiedyś rodzinę, mianowicie jako próbkę takiegoż przybliżonego złączenia z sobą okcydentu i orientu: Europy i Azji. Stosownie do tego pojęcia dziełę cały obraz na trzy widoki, całe dzieło na trzy tomy, z których pierwszy zawierający wypadki od śmierci Ludwika 1382, do koronacji i ślubu Jagiełły w Krakowie, ma nam odmalować w kilkunastoletnich wypadkach polskich, tegoż przeciągu polską okcydentalną stronę całego obrazu. Igi zawierający zdarzenia od 1386 do śmierci Jadwigi, 1399, w przeważających w tym przeciągu wypadkach litewskich, ruskich, tatarskich, litewsko-ruską orientalną stronę. Wreszcie IIIci, opisujący dalsze, do 1415, lata, widok dojrzewającej w istocie unii obudwóch stron, objawiający się w unii horodelskiej, w tryumfie *Grundwaldzkim*, we wzajemnym rozświeceniu i spotężnieniu Polski przez Litwę i Litwy przez Polskę. Każdą z tych części mogę i muszę zosobna ogłaszać. T. Iszy w znacznej części już wykończony; potrzeba mu jeszcze tylko kilkunastocznej redakcyi. Chcąc bowiem pracę niniejszą, co do jej naukowej wartości i gruntowności wcale niepodobną do prac dawnych uczynić, zaopatrzyłem się w masę źródlowców, kronikarskiej, dokumentalnej, statutowej, drukowanej i rękopiśmowej erudycyi, którą wielokrotnie oclosywać, wygładzać, i pokostować wypada, aby jej głównie na celu mianą formę nadobną, formę naukowo-artystycznego utworu nadać. A żarliwe studia wszelkich naszych i wielu obcych niemieckich, francuzkich, włoskich, kilku tysięcy dyplomatów owego czasu, nawet rysowniczych zabytków epoki, pozwalają mi tuszyć, że praca moja i w obec erudyków pobłażanie poniekąd znajdzie”.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Czerwiec, 1851.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.644	27	8 756
Najwyżej dochodził — d. 12 o g. 10 w.	756.66	27	11.425
Najniżej — — d. 10 o g. 10 w.	738.76	27	3.489
Średnia zmiana dzienna barometru	2.614		1.159
Największa zmiana dzienna barometru d. 11—12 o g. 6 r.	13.57		6.015
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 25 lat	2.130		0.934
poprzedzających	748.5156	27	7.822
Średnia temperatura czerwca wynosi: + 16.9051 C. + 12.841 R.			
i ta jest niższa o	1.560	„	1.248 „
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 17.611	„	+ 14.089 „
Największe ciepło dochodziło d. 5 o godz. 4 wiecz.	+ 27.0	„	+ 21.60 „
Najmniejsze dochodziło d. 1 o godz. 6 rano.	+ 4.9	„	+ 3.92 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.66	„	2.13 „
Największa zmiana dzienna d. 8—9 o godz. 4 wiecz.	13.9	„	11.12 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 23.8 R. d. 23 po połud.

Minimum: + 1.0 „ d. 1 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 69,3 milim., czyli 30,72 lin. par.
t. j. o 2.84 lin. par. więcej niż w stanie normalnym.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 69,1 biorąc
100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co
do ciężaru 9.46 gramów na jednym metrze sześciennym po-
wietrza.

Wilgotność ta jest o 0.01, mniejsza jak w stanie normalnym.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 8, pochmurnych 12.

— deszczu 20 (d. 1, 6, 8, 9, 10, 11, 12, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 23,
25, 26, 27, 28, 29, 30).

— gradu 1 (d. 29).

— grzmotu 1 (29).

— błyskawic bez grzmotu 2 (13, 28).

Wiatr panujący: Zachodni i Północno-Zachodni.

Wichrów 1 Zachodni.

Wiatrów mocnych 3: 2 Pn., 1 Zachodni.

Czerwiec r. b. był niepogodny, słotny, przeszło o I stop. R. zi-
mniejszy jak zwykle. Wyjąwszy sześć dni od dnia 3 do 9, które
były gorące, cały miesiąc był chłodny, osobliwie dni: 1, 2, 9, 10,
12, 18, 19, 21, 28, 29, 30; dzień 23 był nadzwyczaj parny. Zmiany
temperatury były znaczne; i tak d. 8—9 o godzinie 4 wiecz. zmia-
na dochodziła do 11 stop. R.; zmiany barometru były także
wielkie d. 11—12 o godz. 6 rano zmiana dochodziła 13.57 milim.
czyli 6.02 lin. par.

D. 6, 7, 8 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 12 o godz. 9 wiecz. koło białe otaczało księżyc.

D. 22 o godz. 8 rano koło świetne otaczało słońce.

D. 9 o godz. 2 45' wiecz. powstał wicher gwałtowny Zachodni.

D. 23 o godz. 5 40' powstał wiatr mocny Pn.

D. 28 o godz. 10 45' wiecz. pokazywały się błyskawice bez
grzmotu w Pd. stronie.

WOJNA CHOCIMSKA.

POEMAT BOHATERSKI W DZIESIĘCIU CZĘŚCIACH

PRZEZ

Andrzeja Lipskiego

PODWOJRWODZEGO SANDECKIEGO, PODCZASZERGO CHELMSKIEGO.

(Rękopism 1673 — 1680).

Byłoto dnia 17 czerwca 1843 r. wieczorem. Na łożu już śmierci spoczywał znany w literaturze naszej Józef Borkowski; osłabiony, drżącą ręką pokazał Stanisławowi Przyłęskiemu rękopism *Wojny Chocimskiej*, z zapytaniem, azali mu był znany? Na przeczącą odpowiedź, wyrzekł:

„Przeczytałem go z wielką uwagą, i mogę cię zapewnić, że jestto utwór przynoszący zaszczyt naszemu piśmiennictwu, szczerze rodowy, pełen najpiękniejszych obrazów poetycznych, a przytém stanowiący całość zaokrągloną, po mistrzowsku wykonaną. Wojna Chocimska jest w całym znaczeniu tego wyrazu poematem bohaterskim, jakiego nam dotąd niestawało. Gdyby we Francyi lub Anglii wynaleziono podobny zabytek literatury, dawno już byłby on ogłoszony drukiem, w licznych a coraz ozdobniejszych wydaniach. Naszym ziomkom nie można przebaczyć téj dziwnej obojętności, z jaką spokojnie przypatrywać się zdają butwieniu starych ważnych rękopismów, temu codziennemu prawie znikaniu u nas zabytków dawnego piśmiennictwa.” Żywo poruszony silnym uczuciem, przepowiedział na lat trzy smutne

wypadki, i zobowiązał obecnego przyjaciela, że rękopism tego poematu ogłosi drukiem.

Nazajutrz z rana Józef Borkowski już nie żył, a p. Stanisław Przyłęcki dotrzymując zmarłemu przyrzeczenia, przygotował rękopis do wydania; dodał w końcu treściwy spis przedmiotów szczegółowo każdej pieśni, nakoniec słowniczek wyrazów mniej używanych, wszakże niezupełny.

Pomijamy szczegóły zebrane troskliwie do żywota naszego poety (bo te znajdzie czytelnik w samém dziele); dosyć nam wiedzieć, że poemat ten za Jana III zaczęty, po r. 1673 ukończony został, że autor sam nie był uczestnikiem téj sławnej wyprawy. Ale zaprotestować musimy przeciwko nieobaczmemu przekonaniu autora przedmowy, jakoby Andrzej Lipski: „za główne źródło do swéj kompozycyi wzięwszy dwa dzieła Jakóba Sobieskiego: *Historia wojny Chocimskiej* (*Commentatorium Chotinensis belli, libri tres. 1646 r. wydane*), oraz tegoż dyaryusz, reszty wątku prawdziwie olbrzymia jego wyobraźnia tak pięknie dosnuła.”

W tych słowach zaprawdę żadnej pochwały nie widzimy, a raczej ujmę dla wartości poematu: najcudniejsze ustępy, nacechowane prawdą, na karb *olbrzymiej wyobraźni* wydawca policza. Że tak nie jest, zaraz okażemy.

Zaprzeczyc nie możemy, że korzystał poeta z prac Jakóba Sobieskiego; chociaż słowa jego:

Ale twemi stopami, o wielki Jakóbie

Sobieski postępując, dobrze wróżę sobie,

mogą także mieć na myśli, że ten sam przedmiot traktując co i Sobieski, gdzie tyle pamięć rodzica króla Jana III wystawia, dobrą wróżbę dla siebie rokuje. Ale mnóstwo szczegółów, które są prawdziwie najpiękniejszymi ustępami w tym poemacie, a tych nie znajdujemy ani w dziele Jakóba Sobieskiego, ani w poemacie S. Twardowskiego, i w innych pomniejszych utworach, na karb wyobraźni Lipskiego bynajmniej nie możemy policzać. Zapomniał autor przedmowy, jak nasi ojcowie żywe słowo tradycyi kochali, jak je wiernie przekazywali dziatwie swojej, jak rodami ta tradycya przechodziła nieskażenie: jakie wreszcie mieli zamiłowanie w pisaniu owych *dyaryuszów*, *Sylva rerum*, które każda rodzina szlachecka niemal posiadała, a w nich po trudach wojennych, osiadały pod hełmem wojownik, zapisywał przygody swego żywota i szczegóły takie, o których milczą poważniejsze dzieje. Tam szczerą prawdą, bez bojaźni obrażenia kogokolwiek, wycho-

dzi w dziewiczości swojej: bo te dyaryusze nie były przeznaczone do druku, ale ojciec synowi przekazywał, jako najdroższą pamiątkę po sobie.

Że nasz poeta korzystał z takich rękopiśmiennych pomników, mamy w przedmowie samą wyraźny dowód, gdy wspomina rękopis dziada swojego (str. 22) (1). Nie brakło mu i żywego słowa tradycyi, bo żyło wielu jeszcze z rycerstwa, co walczyli pod chorągwiami sędziwych hetmanów Żółkiewskiego i Chodkiewicza. Sam Lipski mówi: „Żyje jeszcze na poły między nami ludzi tych, którzy Władysława (na północy) pamiętają tryumfy.”

Odległość téż lat 50, jaka przedziela sam fakt od poematu, nie była tak wielką, nie była tak rychło zatartą w pamięci, gdy zważymy, że wówczas zwyczajny wiek ojców naszych do lat 80 i 90 w czerstwości dochodził.

Liczne ustępy większe i małe o wojownikach polskich, zawarte w nich szczegóły, same mówią najwyraźniej, że je brał z tradycyi, a nie z wyobraźni. Ktokolwiek rzucił głębszy pogląd na dawniejsze pomniki literatury naszej, gdzie tak potężnie rozwiniętą mamy poezją historyczną, dojrzał, że naszym pisarzem zawsze więcej chodziło o prawdę dziejową, niż o przystrój fantazyjny; i jeżeli go gdzie spotykamy, to ogranicza się prawie zawsze na porównaniu najczęściej z mitologią, to znowu z dziejów greckich lub rzymskich wziętóm. A ten przystrój nie pochodził z zamiłowania, nie pochodził z przekonania, ale z hołdu mody literackiej. Przejrzyjmy tego rodzaju pomniki, a zobaczymy widocznie, jak byli dbali o prawdę historyczną: ileż tam nie znajdziem drogocennych szczegółów, pominiomych w poważnym nieraz sprawozdaniu dziejowém, ileż tam nie znajdziem barw, do rozbudzenia zamierzchłej przeszłości, w domu i za domem!

Jak *Hołd* Jana Kochanowskiego, jak ogromne poemata S. z Skrzypnej Twardowskiego, tak i *Wojna Chocimska* Lipskiego jest ściśle historycznym pomnikiem, opartym na współczesnych

(1) O jednym z przodków tegoż Lipskiego wspomina Stanisław Witkowski w broszurze wierszem napisanej p. n.: *Pobudka ludzi rycerskich. 1621 r. (Zamość, 4)*, że to był mąż pełen cnót i sławy z *pegazkiej mądrości*. Zażyły z Żółkiewskim: i o tym bohaterze mówi Witkowski, że aby Lipski dostąpił godności kanclerskiej,

„Ledwie nie testamentem życzyłeś mu tego,
Widząc, że jest kochankiem Phaebusa mądrego.”

źródłach piśmiennych, na żywém słowie tradycyi, które poeta z miłością, uczuciem i znakomitym talentem, w cudną całość złożył.

Autor przedmowy dziwi się nad niedbałością naszych poprzedników, co do ogłoszenia drukiem tego rękopismu Lipskiego; a nie zbadał powodów, które stały na przeszkodzie temu, chociaż są widoczne po wczytaniu się uważném w ten wielki poemat.

Szczera prawda, której nie pokrywał, co kierowała jego piórem, była dla samego poety hamulcem w wydaniu drukiem téj epepei. Znać tak z przemowy do synowca (Jana Lipskiego starosty czechowskiego i rotmistrza tegoż i sandeckiego powiatów), jako téż i z piérwszój części samego poematu, obawę, aby dzieło jego nie doznało losu, jaki spotkał piękny utwór Samuela z Skrzypnej Twardowskiego. Poeta ten, poprzednik naszego piewcy Wojny Chocimskiej, wydał obszerny dziejowy poemat p. n.: Władysław IV król polski i szwedzki (w Lesznie, 1650), w którym jego czyny, wyprawy, i żywot cały opisał, a bratu Janowi Kazimierzowi przypisał. Owóż w podzięce, król ten na żądanie jednego z posłów zagranicznych, swoim wpływem i powagą wyjednał na sejmie warszawskim, że *publico decreto* spalono go na rynku miasta. Nasz Lipski widzi objawiającą się postać sędziwego wieszca:

„Nie trwóż mnie eny Twardowski, nie pokazuj z żalem
Pracy swojej spalonej
I na tożes zarobił Władysławie Czwarty?
Proszę niech Mars, nie Wulkan bierze moje karty.”

Święte uczucie cechuje każdą stronicę nie tylko poematu, ale i przemowy, a gorzka prawda przebija niemal w każdym wierszu. Powstaje Lipski silnie na obiór elekcyjny zagranicznych panów, którzy narodowców nigdy cenić nie umieli, ani obyczajów i zwyczajów krajowych. „Batory Stefan, prawda pan wojenny (mówi), ale cóż po tém, kiedy i sławę i pożytki onych wiktoryj, chociaż krwią polską nabytych, swoim Batorym, Bekieszom, Burnimistom, Feledom przypisował: toć Mieleckiego że porzucił buławę, to i wielu inszych od niego odstrychnęło.”

Ostrzój daleko rzuca gromy na Zygmunta III, co żył po cudzoziemsku, nie miał hartu duszy, i o wielkie szkody rzeczpospolitą przyprawił; na dowód zaś jak nie rozumiał charakteru rycerstwa nad którym panował, przywodzi ciekawe zdarzenie o wyprawie tego króla do Szwecyi, kiedy walczył o koronę ojcowską.

Zbigniew Sarnowski w natarczywym boju ściąwszy na harcu szwedzkiego kapitana, wetknięty łeb jego na pałaszu, rzucił Zygmuntovi pod nogi, mówiąc: „Tak padną panie mój wszyscy nieprzyjaciele twoi.” A król czy podziękował? „Nie wszystkichcie Szwedów zwojowali (odrzekł obojętnie), możecie tak nie wykrzykiwać.”

Jakiż tedy był koniec téj wyprawy? Oto (mówi Lipski), koronę szwedzką stracił, a my uzurpatora jeszcze naszymi własnymi Infantami i Estonią wyposażyc musieli. W uniesieniu słuszném zaprawdę, rzuca klątwę na ród Wazów. Podobnie jak wyrzucał Stefanowi Batoremu, że krwią naszyńców zdobyte zwycięstwa przypisywał swoim Węgrom: szydzi nasz poeta z Władysława IV, co się nadymał wyprawą chocimską, i przyjmował hołdy jakby jaki zwycięzca. „Władysław (mówi Lipski w przemowie), jako wszedł w obóz, tak z łózka nie wstał i razu: podobien owemu królowi, co go Węgrzy z sobą na wojnę w kolebce wozili.” Mimo to nie mógł nasycić się swą chwałą: udał się w podróż celem odbierania za granicą danku. Niemcy, Włochy, Holendry, których nawiedzał, pisali mu panagiryki, witali jak tryumfatora!

„Ale w cudze ozdoby, w cudze pstrzyć się piórka,
Nie sledziawszy na koniu, nie widziawszy Turka,
Ujma enocie hetmanów, których krwią i męztwem,
Z szczęśliwem z tego placu zeszlłszy zwycięztwem.”

I w przemowie zastrzega jeszcze Lipski, że korona nasza naprzód Bogu, a potém sprawnym hetmanom, naostatek rycerstwu swemu winna przyznać chwałę, ale Zygmuntovi bynajmniej: bo on w sto tysięcy wojska i pospolitego ruszenia siedząc we Lwowie, choć mu pod nos Tatarowie na Podolu kurzyli, polował sobie swobodnie na zające: bo mu były, jak wyraża nasz poeta:

.....psle gony
„Milsze, niż sława dobra, niż całość korony.”

Zapytamy teraz szanownego autora przedmowy, czy duch poematu, nacechowany taką prawdą dziejową i prawością szczerą, mógł bez obawy być drukowanym, gdy więcéj pochlebny dla rodziny Wazów, Twardowskiego utwór, był publicznie palony?

Do wielkich i najpotężniejszych ustępów z dziejów długiego panowania Zygmunta IIIgo, należy zaprawdę wojna chocimska. Począwszy od zuchwałych wypraw możnowładców naszych Potockich i Koreckiego, co z nadwornymi chorągwiami i hufcami przyjaciół, wyzwali na rękę całą potęgę Porty Ottomańskiej,

i zwycięzko ją nieraz łamali, do smutnej wyprawy Żółkiewskiego i kłeski cecorskiej, skutkiem której tak zwana w dziejach naszych wojna chocimska nastąpiła: to przedmiot w ciągłych ogniwach dla poezji historycznej, bo tam była nieprzerwana poezya czynu.

Najznakomitsi bohaterowie, którzy tyle upromieniali tron niedołęznego Zygmunta Wazy, na tych stepach krwią znaczyli swoje poświęcenie lub dźwigać musieli pęta w niewoli bisurmańskiej. Jeden z najpiérwszych wojowników owego czasu, zwycięzki sędziwy hetman Żółkiewski ginie zgonem walecznego na polach Cecory. Korecki zamordowany jako braniec w Konstantynopolu. Wzięci w łyka: Konicpolski, Mikołaj Potocki, Łukasz Żółkiewski syn hetmana z bratem stryjecznym Janem, Marcin Kazanowski, Bałaban, Strus, Farensbach, Morsztyn, w Jedykule długie lata przejęczeli.

Kłeska cecorska rzuca postrach na całą Rzeczpospolitą i okrywa ją żalobą. Tysiące rodzin we łzach tonie, osierocone z ojców, mężów, braci. Najdzielniejsi wojownicy legli trupem albo w więzach: a młody Osman pełen buty, gotuje pioruny Polsce, i potężne zbiera siły na jej podbój.

Ktokolwiek bacznie zbadał te czasy, podziwu nigdy zataić nie może nad potężną energią Rzeczypospolitej, jaką okazała w tej niedoli przy całej niedołężności, bezdusznosci Zygmunta. Pojmemy wszakże tę energią, gdy zrozumiemy ową głęboką wiarę i pobożność ojców naszych. Oni wierzyli, że na ciosy jakie odbierała Rzeczpospolita, zasłużyła przez błędy swój dziatwy; ale wierzyli zarazem, że Bóg zawsze ma ich w swęj opiece, nie da upaść, a karze, to tylko chwilowo. Wierzyli, że Przedwieczny miłuje iud swój, co stoi żelaznym murem na straży Europy przed nawałą pogańską, bo pod tarczą tego ludu, inne narody żyły swobodnie. Ta wiara głęboka, hartowała ojców naszych serca przeciw trwodze, nie dawała padać na nie haniebnęj rdzy bojaźni, napętniała je otuchą niewątpliwą zwycięztwa. Każdy bojownik nasz zpod chorągwi krzyża, mało ważył swój żywot, bo był pewny, że w chwalebny zgonie, broniąc wiary, otrzyma po śmierci indygenat niebieski na wieczność.

Pojmowali społeczeńsi, że w tej wyprawie bój idzie o śmierć lub życie krzyża Chrystusowego i mahometańskiego księżycy; czuli w tej walce, że w niej spocznie na potomne czasy wielki przedmiot epopei. Pojedyncze ustępy opiewali wierszem: to sa-

mój wyprawy chocimskiej, to śmierć Żółkiewskiego, to bohater-ska odwaga Samuela księcia Koreckiego zrodziła pieśń śpiewaną przez rycerstwo i naród. (1).

Samuel z Skrzypnej Twardowski w ogromnym poemacie swoim: „Władysław IV król polski i szwedzki (w Lesznie u Daniela Vetterusa r. MDCXLIX, folio minori), tej samej wyprawie poświęca część drugą całą, do 4,000 wierszy.

Ale zaprawdę ten słynny swoich czasów poeta, nie wytrzyma porównania z Lipskim. Twardowski mając na myśli tylko Władysława IV, wówczas królewicza, pobieżnie wielki ten ustęp dziejowy przebiega; prawda, że nieraz tychże samych wydatniejszych szczegółów dotyka z Lipskim, ale przeciążony za każdym niemal wierszem porównaniami mitologicznymi, nie ma swobodnego polotu w obrazach, znać unuzenie, brak zapału, a przy języku znacznie zepsutym, najmniejszego nie widać poetycznego natchnienia. I różnią się też wielce nieraz w sądzie o ówczesnych dziejowych figurach. Lipski, wyprawę cecorską licząc na karb wyrzutu Żółkiewskiemu, mówi, że wojsko zgubił, że się porwał bez uwagi, że zadał rzeczypospolitej cios sromotny. Twardowski ze czcią najwyższą wspomina sędziwego hetmana, ze szczegółami opisuje zgon bohatera: jak mając konia zabitego pod sobą, podanego od przywiązanego żołnierza nie przyjmuje, ale radzi mu samemu uchodzić, aby zaniósł senatowi jego ostatnie rady. Nie pomija rzeźnego obrazu, jak na polach cecorskich zbierano pobitych; a małżonka Żółkiewskiego, Herbutówna, gdy głowę hetmana odciętą zaniesiono w tryumfie do Stambułu, sam tułów tylko między tysiącem trupów, bez obu rąk, po bliźnie odniesionej pod Bieczyną poznany, wspawiałym pogrzebem i mauzoleum w Żółkwi uczcił. W poemacie Lipskiego żaden z wojowników nie wspomina więc o zabitym hetmanie; Twardowski przemowę do rycerstwa Chodkiewicza podając, mówi:

„Stojemy grobowców tych blisko,
I ledwie nie na samo patrzem pobolsko
Braci naszych pobitych, kędy przed wszystkimi
Starty, poległ Żółkiewski konim! pogańskimi.
Ci nie płaczu jakiego i lamentów płonych.
Ale proszą, żebyście ich tu nlezemszczonych
Z pola nie odjechali.”

(1) Podąłem tę pieśń w całości w: Dzwonie literackim, pod redakcją Aug. Wilkońskiego.

Mimo to, Twardowski młodego królewicza Władysława dy-mem kadzideł pochwalnych nie może dosyć napaść. Lipski prawdy nie tai, i gorzkich (jak widzieliśmy) przymówek nie szczędzi.

Twardowski mając na uwadze (jak rzekliśmy) głównego tylko bohatera swego podług znanych źródeł dziejowych, dosyć niedbale nawet wyprawę i walki opisuje; Lipski z całą miłością przedmiotu, z całym uczuciem pięknoty tego obrazu, bierze pióro do ręki aby go dokładnie oddać. Znać tu rękę mistrza, co drobnemi nawet szczegółami dodaje wdzięku i ułudy, a wzywa do pomocy i stare podania, i stare rękopisma, i słucha opowieści tychże samych wojowników, co walczyli pod buławą Chodkiewicza i Lubomirskiego.

Zaprawdę, aby utwór Lipskiego umieć dokładnie ocenić, i całą wartość uwielbić, trzeba rozumić przeszłość dziejową, trzeba ją miłować. Lipski nas w tę przeszłość wtajemnicza, mową, postaciami tylu licznych wojowników i ich charakterem. Kto przeczyta uważnie cały ten poemat, to na długo pod silnym wrażeniem zostając, śnić będzie o tych mężach w żelaznej zbroicy, Marsowego oblicza, śnić te harce i walki krwawe, a urokiem przeszłości osnuty, odetchnie niejedną chwilę, z całą ułudą, w przed-dwuwiekowym potężnym dramacie dziejowym.

Cheąc dać poznać naszym czytelnikom ten pomnik tak ważny, przejdziem w treści cały, przywiedziem wyjątki, aby każdy mógł powziąć wyobrażenie języka, poezji i ducha, tak całości jako i ustępów pieśni tego poematu.

CZĘŚĆ Isza.

Lipski tak zaczyna:

Wprzód niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje,
Potomnym wickom muza na papier wyleje (1),
Boże! którego nieba, ziemię, morza chwala,
Co tak mdtém piórem, jako władniesz groźną stałą,
Co się mścisz nad ostatnim tego domu węglem,
Gdzie kto usy przysięga sercem nieprzysięgłém,

(1) W kopli części tego poematu, którą mieliśmy w rękę przed kilką laty, początek poematu zaczynał się tak, jak go przywodziłmy: cztery wiersze dalsze (jak sam wydawca uważał) są dodatkiem późniejszym, i dlatego je opuściliśmy.

Ciebie proszę, abys to, co ku twojej wdzięce,
 W tém królestwie śmiertelno chcą wspominać ręce,
 Sześciu raczył: boć to jest dzieło twój prawice,
 Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
 Mieszać pysznych i z błotem górno równać myśli
 Przez tych, którzy swą siłą od ciebie zawisli.

Bierze na to przykłady z dziejów starożytnych, które zakoń-
 cza wspomnieniem:

Spadł z człowieczeństwa Nabuchodonozor,
 I ten, co Boga bluźnił, trawę łapał ozór.

Po obrazie dosadnym zepsucia świata, i szczęśliwości owych
 dni przedpotopowych, a rajskich, przywiódłszy wiek wspomnień
 i mitologicznych, i z pisma śgo, po powtórzonj modlitwie do Boga,
 zaczyna właściwie utwór swój takim wstępem:

Polską naszą Bellonę na teatrum świata
 Sarmackiego prowadzę, teźby *jesne* lata (1)?
 I czas z ojcy naszymi miał zagrzesić pożerny?
 Nie da Bóg swj roboty; otwieraj odźwierny
 Wrota, gdzie na szerokiój mój ojczyzny sali,
 Wielcy bohaterowie będą się pisali!

Odtąd daje dokładny obraz dziejów i stosunków Turcyi
 z Polską, wyprawy Stefana Potockiego do Wołoszczyzny, Kore-
 ckiego, a na ostatku i hetmana Żółkiewskiego nieszczęśliwego od-
 wrotu, jego pogromu, przez który otwartą drogę mając w granice
 Rptj poganie, w dumie i pysze swojój wyprawą chocimską chcieli
 Polskę zawojować.

Przywiedziem tu mały ustęp o Żółkiewskim i Koniccpolskim,
 z końca części piérwszj.

..... Mógł był żyć, mógł się byt i nie dać
 Żółkiewski, lecz się wstydził panu odpowiadać
 Że wojsko zgubił, że się porwał bez uwagi,
 Że dał sromotne rzeczypospolitj plagi:
 Wolał przeto bijąc się, paść w Marsowém polu!
 Głowa jego czas długi w Konstantynopolu,
 Znak pompy i tryumfu, odcięta od szyi
 U najwyższj wisiata wieży, na kopii.

Wolał być Koniccpolski żywcem raczj wzięty,
 I który czas pobrzkać dla ojczyzny pęty;
 Łaćniej z turmy, niż z trumny powrócić się do niej.

(1) *Jesne lato*: pożerne, jedzące.

CZĘŚĆ IIga.

Wojna chocimska.

Dopieroż teraz Osman co się dotąd wahał,
 Dotąd się rwać przymierza dziadowskiego strachał,
 Jakoby go na wściekłym rozpasał umyśle,
 Już w Krakowie popasa, już koń poi w Wiśle.

Wszystko co żyje rwie się do oręża, zbiega pod chorągiew
 Mahometa: gdy stary i poważny mufty staje przed młodym Osma-
 nem, odradzając mu wyprawę na Polskę :

Mnie się wojna z Polaki nie zda z przyczyn wiela:

Zawsze stracić niż nabyć taćniej przyjaciela.

Imo to, że srogi grzech stare miry łomąć,

A kto wie, jeśli tego nie będziem się sromać?

Kto ręczy za wygraną? Wołoskie igraszki (1)

Za brednie to cesarzu poczytaj i fraszki.

Niech się tak Skinderhasza bardzo nie kokoszy,

Że cztery, stem czterdziestą tysięcy rozploszy....

..... Na dawne pomnijcie proroki,

Którzy się nam pilno strzedz tój kazali dziury,

Gdzie nam kracze upadek orzeł biało-pióry.

Wspomina dalej, jak małemi siłami sławny Chmielecki i Za-
 mojski wielkie Turków i Tatarów rozbijali hufce. Radzi opuścić
 chytrego Wołoszyna, a wiary zaprzysiężonej w przymierzu do-
 trzymać :

Bo wiara napewniejsze spraw ludzkich ogniwo.

Tą żyjemy, to światło, to nasze krzesiwo,

Z którego gdy choć w różne iskra serca wskoczy,

W lot je wiecznóm miłości płomieniem zjednoczy.

..... Zła to wojnal

Naród w złoto ubogi: nic nie ma przy zdrowiu

Prócz chleba, soli, serca, żelaza, ołowiu.

Pierwój cię droga znuży i Bałchany śnieżne,

Niżli również Dniestrowe oglądasz pobrzeżne.

Gdzie całoletnim chodem utrudzonych ludzi,

Skoro mróz nieprzywykłej jesieni, wystudzi,

Których wszystkich pieszczone wychowały nieba.

Broni na nich Polakom dobywać nietrzeba:

Pomrą jako jaskółki, jako muchy posną,

Tylko że zaś drugi raz, nie ożyją z wiosną.

.....

(1) Wspomnienie zwycięstwa nad Żółkiewskim.

Tak Turkom pod arabskim rozpieszczonym niebem,
 Zimna Polska choroba, mroz będzie pogrzebem!
 Uważ-że to cesarzu, uważ wszystko z gruntu,
 Że ludzi zpod miękkiego wieszysz horyzontu,
 Gdzie za tłuste migdały, słodkie pomarańcze,
 Przyjdzie zbierać po lesie ogryzki szarańcze,
 Płonek niużytecznych i cierpkich żołądzi;
 Krótce mówiąc: sam was głód, sam was niewczas znuździ.
 Polakom jako za dar, wszystko jako z mydła,
 Prócz, że tamecznych krajów ludzie są tworzydła:
 Bo niewczas, wiatry, śniegi, mrozy, słoty, głody,
 Snadniej znoszą niżli my, północne narody.
 Lecz bijąc się o wiarę i swoje kominy,
 Serce mają przed nami, gdy mają przyczyny
 Do wojny sprawiedliwej; dziesięćkroć się lepióń
 Chłop (1) w obronie żywota, niż napastnik krzepi.

Zaciekły jednak Osman odrzuca mądre rady mustego i rozkazuje, aby jego księża dalej wojnę ogłaszali. Gorzej wyszedł Mustafa wezyr za odradzanie tej wyprawy: pchnięty andżarem w rękę, później zabity. Wojna więc krwawa niechybna. Ta pewność, *afekt*

. w Polsce zapala srodze.

Nie Polska, chrześcijaństwo wszystko było w trwodze;
 Bo skoro się po świecie tak straszna roztrzęsio
 Nowina, jakby serca ukrawał po kęsie.
 Inszych wprowadzie zdaleka wiedzieć to dochodzi,
 Czyja tonie kobyla, ten najgłębiej brodzi!

Zygmunt III składa sejm, senatorowie zbiegają do Warszawy. Po zebraniu:

Tedy naprzd do Boga; przy świętej ofierze,
 Król i rada pokorne wyprawi pacierze,
 Żeby On, gdyż w jego są ręku wszystkie bitwy,
 Wejrzał na ludzi swoich niegodne modlitwy:
 Wziął to państwo w opiekę, gdzie od lat tysiąca,
 Powinna mu się chwala w kościołach poświęca.
 I na tożby przyjsć miały, aby je obrzydły
 Bisurmanin niememi pozostawiał bydły?

Pierwsza rada, aby do panów chrześcijańskich wysłać posły z prośbą o posiłki:

Przełożyć im przed oczy, jeśli dotąd ślepi,
 Że skoro się do Polski bisurmanin wrzepi,
 I zniesie to przedmurze: bez wszelakię chyby,
 Będzie ich suchą ręką zbierał jako grzyby.

(1) Mąż (*vir*).

Po wysłaniu za granicę postów o pomoc:

Będzie albo nie będzie? Szkoda stawiać garnka,
Jeśli dopiero prosić u sąsiada ziarnka.

Poczęli radzić sami kogo obrać hetmanem, jak wojsko zebrać, zkąd zgromadzić pieniądze. Żółkiewski hetman wielki zginął pod Cecorą, Stanisław Koniecpolski *jeszcze brząka w żalostnej Jedykule pety*.

Wszyscy oczy i serca na jednego zgodnie
Obróca Chodkiewicza: tak się zda, że młodnie,
Że dzieła nieśmiertelne, których mu nie szcędzą
Późne wieki, siwy włos ze skroni mu pędzą.

. Ciebie dzisiaj woła
Ta wiekopomna praca, waleczny Karolu!
Jeszcze cię też nie znano w Konstantynopolu.
Poznają co za ludzie idą z naszej Litwy;

Kiedy serdeczny Polak wsiędzie na koń, przy twój

Dośkonalej biegłości, o której sąsiedzi

Niech powiedzą: bitni Szwedzi.

W obozie się urodził, urosteś na *Łęku* (1),

Odbierajże buławę dziś z królewskich ręki;

I jeśli tak chcą nieba, ostatniej ewczyzny,

Dopędzisz na usługę kochanej ojczyzny.

Siedmdziesiąt lat wieku już liczył wtedy Chodkiewicz: za towarzysza dodano mu Stanisława Lubomirskiego, hrabię na Wiśnicz. Uchwalono ośm poborów w Litwie i Koronie. Duchowieństwo zebrane na synod w Piotrkowie, sto pięćdziesiąt tysięcy złotych ówczesnych na ręce podskarbiego składa. Oznaczono 50,000 liczbę wojska stałego na tę wyprawę: z tych 14,000 w kirydach, 20,000 w kolezdze stanąć miało. Zebrano wszakże pod Chocim zaledwie 35,000. Przez wici wezwano szlachtę do pospolitego ruszenia, która ochotnie zbierała się pod swych województw chorągwie: bo wówczas;

Jeszcześiny jeszcze byli nie zgospodarzeli,

Żebyśmy się tak słusznój wojny wzdrygać mieli.

Nie dzisiaj to, odpuście, jeśli się kto czuje,

Gdzie nam tak dom, tak jego pieczęzota smakuje,

Że kontenci z szlachectwa, co nam idzie rodem,

Już go żadnym popierać nie chcemy dowodem.

Widziéć ich po jarmarkach i prywatnym feście,

Gdy się strojno, czeladno, przechodzą po mieście!

Pójdź-że z nim do publiki, choć w onejże lamie,

Tak skromny, tak pokorny, że wilk a wilk w jamie.

(1) *Łęk*, kała czyli wyniosła część siodła; przenośnie, kulbaka, siodło.

Dopieroż gdy ich w pole wytkną trzecie wici.
 Przyjdzie stać na posłuchu, i zmoknąć do nici:
 Nuż podjazdy, nuż ona *potrzeba*, o której
 Słuchając włosy z czapką powstają do góry;
 Gdy mu grzbiet kirys orze, i jakby za winę
 Szyszak perfumowaną prasuje czuprynę;
 Gdy się przyjdzie narazić na kule, na strzały,
 I stać w miejscu cały dzień, jako cel przed działą,
 Patrząc gdy drugich niosą, słysząc świst nie luby,
 Oczy w górę podnosić, Bogu czynić śluby:—
 Stanieć za śmierć, strach śmierci; owszem jeszcze gorzej,
 Bo sto razy umiera, jeśli tam kto tchórzy.
 Nie dziw że mierznie wojna naszym galantomom,
 Którzy samym nawykłszy od młodości domom,
 Słuchają rychło w polu będzie po harapie,
 Rychło im kto *potrzebę* przyniesie na mappie!

.....
 Toż żeby dom nie zginął dla onęj pociechy,
 Skoro zwiedzi w Warszawie co przedniejsze wiechy,
 Ożeni go: a ten też jakby wlaź do twierdzy,
 Ani szable przypasze, ani ostrze ze rdzy;
 Zasznurowuje się w duchnę, i podobnych sobie
 Gapiów, jakich ni Bogu, ni ludziom naskrobie.
 Nie zna jak żyw pancerza, nie widział kirysu;
 Albo się gospodarstwa, albo imie flisu,
 Lubo siwe czabany za granicę pędzi,
 Lubo też piwo robi i browary smędzi.
 Mało na tém, czy flisem, czy wolini, czy *bzdegą* (1),
 Czego inszy krwią nie mógł, takowi dosięgą;
 Albo idzie do dworu, i tak świni ucha
 Nie uciąwszy, senator z onego piecucha.

Po takim zwrocie do współczesnej sobie młodzieży szlacheckiej, powraca nasz poeta do wyprawy chocimskiej. Wystani posłowie do panów chrześciańskich przywiezli niepokieszne wieści.

Papięż obiecał; ale wtedy pomoc, gdy cesarz z heretykami skończy, bo tam słał pieniądze; przydał w końcu:

..... Jako zbijecie Turczyzna do szcztętu,
 Dam w każdym roku miejsce na pamiętkę świętu.

Wiedeń, pomimo skoligacenia Zygmunta IIIgo i dawanęj pomocy przeciw Czechom, nietylko wręcz odmówił, ale werbunków zakazał nawet. Hiszpan bardzo żałował, że się Polacy zwadzili

(1) W języku starych flisów gatunek galaru, na którym stoją młyny wodne przy brzegach rzecznych. Flis Klonowicza *bzdelem* nazywa młyn pobrzeżny na Wiśle.

z potęgą turecką, posilku nie przyśle, ale na znak przymierza z Zygmuntem III wręczyć mu kazał złote runo, do czego dołączył *baranka świętego* (Agnus Dei) jako relikwią. Wenetowie w téjże saméj myśli dali odpowiedź. Nasz poeta o tych przyjaciolach tak się wyraża:

Równi owym doktorom, co widząc w malignio
Chorego, że nie wstanie, że już duszą rzygnie,
Miasto jakich syropów, co mu jeszcze cięży,
Każą mu się z sumieniem rachować u księży.

Jeden król angielski, do którego wysłany był Jerzy Ossoliński, wyprawił 8,000 wojska w pomoc, opatrzywszy żołdem na rok cały. Gdzie jednak to wojsko wylądowało, i jaką dało pomoc, w całym poemacie dalej ani wzmianki nie ma.

Tak kończył się smutnie rok 1620 pełen klęsk i smutnych przepowiedni na przyszłość. Zima rozciągnęła swoje panowanie, i jój obrazem zakończona część druga poematu:

Twardy mróz ujął ziemię; chociażbys po bagno
Kartaony (1) prowadził, pewnie się nie zagnie;
Kryształowym wątpliwe brody spiął pokostem,
I bystre rzeki szklannym poujmował mostem.
Biały śnieg, jako z woru, na ten się świat kida,
Bo się słońca z uboczy nie a nic nie wstyda;
Lecz skoro *oszedzieje* (2), skoro mrozem spierzchnie,
W rozliczne głance iskrzy swe lilie wierzchnie.

.....
Gdy słońce wpadło w Kozie-rogi,
Zima się na podniebno zwała podłogi.

CZĘŚĆ IIIcia.

Zaczął się rok pamiętny 1621:

Już się wiosna poczęła, już baran ochudły
Otrząsłszy gęsto z śniegu zimowego kudły,
Skoro mu słońce wełnę cieplejsze *ugarą* (3)
Po łąkach i zielonych murawach się *tara* (4).
Role się znowu ziarna u oracza dłużą
Pierwszego nie wróciwszy; lasy się papużą,

(1) Kartaon, działo 48-funtowe. (2) Szac, oszedzieć, wyrażenie ludowe, gdy śnieg silnym mrozem przejęty, pokazuje błyszczące kryształki.

(3) *Ugarac*, upalić, dogrzewać, doplekać. (4) *Tara*, tarza się, wala.

Obnażone konary, skoro im wiatr pępki
 Porozdyma, znowu się pstrzą w barwiste strzępki.
 Już krzykliwe żórawie, już swe gęsi klucze, (1)
 Jako nasz z śniegu rosa horyzont optucze,
 Długiém pasmem prowadzą; i już wdzięcznemi głosy
 Po kniejach się wesółych przekrzykują kosy;
 A smutny słowik, wiedząc że mu się nie wróci,
 Tak we dnie, jako w nocy, po swój stracie nuci.
 Już się po krzaczach pieszczone wabiły kukułki,
 Gdy Lubomirski sobie poruczone pulki
 Pod *Shalq*, gdzie się bystry *Zbrucz* z krzemieni zdiera,
 Przednią straż trzymający, obozem zawiera.

Zaraz rozesłał chorągwie na rozbiecie kosów łupieżnych
 Tatarów, których rozgromił szczęśliwie *Szymon Kopyczyński*. Ho-
 spodar wołoski wysłał do obozu polskiego Konstantego We-
 weli, niby posła, a w rzeczy szpiega, pragnąc aby dawne przymie-
 rze Polacy odnowili z Turkami. Weweli miał poleczone zdać
 dokładną wiadomość, czy nie są Polacy zastraszeni ogromną potęgą
 Osmana? czy

Ośmielić się ważyli, nierówną potyką
 Porwać się, jako mówią, na słońce z motyką.

Lubomirski nie mogąc dać odpowiedzi na list Wewelemu,
 zatrzymał go do przybycia Chodkiewicza, a tymczasem ustano-
 wiono kommissarzy do rady z władzą zawierania pokoju i trakta-
 tów. Piérwszym był Jakób Sobieski, młody, ale rozumem stary,
 dalej Mikołaj Sieniawski krajczy koronny, Maciej Leśniowski pod-
 komorzy bełzki, Michał z Tarnowa, Jan i Paweł Działyńscy. Nad-
 ciąga Chodkiewicz z Litwą i łączy się z Lubomirskim; ale po
 przegładzie stary wódz, jak wyraża nasz poeta, *w głowę się skrobie*,
 widząc mniejsze zastępy, niż były uchwalone. Zatoczono obóz na
 piérwsze hasło, otrąbiono imię Jezus. Noc nadeszła:

Śpi obóz, na przyszłe się karasując prace,
 Mając wkoło posłuchy, i we straży place.
 Szumi Dniestr, a gdy woda z skalami się kłopi,
 W głębszy sen zinyły ludzkie onym szumem topi.
 Ty sam nie spisz za wszystkich, nie dasz zamknąć oku
 Wielki hetmanie! darmo tłocząc na bok z boku
 Twardo łozę; i w głowie pełno mając zgrzytu,
 Równy z strażą rannego oczekujesz świtu!
 Sto wątpliwości razem, razem tysiąc myśli,
 I w sercu i w rozumie hetmanowi kryśli!

(1) Ciąg, stado; ptastwo dzikie leci kluczem.

Chodkiewicz zbiera do namiotu radę, czy zostać na swojej ziemi, czy za Dniestrem obóz zatoczyć? Zgodzono, żeby zamek chocimski osadzić, i tu zaledz poganom wrota. Otrąbiono przeprawę. Hetman wtedy każe stanąć przed sobą Wewelemu. Ujrawszy postać bohatera naszego:

Zbladł jak trup, i naprzód wzrok pokorny chyli,
Zaś chce upaść pod nogi hetmańskie; po chwili,
Poda mu chyżo rękę, i tak rzecze skromnie:
„Nie do Turczyńś bracie, ale przyszedł do mnie.
Głupi ludzie ten ukłon i czynią i właszcza,
U nas jednemu Bogu na ziemię się płaszczą.
Teraz już jedź w boży czas, i to miej odemnie,
Że jakom nie przypasał tój broni daremnie,
Alem nią gotów drogą opędzać ojczyznę,
Po to starość, i moje niosę tu siwiznę.”

Pokoju mimo to nie odbiega, i w tym celu wysłała Szemberka, jako świadomego tureckich obyczajów. Staje most na Dniestrze, ale nie wszystkich serca ochotne były: niechęć głośna wybucha:

Taka uszu hetmańskich skoro dojdzie skarga,
Tylko mu się w drobny kęs serce nie potarga.

Surowy wódz, ściśle przestrzegający karności wojskowej, zataił gniew w sobie i złożył radę; użyli swego wpływu Stefan Potocki pisarz polny, z Jakóbem Sobieskim, i wnet trwoga miejsce radości ustąpiła:

Już śmieli, już posłuszni, nie szepczą, nie mruczą,
Zaprzęgają w skarbniki, lózne konie juczą,
Každyby się rad widział w lot na stronie drugiej,
Gdyby można wbród przebyć krzemieniste strugi.
Skoro trąba wesolém ogłosi to echem,
Do mostu się co żywo pobiera z pośpiechem:
Ten jęczy pod ciężarem, Dniestr się z jadu pieni,
Wstydzi się okolicznych gór, i swych kamieni.

Lubomirski bez mostu, na tratwach, już się rozgościł w Wołoszech. Piotr Mohiła wojewodzie przybył do Chodkiewicza. Z powodu tego rodu Mohiłów, co się spierali z Turkiem o władzę w Wołoszech, i ta wojna wynikła, a poprzednio książę Korcecki jęczy w pętach, Żółkiewski zginął:

Tu wisiał Wiśniowiecki, tu w kacernej męce
Trzy dni konał na haku, trzy dni na osęce
Umierał, i z naturą mordując się dużą,
Nie umarł, aż go gęste postrzały donużą.

Staęły za Dniestrem wojska nasze:

Pięknie tam było patrzeć, gdy w onęj równinie
 Tyło krzyżów, tyło się Pogoni rozwinie!
 Tyło orłów walecznych na zaszczyt korony,
 Niosąc gotowe skrzydła, wyciągnięone szpony
 Na ścierwy bisurmańskie; gdzie kruki i sępy
 I pożerne harpije, wielkimi zastępy
 Czując o pewnym żerze, tém leciały chciwięj,
 Im się każdy przy orłach sarmackich pożywi.
 Jęczy ziemia gęstemi ubita kopyty,
 Czująca krwię cecorskiejj mściciela Lechity.
 Krzyczą wesołe konie w rzędy, w kity, w forgi (1)
 Ustrzępione, z wiatrami mieszają swe gorgi (2).
 Tak się zda, lubo w kole obraca się węzję,
 Lub prosto idzie który, że srożję, że ciężję
 Ziemię nieprzyjacielską kopytami depce;
 Zwłaszcza w naszym Podolu urodzone żrebce
 Gotują się z pieszczonęj Arabii *łątek* (3)
 Pytać, jeśli rogowych podków mają szczątek?

Chodkiewicz, acz go starość długim wiekiem zgniata,
 Serca jednak wielkością, sił ciała nadplata.
 Twarz uslawszy powagą, i sędziwe skronie,
 Na statecznym przed wojski krzepi się *hładonie* (4),
 Hetman polski roztropny, serdeczny, wspaniały,
 Szczęśliwy i ostrożny; którego chowały
 Na to nieba życzliwe, aby w takiej toni,
 Orłowi, i walecznej hetmanij Pogoni.

* * *

Igra krew w Lubomirskim, bo młodość krzemięzna,
 Żadnych szwanków na ciele, żadnych razów nie zna;
 Jędrznie mu we lwiej piersi, ono serce żywe,
 Im bliżję czuje pole sławy swęj szczęśliwe.
 W oczu choć nieznaczny
 Uśmiecha się, gdy czas ma, Kupido sajdaczny.
 Pod nogami koń dzielny, i według podoby,
 Który do przyrodzonęj chodzi i ozdoby,
 Widząc, że złotem gore, i co ma za jeźdźca,
 Stać spokojnie nie może, lecz na miejsce z miejsca
 Stąpa, wysmuknionęj go szukający nodze,
 Rzuca wodza, i munsztuk upieniony głodze

Uderzono w trąby i kotły:

Wszyscy ręce i oczy podniosłszy ku Bogu,
 Żeby przytarł hardemu tyranowi rogu;

(1) *Forga*, kłta, pióropusz (2) Podskoki. (3) Łątka, lalka.

(4) *Hładon*, nazwa konia Chodkiewicza: znaczył *gładki*.

„Nie nam, nie nam Panie nasz, podłemu stworzeniu,
Ale daj chwałę wieczną swojemu imieniu!
Niechaj przyjdzie poganom tu do znajomości
Imię, na które wszystkie dygocą zwierchności!
Straszne imię, na które kiedy każesz, snadnie
I ziemskie i podziemne kolano upadnie!”

Tak z modlitwą, obróciwszy swe orły, weszli do obozu.

Hetman za schwytanym językiem już wiedział, że Osman przebył Dunaj, a tu ani słyhu o Kozakach, o królewiczu Władysławie, o Zygmuncie IIIcim, co mieli przybyć w posiłek. Ale troska starego wodza w radość się zmieniła, gdy nadbiegł od Kozaków poseł z wieścią, że *sajdaczny* z rączęją jazdą i swemi junakami w drodze do obozu. A *sajdaczny*:

Z ich trupów groble robił, a chociaż na susze,
Kąpiel sobie i swoim naprawiał w ich jusze.
Już świat znał *sajdacznego* i łodzią i koniem,
Już go widział oczyma, nierzkąc słychał o nim
Wielki cesarz turecki, gdy znalazłszy przeście
Przez dnieprowe porochy, palił mu przedmieście
Pyszno Carogrodu, któremi pożogi
Pogańskie zabobony, brzydkie synagogi
Płonęły kopcąc dymem brzoń onę jasną,
I tylko muzułmańską krwią te ognie gasną.
Tak gdy oba Azyej i Europy klucze
Wiotchym perzem okurzy, i w sadzach obruce,
Skoro w głąb' na mil kilka wszystkie brzegi zmaca,
Do swoich się porochów z korzyścią powraca.

Dał się we znaki dobrze i Tatarom:

..... U samego hana
Chociaż w Bakezyseraju zadrżały kolana!
Napatrzył się Oczaków choć niebardzo smacznej
Krotofile, gdy nieraz odważny *sajdaczny*
Opędziwszy ich w mięście, i zamknąwszy w skrzynie,
Stał trupem równie pola, i długie gościecinie.

Chodkiewicz wałami obóz umacnia, oczekując z tęsknotą przybycia Zaporozców, gdy poseł nowy od nich Doroszenko nadbiega z doniesieniem, że zbliżają się już ich chorągwie, rozbiwszy zwycięzko ęmę tatarską. W poselstwie do Władysława królewicza, ażeby przyspieszył drogę do obozu, ruszają Stanisław Żółtowski i Sobieski Jakób. Tu wylicza poeta pocztę panów, co stanęli lub sami, lub dostawili chorągwie przy młodym królewiczu. Byłyto stare i wytrawne do hoju roty; każdy z nich:

Co się rodził w obozie, we krwi go kąpała
 A trzaskiem muszkietowym matka usypiała;
 Co mu nie zadrży czoło, choć w ogniu, choć w kurzu,
 Za którego piersiami staniesz jak w zamurzu.

Widząc na czele pułku, który wystawił, młodego Tomasza Zamojskiego, taki zwrot czyni do jego ojca hetmana wielkiego, i wzywa go jako patrona mężnych:

Obyż cię dziś ojczyzna miała, wielki Janie!
 Na samo imię twoje zdechliby poganie;
 Ale żeś poszedł z ziemię, i już mieszkasz w niebie,
 Przecięć o swych w niniejszej pamiętaj potrzebie.
 A jakoś strącił Niemca, co świadczy Byczyna,
 Tak pomóż z tegoż stopnia strącić poganina,
 Pomóż grozą przewiska i ogromnej sławy!

Zygmunt IIIci stanął pode Lwowem w 6,000 dobranego wojska. Wieść tymczasem nadbiega, że Tatarzy znieśli całkiem Zaporozców. Nowa troska dla hetmana i żal, że i Władysław opóźnia swój pochód. Gdy Chodkiewicz wysłał podjazd dla sprawdzenia téj wieści, ukazał się zdała tuman, zabrzmiał krzyk wojenny, huk strzelby. Szedł to pułk kozacki obciążony łupy, pod przewodnictwem Brodawki; i nieświadom dobrze drogi, *włazł* (jak wyraża nasz autor) Turkom w samo gardło, bo w środek ich taborów. Spostrzegli Kozacy, że nadeszła chwila o śmierć lub życie; zsiadają więc wszyscy z koni:

Toż skoro się potwierdzą, i popluną dłoni,
 Czoła przetrą, i szlyku posuną po skroni,
 Zepną tabor a działa, których ośm dwadzieścia
 Ciagnęli, tak rozsadaż, że nikędy prześcia
 Nie mógł mieć nieprzyjaciel, którego impetu
 I ostatniej fortuny czekają dekretu.
 Toż gdy się Turcy na nich ze wszech stron wyskipping,
 Gdy się zbliża, a wozy tu i owdzie szczypią,
 I rozumiejąc, że już z strachu pomartwieli,
 Im owi dłużej trwają, nacierają śmielęj;
 Dopieroż jako z chmury grad, jako groch z woru,
 Działa i samopały razem z ich taboru
 Sróty z ogniem, i kule rzygną w on gmin gesty:
 Lecą na wszystkie strony chłopci jako *chmięsty* (1),
 Kurzą się pola w dymie, grzmia lasy w odgłosie,
 Słyszy go duray Osman, i proch czuje w nosie,
 A pogaństwo ustawszy ziemię onę ścierwy,
 Ucieka, kto najdalej, kto może najpierwěj.

(1) Ścierwo zwierząt.

Gryzie się Osman strasznie, włosy na łbie targa,
 Że się dziś pierwszy giaur w jego krwi uszarga,
 Że jako lew dzierząc się drogi przedsięwziętój,
 Idzie, choć oszczekany drobnymi szczeniętymi:
 Żęby tylko pokaże, albo machnie chwostem (1),
 Aż nizerne skowery kładą się pomostem.

Ośm dni w tój gardzieli tureckiej zwycięzko przetrwali bo-
 haterscy Kozacy.

Jako zółw w swoim sklepie, jęcz w swój ości krępy,
 Rzną się śmieie taborem między ich zastępy.

Turcy musieli im otworzyć przejście, usłane własnymi tru-
 pami. Osman odbiera wiadomość, że 400 Kozaków odciętych,
 w poblizkiej się skale zatarasowało; spieszy tam i dobywać ich
 każe. Janczary uderzają pierwsi, a sto ich trupów zaraz pokryło
 ziemię: otoczonych, bez pomocy, przez dni cztery dobywał Turek
 tych junaków daremnie. Głód i brak kul i prochu, jak pięknie
 nasz autor wyraża:

Nie żelazo—natura wojuje ich sama!
 Gdy ich ręce opuszczają, dygocą goleni,
 Przyznają, że przegrali, że już zwyciężeni:
 Puszczą swój zamek luby, a gdzie stał zuchwały
 Osman, rzucą pod nogi zimne samopaty.

Zwycięzki władca pięciu przywiązanych do buku, strzałami
 sam ubija; resztę na pastwę wojsku oddał.

Kantymir Murza zaszedłszy z boku uderza znienacka na obóz,
 ale ze stratą odparty, ledwie sam uniósł się zdrowo z ogólnej po-
 rażki.

Kończy nasz poeta część III swego poematu opisem przyby-
 cia Kozaków pod sprawą *sajdacznego*, przyjęcia przez Chodkiewi-
 cza, i radości w obozie całym.

CZĘŚĆ IVa.

Nadeszło lato w całym rozwiciu:

Zabiegały się góry i Dniestrowe brzegi;
 Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
 Skoro Turcy stanęli, skoro swoje, w łoty
 Okiem nieprzemierzone rozbili namioty.

(1) Ogonem.

Nie toczyli obozu, nie ciągnęli sznurów,
 Ale tak małą garstką wzgardziwszy giaurów,
 Kędy kto szedł, tam stanął; na mocy się czują:
 Jeśli nas nie wystraszą, to pewnie zaplują.
 Nie ma im tu co bawić, nie chcą się rozgościć,
 Wisła im głowę psuje, jako ją pomościć.

Osman pogląda z góry na polski obóz, już jakby go miał
 w trokach!

Kto mu wspomni nie w polskim wieczera obozie,
 Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie.

Nikt nie śmiał więc ognia rozpalić. Wałą się wojska bisur-
 mańskie straszne. Janczarowie na czele pod wodzą samego Os-
 mana, jadącego na białym arabinie, w barwistym złoto-głowie.
 Nad nim buńczuk z miesiącem. Na przedzie

..... na widoku stały
 Nieznane oczom naszym dotąd specyały
 Straszne stonie, co trąby okrom mają kielców (1);
 Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
 Po trzydziestu zawiera: tak gdzie tylko chodzą
 Rozdrażnione bestye, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne szyki, śmiałe spahi, rozwijają szeregi w oczach na-
 szego rycerstwa: a wszystko przybrane strojno i bogato, bez ki-
 rysów przecież i pancerzy. Kurzawa wzniosła się, by chmu-
 ra gęsta:

W tymże obłoku stali Murzyni cudowni.
 Jako się błyszczy iskra w opalanej głowni,
 Tak i tym z warg napuchłych, z czerniejszj nad szmelce
 Paszczęki, bielsze niż śnieg wyglądały kielce.
 Tu się w szeroko-białej na wierzchu koszuli,
 Po polach Mamelucy przestronnych rozsuli:
 Jakoby przy łabędziach postawił kto kruki;
 A gęste się nad niemi wieszają buńczuki.

Dalj wylicza nasz autor wszystkie narody, co się tu pod
 chorągiew Mahometa zbiegły razem. Ogromną ilością dział
 osnuli gęsto swój obóz, a gdy uderzyli salwę, sam stary Chod-
 kiewicz przyznał, że nigdy takiego huku działowego nie słyszał.

Niecierpliwy Osman szykuje z góry patrząc zastępy swoje
 do boju: wydaje rozkaz jednookiemu Husejmowi aby już następo-
 wał, a kto piérwszy mu nowinę przyniesie zwycięstwa, dostanie
 sto tysięcy we złocie: da i konia z rzędem. Chodkiewicz dowia-
 duje się:

(1) Kłów.

Że się Osman u niego kładzie na obiedzie;
 A ten skoro nabożne modlitwy odprawi,
 Wstawszy z kolan na nogi: „Rad mu będę (prawi),
 Tylko niechaj nie mieszka, niech nie kwasi grochu,
 Będzie bigos gorący z ołowiu i prochu.
 Jeżeli też chce zażyć pieczeni podróżnej,
 Gotowi zarębacze czekają i z rożny”.

Toż na się zbroje bierze i świetne paize,
 Rzekłbyś, że mu się nazad wróciły trzy krzyże,
 Ani lat siedmiesiąt twarde blachy gniotły.
 Wraz każe w swe uderzyć *wsiadanego* kotły,
 Larmo zatém po wszystkich obozach się szerzy:
 Jedni do zbroj, drudzy się biorą do pancerzy,
 Wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańcu:
 Rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś, że do tańcu,
 Że już na skroń, korony wdziali tryumfalne.
 Grzmią bębny w regimentach, a kotły tubalne,
 Gdzie żelazny na rzeźwych jeździec koniach siedzi,
 To basem, to diszkantem, rozprawują w miedzi;
 Bez wiatru, i powietrze pomagało ecbu,
 Kiedy trąby wesole, surmy bez oddechu,
Zadumani (1) szyposze, co im staje pary,
 Nuca treny marsowe, w gwardyach fujary.
 O chwalebna ochoto! o kochana młodzi,
 Serce rośnie patrzącym, gdy nakształt powodzi
 Bliżkie pola osuli, a mężuemi czoły,
 Wyrażają zmieszany gniów, z radością wpoły!

Tu po szczególe wylicza autor różne polskie chorągwie.
 Chodkiewicz wybrawszy z każdój rotty męża, zatrzymał przy sobie,
 aby niósł jego gdzie potrzeba rozkazy; orszak taki więcęć tysiąca
 prznosił. Gdy wszystko w pogotowiu stało:

Obróci się Chodkiewicz czołem na swe szyki,
 Gdzie widząc zgromadzone wszystkie pułkowniki
 I rotmistrze, i wielką część z narodów obu
 Żywěj młodzi, staroego trzyma się sposobu
 Zawołanych hetmanów; zdjąwszy szyszak z głowy,
 Krótkiej, lecz zwięzłej do nich zażyje przemowy:

„To pole, cne rycerstwo! na którym przezwiska
 Polacy przez Marsowe nabyli igrzyska,
 Ani naszěj Pogonia starożytna Litwy
 Po morzu swe z pogaństwem toczyła gonitwy;
Pole mówię, nie słowa, nie częzěj pary dźwięki,
 Ale kocha roboty bohaterskiej ręki.

(1) Zasapani, zadęci, tojest zmęczeni dęciem w surmy.

Ani mnie ust natura formowała z miodu,
 Ani téż tam oracyj trzeba i wyvodu
 Gdzie Bóg i pan, swoje składy święte
 W archiwie piersi waszych chowają zamknięte.
 Dziś wam się Bóg swój chwały, dziś oltarzów zwierza,
 Nowego, które stwierdził krwią własną, przymierza:
 Klasztorów płci obojój, kędy świecką tuczą (1)
 Wzgardziwszy, w łzach nabożnych grzechy nasze płuczą,
 W Bogu ślubnej czystości, i sercem, i usty,
 Odpuszczają ust naszych, i serca rozpusły:
 Wam, i rodzice, krewne, nawet dzieci małe,
 Płeć niwojenną, dziewczki oddaje dojrzałe.
 Tożby miały ku żądzy psiiej pogańskiej juchy,
 W oplakanój niewoli rodzić Tatarczuchy?
 Wam ubogich poddanych chrześcijańskie gminy,
 Domowe naostatek ściany i kominy
 Pokazuje zdaleka matka utrapiona,
 Pod wasze się z tém wszystkiém dziś kryje ramiona!
 Do was obie wyciąga ręce.

.....
 Ja uniżone Bogu czynię dzięki, że mi
 Dał żyć na nizkiej do dnia dzisiejszego ziemi,
 Dał na tém stanąć miejscu, z kąd jeżeli żywo
 Wrócę, czeka mię żyzne wiecznej sławy żniwo.
 Jeśli téż tu Bóg schyłki wieku mego zcedzi,
 I to zysk liczę, gdy mię nie domna sąsiedzi,
 Lecz tak wiele chrześcian, pod tutecznym niebem
 I moje martwe kości ozdobi pogrzebem.

.....
 Dobądźmy na dzisiejszy dzień chowanój broni,
 A skoro hasło „Jezus!” po wojsku zadzwoni,
 Nie szcędząc bisurmańskiej nikczemnej posoki,
 Odbierzmy należyte szabli swój obroki.
 A ty, o wielki Boże! który jednem słowem
 Wodzisz wojsk miliony, przeto obozowym
 Panem się słusznie zowiesz:
 Pokaż swoje moc, w naszej niedoładze lichój,
 Zepchnij nieprzyjacioly swoje dzisiaj z pychy.
 Oni liczbie tak wielkiej, wozom, koniom, a my
 W tobie tylko, jedyny Boże nasz ufamy!
 Racz podrzćć wielkich grzechów naszych katalogi,
 Weź im serca, a nam daj! pokrusz im ostrogi,
 Niech im się łuki łomią, niech im szablą stępie,
 Daj cześć swemu imieniu, w tym ludzi zastępie.”

Gdy dokończył Chodkiewicz takiój swojej mowy,
 Zdało się, że ze słońca promień go ogniowy

(1) Tucza, burza: wyraz w powszechném użyciu w dzisiejszej Galicyi.

Ogarnął, że na głowie i na skroni białej
Włosy mu oszedziały, płomieniem gorzały.

Zabrzmiała pieśń *Boga-rodzice*, i bój krwawy zawrzał wokoło. Osman, co chciał być na obiedzie w obozie Chodkiewicza, do wieczora był na czczo. Odtąd zaczyna i ciągnie w następnych częściach obrazy potyczek już mniejszych oddziałów, już całego zebranego rycerstwa. Owóż co w tej opowieści największej uderza.

Pomoc kozacka, rzecz można była prawą ręką Chodkiewiczowi; na ich też obóz poganie całą wściekłość swoją obracali. Ale jak rozhukane bałwany morskie, uderzając o skałę nieprzełomną, daremnie ponawiają swe napady, i białą pianą znaczą wysiłki swoje: tak Turcy zieloną murawę, lub żółty piasek, uścielali turbanami białymi. W bohaterstwie współubiegali się i dzielni Kozacy, i rycerstwo naprzemiany. Władysław królewicz zaledwie do obozu przybył, rozchorzał i łóżka tylko pilnował; Zygmunt III obojętny na straszliwą walkę, pode Lwowem polował sobie na zajęce; a gdy posel Krysztof Palczowski z obozu od hetmana nadbiegł, z listem, aby pomoc dał „ten list (jak wyraża Lipski) nieczytany:

..... „W skórzane płudry włoży,
W drugą zaraz dolinę ogary założy.”

Choć wojska miał trzykroć więcej, jak zebranego było pod Chocimem, bo Zygmuntowi:

..... „psie gony
Milsze, niż sława dobra, niż całość korony.”
(Część 6ta, str. 262).

Walka wre pod Chocimem: Sieniawski uderza na Turków:

Wprzód chrzęst tylko, i słychać szelest było cichy,
Gdy nasi ławą brali pogaństwo na sztychy:
Zaden swego nie chybi, i trzech drugi dzieje,
Ze im ciepłe wątroby kipią na tuleje (1).
Trzask potym i zgrzyt ostry, gdy po same pałki,
Kruszyły się kopije w trupach na kawałki.
Pełno ran, pełno śmierci: wiążną konie w mięsie,
Krew się zsiadła na ziemi galaretą trzęsie,
Ludzie się niedobici w swoich kiskach płacą,
Drudzy chlipią z paszczęki posokę gorącą.

(1) *Tuleje*, tulejka, przy strzemienu do wkładania kopli czyli lancy.

Chodkiewicz, choć go starość, choć go słabość nęka,
 Rzekłbyś że to nie jego głos, nie jego ręka,
 Tak swoich napomina, nieprzyjaciół bije:
 Gdzie się tylko obróci, lecą głowy, szyje.
 Już trzeciego Sieniawski mężny grzeje konia,
 Sam krwią przemókt do nici, kiedy nań z ustronia,
 Spadnie Turczyn dorodny w okropnej posturze:
 „A długoż dokazywać będziesz psie giaurze?
 Czasby téż przestać!“ a wraz co siły nań przytnie,
 Ale cóż, szabla tylko po szyszaku zgrzytnie;
 Chce powtórzyć, lecz przyszło rozstawać się z światem,
 Bo mu łeb zdjął i z brodą Sieniawski bułatem.

.....
 Mąż z mężem się zderzają, lecą Turcy z łęku,
 Pełno wzdychania, pełno konających stęku.
 Słyszy to Lubomirski, i nie czeka dłużej;
 Jeśli się komu zedrze chciwy chart z obróży,
 Gdy go lis polem mija, albo zając kusy,
 Takie czyni serdeczny Lubomirski susy.
 Koń pod nim skarogniady krwawe toczy piany,
 Nozdrzem iskry z płomieniem bucha naprzemianą,
 Zanurzy się w zastępach bisurmańskiej zgraje,
 Ręką bije, przynuką ochoty dodaje,
 A skoro już wytrzęsie z gładkich kopij toki,
 Pałaszami tureckiej dosięga posoki;
 Zamiesza ich jak w kotle, jako w garcu kaszę,
 Sam koncerzem znacznego w oczu wszystkich baszę
 Obali.....

Tam Piotr Lipski Araba upatrzawszy, który
 Pod forgą u złocistej zórawi misiuury,
 Znaczny koniem po rzędzie i jedwabnej kiecy (1),
 Wysokie miał ramiona i szerokie plecy:
 Siła broit nad inszych, siła świata zbawił,
 Już i konia zmordował, już się sam ukrwawił,
 Sam nam późni wygrana, sam bitwę odnawia;
 Więc go z boku zajeżdża, i nieznacznie zławia.
 Postrzegł tego poganin, i prosto nań jedzie,
 Wprzód go dzidą pomaca, ale się zawiedzie,
 Bo obojczyk wytrzymał; toż jako się zbliży
 Chce pchnąć szablą Lipskiego, kęs kiryasu niżej,
 Lecz mu raz zmylił, i nim Arabin powtórzy,
 W piersiach mu bystry pałasz po sam krzyż zanurzy.
 Jeszcze się opierają, jeszcze Turcy krzepią,
 Nakoniec kiedy się w nich zbliżka naszy wrzepią
 Pociskawszy chorągwie i stare buńczuki,
 Ławą wszyscy uciekli.

(1) Płaszcz żołnierski.

Dumny Osman po tój klęsce w babi płacz, i kobiece rozwo-
dzi lamenty; ale i nasz Chodkiewicz smutny, bo mimo zwycięstwa,
chorągiew jego pułku Turcy przypadkowo pochwycili, gdy chorąży
Jankowski, uniesiony rozhukanym koniem, wśród tłumu pogan
musiał ją porzucić.

Osowiaty stary hetman wróży sobie śmierć rychtą: co dzień
słabiał, na twarzy sinieje, ubywa mu pamięci, i zgoła zdziecin-
niał.

Uśmiechnął się na widok pogromu pogan, ale z utraty cho-
rągwi serce go boli; wołałby sam paść trupem i sto razy zginąć,
niżeli ją widzieć w meczecie tureckim rozwiniętą: szykuje rotę
swoją do boju. Z jakąż rozpaczą między buńczukami ujrzał i swą
chorągiew. Lisowczykom pod wodzą mężnego Sokołowskiego
rozkazuje uderzyć i odbić ten znak Chrystusowy. Uderzają, łam-
nią pogan, ale Turcy unoszą najpierw swą zdobycz, owę tyle
opłakiwaną przez Chodkiewicza chorągiew. Po naradzie wojsko-
wój, zamierzają Polacy nocny napad; sprzykrzyta się im leża obo-
zowa, a i głód zagładał. Przystaje stary hetman, ale dėszcz ule-
wny przeszkodził. Boska to była opieka, bo Turcy dowiedzieli
się już o tój wyprawie: w pogotowiu stali, i nieochybnieby nasi
klęskę ponieśli. Kozacki rozruch szczęśliwie utłumiono, i zje-
dnano, że dotrwają do końca; w czem waleczny sahadaczny ochot-
ta i słowem, a Lubomirski hojnością pomagają.

Spetzły umowy, gdy Karakasza napad wymierzył na obóz pol-
ski; ale rozbity, przeciw zostawił rycerstwu bogate łupy, a sam
głową własną przyplacił zuchwałość dumną.

Szczęście dla naszój szabli było zawsze przychylnie, ale oto-
czone rycerstwo emą Tatarów, którzy przejmowali wszystkie nad-
chodzące z żywnością tabory, zagrożone było głodem.

Zbiera radę Chodkiewicz, przedstawia smutne położenie; za
przewodem Lipskiego wszyscy przekładają śmierć na polu, jak
cofniecie się na krok przed poganinem. Lipski w uniesieniu ści-
skając oburącz szablę, zawołał wtedy:

Każ w majdanie szubienicę na przykład narodom

Postawić, niecbaj wisi, kto zamysła do dom.

Z uczuciem radości patrząc na to bohaterstwo, umiera stary
hetman: Władysław buławę doręcza Lubomirskiemu. Następują
opisy nowych walk, zwyciężkich zawsze dla Polaków. Przysta-
niemy tu na przywiedzeniu jednego ustępu z części 9, o poświę-
ceniu Jana Lipskiego.

Jan Lipski stary rotmistrz usarskiej drużyny,
 Czterema dorodnemi otoczony syny,
 Czterech miał, czterech w regestr swój chorągwie pisze,
 Przybrawszy własne do niej dzieci w towarzysze.
 Precz tarcze, precz kirysy, precz stalone nity,
 Kogo Bóg tak mocnemi opatrzy zaszczyty!
 Czas odmienia przyjaciół, i fortuna mylna,
 Twoja krew ojeze z tobą nigdy nierozdzielna;
 Niech kto każe na skarby, sługi, mury; każ ty
 Na swe dzieci: to skarby, to ludzie, to baszty!
 Ten tedy widząc że tchórz poganów obleci,
 Tak rzecze do miłych się obróciwszy dzieci:

„Fiećdziesiąt lat bez mała, moja droga młodzi,
 Jakom twardego Marsa służbę wziął, dochodzi;
 Jako krew chustem leję.....
 Że mi już żadnej rany, chybaby przez bliznę
 Ani szabla turecka, ani szwedzka kula,
 Łuk tatarski, i oszczep.....
 Z tym się pochwalić mogę przed wszystkiemi śmieie.
 Z przodu zadać nie może, na skrzywioném cieie.
 To herby, to są moje Śreniawy rumiane,
 Z temi z grobu na trąbę archangielską wstanę
 W on popis generalny: i da mi wódz święty
 Niebieski indygenat za takie prezenty.
 I mnie, aż do dziś dnia ten nagrobek czekał:
 Tu Jan Lipski umierał, a nie złąd uciekał.

„Nie to żywot sto lat żyć, sto lat w ziemi gmerać
 Myśląc tylko, żeby jak najpóźniej umierać.
 Zuiknąć potem na wieki w ziemię się zagrzebiesz;
 Jeden dzień, jeden sercu wspaniałemu lepszy,
 Co mu tysiąc lat da żyć na ziemi, a w niebie
 Szczęśliwe, nieprzeżyte wieki po pogrzebie.

„Miejcież to dziś odemnie moje lubo dzieci!
 Że jako w lichwie nigdy nie dziedziczy trzeci,
 Jako zawsze przed słońcem jasna chodzi zorza,
 Jako wilk na barana, tak śmierć mrze na tchórza.
 Namaca go w tysiącu, dosięże go w murze,
 Niech wo dzwonię, w żelaznej niech chodzi *delurze* (1).
 Serce śmiałe, a bystrzej natarczywość ręki,
 Jako topor, zawile w dębie mija sęki.

„Dzisiejszy dzień synowie! moje krwawo prace
 Skończcy, albo ozdobi; wszysycy swoje place

(1) Ferezya, szuba, zwierchnia suknia, złąd *delia*.

Zalęzłem, które nam raz śmiertelnój natury,
 Różnym różnie w pieluchach wymierzyły sznury.
 Bo jedna tylko na świat ciasna furta człeku
 Tysiąc z świata przestronych: mnie umrzeć na łęku
 Milėj niżli na łożu; i com szablą robił
 Słuszna, żebym to dzisiaj szablą przyozdobił.
 Wam przykład zostawuję, drogą miłość z sobą;
 Bo jakoście pod jedną leżeli wątrobą,
 Tak życie i na ziemi, a jednością waszą,
 Dobrzy się uwesela, niedobrzy ustraszają“.

Jeszcze dobrze słów onych nie dokończył dźwięku,
 A już pałasz śmiertelny błysnie mu się w rękę.
 Toż, co lepszych kilkuset przybrawszy do sfory,
 Jako jastrzęb w stado wron, i on tak ochoczy
 Na lewe tureckiego szyku skrzydło skoczy,
 I baszy, co na tamtém rozkazał skrzydło,
 Przy samych łeb ramionach utnie, jak po mydle.
 Spadł buńczuk chorążemu, przycięty u rękę,
 Wypadł i sam, przez piersi pchnięty sztychem, z łęku:
 A im byli poganie na jego odwagi
 Niegotowszy, tém brali przystojniejsze plagi.

Kiedy tak wszyscy mężnie przy swym pułkowniku
 Rzezą Turki na pował, żaden o języku
 Nie wspomni, aż Hieronim syn jego najstarszy,
 Podufałego konia ostrogami zwarłszy,
 Który mu się z urody uda i kibici,
 Z obudwu rącz Turczyna za piersi uchwyci;
 A kiedy na powodzie nie chce iść i zrzedzi.
 Piotr go młodszy obuchem za plecy popędzi.
 Toż go co w koniech skoku, z przetarganą brodą,
 Prosto ku obozowi do hetmana wiodą.
 Drudzy dwaj przy rodzicu i z prawa i z lewa
 Jako baszty, jako dwie nieułożone drzewa,
 Rum sobie szablą czyniąc, następują śmieło,
 Kędy im się do wiecznej sławy droga ściele.

Już się Turcy postrzegli, co dotąd jak niemi
 Stali, skoro swych tysiąc obaczą na ziemi,
 Których im garść tak mała naszych, prawie z garła,
 O wstydzie niewrócony! o hańbo! wydarła;
 Toż miesiącem Hussejm zakrzywszy krzywem
 Zawrze naszych, jak w bani: a ci sercein żywém
 Bojaźń w męztwo obróca; w ostrze tylko broni
 Swe nadzieje po Bogu kładą, że z tój toni

Wynijda. Tam Lipski, jako Leonidas drugi
Umrzeć chce zwyciężając; krwawe zewsząd strugi
Szumią; i którąkolwiek rzuci cugle stroną,
Jako trzcina poganie, jako słoma ptoną.

Nigdy tak bystra Wisła nie rozbierze brzegów
Kiedy ją z roztopionych wesprze wiosna śniegów,
Jaką dziurę w pogaństwie garść ludzi tak mała,
Przy mężnym wodzu, ostrą szablą rozkopała.
Któremu już niesyte śmierci ludzkich jędze,
Bystrolotném wrzecionem dowijały przedzę.

Koń pod nim uderzony arabskim dziretem,
Padł na ziemię, i pana tymże zbył impetem.
Co gorsza, że mu nogę oném obaleniem
Gdzieś do skały przycisnął pospolu z strzemieniem.
Takci wiekopomnemi żywota przykłady
Przedłużywszy, gęstych strzał i *ksiścieniów* (1) grady
Osuty, strącony szkapiami kopyty,
Bogu dał niesuiertelną duszę w depozyty,
Ciało synom, które ci z gorzkich łez kąpięło
W Kamieńca Podolskiego złożyli kościele.

Część X i ostatnia obejmuje traktaty z Turcyą, szczęśliwe
zakończenie téj krwawej walki, i powrót rycerstwa naszego do
rodzinych progów.

Tenci był koniec wojnie, która im straszniejsza,
Tém téż dzięki wielkiemu Bogu powinniejsza
Za jego świętą pomoc. On nam sam hetmanił,
On pogaństwu tak harde bezpieczeństwo zganił.
Dlaczego Grzegorz siódmy, tak wielkiego dobra
Pamiętkę, dziesiąty dzień naznaczył oktobra,
W który Osman nadęty spadł z imprezy swojej;
Żeby póki nizki świat, póki Polska stoi,
Święcił go boży kościół naszego narodu,
Dla wiecznego litości nad nami dowodu.

.....
Twojeito twojej dzieło wszechmogącej ręki,
Za co wszyscy pokorne oddajemy dzięki,
Oliaręć i na czystych serc kładziemy ognisko,
Żeśmy na łup poganom, na urągowisko
Nie przyszli....

* * *

Daliśmy tu tylko wydatniejsze ustępy z tego ogromnego bo-
haterskiego poematu; ogromnego, bo co do rozmiarów wielkie po-

(1) Broń tałarska: sztuka ołowiu albo kości, na rzemieniu przy to-
porzysku uwiązana.

emata S. Twardowskiego przy nim maleją, zważywszy, że treścią jego jest tylko jedna chocimska wyprawa. Twardowski w ramy swoich utworów brał wypadki dziejowe tak obszerne, tak obfite w szczegóły, że je skracał nieraz; Lipski w jednym obrazie jedną tylko wyprawę przedstawił. Twardowski na swoje czasy górujący poetyczny talent, jeżeli dziwi łatwością i obfitością, to razi zepsutym językiem; Lipski za wzór co do języka stawionym być może w swoim okresie. Gdy Twardowskiego erudycya aż do unuzenia obciąża nawet chwilę swobodniejszego polotu, i pleśnią swoją, kwiat myśli i uczucia, barwy i woni pozbawia; Lipski stąpając drogą prawdy, wierny podaniu, myślą rodzimą patrząc z miłością i uczuciem na wielki ustęp dziejowy, wiernym jest malarzem przeszłości. Znać w jego utworze, że to ci sami wojownicy, co ręcznie łamali się z zastępami pohaniców, dopowiadali mu szczegółów; znać, że duch który ożywiał młode, a wtedy już starców serca, i zapalał je odwagą, nie przygasł, ale równym płomieniem gorzał w sercu poety. Żywe słowo podania, odbijając się wydatnie w tym znakomitym utworze, nadaje mu ów koloryt, to życie, którym oddychają owe postacie przodków, wezwane z mogił do czynu, a wywołane potężnym słowem zaklęcia Lipskiego (1). Żaden utwór poetyczny od najdawniejszych czasów, po czasy śpiewaka *Grażyny*, nie dochował tyle barwy, nie skryształizował w sobie tyle ducha właściwego okresu, słowem, nie dochował wierniej dzielnych postaci praojców naszych i z miny i z czupryny. A dodajmy do tego język z żywych ust wyjęty, nieprzykraszony żadną obcą pstroczizną; język, owę zamianę myśli, bijący strumień uczuć serca, i zwierciadło wszelkich namiętności, we właściwym rodowym dźwięku i przystroju: a pojmiemy całą ważność, całą wartość tego pomnika zprzed dwu wieków blisko. Badacz dziejowy, zarówno jak powieścio-pisarz i poeta, znajdzie w nim każdy bogaty zasób dla siebie: bo badacz oprócz ciekawych szczegółów, w żywym obrazie przyjrzy się na oko tej walce z potęgą turecką, która się powtarzała tak świetnie pod buławą Jana IIIgo; powieścio-pisarz i poeta znajdzie gotowe postaci, w zarysach dobitnych a wydanych z prawdą, obok języka w całym owoczesnym

(1) Wspomulny tutaj nawlasem o poemacie Ignacego Krasickiego p. n. *Wojna Chocimska*. Najsłabszyto utwór wielkiego pisarza, który więcej nlegając modzie wleku, pokusił się o poemat bohaterski, dając za *Henrydą* Woltera. *Wojna Chocimska* bezbarwna, przekrzywiła i zaciemniła tak potężny fakt dziejowy.

bogactwie, zrozumieć ich prawe uczucia i myśli, z którymi złożeni w grobie, zmartwychwstali po dwa razy tylko: — pod Choci-
mem i Wiedniem. Pieśń narodu pierwsze zwycięstwo przepie-
wała dla potomnych (1); drugie przebrzmiało w smutném przy-
słowiu: *to tyle warto, co bić się za Wiedeń*. Lud tylko Słowaków
w Węgrzech w swojej *śpiewance* widzi na górze szlązkiej, jak
zpoza *Białej-góry* na gniadawym koniu, ze złotą uzdą, je-
dzie Sobieski na pomoc cesarzowi i Wiedniowi bojować z Tur-
czynem!

K. Wl. Wojcicki.

(1) W innym miejscu pieśń tę w całości dochowaną podamy z obja-
śnieniem potrzebném.

BARONOWIE, HRABIOWIE I MARGRABIOWIE

MIANOWANI

PRZEZ KRÓLÓW POLSKICH.

PRZEZ

H. J.

Uchwałą sejmową r. 1638 postanowiono, że tytułów żadnych, ani świeższych, ani dawniejszych, któreby równość szlachty znosić miały, zażywać, ani nowych upraszać nikt nie powinien, i w kancelaryach królewskich, grodzkich, ziemskich dawane, ani przyjmowane być nie mają, oprócz tych, które w unii przyjęte (Vol. Leg. III, 93). Ponowiony ten zakaz na sejmach r. 1641, a mianowicie r. 1673, gdzie uchwalono: szlachectwo i równość w państwach naszych zachowując, tytuły cudzoziemskie, jakoto: książąt, hrabiów i wszelkie inne, czasy wiecznemi abrogujemy, znosimy i postanawiamy, aby takich tytułów, herbów, pieczęci, nikt w państwach naszych zażywać się nie ważył pod karą wiecznej infamii, o co forum *ad cuiusvis instanciam* w trybunale koronnym. Vol. Leg. V, 119.

Mimo takowego zakazu obostrzenia, znajduje się w aktach metryki koronnej w G. A. K. kilkadziesiąt dyplomatów wydanych przez królów polskich na godność baronów, hrabiów i margrabiów, z prawem dziedziczném dla następców.

Nazwiska tych rodzin, ile ich dotąd wysledzić mi się dało, są następujące:

1583. Berzewicz, na baronię Dondangen.

1658. Bellentani, hrabią Volmer et de Pollenta.

1660. Marcus de Montalbano, margrabią.

1660. Georgini Salvona, margrabia.

1666. Roselli, margrabia.

- | | |
|--|-------------------------------------|
| 1672. Tempi, hrabia. | 1759. Dietz, baron. |
| 1672. Brusco, margrabia. | 1767. Calzamilgia, hrabia. |
| 1673. Vecchia, hrabia. | 1768. Cahman, baron. |
| 1673. Corboli, margrabia. | 1768. Osten, hrabia. |
| 1673. Bettis, margrabia. | 1770. Rampinellis, hrabia. |
| 1673. Fabris, margrabia. | 1772. Hejdel, baron. |
| 1673. Honoratis, margrabia. | 1772. Klingstedt Merzahn,
baron. |
| 1683. Teta, margrabia. | 1772. Sellouf, baron. |
| 1684. Cavanis, hrabia. | 1773. Frevort Corry, baron. |
| Matesilanus, margrabia. | 1773. Omanzoff, baron. |
| 1686. Guadagnis, hrabia. | 1773. Baerl, baron. |
| 1692. Gualandi, hrabia. | 1774. Ludevig, baron. |
| 1694. Anzeliari, hrabia. | 1774. Ferrary, hrabia. |
| 1703. Salloroli, margrabia. | 1774. Bisletty, margrabia. |
| 1720. Cassotis, hrabia. | 1775. Cioja, margrabia. |
| 1720. Renard, baron. | 1780. Roumianska, baronowa. |
| 1720. Mehling, baron. | 1780. Metrocharite, baronowa. |
| 1726. Meliorucci, hrabia, dzie-
dzie Woli Więcia. | 1780. Tetrumiańska, baronowa. |
| 1735. Teloni, hrabia. | 1784. Scheffler, baron. |
| 1743. Ripanti, margrabia. | 1786. Miris, baron. |
| 1754. Rossau Deldenheim,
baron. | 1792. Benfigli, hrabia. |
| | 1794. Bottoni, margrabia. |

Jakże pogodzić tę sprzeczność nadawanych przez króla tytułów honorowych z uchwałami sejmowymi, zabraniającemi, nie mówię nadawania ich, ale nawet używania ich w Polsce? Przytoczę pospolity formularz nobilitacyi, a następnie treść i formę pojedynczych dyplomatów honorowych. Może porównanie ich z sobą naprowadzi na usunięcie téj sprzeczności.

Formularz kancelaryi królów polskich na nobilitacye, co do głównych punktów był następujący:

....„Mając przez stany i WW. senatorów i ministrów, tudzież Ur. posłów województw i ziem zalecone usługi urr. NN., przez wzgląd na wniesione za nim prośby, tudzież... za zgodą wszystkich stanów na ten sejm zgromadzonych (1): uznaliśmy za rzecz

(1) Dawniej król sam wydawał dyplom na nobilitacye; uchwałą zaś sejmową r. 1578 zastrzeżono, że do otrzymania szlachectwa potrzebne jest polecenie senatorów, posłów ziemskich, ministrów i hetmanów, i ich zezwolenie na sejmie.

słuszną pomienionego NN. z potomstwem jego... prerogatywa szlachectwa polskiego przyozdobić i udarować. Jakoż niniejszym listem przywilejem naszym dyplomatycznym, z mocy uchwały sejmu przyozdabiamy, i tegoż NN. z potomstwem jego... za prawdziwego szlachcica królew. Pol. i W. Ks. Lit. tudzież do nich należących prowincyj. ogłaszamy... Przykazujemy wszystkim i każdemu z osobna, tak duchownym jako i świeckim osobom, aby pomienionego NN. z potomstwem jego wieczyście za prawdziwego szlachcica Korony pols. i W. Ks. Lit. niewątpliwie mieli, uznawali i szanowali, oraz wszystkich praw i przywilejów, szlachcie rodowitej służących, zażywać dopuścili i nie przeszkadzali. Dla łaski naszej królewskiej i pod karami w prawie przeciwko urągającym się i zelżywość jaką czyniącym, albo stanowi szlacheckiemu ubliżającym, postanowionemi. Dan... w przytomności arcybiskupa gnieź., lwow. i t. d.“

Formularz ten przez trzysta lat, drobnych tylko i nieznaczących doznał odmian; obecnych zaś dyplomatów na godności honorowe forma, zmieniała się z postępem lat co do punktów i wyrazów istotnych. W zmianach tych wysłowień okazuje się jawnie, że królowie nasi czyli ich kanclerze, rozmaicie się zapatrywali na najwyższą władzę tak *in actu*, jako też *in potestate*; dopiero za Stanisława Augusta, zwłaszcza od 1770 roku, jest forma we wszystkich następnych dyplomatach co do słowa jednostajna, wyjąwszy dwa ostatnie z r. 1792 i 1794, gdzie wyrazy „dla łaski naszej“ są umieszczone. Przytoczę zatem treść główniejszą każdego z tych dyplomatów osobno, według następstwa czasu ich wydania; a ztąd dla rozważnego czytelnika wywiążą się różnice od dyplomatów uszlachcających, lub nadających tytuły honorowe przez cesarzów niemieckich, tudzież wnioski, nie potrzebujące żadnych uwag naszych.

1583. *Berzewicz*, baronem mianowany. „W Imię Pańskie Amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę. My Stefan z Bożej łaski król polski, W. ks. L. i t. d. oznajmujemy niniejszém... Gdy W. Marcin de Berzewicze nasz w Siedmiogrodzie kanclerz, a w Prusiech starosta starogrodzki, wielkim nakładem kosztów od N. Magnusa dziedzica Norwegii, księcia Szlezwigu, Holsztynu, hrab. Oldenburga i innych posiadłości właściciela, nabył zamek Dondangen, leżący w prowincyi Inflant w biskupstwie kurońskim, i tenże zamek z całym jego obwodem i przynależnościami przyłączył tém kupnem do tej prowincyi i jedności państwa naszego z wielkiem

naszej Rplitéj upodobaniem.... a naradziwszy się z senatorami naszego królestwa i W. ks. L. potwierdzamy mu posiadanie tego zamku z całym obwodem i wszelkimi doń przynależnościami, prawem dziedzictwa z potomkami płci obojój, tak jak posiadają dobra w prowincyi chełmińskiej, według obszerniejszego w dyplomie opisu. Teraz zaś, aby tym jawniejszy dać dowód przychylności naszej dla tegoż Marcina Berzewicza, ze starożytnéj dostojnéj familii węgierskiéj pochodzącego, a własną zasługą do obywatelstwa godności w naszym królestwie wyniesionego, gdy według prawa niemieckiego, które dawniej i teraz w Inllantach obowiązuje, i różne tam są stopnie szlachectwa, abyśmy więc i tam świetność jego przodków wznowili: wynosimy więc rzeczonygo Marcina Berzewicza i zaszczycamy go i jego potomków tytułem barona, i rzeczony zamek Dondangen na baronią podnosimy, i posiadaczów jego tytułem wolnych panów i baronów ozdabiamy; nadając im wszelkie prawa i przywileje, jakich gdzieindziej, mianowicie w prowincyach, w których język niemiecki jest panujący, używają baronowie z prawa i zwyczaju, takimi od przodków się mianujący“ (Metr. Kor. 127, 237). Niesiecki w Herbarzu pisze tylko, że Marcin Berzewicz starosta starogrodzki od króla Stefana otrzymał indygenat.

1658. *Bellentani* hrabią Volmer de Pollenta. „My Jan Kazimierz, z Bożéj łaski, król pols..... Gdy monarchów jednę z głównych zalet stanowi wynagradzanie zasługi mężów, odznaczających się w narodach (cały wstęp do tego dyplomatu pełen jest szumno-brzmiających frazesów i wyrazów, o potrzebie nagradzania zasługi).....; zważając przeto na starożytność familii i przymioty księdza opata Alexandra Bellentana de Pollentanis, w obowiązkach przy stolicy apostolskiéj audytora i sędziego, na jego przykładną gorliwość i najchwalebniejszą nieskazitelność.... mianujemy go i braci jego rodzonych Flaminiusza i Jana Chrzeciela, hrabiami Volmer et de Pollenta, miasta w królestwach naszych leżącego (?)..... z całą jurysdykcyą i władzą, i wszelkiém prawem i zaszczytami, jako prawym kawalerom i hrabiom (uti veris equitibus et Comitibus), przyjmując ich pod naszą królewską i następców naszych opiekę; tak, aby ich i ich potomków osoby wszelkiego stanu za prawdziwych hrabiów uznawali, tak jak my ich uznajemy, i do pocztu hrabiów i innych królestw naszych wcielamy..... Dla jawniejszego zaś dowodu ich szlachectwa, nadajemy im herb tu wyobrażony.... wraz z częścią herbu naszego

królewskiego t. j.: trzema koronami naszego dziedzicznego królestwa szwedzkiego... Mianujemy nadto urodzonego Jana Chrzciciela podkomorzym naszym nadwornym (nostrum aulicum cubicularium, italice ut ajunt gentil homo di Camera)..... Co do wiadomości wszystkich, do kogo należy, mianowicie książąt i monarchów, zwłaszcza książąt Modeny, jako ich prawych władców, podając, uprzejmie ich wzywamy, aby rzeczonych braci..... za prawdziwych hrabiów in Volmer de Pollenta uznawali i uznawać kazali, a my wywdzięczając się wzajemnością naszą. Toż samo oznajmując dygnitarzom, urzędnikom i całej szlachcie królestwa polskiego i W. Ks. litew., polecamy, aby powyższych braci z ich potomstwem za prawdziwych in Volmer ac de Pollenta, hrabiów królestw naszych uznawali; marszałek zaś dworu naszego i W. Ks. lit., aby rzeczonego Jana za prawego podkomorzego naszego mieli i uważali, dla łaski naszej.... W przytomności Wacława hrabiego z Leszna Leszczyńskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa królestwa, Jana Tarnowskiego lwowskiego biskupa i t. d., i t. d.“ (Metr. 201, 122).

1660. *Marcus Antonius* mianowany margrabią z potomstwem. Dyplom w kształcie listu król., do tegoż Marka wystosowany, osnowy jest następującej:„Gdy polegając na łaskawości naszej, przedstawiłeś życzenie swoje, abyśmy łaskę naszą, udzieloną tobie dnia 26 czerwca 1659 roku, rozszerzyli i na twoich potomków; my przeto uznaliśmy za godne majestatu królewskiego, obszerniejsze udzielać łaski: jakoż mocą niniejszego otwartego pisma i z władzy naszej królewskiej, zezwalamy i oświadczamy wolą naszą, aby ta godność margrabska, tytuł i przywileje tobie udzielone, prawem dziedzictwa przechodziły na twych potomków, jakby to w powyższym przywileju margrabstwa było wyraźnie wymienioném. W dowód czego pismo niniejsze własną podpisawszy ręką, pieczęć królewską przyłożyć poleciliśmy. W Krakowie, 7 grudnia 1660 roku.“

„Do szlachetnego męża, naszego margrabi, miłego Marka Antoniego, niegdyś szlachetnego hrabiego Jana Montalbano, Bononczyka (syna).“ Oblata w Ks. Metr. Kor. 201, 560.

1660. *Georgini Kastor Salvona*. „My Jan Kazimierz.... Dowiedziawszy się od ludzi wiarogodnych, że szlachetny mąż Kastor, ze znakomitej rodziny Salvona, później Georgina zwanéj, która według powieści od starożytnego szczepu królewskiego Szwedów pochodzi, i w mieście włoskiem Aesii oddawna osiadł-

szy, między patrycyuszami ciągle mieszcząca się, zasługami i majątkiem znamienita, godne swoich przodków prowadzi życie, poświęciwszy się zawodowi wojskowemu, kapitanem w wojsku papieżkiem mianowany, dowództwo zamku w Civita-Vecchia chlubnie sprawował; my przeto tegoż Kastora Georgina, według zdania naszego (*ex certa animi nostri sententia*) i królewskiej powagi, postanowiliśmy zaszczycić go tytułem margrabstwa: jakoż niniejszém piśmie mianujemy go z jego synami i nazawsze margrabią i margrabiami z pełności władzy królewskiej, tak, aby wszelkich praw i przywilejów innym margrabiom służących, zażywali wszędzie. Nadto, aby taż rodzina Georgina czyli Salvona, tém większej łaskowości naszej doznała, dozwalamy jej do swego herbu dołączyć orła białego i nazywać się margrabiami orła białego (*unde Marchiones aquilae albae appellari valeant*). Co podając do powszechnej wiadomości, uprzejmie wzywamy, aby rzeczonego szlachetnego margrabię Kastora Georgina Akcy najczyka i jego potomków za prawdziwych margrabiów uznawali. (W tym krótkim dyplomie nie ma wzmianki o urzędnikach królestwa i W. Ks. lit., aby go i potomków (tak jak w dyplomie Bellentaniego), za margrabiów uznawali. (Oblata w Metr. 201, 561).

1666. **Boselli**, Jan Bta. ojciec i syn Piotr z Bergamo, margrabiowie.

Po obszernej genealogii Bozellich, jako dawnych hrabiów i ich szczególnych zasługach, jako téż wzmiance osobistej znajomości w czasie królewskiej podróży we Włoszech, wyrazy dyplomu są: „z pełności władzy naszej królewskiej, mianujemy ich prawdziwemi i prawemi margrabiami....z nadaniem przywilejów, jakich inni margrabiowie cesarstwa rzymskiego i innych chrześcijańskich królestw z prawa i zwyczaju zażywają....Co do powszechnej podając wiadomości, a mianowicie wszelkich urzędów uprzejmie wzywamy, aby ich za prawdziwych margrabiów uznawali....Poddanym zaś naszym. aby nie inaczej postępowali, polecamy.“ Oblata w Metr. Kor. 205, 65.

1672. **Brusco** Jan Antoni margrabia... „Szczerém oświadczeniem radców naszych uwiadomieni, nietylko o starożytném szlacheństwie i zacności, lecz i o szczególnej życzliwości ku nam i królestwu naszemu ur. Antoniego Bruschi szlachcica patawińskiego: postanowiliśmy po należytej rozwadze i w uczuciu pełności władzy naszej królewskiej, rzeczonego Antoniego Brusco tytułem margrabstwa zaszczycić, jakoż niniejszém piśmie zaszczyca-

my i margrabią mianujemy, aby z potomstwem swoim używał praw i przywilejów, jakich inni margrabiowie zwyczajnie zażywają. (Nie ma tu wzmianki o królestwie i o urzędnikach królestwa polskiego, aby go za margrabię uznawali). O czém do wiadomości wszystkich podając, uprzejmie ich wzywamy, aby rzeczonemu margrabię i jego potomków, tak od nas mianowanych, za prawdziwych margrabiów uznawali i uznawać kazali. Dla łaski naszej.“ (Metr. 209, 553).

1672. *De Tempi Horacyusz*, szlachcic florencki, hrabia. Po wstępie takim samym jak u Jana Brusco, dalsze wyrazy dyplomu są: „Mianujemy Horacyusza Tempi szlachcica florenckiego hrabią, (tu użyty wyraz *liberum comitem*. gdy w innych nadaniach wyrazu *liberum* nie ma) i jego potomków prawdziwemi hrabiami tronu naszego królewskiego i królestw naszych (czego w dawniejszych dyplomatach nie ma, a w późniejszych nie wszędzie, tylko powszechnie *tronu naszego*), i do grona innych wolnych hrabiów wcieliliśmy i wcielamy... Dygnitarzom zaś, urzędnikom i całej szlachcie królestwa naszego polecamy, aby rzeczonemu Horacyuszowi de Tempi i jego potomkom praw i przywilejów tym dyplomatem udzielonych używać pozwalali i w używaniu bronili. Dla łaski naszej“ (Metr. 209, 596).

1673. *Fabris Oktawiusz*, margrabia. Tak jak dyplom dla Tempiego, ale bez wyrazów: *dla łaski naszej*. Oblatowany r. 1676 w księdze Metr. Kor. 211. 208.

1673. *Vecchia Gabryel*, pułkownik cesarski w weneckiej służbie, którego obszerną genealogią i pokrewieństwo opisawszy, dyplom głosi dalej: „Zaszczycamy ur. Gabryela Vecchia z potomstwem jego, z władzy naszej królewskiej, tytułem hrabiego i takowym mianujemy i ogłaszamy, nadając mu prawa i przywileje prawem przynależne. Co aby do wiadomości wszystkich doszło, oznajmujemy, i polegając na prawie narodów, uprzejmie wzywamy. Dygnitarzom zaś, urzędnikom i całej szlachcie królestwa naszego, polecamy, aby rzeczonemu Gabryela Vecchia, Naszego (sic) i Rplitej weneckiej generała, prawdziwym wolnym hrabią uznawali, nazywali i w prawach i przywilejach hrabiom przynależnych bronili, dla łaski naszej.“ (Wyraz ten *nazywali* pierwszy raz w tym dyplomacie użyty. (Metr: 209, 630).

1673. *Corboli Aureliusz*, mianowany margrabią. Podobny dyplom Janowi Brusco nadany, z dodatkiem nieznajdującym się w powyższych dyplomatach, wyrazów: „aby rzeczony Corboli

i jego potomstwo nazwy i godności margrabiiego używali tak w piśmie, jak mianowaniu ustném (*in literis quam nuncupatione verbalis*), w sprawach duchownych i świeckich, tudzież miani byli i nazywani byli prawdziwemi margrabiemi od nas i następców naszych i od wszystkich innych osób wszelkiego stanu i godności“... Przy końcu jeszcze dołączone polecenie: „Dygnitarzom... królestwa naszego“, tak jak w dyplomacie Tempiego. (Metr. 209, 632).

1673. *De Bellis* Jan z Ankony, margrabia. Tak jak dyplom dla Jana Brusco, tylko że do jego herbu dodawszy król orła białego, margrabiemi orła białego nazywać się im dozwala. Ale wyrazów: *pro gratia nostra* nie ma. (Metr. 209, 685).

1673. *De Honoratis* Honoryusz, Medyolańczyk, margrabia. Tak jak dyplom poprzedniego, i z tąż datą 31 sierpnia, z dodatkiem, że margrabiemi orła białego wolno im się nazywać. (Metr. 209, 686).

1683. *Teta* Jacenty margrabią. „Dalmata rodem, w naukach wyzwolonych i sztuce wojennój biegły, a za zasługi wojsku naszemu wyświadczone, zaszczycamy go tytułem i prerogatywami margrabstwa na Ostrzu, mieście naszym na Ukrainie leżącym, i do liczby margrabiów naszych policzamy z potomstwem; i aby za takowych wszędzie i od wszystkich uważani byli, uprzejmie wzywamy. Dygnitarzom zaś, wojewodom, kasztelanom, starostom i innym królestwa i dworu naszego urzędnikom, jako też całemu stanowi rycerskiemu i urzędom naszym, którychkolwiek miast i miejsc polecamy, aby rzezonego Jacentego Teta, naszego margrabiiego na Ostrzu i jego potomków, margrabiemi nazywali, i za prawdziwych i prawych uważali, dla łaski naszej. Dan w Warszawie, na sejmie powsz. król., 26 marca, 1683 roku, w obecności arcybiskupa lwowskiego, Lipskiego, i t. d.“ Jednakże w Vol. Leg. nie ma wzmianki o nadaniu tego tytułu rodzinie Tety. (Metr. 215, 38).

1684. *Cavanis* Mikołaj, syn Jakóba, z braćmi i synowcem Jakóbem, Wenecyanin, hrabiowie. „Mianujemy ich powagą naszą królewską z potomstwem na naszych i dworu naszego hrabiów (*palatiique Nri Comites*), aby za prawdziwych hrabiów od wszystkich w ogólności i w szczególności wszelkiego stanu osób uznawani byli, używali praw i przywilejów na wzór innych hrabiów, wszędzie, we wszelkich dworach, cesarzów, królów i książąt.“ Lecz nie ma wzmianki jak pod Tempim i Brusco polecenia dygnitarzom i szlachcie polskiej, aby ich i za takowych uznawali i takowemi nazywali. (Oblata z r. 1685. Metr. 215, 220).

Matesilanus, lekarz bonoński, od Jana IIIgo zaszczycony margrabstwem, jak świadczy Załuski. Epist. I, 708 i Lengnich, Jus publ. R. Pol. I, 385.

1692. *Gualandi* Kosmas ojciec, i Dominik syn w Pizio i Bononii zasłużeni, hrabiami. W dyplomacie powiedziano: „Gdy zasługi ich wymagały, abyśmy ich nad odziedziczone przywileje zaszczytli: postanowiliśmy obdarować ich z potomkami tytułem hrabiów królestwa naszego polskiego, Wielkiego Księstwa litewskiego i prowincyj doń należących, jakoż mianujemy, i do hrabiów policzamy. Co do wiadomości wszystkich podając, poddanym naszym polecamy, przyjaciół zaś naszych, władzy naszej niepodległych, wzywamy (*requirimus*), aby rzeczonych Gualandych za prawdziwych hrabiów królestwa polskiego uznawali. Dla łaski naszej.“ (Oblata z r. 1693; w Metr. 217, 105).

1694. *Anzeliery Aloizy*, filozofii i med. doktor, sekretarz króla Jana IIIgo i towarzysz jego wypraw, od lat przeszło 20 przy boku zostając, zasłużony, mianowany hrabią.

Dyplom téj prawie treści jak Gualandego, z małym dodatkiem: „Dla łaski naszej, a sąsiadom naszym wzajemnością się wyplacając” (*et Vicinis nostris vicissim responsuri*). (Met. 219, 27).

1703. *Salloroli* Alexander, teolog królewski Augusta IIgo i minister przy stolicy apostolskiej, mianowany margrabią z braćmi swoimi roku 1703. Dyploma przytacza Załuski: Epist. III, 500. Lengnich Jus. Publ. R. Pol. I, 385.

1720. *De Cassotis* Józef i Jan Baptysta ze starożytnéj Syrakuzanów rodziny pochodzący, mianowany hrabią. „Za przysługi synowi naszemu wyświadczone, z pełności władzy naszej królewskiej, mianujemy ich z potomstwem hrabiami, wzywając wszystkich w ogólności i w szczególności, aby wszędzie za prawdziwych hrabiów uznawani byli.”

Nie ma wzmianki o poleceniu dygnitarzom i urzędnikom królestwa polskiego. (Metr. 222, 315).

1720. *De Renard* Jan Baptysta, z żoną Teresą, pułkownik wojsk saskich, Benedykt brat podpułkownik, Anna Katarzyna siostra,

Jakób Antoni	}	synowie, baronowie.
Jan Piotr		

W dyplomacie wyrażono: „z władzy naszej królewskiej, mianujemy ich prawdziwemi królewsko-książęcego tronu naszego i wszystkich królestw baronami, i do grona innych baronów zapisaliśmy, postanawiając, aby rzeczeni Benedykt... wszędzie tytułu tego

i przywilejów doń przywiązanych używali, jakich inni królestwa naszego i innych królestw używają; o co uprzejmie wzywamy, polegając na prawie narodów. Dygnitarzom zaś i urzędnikom królestwa (nie ma naszego) polecamy, aby przerzeczonym Renardom godności baronowskiej i przywilejów wedle prawa i zwyczajów używać dozwolali i w używaniu bronili.“ W tym znowu dyplomacie są wymienieni przytomni: Szembek prymas, Szaniawski biskup i t. d., czego w wielu innych dyplomatach na hrabiów, margrabiów, baronów, jako prosto z kancelaryi król. wydawanych, nie ma, prócz Meliorucci i następnie za króla Stanisława Augusta. (Metr. 222, 456). Podług Vol. Leg. VI, 452 Jan Renard otrzymał r. 1726 nobilitacyą.

1720. *Mehling* Samuel Fryderyk i Jan Krystyan, bracia i rodzina ich baronami mianowani. „My Fryderyk August z bożej łaski król pols.... Do prośby Samuela i Jana Mehlingów, oficerów w wojsku naszym, których przodków dyplomata szlachectwa zaginęły, przychylając się, mianujemy ich baronami tronu naszego królewsko-książęcego“ (in veros Solii nostri Regio Ducalis Ditionumque Nostrarum Barones nominamus); z resztą tak prawie jak dyplom Renardów. (Oblata z r. 1731, Metr. 224, 495).

1726. *De Meliorucci* Dominik Marya, hrabia. Dyplom opiewa, że rodzina Melioruccich, z margrabiów florenckich pochodząca, a po oswobodzeniu Wiednia w Polsce osiadła. „Dominik Meliorucci, dóbr Wola Wיעławaska, prawem i przywilejem polskiej szlachty, pan i właściciel, nam ze swój zrzeczności w spraw prowadzeniu i dobrych chęci ku Rplitej dobrze zalecony; przeto przerzeczonego Dominika, tudzież syna jego Jerzego archidyakona lwowskiego, jako téż Mikołaja Kajetana we Florencyi i Józefa w Londynie, od stolicy apostolskiej urząd ministra sprawującego, hrabiami z ich potomstwem mianujemy.“ Zresztą tak jak w dyplomacie Renardów na baronów, z wymienieniem obecności senatorów i dygnitarzów. Data dyplomu jest: „Die XI Mensis Martii, anno Domini XXIX.“ Oblata zaś wniesiona jest do księgi metr. (224, 59) dnia 19 sierpnia 1726 roku. Jak pogodzić tę sprzeczność?

1735. *Teloni* Ursus Wincenty z potomstwem hrabia. Tak jak dyplom dla Gabryela Vecchia; tylko, że w wezwaniu do urzędników królestwa polskiego, nie ma wyrazu *nazywania* go hrabią. (Sigill. 42, 7).

1743. *Ripanti* Gabryel, margrabią. Prawie tak jak dyplom dla Gabryela Vecchia i w obecności senatorów i dygnitarzy. Jest to minuta nie oblata. (Kancel. 161, 31).

1754. *Rossau* de Deldenheim Wawrzyniec, konsul polski w mieście Bordeaux, baronem. Dyplomu treść podobna jak Gualandego, że go mianuje baronem królestwa polskiego i Wielkiego Księstwa litewskiego. Zresztą, tak jak dyplom Gabryela Vecchia (oblata z r. 1758 w Met. 275, 154).

1759. *De Dietz* Tomasz Just generał wojsk rosyjskich, baronem. „Mianujemy baronem tronu naszego“ (nie ma królestw naszych); zresztą jak dyplom dla Tempiego (Sigill. 29, 144).

1767. *Calzamiglia* Gaspar w Rzymie mieszkający hrabią mianowany. Ta jest szczególność obecnego dyplomu, że w tekście powiedziano: „Mając sobie zalecone zalety ur. Calzamiglia w Rzymie mieszkającego, hrabiego św. pań. rzym. My z szczególniejszej łaski i pełności władzy naszej królewskiej, mianujemy go i jego potomków prawdziwemi hrabiami tronu naszego królewskiego.” Miałaby hrabia polski więcej znaczyć niż hrabia św. pań. rzymskiego? Następnie zawiera dyplom polecenie dygnitarzom i całej szlachcie król. pol. jak w dyplomacie Tempiego, i wymieniona nadto przytomność senatorów i dygnitarzy. Jestto oryginał na pergaminie pisany z wymalowanym herbem i podpisem własnoręcznym: Stanislaus Augustus Rex; a u dołu: Ant. Sikorski S. R. Mttis et Sigilli Regni secret. bez pieczęci; ztąd widoczna, że interesentowi doręczonym nie był. Wniesiony wraz z innemi dyplomami przez króla Stanisława Augusta już podpisanemi, od sukcesorów Antoniego Sikorskiego w r. 1840, w archiwum sekret. nr. kart. 1577 złożony.

1768. *Von Calman* Jan. Naczelnik kopalni i fryszerok żelaza w Szwecyi, mianowany: baronem tronu naszego. Zresztą całe wystowienie w dyplomacie, tak jak w poprzednim dla Calzamiglii, i obecność senatorów i dygnitarzy wypisana, ale bez wyrazów: *pro gratia nostra* (kan. 41, 80).

1768. *Ab Osten Zygfryd Adolf*. Poseł duński w Neapolu, mianowany hrabią; zresztą wystowienie zupełnie jak w dyplomacie Calzamiglii. Jedna tylko szczególność uderza w tym dyplomacie, że data jest położona: *Datum Varsaviae in Polonia, die...* (kancler. 41, 98).

1770. *De Rampinellis* Oktawiusz, Bryxczeńczyk, mianowany hrabią tronu naszego królewskiego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, tylko bez wyrazów: *pro gratia nostra* (kancler. 41, 160).

1772. *De Heydel* Jan, którego ojciec w wojsku króla polskiego Augusta II w wojnie poległ; obecny zaś Jan, w pułku jazdy pols. od 30 lat służył „mianujemy go więc baronem tronu naszego królewskiego.“ Zresztą zupełnie jak dyplom Calzamiglii, tylko bez wyrazów: *pro gratia nostra*. (Kancl. 41, 192).

1772. *De Klingstedt* Merzahn Tymoteusz szlachcic infant-ski, radca stanu rossyjski, mianowany baronem tronu naszego królewskiego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, ale bez wyrazów: *pro gratia nostra* (Kancl. 41, 197).

1772. *Sellouf* Paweł, Szwajcar z St. Gallen, baronem tronu naszego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, ale bez wyrazów: *pro gratia nostra*. (Kancl. 41, 204).

1773. *Omanzoff* Piotr Alexander, i Bogumił (Deocharus) Andrzej, bracia, i ich siostra Anna Ludwika Omanzoff, baronami. Zupełnie tak jak dyplom Calzamiglii. (Kancl. 41, 211).

1773. *Frevort* vel *Frevot* Corry, konsul angielski w Gdańsku, baron tronu naszego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, bez wyrazów: *pro gratia nostra*. (Kancl. 41, 223).

1773. *Van Baerll* Wilhelm mieszkaniec belgijski, baronem. Dyplom cały w tych wyrazach jak dla Calzamiglii (kancl. 41, 231).

1774. *Ludevig* Fryderyk Jan baron, kapitan artylerji cesar. ross. baronem. Dyplom tegoż wystowienia jak w dyplomacie Calzamiglii. (Kancl. 41, 236).

1774. *De Ferrary* Jan Anioł, Genueńczyk, którego brat był posłem genueńskim przy dworze cesarskim w Wiedniu, hrabią. Zresztą jak dyplom Calzamiglii (kancl. 41, 246).

1774. *Bisletti* Ferdynand, Weroneńczyk, kawaler ord. św. Szczepana, margrabią. Dyplom jak Calzamiglii (kancl. 41, 252).

1775. *Cioja* Fortunat, 1775, k. 41, f. 330, Rzymianin, margrabią. Jak dyplom Calzamiglii (kancl. 41, 330).

1780. *Roumińska* Helena wdowa i Anastazyja córka jej, z ich potomstwem zrodzoném i zrodzić się mogącym, za usługi (niewymienione) ich ojca i męża, baronowe. Herb dwa drzewa, a nad koroną skrzydło orła białego. Wystowienie jak w dyplomacie dla Calzamiglii (kancl. 41, 541).

1780. *De Metrocharite* Helena, za usługi ojca z potomstwem zrodzoném i zrodzić się mogącym nadana godnością baronostwa. Dyplom jak dla Calzamiglii. Herb wyobraża drzewo na tarczy, a nad koroną skrzydło (kancl. 42, II 1.)

1780. *Tetrumiańska* Anastazy, z jej potomstwem zrodzić się mogącém, „za dobre chęci ku nam jej rodziców“, baronowa (kancl. 42, II, 7). Zwraca uwagę ta okoliczność, że Roumiańska, Tetrumiańska, Metrocharite i Omanzoff, mają nadane za herb drzewo z liściem i skrzydło orle, tylko te dwa godła rozmaicie rozłożone na tarczy i w hełmie.

1784. *Scheffler* Jan Piotr Ernest, radca tajny królewski, członek towarzystw naukowych w Londynie, w Gdańsku, Berlinie i t. d., którego przodkowie od dwóch przeszło wieków ojczyźnie z chlubą służyli, baronem z potomstwem. Zresztą jak wysłowienie dyplomu dla Calzamiglia, lecz z pieczęcią W. Ks. Lit. (Metr. 220^a, 314).

1788. *Miris* Sylwester dla biegłości w naukach i sztukach pięknych, z potomstwem mianowany baronem. Wysłowienie jak w dyplomie dla Calzamiglia, ale z pieczęcią W. ks. Lit. i bez obecności senatorów. (Metr. 220^a, 373).

1792. *Benfigli* Bernard szlachcic rzymski, z potomstwem, hrabią. Podług wyrazów dyplomu dla Calzamiglia i z wyrazami: *pro gratia nostra*. (Kancl. 100, 237).

1794. *Bottoni* Dominik, Ferarczyk, margrabią. Dyplom jak dla Calzamiglia, i z wyrazami: *pro gratia nostra*. We wszystkich zaś dyplomatach powyżej od r. 1770 do r. 1784 przytoczonych, wyrazów tych nie masz. Data 7 marca 1794 r. (Kancl. 42^a, część 2, f. 23).

Spis obecny piękny podaje materyał do rozprawy względem dawnego prawa publicznego w Polsce.

ZAPOROŻE

OD CZASÓW ZNIENIENIA SICZY DO R. 1840 (*).

PRZEZ

Michała Głuszczyńskiego.

I.

Zajęcie siczy przez wojska rosyjskie, zniesienie z woli Cesarzowej Katarzyny towarzystwa i nawet nazwiska Zaporozców, znajome jest dotąd w całej Ukrainie i Nowej-Rossyi pod nazwiskiem „atakowania Siczy”. Korż, naoczny świadek tego wypadku, opowiedział go swoim oryginalnie naiwnym sposobem, i sądzę, że czytelnicy znajdą w dosłowném tu przytoczoném opowiadaniu Korża więcej daleko zajęcia, niż w jakimkolwiek inném świadectwie historyczném. Oto są słowa Korży:

„Sicz była atakowana przez generała Tekelego tym sposobem: Tekeli przybywszy z uzbrojoną armią do Dniepru, wydał rozkaz do wszystkich swoich pułków, aby podług naprzed wydanego planu, zbliżały się ku Zaporozu w tym samym i umówionym dniu, tojest w dzień Zielonych Świątek; i w miesiącu maju zajęli wszystkie po Dnieprze zaporozkie granice. Sam zaś ze swoją dywizją i artylerją, także w tym samym dniu zbliżył się do siczy, i stanąwszy o dwie wiorsty od niej, na otwartém polu rozbił namioty, i kazał uszykować w linii całą swoją artylerją na sicz, nie dawszy jednak żadnego wystrzału, a i z siczy nie było żadne-

(*) Skrócone ze Skalkowskiego.

go oporu. I dopóki Tekeli stał w namiotach około sicz, dwa dni, to przez ten czas przez kurjerów było już wiadomo wszystkim, i sicz i Tekelemu, że rossyjskie pułki zajęły już wszystkie pałanki, wszystkie miasteczka i wsie w całym Zaporozżu. Trzeciego dnia posłał Tekeli swego kurjera do sicz i zaprosił do siebie wszystką zaporozką starszyznę. Odebrawszy te zaprosiny koszowy, zebrał na schadzkę wszystkich kurennych atamanów, dla naradzenia się z nimi: „A szczo panowie atamany budem teper (teraz) robity? oto Rossyianie kliczut (zapraszają) nas do siebie w gości, czy pidem, czy nie pidem (pójdziemy)? Czy oddamo Rossyanom sicz, czy ni oddamo?” Wtedy atamani, towarzystwo, junaki i inni charakternicy (czarownicy) zaczęli między sobą się buntować: jedni chcieli poddać się spokojnie, a drudzy opierali się w nadziei swego charakterstwa i mówili: „Niechaj Tekeli prywede jeszcze stylko (tyle) wyska, jak se (to), to my wsie w puch rozbijem, jak much peredawim. Czy to možno sicz i sławnoe Zaporozże Rossyanom oddaty za spasibo (dziękuję)? Seho (tego) nikoli, póki swit sonca nie bude.” Bo ci odważnicy, byli wszyscy śmialkami, i nieżonaci, a przytém i osiadłości żadnej nie mieli i dlatego się buntowali. Ale większa część, nawet atamani i inni bogaci Kozacy mając u siebie żony i dzieci (1), i inne dostateczne zagospodarowanie w zimownikach, i rozbierając tak: że chociaż my wojsko Tekelego znajdujące się teraz w obozie zniszczymy niepotrzebnie do nogi, to w tém bięda, że te pułki, które już weszły w nasze granice i zajęły wszystkie pałanki i wsie, usłyszawszy o naszym odporze, zniszczą całe nasze tamtejsze mienie, a żony nasze i dzieci nieludzko uśmiercą; dlatego nie zgadzali się na zdanie buntowszczyków odważnych. A oprócz tego i będący w sicz archimandryta Włodzimierz Sokalski, dowiedziawszy się o takim ich niefadle i buncie, wyszedłszy ubrany w cerkiewne suknie z krzyżem w ręku, zaczął przemawiać do opór czyniących: „Bójcie się Boga! wy chrześciance, podnosicie ręce na chrześciance: wy chrześciance i chcecie przelewać krew jednowątrobną! Bójcie się i przestańcie to czynić. Widać już taki nasz

(1) Jestto omyłka, bo Korz rozprowadając te wypadki w 130 roku życia snąc już zapominał, że żonaci Kozacy w sicz nie bywali, i w żadnych schadzkach i radach udziału nie mieli, a tém mniej nie mogli być kurennymi atamanami. Co więcej, żonaci mieszkali w słofach, a zimowników mieć nie mogli.

los, i przyjmijmy go od Boga, jako zasłużony za sprawy nasze. Oto macie krzyż i Ukrzyżowanego na nim; jeżeli go nie usłuchacie, wszyscy nagle poginiecie.”

„Któż mógł oprzeć się tak rażącemu przekonaniu? serce kamienneby rozmiękło! Zaczęli też płakać nietylko burzliwi, ale i cała starszyna, i wojsko, i wszyscy odpowiedzieli archimandrycie: „No pan otcze, byt' tomu tak, znaw szczo skazaty, my gotowy za tiebie i gołowy nasze położyty, nie tolko posłuchaty!”

„Gdy już i z namowy archimandryty, i z powodu innych okoliczności, wszyscy na jedno zdanie się zgodzili, wtedy zaczęli mówić do koszowego: „Nu bat'ku, wielmożny panie! teper jak хочz (chcesz), tak i dumaj z temi gostiami, a my gotowi tiebie słuchať, czy iti, to iti (iść).“ Wtedy koszowy powiedział im: „Nie można bracia nie iść, bo to nie durnica (żart); wy sami baczycie, że Rosyianie nas atakują naokoło i całą artyleryą na nas uzbroidli. Ale niech co chce będzie! nie ma czego dłużej zwlekać. Boże pomóż! daj Boże dobrą godzinę. Chodźmy panowie atamany! co będzie, to będzie, a co więcej będzie, to będzie jak Bóg da.”

„Potém wziąwszy chleb i sól poszli wszyscy do Tekelego namiotu, i ofiarowawszy mu owe dary, mówili: „Kłaniamy się Jaśnie Wielmożnemu Panu chlebem i solą.“ — „Dziękuję wam Zaporozńczy za chleb i sól“ — odpowiedział Tekeli i rozkazał służącemu swemu odebrać od nich chleb i sól, a potém pytał się ich: kto ich koszowy, jacy po nim piérwsi urzędnicy i jak się nazywają. I kiedy koszowy stojąc na przodzie, objaśnił go, że on Kalnysz (Kalnyszewski), a urzędnicy jego: sędzia Kosap i pisarz Głoba, a wszyscy inni, pokazując na atamanów, kurenni atamani, także urzędnicy ze wszystkich 40 kureni: wtedy Tekeli prosił koszowego siedzieć, a także i innym urzędnikom dano miejsce, i uczęstowawszy ich przystojnie, i wypytawszy o to co potrzeba było, poszedł z nimi do siczy, wziąwszy z sobą część oficerów i część przybocznej straży; ale widząc, że Zaporozczy poddają mu się dobrowolnie, rozkazał natychmiast cofnąć artyleryą. Przyszedłszy do siczy zapytał się koszowego: „gdzież ty mnie koszowy teraz zaprosisz?“ Wtedy koszowy ukloniwszy się, prosił go do swojego kurenia i wszystkich oficerów, i ofiarował wszystkim gościom bogatą ucztę w waganach i korakach (1) drewnianych, z drewnianemi także

(1) *Wagan*, wielka drewniana waza, czyli miska: *karak* czyli *czerpak* rodzaj wielkiej łyżki na długim trzonku, do rozlewania zupy.

łyżkami i talerzami. Zjadłszy, Tekeli bardzo dziękował za pożywienie i dziwił się wielce, że cały serwis, nawet naczynia do picia były drewniane, a potrawy nadzwyczaj smaczne i rozmaite; i zapytał się koszowego, „kto takie potrawy u was gotuje?” Koszowy odpowiedział: „u nas są JW. Panie w kozackich kureniach bardzo dobrzy kucharze.” Wtenczas Tekeli prosił, aby mu darować jednego takiego kucharza, i przyrzekł mu dać dobrą pensją; a koszowemu obiecał dać dwa kamienne półmiski, i wszystkim kurennym atamanom po jednym, żeby takie dobre potrawy nie jedli z koryt, a z półmisków. Wpółśród tych rozmów i obietnic Tekelego, jeden z obecnych kurennych atamanów nazwiskiem Roman Stroc, ataman kaniowskiego kurenia rzekł do Tekelego: „JW. Panie choć z koryta, ta do syta; a wy choć z bliuda (półmiska), to chudy. Wtedy Tekeli zapytał się atamana: „co to za przysłowie? nie rozumiem go.” Stroc ukłoniwszy się zaczął objaśniać przysłowie: „Wybacz JW. Panie: wy pożywienie racycie jeść z półmiska, a chudziście na twarzy (Tekeli był wysoki, ale bardzo szczupły); a my choć z koryt jemy, ale za to syci. Ot patrzcie dobrodzieju na nas wszystkich, jacy my, i rozbierajcie moje przysłowie. Tak sądziecie miłościwy dobrodzieju, czy nie prawdę mówię?” Tekeli dziwił się temu przysłowiu i dowcipowi Stroca, i nietylko nie gniewał się za to, ale jeszcze dziękował mu i rzekł do niego klepiąc go po ramieniu: „Nu Stroc, dziękuję za przysłowie: ono tak sprawiedliwe, że sprawiedliwsze być nie może; nie zapomnę go nigdy; wszystko coś w niem powiedział, powiedziałeś bardzo stosownie, i tak w samą rzecz bywa; ty jakbyś w oko wlepił.”

„Kiedy już Tekeli zjadł obiad i pożegnał koszowego i atamanów, to długo jeszcze ciekawił się po siczy, oglądał wszystkie kurenie zaporozkie i wszystkie ich sprzęty. Nakoniec wrócił do obozu, i przebył w nim więcej niż tydzień. W ciągu tego czasu oficerowie ruscy i żołnierze przychodzili do siczy, a Kozacy i ich atamani odwiedzali ich obóz, i jeden z drugim hulali i obchodzili się swobodnie.”

„Potem już Tekeli przyzwawszy do siebie koszowego, sędziego i pisarza, i przeczytawszy im Najwyższy ukaz, rozkazał im trzem gotować się do Petersburga do Cesarzowej. I prędko też byli wyprawieni, ale nie wszyscy, bo sędzia Kosap, przed odjazdem jeszcze nagle zachorowawszy umarł, i pochowany został w siczy; dwóch więc wyprawiono, to jest Kałnisza i Głoba. Tekeli

zaś zajmwszy całą zaporozką Palestynę pod swój zarząd, pociągnął wszystkich Zaporozców do przysięgi, i urządziwszy wszystko jak należało, był już bezpieczny; ale mimo to, ciągle znajdował się w obozie”.

„Tymczasem zaporozkie wojsko widząc, że jego starszyna wyprawioną została do stolicy, a w kraju ich zaprowadzone zwyczaje i porządek nie do ich smaku, zachwiało się, i zaczęli Kozacy rozmyślać i gadać: „jakby samym gdzie daleko mandrować (ujść)”, i wymyślili taką sztuczkę: Zebrali naprzód 50 Kozaków, i posłali do Tekelego z chlebem i solą w gościnę. Przeszedłszy tam mówili: „kłaniam się dobrodzieju chlebem i solą”. — „Dziękuję — odpowiedział Tekeli — dziękuję wam Zaporoznicy za chleb i sól; a czego wy odemnie chcecie?” — „A ot dobrodzieju co: my czuły (słyszeli), że nam już bez biletu na piśmie nigdzie z siczy oddalać się niewolno”. — „Tak, tak Zaporoznicy, nie oddalajcie się nigdzie bez mojej wiadomości”. — „To téż dla téj wiadomości my i przyszli, żeby nam choć jeden bilet na wszystkich napisali, bo my będziemy trzymać się kupy i pojedynczo nigdzie nie rozplyniemy się”. — „Dobrze, dobrze — odpowiedział Tekeli — jak to u was piérwój bywało?” — „Ta u nas panu biletów nigdy nie bywało, ani ojcowie, ani dziadowie nasi ich nie znali, a i pradziady o nich nie słyszeli, a kto gdzie chciał tam szedł, lub jechał”. — „A dokądże wy chcecie udać się z temi biletami, i po co?” — „Na Tyliguł rzeczkę, co wpada w Czarne, dobrodiju! na zarobek do lamy (1). Przeklęta rzecz, nie mamy ani soroczki (ani grosza), gdzie spojrzysz golizna, a przecież trzeba będzie kiedy poduszne zapłacić, ta i panom choć trochę udzielić”. Tekeli głośno się rozśmiał i rzekł: „idźcie, idźcie Zaporoznicy z Bogiem, zarabiacie sobie, a i do kassy zbierajcie. — „Czujem dobrodiju, czujem” — odpowiedzieli Kozacy, i pokłoniwszy się wyszli, i poszli do jego kancelaryi, a Tekeli przyzwawszy adjutanta, rozkazał wydać im bilet na wszystkich 50 Kozaków. Kiedy ci Kozacy dostali już bilet, to zabrawszy z sobą całą swoją amunicyą i wszystkie bagaże, wzięli także z sobą podług liczby majtków kilka łódek, tak-

(1) Tyliguł, rzeka w odeskim powiecie, wpada znacznem jeziorem w Czarne morze. Ta odnoga nazywa się po turecku Deli-Geil (wściekle jeziro). To téż udać się na Tyliguł, znaczyło: iść za granicę. Do lamy, na rybaki, znaczyło dosłownie: pracować przy łowieniu ryb, ciągnieniem nlewodu.

że naładowawszy wszystkiem co mieli, i siadłszy na nie potajemnie nocą, nietylko ci, co mieli bilety, ale i bezbiletowych tyle, ile w łódkach pomieścić się mogło, może być z 1,000 ludzi, zażumiali w nich wiosłami do Tyliguła.“

„W kilka dni potem przyszło znów 50 Kozaków do Tekelego po bilet, a dostawszy go, zrobili tak jak pierwsi, zabrawszy z sobą i bezbiletowych, ile ich zmieścić się mogło. Widząc, że nikomu biletów nie odmawiają, Kozactwo przysłało jeszcze część wojska, które także prosiło o bilet jak i drudzy, zawsze pod pozorem owój chytrój wydumki. Takim sposobem cała już drużyna ze wszystkich kureni dostawszy bilety, pod pozorem Tyliguła, wydalila się pod Turka, oprócz ślepych, kulawych i zestarzałych.“

„Nakoniec oficerowie Tekelego widząc, że sicz prawie pustą została, zaczęli mu raportować, że w syczy nie ma już żadnego Kozaka, i rozpowiadali mu wszystkie ich chytrości i wydumki. Wtedy Tekeli chwycił się za głowę, ale już zapóźno, i pytał się oficerów: „No i gdzież oni? dokąd poszli? przecież oni prosili o bilety do Tyliguła na zarobek“. Potem rozgniewawszy się mocno, zamknął się w namiocie, i był tam w wielkiem zamyśleniu i smutku od tego podstępu prostej drużyny, tak, że z nikim nie mówił, i cały dzień nigdzie nie wychodził. Wtém przychodzi jeszcze ostatek siczowych Kozaków, liczba już bardzo mała, około 10ciu ludzi, i kłaniając się podług obyczaju chlebem i solą, mówią do Tekelego: „Rozkaż nam W. Panie wydać bilety na zarobek“. — „A wam znowu dokąd bilet?—z gniewem już zapytał się Tekeli“. — „Do Tyliguła panie, do lamy“. — „Do Tyliguła, do Tyliguła, wszyscy do Tyliguła—zakrzyczał Tekeli— a miasto puste zostało; nie każę żadnemu z was dawać biletów“, i wypędził ich z oczu. Ale i ci ostatni chociaż bez biletów, także zakiwali piętami w ślad za swoją drużyną, i podziękowali Tekelemu za chleb i sól. Nakoniec rozkazał Tekeli przywołać do siebie wszystkich atamanów kurenych, ale przyszło ich tylko 10. Przyjął ich z gniewem.—„Dlaczego nie wszyscy do mnie przyszliście?“ „Jakże mamy panie wszyscy przyjść, kiedy nikogo nie ma w kureniach“. — „A gdzież oni, kiedy ich nie ma?“ — „Atamany panie, rozjechali się do zimowników, a drużyna bez słyhu rozbiegła się. A i my myślimy sobie w domu, na co my tu będziemy i kim będziemy dowodzić? Starszyznę naszą zabrali, a kozackiego wojska nie ma“. — „A gdzież wasze wojsko i gdzie wasi Kozacy? — zakrzyczał Tekeli— „Na co panie? a przecież wy im sami daliście

bilety na zarobek, bo tutaj ryba po niczemu, do Tiligula, czy gdzie? Wtedy Tekeli okrutnie się rozgniewał, nakrzyczał i wypędził atamanów. Nakoniec przepędziwszy jeszcze nieco czasu około sicy, tegoż roku odjechał do stolicy, a wojsko jego stało 7 lat w granicach zaporozkich, dopóki się zupełnie nowe posiadłości nie urządziły.

II.

Opowiadanie o losach Kozaków Zaporozkich po upadku ostatniego kozza na rzece Podpolnej.

Sama natura przedmiotu rozdziela to opowiadanie na trzy oddziały: 1) na opowiadanie o losach samej sicy i zaporozkich ziem i wolności; 2) na opowiadanie o losach tych Zaporozców, co zostali w kraju; i 3) na opowiadanie o losach tych członków towarzystwa, którzy podburzeni złą radą i wrodzoną im krnąbrnością, postanowili raczej porzucić swą miłą rodzinną ziemię, aniżeli wyrzec się reguły kozackiej.

1.

Losy sicy i zaporozkich ziem i wolności.

Sicz poddała się bez oporu. Wojsko kozackie po wystąpieniu Najwyższego ukazu wielkiej Monarchini, natychmiast złożyło broń; ani słowem, ani czynem nie okazało ono żadnego opornego poruszenia.

Wnet za zniesieniem sicy poszły i nowe administracyjne rozporządzenia. Wszystkie zaporozkie posiadłości rozdzielone zostały na dwie części: pałanka ingulska zmieniła się na ingulski powiat, kodačka na nikopolski, a bohogardowa na pawłowski albo olwiopolski, a razem złożyły noworossyjską gubernią. Pałanka samarska, pratowszczańska, oreńska i kałmiuska weszły w skład azowskiej gubernii pod nazwiskiem samarskiego, nowosielickiego, łyszkowskiego, barwinosteńskiego, końskawodzkiego, kałmiuskiego powiatu, w których naznaczono wojskowych dowódców, po największej części z dońskiej starszyny, aż do dalszego cywilnego ich urzędzenia. Gubernatorem azowskim mianowany został Wasili Czortków.

Losy samej sicz czyli kosa zaporozkiego, tego środkowego punktu, tego serca i duszy zaporozkiego towarzystwa były następne: wszystkie w jej okolicy leżące sioła oddane zostały pod oddzielny zarząd pułkownikowi Norawowi. Zamiast garnizonu dla porządku i bezpieczeństwa postawiono tam doński kozacki pułk Sulimy, a pułk dragonów taganrogski rozłożony został w samarskiej i protowszczańskij pałance.

W obu Kodakach, w Nikitynie, co potem przezwany został Nikopolem i we wszystkich siołach zaporozkich, rozkwaterowano różne piechotne pułki.

W samej sicz fortifikacye zostawiono, armaty zabrano, gisernią, prochownią zasypano, kurenie albo rozebrane, albo odesłane do Nikotyń, gdzie z nich postawiono ogromne magazyny. Cerkiew pokrowska ocalała.

Kaplica na cmentarzu, pomniki, krzyże na placu obok cerkwi będące zdjęto. Dwa czy trzy domki kozowych i starszyny, mieszkańcy, dawniej poddani kozactwa, kupili przez publiczną licytacją i przenieśli na inne miejsca. W dwa lata potem, tylko wały, rowy, mogiły i ruiny dawały świadectwo, że na tém samym miejscu, niedawno jeszcze sławna w dziejach Słowiańszczyzny stała kozacka sicz.

Sicz zaporozka zmieniła nazwisko swoje: przczwała się od-tąd wioską Pokrowskiem, na cześć opiekunki kozactwa Matki Bożkiej (1). Ziemie zaś około sicz z ogromną przestrzenią stepów i wysp darowane zostały generał-prokuratorowi księciu Wiaziemskiemu, a okolice teraźniejszego Jekaterynosławia, czyli ówczesnego sioła Połowicy z wyspami i lasami, dostały się księciu Prozorowskiemu.

2.

Losy towarzyszy zaporozkich którzy pozostali w kraju.

Tekeli zajmwszy sicz odczytał Zaporozcom manifest Cesarzowej Katarzyny, w którym powiedziano: że wojsko w składzie dawnym i z dawną formą już nie istnieje, ale że każdy jego członek, czy starszyna, czy Kozak, może albo powrócić do miejsca z kąd przybył na Zaporozże, albo zostać w noworossyjskim kraju,

(1) *Pokrow*, po rusku znaczy opieka.

ale nie inaczej, jak na prawach innych jego mieszkańców, wyjąwszy starszyn, którzy ściągnęli na siebie gniew monarchini. Oprócz trzech już wysłanych, archimandryt Włodzimierz odesłany został do Kijowa, a duchowni inni do międzygórskiego monasteru. Pułkownicy Andrzej Porohnia, Czarny, Stepan Delech, Iwan Kulik i Iwan Garadza; atamani kurenni Osip Paralicz, Moisiej Hołowko oddani zostali pod sąd wojenny w różnych miejscach, a ich zimowniki i stada zabrano na skarb i sprzedano.

Potemkin, który najwięcej nastawał na zniesienie siczy, chcąc ulżyć nieco w biedzie i nieszczęściu Kozactwu, rozkazał Tekelemu przedstawić sobie listę imienną starszyn i towarzyszy, którzy nie mieli udziału w przewinieniu koszowego i jego stronników, i odznaczyli się w ostatniej tureckiej wojnie. Z tych ludzi zamierzył on utworzyć dwa pikinierskie pułki; ale ani bojaźń owego groźnego magnata, ani obietnice jego najponętniejsze na to nie pomogły. Żadnym sposobem nie mogli Kozaków do regularnej służby namówić, i właśnie obawa służby tej najpewniej była przyczyną smutnego wypadku, o którym Potemkin w raporcie zdanym Cesarzowej Katarzynie 1776 zamileczał, a który wyrzucił z rodzinnej ziemi większą połowę zaporozkich towarzyszy.

Pozostała w kraju garstka Zaporozców miała sobie w nagrodę to, że przy niej większa część starszyny utrzymała się, jakoto: były koszowy, Filip Fedorow; asauli: Fedor Biały, Sagin Moszczeński, Łomaka, Lekkostup; pułkownicy: Andrzej Biały, Wysoczyn, Czepega, Kołpak, Tymkowski i Hołowaty. Nadano im stopnie wojskowe armii i odpowiednią pensją aż do przeznaczenia ich do czynnej służby. Pozostawiono przy nich ich majątek i posiadłości ziemskie. Tak przeszło kilka lat spokojnie. Niektórzy z Zaporozców weszli nawet do czynnej służby, a niektórzy do pikiniernych pułków, i wśród powszechnego pokoju zapomniano prawie o Zaporozu. W tym czasie Potemkin zajęty zawsze ulubionym romantycznym greckim projektem przeciw Turcyi, przybył do Noworossyi, której był generalnym gubernatorem, i obaczył, że dla spełnienia owego zamiaru potrzeba było cały kraj, na 100,000 kw. morskich otwarty, a dawniej przez Zaporozców posiadany, obsadzić wojskiem, do czego najmniej 15,000 ludzi było potrzebnych; lecz zkąd tu wziąć tyle żołnierza, kiedy w całym kraju w r. 1782 było ledwie 530,000 dusz obojęd płci. Mimowolnie wtedy przyszli mu na myśl Zaporozcy, i postanowił wskrziesić zaporozkie towarzystwo, ale już nie pod formą zakonu rycerzy bez-

żennych, ale w kształcie dońskich albo uralskich Kozaków. Owóż w 1783 r. 1 lipca wydał następującą odezwę:

„Podaję niniejszém do wiadomości tym przebywającym w azowskiéj gubernii, sławiańskiéj, elizawetskiéj prowincyi mieszkańcom, którzy w byłém zaporozkiém wojsku służyli, że starszynie pułkowemu i kapitanowi armii Hołowatemu poruczoném zostało odemnie przyjmować ochotników do służby kozaczéj pod mojmém dowództwem. Liczba tych Kozaków ma być: konnych 500 i pieszych na łódkach także 500, i naznacza się dla nich odpowiedni żołąd i żywienie. Dlatego życzący sobie téj służby, niech przybywają do Chersonu do pana brygadiera Sinielnika.“

Takie same zlecenie dane było byłym zaporozkim pułkownikom Charkowi, Czepiedze i Lekkostupowi. Starania tych czterech bardzo lubionych zaporozkich starszyn, przy pomocy byłego wojskowego asaufa Sidora Białego, uwieńczone były ogromnym skutkiem, bo pozostałe w kraju towarzystwo, chętnie się żeniło i osiedlało, przekładając zawsze życie burłacko-wojenne, i w przeciągu 7 lat pozostałych Kozaków w kraju liczba dochodziła jeszcze do 5,300 ludzi. Zebrana tym sposobem drużyna, chociaż miała ubiór, kształt i służbę zaporozką, ale mieli już wolność żenienia się i dostali nowe nazwisko Kozaków czarnomorskich, które następnie w 1787 aż do 1791 r. w wojnie z Turcyą rozslawili. W 15 lat potem, 1805 r., posłany przez Cesarza Alexandra dla urządzenia czarnomorców generał Daszków, pisał o nich do ministerstwa: „Kozacy czarnomorscy podnieceni gorliwością, przez cały czas ostatniéj wojny w różnych działaniach przeciwko nieprzyjacielowi, okazali liczne dowody męstwa, odwagi i gorliwości w służbie.“

Wtém umarł Potemkin, a Kozacy, bez żadnego stałego oznaczenia swego losu, pozostali między Dniestrem i Bohem, jako straż graniczna. Rozeszła się pogłoska, że chcą ich w osiadłych zamienić, a oficerom i ochotnikom pozwolono zaciągać się do lekko-konnych lub huzarskich pułków.

Naostatku, na prośbę Hołowatego zmieniono ten projekt, i 1792 r. 30 czerwca wydano Kozakom Najwyższy ukaz, którym na wieczne czasy darowano im wyspę Taman czyli Fanagoryą z ziemią między Kubaniem, Azowskiém i Czarném morzem. Poruczono im zarazem strzeżenie granicy od napadów zakubańskich rozbójników, pozostawiono im ich sąd i zwyczaj, sprzedaż wódki, oddano im chorągiew, litawry, herb i pieczęć z nowym podpisem:

„Pieczęć J. C. Mości kosza wojska wiernych Kozaków czarnomorskich.” Czepega został mianowany koszowym atamanem, a Hołowaty wojskowym sędzią. Wyznaczono Kozakom rocznego żołdu 20,000 rub.; pozostawiono im nadto dawne klejnoty: buławę, piórnac i trzciny, które dotąd w razie wielkich uroczystości noszone bywały przez nakaznego atamana, naczelnika sztabu. Roku 1792, 1 lipca, czarnomorska kozacka drużyna, pod dowództwem pułkownika Białego, na 51 łódkach wypłynęła w liczbie 5,000 ludzi na nową siedzibę, i 21 sierpnia przybyła do Fanagaria. Następnego roku 15 sierpnia uroczyste założyła sobie nowy kosz, i na pamiątkę łaskawej dla nich monarchini, przewali go Jekaterynodarem (darem Katarzyny). Pobudowali sobie wioski, kurenie, których nazwiska zachowali także same jak w stariej siczy na Dnieprze, i dotąd żyją w dawniej kozackiej formie, wyjąwszy, że wielu z nich, a teraz podobno wszyscy już się poženili.

3.

Losy tych Zaporozców, którzy wyszli z'kraju.

Okolo 5,000 ludzi z dawniej drużyny zaporozkiego kosza, czy przestraszonych zburzeniem siczy, czy podburzonych wrodzoną gwałtownością uczuć i czynu, czy w chęci zachowania i wytrwania dalej jeszcze w formie owiej wojennego bractwa, zabrawszy wszystkie łódki jakie były w siczy i Nikitynie, dawnym kozackim szlakiem dostali się na morze, a ztamtąd odnogą Grzegorza na Dunaj do Braitowa. Nie wiedząc co począć z sobą, a bojąc się Rossyi, postanowili poddać się Turcyi. Porta przyjęła ich chętnie i pozwoliła im osiąść koszem przy tej samej odnodze Dunaju (Hedrille-Bogazi). Ziemia na której teraz żyli miała wiele bardzo dobrych warunków: ryby, lasy, łąki, pastwiska; a tego też tylko Zaporozcowi potrzeba. Ale zły los wisiał już i tu nad niemi. Tuż obok nich siedzieli niekrasowcy, roskolnicy, Kozacy dońscy. Zaporozcy, jak to już czytelnicy z poprzedzającego wiedzą, nienawidzili różnowierstwa, napadli na niekrasowców i wypędzili z ich siedzib. Turcyja za karę i dla uniknienia podobnych zajść w przyszłości, usunęła Zaporozców dalej ku górze rzeki, aż do jeziora Sejmeny. Tu wybudowali sobie nowy kosz i przetrwali w nim do końca XVIIIgo wieku. Wkrótce liczba ich wzrosła do 10,000, mieli znowu koszowego atamana i innych urzędników, a i swoich 38 kurenii, i cerkiew Opieki Matki Boskiej. Nie podoba-

ło im się jakoś w tych stronach, i znowu dostali od Porty pozwolenie zajęcia dawniej siedziby przy ujściu Dunaju, wyparcia niekrasowców, co też wnet uczynili i tu już aż do roku 1829 siedzieli.

Turcyja używała Kozaków przeciw Serbom, Albańczykom i Grekom, a tylko 15 łódek zadunajskich, a jak ich Turcyja nazywała bołgarskich Kozaków, wystąpiło przeciw Rossyi w kampanii r. 1789—1791. Mieli tedy w Turcyi Zaporozcy wszystko, co mieć chcieli: mieli siedziby, mieli sicz i koszowego atamana, i cerkiew, i regułę dawną kozacką, i hulanki bojowe, a zatém i łupy, a mimo to wszystko nie byli kontenci. Tęsknota za rodzinną ziemią coraz bardziej ścisłała ich serca. Smutno im było u obcych; śpiewali też sobie:

Letyw oręł ponad morem, taj staw hołosyty,

Oj jak ciężko mni bidnomu na czuzbini żyty.

Letyw oręł ponad morem, taj letywszy kryknuw,

Oj jak ciężko nieszczęstnomu żyt, gde ne prywyknuw.

Myśl o powrocie do Rossyi już w roku 1805 między nimi powstała, a kiedy w roku 1806 wybuchła wojna między Rossyją i Turcyją, wtedy Kozacy zadunajscy pomału opuszczać zaczęli swój zadunajski kosz i około 500 ludzi pod przywództwem Iwana Gleb i Buczyńskiego przeszło do generała Michelsona, który za najwyższem zezwoleniem uformował z nich osobny oddział i przezwiał: „*Ujst-dunajskiem* wojskiem.” W r. 1825 Xawery Czerniawski wyprowadził z zadunajskiego kosza około 100 ludzi, przedstawił się hr. Woronców i objawił, że jest posłem od całego zadunajskiego towarzystwa, z prośbą, aby Najjaśniejszy Pan raczył pozwolić im powrócić do Rossyi i przyjąć ich do swojej służby. Na ten raz nic nie zrobiono. Dopiero w roku 1828 kiedy rossyjskie orły zaleciały aż do ujścia Dunaju i Dniestru, zadunajscy Kozacy podali znowu prośbę do szczęśliwie dziś nam panującego Monarchy, aby ich, jak to dawniej bywało, przyjął na służbę; co też otrzymali. Wnet uformowano z nich dwa pułki, które nazwano kozackim dunajskim wojskiem. Kiedy nakoniec wojska rossyjskie dotarły aż do Dunaju, wtedy Józef Gładki ataman koszowy zadunajskiego kosza, 8 maja 1828 r. ze wszystkimi Kozakami, pozostawiwszy prawie wszystkie ruchomości w siczy, na czterdziestu dwóch łódkach opuścili Turcyją i 20 maja rzucili się do nóg najlaskawszego Monarchy, który osobiście dowodził zwycięską armią. Przyjęci otrzymali przebaczenie i nazwisko oddzielnego zaporozkiego wojska. (Ukaz 27 maja 1828 roku).

Owóż w pół wieku po zniesieniu siczy na rzece Podpolny zmartwychwstali na nowo Zaporozcy, ale nie na długo, bo między ro-

kiem 1830 i 1832 darowano im prześcizne ziemie w jekaterynowo-sławskiej gubernii na brzegu Azowskiego morza, i nazwano kozackim Azowskim wojskiem. Jak Czarnomorcy tak i Azowcy już przestali być zakonem wojennym, a pożeniwszy się, są teraz na stopie wojenno-rolniczego towarzystwa.

Takie są losy owej drużyny, głośnej na południo-wschodzie Europy przez pięć blisko wieków. Przeżyła ona swoje najświetniejsze epoki wtedy, kiedy była potrzebną, a teraz już pod inną formą i z inną ustawą, odpowiednią potrzebie czasu i miejsca, ma jeszcze wiele wybitnych rysów swego oryginalnego życia, ale pomału owe rysy zatrą się, i spoczną w archiwach na pamiątkę ludzi i rzeczy.

Wojna polsko-tatarska (1683-1699) przetrwała w pamięci ludu jako jedna z najcięższych. W tym czasie Polska straciła połowę terytorium, a ludność zmniejszyła się o połowę. Wiele miast i wsi zostało spalonych, a ludność wywieziona do niewoli. W tym czasie Polska straciła połowę terytorium, a ludność zmniejszyła się o połowę. Wiele miast i wsi zostało spalonych, a ludność wywieziona do niewoli.

POSZUKIWANIA

DO HISTORII ROLNICTWA KRAJOWEGO.

Część trzecia.

Stan rolnictwa przed Kazimierzem Wielkim. — Podźwignięcie go. — Pojedyncze jego gałęzie: pszczolnictwo, rybołówstwo, łowiectwo, stada, rola, produkcja zboża, jego wywóz. — Urządzenia odnoszące się do rolnictwa po koniec wieku XV-go. — Rzut oka na wpływ ogólny prawodawstwa na rolnictwo.

I.

Rolnictwo jest koniecznością i warunkiem życia dla ludów wzrastających w liczbę, obierających stałe siedziby, a nie chcących żyć rozbojem. Ale pomiędzy rolnictwem, dla opędzenia pierwszych potrzeb do życia prowadzonym, a rolnictwem, mającym stanowić bogactwo i pomyślność narodu, jest przestrzeń niezmierna. Pierwsze żyje jak może, od dnia do dnia; drugie, aby zakwitło, potrzebuje bezpieczeństwa i pokoju, rękopmi dla mienia, pracy i osoby rolnika, opieki praw w stosunkach prywatnych i ogólnych. Opadają ręce, odwaga przedsięwzięcia ucieka, gdy owoce długich i ciężkich usiłowań, wystawione są na igraszkę dowolności. Rolnik ma do walczenia z przeciwnościami, jakie mu stawia przyrodzenie samo. We wstrząszeniach i burzy żywiołów, niejednostojnościach powietrza, znajduje często wroga, któremu niezawsze podołać jest w stanie. Choćby najhartowniejszą uzbrojony był wytrzymałością, upada jego odwaga, jeśli do tej walki z naturą dołączy się swawola, bezprawie, rabunek lub wojna. Zniszczony zasób rolniczy nie odnawia się łatwo: długie lata, często pokolenia składają się na jego zbieranie. Pomnaża się powoli: jedna chwila niszczy go z łatwością i znowu długich lat potrzeba, aby go do dawnego stanu przyprowadzić. A jednakże bez

tego zasobu rolniczego jakim są budowle, narzędzia, inwentarze, kroku zrobić nie można. Nietylko więc moralnie na duchu i odwadze upada rolnik nękanym przeciwnościami, ale skoro środki, narzędzia konieczne pracy, cały przybór warsztatu rolniczego niknie, pozostaje bez sił, a jego zawód wraca do niemowlęctwa. Znowu powoli musi krzątać się, gromadzić, a nieraz dopiero drugiemu pokoleniu zostawioném jest na nowo rozpoczęte dzieło do końca doprowadzić. Kiedy takie powroty złego są ustawiczne, nicomal stanem chronicznym, mowy już o wzroście rolnictwa być nie może, i trzeba energii ducha i natężeń woli, aby przetrwać złe czasy i z nową dzielnością wziąć się napowrót do dzieła w lepszej chwili.

W takim właśnie położeniu była Polska, kiedy rozdział monarchii osłabił jej siły, zwałił prawa, otworzył wrota zarazem domowym wojnom i łupieżczym napadom. Właśni książęta ubiegali się o nią wojną i podstępem: to najeżdżając zamki i ziemie, to nurtując władze przeciwników darami i przywilejami, które porządek prawny i polityczny kraju rujnowały. Wśród osłabienia, ze wszystkich stron cisnęły się tłumy najezdne, zapędzając lud w niewolę. Strykowski powiada, że dopiero po zawartém małżeństwie Kazimierza W. z Aldoną, córką Gedymina, Polska utrapiona osiedlejszą, ludniejszą i żyźniejszą być poczęła, bo przedtém większą częścią spustoszona i zwojowana od Litwy pogańców była. Mazowska przyległego także: dobrzyńskiej, lubelskiej, sandomierskiej, łeczyckiej, sieradzkiej, kaliskiej, kujawskiej ziemie, większa część bez ludzi, odłogiem, nieruszona plugiem leżała, dla ustawicznych najazdów litewskich. Wiadome są aż nadto krwawe z innych stron napady. Niemniej może nękaćcami były wielkie powinności publiczne: dziesięciny, stacye książęce, włóczęgi wojsko; urzędników, psiarni, sokołów i myśliwych nadużycia, jakich się dopuszczano. Usiłował je ukrócić Kazimierz jeszcze w r. 1180, ale niełatwo było ujęte złe wykorzenieć. „Za niedbalstwem i pobłażaniem pierwszych jeszcze książąt” mówi Kromer (1), „niecnotliwy o prawie pogański obyczaj między pany, szlachtę i między rycerstwo wdarł się był: że w drogę jadący, kiedy i kędykolwiek podobalo się im, urodzaje i sianożęci rolnikom wypasywali; a nie rżkąc paszą, lecz stacye wszelakiej żywności składać im nakazywali; abo więc sami do gumien, śpichlerzów, spizarni włamawszy się, przez gwałt wszelaką spizę zabierali. Na czém nie dosyć jeszcze mając, ostatki których zabrać nie mogli, z nicenoty rozrzucali, deptali, palili i jako mogąc

(1) Tłum. Błażowskiego, ks. VI, str. 145.

wniwecz psowali: bydło z paszy, konie ze stajen zabierali, z wozów i plugów wyprzęgali i do swój potrzeby używali, które potem zrobione albo też wynędznione odsyłali, a kiedy się podobało, tedy sobie przywłaszczywszy, na swą potrzebę zażywali.... A chociaż postęпки takie dosyć niecnotliwe, niesprawiedliwe, okrutne były, chociaż ludzie ubogie nieznośnie cisnęły, a wszakoż iż dawnym zwyczajem zastarzałe będąc, prawem niejako wspierały się i życzliwością potężniejszych, którym korzyść przynosiły, broniły, przetoż trudno bardzo odcinać było." Obwołano kłatwy na tych, którzyby podobne nadużycia popełniali za wpływem duchowieństwa, ale zaprzeczają niektórzy historycy Kromerowi, jakoby prawo jakie w tój mierze uchwalonóm być miało.

Upadłe w skutek tych zewnętrznych i wewnętrznych przeciwności rolnictwo, musiało szukać zasilku w ludziach, urządzeniach u tych samych Niemców, którym przodkowie nasi niegdyś za przykład w sztuce rolniczej służyli. Osiadali obcy koloniści, monarchowie sypali przywilejami wyłączającemi ich zpod ogólnego prawa lub przenoszącemi pod prawo obce. Na domiar więc złego przyłączyła się anarchia prawdziwa w stosunkach prawnych. Trafnie, a nawet niekiedy wymownie, to rozprzężenie, nieład stosunków wszystkich w czasach przed statutem wiślickim, kreśli autor „Polski w wiekach średnich." (1).

Z takiemito trudnościami walczyć musiało rolnictwo w XII i XIII wieku, a nawet do samego statutu wiślickiego. Dodawały mu krzepkości i siły odpornój jużto żywotność, którą tchną ludy młode, mające znakomitą przyszłość przed sobą, już wreszcie właściwy owym wiekom organizm społeczny. Jak zwróciliśmy w poprzednich częściach na to uwagę, posiadłości ziemskie rozpadały się na mniejsze i większe, zwykle średniej wielkości osady, do różnych klas ludności należące, zwykle dziedziczne lub wieczysto dzierżawne. Było więc mnóstwo ludzi, których łączyły z ziemią ścisłe węzły. Osadnik czasowy lub dzierżawca kilkoletni jak ptak przelatuje z gałęzi na gałąź, gdzie mu lepij i korzystniej. Osadnika właściciela lub wieczystego dzierżawcę łączą z ziemią stosunki nierozzerwane: przywiązuje się on do niej, wciela się w nią, żyje nią i w niej. Nie odstąpi jój w złej doli, nie opuści po klęskach i spustoszeniu. Nie szczędzi pracy i znoju, bo wie, że mu wyda owoce choć późne, choćby nawet dla przyszłych pokoleń. Do niczego więcj człowiek

(1) Tom III, str. 284.

się nie przywiązuje, jak do ziemi, skoro jej posiadanie jest mu zapewnionem. Do kawałka ziemi tak łatwo łączą się wspomnienia młodości i pamiątki rodzinne, że zwykle drzewa, wody, rośliny i człowieka co wśród nich wzrosł albo je wypielegnował, łączy jakby duch rodzinny, familijny. Ta dziwna miłość ziemi bywa nawet dla takiej, która ani pięknnością nie zachwyca, ani plennością nie obowiązuje: dla ziemi zupełnie nawet brzydkiej i niewdzięcznej. Co więcej, silniej przywiązują się ludzie do małych jej kawałków, niż do ogromnych obszarów, chociaż loicznie powinny być odwrotnie. Liczne doświadczenia przekonywają, iż nierównie łatwiej powstaje z upadku posiadłość mała, jak rozległa. Wielka, potrzebuje wielkich sił i zasobów; a te raz złamane i rozproszone, niełatwo się zebrać i skupić dają. Mała lub średnia, siłą jednej, dwóch lub kilku rodzin, może dźwigać się z gruzów i powoli do stanu dawniej pomyślności powracać; kiedy na wielkiej przestrzeni usiłowania pojedyncze giną, pozostają bez śladu, i odstrasza ją raczej jak zachęcają nikczemnością rezultatów. Wreszcie właściciel mniejszej przestrzeni ziemi, przywykł przestawać na małym, łatwiej znosi nędzę, pracę, niedostatek, klęski: pracę dźwigania się z niedoli łatwiej znieść potrafi.

Przeważającą liczbę takich posiadłości miał kraj naówczas, i tej bez wątpienia przyczynie należy przypisać tę sprężystość, z jaką złe dole ówczesne rolnictwo wytrzymało. Znajdujemy je nawet (o tyle, o ile to da się widzieć w pozostałych pomnikach) w XIII i początkach XIV wieku znakomicie czynne i zabiegłe. Puściło niejedną gałąź i niejedno źródło bogactwa rozwinęło. Jak na te czasy odległe, przedstawia postać tak kształtną i wyrobioną, tak mało śladów dzieciństwa na sobie nosząca, iż widocznem się staje, że długie już lata przeżyło, różne koleje i próby przeszło. Mimo wyraźnych śladów cierpienia jakie je dotykają, okazuje pewną czerstwość, i na różne gałęzie rozlewa swoje soki. W budowie i organizmie posiadłości wiejskich pokazuje się pewien porządek i systematyczność; w użytkowaniu z pól, wód, sianożęć, staranny ład. Sama praca, powinności i ciężary roztropnie są rozłożone; co jednakże nie odnosi się do ciężarów i powinności publicznych. Podział ziemi na mniejsze posiadłości niósł za sobą podział zatrudnień rolniczych; to też dzieli się wedle miejsca i potrzeb: tu jedno, tu drugie, tam kilka współcześnie się rozwija. Dopomagała do tego rozwoju licznych gałęzi rolniczych dziewiczość lasów, łąk, pól, stepów, w znacznej części kraju; ta pełność i obfitość okolic, długo w rękę matki natury zostających, i jak

dzisiejsza Ameryka, hojnie syjących swojemi przez wieki zaoszczędzonymi darami.

Kiedy dzielne ramię Łokietka i roztropność Kazimierza W. usunęły zawady zewnętrzne i wewnętrzne, które wzrost rolnictwa tamowały, wszystkie gałęzie jego dopiero bujnie zakwitły. Statut wiś. i bezpośrednio wiele zatrudniał się rolnictwem, i pośrednio znakomite oddał mu usługi, o których niżej powiemy, zwracając uwagę na wpływ i związek dawnego prawodawstwa z naszym przedmiotem. Nie samą jednakże ustawą rządu Kazimierza wpłynęły na podniesienie rolnictwa. Sprowadzanie osadników zdolnych i przemyślnych, zakładanie i podnoszenie miast, ożywienie handlu, sprowadzenie pokoju choć drogo okupionego, usiłowania do obudzenia przemysłu i fabryk, urządzenie sptawów, zakładanie wreszcie składów wewnątrz kraju na produkta rolnicze:—równie może jak sam godny wiekopomnej czci statut wiślicki wpłynęły na ten stan pomysłowości. Teraz dopiero rolnictwo rozbijało w rozlicznych kierunkach. Z natury podziału ziemi i stosunków kolonialnych i czynszowych wypływał, jak powiedzieliśmy, podział przemysłu rolnego. Rolnicy pojedynczy, całe osady i okolice brać się mogły i brały do takich zajęć, które im największe korzyści obiecywały. Na Podgórzu np. koloniści niemieccy siali luy, wyrabiali płótna i séry. Mieszkańcy gór, jak świadczą ich przywileje do dziś dnia dochowane, oddawali się pasterstwu i chowowi stad. Gdzieindziej powstawały lub urządzały się osady bartnicze, łowieckie, rybackie, zbożowe i t. d.; większe własności hodowały liczniejsze stada i obszerniejsze łany zbóż. Było miejsce na wszystko i dla wszystkich. Dlatego ówczesowe rolnictwo dzieli się na kilka gałęzi, w których rola i produkcyja zboża nie gra wyłącznej a nawet głównej roli; składa się z cząstek drobnych, których summa dopiero jedną całość stanowi. Rzucimy pokrótce okiem na każdą z nich w szczególności: jużto dlatego, że każda ma swój osobny bieg, jużto, że wznoszenie się lub upadek jednych lub drugich, wskazuje zarazem bieg ogólny rolnictwa i zmianę systemu rolniczego.

III.

Ulubioną a razem ważną gałęzią przemysłu rolnego było od dawna pszczołnictwo. O jego rozpowszechnieniu w pierwiastkowych wiekach przekonywa danina bardzo używana i w mnóstwie przywilejów zastrzegana, pod nazwą *donica* (*urnamellis*). Utrzymywała się ona tak długo, dopóki system czynszów i danin przez pańszczy-

zmiany zastąpionym nie został. Przytoczyliśmy w poprzedzających częściach przykłady, że bartnictwo osady całe zatrudniało w XIII i XIV wieku. Statut wiślicki zajmuje się nim, stanowi sposób dochodzenia kradzieży pszczół, i ustanawia kary na podcinających drzewo z barciami (1). W XVI wieku przemysł ten mniej ważną zaczyna grać rolę w całości kraju, ale cofa się w pewne części jego i okolice. Są ślady, że pszczolnictwo w lasach Mazowsza i na większą stopę się rozwinęło i dłużej przetrwało. Zajmująca ludność Kurpiów długo niem i myśliwstwem głównie się zatrudniała. W statutach mazowieckich pod r. 1401 spotykamy dokładnie opisane obowiązki bartników. Starostwo przasnyskie miało nawet wyłączne prawo bartne, które p. Wojcicki w Bibliotece Starożytnej ogłosił. Ciekawy ten zabytek jest z r. 1559. Mowa jest w nim tylko o leśnym czyli dzikiem pszczolnictwie; gdzieindziej spotykamy ślad, iż ono było dwojakie u nas: domowe i dzikie. Wspomina o tém Opaliński (2) nadmieniając, iż w Koronie starannie się z pszczołami obchodzą; przeciwnie w Rusi, gdzie ich wielka jest mnogość, bardzo niedbale. Ogradzają plac na polu, mieszczą w nim ule, a wśród tych próżne do przyjęcia nowych rojów. Gdy czas podbioru przychodzi zabierają miód, nieco dla wyżywienia pozostawiwszy. Ogromne złąd mają zyski. Powiada dalej tenże Opaliński, iż zna w tamtych okolicach pewnego właściciela dóbr, który od poddanych dziesięciny miodowej pobiera tysiąc beczek (cados), beczka zaś sprzedaje się niekiedy po dziesięć czerwonych złotych.

Statut lit. z roku 1529 zatrudnia się troskliwie bartnictwem, a mianowicie leśnym; co dowodzi, że Litwa miała wówczas tę gałąź przemysłu. Dozwala bartnikom w cudzych lasach mającym barcie drzewo brać na bartniczy użytek. Przy wycinaniu puszczy, drzew bartnych ruszać nie dozwala. Za zepsucie bartnego drzewa naznacza kary. Za wydarcie pszczół niepodbieranych, czyli jak tłumacz mówi *nie łażonych*, kładzie winę większą, podbieranych mniejszą. W opiece swojej dla pszczolnictwa, nawet około stojących na polu drzew pojedynczo a mających pszczoły, nie dozwala blisko orać, aby nie schły (3). Prawa koronne po statucie wiślickim niewiele zajmują się tym przedmiotem. Konstyt. z r. 1420 (4) stanowi, iż kmięć barci w cudzym lesie mający, daninę panu owego lasu dawać powinien. Konstytucya z roku 1550 wspomina jeszcze także o barciach

(1) V. L. 1. st. 17 i 47. (2) In Pol. str. 670.

(3) Zbiór Działyń. st. 329 i dalsze. (4) V. L. 1, str. 80.

leśnych; nie widać jednakże, aby pszczolnictwo w XVI wieku na większą stopę utrzymywało się, zwłaszcza w Koronie. Daniny miodowe ustają; w lustracyach i inwentarzach z czasów Zyg. Augusta nie masz już o pszczolnictwie mowy, ale w spisach wywożonych płodów krajowych, jeszcze w XVII wieku ważne miód i wosk zajmują miejsce. Konsumcya téż wewnętrzna miodu zdaje się być bardzo znaczna. Główném siedliskiem w owym czasie pszczolnictwa były: Ruś, Podole i Ukraina. Rzączyński powiada (1), że na Podolu nietylko w lasach, drzewach, ale w brzegach wód, w ziemi prosto mnożą się pszczoły. Wędrownie roje niszczą wieśniacy, aby nie psuły starych osiadłych rojów; a z powodu żyzności ziemi, wonności ziół i obfitości kwiecica, doły całe w ziemi zapełniają pszczoły miodem, tak, że ogromne niedźwiedzie, które się dostaną do nich, z obżarstwa padają. W bliskości Kamieńca, mówi tenże, 12 ulów w ciągu jednego roku wydało 110 rojów, z których 40 zachowano, resztę zniszczono, aby nie mieć ubytku w miodzie. Na Ukrainie niejedyn osadnik 100 pniów pszczół posiada. Cellaryusz już w połowie XVII wieku piszący, mówi jeszcze o wielkiej obfitości w kraju miodu i wosku, któremi zapewne te prowincye, tak resztę kraju jak potrzeby handlu zagranicznego zaopatrywały; bo, jak powiedzieliśmy, w Koronie już wówczas pszczolnictwo niknęło.

Można wnosić, iż przerzedzenie i zniknięcie licznych lasów, ubytek małych własności, system pańszczyzniany i przewaga gospodarstwa zbożowego, tę zajmującą i korzystną gałąź rolniczą usunęły w okolice, w których stosunki miejscowe więcej były dla niej przyjazne.

III.

W epoce, w której dochody z ziemi nie były wprost ciągnięte przez właścicieli obszerniejszych włości, kiedy czynsze i daniny większą stanowiły część dochodów: nie zaniedbywano pobocznych gałęzi przychodu z dębr, starannie pielęgnowano i rybołówstwo. Pełne są dawne dyplomata zastrzeżeń, wyjątków, przedaży, nadań do niego się odnoszących. Niektóre z nich zatrudniają się najdrobniejszymi szczegółami: oznaczają ściśle granice rybołówstw, rodzaje sieci, sposoby któremi łowić dozwalano; są takie, które tylko łowienie wędą zastrzegają (2). Ta drobiazgowość zastrzeżeń dowodzi, iż do tego

(1) Str. 257.

(2) Kod. Dyp. War. Tom I, N. 56. *Contullmus etiam sibi lacum qui est in villa us nullus in eodem lacu audeat piscari nisi vadendo.* Tamże nr. 86: ve-

źródła dochodu pewną woźność przywiązywano. W mnóstwie przywilejów czytamy wzmianki o rybakach po wsiach i klasztorach, wyłącznie temu zatrudnieniu oddanych. Później, kiedy włości wielkie wzrosły i gospodarstwo stawowe się podniosło, właściciele rozporządzając mnóstwem ludności rolniczej, mogli kopać stawy, sypać groble, których do dzisiaj ślady pozostały, zadziwiając nas nieraz swoją liczbą i ogromem. Kromer wspomina w swoim czasie o niezmierniej ilości stawów i sadzawek sztucznie robionych i sypanych (1): „pro lacubus minor Polonia, Silesia, Russia ac Podolia piscinas habent arte manuque factas permultas et grandes.” To trwało jeszcze za czasów Rzączyńskiego (2): „piscinae minores plane innumerae” powiada on. Jakie ogromne dochody przychodziły ze stawów i wód, mówi Opaliński (3): „Spuszczone stawy po trzech latach, chociaż tanio ryby się sprzedają, często 10, 15 do 30,000 złp. przynoszą.” Ruś Czerwona prowadziła znaczny handel solonemi rybami, w które ogromnie obfitowała, jak świadczy Cellaryusz. Wszyscy opisujący kraj w XVI i XVII wieku uważają go za nader bogaty w ryby. Później, z upadkiem ogólnym i wyludnieniem, stawy zaniebane ponikły, lub dla pomnożenia łąk poznoszone zostały. Gospodarstwo rybne upadło, i dziś obfitością ryb pochwalić się nie możemy. Strojnowski w r. 1699 wydał ciekawą książkę o gospodarstwie stawowem, z której pokazuje się, iż ta rzecz umiejętnie i systematycznie traktowaną była.

IV.

„Polowanie“, mówi Czucki (4), „było uważane za obiekt zabawy i za obraz wojny”; dodamy, że w pierwiastkowych mianowicie czasach za ważne źródło dochodów. Długosz (5), Naruszewicz (6), Bandtkie (7), mówią, iż wolne użytkowanie z lasów, wolne wszędzie polowanie były uważane za prawa monarsze, i że nie było wolnem myśliwstwo prywatnym we własnych nawet dobrach, wyjąwszy tych, którym to przywilejami było dozwolone. Nie spotykamy jednak nigdzie w dzie-

rum etiam piscationis usum cum rell parvulo prosequantur. Tamże tom II nr. 281: Alli vero kmethones quorum mansus eidem lam contingit vadendo rell aut hamo piscabuntur. Tamże nr. 305: Cum tribus gulgustris quartis et sextis ferlis piscari, quae vulg.: *Wanczerze* nuncupantur.

(1) Pol. k. I. (2) str. 162. (3) ibi. (4) T. II str. 253.

(5) I. str. 801. (6) T. I, k. 3. str. 256. (7) Hist. Pr. P. str. 143.

jach, aby się monarchowie zrzekli tego prawa, a jednak ono w XIII i XIV wieku już nie istniało. Wprawdzie w licznych przywilejach nadają lub wyłączają prawo polowania; ale te same zawarowania znamionują, iż to prawo albo nie istniało nigdy w dobrach prywatnych, albo wówczas już upadło. Raczejby je odnosić można do dóbr monarchicznych prawem lennem nadawanych, do osad w puszczech książęcych zakładanych. W najdawniejszych także przywilejach spotykamy daniny futer (aspergillów, asperiolów). Zwykle daniny wszelkie pobierane były z tych przedmiotów, jakie znajdowały się na terytorium, na którym osadzeni byli rolnicy. Obok monopolu monarchiego i rozciągłości, jakie nadają historycy prawu leśnemu, taka danina istniećby nie mogła. Oprócz tego były pewne kary sądowe z futer składające się, co również mówi przeciw owemu mniemaniu prawu leśnemu. Zwrócił już na tę materią uwagę p. Maciejowski, wskazywał z innych jak tutaj powodów niepodobieństwo tego monopolu i domyślał się, że prawo tak zwane leśne inne miało znaczenie (1). W XIII i XIV wieku już zarówno prywatni jak monarchowie, zarówno świeccy jak duchowni, to w nadaniach, to sprzedażach, zastrzegają, ustępują całkowite lub częściowe polowania, zgola rozporządzają niemi jak czystą własnością. To także pewna, iż panujący utrzymywali niezliczoną liczbę myśliwców, wielkie psiarnie, które w domu i podróży rolnicy żywili. Do nich jeszcze należało pilnować gniazd sokolich, łapać uciekle i karmić; koni, naganiaczów i sieci dostarczać. Niektórzy z książąt, jak Mieczysław III wykonywali tak surowo prawo polowania, iż kto ubił zwierza, był pociągany do sądu jako winowajca obrażonego majestatu, i skazywany na 70 grzywien lub utratę majątku (2). „Doległo szlachcie, mówi Kromer (3), częstokrotne myśliwstwo Bolesława Wstydliwego, albowiem kiedykolwiek na łów zjechał, wszędzie szlachta psy książęce wyżywiać, koni samemu i łowcom i podwody z osobna dawać koniecznie wszystko musiała.” Powoli zaczęto przywilejami zwalniać od tych uciążliwości lub część ich tylko zastrzegać. Niekiedy takie zwolnienia bardzo racjonalnymi powodami są objaśniane. Przywilej Konrada ks. mazowieckiego (4), nie każe łapać sokoła leśnego, który zginie, bo powiada przywilej, „ptak równie jest swobodny w powietrzu jak ryba w morzu.” Inny

(1) Pamiętniki, tom II, str. 180 i 238.

(2) Dług. I, str. 524. Band. Hist. Pr. P. 144.

(3) Tłum. Bł. k. IX, str. 213.

(4) Nar. T. IV, ks. III, str. 377, przyp. 52.

przywilej fundacyjny klasztoru w Lubeniu z r. 1178 (1), uwalnia od wszelkiej posługi myśliwczej (ab omni conservatione equorum, canum, falconum, aucupum, venatorum); aby nie zdawało się, iż rzeczy święte obracają się na psów, i aby dobytek Bogu oddany, niegodnie nie był zużywany. Jednakże jeszcze w nadaniach z XIV wieku spotykamy zastrzegane posługi myśliwcze, choć mniej uciążliwe jak dawne. Przywilej Ziemowita (2), mówi: „Strzelców mieszkańcy mają żywić i wezwane od nich ad custodiam ferae agitandis quae dicitur *przelaya* ire tenebuntur.” Niektórzy prywatni z tegoż czasu nadając prawo polowania, zastrzegają sobie część czwartą zwierzyny (3): jak hrabia Mikołaj dziedzic z Moszny pozwalając łowów na zajęce, kuropatwy i bażanty. W niektórych nadaniach wyjmowane jest czyli zastrzegane dla nadającego polowanie grubego zwierza, w niektórych polowanie tura (4). Inny przywilej z r. 1350 (5), udziela polowanie na sarny i jelenie: „magnis feris aliis omnibus pretermisiss”, których polowania zupełnie zabrania.

Z tego wszystkiego widzimy, jak pilnie strzeżono i jaką wagę przywiązywano do prawa polowania. Dziewicze puszcze, liczne zarośla i bagna, jakich wówczas domyślać się można, musiały obfitować w rozliczną zwierzynę. Jednych ceniono futro, innych mięso. Są ślady, iż było dawniej pełno zwierza i ptastwa, które dziś wcale się tutaj nie znajdują, które popchnęły w inne okolice i strefy: zaludnienie, wycięcie lasów, osuszenie błot i zmiana klimatu. Oprócz tura, o którym jeszcze w XVI wieku są wzmianki w puszczech Mazowska, Łosie, o których Rzączyński mówi, cofały się na Litwę. O bobrach mówi tenże Rzączyński, iż są w niektórych rzekach Polski, Wołynia, Rusi, Mazowska i Prus, ale w małej liczbie; piękniejsze i liczniejsze na Litwie w wodach Kobryni, Łoni, Wietki, Niemna, na Polesiu w Pinie, Jesioldzie, Kobjry, Prypeci, Sławecznie i t. d. O bażantach wspomina także Rzączyński, ale już jako o rzadkości (6); tymczasem w przywilejach z XIII i XIV wieku niejednokrotnie są wzmian-

(1) U Sommersb. T. I, p. 894.

(2) Spis chronologiczny dyp. oryg. w M. S. G. Ar. r. 1353.

(3) M. S. G. Ar. No. 1055. (4) Ibi. r. 1359. No. 25.

(5) Kod. Dyp. Wiel. Pol. No. 92.

(6) Str. 304. Ex Ungaria et Bohemia ad nos phasianallati Białowlezenssem silvam in Lithuania estate toda incolebant; ante hlemem praeter alias artes accipitrum unguibus diminutis atque attritis comprehensu reddebantur suis receptaculis. Et silva Zielona puszcza phasianos habere dicitur a saturatis eorum carnibus.

ki o nich (1). O bobrach tamże nieustannie jest mowa. Obfitowały w nie nietylko rzeki większe, ale małe strumienie, stawy i bagna. Spotykamy je w Nerze, Pilicy, Warcie, w rzekach Łuciąży i Czarny (2), w rzece zwanéj Lompnica (3). Czacki mówi, że XIIIgo wieku przywileje świadczą o exystencyi urzędników bobrowych nad Nidą, Narwią, nad któremi zabytków nawet teraz nie masz, przebywania bobrów. Wspomina o rejestrze bobrów z r. 1229 w księztwie mazowieckim: „widać w tym rejestrze” dodaje „że te bobrownie były porządne i tak dobierano stada, aby były jednego koloru; szczególnież za Pułtuskim było *nigrinos castores* 251 na dwór książęcy; z nich wybrano 10, na sprzedaż 50, *ad restantiam et proliferationem* reszta.“ Polów bobrów tak zdaje się był powszechnym, że go nawet w ogólnej formule przy sprzedaży dóbr zamieszczano (4). Prawa koronne nie mówią wcale o bobrach i bobrownictwie, ale statut litewski w wielu względach dokładniejszy i porządniejszy, rozciągnął nad niemi opiekę. Umniejszając się powoli, nareszcie ginąć zaczęły, a do dziś pamiątka ich pozostała w nazwie niektórych wsi.

Tak samo stopniowo i częściowo z umniejszaniem się puszczy i zwierza, z rozszerzaniem praw wolnego użytkowania z polowania, z postępem wielkiego rolnictwa i przybytkiem ważniejszych źródeł dochodów, łowy przestawały być gałęzią gospodarstwa i źródłem intryty. Tém więcéj się to przyspieszało, że nie spotykamy przepisów policyjnych i ochronnych co do zwierzyny i polowania. Surowe prawa strzegły tylko dowolnego myśliwstwa w cudzych kniejach; strzegły, aby psiarnie, konie i myśliwi nie polowali w zbożach przed ich sprzętem: na tém się ograniczała cała ich troskliwość. Ochroniano owszem ptaki drapieżne dla łowów, a lisy dla futer. Pod karą 14 grzywien niewolno było liszek młodych zbierać (5). Polowanie stawało się coraz więcéj zabawą pańską, ćwiczeniem rycerskiém. Przy rzadszéj zwierzynie psiarnie, sokoły, rorogi i drzemliki, najeżdżaczo

(1) K. D. W. T. I, N. 65. M. S. A. G. N. 1127.

(2) K. D. W. T. I, N. 56. (3) ibl. T. II, No. 41.

(4) Pisano jak np. w przywilejach z r. 1257 i 1253. (K. D. W. T. I, N. 46 i tamże N. 42): *Contulimus villas infra nominatas cum omnibus suis utilitatibus et pertinentiis, molendinis videlicet, tabernis, cum pratis, nemoribus, piscationibus et venationibus castorum et aliarum bestiarum et si que allae sunt commoditates. „Terris cultis et incultis, stagnis, rivis, pratu, poseuls, paludibus, lacubus, silvis, rubetis et nemoribus, mellifectis quoque et liberum jus piscandi, castoris in stagui capiendi et venandi etc.*

(5) 1557. V. L. 2, str. 608.

i strzelcy były przedmiotem okazałości, przepychu, próżności, niekiedy przyczyną upadku fortuny, a nie źródłem korzyści. Mierne myśliwstwo, jak mówi: „Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze” potrzebowało 8 koni, myśliwców 3, szczerwaczy 3, na wspór 2, w kniężę za psy 2, chartów smycz 4, ogarów słór 15, i chłopów w domu gotujących psom i opatrujących konie.

Ale zamiłowanie do łowów utrzymało się zawsze; polowali monarchowie, prałaci, panowie i szlachta. Z jakążto lubością mówi Rej o polowaniu z sokołem. Chrapowicki starannie zapisuje w swoim Dyaryuszu, ile razy był na polowaniu; a bywało to często. Któż nie pamięta uciesznych wypraw na łowy Paska? Księciu Radziwiłłowi wymawiał ksiądz Marek, że się więcej troszczy o swoje niedźwiedzie w Nalibokach, niż o los Rplitěj. Polowali więc wszyscy, bo to było zwyczajem, nałogiem, potrzebą, rozrywką, ćwiczeniem; ale nikt się nie troszczył o zachowanie zwierzyny od wytepienia, i zdaje się, że nikt nie przypuszczał, aby jēj kiedy braknąć miało. Wszyscy zresztą zanadto wiele mieli, aby się troszczyć o ubytek tēj jednej gałązki dochodu wiejskiego.

V:

Chów stad wyprzedza zwykle rolnictwo. Pierwszym jego początkom towarzyszy w większych rozmiarach, lecz z rozszerzeniem uprawy ścieśnia się, i dopiero z prawdziwym jego postępem i systematycznym rozwinięciem, odżywa w zmienionėj postaci chowu udoskonalonego, ras kształtnych i upięknionych. Do chowu stad dziko potrzeba stepów, a te mają tylko kraje nawpół zaludnione i nawpół uprawne. W braku stepu potrzeba przynajmniej znacznych obszarów zarośli, łączysk, błon, puszczy z bujnemi trawami. Mimo widocznych śladów posuniętej dosyć wysoko kultury rolniczej w wiekach XII i XIII, musiało być jeszcze dosyć miejsca dla chowu stad dziko, sposobem stepowym, bo taki wówczas spostrzegamy w zwyczaju. Trwa to jeszcze w wieku XIV, jak tego ślady dostrzegać się dają w statucie wiślickim. Spotykamy oprócz tego przywileje, w których jest mowa o stadach przy sprzedażach, darowiznach, nadaniach (1). Inne urządzają prawo pastwiska, ograniczając je lub rozprzestrzeniając (2). Inne wreszcie przy zakładaniu nowych wsi osadzają pasterzy i nadają im role oddzielne, pod nazwą *skotnicy*. Znajdujemy ślady na-

(1) K. D. Wlel. Pol. Nr. IV, r. 1234. (2) K. D. War. T. 1. Nr. 126.

wet, iż chów stad dochodził niegdyś rozmiarów znacznych. W wyroku pomiędzy biskupem kujawskim, a panem z Gdańska, wycytujemy, iż ten ostatni w sporze o posiadłości zabrał w dobrach biskupich 177 koni, 229 klaczy, 69 źrebców, 575 wołów, 1176 krów, 3174 owiec, 1260 wieprzów (1). Trudnoby było pogodzić tak wielkie rozwinięcie chowu stad, jakiego dawniej liczne ślady spotykamy, z przeważającym w owych czasach systematem małej uprawy, gdyby się nie zwróciło na to uwagi, iż chów dziki, stepowy, stoi niejako za obrębem rolnictwa, i nie jest z nióm w ścisłym związku. A lubo klimat nie dozwolił u nas, jak w innych krajach, hodować stad przez cały rok pod gołém niebem i na naturalném pastwisku, za to sionożęcia zwykle obfite w ziemi wilgotnej i puszciami poprzeryzanej mogły temu zaradzić. W owych odległych czasach osadzone były wsie pasterskie, wyłącznie temu zatrudnieniu oddane w miejscach mu przyjaznych. O wsiach wołoskich pasterskich wspominają jeszcze uniwersały poborowe z XVI wieku. Góralskie kraje od Piastów jeszcze posiadają do dziś dnia przywileje, z których, jak mówi p. Zejszner (2), pokazuje się, iż jedna i ta sama rodzina przeszło 500 lat uprawia grunta swoich przodków, i na tychże holach swoje barany pasie. Statut wiślicki kilkakrotnie powraca do materji stad dziko chowanych, i rozciąga opiekę nad tą ważną, a podobno jedną z najważniejszych wówczas gałęzi przemysłu rolniczego. Ustanawia kary za uszkodzenie lub zabicie koni stadnych, urządza wypasy wieprzów w lasach na żołędziach i buczynach; zaleca wreszcie, aby stada koni od wigilii św. Wojciecha do wigilii św. Michała pod strażą były paszone (3). Z czasówto Kazimierza Wgo są pierwsze wzmianki o stadach wołów przybywających z Polski do Wrocławia, w taryflach celnych tego miasta (4).

Ze zmianą systematu rolniczego i postępem wielkiej uprawy, chów stad nie zmniejszył się, ale uległ także zmianom. Chów dziki cofnął się w okolice stepowe. W Wielkopolsce, Małopolsce i Prusach z wzrostem fabryk sukiennych powiększył się chów owiec (5). Hodowanie koni wydoskonalilo się, lubo liczba ich, zdaje się, nie musiała być i tak wystarczająca, bo w XVI w. zakazano ich wyprawiania, a dozwolono wprowadzać, mianowicie z Węgier. Wychów wołów i handel nimi za granicę w XVI i XVII wieku nabrali ogro-

(1) K. D. War. T. II, Nr. 23. (2) W przedmowie do Pleśń Podhalan.

(3) V. L. I, str. 46, 47. (4) Wład. o staule han. i przem. w Pol.

(5) Rzączyń, str. 243.

mniej rozciągłości. Zaświadcza to Kromer w wyrazach ogólnych, twierdząc toż samo i o koniach (1). Potwierdza go Krasiński (2) dodając, iż rozchodzą się wysyłane z kraju woły po Niemczech, Czechach, Morawii. Starowolski pomiędzy przedmiotami handlu wywozowego liczy owce, woły, wełnę i konie (3). Według Opalińskiego i Cellaryusza (4), ilość wyprowadzonych wołów 60,000 przechodziła, a dawniej więcej jeszcze. Konsumowano ich niemało w miejscu, bo, jak Kromer mówi (5), zwyczajnem pożywieniem ludu za jego czasów było mięso, którego sprzedaż była powszechna po wsiach, przed kościołami, nawet po parafiach w dniu świąteczne. Rzączyński przytacza ciekawe wiadomości o obfitości mięsa, wołów i o handlu nimi. Opierając się na Heneliusza *Sileziografii*, powiada, że Brzeg miasteczko było miejscem sławnych jarmarków na woły, na których 10 do 12,000 z Polski bywało. Jarosławskie jarmarki miewały przeszło 40,000 wołów do sprzedania. Za Beckenmajerem mówi tenże autor, iż ich do 80,000 rocznie z kraju wychodzi, i że obfitością mięsa jaką kraj posiada, ilością jaką dostarcza i zużywa, przechodzi wszelkie inne. Według niego Ukraina i Podole prześcigały inne prowincje w chowie stad, bo tam i chłopom wolno je było hodować w żyznych i obszernych stepach. Ułatwiała chów tamtejszych stad nietylko bujność i obszerność pastwisk, ale i to, że tylko przez dwa zimowe miesiące potrzebowały być karmione; resztę zimy żywiły się same odgrzebując śnieg kopytami. Niemniej obfitowała w stada część Prus. Można się domyślać, iż rozległy i łatwy wychów bydła na Ukrainie i Podolu, przewyższająca rasa, wpłynęły na upadek chowu bydła w Koronie i na zaniedbanie tej ważnej gałęzi rolnictwa i bogactwa krajowego. Ale to nastąpiło dopiero z zupełnym upadkiem rolnictwa.

Wychów koni jeśli nie doszedł nigdy tej rozciągłości, jak owiec i wołów, wygórował za to tamte swoim udoskonaleniem. Ta jedna gałąź hodowli, traktowana była *con amore*. Zachęcały do niej: sposób ówczesny wojowania, obowiązek powszechny służby wojennej; ułatwiały ją stosunki ze Wschodem, a przeto obfitość czystych orientalnych zawodników, które w wielkiej liczbie sprowadzano; popychały do niej korzyści, miłość przepychu i potrzeba. Kraj, w którym każdy obywatel służyć musiał konno, nie mógł się obejść bez wielkiej liczby koni; nieładajaki rumak mógł wystąpić w pole przeciw jeździe tureckiej, ścigać po stepie Tatarów, i mierzyć się

(1) Pol. str. 142. (2) Lib. II, cap. XIII. (3) Pol. 470.

(4) Descrip. R. P. p. 503. (5) De situ Pol. L. I, p. 133.

z ogromnemi fryzami niemieckimi, unieść zbrojnego w żelazo rycerza. Musiano więc cenić, ubiegać się i usiłować osiągnąć rasę, łączącą zarazem dzielność, siłę i rącość. Zmieszaniem z rasą wschodnią, tą rasą uprzywilejowaną od natury, która ma wyłączną własność uszlachetniać i podnosić inne, zdaje się, iż ten cel osiągnięto. Wyższość koni tureckich poszła nawet w przysłowie u nas: „źrebie tureckie, wyżłę niemieckie, chłopię szlacheckie najlepiej chować“, mówi Gospodarstwo jezdeckie, i radzi innych do stada nie używać. Miciński, koniuszy Zygmunta Augusta, powiada, iż stada tego króla składały się z tureckich, perskich, arabskich ogierów, a klacz polskich. Mikołaj Radziwiłł z Archipelagu także sprowadzał konie do nich. Zygmunt August robił wszelkie usiłowania do rozmnożenia stad, a instrukcja jego wydana w tej mierze, jak mniema Czacki (1), nacechowana jest troskliwością i niepospolitą światłem. Opat Ruggiero opowiada, iż w Knyszynie miał król stada najpiękniejszych koni (2); że oprócz polskich, widzieć tam można było tureckie, neapolitańskie, hiszpańskie dzianety i zawodniki. Tenże sam autor powiada, iż konie polskie, acz niezbyt rosłe, są pełne ognia, prędsze nad konie tureckie, a nierównie piękniejsze i zwinniejsze jak konie niemieckie. Błażej de Vigenerre pisze, iż widział pod Warszawą 10,000 rycerzy, których każdy koń z siedzeniem swoim, wart był więcej 1,200 szkodów; bez wątpienia wiele z nich musiało być konie wschodnich, kiedy im podróźny ten naznacza taką cenę. Gratian w życiu Kommendoniego zaświadcza również o sprowadzaniu częstym do Polski zawodników z Tracji i Włoch. Beauplan toż samo twierdzi, mówiąc, iż hussarzy konie są zwykle tureckie lub natolskie. Tęmto ciągłym mieszaniam krwi wschodniej podniesiono zapewne rasę krajową, i otrzymano te zalety, których cudzoziemcy w koniach polskich podziwiali. Ceniono w nich mianowicie ogień, rącość i wytrwałość. Heresbach, słynny pisarz rolniczy XVIgo wieku, za najszlachetniejsze rasy koni uważa: hiszpańską, neapolitańską, sarmacką, peloponezką, turecką, tessalońską (3). Rzączyński przytacza Puffendorfa, który mówi, iż Wiltenberg, dowódzca Szwedów w Polsce, mawiał do swoich żołnierzy, aby w ściśniętych szeregach się trzymali, bo rozproszonych pewna zguba czeka, i w ucieczce, aby nie szukali ocalenia, bo konie polskie każdego dościgną (4). Kromer i Krasiński uważali, że w najodleglejszych kra-

(1) Tom II, str. 239.

(2) Inny podróźny tegoż wieku, liczy ich 2,000 z których, powiada, że 000 sam oglądał. (3) Rel rust. li. IV, Col. 1573. (4) Str. 240.

jach poszukiwane były one dla właściwych im zalet, bo hiszpańskim mało ustępowały w piękności i szybkości, a trackim w sile. Za czasów Kochowskiego, Ruś posiadała największą liczbę koni do wojny zdatnych. Widać, że zabiegłość i usilność o chów dzielnych koni musiała już słabnąć wówczas w Koronie, tak jak słabła we wszystkich innych gałęziach gospodarstwa.

Świadczenia powyższe pokazują, iż oprócz małej liczby hiszpańskich i neapolitańskich zawodników, o których niekiedy jest wzmianka, najwyżej ceniono i najwięcej używano konie wschodnie. Miejscowa rasa powstała, podniosła się i uszlachetniła, właściwych cech i zalet nabrała, zmieszaniami, a raczej nieustannem mieszaniami z tą krwią. Jéjto winni byli przodkowie nasi owe dzielne zawody koni, o których dzisiaj już tylko w historyi i tradycyi ślady pozostały. Czy terazniejsze zamilowanie do koni angielskich, potrafi znowu podnieść upadłą rasę krajową, i wydać nową, któraby zaletami i pięknością, wyrównywała zaginioną? jestto zagadka, którą czas dopiero rozwiąże.

Do wykształcenia tak szlachetnej dawniej rasy koni polskich, przyczynił się nader staranny i umiętny chów. W starém, rzadkiém i szczególném piśmie, pod tyt.: Gospodarstwo jezdeckie, strzelece i t. d., zachowane są prawidła chowu źrebca, którym nie zarzucić nie można, a które nawet wielce są podobne do tych, jakich się trzymają obecnie w Anglii. Oto są słowa autora: „Żrzebięta tego-roczne mają przy klęczach do św. Marcina być, a potem do stajnie, nie na uwiązanie, ale na wolne chodzenie niech wegnane będą. W której drabi do siana i żłoby do owsa i obora dobra, dobrze ogrodzona, miernie szeroka przy niej: a do niej, ze stajni zawsze otworzone drzwi, aby z obory do stajni, z stajni do obory, wedle woli mogli przechodzić się. Bo jako koń bez przejazdki swój na nogi psieje, tożby się i źrebcowi, na którym jeszcze nie jeżdżą, od stania stało. A w onej źrebce stajni, siana dostatek za drabią: a owsa na czterech warszawski korzec z półkorcem do niego umieszanej siczki. Wody ktemu albo cebrem, albo przypuścić rynną, dwa razy przez dzień. A tak w onym wolnym, osobliwym zamknięciu, słomą gesto usłaném, a od wiatru albo zimna uciszoném, mają do św. Wojciecha być, a potem w trawę do swój osobnej, a bez klacz, ogrodzonej, aby ich ze stada koń nie pochromił, i bez waśnienia potężnie rosły, które na dzień św. Szymona, do onej stajnie zasie; i tak rok po roku, aż im już na trzeci rok pójdzie, w którym na nowe lato niech połapane, i na stanie w uździenicach pod guniami w przeworach postawione będą, które do pół postu

niech chędożą, zakrywają, siana dostatek, owsa obrokiem im zwykłym dają, kleszczą i t. d.”

VI.

Rola, jej uprawa, hodowanie na niej zbóż i roślin, jest pierwszym przedmiotem zabiegów rolnika; jemu samemu i jego powołaniu nazwiska od siebie użycza, i nieomal zawsze główną podstawę gospodarstwa wiejskiego stanowi. Są jednakże stosunki i okoliczności, w których właściwe rolnictwo zstępuje na stanowisko podrzędne, i usuwa się przed korzystniejszymi sposobami ciągnięcia dochodów z ziemi. Niejednokrotnie grunt siewny zamieniony na sztuczne łąki i pastwiska, lub pozostawiony swój przyrodzonej żywności, przez wychów stad nierównie większe zyski przynosi. Dzieje się to mianowicie w bliskości wielkich i ludnych miast, znacznych ognisk przemysłowych, wielką ludność skupiających. Dzieje się również tam, gdzie brak rąk do pracy, dróg handlowych do odpływu zboża, gdzie brak ognisk skupiających w sobie wielkie masy ludzi, gdzie wreszcie rolnictwo i stan społeczny są w dzieciństwie. W niektórych miejscach Anglii uprawę zboża poświęcają korzystniejszej produkcji mięsa na roli, zamienionej w pastwiska, podobnie jak na żyznej ale zdradzieckiej Kampanii wokoło Rzymu. Tak samo stepy Ameryki południowej, zamiast zbóż i roślin produkują mięso i skóry. Ukraina w XVIII wieku na stepach braclawskich i kijowskich chowała ogromne stada bydła, z których większe wysyłano na handel, a jałownik szedł na rzeź dla skór i łoju. „Do roku 1802, to jest do czasu urządzenia przystani w Odessie, nastęrczał chów bydła jedyny prawie środek do zyskania dochodu z ziemi stepowej, którą wolarzom najmowano, a to w tak niskiej cenie, iż nad Jahorlikiem i Kodemą najać można było milę kwadratową ziemi za złp. 1,000 (1).” Tak więc niekiedy najwyższa cywilizacja i barbarzyństwo schodzą się z sobą w swoich wypadkach. Ten fenomen zarówno w świecie moralnym, jak na polu ekonomii dostrzegać się daje. Wygórowana cywilizacja dochodzi często do zboczeń w obyczajach i teoryach, blisko graniczących z pierwotną dzikością nieuporządkowanych społeczeństw. Najwyższe rozwinięcie rozumu, upada częstokroć w takich chwilach przesilenia w negacją samego rozumu. To zaparcie się otwiera wrota całemu szeregowi przesądów, chorobliwych marzeń fantazyi, zaśle-

(1) Władom. o stan. przem. i hand. w Pol.

pień fanatycznych. Chwasty zalegają bujną niwę umiejętności; sztuka, to cudowne połączenie i skojarzenie fantazyi i władz rozumujących i porównujących, niknie, a społeczeństwo jest na drodze powrotu do swoich pieluch. Czém jest kommunizm, ta nowa narośl tegoczesnej cywilizacji, jeśli nie zwrotem do tego wszystkiego, co stanowi prawdziwe dzieciństwo społeczeństw? Szczęściem, Opatrzność czuwa zawsze i nie dopuszcza, aby zarodek cywilizacyjny miał być zgaszony błędami i zaślepieniem pojedynczych ludzi i narodów. Za jęsto działaniem, pobladła gwiazda ludzkości nabiera nowego światła, nikuca w jednym punkcie, nowém i żywszém jeszcze światłem zaczyna jaśnieć na innych. I tak się rozwija, posuwa i dojrzewa wielki utwór, wielka myśl Boża, urzeczywistniona w ludzkości. Świat się nie cofa, choć jednostki błakają się, padają i nikuą; a chociaż częstokroć najwyższe rozwinięcie się cywilizacyjne zdaje się już stykać z barbarzyństwem, ludzkość nic na tém nie traci: w nowych zblakaniach nowe czerpa nauki, w wstrząśnieniach febrycznych, nowe zdrowie i siły. Są przecież chwile i położenia, że to podobieństwo i zbliżenie się wygórowanej cywilizacji z dzikością, jest niezaprzeczoném. Wracamy do roli.

Pomimo szerególnych wyjątków, uprawa ziemi jest główną gałęzią rolnictwa i jego fundamentem. Tak jak w pewnych okolicznościach, zamienienie pól w pastwiska może być zyskowniejszém, tak w pewnych znowu położeniach, podciągnięcie wszystkiój ziemi pod uprawę, może przynosić większe korzyści. Sąto jednakże położenia wyjątkowe. W normalnym stanie, te dwie gałęzie muszą iść z sobą w harmonii; upadek jednej, sprowadza cofnięcie się drugiej. Dopóki kraj jest nieludny, mogą żyć obok siebie niezależnie; z wzrostem ludności coraz więcej się jednoczyć muszą. Tak działo się i u nas. Lubo plemiona osiedlone na przestrzeni ziemi, która z czasem Polski przybrała nazwisko, długo wprzód uprawiały ziemię; jednakowoż w XII i XIII wieku, czyto skutkiem wojen, czy innych nadzwyczajnych klęsk i przygód, nie była ona dostatecznie zaludnioną. W miarę zaludniania, posuwającój się kultury, urządzającój się stanu społeczeńskiego, uprawa ziemi czyli własciwe rolnictwo się rozszerzało. System kolonizacyjny i czynszowy dał mu silny popęd. Pasterstwo usuwało się lub w układy wchodzić było zniewoloném. W XII i XIII wieku spotykamy prawie wszystkie gatunki zbóż, które dziś są uprawiane. Zdarzają się ślady winnic i ogrodów.

Postęp jednakże kultury ziemi był bardzo niejednostajny i niejednoczesny w różnych zakątkach i częściach dawnój Polski. Kiedy

Wielko i Małopolska posuwały się w niej powoli ale ciągle, inne prowincje albo ją wyprzedzały, albo daleko w tyle były za niemi. Uciążliwa, ale silna dłoń krzyżacka organizowała Prusy z energią. Silne i ludne miasta są ich dziełem; oni sprowadzali kolonistów z Holandyi, groblami warowali najżyźniejsze strony kraju przez nich posiadane, które zniszczeniom przez wodę ulegały. Za świadectwem wszystkich pisarzy XVIgo wieku, prowincya pruska najdalej była posuniętą w kulturze, pomimo tego, iż przez lat 15 musiała prowadzić krwawą wojnę o zrzucenie krzyżackiego panowania. W układzie Bodzanty co do dziesięcin, o kraju za Wisłą aż do granic Rusi i Węgier jest mowa jako o nowinach, które dopiero mają się zaludnić. Ta strona kraju jedna z najpiękniejszych, najhardziej wystawiona na napady Tatarów, nie mogła długo osiągnąć tego stopnia kultury, do jakiej ją natura przeznaczyła przez jej żyzność i bogactwo. Litwa i Żmudź były w zupełném barbarzyństwie pod względem rolniczym do XVI wieku. Nawet to, co wówczas jeszcze o niej piszą, dowodzi, iż mimo znacznych postępów, jej kultura nie dorównywała jeszcze reszcie kraju. Podlasie także dopiero w XVI wieku zasiedlać się, urządzać i zagospodarowywać poczynano. Głębokie puszcze Mazowska długo dawały życie innym gałęziom przemysłu i zarobku, a ziemie górskie do dziś dnia jeszcze są i pozostałą zawsze krainą głównie pasterską. W XIII i XIV wieku przodkowały niewątpliwie innym częściom kraju w kulturze Wielko i Małopolska: one też właściwie podówczas jądro kraju tworzyły. Z niemieckiego się coraz wyraźniej Szlązka, wpływały do nich niejedne zwyczaje i nowości. Zasilek w ludziach i przemyśle tém chęciwiej przyjmowały, im bardziej skolatanie i zawichrzone były u siebie. Tę przewagę kultury Wielkiej i Małopolski ugruntował jeszcze Kazimierz Wielki swojemi rządami i swoim statutem. Wprawdzie prawodawca ten zastał materiał gotowy w kraju, bo wprowadzony przed nim, a przez niego poparty system czynszowy i kolonizacyjny, zmieszanie większych i mniejszych własności ziemskich, niewyraźny rozdział różnych klas ludności krajowej, samo prawo rycerskie zbliżające je ku sobie, dla mądrego prawodawcy stanowiły żywioły organizacji kraju, w której łatwo było pogodzić rozliczne interesa i różnych osób położenie zrównoważyć. Nie każdy jednak prawodawca umiał utrzymać tę drażliwą szalę na równi, obciążając zanadto jedną lub drugą. A że w życiu społeczeństw i narodów, jak w życiu pojedynczych ludzi, panuje nieubłagana logika przyczyn i skutków: raz przeciążona szala, chyli się coraz więcej. Zły pierwiastek zaszczipiony

w księgę praw, rozkrzewia się i rośnie, dopóki całego szeregu następstw ze siebie nie wyda, które tkwiły w jego zarodku. Tego błędu umiał uniknąć prawodawca wiślicki, i tym sposobem ważne wyświadczył przysługi tak krajowi w ogólności, jak w szczególności rolnictwu.

To też od niego właściwie zaczyna się walna jego era. Przez ustalenie i uporządkowanie prawa własności i prawa posiadania, przez układy co do dziesięcin, uprawa ziemi musiała zyskać nowy popęd i siłę. Spotykamy w owym wieku narzekania duchowieństwa na szerzącą się uprawę ogrodową z krzywdą dziesięciny polnej (1). A że ogrody o tyle tylko ordynacya Jarostawa uwalniała od dziesięcin, o ile były uprawiane rydłem i motyką (2), jest to więc dowodem znacznego posunięcia kultury rolniczej. W tym także czasie zaczyna się wywóz zboża na handel zagraniczny. Wprawdzie nie może być mowy jeszcze o teoriach rolniczych, o naukowém rolnictwie; w Niemczech nawet literatura rolnicza zaczyna się dopiero w XVI wieku. Pisma starożytnych w tej materji nie mogły być jeszcze znane u nas; ale wymowne świadectwo postępu leży w tém, że kraj, jak powiedzieliśmy, zaczyna wyprowadzać zboże za granicę. Za panowania Jagielly wywóz ten, podług obliczeń niektórych pisarzy, przenosić miał 14,000 łasztów; odtąd powiększał się ciągle. Jak dalece właściwa Polska za czasów Kazimierzowskich wyprzedziła w ruchu handlowym, przemysłowym i rolniczym inne prowincje, znajdujemy dowód w tém, iż kiedy w roku 1360 płacono w Krakowie za korzec pszenicy zlp. 2. gr. 24, żyta 1—12, owsa gr. 28; to cena żyta na Podlasiu wynosiła zp. 1 gr. 12. dopiero w r. 1567. Taką cenę na Wołyniu osiągnęło żyto w roku 1705, na Ukrainie w r. 1780 (3). Do ceny zboża stosowała się cena robotnika i innych produktów, tak jak wszędzie i zawsze się to dzieje.

Od wieku XIVgo uprawa zbożowa rosła szybko i ciągle: wszystko jęj sprzyjało, wszystko do nięj zachęcało. W Nakielskim spotykamy, iż na jednym folwarku, do klasztoru miechowskiego należącym, zebrano 7,000 miar (cassularum) pszenicy (4). Z czasem uprawa zbożowa zaczyna widocznie brać górę nad chowem stad. Widzimy tego ślad w stosunku łąk do pól ornych. Za świadectwem Czackiego, do roku 1540 łąki i pola były w jednęj cenie; w roku

(1) O dziesięcinach Ig. Młęcz. str. 103. (2) V. L. I. str. 95.

(3) Czacki o Lit. i P. P. Władom. o hand. i przem. w Pol.

(4) Miechov., str. 503.

1544 stosunek wielkości łąk do pola miał się jak 1 (łąki) do $1\frac{1}{3}$ (pola). Pod Zygmuntem Augustem stosunek ten doznał znacznej zmiany, ponieważ okazało się z odbytego wówczas pomiaru, że miał się jak 1 (łąki) do $2\frac{1}{2}$ (pola). Ciągła potrzeba zboża za granicą, wysokie na te czasy jego ceny, łatwa i niekosztowna produkcja, przywileje jakimi otoczone były większe własności, zachęcały do coraz obszerniejszej uprawy; ale to zmniejszenie stosunku łąk do ról nie mogło wypadać z czasem na korzyść produkcji. Zobaczymy też jak w XVII wieku raptownie ona upadnie. Gdyby się ograniczono na obracaniu pod uprawę nieużytków, zbytecznych lasów, których stosunek w niektórych miejscach do pola był jak 60 do 40, w innych jak 80 do 20, kraj i rolnictwo nicby na tém nie było traciło; ale zmniejszenie łąk prowadziło za sobą zmniejszenie stad, a to przygotowywało wyczerpanie stopniowe ziemi. Ale to działo się późniéj; w XVIII i początkach XIX wieku było więcéj równowagi tak pomiędzy wielką i małą uprawą, jak w proporcji łąk i ról, chowem stad i produkcją zboża.

Rzecz dziwna, że w miarę wzrostu produkcji, ceny się podnosiły: jużto z powodu coraz większego zaludnienia, wzrostu miast i przemysłu, jak i rosnącego handlu zagranicznego. Nie tak łatwo dziś przychodzi wykryć ceny rzeczywiste zboża i produktów rolniczych dawnych wieków; nie dlatego, iżby brakować miało cyfr, oznaczających ich wysokość, ale, że cyfry te w innej myśli były spisywane jak ta, którą dziś w nich znaleźć potrzebujemy. Kilka nawet cyfr z jednego roku nie wyobrażają ceny średniej. A tylko przez osiągnięcie prawdziwej ceny średniej z każdego roku, dalby się oznaczyć szereg postępu w podwyższaniu lub znizaniu téjże ceny z latami i wiekami. Oprócz tego na ceny wywierają wpływ stosunki menniczne, obfitość kruszcu, zasoby kapitałów i t. p. okoliczności. Aby zaś z podnoszenia lub obniżenia cen, o wzroście lub upadku bogactwa krajowego i produkcji wnioskować, nastroczają się także pewne wątpliwości i niepewności. Zboże jest przedmiotem ogólnej potrzeby; handel niém sięga dalekich przestrzeni, o ile drogi handlowe na to zezwalają. Według obszerności i potrzeb tego wielkiego targu, który można nazwać targiem świata, ceny się układają i równoważą. Wielkie żądanie w obcych krajach, może je utrzymywać na znacznej wysokości, mimo wielkiej obfitości i małego zużycia wewnątrz jednego kraju. Trzebaby stosunki różnych targów poznać, postęp kultury w różnych krajach mieć objaśniony, a wtenczas dopiero możnaby oddzielić co się należy przypadkowi, co oko-

licznościom zewnętrznym i obcym, a co na karb wewnętrznych stosunków pozostaje. Byłoby to studium trudne i niewdzięczne, bo zbyt wiele musiałoby w niem polegać na przypuszczeniach dla braku dostatecznych dat. Że jednak i bez tój idealnej dokładności ceny zboża są interesujące i ważne, jako dopełnienie objaśnień do poznania pewnej epoki, niemniej ważne jeszcze dlatego, iż są normą do ocenienia przychodu i wartości pracy i ziemi; notujemy je tak, jak je spotkaliśmy, chociaż notaty te za nader niedostateczne uważamy. Mówiliśmy już o cenach zboża za czasów Kazimierzowskich; w następstwie tak się układała cena żyta podług Czackiego:

—	1497	—	—	1	—	15
—	1514	—	—	1	—	25
—	1520	—	—	2	—	13
—	1551	—	—	5	—	2
—	1564	—	—	6	—	6
—	1588 do 1590	—	—	5	—	12
—	1601	—	—	5	—	13

Zniżenie w ostatnich latach przypisują szeregowi lat urodzajnych po sobie idących. Notaty w archiwum sieradzkiem poczynione (1), wykazują, iż w roku 1588 korzec pszenicy wart był gr. ówczesnych 28; jęczmienia, złp. 1; owsa, gr. 10; orkisz, gr. 48; jarki, złp. 1, gr. 4 (T. Szad. 57, p. 262). W roku 1599, korzec żyta, gr. 24; owsa, gr. 12; grochu, złp. 1; tatarki, gr. 20; jęczmienia $\frac{1}{2}$ grzywny; siodu 3 skoje; prosa $\frac{1}{2}$ grzywny (T. Sir. 52, p. 100). W r. 1624 pszenicy wiertel złp. 3, gr. 22 $\frac{1}{2}$ (R. S. 18, p. 31).

Rzączyński za Currickenem, historykiem Gdańska powiada, iż w r. 1405, łaszt żyta w Gdańsku sprzedawał się za 5 grzyw. pszenicy 7 grzywien, jęczmienia 3 $\frac{1}{2}$ grzy. owsa 2 $\frac{1}{2}$ grzy. Za Herburtem powiada, iż w roku 1523, korzec żyta kupowano za gr. 3, owsa (chorus) za gr. 1. Za Hennebergerem powtarza tenże, iż w roku 1547, łaszt żyta w Prusach kosztował pruskich złotych 8, a w roku 1558 korzec żyta w tójże prowincyi gr. 8. Za Zygmunta IIIgo, w roku 1594 w Poznaniu wiertel pszenicy 16 do 19 gr., żyta 12, owsa 8 płacono. Statut lit. 1529 roku taką cenę zboża oznaczył: pszenicy kopa, 12 gr.; żyta kopa, 10 gr.; jęczmienia kopa, 6 gr.; owsa kopa, 4 gr.; tatarki kopa 4 gr.; jarzyn kopa, 8 gr. (2).

Ciekawém i ważném byłoby badanie ogólnej produkcji i zużycia wewnętrznego, gdyby to badanie mogło być opartém na nie-

(1) Przez pana Szanławskiego. (2) U Dział., str. 371.

wątpliwych wykazach statystycznych, gdyby się nie trzeba w tej mierze ograniczać na nader wątpliwych ogólnikowych podaniach, niedostatecznie uzasadnionych. Przez przybliżenie Staszyc oblicza, iż wysiew mógł wynosić około 19 milion. korey, co daje 23 miliony morgów roli rodzajnej. To jest, że tylkoby nieco więcej jak $\frac{1}{6}$ ziemi zajmowały grunta orne. Na 19 mil. korey wysiewu, rachując w ogół 5 ziarn na pożytek, cała Polska 95 mil. korey zboża produkowała na rok (1). Czacki z prowincyj galicyjskich biorąc stosunek, analogicznie dochodzi, iż gdyby $\frac{1}{3}$ ziemi zajęta była pod uprawę, kraj byłby mógł wyżywić w wojewódz. wielkopol. 5,625,000, w Małopol. 13,762,140, w Litwie 17,082,900. Widzieliśmy w poprzednich częściach, jak trudno wskazać ilość łąnów pod uprawą będących, i jak podawane w tej mierze liczby są wątpliwe. Nie mniejsze wątpliwości spotyka się przy ocenieniu ludności, jaka kraj nasz zamieszkiwała w wiekach XV^m i XVI^m. Tém więcéj można wątpić o wszelkich innych obliczeniach. Obliczenia powyższe są téż prostemi przypuszczeniami; przytoczyliśmy je tylko dlatego, aby usunąć wątpliwości co do wielkich ilości zboża, wysyłanych w XVI i początkach XVIIgo wieku za granicę. Rzeczywiście wywóz ten był wielki, i w nim najlepszą znajdujemy wskazówkę co do postępu kultury rolniczej i produkcji. Postęp ten jest tém więcéj zadziwiający, że idzie w parze z wzrastającą ciągle ludnością. Wprawdzie bywają miejsca i czasy, w których wzrost wywozu nie jest wyrażeniem postępującej kultury i bogactwa krajowego. Może on być niekiedy dowodem upadku miast, przemysłu, zubożenia ludności rolniczej. Bywają czasy i kraje, w których robotnik w nędzy i głodzie pracuje około bogatych zbiorów, które wyżywiać będą kraje dalekie, i podsycać zbytek małej liczby Krezusów. Wiadomo, iż kraje w których używają do uprawy roli niewolników, najwięcéj wyprowadzają surowych produktów. W wieku XVIIym zaczynało się wszystko kierować ku temu smutnemu celowi, ale jeszcześmy wówczas do niego nie doszli. Kraj jeszcze wzrastał w ludność, miasta nie upadały, ludność wiejska i robocza była zamożna; położenie więcéj było odmienne, a wywóz zboża dowodził rzeczywiście podniesionej kultury i pomnożonej produkcji.

Ogół produktów, które w XVIIym i XVIIIym wieku wyprawiano z kraju, składał się z następujących przedmiotów: len, konopie, drzewo, smoła, popioły, potaż, miód, wosk, wełna, skóry; daléj Starowski zalicza: mak, kaszę, warzywa, sól, piwo, witryol,

(1) O Statystyce Pol., str. 15.

nitrum, lazur, czerwiec, miedź, ołów, mosiądz, węgiel ziemny, naczynia szklane, konie, woły, wieprze, słoninę. Jednakże podług Krasieńskiego, Kromera, Cellaryusza, Rzączyńskiego i tegoż Starowolskiego, główne miejsce zajmowało zboże, mianowicie: żyto, pszenica, jęczmień, owies, proso.

Wywóz niektórych z tych produktów dopiero co wymienionych, odnosił się często do pojedynczych prowincyj i miejsc. Niektóre obfitowały więc w jeden produkt jak w drugi. Towar leśny wyprawiano z całego kraju, bo we wszystkich jego częściach rozciągały się obszerne lasy. W Wielkiej Polsce lasy slesieńskie, murzynowskie, trzemeskie, kurnickie, opalińskie; dąbrowy krotoszyńskie i orpiszowskie. Łowicz, któremu to miejscu Rzączyński od ulubionego stanowiska książąt mazowieckich dla odbywania łowów, nazwisko które nosi przypisuje, okolony był znacznymi lasami. Ogromne były lasy ostrolęckie, łomżyńskie, nieporęckie, kapinowskie. W Małopolsce około Niepołomic, św. Krzyża, Ilży i Odrowąża. Lasy w Litwie rozciągały się miejscami na 10, 15 do 20 mil, jak świadczy Miechowita (in Sarmat. Europ.); pomiędzy Wilnem i Połockiem nawet na mil 50, jak mówi Herberstein. Niemniejsze lasy posiadały Prusy. Wszystkie te więc części kraju wysyłały towar leśny: wańcos, klepki, belki dębowe, sosnowe, modrzewiowe, maszły i t. p. Największą ilość pieńki i nasienia lnianego wysyłały Żmudź, Litwa i Inflanty. Płótna dostarczały kraje podgórskie. W miody i woski najbardziej obfitowały Żmudź, Litwa, Podole, Ukraina, a w części Mazowsze. Metalów i rzeczy kopalnych, jak do dziś dnia, dostarczała część kraju górzysta. Węlny najwięcej wydawały Wielkopolska i Prusy. Za to Wielkopolska mniej od innych zboża wysyłała. Do produkcji i wywozu zboża w nierównym stosunku różne części kraju się przykladały, wedle swój żyzności, kultury i dróg handlowych. Pod względem żyzności i bogatej produkcji, pierwsze miejsce zawsze trzymały: Wołyń, Podole, Ukraina i Ruś. To co piszą w XVI i XVII wieku o żyzności tych prowincyj zdaje się trudnym do wiary. Opaliński powiada, iż dosyć jest na ziemi poruszonej drewnianą sochą porzucić ziarno, aby bajeczne wydała plony. Rzączyński powiada o jednym wypadku, iż 50 korcy wysianego żyta dały plon 1500 kop. Ogromnym wołom brzuchy, niekiedy rogi zaledwie widać z bujnych traw, a pług zostawiony na roli, w kilka dni zarasta okryty bujną wegetacją. Na Wołyniu Rzączyński żniwo ozimne w niektórych folwarkach na 20,000 kop liczy. Te więc prowincye wydawały najwięcej zboża. Ale ta błogosławiona ziemia najwięcej ulegała spustoszeniom i kłę-

skom, które popęd jej kultury tamowały; żywo jednakże goiła rany i w mgnieniu oka podnosiła się z gruzów w bogactwo i obfitość. Według Rzeczyńskiego (1) najpiękniejszą i najważniejszą pszenicę wydawał Wołyń, i ta wyżej była od kupców płacona i szczególniejsz poszukiwana. Ta prowincya wydawała także ogromne ilości prosa; w lachowickich dobrach sprzątano go niekiedy do 25,000 kop. Jeden z ziemian sąsiednich Ostroga, 400 łasztów czyli 2400 korcy jagiel w r. 1716 do Gdańska wysłał na 30 ładownych statkach. Ruś w części jednej, mianowicie około Tarnopola wielkie ilości prosa, w części zaś górzystej, wielkie massy owsa produkowała. Niemniej wiele wydawała lnu; około Gorlicy i Grzybowa pola całej tej rośliną były obsiewane. W okolicy Lwowa istniały niegdyś winnice obszerne, z których dziesięcinę dawni książęta pobierać mieli.

Czém były czasy Kzimirzowskie dla Polski, tém była epoka Zygmunów dla Litwy. Cała jej organizacya wewnętrzna, cała jej podstawa kultury rolniczój poczyna się dopiero od tych czasów. Przyznają to Starowolski, Krasński i inni. Strykowski szczegółowo się zatrzymuje nad rolnictwem w Rusi Białej i Litwie za jego czasów, a z tego ciekawego ustępu cokolwiek powtórzmy. Rola przysposabia się w ten sposób: około św. Piotra i Pawła zwyczajnie, wycinają się drzewa i zarośla w miejscu przeznaczoném pod uprawę. To wszystko pozostawia się na roli i przytrząsa jeszcze słomą. Na wiosnę, kiedy słońce dobrze ogrzeje, przykłada się słomy, i podpalają się te pokłady uschłych krzewów, drzewa i słomy. Na takiej spalonej ziemi sieje się pszenica i przyoruje. „Następuje urodzaj taki, mówi Strykowski, iż mógłbyś mniemać, że tu się urodziła Cerera.” Przez 6 do 8 lat sieje się bez pomocy nawozu w miejscach tak przysposobionych. Drzew wielkich nie spuszcza, ale obcina je tylko z gałęzi, aby nie cieniły, za pomocą przyrządzenia właściwego, z którym robotnik z jednego drzewa na drugie się przenosi. W następnym roku sieje się żyto, pod które dwa razy orzą. Siew rozpoczyna się około połowy sierpnia i trwa do 8 września; późniejszy uważają za niepewny. Jest jeszcze w użyciu na świeżo spalonych rolach inny sposób siewu. Dwie części jęczmienia, mieszają się z trzecią częścią żyta oziminnego i sieje się to wszystko na wiosnę. Jęczmień się sprząta po dojrzeniu, a żyto pozostaje. Na wiosnę wyrasta żyto tak nabito i gęsto; że koń zaledwie przedrzeć się przez nie może, a z jednego ziarna 30 niekiedy kłosów wyrasta do takiej wysokości, że jeźdźca na koniu zaledwiebyś dojrzał z niego.

Rodzaje zboża, czas zasiewów, sprzętów, sposób przechowywania i t. d. tak jak je opisuje Strykowski w całej Polsce, nie przedstawiają nic nowego.

O Żmudzinach powiada tenże autor, iż nie żelazem, ale drzewem orzą. Jeden z tamtejszych starostów zaprowadził narzędzia żelazne, ale gdy przypadkiem po wprowadzeniu téj nowości, nastąpiło kilka lat nieurodzajnych, lud prosty obwiniał lemiesz żelazne i rzucił na nie potępienie. Obawiając się zaburzenia, musiano powrócić do narzędzi drewnianych.

O Wielkiej Polsce powiada Rzączyński, iż pracowicie i starannie uprawia ziemię ze znaczną korzyścią. Sieradzkie, mianowicie radomskie wydawało wiele tataraki i piękne kasze wysyłało za granicę. W Małej Polsce, Krakowskie obfitowało w pszenicę, mianowicie okolica proszowicka. Sandomierskie oprócz wszelkiego rodzaju zbóż, słynęło owsem olbrzymiej wielkości. Pomiędzy Pińczowem, Buskiem i Wiślicą siano wiele anyżu; pojedyncze chłopskie gospodarstwa dostarczały go niekiedy 50 do 60 korcy. Za nader mączną uchodziła pszenica lubelska, i z tego powodu bardzo była poszukiwaną. Księstwo zatorskie wiele wydawało lnu i najwięcej miało warsztatów wyrobów lnianych. Inflanty obfitowały w żyto, które wysyłały do Lubeki, Amsterdamu, Danii i Szwecyi; obfitowały również w len i konopie.

Drogi handlowe, któremi zboże wychodziło na zewnątrz, były rozmaite, stosownie do okoliczności, stosunków i rozległości państwa. Najrozleglejsze i najnaturalniejsze ujścia były na Bałtyk i na morze Czarne. Podług Sarnickiego, Białogród był składem znakomitym; a za czasów Kazimiérza Wielkiego, jak wiadomo, do Cypru odchodziły okręty naładowane polską pszenicą. Władysław Jagiełło, podług świadectwa Długosza i Kromera, z Kaczybeju, portu wówczas w posiadaniu Polski będącego, wysyłał zboże do Tracyi. Handel Wisłą do Bałtyku porządkowały i ustalały traktaty z Krzyżakami, a mianowicie w Raciążu 1404 r., w Toruniu 1411 r., pokój pod Melnem 1422, ponowiony 1424 r. W innéj stronie umowy z biskupem derpeckim i mistrzem inflanckim. Po odzyskaniu Prus, handel zbożowy stał się w téj stronie obszerniejszym i łatwiejszym; lubo ciężać poczynaly nad nim zbyteczne przywileje miasta Gdańska i niesforność mieszczan tamtejszych, których nigdy w należytej karności utrzymać nie zdołano. Niemniej czynny był jakiś czas handel zbożowy w Pomorzu do Brandeburgii i części Niemiec. Za zboże i sól brano z Węgier jakiś czas żelazo i miedź. Ruś Biała i Litwa wysy-

łały płody swoje do Infant i Prus częścią Niemnem, częścią Dźwi-
ną. Ryga, Piława, Memel, były portami z których zboże i produkta
rolnicze rozchodziły się na Baltyk; oprócz ważniejszych, Gdańska, Kró-
lewca a później Elbląga.

Od Kazimierza Wgo wywóz zboża wzrastał ciągle, a w końcu
XVI i pierwszej połowie XVII wieku do największych doszedł roz-
miarów. Ponieważ tablice Czackiego wywóz zboża wykazujące, nie-
mniej obliczenia Staszycza porzynają się dopiero od drugiej połowy
XVII wieku, to jest od czasu, w którym tenże wywóz zmniejszać
się już począł; nie będzie może bez interesu zebranie cyfr i dat z cza-
sów poprzedzających, o ile nam się spotkać zdarzyło. Powtórzmy
dla całości to, cośmy już w tej materji w pierwszej części nadmienili.
Podług Opalińskiego (in Pol. def.) z portu piławskiego wywożo-
no corocznie zboża do 15,000 łasztów. Z portu memelskiego na-
sienia Inianego do 23,000 heczek, zawierających blisko 2 korce.
2,000 statków zwanych *strugi* spławiano do Rygi, a kilkaset statków
odmiennych, zwanych *wicinami*, przybywało ze zbożem do Królewca,
jak świadczy Rzączyński. Krasiński mówi, iż 200 do 300 więk-
szych okrętów zawijało rocznie po zboże polskie do Gdańska, które
z tamąd na wszystkie nieomal strony świata się rozchodziło. Już
w r. 1392, według Currikena, do 300 okrętów z Francji, Anglii
i Belgii wpłynęło do tego portu i wszystkie napelnione zbożem po-
wróciły. W r. zaś 1565 taką mnogość spławiono zboża do tegoż
miasta, iż obszerne tamtejsze śpichlerze pomieścić go nie mogły,
i w domach prywatnych nad Motławą je składano. Kupowali naten-
czas kupcy łaszt żyta po 50 złp., ale gdy do miasta przyszło, po 25
sprzedawanem było (1). Wiadomo mi, mówi Opaliński w ciągle
powoływanem piśmie, iż ostatniej zimy, za nastąpieniem spławności
Wisły, do 5,000 statków przybiło do Gdańska. Ten rok, mówi cyto-
wany autor, był nadzwyczajny; ale biorąc przecięcie z lat mniej obfi-
tych, niewiele uchybię, jeżeli 4,000 statków za średnią liczbę przyjmę.
Statek ładowny na Wiśle największy, zabiera zwykle rzym-
skich medimnów 2,200, najmniejszy 1,000. Biorąc liczbę przecię-
ciową, na każdy statek można liczyć 1,500 medimnów, co daje ogól-
ną przecięciową summę 6 milionów medimnów. Wiadomo zaś, że
nie wszystko zboże polskie spławia się do Gdańska, dodaje Opaliński,
ale zaledwie część jego trzecia, bo tylko z prowincyj przyległych Wi-
śle i rzek do niej wpadających, a i do Szlązka i do Pomeranii wiele

(1) Rzączyński, str. 64.

zboża wychodzi. Cellaryusz wreszcie o przywozie rocznym do Gdańska mówi: „Consistit autem ipsa negotiatio praecipue in frumento, cujus quotannis tercenties et sexagies quinquies mille onera (Last) vendi, et partim in caeteras regiones deportari, partim in urbe consumi creduntur.” Rzączyński objaśniając to miejsce dodaje, że każdy łaszt zawiera 60 medimnów czyli mediów; powyższa więc suma łasztów, daje 21 milionów 90 tysięcy medimnów czyli mediów (1).

Te cyfry wszystkie zdają się nader wysokie; trudno jednakże zaprzeczyć tylu świadectwom współczesnym, zwłaszcza, że brakuje punktu oparcia do podobnego zaprzeczenia. Chociażby w części oparte były na fałszywych przypuszczeniach i niedosyć pewnych obliczeniach, pozostała reszta jeszcze dowodzić będzie wysokiego stopnia, do którego dojść w owój epoce musiała kultura rolnicza. Dowody szybko posuwającej się sztuki uprawy ziemi, dają się spostrzegać i w tém jeszcze, że stosunek wysiewu pszenicy do żyta zmieniał się ciągle w proporcji postępującej, na korzyść tego pierwszego ziarna. Według obliczeń podanych przez Czackiego, proporcya między wysiewem żyta a pszenicy w województwach wielkopolskich, mazowieckich, małopolskich i ziemi chełmskiej, z wyłączeniem województw języka ruskiego, była taka, że gdzie wysiewano

w roku pszenicy korcy, tam wysiewano żyta korcy

1460	1	—	—	19
1528				
1529	2	—	—	18
1564				
1565				
1620	3	—	—	17

Ilość wysiewu pszenicy powiększała się więc względem wysiewu żyta w proporcji, którą Staszyc oznaczył w ten sposób: co lat 20 wysiew pszenicy pomnażał się jak 1, 2, 3 i t. d., a wysiew żyta zmniejszał się jak 19, 18 17, i t. d. Co i w następnych wiekach miało miejsce.

Co do województw języka ruskiego, inną proporcją w wysiewie żyta i pszenicy podaje autor: „Wiadomości o stanie przemys. i han. w Pol.”; że jednak pomieniony autor nigdzie źródeł z których czerpie swoje wiadomości nie podaje, nie można więc wiedzieć o ile obliczenie jego jest uzasadnione. Powtarzamy je za nim: „jak 100

(1) Str. 65.

pszenicy do 96 żyta na pobrzeżu dnistrzańskim; jak 100 pszenicy do 244 żyta na Pokuciu i zachodniem Podolu; jak 100 pszenicy do 259 żyta w Belzkiem i zachodnim Wołyniu; jak 100 pszenicy do 400 żyta na pobrzeżu niższego Sanu. Taki stosunek zaszedł wszakże dopiero około r. 1650."

Jak pojmowano teorię rolnictwa, jakie miano o niem naukowe wyobrażenie, jak o niem pisano: zobaczymy w następnej części, gdyż piśmiennictwo rolnicze właściwie zaczyna się dopiero z wiekiem XVII.

VI.

Pozostaje nam jeszcze do wyjaśnienia, dla dopełnienia tego pobieżnego obrazu rolnictwa do początków wieku XVII: jaki był z niem związek praw krajowych, jaki wpływ na nie wywierały, o ile udzielały mu korzystnej opieki i wsparcia, o ile szkodziły.

Wpływ praw na rolnictwo może być dwojaki: bezpośredni i pośredni. Bezpośredni wywierają urządzenia i przepisy wprost do niego odnoszące się, zarządzające stosunki osób rolnictwem się trudniących, porządkujące umowy i warunki tychże umów pod względem ziemi i jej uprawy, ustanawiające porządek gminny, sądownictwo wiejskie, stosunki co do użytkowania z wód, lasów, pastwisk; odnoszące się do służebności, wspólności i t. p. Bezpośredni jeszcze wpływ wywierają przepisy i urządzenia ogólne, ubezpieczające drogi lądowe i wodne; regulujące stosunki handlowe co do produktów rolniczych, cła i t. p. Bezpośredni wreszcie wpływ wywierają przepisy i urządzenia zabezpieczające zbiory rolnicze w domu i na polu, ukrócające w tej mierze nadużycia i swawolę, ustanawiające kary, sposób wymiaru sprawiedliwości, porządek miar i wag.

Niemniej ważny jest wpływ pośredni, jaki prawodawstwo ogólne wywiera na rolnictwo przez swój kierunek i swojego ducha, bez względu na przepisy szczegółowe odnoszące się wprost do niego lub do jego pojedynczych gałęzi. Wpływ ten jest niezaprzeczony. W budowie organicznej kraju, wszystkie części się wiążą i nawzajem na siebie wpływają, a nad wszystkiem górują i panują prawa. Lubo same są pod wpływem obyczajów, zwyczajów i wyobrażeń, rzadko jednak stanowczo im ulegają. Tworzą się niekiedy przypadkowo, niekiedy pod wpływem potrzeb czasowych, niekiedy pod wpływem pojedynczych klass; mogą też być wyrazem jednej woli. Jak mogą tworzyć się rozmaicie, tak rozmaite formy, rozmaite kierunki przy-

bierać i odmiennym tchnąć mogą duchem. A tak według pierwiastku jaki je zapładnia, wedle zasady jaka je ożywia, kierują społeczeństwem, częstokroć nowe drogi mu wytykając. Jeżeli na tych nowych drogach obyczaje nie stawiają tam nie do przelamania, działanie praw jest tém silniejsze. Zdarza się jednak, iż upadają pod ciężarem wyobrażeń i obyczajów, skoro w zbytecznej stoją z niemi sprzeczności. W normalnym jednakże porządku rzeczy prawa i obyczaje nawzajem się modyfikują, wspierają i moc sobie nadają; wpływ ich więc jest wzajemny, ale nie mniejszy przeto jest wpływ praw na ruch i kierunek społeczeństwa. Jak te przeto z rozlicznych źródeł wypływać, rozmaitym działaniom ulegać, według tego różne kierunki obierać, różne zasady wyobrażać mogą; tak też i wpływać odmiennie na ogół rozmaitych gałęzi pracy narodowej. Jedne zatrudnienia mogą w nich czerpać większą zachętę i pomoc, inne mniejszą; jedne warstwy społeczeństwa silniejsze poparcie jak drugie; tak też rolnictwo jako odnoga czynności krajowej, taki lub odmienny kierunek, zachętę pośrednią i pomoc lub przeszkodę.

Przepisy, urządzenia, postanowienia bezpośrednio do rolnictwa odnoszące się, wszędzie, gdzie ono ważniejszą gałąź zatrudnienia i bogactwa krajowego stanowiło, tworzyły się, kształciły, dopełniały, w miarę wzrostu, postępu, potrzeb i wyobrażeń. Porządkująca się własność, używanie téj własności, jój zetknięcie się z innymi, zlewanie swoich praw w ciągnięciu pożytków na kogo innego, wyradzać musiało wątpliwości i starcia. Z wzrostem ludności, te starcia stawały się częstsze. Powstawały coraz nowe gałęzie przemysłu i coraz większy popęd i potrzeba do użytkowania ze wszystkiego, co jakąś korzyść przedstawiało. Puszcze, bagna i brzegi wód, dla pracy przedstawiały pole zdobyczy, a te prace trzeba było regulować i kierować tak, aby interes ogólny nie był poświęcony dla interesu jednostek, prawa nabyte nie padały ofiarą siły wdzierających się, wszystkie czynności i interesa, sprowadzone do możebnej harmonii. Ztąd powoli powstawały różne przepisy, urządzenia, do pracy, rolnictwa, różnych jego potrzeb odnoszące się. Ale kiedy prawne wyobrażenia tak były niedokładne, że materij kryminalnych od cywilnych nie rozróżniały; i tamte zwykle bywały topione w mieszaninie wszelkiego rodzaju. Z czasem i z przybytkiem praw pisanych i rozjaśnieniem się pojęć, poczęło to chaos rozdzielać, i tworzyły się, jeśli nie oddzielne księgi praw rolniczych, to przynajmniej pewne szeregi urządzeń do téj materij się odnoszących. Wreszcie, w nowszych czasach wykształ-

ciły się kodexa wiejskie i leśne, zbiory praw kameralnych i policyjno-rolniczych i agraryjnych rozrządzeń.

W czasie, w którym statut wiślicki był pisany, nie można spodziewać się ani nawet wymagać czegoś podobnego. Wyobrażenia prawne nie były jeszcze na tój wysokości, a może i potrzeby naglącej jeszcze wówczas nie było; bo jakkolwiek przemysł rolniczy znakomite już zyskał rozwinięcie, to z powodu niezbyt wielkiego zaludnienia, a obfitości, nie obdartej jeszcze ze wszystkich bogactw przyrodzonych natury, starcia interesów sprzecznych mogły być mniejsze, a zyski z rolnictwa obfitsze i łatwiejsze. Liczne są jednak, szczegółowe i dosyć dokładne, jak na ten wiek, przepisy i urządzenia do rolnictwa wprost odnoszące się, w statucie wiślickim zawarte. Przejdziemy je szczegółowo, lecz w skróceniu.

Prawodawca wiślicki stanowi, naprzód co do łożysk rzek i strumieni dziedzictwa rozgraniczających. Porządkuje kary sądowe ciężkie nazwane, składające się z pewnej ilości wolów, które urzędnicy sądowi od skazanych pobierali; w którymto poborze liczne działy się nadużycia. Oznacza preskrypcją statą tak co do ruchomości, jak nieruchomości. Dziedzictwo bezpotomnie zeszyłych kmieci, czyli puściznę, od grabieży ochrania. Oznacza kary za szkody w zasiewach przez trzody i stada poczynione, rozporządzając zarazem, iż zajęte, natychmiast do najbliższego urzędu kasztelańskiego odesłane być winny. Porządkuje stosunek kmieci do panów, pod względem przenoszenia się pierwszych z miejsca na miejsce. Od szkód w przechodach wojskowych, zabezpiecza dobytek rolniczy. Stacyj wojskowych po wsiach zabrania. Przy zakładaniu obozów zakazuje używać budulec. Każe się ograniczać na racyi właściwej dla siebie i konia, pod karą piętnadziestą, i obowiązkiem wynagrodzenia szkód. Lasy od samowolności ubezpiecza, a mianowicie dąbrowy, nakładając za ścięcie dębu większego, lub furę mniejszej dębiny, karę piętnadziestą. Za ścięcie drzewa owocowego, oprócz kary piętnadziestą, 12 gr. płacić nakazuje. Szkodę w borach ograniczonych, dozwala karać fantowaniem w siekierze, ubraniu, za trzecią razą w zaprzęgu. Szczególnie surowo obchodzi się z tymi, cohy nocą zboża z pól zabierali; dozwala ich chwytąć, konie i wozy zabierać i uwalnia od kar za zabójstwo i rany w odporze popelnione. Na panów zpod których ludzie na podobną grabież się udają, karę piętnadziestą nakłada. W razie zaś rany zadanej, lub zabójstwa popelnionego na osobie właściciela stawającego w obronie, opłatę główszczyzny nakazuje. Na zasiewającego cudze pola, stanowi karę piętnadziestą,

prócz utraty nasienia. Na zabierającego i zatrzymującego woły robocze, za każdy tydzień kładzie wynagrodzenia 5 skojców, karę piętnadziestą i winy sądowe. Za zabicie kłaczy ze stada, każe płacić 4 grzywny; źrebięcia 3 grzywny. Za ranienie kłaczy stadnej 1 1/2 grzywny; źrebca 2-letniego 5 grzywien; za starszego źrebca, wartość podług przysięgi poszkodowanego. Stada od św. Wojciecha do św. Michała pod strażą pasac nakazuje, aby szkód nie czyniły. Rozciąga haczość i na pastwiska leśne żołądziowe i bukwiowe dla wieprzów, środki ochraniające własność, i karzące nadużycia przepisując. Karze czyniących szkody w stawach i sadzawkach rybnych. Nie dozwala wreszcie nikomu, nawet urzędnikom, w przejeździe zmuszać rolników do sprzedaży pożywienia dla siebie i koni.

Pod następcami Kazimierzowemi, ustawy rolnicze dopełniały się: ponawiano niektóre, inne zmieniane były, w miarę stosunków i wyobrażeń nowo rozwijających się; były i takie, o których zapomniano.

Na czasy Władysława Jagielly, czyli na rok 1420, przypadają niektóre urzędy co do znaków i spraw granicznych; co do woli kmiczych; obostrzenia kar za kradzieże leśne; przepisy ochraniające lasy od pożarów. Do téjże epoki należą niektóre przepisy do polowania się odnoszące, i obostrzenia co do szkód zrzadzanych przy przechodach wojska.

W roku 1447 zapadła ustawa o wolności rzek, mocą której rzeki: Wisła, Dniepr, Styr, Narew, Warta, Dunajec, Wisłoka, Bug, Bruki, Wieprz, Tyśmienica, San, Nida, Proсна, za rzeki królewskie uznane zostały, za spławne zarazem ogłoszone i uprzątnienie z nich zwał, jazów, młynów nakazane. Do tych rzek później dodano: Brdę, Noteć, Narewkę, Pilicę. Jednocześnie cła wszystkie lądowe i wodne zniesione zostały.

W roku 1496 zapadły ustawy ograniczające ruch ludności rolniczej. Powtórzono i umocniono dawną ustawę, o naznaczaniu cen zbożowych przez wojewodę.

W roku 1507 zwrócono uwagę na miary i wagi. Porównano krakowskie i poznańskie; lwowskie zaś i lubelskie (pro rationabili causa), jak pierwój pozostały.

W roku 1521 zapadła ustawa co do jednodniowej w tygodniu pańszczyzny, o której w poprzedniej części mówiliśmy.

W roku 1523 ogłoszona została ustawa graniczna, czyli *processus observandus circa faciendas limites*.

W roku 1539 zajęto się drogami, ich szerokość oznaczono; nakazano starostom, aby przybrawszy sobie po dwóch ze stanu rycerskiego, obejrzeni je i uporządkowali.

Naprawa Rpltej za Zygmunta Augusta rozpoczęta i do skutku doprowadzona, niektóre prawa upadłe wprawila napowrót w karby, ale wiele się już od statutu wiślickiego zmieniło. Ponowił ten monarcha uwolnienia od ceł, i rozciągnął je do wołów wyprowadzanych przez szlachtę za granicę, jeśli te przez nich były wychowane lub wykarmione. Wydał urządzenia co do równości miar i wag, ponowił co do wolności i spławu rzek. Tenże Zygmunt August zaprowadził podwozy, nakazując po miastach i wsiach podwodnych, chowanie w tym celu, na włóce każdej dwóch koni, które zawsze gotowe być miały i odbywać służbę kolejno tygodniami. Burmistrzowie i wójtowie zawiadywać niemi mieli. Cena, użycie podwód, sprawowanie się biorących je i płacących, szczegółowo zostały opisane.

W roku 1588 ustanowiono szacunek poddanych zbiegłych, kładąc w to żonę, dzieci *et omnem supellectilem* na 500 grzywien polskich.

Spoglądając na powyższy spis ustaw i urządzeń rolnictwa dotyczących, powiedzieć nie można, iżby toż pozostawione było bez opieki władz krajowych. Niektóre nawet z tych urządzeń zalecają się wielką dokładnością, jak np. urządzenie dotyczące podwód. Inne zdaje się iż ściśle wykonywane nie były, jak np. o stacyach żołnierskich i o spławności rzek, lub też później w zapomnienie poszły. Nigdy nie pomysłano o ich uporządkowaniu lub systematycznym układzie. Mieli swoje prawa zwyczajowe bartnicy, mieli jakieś prawo młynarze, których śladu nigdzie nie masz; ale świadczy o nich Ostroróg, dziwi się kto im mógł tak niesprawiedliwe nadać i radzi ich zniesienie. Wszystkie urządzenia były rozrzucone, niekiedy ze sobą w sprzeczności, jak np. te, które się dotyczyły odprawy kmieci. W miarę jak odstępowano od statutu wiślickiego, zamieszanie w nich rosło. Najdotkliwszym był brók urządzeń gminnych, władze, porządek, sądownictwo wiejskie ustanawiających. Gmina jest podstawą państwa, a jej uporządkowanie jest podstawą porządku ogólnego. Lubo pojęcie gminy, jako całości organicznej, nigdy u nas (przynajmniej w czasach historycznych) dokładnie i jasno nie istniało, mniej jednak spostrzegamy zbliżenia się do niego w wieku XIII i XIV, jak w wieku XVI. Już i wówczas zostawała więc każda i osada pod zwierzchnictwem jednego właściciela, który niekiedy posiadał nieograniczoną moc rządze-

nia i sądzenia; jednakże w drobnych właścicielach, wieczystych czynszownikach, w drobnem rycerstwie, ludności wolnej i ruchomej, miała wieś każda i osada żywiły pewne, z których pojęcie gminy i jej urządzenie mogło urosć. Zwierzchnictwo właścicieli ogólnych nie stało temu bynajmniej na zawadzie. Pierwotne prawo polskie zbliżało się niejako do uznania gminy, stanowiąc pewne ciężary i obowiązki niejako solidarnie gminę obowiązujące; co jednakże prawom właścicieli ogólnych nie ubliżało. Wsie na prawie niemieckiem osiadłe, więcej jeszcze zbliżały się do tego, co pod nazwą gminy pojmujemy. Miały swoje władze sądowe, prawa i zwyczaje. Zdaje się, że ukształceniu się gminy u nas, pomiędzy innemi, przeszkodziło i to, iż pojęcie jej ścieśniano w zbyt wązkich granicach. Przez gminę chciano zwykle rozumieć jedną osadę, która niezawsze mogła być dość liczna, ludna i zamożna, aby zawierała w sobie siły i pierwiastki, które gminę stanowić mogły. Gdyby korzystano rozważniej z przykładu praw niemieckich, granice gminy rozszerzono do granic parafii; urządzenia gminne mogłyby były powstać u nas z wielką korzyścią rolnictwa i ogólnej pomyślności kraju. Prawa i władza ogólnych właścicieli nie mogły temu stanąć na zawadzie, bo te prawa i władza nie miały pierwotnie téj rozciągłości, jakiej później nabrały. Owszem, byłby zyskali i oni na tém, bo w braku urzędów i organizacji wiejskiej, przeto i władz miejscowych, musieli sami wziąć w ręce osieroczone naczelnictwo. Z naczelników, zwykłą kolejną rzeczą stali się sędziami i władcami. Otworzyła się w ten sposób droga do nadużyć, nad którymi wszyscy rozsądniejsi ubolewali, a zaradzić im nie byli w możności. Statut wiślicki to urządził, co zastał; nie zastał gminy i nie stworzył jej. Następnie i osady na prawie niemieckiem odstąpiły od swego prawa z upadkiem soltystw. Powoli zmniejszały się żywiły mogące tworzyć gminę: warunków jej żywotności, materiału do jej utworzenia, ubywało. Właściciele poczęli łączyć w sobie i prawa państwa, i prawa właścicielstwa. Prawa uznały ich właścicielami ziemi i patronami osób. Urządzenie prawne gminy albo parafii stawało się coraz więcej niepodobnem i niepotrzebnem.

Równoodległe z tym kierunkiem szło sądownictwo dominialne. W czasach przedstatutowych było ono przywilejem, który monarchowie nadawali niekiedy. Po statucie nie istniało prawnie. Wszystkim służyła opieka ogólnego prawa ziemskiego, wyjąwszy tych, którzy sądom soltysów ulegali. Z kolejnem wychodzeniem z pamięci i użycia statutu wiślickiego, opieka prawną słabła, i coś innego w miej-

scę jej wejść musiało. Statut z r. 1406, każąc mieszczanom za długi kmieccę do dominium się odwoływać, i dominium tylko za zwłokę lub zły wymiar sprawiedliwości pociągać, ugruntował niejako, uprawnił sądy dominialne, których istnienia prawo dotąd nie przypuszczało. Ostroróg wspomina, że ubogim źle była w sądach wymierzana sprawiedliwość; musiało to dawniej lud uboższy odstręczać od używania téj drogi, a później godzić ich z sądami domowemi, i mniej uciążliwemi je czynić w ich oczach. Zdaje się, że w wielu wsiach i osadach istniał zwyczaj, iż gromady obierały same sołtysów i ławników, którzy spory pomniejszych rozsądzały i niektóre czynności ogólne załatwiali, bo zwyczaj ten w niektórych miejscowościach do nowszych czasów się dochował. Ale powszechniejsze musiało być urządzenie odmienne, bo Kromer wyraźnie mówi (1): „Włodarze i przełożeni pańscy sądzą na wsiach jak im się zdaje, i raczej dowolnie, aniżeli podług prawa.” Proces sądowy z r. 1523 (2), przepisując formę pozwów, już nie uważa osoby poddanego za mocną do działania sądowego. Nie jest mu odmówiony wymiar sprawiedliwości, ale jej upominanie się na pana przeniesione. Za rany i zabójstwa obowiązany stawąć z swoim patronem, o krzywdę każdą, o zabranie sieni u rzeki, wybranie miodu z barci *et his similibus*, nie poddany, ale pan upominać się prawem powinien (3). Tym sposobem powstało i ugruntowało się sądownictwo dominialne, mniej, jak powiedzieliśmy uciążliwe dla złego i drogiego wymiaru sprawiedliwości po sądach, niemniej dla tego, że duch chrześcijański i łagodność obyczajów umiały jeszcze wówczas słodzić surowość i uciążliwość praw nowych.

Litwa otrzymując później księgę praw, mogła ją mieć porządniej ułożoną jak prawa koronne, które były lepianką różnych czasów, okoliczności i potrzeb. Ale ten sam duch wieje w statucie, a przepisy i urzãdzenia dotyczące rolnictwa, nicco dokładniejsze wprowadzie, w gruncie niewiele się różnią od koronnych. Oprócz takich, jakie już w Koronie spotykaliśmy, zawiera i takie, jakich tam nie było: w roz. IX o zalaniu przez wody młynów i łąk; o obchodzeniu się ze zbożem na gruncie zakwestyonowanym. Tenże rozdział zastrzega, aby nikt nie kupował gruntu od cudzego chłopca, i do robót go nie najmował. Rozdział V art. 9 stanowi, iż z ludzi niewolnych, panowie czynić sprawiedliwość mają, a nieczyniący w sądzie odpowiedzialni. W drugim statucie dodano, że wszyscy panowie, dzierżawcy i urzę-

(1) De siltu etc str. 156. (2) Vol. I, str. 426. (3) Consuet. Herhurt. 260.

dnicy, tak w dobrach panującego jak w prywatnych, czyniąc sprawiedliwość ze sług swoich i poddanych, brać więcéj nie będą nad to, co w tym statucie dla wszystkich urzędników jest oznaczone. W rozdz. XII, który w II i III statucie jest rozdz. XIII, spotykamy szczegółowo oznaczone ceny koni stadnych, zboża, psów myśliwskich, ptaków łowczych i t. d. W rozdz. XIII, w II i III statucie X, przy obostrzeniach co do polowania, oznaczone są ceny zwierzyny. Rozciągnięta opieka nad barciami, sianożęciami, gniazdami sokolemi, bobrowemi gonami i chmieliskami.

Jak powiedzieliśmy, ten sam duch wieje w statucie, co w prawach koronnych. Urządzenia gminy nie istnieją, a raczéj istnieją takie, jak w Koronie. Obie księgi praw są w tym przedmiocie bardzo do siebie podobne, tylko, że co dla Litwy było krokiem naprzód, dla Korony było krokiem w tył.

Taki jest rys urzędzeń i postanowień bezpośrednią styczność z rolnictwem mających. Przeniesiemy teraz uwagę naszą na ogół prawodawstwa dla obejrzenia, o ile duch jego i kierunek pośrednio mógł wpływać na losy rolnictwa krajowego. Nie będziemy wcale wchodzić w szczegóły, ani historyi prawa przebiegać. Dosyć nam będzie do naszego przedmiotu, myśl jego i to w ważniejszych znaczących epokach uchwycić, aby wyprowadzić wnioski, które rzucą pewne światło na rozbierać się mającą materją.

W XIII i XIV wieku kraj był wyludniony, pozbawiony rzemiosł, przemysłu, miast; brakowało mu rzemieślników, rolników i obrońców. Wszystkiego tego gwałtownie potrzebował, i to było warunkiem jego życia i jego przyszłości. Wyniszczyły go wieloletnie klęski; potrzeba było wielkich usiłowań, aby rany zagoić. Tu więc dążność, ta potrzeba, ta myśl przebija się, góruje wszędzie w pomnikach ówczesnych; kieruje wszystkiemi urzędzeniami, nadaniami i przywilejami. Dla dopięcia tego celu robiono wszystkie usiłowania i poświęcenia. Aby zachęcić ludzi do rolnictwa, wprowadzono prawo niemieckie, przyjęto system kolonizacyjny i czynszowy. Monarchowie robili nadania prywatnym, aby za ich pośrednictwem i staraniem wznosiły się nowe osady. Ponieważ według ówczesowych wyobrażeń każdy właściciel ziemi obowiązany był do służby wojennej, dla pomnożenia żołnierza, mnożono liczbę własności i właścicieli. Obcy osadnicy, zakładające się miasta, nadaniami i przywilejami obdarzane, dźwigać miały przemysł i handel. Ale wśród tych różnorodnych usiłowań do jednego celu skierowanych, zrodził się zamęt, anarchia prawna. Odmienne prawa mieszały się z sobą i krzy-

żowały, nadania stały wyżej nad wszelkie prawa. Własność, dziedziczenie, puścizny ani określone prawnie, ani uporządkowane stale nie były. Tęto anarchią uprzętnął statut wiślicki. Nie porzucając bynajmniej myśli podniesienia ludności kraju przemysłowej, rolniczej i rycerskiej, owszem obronę kraju, przemysł i rolnictwo ciągle mając na oku, wyrzekł się stronnictwo, i opiekę równą nad wszystkimi rozciągnął. Klasyfikując społeczeństwo wedle różnic jakie w niem zastał, wszystkie klasy puklerzem prawa osłonił. Dla drobnych własności nie poświęcił większych, ani większych dla mniejszych. Wolność osobistą choć do pewnego stopnia ubezpieczył. Nic nie wyrzucił, wszystko uporządkował. Mimo wielu niedokładności i uszczerbków, nie można mu odmówić wysokości zalety, iż był sprawiedliwym, a przynajmniej dążył do sprawiedliwości.

Wpływ tej księgi praw nie mógł pozostać bez śladu w rolnictwie, przemyśle, pomyślności i bogactwie kraju. Gdyby prawodawstwo późniejsze było szło ciągle w tak wytkniętym kierunku, byłoby doprowadziło kraj do gruntownej i istotnej pomyślności. Ale stosunki polityczne sprowadziły je na inną drogę. Poczęto odstępować od ducha statutu. Tracono coraz więcej z oka wzgląd na przemysł i wzrost miast; stan rycerski wziął na siebie obronę kraju, a w zamian odebrał znakomite przywileje. Z kolejną czasów uzyskał wolność od ciężarów i podatków, od ceł i myt; prawo do wszystkich urzędów i godności duchownych i świeckich; zapewnienie zwrotu za szkody wojenne i okup; zapewnienie wynagrodzenia w razie wojny za granicą; zrzeczenie się stacyj monarszych i uwolnienie od leży wojskowych; prawo stanowienia podatków i układania praw. Do powiększania własności ziemskiej otwierały mu drogę wolność skupu soltystw, tudzież wyrzeczenie prawa, mocą którego stan rycerski tylko uznano za zdolny do posiadania ziemi prawem własności.

Nie do osoby, urodzenia, pochodzenia, ale do posiadania ziemi połączonego z urodzeniem, przywiązywało prawo używanie powyższych przywilejów. Czy kto posiadał więcej lub mniej ziemi, to nie stanowiło różnicy. Ale ta szlachta, co po miastach siedziała, nie mając gruntowej własności, nie miała żadnego znaczenia. Przywileje więc nadane stanowi rycerskiemu były rzeczywiście przywilejami większej własności ziemskiej. Przez te zyskała ona ogromne korzyści. To nadało popęd wielkiej uprawie, a stłumiło zbytecznie posiadłości nieuprzywilejowane. Z czasem wszelka pomiędzy nimi równowaga upadła. Wydało to czasowe świetne rezultata, ale tkwił w tej pomyślności zarodek choroby.

Jednocześnie tarcza opieki prawa zastaniająca małych i wielkich za czasów statutu, znikła. Prawo, sąd, urząd, były dla jednych, ale nie nad wszystkimi; wszelka władza stała się przywilejem własności ziemskiej.

Porównywając więc wpływ praw dawniejszych z temi, jakie wiek XV i XVI wydał, spostrzegamy, iż pierwsze wydały wzrost miast, przemysłu, handlu, ludności, kultury rolniczej; drugie dały popęd wielkiej uprawie. Za nią poszedł kolosalny wzrost produkcji i bogactw. Z rozszerzeniem państwa, handel się rozszerzył. Wszystko to dawało krajowi wielką świetność i blask zewnętrzny. Ale w pierwszej epoce pomyślność więcej była ogólną; dostatki mniej były kolosalne, ale więcej warstw społeczeństwa sięgały. Produkcya mniejsza, ale nie tak drogo okupiona.

Wiek XIV i XVI sąto dwa punkta kulminacyjne świetności kraju i pomyślności rolnictwa krajowego. Obie te epoki doszły do tej pomyślności i świetności drogami odmiennymi, i na innych spoczywały podstawach. Tém więc ciekawszem jest, która zdrowsze i posilniejsze wydała owoce, która więcej zarodów życia i czerstwości w sobie miała. Patrząc jednak uważnie, i bezstronnie ważąc je na szali, pierwsza niosła liczne zarody przyszłej wielkości, druga różne zarody chorób i kalectw.

Prawodawstwo XIV wieku wyszło z anarchii i niemocy; wszystkich elementów jakie w kraju znalazło, umiało użyć na zbudowanie gmachu jeśli nie doskonałego, to przynajmniej mającego wszystkie warunki życia i przyszłego doskonalenia. Cechą jego jest rzetelne i ciągłe dążenie do sprawiedliwości. Nic nie burząc, wszystko odbudowało: było więc prawdziwie zachowawczém, zachowawczém w rzetelném znaczeniu tego nadużywanego wyrazu. Prawodawstwo z końca XV i XVI wieku, wzrosło wśród stanu pomyślności ogólnej, którą pod wielu względami nadwątlilo. Jedne żywioły siły krajowej poświęciło dla drugich. Pod wpływem obawy szerzącej się reformy, a raczej skutków jakie gdzieindziej sprowadzała, wyszło z wszelkich granic sprawiedliwości. Usiłowało być bardzo zachowawczém, i stało się wsteczném. Wracalo rzeczywiście kraj na drogę tej anarchii, jaką statut wiślicki zniszczył. Przykład tych dwóch prawodawstw utwierdzić może w przekonaniu, że sprawiedliwość tylko jest istotnie i rzetelnie zachowawczą.

KSIAZDZ DEFINITOR.

(USTĘP Z NOWEJ GAWĘDY).

O miłe w wiosce był dom plebana,
Mała świetlica w ziemię schowana;
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek boży mieszkał w tej chacie:
Ksiądz definitor święty, wymowny,
Szanowny wiekiem szlachcic herbowny.
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi;
Wziął pół włócz gruntu, i na tej ziemi,
Pracował równo z owieczki swemi.

Czy raz bywało widziéć się zdarza,
Jak święty starzec w porannéj porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże.
Dwa chromiejące kościelne dziady,
To była cała jego postuga.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Idzie do lasu, kołków nastruga.
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc paciérz łaciński śpiewa!

Gdy chcesz mu oddać jakie usługi,
Nigdy nie przyjmie, uchyli głowę:
„Za dobre chęci zapłać ci Chryste,
Masz waszeć bratku prace domowe,
Ja sam chcę sprawiąć pole ojczyste.”
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, poźnie.

Na jego sznurach najlepiej rodzi,
 Jego przekosów nie znosi woda;
 Gdy on na łękę z kosą wychodzi,
 Pewno dni kilka będzie pogoda.

Z długich doświadczeń jego żywota,
 Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie;
 Drożyzna, pomor, pogoda, stota,
 Ksiądz definitor wszystko przepowie.

I cóż dziwnego? wszak jego oko
 Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
 Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
 Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
 Może mu nawet w samotnej celi,
 I święci Pańscy coś podszeptali.

Kiedy śpiew starca zadrzy w kościele,
 Jakaś cię rzewna skrucha ogarnie.
 Rzekłbyś: apostoł, kiedy w niedzielę
 Prostemi słowy uczy owczarnię,
 Kiedy tłumaczy ze świętej księgi:
 „Jako pokorny Zbawiciel świata,
 Składa majestat Bożej potęgi,
 I w ciele ludzkim z człkiem się brata;
 Bóg z nędzarami żyje pospołu,
 Między grzeszniki siada do stołu,
 I daje siebie przybić do krzyża,
 I składa ciało w człowieczym grobie.
 Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
 By nas uzaenił, podniósł ku sobie;
 A u nas.... szlachcie, jasnie wielmoże
 Rad, że mu herby dała ojczyzna:
 Bóg został człkiem, a on nie może;
 Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna.
 Wstyd mu z wieśniaki hawić pospołu,
 Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
 Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
 Za jeden puhar starego wina,
 Głodna i chłodna chłopska rodzina
 Na rok-by miała cbleba i soli.
 Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
 Pany się waśnią, idą na noże;
 Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
 Bo nie dla niego honor człowieczy.”

Tak to bywało: głośno i śmieie,
 Ksiądz definitor gadał w kościele.

Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
 Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
 W oczach, do braci, prośba za braćmi,
 Albo za ludźmi prośba do Boga.
 Ani przeklina, ani się dąsa,
 Lecz z płaczem piekło stawi przed oczy;
 Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
 Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.

Bo jego spowiedź—wieczna nauka!
 Nim rozgrzeszenia krzyżyk zakryśli,
 Nim w trybunału krótkę zapuka,
 Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli:
 I tak przekona, i tak poruszy,
 Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
 Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
 Łzami zpod serca trzykroć się zleje.

A po spowiedzi—o długo, długo
 Będzie spokojném sumienie twoje!
 Będziesz skwapliwy z bratnią postugą,
 Krzywdę bliźniemu wrócisz we dwoje.
 Wesole serce.... och popamięta,
 Że w nióm złożona hostya święta!

Kiedy wieczorem szarzeje pora,
 On pieszo zwiedzał poblizkio domy.
 Zdała poznałeś definitora,
 Po kapeluszu z zielonój słomy.
 Za cieniem wzniosłej świętój postawy,
 Szło zawsze wierne, pieszczone psisko:
 Jak owca biały i kędzierzawy,
 Pamiętam: *Servus* jego nazwisko.
 A ksiądz czeczotką kroki podpiera,
 Idzio powoli, i ziółka zbiera.

On i w pałacu, i w prostój chacie
 Pomagał, radził, krzepił na duchu;
 Z panem i chłopem za *panie bracie*,
 Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

Wł. Syrokomla.

TOBIASZ.

Trup wyschły, kruchy, stem wicków stoczony,
 Póty jest ciałem, póki w ciszy lochu
 Leży spokojnie. Zaledwie trącony,
 Kruszy się, znika—zostawia garść prochu.

Izrael także zepsuty przez złości,
 Długo się trzymał zniszczony, lecz cały;
 Przyszedł wróg silny, trącił stare kości,
 A trup się rozpadł—i prochy zostały.
 I skruszonego szczątki pokolenia
 Padły, czekając gdzie je wiatr zamiecie;
 I z zimnym prądem poszły przeznaczenia,
 A prąd je rozwiął po obszernym świecie.

I w całej ziemi niezmiernym przestworze:
 Wśród skwarów słońca, wśród bieguna lodu,
 Gdzie miasta, puszcze, gdzie lądy, gdzie morze,
 Żyły potomki zgasłego narodu.

Jeden z nich, Tobiasz, dobry i pobożny,
 Wśród assyryjskiej Niniwy się chował,
 Gdzie Salamanzar, król wielki i możny,
 Licznym narodom cnotliwie panował.
 Raz przed swym domem, na wzgórkcu darniowym
 Zasiadł, chcąc cieszyć się widokiem świata;
 A właśnie wiosna porankiem majowym
 Błysła, w barw krocie przyrody bogata.
 Słońce się zwolna wznosiło do góry,
 I wszędzie światłość dobroczynną siało;
 Zniknęły cienie, stopiły się chmury,
 Wszystko potęgą piękności jaśniało.
 Wszędzie weselne rozległy się pienia,
 A z nich wyrosła pieśń cudna i błoga,
 Świat cały powstał w zachwycie natchnienia,
 Niosąc cześć stworzeń dla swojego Boga.

I Tobiasz także uczuł w swoim łonie
 Jakąś moc świętą, jakiś urok tkliwy;
 Zwrócił wzrok w niebo, podniósł w górę dłonie,
 I łzą wdzięczności zapłakał szczęśliwy!
 Bo Bóg we wszystkiem sprzyjał mu na świecie,
 W każdym zdarzeniu wspierał, błogosławił:
 Dał żonę dobrą, i cnotliwie dziecię,
 Wiarą wznosił serce, duszę łaską zbawił.
 Obdarzył złotem, miłością, znaczeniem,
 Powagą, szczęściem, dostatkiem i chwałą;
 A gdy myśl jego wyrosła życzeniem,
 Wnet to życzenie czynem się stawało.

I spojrzął wkoło mąż łaską szczęśliwy,
 Spojrzął, i piersią teńną wiosny woń młoda,
 A powab świata, wdzięk przyrody żywy,
 Rozlał się w myśli z uczucia swoboda.
 I patrzył długo na niebios sklepienia,
 Na kwiaty, drzewa, na łąki, na góry,
 I słuchał długo dziękczynnego pienia,
 Co w krocjach głosów splotło hymn natury.
 I myślał sobie o szczęściu, miłości,
 O dobrej żonie, o synie cnotliwym,
 I w oczach jego błysk zachwyty radości,
 I dumął, marzył—i czuł się szczęśliwym!

Wtém mu się zdało, że słońce blednieje,
 Że nie tak jasne toczy już promienie,
 Że w całym świecie jakaś mgła się leje,
 I émi barw żywych zielone przestrzenie.
 Patrzy zdziwiony, a wszystko dokoła
 Kryje się jakąś przejrzytą oponą;
 Ziemia przed chwilą tak żywa, wesola,
 Zdaje się smutną, tęskną, opuszczoną.
 I patrzy jeszcze wkoło osłupiały,
 A patrząc wierzyć nie może złudzeniu:
 Powietrze, niebo, ziemia, i świat cały
 Zdają się ginać w fantastycznym cieniu.
 Cień ten, raz zwolna po przestrzeniach płynie,
 Zuów w drobnych prążkach migocze przed okiem;
 Tu w ogrom rośnie, tam w atomach ginie,
 Grubieje, gęstnieje—i staje się mrokiem.

Przelekły Tobiasz z siedzenia poskoczy,
 I poruszony obawą tajemną
 Przeciera jeszcze drżącą dłonią oczy,
 I patrzy wszędzie—a wszędzie jest ciemno!
 A jednak czuje jak słońce ogrzewa,
 Jak wietrzyk chłodzi, jak z drzew rosa ścieka;
 A jednak słyszy jak chór ptasząt śpiewa,
 Jak strumyk szumi po łąkach zdaleka.
 Nie mogąc pojąć dziwnego złudzenia,
 Szuka wciąż światła po ciemnym przestworze,
 I wzrok natęża z mocą wysilenia,
 I patrzy, patrzy—a widziéć nie może!
 —„Synu!”—zawoła—,i ty żono miło,
 Chodźcie zobaczyć co się dzieje w świecie:
 Z światła się ciemność, z dnia zaś noc zrobiła;
 Chodź żono droga, chodź kochano dziecię!”
 Biegną do niego, i słyszy ich kroki,
 I głos ich dźwięczny, i śmiechy ich hoże;

Chce myślą przedrzeć niepojęte mroki,
 I patrzy, patrzy — a widzieć nie może!
 — „Spojrzyjcie!” — krzyknie — „to cud oczywisty,
 To jakaś wieszczba nieznaną, tajemną;
 Zniknęły światła, zómił się lazur czysty,
 I noc jest wszędzie: — noc straszna, noc ciemna!
 — „Kochany mężu“ — odpowie głos żony,
 „Rozbudź się, ocuć, skup rozpierzchnie myśli;
 To umysł senném widziadłem strwożony,
 Wśród dnia, w twój głowie nocno mary króśli.“
 — „Matko!” — zawdzięczy głosik syna mile,
 „On drży, on blady, pot mu ciecze z czoła!
 Ah ojcie drogi! chodź, odpocznij chwilę,
 A wnet spoczynek błogą myśl wywoła.“
 — „Synu mój, żono! — ta wesołość wasza
 Jakąś obawą przejmuję mnie skrycie,
 Dręczy, porusza, dotyka, przestrasza;
 Skończ droga żono, skończ kochane dziecię!
 O! patrzcie, patrzcie, jak wszędzie jest ciemno,
 Jak straszno, smutno, jak czarno na świecie;
 Wszak wy to wszystko widzicie wraz ze mną,
 A przez żart płochy powiedzić nie chcecie?“

I gdy to mówi, czuje łzę swęj żony,
 Która po rękę powoli mu spływa:
 — „Tyś chory mężu, tyś drzący, wzruszony!”
 Woła z rozpaczą Anna nieszczęśliwa.
 „Spojrz na to słońce, co tak pięknie świeci,
 Na to tak jasne błękitu sklepienie,
 Na kwiaty, łąki, na ptaszka co leci,
 Uczuj moc Boga — a minie cierpienie!”
 A on raz jeszcze przeciera swe oczy,
 Raz jeszcze światła szuka po przestworze;
 I pragnie przebić cień co świat mu mroczy,
 I patrzy, patrzy — a widzieć nie może!
 — „O Boże!” — krzyknie — „co to wszystko znaczy,
 Czy to sen marny, czy przykre złudzenie?” —
 I wzrok wysiła z potęgą rozpaczy,
 I nie nie widzi, tylko czarne cienie.

A wtém myśl straszna wyradza mu w głowie
 Uczucie takięj zgrozy i boleści,
 Że żaden język w świecie nie wypowieć,
 Ile męk w sobie to uczucie mieści.
 — „Płaczcie!” — za woła — „o płaczcie nademną,
 Mąż, nie znam żony; ojciec, nie znam dzieci.
 Myśl ma spętana walczy nadaremno,
 Nie przedrze cieni, nocy nie rozświeci!

Choć wołą silny, czuję się nikczemnym,
 Mniejszym jak zwierzę, choć mam Boską duszę;
 Życie mi śmiercią, ziemia grobem ciemnym,
 Ja jestem trupem—a jednak żyć muszę!
 O płaczcie, płaczcie, z całą żalu siłą,
 Męża i ojca, brata i człowieka;
 Bo dla mnie wszystko, wszystko się skończyło,—
 Ja nic nie widzę—jam ślepy kaleka!”

* * *

Minął czas długi, a poranek wiosny
 Znów barwą życia rozzielenił niwy;
 Znów brzmiał po gajach chór ptaszek radosny
 I świat się zbudził: rozkoszny, szczęśliwy.
 I świetno gmachy wspaniałej Niniwy,
 Zabłyśły złotem Boskiego promienia;
 I każdy z ludzi zbudził się szczęśliwy,
 Czując w swém sercu powab odrodzenia.
 A promień słońca siejąc blask swój błogi
 Przez góry, miasta, przez lasy, przez rzeki,
 I tam dostrzelił, gdzie był dom ubogi
 Biednego starca, ślepego kaleki.

Lecz on się jeden nie cieszył z innemi,
 On jeden nie czuł życia świętej mocy:
 Bo ten blask słońca co stworzył dzień ziemi,
 Czarnej dla niego nie rozświecił nocy.
 I siedział smutny przed progiem swój chatki,
 I żał mu każda rodziła godzina:
 Bo znikł dobytek, zniknęły dostatki,
 Sam, bez przyszłości, stracił przyszłość syna.

Przed rokiem jeszcze, gdy nędzą rodziny
 Wniosła głód straszny do chaty ubogiej,
 Pomniał, że kiedyś wśród Medów krainy,
 Mieszkał przyjaciel sercu jego drogi:
 Tobiasz biednemu udzielił pieniędzy,
 Wspart radą, złotem, podzielił się mieniem,
 Minęły lata, i sam uległ nędzy,
 A zaś przyjaciel żył możny znaczeniem.

—„Synu“—rzekł wtedy—, w medyjskiej krainie
 Mieszka mąż prawy, krewny twojej matki;
 Ten mąż bogactwem i znaczeniem słynie,
 Ma złoto, srebro i mnogie dostatki.
 Jam go wsparł w nędzy—teraz mą rodzinę
 Ucisku bieda, przygniata cierpienie;
 Idź synu drogi w medyjską krainę,
 A on ci wróci majątek, znaczenie.”

I gdy tak mówił, urodny młodzieniec
 Stał na progu biednej starca chaty:
 Na licu jego rozkwitał rumieniec,
 Po barkach śnieżne spływały mu szaty.

— „Chcesz syna wysłać” — rzekł — „w daleką drogę,
 W odległe kraje, między obce ludy;
 Ja dziecku twemu przewodniczyć mogę,
 I zwalczyć wszystkie tej pielgrzymki trudy.”

— „Kto jesteś?” — biedny kaleka zapyta.

— „Jestem Azaryasz!” — młodzieniec odpowie.

— „O! w głosie twoim słuch mój przyszłość czyta,
 Idźcie!” — rzekł starzec: — „niech Bóg wam da zdrowie.”

I poszli razem. Długi czas upłynął,
 I w smutku dnie swe trawiła rodzina;
 Przeszły miesiące, i rok cały minął,
 I wciąż czekali, a nie było syna.

A teraz starzec czując powab wiosny
 W Boskiego słońca ożywczym promieniu,
 Słyszac śpiew ptasząt: wesoly, radosny,
 Wspomniat na syna, i płakał w milczeniu.

A gdy tak siedział płacząc swój niedoli,
 Skrzypty drzwi chaty, zachrzęściły kroki,
 I ktoś się zbliżył do niego powoli,
 I jęk się rozległ wśród ciszy głęboki.

— „Żono, ty jęczysz!” — zawoła kaleka —

„Lecz jęk w twym sercu niewdzięczność obudzi:

Pamiętaj żono, że Boska opieka

Nawet w nieszczęściu nie opuszcza ludzi.”

— „Tak” — przerwie Anna — „zanuć pieśń dziekczynną,

Bądź święty duchem do życia ostatka;

Lecz moja boleść od twojej jest inną:

Cierpisz jak ojciec — ja cierpię jak matka!

Ty masz żal w sercu — ja czuję męczarnię;

Ty łzę poświęcasz — ja poświęcam duszę;

Ty woli nieba poddajesz się marnie,

Ja Boga przeklnę, a syna mieć muszę!”

Rzekła, on powstał, i drżąc z oburzenia:

— „Nie bluźń niewiasto twą mową zawziętą!

Klęknij, i módl się, i proś przebaczenia,

Bo Bóg jest wielkim — wola Boga świętą!”

I głos kaleki takim brzmiał wyrazem,

Takiem natchnieniem oblicze zabłysło,

Że biedna matka przed świętym rozkazem

Klęka, a z oczów dwoje łez wytrysło.

— „Niewiasto!” — krzyknie kaleka natchniony —

„Spójrz na mnie, zrównaj wielkość mej ofiary,

Jam wyschły bolem, cierpieniem zniszczony,
 Jam stracił wszystko: oprócz czci i wiary.
 Ja cierpię z tobą, z tobą czuję razem,
 A jednak w duszy srogie trawię żale;
 Dla mnie świat śmierci, dzień nocy obrazem,
 Cierpię, lecz milczę—i Boga wciąż chwaleb!

I gdy to mówi, na drodze zdaleka,
 Zza lasu szereg wielbłądów wystrzela,
 I płynie zwolna, niby złota rzeka,
 Skupia się, cienknie, gromadzi, rozdziela.
 A za nim dąży poczet jeźdźców długi,
 I stada wołów, i trzód licznych wiele:
 Bogato wozy, niewiasty, i sługi,
 I dwóch urodnych młodzianów na czele.
 Zbliża się poczet, rozszerza się, rośnie,
 Słychać gwar zdala, niby szum bałwanu:
 I gwar się zwiększa, i huczy donośnie,
 Niby wzburzone fale oceanu.
 A młodzian z tłumu wybiegnie ochoczo:
 —„Ah ojczel—matko!”—„oh synu mój drogi!”
 I trzy się głosy z trzech piersi wytoczą,
 I złączą w jeden okrzyk szczęścia błogi;
 I trzy sere razem, jak jedno zatleją,
 Potęgą wiary, zachwytu, radości;
 I trzy się duszo w jedną duszę zleją
 I wzrosną w święte uczucie miłości!

—„Ojczel!”— rzekł młodzian—„powracam ci mienie,
 Dziel szczęście ze mną: ja w obszernym świecie
 Znalazłem żonę, z nią miłość, znaczenie,
 A w żonie drugie daję tobie dziecię!”

I dziewczę chyli przed niemi swe czoło,
 Całuje ręce, i ścisła kolana,
 I dźwięcznym głosem zawoła wesoło:
 „Ah, ojczel drogi, ahl matko kochana!”

Zapłakał starzec, a z łzami kaleki
 Zda się, że razem i czarny mrok spływa;
 Zda się, że w ciemni miga błysk daleki,
 Że łza tryskając, cień nocy rozmywa.
 I łzy wciąż płyną, a z najmniejszej łezki,
 Drobną iskierką światłości się rodzi,
 I mrok się w lazur przerzedza niebieski,
 I sto promieni z każdej łzy wychodzi.
 I kroci światło rozlewa się łuna,
 Skrząc złotą siecią miliona promieni,

I sływa łezka, i spada załona,
I świat się piękny rozjaśnia wśród cieni.

A starzec spojrzy po obszernym świecie,
I wzrok zagłębi w niebieskim przestworze;
Spojrzy na żonę, na kochane dziecię,
Patrzy i widzi—a wierzyć nie może!

—„Złudo!”—zawoła—„błoga myśli siło,
Niech choć przez chwilę z tobą się popieszczę,
Niech się nacieszę barwą twoją miłą:
O złudo święta, nie ulatuj jeszcze!”

I gdy tak błaga o chwilę marzenia,
Znika ostatni odcień mgły srebrzystej;
I świat się wdziękiem życia rozpromienia,
I blask wokoło roztacza się czysty.

A on wciąż widzi swe dzieci i żonę,
I piękną ziemię, i niebios sklepienie:

Wre myśl, pierś pała, drży serce wzruszone;
Szczęśliwy, poznał, że to nie marzenie!

Poznał, i Bogu postać myśl w podzięce,
Wyciągnął dłonie do syna, do żony.

Spojrzął raz jeszcze, raz jeszcze wzniosł ręce:
—„Widzę!”—zawołał, i upadł zemdlony.

Gdy się to działo, opodał w milczeniu
Stał ten, co syna z Mędów wiódł krainy;
Stał, i w najwyższym szczęścia upojeniu
Patrzył na radość enotliwej rodziny.

A w cudnych rysach twarzy jego świętej,
Taka się słodycz rozlała nieznana,

Że urok jakiś, wielki, niepojęty,
W serce każdego wlał cześć dla młodziana;

A starzec ledwie powstać z ziemi zdołał,
Już złożył ręce wdzięcznością wzruszony,

Już drżącym głosem radości zawołał:

—„O Azaryaszu bądź błogostawiony!
Jam schnął w boleści, marniał w poniżeniu,

Jam się wznieść nie mógł z nieszczęść mych ogromu,
Jam lata całe przejęczał w cierpieniu,

Tyś wszedł, tyś szczęście wniósł do mego domu!
Mnie straszna przyszłość dziecięcia dręczyła,

Mnie mrok ślepoty, w ciemność nocy rzucił,
Mnie głód dokuczał, mnie nędza trawiła,

Jam stracił wszystko—tyś wszystko mi wrócił!
O Azaryaszu! nie pogardź darami,

Ty, coś się dla nas stał wybawicielem;
Przyjmij cześć naszą, podziel mienie z nami,
I bądź mi synem—jemu przyjacielem!

— „Starcze!“ — rzekł młodzian — „Bóg ciębie zaślonił,
 Bo mu twa cnota, twa ufność jest znana;
 Kiedyś w strapieniu pierwszą łzę uronił,
 Jam wtedy zaniósł łzę twoją do Pana.
 Niech ci dni szczęścia z źródła wiary płyną,
 Niech ród twój wzrasta w łasce niepojętej:
 Starcze, Bóg z tobą, Bóg z twoją rodziną,
 Jam jest Rafael, anioł Pana święty!”

Rzekł, a wтім z ramion dwa skrzydła wystrzelał,
 Szata się barwą tęczy rozplomieni,
 Pod stopą siwe obłoki zabielał,
 Z twarzy pół-kole wytryśnie promieni.
 Przedrze się gęsta chinur czarnych opona,
 Zaskrzy w blask słońca laurowa droga,
 I z światła niebios błyśnie wszędzie łuna,
 I wzleci anioł przed majestat Boga.

Pisałem w Radoszewicach,
 dnia 12 stycznia 1851 r.

Ludwik Niemojowski.

CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA

DNIA 28 LIPCA R. B.

OBSERWOWANE Z WYSOKIEGO MAZOWIECKIEGO.

PRZEZ

Stanisława Przysiańskiego.

Całkowite zaćmienie słońca, z przyczyny obfitości wypadków naukowych, rzucających światło na budowę ciał niebieskich udział w niem biorących, należy do najciekawszych i najważniejszych zjawisk astronomicznych. Naukowa ważność tego fenomenu jeszcze więcej wzrasta, skoro weźmiemy na uwagę długi peryod jego powrotu w danej miejscowości, i często przytrafiający się nieprzyjazny stan atmosfery. Tak np. podczas całkowitego zaćmienia 1842 r. na 9 stacyj urządzonych w Rosyi, jedna zaledwie mogła obserwować to zjawisko.

Jedyny środek usunięcia tej ostatniej przeszkody jest obserwowanie z wielu punktów różnie położonych wzdłuż całej linii środkowej pasa ciemnego; przez to bowiem nietylko usuwa się obawa chybienia obserwacyi na całej długości pasa, ale nadto zyskuje się na wszechstronniejszym przpatrzeniu się zjawisku, jako z miejsc mniej lub więcej dogodnie położonych.

Lecz ta metoda obserwowania ogólnych zjawisk, powszechnie dziś wprowadzana do nauk fizycznych, prawie niedostępna jest dla prywatnych, bo przechodzi ich środki; rządy jedynie, jako władne nietylko środkami finansowemi, ale mające do rozporządzenia wszelkie ułatwienia, mogą być w tych razach jedynym wspar-

ciem dla nauki. I rzeczywiście, jeżeli zważymy jak ogromna jest ilość obserwatoryj astronomicznych, magnetycznych, meteorologicznych, jak wielkie koszta wychodzą na ekspedycje naukowe, utrzymanie i zaopatrzenie w odpowiednie instrumenta, przestaniemy się dziwić więcej jak szybkiemu postępowi tych nauk w XIX stuleciu. Takie olbrzymie środki, takie współdziałania władz i ludzi oświeconych, mogą wielkie i prędkie dla błogiego bytu ludzkości wywołać rezultata.

Jakkolwiek zaćmienie całkowite, którego byliśmy świadkami, przesunęło się tylko po Norwegii, wschodnich Prusach i Rosyji, jednak wszystkie kraje przez pośrednictwo swych wysłańców miały udział w śledzeniu jego faz; zaćmienie jakby skierowane zostało przez całą północną i środkową Europę. Anglia usadowiła się w Norwegii, Francuzi przybyli do Gdańska, Prusacy śledzili w Gdańsku i Królewcu, z Wiednia nawiedzono Brody. Najliczniejsze jednak były stacje w cesarstwie rosyjskiem, bo rozsiądane wzdłuż całego pasa od pruskiej granicy aż do Persyi, jakoto: w Augustowie, Łomży, Białymstoku, Brześciu, Żytomierzu, Machnowce, Elizabetgradzie, Bobrzyńcu, Mikołajewie, Berdyjańsku, Kerczu, Perkopie, Władykaukazie, Tyllisie, Achalcyku. W królestwie oprócz obserwatoryum warszawskiego, zaopatrzonego naturalnie w dokładne potrzebne do tego instrumenta fizyczne, JW. Kurator O. N. W. oceniając ważność dla nauki tego rzadkiego fenomenu, po wzajemnym skomunikowaniu się z c. rosyjską Akademią Nauk w Petersburgu, zaopatrzył w środki i wysłał do Wysokiego Mazowieckiego, miasteczka leżącego w pobliżu środkowej linii, osobną ekspedycją do śledzenia tego zjawiska. Zważając przytóm, że obserwowanie tego fenomenu przedstawia bardzo wiele okoliczności, których w tak krótkim czasie niepodobna kilku osobom w jednem miejscu zebranych uchwycić; nadto biorąc na uwagę, że często ludzie niepoświęcający się wyłącznie naukom przyrodzonym, nie pojmując znaczenia pewnych szczegółów, bez uprzedzenia, zupełnie obojętnym okiem, lepiej niekiedy ocenić są w stanie czyto barwę przedmiotów, czy migotanie światła, czy schwycić jakiś drobny szczegół usuwający się z pod uwagi osób zagłębionych z całą przytomnością w lunecie, a ztąd mających wzrok zmęczony i zmieniony: JW. Kurator polecił wszystkim naczelnikom zakładów naukowych i ich podwładnym, aby według przesłanej im w tym celu krótkiej instrukcji, pilnie śledzili niektóre ogólne i wyrazistsze okoliczności.

Nim zebrane ze wszystkich stron raportu uporządkowane, ogłoszone i pod rozwagę światu poddane zostaną, uważam za stosowne podać do wiadomości publicznej wypadki otrzymane przez ekspedycją z Wysokiego Mazowieckiego, w której miałem udział. Dlatego opuszczę wszelkie ogólne tłumaczenia powszechnie dziś znane tego fenomenu i pomnę historyczne wiadomości o zaćmieniach w naszym kraju, jako gdzieindziej już podawane. Lecz przed wymienieniem wypadków należy przytoczyć okoliczności towarzyszące, wyliczyć narzędzia przez nas używane i podać dane astronomiczne dotyczące samej stacyi.

Z polecenia władzy edukacyjnej królestwa do téj ekspedycyi należeli: p. Adam Prażmowski starszy pomocnik Obserwatorium Warszawskiego, p. Karol Jurkiewicz nauczyciel Gimnazjum Realnego wraz ze mną, i p. Paweł Mirowski były pomocnik Obserwatorium Warszawskiego. Instrumenta nasze odznaczały się w ogóle dokładnością podziałów, achromatycznością szkieł, a nawet mocą powiększania. Z uprzejmości JW. generała Tenner, kolega Prażmowski otrzymał do obserwacyj astronomicznych piękny instrument uniwersalny z fabryki Ertla w Monachium, używany do oznaczania astronomicznych położeń wierzchołków trójkątów Igo rzędu przy tryangulacji prowadzonej w królestwie polskiem. Oprócz tego wzięliśmy z sobą: wielką lunetę astronomiczną 5 stóp długą z fabryki Lerebours et Com. świeżo przez JW. Kuratora dla Obserwatorium Warszawskiego sprowadzoną, i mniejszą tegoż fabrykanta; dwa dokładne barometra według pomysłu Fortina, urządzone i zastosowane do mierzenia gór; 4 termometra, między którymi dwa pochodzące z zakładu Bodeur w Paryżu, odznaczały się wielką dokładnością i czułością; polaryskop naprędce złożony z części wchodzących w skład sacharometru Soleila i podstawy teodolitu; machinę pneumatyczną miernej dobroci i kilka pomniejszych przyrządów. Do mierzenia czasu używanym był głównie chronometr nr. 1630, pochodzący ze sławnej fabryki Dentla, a przytém drugi wykonany przez p. Lilpop.

Za przybyciem na miejsce, kolega Prażmowski zajął się niezwłocznie wyborem miejsca, przyrządzeniem silnej podstawy pod instrument, mający służyć do oznaczenia szerokości miejsca i obserwacyj potrzebnych dla wyznaczenia poprawy chronometrów; elementów koniecznych przy obiorze stanowiska, mającego zaledwie bardzo niedokładne te dane. W tym celu prawie o pół wiorsty od miasta, w miejscu ustronném, poza zabu-

dowaniami folwarcznemi, należącemi do W. Fiszera (1), rozbito namiot, bo tego wymagały ciągle prawie niepogody, i utwierdzono mocno trójnog, utrzymujący instrument uniwersalny. Po tych przygotowaniach kolega pan P. czatował na gwiazdy, które za ledwie przez parę wieczorów tylko ukradkiem zpoza chmur się wychylały. Wieczór dnia 25 lipca był jedynym przez ciąg naszego pobytu, w którym czysto niebo dozwoliło zrobić szereg obserwacyj, nad szerokością geograficzną miejsca. Wypadki ich są:

α Ursae minoris,	daje szerokość	$52^{\circ} 55'$	$8''.42$
δ — — — —	— — — —	— —	10.13
ζ Aquilae — — — —	— — — —	— —	8.07
α Ophinci — — — —	— — — —	— —	5.47
α Aquilae — — — —	— — — —	— —	5.98

Idąc od północy ku południowi, szerokość wypada coraz mniejsza; jestto dowodem, iż luneta podlegała zgięciu, o czém zresztą kolega P. miał sposobność przekonać się w czasie pomiarów, tymże samym instrumentem czynionych. Przyjmując zgięcie proporcjonalnie w stawie odległości zenitalnej, wypada w położeniu poziomém zgięcie lunety, równe $2'',25$, a szerokość z powyższych gwiazd następująca:

			odstąpienie od średniego
α Ursae minoris.....	$52^{\circ} 55' 7'',07$		$0''91$
δ — — — —	— — — —	$8'',87$	$0,87$
ζ Aquilae — — — —	— — — —	$9,49$	$1,55$
α Ophinci — — — —	— — — —	$6,93$	$1,05$
α Aquilae — — — —	— — — —	$7,55$	$0,43$

Średnia $52^{\circ} 55' 7'',98$

Błąd prawdopodobny szerokości otrzymanej z jednej gwiazdy, wypada $= 0'',768$, co daje na błąd prawdopodobny szerokości z 5 gwiazd tylko $0'',34 = \frac{1}{3}''$. Tak więc szerokość Wyso-

(1) Niech mi wolno będzie w imieniu nauki złożyć publiczne podziękowanie W. Fiszerowi, właścicielowi miasta Wysokie-Mazowieckie, który z największą uprzejmością i starodawną gościnnością, użyzył nam wszelkiej pomocy, dozwolił potrzebnych materiałów i rzemieślników, a nawet swolch zabudowań, na złożenie instrumentów. Te ofiary czynione były w imieniu nauki, jednakże uprzedzającą gościnność względem nas, i światłe rady tego zacnego obywatela, jakle mi nam pomagał w stosunkach z ludem zdjętym przestraczem, nakazują nam choć te kilka słów złożyć mu w hołdzie.

kiego-Mazowieckiego, miasteczka położonego w gubernii augustowskiej, powiecie łomżyńskim, jest 52°55' 7",98.

Dla oznaczenia długości, po wzajemnym porozumieniu się z panem Otto Struve astronomem z Pulkowy, bawiącym w Łomży, kolega P. użył wielce wziętej dziś metody przewożenia dokładnych chronometrów z jednej stacyi do drugiej, i porównania ich czasu z czasem wskazanym na miejscowych chronometrach, mających poprzednio oznaczone dokładnie poprawki. W tym celu 5 chronometrów ekspedycyi petersburskiej, bawiącej w Łomży, poprzednio już porównanych z czasem Obserwatoryum Warszawskiego, przywieziono do Wysokiego i porównano z miejscowymi chronometrami. Wypadku tych porównań, wskazującego długość względem Warszawy, podać nie jesteśmy w stanie; to bowiem nastąpić może dopiero po wzajemnym skomunikowaniu rachunków, otrzymanych w Łomży i Wysokiém (1).

Ukończywszy te przygotowawcze prace, przystąpiliśmy do wyznaczenia fenomenów, jakimi każdy wyłącznie podczas krótkotrwałego całkowitego zaćmienia, zajmować się zobowiązał. Podział bowiem stosowny prac, jak w przemyśle tak i w podobnych przypadkach ważną odgrywa rolę. Aby zaś uniknąć podawania ciągle nazwisk w dalszym ciągu opisu, nadmienię, że ko-

(1) Przygotowując się do wyjazdu z polecenia JW. Karatora, i wiedząc, że Łomża, Brześć, Augustów, zajęte zostały przez innych astronomów, kolega Prażmowski dla lepszego wyboru miejsca dla siebie, obliczył czasy trwania całkowitego zaćmienia i odległości wielu miasteczek, położonych w pasie ciemnym od linii środkowej. Z tych rachunków, opartych na metodzie paralax, wypadło, że granica południowa pasa ciemnego zgadza się z obliczeniem pana Maedler, astronoma z Dorpatu, lecz środkowa linia od wypadków tego astronoma, różni się prawie o 12 sekund, a północna granica o 18 sekund. Taka niezgodność rezultatów pojawiająca się stale, pomimo troskliwie przejrzanych rachunków, wzbudziła pomimowolnie pewną nieufność, o której listownie kolega P. udzielił wiadomość panu Otto Struve astronomowi z Pulkowy, prosząc go zarazem o powtórne przerobienie choć w część rachunku, wspólnie go interesującego. W skutek tego porozumienia okazało się, że rachunek kolegi P. był zupełnie dobry, lecz że formuły podane w „Berliner Ephemeriden” zbyt były niedokładne i wielce różniące od podanych w Nautical-Almanach; nadto, że pan Alry z Greenwich jednocześnie doszedł do tego rezultatu, iż granica północna znacznie ku północy posuniętą być winna. Przytoczenie tej uwagi uważałem za niezbyteczne, wskazuje nam bowiem zbyt wielką niedokładność wzorów *Berliner-Ephemeriden*, a zarazem oddaje pochwałę pracy kolegi P., którą zresztą osoby kompetentne i władza edukacyjna w królestwie, już oceniły.

lega P. wziął na siebie oznaczenie czasu początku i końca zaćmienia, za pomocą większej lunety *Lerebours*, przytém zobowiązał się odrysować kształt wieńca ze wszelkimi zmianami. Kolega Jurkiewicz przy pomocy mniejszej lunety podjął się śledzić wieńiec, wysoki różowe i tarczę księżyca. Za pomocą polaryskopu miałem badać bytność polaryzacji tak z samego wieńca jako i innych punktów w odległości 2^0 do 4^0 , od tarczy księżyca, a nadto rozciągnąć bliższy nadzór nad obserwacjami meteorologicznymi, któremi, oprócz pana Mirowskiego, oznaczającego także czasy początku i końca zaćmienia, zajmowali się bawiący wówczas w Wysokiem geometrowie: pp. Sztoczel, Sikorski, Rau i Sławiński. Przy ich gorliwej pomocy, mogliśmy zapisywać prawie co trzy minuty dwa termometra w cieniu, służące do obserwacji psychrometrycznych, dwa termometra na słońcu z okopconemi galkami, jeden w próżni, drugi w dzwonie przykrytym, natężenie światła, zmianę kolorów i t. p. okoliczności.

Przygotowawszy wcześniej lunety, i ustawiwszy drobniejsze przyrządy, smutni, bo i dnia 28 lipca parę razy dęszcz kropił, a niebo ciężkimi pokryte było chmurami, czekaliśmy przy narzędziach upragnionej chwili, błagając niebios o dozwole nie oglądania fenomenu, którego może niejeden z nas więcej nie ujrzy. Chmury i lekki deszyk przeszkodziły oznaczeniu początku zaćmienia; wkrótce jednak powstały mocny wiatr, rozpędzający powoli chmury, natchnął nas znowu nadzieją. I rzeczywiście, niebo w miejscu pożądaném znacznie się wyjaśniło, i tylko drobne chmurki pierzaste (*cirrus*), przemykając się po tarczy słonecznej, jakby mgławką oponą zakrywały nam zjawisko; były jednak i chwile, w których przeźierał czysty błękit nieba, pozwalający w całej świetności oglądać niktające słońce.

Czasy głównych faz zaćmienia były następujące:

Początek zaćmienia nieoznaczony z powodu chmur.

Początek zaćmienia całkowitego

przypadł o godzinie	$4^h 49' 4''{,}5$	} według chronometru Denta.
Koniec	$4^h 52' 15''$	
Koniec zaćmienia	$5^h 48' 14''{,}5$	

A podług czasu średniego miejscowego początek całkowitego = $4^h 50' 38''{,}57$

Koniec = $4^h 53' 49''{,}07$

Koniec zaćmienia = $5^h 49' 48''{,}43$

Całkowite więc zaćmienie trwało przez $3' 10''{,}34$.

Barometr, temperatura i wilgotność powietrza, termometr okopcony w próżni i w powietrzu, uważane w czasie zaciemnienia.

Czas podług chronometru Denta nr. 1630		Barometr Lerebour nr. 175 zredukowany do wysokości absolutnej	T E R M O M E T R				Wilgotność przysmugająca za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną	Uwagi.
Godzin.	Minuta		W cieniu		Okopcony na słońcu			
			suchy	wilgotny	w próżni	w powietrzu		
3	40		+18.5 C.	+15.4 C.	—	—	0,72	
	45	750.42	19.0	15.4	—	—	0,68	
	50	—	20.0	16.1	—	—	0,66	
	53	—	—	—	+22. ⁰⁵ R.	+22 ⁰ .3 R.	—	początek zaciemnienia
	55	—	20.0	16.3	—	—	0,68	
	56	—	—	—	22. 5	22. 8	—	
	59	—	—	—	23. 5	24. 7	—	
4	0	750.42	19.6	16.3	—	—	0,71	
	3	—	—	—	23. 4	24. 4	—	
	5	—	19.0	15.9	—	—	0,72	
	6	—	—	—	22. 4	23. 3	—	
	9	—	—	—	22. 0	22. 8	—	
	10	—	18.9	15.3	—	—	0,68	
	12	—	—	—	21. 4	21. 8	—	
	15	750.35	18.7	15.7	20. 7	21. 4	0,73	
	18	—	—	—	20. 3	21. 0	—	
	20	—	18.6	15.6	—	—	0,73	
	21	—	—	—	20. 3	21. 0	—	
	24	—	—	—	20. 0	21. 0	—	
	25	—	18.6	15.2	—	—	0,69	
	27	—	—	—	20. 0	20. 0	—	
	30	750.27	18.4	15.4	20. 0	20. 4	0,72	
	33	—	—	—	19. 8	20. 0	—	
	35	—	18.2	15.2	—	—	0,72	
	36	—	—	—	20. 5	20. 2	—	
	39	—	—	—	20. 0	20. 0	—	
	40	—	18.0	15.1	—	—	0,73	
	42	—	—	—	19. 2	19. 2	—	
	45	750.27	17.9	15.0	18. 4	18. 5	0,73	
	48	—	—	—	17. 5	17. 5	—	
	49	—	—	—	—	—	—	
	51	—	18.4	15.2	16. 5	16. 7	0,71	początek całkowitego końca
	52	—	—	—	16. 5	16. 5	—	
	53	—	—	—	16. 6	16. 4	—	
	54	—	18.0	15.0	16. 4	16. 3	0,72	

Czas po- dług chro- nometru Denta nr. 1630		Barometr Lerebour nr. 176 zredukowany do wysokości absolutnej	T E R M O M E T R				Wilgotność przijmując za zupełnie nasyconie kolumnę par wodną	Uwagi.
			W cieniu		Okopcony na słońcu			
			suchy	wilgotny	w próżni	w powietrzu		
5	55	750.27	+17.8 C.	+15.1 C.	+16.00 R.	+16.00 R.	0.75	
	57	—	17.8	14.8	—	—	0.72	
	58	—	—	—	15.7	15.8	—	
	0	750.30	17.9	14.8	15.5	15.5	0.71	
	3	—	—	—	15.3	15.5	—	
	5	—	17.8	14.8	—	—	0.72	
	6	—	—	—	15.5	15.7	—	
	9	—	—	—	15.9	15.9	—	
	10	—	17.7	14.9	—	—	0.74	
	12	—	—	—	16.0	16.4	—	
	15	750.30	17.9	14.9	16.7	17.0	0.72	
	18	—	—	—	17.8	18.0	—	
	20	—	18.1	15.0	—	—	0.71	
	21	—	—	—	20.5	21.0	—	
	24	—	—	—	21.7	23.0	—	
	25	—	18.6	15.3	—	—	0.70	
	27	—	—	—	25.0	27.5	—	
	30	750.32	19.2	15.4	27.0	31.0	0.66	
	33	—	—	—	29.7	33.6	—	
35	—	18.8	14.8	—	—	0.64		
36	—	—	—	31.0	35.0	—		
39	—	—	—	—	—	—		
40	—	18.7	14.8	28.3	31.6	0.65		
42	—	—	—	28.7	31.4	—		
45	750.47	18.7	14.8	28.0	30.6	0.65		
48	—	—	—	27.6	28.8	—		
50	—	18.6	14.9	—	—	0.67		
55	—	18.1	14.7	—	—	0.69		
6	0	—	18.0	14.6	—	—	0.69	Koniec zaciem.

Co się tyczy termometrów utrzymywanych w cieniu winie-
nem zrobić uwagę, że obserwacje wykonane o 51' i 54', to jest
w chwili całkowitego zaciemienia, odrzucić należy. Ciemność bo-
wiem znaczna nie dozwoliła bez pomocy światła odczytać po-
działów rznętych na rurkach tych termometrów; zbliżenie zaś
latarki sprawiło na tych delikatnych instrumentach natychmiasto-
we wzniesienie temperatury. Pominąwszy to, często czynione

odczyty świadczą o niżaniu się temperatury jeszcze i po ukazaniu się wąskiego sierpa słonecznego. Minimum bowiem przypada o $5^{\circ} 10'$, t. j. prawie w $20'$ po całkowitym zaaćmieniu. Przyczynę tego pozornie nienormalnego fenomenu łatwo wyjaśnimy zwracając uwagę na to, że promienie ciepłika dosyć wolno ogrzewają atmosferę. Zachodzi tu ta sama okoliczność, jakiej codziennie doznajemy skutków, gdy pomimo największej wysokości słońca w południe, maximum temperatury przypada dopiero o godzinie 2giej.

Porównyując temperaturę w cieniu na początku zaaćmienia z minimum temperatury obserwowanej, otrzymujemy różnicę $2^{\circ}, 2$ C.

Znaczniejszą jest różnica na termometrach wystawionych na słońce z okopconemi gałkami, gdyż:

w próżni		w powietrzu	
w początku zaaćmienia	22. ⁰⁵		22. ⁰³
a po zaaćmieniu całkowitym	15. 3		15. 5
	<u>7.⁰²</u>		<u>6.⁰⁸</u>

Lekka nieregularność w odczytach termometrów na słońcu prawie przy rozpoczęciu zaaćmienia jest skutkiem chmur, które, jak już nadmieniliśmy tak były mocne, iż zupełnie zakrywały słońce i nie dozwoliły nam oznaczyć początku zaaćmienia. Opuszczając te obserwacje, termometra na słońcu przedstawiają regularne niżanie się temperatury, świadcząc, iż minimum nie przypada na sam środek całkowitego zaaćmienia, lecz dopiero minut 10 po ukazaniu się pierwszego promienia słońca. Zrazu trudno pojąć, dlaczego termometr na słońcu mając okopconą gałkę, dopiero w $10'$ okazuje wpływ promieni słonecznych; jednak wyjaśnić to możemy przywołując na pamięć zbadane niedawno własności ciał uważanych względnie do ciepłika, a mianowicie, iż szkło z różną łatwością przepuszcza promienie ciepłika z mocnego i ze słabego źródła. Być może zresztą, że przyczyny tego zjawiska w samym słońcu szukać wypada, i opierając się na powszechnie przyjętej hipotezie budowy słońca, przyjmując, że promienie idące od zewnętrznego pasa tarczy słonecznej pod względem ciepła są mniejszego natężenia, aniżeli wysyłane ze środka tarczy słonecznej. Podajemy zresztą to tłumaczenie jako domniemanie, jesteśmy bowiem przekonani, że obserwacje termometryczne i photometryczne choćby najdokładniejsze, oddzielnie brane nie powinny służyć za podstawę ogólnych wniosków.

Dodać tu jeszcze należy, że wrażenie na czucie chociaż przy tak słabém znizeniu temperatury ($2,^0$ 2) było znaczne. Przy całkowitem zaćmieniu chłód tak był mocny, że jeden z obserwujących rażony nim, zapiął pomimowolnie zwierzchnią suknię, nie przypominając sobie potem, w jakim momencie wrodzony instykt do tego go skłonił.

Z powyższej tablicy wynika, że barometr przez czas trwania zaćmienia lekkiem podległ znizeniu, wskazując w początku $750,^m$ 42, a w czasie całkowitego $750,^m$ 30; po ukończeniu zjawiska wrócił prawie do wysokości obserwowanej przed zaćmieniem. Porównywając zaś wysokość barometru dnia 28 lipca po południu 9 razy odczytywaną, z wysokościami barometru uważanemi przez cały tydzień poprzedzający zaćmienie, okazuje się znaczne zwiększenie kolumny merkuryusza w barometrze, wynoszące przeszło 4 milimetry.

W chwili całkowitego zaćmienia, na niebie, w miejscu zajmowaném przez słońce, widzialną była plama okrągła ciemno-szarego koloru, na której żadnych migocących światel ani punktów świetnych, przez niektórych obserwatorów podawanych, dostrzedz nie mogliśmy. Krąg ten ciemny otoczony był wieniec słabego światła, przedstawiającego się gołemu oku w kolorze słomianym, a w końcu zaćmienia w kolorze lekko-zielonkawym. Wieniec złożony był z promieni strzelających w kierunku promieni koła i zlewających się przy obwodzie tarczy księżyca w jednolite słabe światło.

Z naszej stacyi uważana ta aureola nie była współśrodkową, a przeciwnie bardzo nieforemnego kształtu. W największych miejscach szerokość jęj dochodziła trzech minut, w innych rozciągała się do siedmiu; chociaż dokładne ocenienie było trudnem dla słabego światła na brzegach. Nadto w dwóch punktach, a mianowicie pierwszego zetknięcia tarcz księżyca i słońca i w przeciwległym punkcie, wieniec przedstawił dwa jaśniejsze wycinki koła, stykające się swemi wypukłościami z tarczą księżyca.

Znaczna rozmaitość w szerokości wienca nasuwa myśl, iż pierwszy wymiar ($3'$) należy do właściwego wienca, drugi zaś ($7'$) do tak zwanęj aureoli, mniej świetnej obrączki otaczającej księżyc i złożonęj ze strzelających promieni.

Światło korony uważane pilnie w lunetach nie przedstawiało obrotowego ruchu, jak to niektórzy mieli dostrzedz. Przytęm było tak słabe, że w doświadczeniach photometrycznych wy-

konywanych sposobem cienia rzucanego przez ołówek na deskę pokrytą białą farbą, nie dawało cienia dość wyraźnego dla porównania z cieniem światła świecy łojowej.

Pod względem polaryzacji, światło korony jakkolwiek badane instrumentem nieodpowiednim tak delikatnym obserwacyom, przedstawiało wyraźne jej ślady. Jednak słabość dopełniających się barw (sacharometr Solejla) tak była wielką, że nie można się było odważać na ocenienie płaszczyzny polaryzacji. Wiadomo bowiem, że używając tego instrumentu przy mocnej polaryzacji i zwolna robiąc doświadczenie, łatwo popełnić błąd w oznaczeniu płaszczyzny o kilka stopni, a cóż dopiero przy słabej polaryzacji i szybkim obserwowaniu. Okolic otaczających wieniec, dla chmur, pod tym względem badać było niepodobna.

Delikatny ten przedmiot polaryzacji światła korony, podawany twierdząco przez jednych, zaprzeczany przez drugich, trudnym jest do rozstrzygnięcia z powodu fizycznego prawie niepodobieństwa oddzielenia światła samej korony od promieni światła, po licznych załamaniach razem ze światłem wprost od wienca do instrumentu wpadających. Zdaje się, że niesprzyjający stan nieba w Wysokiem Mazowieckiem do innych delikatnych obserwacyj, np. tak zwanych wyskoków różowych, dla rozstrzygnięcia kwestyi polaryzacji był przeciwnie korzystnym. Ciemne bowiem chmury całe niebo powlekające pozostawiały jakby okno, przez które przeziarało zjawisko wienca, i tworzyły zasłonę wstrzymującą uboczne promienie, dwujznacznie na wypadek obserwacji wpłynąć mogące.

Znane są różne tłumaczenia wienca otaczającego księżyc podczas całkowitego zaćmienia słońca; prawie wszystkie jednak nie wytrzymują krytyki, jakiej poddane zostały. Najprawdopodobniejsza hipoteza, poezytująca wieniec za atmosferę gazową otaczającą słońce, także ostać się nie może, jeżeli zwrócimy uwagę, że wielu biegłych obserwatorów przy wielce sprzyjających okolicznościach zupełnie ją odmiennie opisują, nie zgadzając się ani na jej współśrodkowość z tarczą księżyca, ani na wymiar szerokości. Zdaje się, że w tym przypadku jedyną ucieczką dla pogodzenia tych różnych opisów, będzie załamanie światła. Gdyby księżyc otoczony był choćby największą atmosferą, wówczas to działanie światła dostatecznie wytłumaczyłoby mogło istnienie wienca świetnego. Lecz astronomowie, opierając się na licznych i dokładnych obserwacyach, stanowczo odrzucają bytność jakiegokolwiek atmosfery naokoło tego satelity. W takim razie pozo-

staje jeszcze atmosfera ziemską, a w niej słaba różnica w gęstości mass powietrza zawartego w cieniu i otaczającego ciemny ostrokąg rzucany przez księżyc. Dodając do tego działanie dyfrakcyi światła naokoło brzegów tarczy księżycowej, nastroszonej różnemi wyniosłościami i dolinami, a w końcu różny stan atmosfery, sędzę, że dostatecznie wyjaśnić można tak bytność dostrzeżoną przez niektórych astronomów prążków świetnych i ciemnych, jako téż różną szerokość korony.

Jednym z najważniejszych fenomenów zalecanym obserwatorom przez astronomów, jako mogącym posłużyć do przeniknienia tajemniczej dotąd budowy słońca, są tak zwane wysoki różowe (preominances rougeâtres). Kolega Jurkiewicz wyłącznie śledzeniem tego fenomenu zajęty, dostrzegł na kilka sekund przed końcem całkowitego zaćmienia w południowo-wschodniej stronie tarczy księżyca i na jej brzegu, mały wyrostek różowy, wysoki do trzech minut, a wkrótce potem dalej ku południowi drugi mniejszy. Ich kształty podobne były do ostrokregów wspartych podstawami na tarczy księżyca.

Ciekawe to zjawisko, starannie śledzone na wszystkich stacyach królestwa, bardzo odmiennie przedstawiło się obserwatorom. U nas miało opisaną wyżej formę. W Warszawie, spostrzeżono wyskok różowy z przeciwległej strony daleko większy, a co osobliwsza, w kształcie rogu zagiętego ku zenitowi. Taki wyskok dostrzeżony był w Warszawie przez wiele osób opatrzonych lunetami, i o ile mi wiadomo, rysunki tego wyskoku zrobione przez kilka znakomitych osób obserwujących w ogrodzie Bagateli, porównane po ukończeniu zaćmienia z rysunkiem tego zjawiska wykonanym na Obserwatorium warszawskim, zupełnie były zgodne tak co do położenia, jak i co do kształtu rogu. Podobno nawet p. Otto Struve w Łomży tenże sam kształt zaobserwował, z dodatkiem, że na przedłużeniu ostrza rogu widział osobną różową barwę plamę, niestykającą się wcale z tarczą księżyca. Nie podpada więc wątpliwości, że terazniejsze obserwacye dostarczyły ważny fakt, rozświecający w części naturę naszego słońca.

Wyskoki różowe, jak każdy fenomen mało poznany, wiele posiadają tłumaczeń. Działanie światła czyto przez załamanie, czy przez zagięcie w tém zjawisku, po krytycznym rozbiore p. Arago odrzuca; rachunek nie pozwala poczytywać je za góry słoneczne, bo w tym razie wypadaloby przyjąć góry tak olbrzymich wymiarów, że te nie zasługiwałyby na prawdopodobieństwo. Zresztą obserwowany u nas kształt téj wyniosłości zupełnie oba-

la powyższą hipotezę. Dostrzeżony kształt pozwala jednak po-
czytywać wysoki za ciała oddzielne od masy słońca, czyto za
obłoki zawieszane w atmosferze gazowej otaczającej słońce, czyli
tęż za masę obłoczkową, krążącą zewnątrz słońca. Dzisiejsze
astronomiczne wiadomości każą uważać słońce jako złożone z ją-
dra kulistego ciemnego, z ogromnej warstwy chmur wszechstron-
nie otaczającej jądro i ze świetnej sfery (photosfère), obwijającej
warstwę obłoczkową; chcąc więc wysoki różowe pocztywać za
chmury, wypadaloby oprócz dwóch wymienionych, przyjąć jeszcze
trzecią powłokę znajdującą się zewnątrz sfery świetnej, i w niej
umieścić chmury ciemne albo lekko świecące i zakolorowane przez
słońce na różowo.

Arago, który ze znaną światu nauką i trafnym poglądem po-
rządkował i rozbiarał krytycznie nadesłane mu liczne obserwacje
zaćmienia 1842 r., i zwykle przytém dołączane hipotezy, podzie-
lając przekonanie, że te różowe wysoki są rzeczywiście obłoka-
mi słonecznymi, mniema, że zjawiska wspomniane nawet przy
częstkowym zaćmieniu słonecznym dostrzegane być winny. Ro-
zumowanie swe na tém opiera. Wiemy, że dniem dlatego
gwiazd gołym okiem widzieć nie można, a nocą tém trudniej im
bliżej gwiazdy lub planety są części nieba przez słońce zajętej, że
w obu tych razach odbite słoneczne światło dochodząc do retyny
zaćmiewa słabe obrazy, powstałe z promieni wychodzących wprost
z gwiazd lub planet. Podobne zaćmiewanie obrazów ma miejsce
i przy wzmiankowanych wyskokach różowych, pojawiających się
naokoło tarczy księżycy. Widzimy je w chwili całkowitego zać-
mienia, bo wtedy retyna rażona jest tylko słabym światłem wieńca,
niezdolnym przygłuszyć obrazu wyskoków. Przy częstkowym
więc zaćmieniu pozostawiającem połowę, trzecią lub dziesiątą
część tarczy słonecznej, natężenie światła w tymże stosunku
zmniejszyć się musi, a wówczas słabe światło nie będzie w stanie
oświetlić obrazów odrysowanych na retynie przez światło tych różo-
wych chmur. Przeto całkowite zaćmienia nie powinny być uwa-
żane za jedynie stosowne do śledzenia tego ważnego fenomenu;
częścielę trafiające się częstkowe zaćmienia, przy zwróconej na tę
drogę uwadze astronomów, zapewne liczniejsze dostarczą fakta do
złębienia tego zjawiska. A wiemy, że w podobnych przypadkach
jedynie liczba dokładnych obserwacji, pozwalając wszechstronnie
rzecz obejrzeć, pomaga do ustalenia hipotezy, przedstawiającej
rozumowi pewne prawdopodobieństwo.

Skoro ze słońca pozostał bardzo wąski sierp, brzeg wewnętrzny był mocno pocięty, i jak utrzymuje p. Mirowski śledzący lunetą uniwersalnego instrumentu, przed samem zniknięciem słońca przedstawiał się nastroszony punktami świetlnymi, porozdzielanymi ciemnymi wyniosłościami, tworząc tak zwany *różaniec*. Dostrzeżone także podczas obrączkowego zaćmienia i opisane szczegółowo przez Baily to zjawisko, dotąd przez niewielu stwierdzonem zostało, i dlatego równie jak wiązadła czarne (ligaments) czyli prążki łączące brzegi tarczy słońca i księżycy przed samem całkowitem zaćmieniem uważać wypada za złudzenie optyczne, zależące od stanu atmosfery, niedokładnego nastawienia szkła ocznego lub zmęczenia oka obserwatora. Za tym domysłem, jak to Arago uważa, przemawia i to, że astronomowie z professyi obserwujący w Perpignan, Superga, Padwie nie dostrzegli podobnych linii wtedy, gdy jednocześnie amatorowie mniej wprawni w obchodzeniu się z lunetami, zawsze wielką ich liczbę upatrywali.

Brak odpowiednich instrumentów nie dozwolił nam czynić obserwacyj magnetycznych tak w chwili całkowitego zaćmienia, jako i w czasach przed i po tym fenomenie. O ile mi wiadomo, dotąd nie zwracano uwagi na podobne obserwacje. Być może, że istnieje jakiś związek między tym fenomenem a magnetyzmem ziemskim, lecz do śledzenia podobnych zależności, zapewne wyrażających się przez delikatne perturbacje w położeniu igły zboczenia, potrzebaby używać narzędzi dokładnych, czułych i naturalnie ustawionych ze wszelkiemi wymagalnemi ostrożnościami. Słowem, takie obserwacje mogą być czynione na obserwatoryach magnetycznych, zaopatrzonych np. w aparat Gaussa.

Lekkie chmurki prawie ciągle otaczające słońce, w chwili gdy sierp słoneczny miał tylko parę minut szerokości, były powodem ukazania się w odległości czterech stopni od sierpa, powtórnego jego obrazu. Ciekawe i rzadkie to zjawisko optyczne, będące skutkiem załamania się promieni słonecznych w igielkach lodu, z jakich zapewne złożone są najwyższe chmury pierzaste (cirrus), trwało zaledwo kilka sekund, lecz dostrzeżone było przez wiele osób gołym okiem już patrzących, a przypadkowo i w lunecie. Światło powtórnego obrazu było daleko słabsze, koloru białawego.

Nadmienić tu jeszcze wypada dla całości obrazu o wpływie tego fenomenu na niektóre zwierzęta. Istnienie ogólnego wpływu najlepiej się objawia przez głuche milczenie, panujące w na-

turze podczas całkowitego zaćmienia. Stanowisko wybrane przez nas do obserwacji, leżąc między folwarkiem a polami, dozwoliło nam obserwować tak dzikie jak i domowe ptastwo. Ogólna cisza świadczyła o ich przerażeniu; dopiero za ukazaniem się pierwszego promienia powstał na nowo wesóły śpiew skowronków i kwaczenie domowego drobiu. Pies w pobliżności nas stojący podczas całkowitego zaćmienia stał zesmutniały, jak wryty, rozglądając się po niebie. Konie bronujące wówczas nie okazały żadnego widocznego zdumienia; zdawały się być zupełnie obojętne tak w niezwyklej chwili przypadłej nocy.

Pod względem czułości kwiatów na światło, dla braku dostatecznej liczby odpowiednich gatunków roślin nie można było obszerniejszych czynić doświadczeń.

Jakkolwiek wyraźny wpływ na ludzi dotąd nie był dostrzegany, trudno zaprzeczyć, aby to wielkie zjawisko żadnego i na nas nie wywarło skutku. O fizycznym wpływie na człowieka dotąd nie wie, co się zaś tyczy moralnego, opisywane powszechnie wrażenia, a którego i sami byliśmy świadkami w Wysokiem Mazowieckim, w części tylko policzyć można do wpływów jedynie z natury zjawiska wynikłych. Lud nasz wiejski uwiadomiony o nastąpić mającym fenomenie bez krótkiego i łatwego wyjaśnienia, a natomiast z różnemi okolicznościami i licznemi niestosownemi przestrojami; nadto uwiadomiony drogą na której jedynie słowo Boże i polecenia rządowe słyszy, wczesnie się przeraża, tworzy w swój imaginacji różne mniemania, przypisując temu zjawisku doznane klęski, szuka ulgi swych zmyślonych cierpień w jedyniej pozostałej mu ucieczce: korzy się przed Stwórcą, żebrząc łaski ofiarami lub dopełnianiem sakramentów. Podczas pobytu w Wysokiem bliżej będąc ludu wiejskiego, widzieliśmy do jakiego stopnia podniecone w nim było czucie religijne, jak gorąco żebrał w świątyni łaski Przedwiecznego, jak z podwójną gorliwością biegł za processyami obchodzącemi granice włości; słyszeliśmy ciągle pienia pobożnych gromad, otaczających znaki Zbawiciela nawet po północy. My, pojmujący znaczenie tego normalnego w naturze faktu, widzimy w nim tylko dowód potęgi naszego rozumu, nieomyślności nauki i niezmienności praw rządzących biegiem ciał niebieskich; wieśniak, któremu nikt nie opowiedział przyczyny zaćmienia, nie mogąc się podnieść myślą, uważa ten fenomen za coś nienormalnego w naturze, lęka się, szukając pociechy w religii.

WYSTAWA Powszechna

W Londynie.

(ARTYKUŁ DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

IV.

Londyn, 10 sierpnia.

W dziejach świata przemysł jest faktem zupełnie nowym. Starożytni go nie znali, bo nie mieli na niego nazwiska; posiadali sztukę, która, jak poezya, jest zdolnością indywidualną; umieli budować i pięknie ozdabiać świątynie bogów i pałace królów, lecz ogół ludności był zapomniany. Dopiero z rozwinięciem przemysłu niemal wszystko, co było dawniej udziałem jedynie zamożnych, stało się przystępnem dla wielkiej masy.

Jaką sprzeczność stawiają czasy starożytne względem nowych, taką objawia cywilizacya wschodnia względem Zachodu. W poprzednich artykułach wykozałem, że zbytek, właściwy zbytek jest charakterem wystawy wschodnich narodów, obok którego nie ma stopniowania, nie ma kolejnego przechodu, ale jest nędza, najzupełniejszy brak w zaspokojeniu potrzeb ludzkich. Na Zachodzie wystawa ma odmienny charakter; tam potrzeby człowieka we wszystkich klassach zyskały równouprawnienie, tam sprzęty, narzędzia, ubiory, mają mniej więcej jednaką formę, jedną zaletę dogodności, a dopiero na tém tle sztuka wyszywa ozdobę. Tém jest szczególniej wybitna wystawa najucywilizowanego narodu, to jest Anglii, i jój pierworodnej córy, Ameryki północnej, i z tego powodu przyznałem jój cechę najbardziej chrześcijańską. Bo téż przemysł jest owocem, powiem więcej, jest jedną siłą chrystyanizmu. Kiedy ludzie porównali się w duchu, to jest w religii, musiała zrodzić się dążność porównania się w ma-

teryi, przyobleczenia jestestwa ludzkiego w formy mniej więcej jednostajne, zapewnienia każdemu indywiduum podobnych środków zaspokojenia swoich potrzeb. A z tego stanowiska zapatrząc się, powiem, że im bardziej naród który jest przemysłowym, im produkcya fabryczna jest większa i mocniej oparta na machinach, tém naród taki jest więcej chrześcijańskim; i nie byłoby mi trudno przeprowadzić to moje twierdzenie przez wszystkie symptomata życia socyalnego, porównywając np. stan wewnętrzny, wysokość umoralnienia Anglii, Niemiec, z narodami południowemi Europy, gdyby mnie porównanie to zadaleko od wystawy nie odwiodło.

Ten fakt pożądaný jest następstwem mechaniki, rezultatem machin, produktem nauki tak mało cenionój, wynalazków tak często w śmieszność obracanych, i dążności przemysłowej, za jedno u płytkich ludzi z dążnością materyalizowania ludzkości uważanej. Na dowód, usunięcie ze świata stu pierwszych mechaników, stu pierwszych chemików, stu modelistów, inżynierów, wynalazców. Cóż wtedy stanie się z Europą? Cisza Wschodu spadnie na nią, umilkną fabryki, ustaną w biegu swym koleje żelazne, nędzy i wychudli robotnicy zasiądą jak w Indjach koło warsztatu, człowiek jako w Egipcie upadnie pod ciężarem strasznych prac, stu wyrobników szyc będzie złotolitą szatę dla jednego, a ci stu chodzić będą nago. Okaże się wkrótce, że ludzkość bez niewolników obejść się nie może, Europa spadnie rychło do poziomu Azji i Afryki, które zwyciężyła tylko z pomocą machin. A owe maszyny, ci Negrowie europejscy, nieodległych sięgają czasów; zaledwie temu półtora wieku, kiedy wielki Colbert wpadłszy na myśl, iżby było pożądané zebrać je razem, wyznaczył im trzy małe salki w opactwie św. Marcina, pod imieniem *Konserwatoryum sztuk i rzemiosł*; takie było otwarcie epoki przemysłowej, taką przy jój początku wystawa machin.

Myśmy rozpoczęli drugą połowę tej epoki, a mimo zadziwiającego postępu, czujemy wszyscy, że jeszcze nie nadszedł koniec wynalazków, i że nie znamy więcej nad abecadło przyszłego stanu umiejętności. Dotąd zawilość, komplikacya jest sztuką, co właśnie dowodzi naszego dzieciństwa. Już na wystawie widziałem wiele prób otrząśnienia się z niej, dojścia do wieku dojrzałego, który w mechanice jest uproszczeniem, jest utrwaleniem i ciągłością ruchu przez ruch wirowy. Czują to instynktowo mechanicy, bo czynią największe wysilenia, aby maszyny doprowadzić do ru-

chu walcowego, a zatem uwolnić je od ruchu przerywanego, szarpiącego, będącego naśladownictwem ruchów muszkularnych człowieka. Gdzież są modele dla mechaniki ziemskiej?—w mechanice niebieskiej, gdzie wszystkie ruchy odbywają się nieprzerwanie, i bez tarcia. Kiedy człowiek chciał pływać, budował statki na wzór ptaków wodnych; ruch skrzydeł i nóg, naprowadził go na myśl żagli i wiosła, a ogon i ptaków powietrznych, na ster okrętu.

Ten ogólny kierunek mechaniki spostrzegł pan Jobard dyrektor muzeum przemysłowego w Brukselli, który rozpatrzywszy się w oddziale machin angielskich, wyrzekł w świeżo tutaj wydanej broszurce, że przemysł póty nie dojdzie doskonałości, póki nie będzie czerpał natchnienia w mechanice niebieskiej, to jest póki się nie stanie wirowym. Nawet machina parowa zmienić się musi w rotacyjną: to też od czasów Watta maszyny największe w tym celu czynią usiłowania, i na wystawie jest kilkanaście modeli w nowym duchu funkcjonujących mniej więcej należycie, chociaż można naliczyć przeszło trzysta prób, które się nie udały. Wszakże od niejakiego czasu zagadnienie zdaje się rozjaśniać, przybliżyć się rozwiązanie, może już je odkryto w tej chwili, lecz dotąd tyle było zawodów, że fabrykanci niełatwo ulecą się z uprzedzenia. Jako jeden z przykładów tego kierunku, p. Jobard cytuje prasę drukarską, która w nowych przyrządach ma już ruch walcowy. Ani wątpić, że wystawa będąc niejako skarbem nagromadzonych myśli ludzkich, stanie się mocną podniętą nowych w tym jak w każdym przedmiocie wynalazków. Anglicy bez zazdrości odkryli zasoby swojej mechaniki, objawili wszystkie jej tajemnice. Ludzie co byli mistrzami na lądzie stałym, przyjechali do Anglii jako uczniowie; odkryło się pole wiedzy i biją źródła nowych pomysłów. To też nie bardziej, przynajmniej dla mnie, nie ma pocieszającego, jak widok na wystawie ludzi specjalnych, mechaników, fabrykantów, przyglądających się obecnej wystawie. Patrząc z jak wyteżoną uwagą ścigają oni ruchy maszyny, odgadują i probują się z trudnościami, które wynalazca miał do zwalczenia, porównywiają siły swoje z rezultatem, który im stoi przed oczyma; widząc z jaką ciekawością przygląda się fabrykant produktom innokrajowym; jak oko swoje kształci na formach artystycznych, i w myśli odbywa proces fabrykacji; jak bada, porównywa, uczy się; summując wreszcie te tłumy, które już teraz nie ciekawość lub chęć zabawy, ale interes przyciąga na wystawę, te nowe my-

śli i odkrycia, z których każde indywiduum część jakąś do swego warsztatu przynosi:—dorożumiemy się, choć ocenić nie zdołamy, co za wielkie następstwa z tego zestawienia wszystkich rezultatów rozumu ludzkiego dla każdego narodu, dla każdego przemysłu, dla świata całego wypłyną.

Myśl ta nasuwa się wyraźnie, ilekroć systematycznie porównujemy wystawę. Wszystkie rodzaje przemysłu obnażone z szat tajemniczych, ukazują nowe korzyści i niedostatki; brak widoczny w jednym uderza obok rezultatów, które można osiągnąć z drugiego; nauki przyrodzone, geografia botaniczna i zwierzęca, wzięte niejako pod inkwizycją, odsłaniają zasoby wiedzy i składają je przy warsztacie przemysłowym, a mechanika rozwijając swoje skarby, ukazuje jak daleko pozostały te rodzaje fabrykacyj, które dotąd z nią małą zrobiły znajomość. Tak np. weźmy pod uwagę cukier. Można niemal zaręczyć, że od dziś dnia za lat kilka produkcya cukru kolonialnego o kilkaset procent zwiększy się i stanieje. Obok kierunku, jaki u nas w wielu miejscach bierze gospodarstwo, zdaje mi się, że wypada mi bliżej tę okoliczność rozwinąć.

Gdybym pisał dla statystów i ekonomistów, tobym o ważności cukru wspominać nie potrzebował; ale że mnie czytać będą tacy, co go znają jedynie ze stołu herbacianego, to muszę dodać, że cukier kolonialny, bo o takim tylko w tym ustępie mówię, co rok produkowany i po targach całego świata rozsyłany, w przecięciu można obliczyć na 20 milionów centnarów, z wyjątkiem tego, który uprawiany i produkowany w Chinach, Cochin-Chinie i archipelagu Malajskim, z pewnością statystycznie co do ilości oznaczyć się nie da, ale obliczają go zarówno na 20 milionów centnarów rocznie. Szacując cukier rozsyłany po targach cywilizowanego świata na 15 fs. za beczkę (30 złp. za centnar), otrzymamy ogromną summę 600 milionów złp.; lecz jak każdy świadomy rzeczy przyzna, psuje się w skutek niedokładnej fabrykacji trzy razy więcej cukru, niżeli go się rozsyła, a zatem, że przy udoskonalonej metodzie wyrobu, możnaby nie już 20, ale 80 milionów centnarów rocznie produkować i rozsyłać. Zwracam zaś uwagę, że nie mówię bynajmniej o uprawie trzciny cukrowej, ale jedynie o wyrobie cukru, to jest o wyciskaniu soku z trzciny i o niedostateczności przyrządów dotąd używanych.

W tym celu po różnych częściach świata używają przynajmniej czterech rodzajów przyrządów. Najpiérwszym i najprost-

szym jest młyn złożony z okrągłego kamienia, obracającego się w stosownej cembrynie. Używano go dawniej powszechnie, a i teraz prawie wyłącznie w Chinach i Syamie. W Azji wszelako zwyczajniejsza jest machina na wzór wielkiego moździerca, w którym gruby drąg połączony z dźwignią w poziomym kierunku obracany bywa przez woły. Tego rodzaju młyny używają się w Indjach, ale jak pierwsze tak drugie są bardzo niedoskonałe i nie odpowiadają bynajmniej potrzebie wielkich producentów, chociaż zaspokajać mogą mniejszych, którzy drobne plantacye zakładają po ogrodach dla swego użytku. W wielkich plantacyach posługują się młynem cukrowym, złożonym przynajmniej z dwóch walców (często więcej), ustawionych poziomo lub pionowo zbliżanych lub oddalanych od siebie za pomocą śrub i klinów, a poruszanych siłą wiatru, pary lub zwierząt. Zważając na delikatną i gąbczastą przedzę trzciny cukrowej, zawierającej przynajmniej 90 części soku na 100, obok wielkiej siły walców żelaznych młyna cukrowego, zdawaćby się mogło, że w trzcinie nie wcale po operacyi nie zostanie się soku. Tymczasem według zdania najlepszych w tym przedmiocie autorów, sto części trzciny na wyspach zachodnich Indyjskich i Demarara, nie wydaje 90, ale najwięcej 50 części, a zatem że zaraz przy wyciskaniu ginie 40%. Nie jestto wyłącznie winą młyna cukrowego, ale dziwnego niegospodarstwa w Indjach Zachodnich, gdzie wyciśniętej trzciny cukrowej używają jako jedyne paliwo, które, jeśli trzcina zupełnie jest wyciśnięta, nieodrazu się zajmuje. Niepotrzeba mówić, że trzcina cukrowa jest zanadto kosztownym materiałem, aby ekonomicznie mogła służyć do opał; lecz choć o tém wiedzą właściciele indyjskich plantacyj, nie zaprzestają podziśdzień tego marnotrawstwa. Nie wiele mam powiedzieć o młynach cukrowych znajdujących się na wystawie: sąto modele wyborne i odpowiadają powołaniu doskonałe. Ale co do zasady maszyny, widząc, że aczkolwiek użyta wielka siła przez dwa walce na ciało miękkie słabo musi działać, że nadto trzcina, jako istota gąbczasta, nim wyjdzie z walców, część soku napowrót w siebie wciąga: to wątpię ażeby młyn z całą ścisłością zastosowany zamiast 90%, więcej nad 75 lub 78% wy dobył; i dlatego jestem przekonany, że przezorny fabrykant musi przyzwać innej mechanicznej pomocy, aby wszystek sok wydobył. Nie masz zaś pod tym względem lepszej jak prasa hydrauliczna, która posiada tak nadzwyczajną siłę. Zapewniają też w istocie, że trzcina już wyciśnięta, wzięta w prasę tego rodzaju, oddaje re-

szte soku, tak, że z jój pomocą wydobyć można całe 90%. W krajach produkujących cukier, wielkie zachodzą trudności w zastosowaniu postępów mechaniki: raz przez to, że maszyny zespsutej nie ma często kto naprawić; powtóre, że koszta nabycia są wielkie. Ale to wszystko nie stosuje się do maszyny hydraulicznej, bo koszta jój nabycia są małe, miejsca zabiera niewiele, i tak jest łatwa w użyciu, że nią dziecko kierować może. Wszakże nie zastępuje ona całkowicie młyna parowego, jak się o tém kilku fabrykantów przekonało, bo choć działa skutecznie, ale wolno; lepiej więc może być użytą w uzupełnieniu młyna.

Jakaż jest jój siła? Nikomu podobno nie tajno, że kiedy korkuje się butelka napełniona płynem, między najwyższą warstwą płynu a korkiem zostaje się pewna warstwa powietrza, i to nie przypadkiem, ale umyślnie, bo inaczej pękłaby butelka za każdym uderzeniem korka. Ten prosty fakt dzieje się na mocy tego samego prawa, które świeżo wyniosło most *Britania* na oceanie, i połączyło lądy cieśniną Menai rozdzielone; ten sam fakt jest podstawą każdej prasy hydraulicznej. Przypuśćmy, że korek ma powierzchnią jednego cala kwadrat., a wewnątrz butelki ma 20 cali \square . Jeżeli wyrzemy na korek siłę jednego funta, to ściany butelki w której płyn nie jest oddzielony od korka, będą miały do wytrzymania siłę 20 ff.; a gdyby naczynie miało 200 lub 2,000 cali \square , wtedy zawsze siła jednego funta przemieni się wewnątrz na siłę 200 lub 2,000 ff. Każdy pojmuje, że mamy tutaj zaród ogromnej potęgi, któraby roztrzaskała butelkę, a użyta do prasy hydraulicznej podnosi tłok i nadaje mu siłę cisnącą. W prasach hydraulicznych stosuje się często tę siłę do ciśnienia z góry na dół, co jeszcze ją pomnaża, lecz w prasie cukrowej doradzają użyć przeciwnego kierunku. Nowo wynaleziony przyrząd p. Besseniera ma przy wyrobie cukru zastępować działanie młyna i prasy hydraulicznej, i wszyscy co o nim dotąd pisali, największe oddają mu pochwały.

Po wyciśnieniu soku nadchodzi drugie działanie, to jest oczyszczenie; przed nióm bowiem zawiera sok mnóstwo roślinnych nieczystości, utrudniających krystalizacyą, a czasem wstrzymujących ją całkowicie. Do oczyszczenia używają zwykle wapna, ale powszechnie na to zgadzają się, że octan ołowiu jest najskuteczniejszy. Po wyczyszczeniu następuje zgęszczenie, to jest wyparowanie części płynnych soku. Najpospoliciej używają do tego bezpośrednio gorąca, lecz zastosowanie wapna tworzy syrop, to jest

część niekrystalizującą się, którego w trzcinie nie ma, bo pokrajawszy ją i obejrzawszy przez mikroskop, nie ujrzymy więcej nad cukier skryształizowany. Z narzędzi do zgęszczenia soku spostrzegam na wystawie dwa: to jest panew zgęszczającą pp. Gramma, West i Comp. i próżnię panwową. Ta ostatnia zdaniem wszystkich jest najlepsza. O machinach, któreby się dały użyć do zwykłych w Europie fabrykacyj cukru i do rafineryi, a mianowicie o maszynie Manlowe Alkota pisałem poprzednio, i śmiało mogę ją każdemu fabrykantowi polecić.

Rozpisałem się nieco nad fabrykacją cukru kolonialnego, bo inaczej niepodobna mi było objaśnić, jak dalece mechanika wpływając może na jej udoskonalenie, i o ile wystawa na postęp tej fabrykacyi niezawodnie wpłynie, a zatem o ile ci, co budują nadzieje na wyrobie cukru krajowego, muszą korzystać ze środków ulepszenia wyrobu świeżo upowszechnionych, aby mogli wytrzymać groźniejszą niż dawniej konkurencją kolonij angielskich. Nateraz w uzupełnieniu mojego opisu, przejdę pojedynczo niektóre rodzaje przemysłu. A najprzód zacynam od mebli.

Zpomiędzy produktów znajdujących się na wystawie, najwięcej charakteru narodowego zachowują meble. Zdaje mi się, że gdyby wybrano z pałacu pierwsze arcydzieła ebenistowskie (a jest ich dosyć), baczny widz potrafiłby odróżnić fabrykanta każdego kraju. Bo w jednych meblach uderza gust i elegancya, inne wprawdzie oryginalne, ale razi w nich nadmiar ozdób; w tych spostrzegasz pewną ciężkość, w tamtych znowu więcej cierpliwości niżli sztuki i inwencji. Porównajmy je kolejno, a najprzód zatrzymajmy się we Francyi, bo ona oddawna uchodzi za ojczyznę mebli eleganckich, składnych, trwałych i dogodnych. Nie znalazłem w tej wystawie przeważającego gustu, bo go też nie ma w całym pałacu. Naprzemian spotykałem gust klasyczny, niezawsze szczęśliwie użyty, gotycki Elżbiety, *renaissance*, Ludwików XIVgo i XVgo, i cesarstwa.

Najwięcej widziałem kredensów, i to słusznie jako w Anglii, bo nie masz domu angielskiego, gdzieby go nie było, a rzadziej go się spotyka na stałym lądzie. W Anglii jest on sprzętem najważniejszym; fabrykanci i rysownicy najwięcej oddawali się jego przyozdobieniu. Wszakże zdaniem samych Anglików, kredens Fourdinois postawiony przy wejściu do sali Sèvres, przedstawia najszczęśliwsze i największe co do skali zastosowanie sztuki do prze-

mysłu. Zbudowany z drzewa orzechowego, pod względem rysunku, prostoty i wykonania, jest niezrównanym. Ozdoby czysto *renaissance* zwracają szczególną uwagę; psy w miejsce karyatydów, podtrzymujące stół kredensu, zwierzęta żywe i nieżywe, kwiaty odrywające się tak zręcznie, figury ludzkie pełne prawdy i wyrazu, nawet ta wędka rybaka, która zdaje się czeka tylko na wodę, w oczach widza to nie są wyroby drewniane, ale istoty żyjące, ale sama *expressya* i życie. Po Fourdinois, pierwsze we Francyi przyznałbym miejsce Tahanowi; nieskończenie wiele jest gustu w kufrze jego z pięknymi malowaniami na porcelanie, w bibliotece żłobionej miedzią, ozdobionej łuską i bronzowemi złoceniami; w kłęczniku gotyckim nader poważnym dębowym, z prześliczną snycerską robotą, i w mnóstwie jego toaletek, kuferków, stoliczków i t. p. Wypadałoby jeszcze przytoczyć etażerkę palisandrową Leclerca, biblioteczkę *renaissance* Janselma, ze żłobieniami mała-kitowemi, meble z drzewa palisandrowego Ludwika Gradé, nowego wynalazku malowanie na porcelanie Rivarda i Andrieux; lecz wszystkie te graciki i sprzęty nadobne mają jeden charakter, to jest jakąś ponętność francuzką, czystość w wykonaniu i niezaprzeczoną gust. W tej części uderzają widza roboty mozaikowe Marcellina. U niego mozaika jest wypadkiem rachuby i pracy geometrycznej; dzieło dokonane raz, może być jutro przerobione, pojutrze można je znowu ścieśniać lub rozszerzać do woli. Począwszy od wyrobu mozaikowego, mogącego pomieścić 6,500 sztuk, na powierzchni kwadratowej sześciocalowej, aż do obszernych salonów mozaikowanych, wszystko pan Marcellin jest w stanie przedsięwziąć, a jego zastosowanie tej sztuki do posiadzek, zasługuje rzeczywiście na uwagę.

Nie wiem, które miejsce pod względem wystawy mebli mam przypisać Austrii, ale to pewna, że jej salony najliczniejszą publiczność nieustannie zwabiają. Austria w kilku salonach zebrała wszystkie meble, i tym sposobem zręcznie odjęła wystawie cechę bazaru. Pomysł ten nader szczęśliwy, niemało zapewne przyczynił się do efektu, jaki sprawiają wyroby Leistlera i Grögera. Donoszę wam już o łożu pierwszego (zakupioném razem z innymi meblami Leistlera, przez margrabiego Westminster za 14,000 £.); jest z drzewa brazylijskiego, kolumny żłobione misternie i wyrzynane w rowki z bogatymi bukietami. Obie ściany kolosalnego łoża upięknione figurami aniołów, czuwających nad snem człowieka i symbolicznymi obrazami życia. Niebo

jest aksamitne, jedwabne i złote. Czyli łoże to jest do użytku, czyby kto mógł spać zamknięty w tym ciężkim gmachu, czyli przeto sprzęt nie chybia pierwszemu warunkowi każdego meblu, to jest jego celowi?—w to wchodzić nie chcę. Inne wyroby Leistlera, jakoto: kłęcznik, stolik nocny są gustowniejsze. Z dwóch bibliotek wystawionych w pobocznym salonie, przekładam bibliotekę *renaissance* nad gotycką, chociaż ta druga nieporównanie więcej kosztowała pracy i sztuki. Cóżkolwiekbydz, dzieła te Leistlera zasługują na szacowne pochwały, i potwierdzają we wszystkich opiniach, że Austria pod względem przemysłowym jest czemś więcej, niż mniemano.

Przechodząc następnie do wystawy angielskiej nie mogę wdawać się w rozstrzygnięcie kwestyi, podniesionej w francuzkich dziennikach, że niecała zasługa przynależy się producentom angielskim, bo do ich wyrobów przyczyniała się ręka cudzoziemców. Nie pojmuję dlaczego ludzie co potrafili zbudować dzisiejszy parlament albo Westminster, co dokonali najwspanialszego pomnika przemysłu ludzkiego, to jest kryształowego pałacu, co w tych wielkich budowlach tyle zdolali zgromadzić gustu, harmonii, nie byliby w stanie wyżłobić biurka lub ozdobić go eleganter. Prawda, że kredens panów Cookes i syna nie ma śmiałości pomysłu i szczęśliwego wykonania mebli pana Fourdinois; ale niemniej jest pięknym utworem, dowodzącym oryginalności artysty i zręczności dłuta. Przedmiot wzięty z dzieła sławnego romanso-pisarza angielskiego: *Zamek Kenilsworth*. Na nieszczęście powiedziałbym, przejęto się zanadto myślą poety, to jest namiętnością szczegółów, chociaż pewne figurki nie mają tej *expressyi*, którą wielki poeta wybitnie odcechował w swych bohaterach. Prześlicznym wyrobom snycerskim pana Fielda zarzucają, że są kopiowane z francuzkich wzorów Lienarda. W guście *renaissance* odznacza się kredens dębowy panów Jacksona i Grahama. Kredens aczkolwiek niemających rozmiarów, może być stosownie umieszczony w zamku, a z drugiej strony przemawiają za nim doskonałość rysunku, czystość stylu, piękność wykonania w najdrobniejszych szczegółach, i wybór materiału. Nie zarzucono go ozdobami, bo gdyby mu choć jedną odjęto, jużby raził brak widoczny. Począwszy od pięknych grup, przedstawiających symboliczne polowanie, rybołówstwo, rolnictwo i winobranie, aż do najmniejszych wyrzezań, wszystko świadczy, z jaką troskliwością pracowano nad każdym przedmiotem. Ten sprzęt po-

ważny mógłbym śmiało zalecić każdemu artyście jako dzieło sztuki, którego piękność tém więcej się szanuje, im więcej się je rozbie-
ra, i każdemu fabrykantowi jako produkt stolarski, którego każda
listewka jest wyraźna, a jedna w drugą przechodzi harmonijnie.

Mniej są szczęśliwe wytwory w guście klassycznym, na których
umieszczono napis: *Szkola rysunku sheffieldzka*. Wykonanie wpra-
wdzie wyborne, lecz meble powinny się różnić od złych modeli
architektonicznych, bo nie wypada, aby kredens wyobrażał jakąś
niezgrabną facyatę pałacu, a stolik nocny, aby miał formę grobow-
ca. Zresztą jak wiele jest mebli w najrozmaitszych gustach, tak
jest mało wyłącznie klassycznych. Nie lubią go fabrykanci, wie-
dząc, że niełatwo uniknąć form naprężonych i niekształtnych, ce-
chujących zwyczajnie ten rodzaj. Wiedzą nadto jak trudno pogo-
dzić formy klassyczne umeblowania, z architekturą nowoczesną bu-
dynku. Wszelako kilku ebenistów, a mianowicie panowie Poole
et Comp., przebyli po większej części te trudności w kredensie
przez siebie wystawionym. W ich meblach stylu włoskiego naj-
czystsze, nie masz jednej linii, formy, listwy lub ozdoby, coby
nie zadowalniała najwybredniejszy gust. Piedestały ustawione bez-
pośrednio na plintach (przez co zyskały dużo lekkości), łączą
się w pięknej girlandzie liści i owoców, i tworzą rysunek powa-
bny a rozmaity. U wierzchu jest wieniec dębowy, ta najzaszczy-
tniejsza nagroda Rzymianów, a cztery kolumny, według przepi-
sów architektonicznych odrysowane, dźwigają lampę. Po raz
pierwszy spostrzegam ją w meblu tego rodzaju, a tutaj tworzy
ona nicodzowną część całości. Bronzy na dwóch piedestałach
przedstawiają Filemona i Baucysa, a na ścianie lewej jest arty-
styczny obraz sądu Midasa; lecz wszystkie ściany, jako arcydzie-
ła bronzowe, godne są uwagi pod względem anatomii figur.
Warto im się przypatrzeć i rozebrać szczegółowo, bo to jest mo-
że jedyny produkt bronzowniczy angielski, który walczy o pierw-
zeństwo z francuzkami.

Przechodząc po wystawie mebli w innych krajach, trudno
się nie zatrzymać w Belgii, a mianowicie w Antwerpii, której zna-
komici ebeniści, jak pp. Judo, Roubé, Cofs, Raedt, okazali wiele
zręczności, choć może nie uniknęli przesady w ozdobach. Za-
sługują także na uwagę niektóre meble włoskie. Toskania przy-
stała piękną konsolę ze zwierciadłem, snycerską robotą, a z Pie-
montu znajduje się kilka sprzętów fornirowanych nadzwyczajnej
lekkości; stoły z mozaiką z drzewa oliwnego, wyobrażające po-

mniki rzymskie, są dosyć piękne, ale o mozażce z bitwami Napoleońskimi wołę nie mówić.

Po meblach przechodzę do fortepianów, tych najszlachetniejszych i niejako żywych mebli. I tutaj zacząć muszę od Francyi, bo w ogólności wyrób instrumentów muzycznych tworzy we Francyi ważną gałąź przemysłu narodowego. Najslawniejsze w tym względzie miasta są: Paryż, Lacouture w Normandyi, Mirecourt w Lotaryngii, Lyon i Marsylia. W Mirecourt wyrabiają instrumenta rżnięte, w Lacouture dęte, w Marsylii fortepiana, Paryż zaś jest ogniskiem i stolicą wszelkich rodzajów fabrykacyi. Statystycznie trudno oznaczyć wagę tego handlu; sprawozdanie przysięgłych z r. 1849 podaje, że wartość produktów nadesłanych w owym roku przez 85 wystawiaczy przechodzi 8 milionów fr. Co do handlu z zagranicą, przywozu nie ma żadnego, a wywóz jest znaczny. W peryodzie dziesięcioletnim od r. 1826 do 1837 wynosił rocznie 670,000 fr. W peryodzie od r. 1837 do 1846 już 1,277,000 fr.; w r. 1849 zniżył się do 902,586 fr. Cyfry te obejmują wszystkie narzędzia muzyczne. Aż do r. 1776 (epoka w której osiadł w Paryżu pierwszy Erard), Francya brała fortepiana to z Anglii, to z Niemiec; lecz odtąd wzrost przemysłu paryżkiego zapewnił mu odbyć znamienity, chociaż dopiero od 25 lub od 30 lat postęp jest daleko znaczniejszy. Dosyć, jeżeli czytelnikom moim zacytuję imiona Papego, Pleyela, Petzolda, Rollera, Blancheta, Herza, Boisselota; bo co do Erarda, którego imię jest znane powszechnie, wiedzą wszyscy jak wiele mu jest winien świat artystyczny, a dzienniki francuzkie i angielskie zanadto już pisały o jego zasługach, aby one miały być nieznanie większej części publiczności. Ani też nie potrzebuję dodawać, że jego piano z drzewa tulipanowego, z niezmiernym kosztem żłobione w złote pasy i z niewypowiedzianym gustem ozdobione, zajmuje pierwsze miejsce tak co do wewnętrznej, jako i zewnętrznej wartości. W tenże sam strój ubrana arfa króluje na fortepianie Erarda, a bogactwem swoim i powagą zdaje się przypominać, że jest najstarszą córą muzyki i jedną z świątecznych tradycyj starego świata.

Nietylko we Francyi, ale w całej wystawie najwięcej jest fortepianów biurkowych, bo podłużne fortepiana coraz więcej tracą wzięcia i istnieją tylko przesądem, jaki do nich ludzie gustu przywiązują. Wielu się na to gniewa; według mnie, zredukowanie potwornych kształtów fortepianu podłużnego do prostej

i wygodnej formy fortepianu o strunach pionowych bez ujęcia mocy tonów, jest charakterystyczną cechą wieku. To też na wystawie, tej powszechnej pieczęci postępu, wszystkie narody miłujące muzykę uznały wyższość fortepianów, które nazwałem biurkowemi; są tego rodzaju instrumenta w Anglii, Belgii, Rosyi, Niemczech; co do Francyi, która pierwsza rozszerzyła tę formę, liczy ona mnóstwo fortepianów biurkowych.

W Anglii nie skończyła się jeszcze walka między fortepianami podługniemi Broadwooda, który jest zawsze głównym fabrykantem angielskim, a wybornemi pianami biurkowemi Rollera i Blancheta syna. Z wzajemnych usiłowań na przyszłość musi wyrodzić się postęp, a że sztuka zawsze łączy się z przemysłem, czas pokazało, które tu narzędzia są lepsze. Wracając do Francyi spostrzegam wyroby Herdinga z małemi inowacyami. P. Soulleto wystawił fortepiano z drzewa różowego, wysoko cenione jako dzieło ebenisty. Forteplana tego fabrykanta są zazwyczaj podługne i mają właściwe sobie zalety. Wprawdzie klawisz uderza sucho i krótko, ale ton nie ustępuje wyrobom Rollera i Blancheta. P. Mercier wyrabia wyłącznie forteplana biurkowe. Jego ton jest przewyborny, ale uderzenie nie ma tej delikatności, która właśnie podoba się mniejszym artystom w fortepianach biurkowych. Instrumenta pp. Anchera, Kleinjaspera, Jauliwa, mają wszystkie zalety i wady wyrobów Merciera. Pana Debaina harmonijki, forteplana organowe, celują. Instrumenta Montala odznaczają się tém, że wyszły z fabryki kierowanej przez ślepego. Jest też obok fortepianów niemało harf, między którymi najpięwsze Doménego. W ogólności przyznać trzeba, że forteplana francuzkie mają zalety niepoślednie: ton ich tak w basie jak w wiolinie pełny, śpiewny i dźwięczny, formy lekkie i eleganckie, styl prosty i gust wyborny. Niektórzy w fortepianach podługnych zachowali formy wysokie, co właśnie w takich fortepianach razi, bo słuchacz nie może widzieć artysty zblizka.

Forteplana austryackie zalecają się taniością. Między belgijskiemi widziałem kilka dawniejszych fortepianów biurkowych Jastrzębskiego.

Jednym z wyrobów, który najwięcej się przyczynia do ozdoby pałacu kryształowego są dywany. Porozwieszane ponad galerjami, przybite do ścian, urozmaicają niezmiernie wystawę, a żywością i grą kolorów harmoniują z wesołym rzutem fontanny, z krasą kwiecistych gajów, i poważną zielenią majestatycznych

drzew. Można powiedzieć, że wystawa zarzucona jest dywanami, że każdy kraj chciał pokazać jak daleko w téj sztuce postąpił. A przecież jeszcze nie odległe czasy, nawet w Anglii, gdzie dywan jest już koniecznością (gdzie się znajduje po salonach, sypialniach, jadalniach, nawet sieniach i schodach); nie odległe mówię czasy, kiedyto dywan, jako kosztowny produkt perski, lewantski lub flandryjski, jedynie przez zamożnych bywał sprowadzany. Wprawdzie jeszcze dzisiaj Persya dostarcza dywanów, ale tak im, jak Flandom, Francya przed niewieloma laty odjęła przywilej zaopatrywania ludzi bogatych całego świata w wspaniałe dywany, które téż służyć mogą za wzór najdoskonalszój harmonii kolorów. Perskie i tureckie wyrobem i fantastycznością rysunku zachwycają oko widza; przydałbym jeszcze do nich tuniskie i indyjskie, ale nie znać w nich postępu; tém są, czém były przed sto laty, jakie mi się zdarzyło widzieć w Polsce, gdzie szczątki dawnego umeblowania pozostały, takie mniej więcej spotykałem na wystawie wschodnich krajów; kiedy przeciwnie wyroby europejskie dowodzą ogromnego wzrostu fabrykacyi, który zapowiada że niezadługo Północ dostarczać będzie dywanów dla Wschodu i Południa. Mianowicie w Anglii postęp jest zadziwiający. Rzucono się z zapałem do tego przemysłu, i zdaje się że z pomocą środków mechanicznych doprowadzą go tak wysoko, jak już dzisiaj stanęła bawełna, uwolniwszy się od ręcznych warsztatów. Powiem nawet więcej: fabrykanci francuzcy muszą podwoić swoje usiłowania, jeśli nie chcą, aby ich Anglia w krótkim czasie zakasowała.

Niejeden czytelnik dowie się zapewne nie bez zadziwienia, że mimo licznój różności nazwisk, jest dotąd bardzo mało różnicy w wyrobie dywanów, i że proces fabrykacyi we wszystkich jest prawie jednakowy. Tak zwane dywany *obiciowe* (znane w Anglii pod nazwiskiem *Tapestrys*), dywany z *Axminster*, z *Tournay*, *Wilton*, dochowały nazwiska rozmaite bez względu, że się nie różnią ani rodzajem tkaniny, ani téż miejscem pochodzenia. Z *Axminster* pochodziły dawniej piękne miękkie dywany, ale już je to miasto przestało wyrabiać. Obiciowe wyrabiane są dotąd igłą; środki mechaniczne w nich używane grają bardzo podrzędną rolę. Wszystkie tak zwane *aksamitne* dywany przyrządzone są jednym sposobem, a uchodzące pod nazwiskiem *brukselskich*, wedle długości oka z włóczki robionego na drucie, a rozcinanego brzytwą, zowią się w Anglii *saskiem*, albo téż *Velvet Pille*. Lecz nie robią

dywanów takich w Brukselli, tak jak znajome pod nazwiskiem *Kidderminster* nie pochodzą bynajmniej z miasta tego imienia.

Nie potrzebuje mówić, że sala Sévres przedstawia w tym rodzaju wszystko, cokolwiek ujrzyć można najwspanialszego. Są tam gobeliny i dywany Beauvais. Między nimi uderza świeżo przywieziony dywan *Wyrznięcie Mameluków*, według obrazu Ver-neta, szacowany na 80,000 fr. *Pałac St. Cloud* i *Zamek Pau* według Coudera i Alouxa, *Chrystus w grobie*, i kilka prześlicznych Beauvais. Są także dywany francuzkie znane pod nazwiskiem *Aubusson*, i tych głównym fabrykantem jest p. Sallandrouze pierwszy kommissarz francuzki przy wystawie powszechnój. Imię jego jest rozpowszechnione po całym świecie, ale zdaje mi się że nie był tak szczęśliwym jak zwykle w tém, co na wystawę pospiesznie wygotował. Chcę mówić o wielkim dywanie w sali Sévres, wiszącym naprzeciw gobelinów; w środku wyrobione są herby królewskie, a po bokach figury symboliczne Europy, Azji, Afryki, Ameryki; dalej poezyi, rzeźbiarstwa, muzyki, malarstwa i t. d. Handel i przemysł stoją obok herbów, w bocznych zaś polach astronomia, chemia, architektura i rolnictwo. Nadto wyszyte są imiona i godła głównych miejsc fabrycznych W. Brytanii i Francyi. Dywan ten, jak się pokazuje, miał być jednym z głównych przedmiotów wystawy, ale publiczności się nie podoba, co grze-czni recenzenci tłumaczą, że nie był zrobiony pod okiem p. Sallandrouze, który oddawna siedzi w Londynie zaprzątiony wystawą. Że zaś ten dywan wyszyty jest kwiatami, zarzucają mu że kwiaty są niestosowne do wielkich posadzkowych dywanów, bo któż je zechce deptać? Mimo to produkt ten odznacza się mocną świeżością kolorów, a jeśli się mniej od innych podoba, to dlatego, że wiszące naprzeciw gobeliny koniecznie zmuszają widza do porównania. Między francuzkimi fabrykantami godni są wspomnienia Bequillart, Roussel, Chocqueel, Flaissier. Belgijskie dywany z Tournay dochowały dawną sławę; austryackie pod względem rysunku są nienaganne, pod względem wyrobu gorsze od belgijskich.

Co do sztuki i kolorytu nie może wyrównać francuzkim fabrykatom, lecz sami Francuzi przyznają, że Anglicy przewyższają ich czasami pod względem taniaści i gruntowności roboty. Jak powiedziałem, przemysł ten w Anglii rozwija się bardzo szybko, i być może, że niezadługo z angielskich fabryk ujrzymy gobeliny i *Aubussony*. Tak np. widziałem jeden dywan *axminsterski* wy-

robiony w Glazgowie (przysłała go królowa) z fabryki Doubiggi-na et Comp. według rysunku Grunera, autora znanego dzieła „*Palace Włoskie*.” Rysunek jest włoski, całość składa się z trzech równoległoboków, to jest wielkiego po środku, a dwóch pomniejszych po bokach. Tło zarzucone figurami geometrycznymi i architektonicznymi; na białym polu w wieńcu kwiatów znajduje się rok 1851. Aby ocenić ten dywan, trzeba rozróżnić rysownika i fabrykanta, a jeśli ten drugi imię swe podwyższył, pierwszy nie pokazał wiele talentu. Panowie Jackson i Graham przedstawili, jeśli się nie mylę, pod nr 390 dywan *axminsterski*, któremu dają nazwisko *londyńskiego*. Poco ta ustawiczna przemiana, nie rozumiem: chyba aby w błąd wprowadzać publiczność, która jeden i ten sam rodzaj dywanów rozmaicie widzi ochrzczonym. Dywan ten ma piękne formy *renaissance*, koloryt piękny i przy dużym świetle wydaje się prześlicznie, co też jest zaletą dywanów przeznaczonych do sal recepcyjnych. PP. Wattson, Bell et Com. nadesłali dywan *axminsterski* wzoru nader gustownego, rysowany doskonale, nałożony kolorytym prześlicznym, i odznaczający się exekucją nieposlednią. Zewnętrzny brzeg składa się z arabesków na białym polu, wewnętrzny ma tło zielone, a w środku wyszyte są kwiaty podobnie na białym tle. Drugi dywan tejże fabryki jest, według etykiety, zrobiony z rysunku James Crabb. Arabeski stanowią pole środkowe, ozdoby pięknie rysowane i różnobarwne brzeg skrajny, przed którymi wija się dokoła festony koloru cytrynowego na polu zielonym. Dywan ten przy sztucznym świetle możeby się nie wydał, ale przy słońcu jest bardzo piękny. Pomijam wiele innych mniej więcej godnych podziwu dywanów, lecz wypada mi niniejszy ustęp zakończyć opisem nowego patentowanego sposobu fabrykacji dywanów mechanicznej, wynalezionej przez pp. Bright et Comp. U niego para wyrabia na warsztacie tkackim, nie potrzebuje on drutów zwykle używanych i tworzy oka właściwym sobie sposobem. Kiedy tło jest zaszyte okami białymi, drukuje się wzór na dywanie, tak, aby przędza przesiąkła kolorem, ale aby kolory się nie mieszały. Z pomocą tej procedury otrzymał dywan brukselski bardzo łatwo, a oszczędził wiele kosztów materiału. Wspomniałem pierwój, że do przecinania ok przy dywanach saskich i Velvet Pile, używają brzytwy. P. Bright dokonywa tego niezmiernie prostym mechanizmem, bo u niego machina tuie oka w czasie tkania, przez

co i cięcie jest równiejsze i czas oszczędzony. Pierwsze to na tém polu usiłowanie, jak się zdaje, rozpoczyna szereg nowych prób, które może niezadługo utworzą nowy rodzaj dywanów drukowanych.

Wspomniałem o sali Sèvres. Jestto zbiór najpiękniejszej porcelany francuzkiej, użytej tak dobrze do naczyń stołowych, jak statuy, wazonów, stołów, i przeslicznych obrazów. Francuzi sztukę malowania na porcelanie doprowadzili niezmiernie wysoko; jakoż miarą téj doskonałości są portrety królowej przez Duclura i księcia Alberta przez Berangeta. Portrety te na porcelanie naturalnej wielkości przewyższają wszystko, co dotąd było można widzieć pod względem żywości kolorytu. Fabryka Sèvres (zostająca obecnie pod kierunkiem p. Alexandra Brongniart, znanego przez swe dzieło: *Histoire de l' Art Céramique*, mającego do pomocy kilku zawołanych chemików, a mianowicie p. Malaguti), odznacza się składem chemicznym używanych gliniek, ich właściwością fizyczną i dokładnością doboru materiałów pierwotnych. Jój wyższość na całym świecie jest niezaprzeczona: to téż otrzymała, jak słyszę, pierwszy medal, podobnie jak gobeliny i jedwabie lyońskie, chociaż w dwudziestu pięciu innych rodzajach przemysłu pierwsze medale przyznane mają fabrykanci angielscy. Wprawdzie wyrok nie jest jeszcze ogłoszony urzędowo, ale wiadomość o nim jest autentyczna.

Chciąc opisać porcelanę i wyroby garncarskie wystawy powszechnéj, byłoby jedno, co ułożyć dokładną historją téj sztuki. Ma ona bowiem to charakterystycznego, że postępuje w miarę wzrostu cywilizacyi. Badając jój dzieje uznać trzeba, że postęp lub upadek sztuki, wartość używanego materiału, gust przeważny, odpowiadają dokładnie sytuacji moralnej współczesnego wieku; a że obecnie są kraje, których garncarskie wyroby nie są lepsze od dawnych assyryjskich lub egipskich, i są niezmiernie w tym przemyśle posunięte: wypada ztąd, że geografia rodu ludzkiego jest jego historją, i że wszystkie fazy dziejów są każdodziennie rozłożone na powierzchni globu. I tak znajdują się na wystawie wyroby gliniane afrykańskie, fajans tuniski, produkta indyjskie i t. p. Fabrykacja porcelany doszła w Chinach stopnia, na którym się tam dzisiaj znajduje, jeszcze wtedy, kiedy porcelana w Europie nie była znaną. Mimo to porcelana jest produktem czysto europejskim: urodziła się w Europie (w Saxonii, dzięki aptekarzowi Böttcherowi. Chińska wystawa pod względem por-

celany jest bardzo nauczająca; można na nią ujrzyć wszystkie materiały używane w wielkiej fabryce Kiaing-Tiht-Chin. Kaolin chiński nie różni się wcale od kaolinu z Cornouailles, o którym w przeszłym liście mówiłem, podobnie jak ich mydlak od skał magnezyi z Lizardu. Są różne ich kompozycye, politory, kolory, których używają do ozdoby porcelany. Nieco dalej widzimy wazy wielkiego pomiaru, nader charakterystyczne, niestychanęj lekkości filiżanki i spodki z czarnej przezroczystej porcelany. Z Japonii znajduje się pyszna porcelana czerwona, nadzwyczaj delikatna; z Ceylonu próbki małowazne, chyba pod względem statystycznym.

Naczynia polewane hiszpańskie na wino, wskazują jak ogromne rozmiary można nadać odlewanej glinie. Sąto prawdziwe budynki; przewrócone na dół, mogłyby dać wyobrażenie o szafasie hotentockim. W takichto naczyniach nie pokrytych, chowają Hiszpanie wino, a wiadomość o nich przeszła do nas z opowieści żołnierzy Napoleońskich, którzy słodką śmierć nieraz w nich znajdowali. Podobnych olbrzymów glinianych nie widziałem, chyba w oddziale angielskim, gdzie jest kilka ogromnych naczyń chemicznych, wyrobionych z ziemi Lamberth.

Wystawa niemiecka kładzie nas w możności porównania materij pierwotnych wyrobów ściśle garncarskich, zwykłego fajansu i najprzedniejszej porcelany. Pruska porcelana jest córka saskiej; mamy jęj piękne próbki z Berlina i jednej czy dwóch fabryk szlązkich. Fabryka misneńska zachowała dawną sławę; wiedeńskie porcelany odznaczają się pięknym malowaniem. Godne uwagi są wyroby belgijskie z Antwerpii i Brukselli; z Holandyi mniej ważne. W Danii mile uderzają oko porcelanowe odlewy arcydzieł Thorwaldsena; na wystawie rossyjskiej są tylko dwie wazy ukazujące dwa stopnie produkcji rossyjskiej, i kilka próbek porcelany polewanęj wielkiej piękności.

Co do Anglii, opisałem już w przeszłym liście materiały surowe tej produkcji, wystawione przez kompanię St. Austel; pozostaje mi więc wspomnieć o niektórych wyrobach. Jest mnóstwo kopij Thorwaldsena, Danekera, Celliniego i innych. Zwraća uwagę piękny serwis porcelany niepolewanęj Mintonu, chociaż ten rodzaj porcelany do praktycznego użytku mniej zdatny, służyć chyba może na ozdobę kredensu. Malowanie na porcelanie uczyniło znaczne postępy: kolory użyte są bardzo piękne, z wyjątkiem może pomarańczowego, który jakkolwiek piękny

i żywy, jest pospolitym, i pochodzi zapewne z zastosowania chromianu ołowiu. Złocenie porcelany niepolerowanej jest ulepszeniem godnym pochwały.

Od porcelany, tego ciała półszklanego, do szkła i kryształów krok tylko. A jak nie wspomnieć o szkłe w pałacu kryształowym, gdzie dach szklany pokrywa przestrzeń 18 akrów. Ta okoliczność, że do pałacu dostarczyła szkła jedna tylko fabryka braci Chance z Birminghamu, którzy mieli czas przedstawić na wystawie inne jeszcze produkta, świadczy o niesłychanej żamozności fabrykantów angielskich.

Dość pobieżnie przejrzyć szkła nagromadzone w pałacu aby się przekonać, co może utworzyć zręczność ludzka z surowych produktów natury. Trochę piasku, choćby też nieczystego, i nieco alkaliu otrzymanej z popiołów roślinnych topione razem, czynią chemiczną kombinacją zadziwiającą przez swą przezroczystość i fizyczne własności odbijania i załamywania światła. Niemniej podziwu godną jest trwałość szkła, z jaką się ono opiera sile niszczącej czasu. Kilka wieków upływa nie robiąc na niem żadnego zniszczenia. Na powierzchni szkła, które nam się z czasów rzymskich przechowało, widać zaledwie małą zmianę, to jest pewną powłokę tęczową. Dawniejszych też pomników nad rzymskie nie mamy; widno Grecy nie zajmowali się szkłem; rzeźali, odlewali, ale nie fabrykowali wcale. Dopiero imperatorowie rzymscy wprowadzili ten przemysł we Włoszech; i z owéjto epoki podziwiałem w muzeum brytańskim znany pod imieniem „*Portland rase*” zabytek i tyle innych arcydzieł, waz, mozaik, wprawiających w zdumienie dzisiejszych fabrykantów. Najzręczniejsi z nich, tacy, co po lat trzydzieści przepędzili przy swém rzemiośle, stają nieraz po godzinach przed antykiem, zapytując siebie, jak on mógł być zrobiony. Mozaika szklana rzymska nie składa się ze szkielek różnego koloru spojonych, ale jest różnobarwném szkłem, znaném pod nazwiskiem *Mille fiori*. Od Rzymian wzięła praktykę szklaną Wenecya, i onato wydała kilka arcydzieł *mille fiori*, które przechowują w muzeach. Jak się dalej rozwinęła produkcya szkła, który naród najprzód zdobył tajemnicę Wenecyi, nie tu miejsce opisywać; dość, że współcześnie we Francyi i w Niemczech pojawiły się fabryki szkła, ale nad wszystkie zacerowały Czechy. Używali oni przezystego kwarcu i potażu, którego im dostarczały odwieczne ich lasy, kiedy we Francyi posługiwano się sodą z Normandyi; a jeśli używano potażów, to z piaskiem mniej czy-

stym od kwarcu. Jak zaś wiele zależy, aby piasek był czysty, to jest wolny od żelaza lub innych mieszanin nadających szkłu pewną prężkowość, może posłużyć za dowód, że okręty angielskie wracające próżno z Sydney lub Nowej Holandyi zabiierają zazwyczaj tameczny czysty piasek. Anglia bardzo późno przystąpiła do tój walki francuzko-czeskiéj, lecz ze zwykłym sobie dowcipem i wytrwałością postępując, wkrótce wycelowała nad rywalkami. Jéj doskonałości w tym rodzaju fabrykacyi, dowodzi choćby sama tylko fontanna Oslera. Któż z nas nie czytał w wschodnich powieściach cudnych bajów o fontannach kryształowych? Dziś jeden fabrykant z Birminghamu pokazał, jak można zrealizować fantastyczne obrazy powieści, jak twórcza ręka przemysłu zdolna jest nadawać ciało ideałom poetycznym, i jak alkalia pomieszana z piaskiem może połysnąć krągłemi liniami, nieustępującemi w niczém promieniom wody strzelającym w górę i spadającym do przezroczystéj kotliny. Nie mniej wspaniałe, choć mniej sztuczne, są: pajak Perrego z Londynu na 144 świec, wyroby Harrisa, Richardsona, Bacchusa, i t. p. W ich wystawie widziałem także kryształy kolorowe, lecz pod tym względem przyznają sami, że Czesi są od nich wyżéj. Dwa ogromne stoły hr. Harracha z Czech (Neue Welt) zapełnione są wszystkiém, co serce miłośnika kryształów różnobarwnych rozradować może, a kilka ogromnych kościelnej wielkości lichtarzy, dowodzi wielkiego rozwoju fabryki. We Francyi, która nauczyła Anglików fabrykacyi kryształu, jest kilka znakomych zakładów; lecz najcelniejszy, jeden z pierwszych w świecie, zakład pp. Godarda i Toussaint nic a nic na wystawę nie przysłał.

Jak w szkłe tak i w zwierciadłach Wenecyanie posiadali czas niemóły wyłączny przywiléj; dopiéro Colbert przywabił kilku weneckich fabrykantów do Francyi. Ówczesny przemysł był jeszcze tak dalece rutyną, że szklarze ci nie ręczyli bynajmniej za pomyślność zakładu, jeśli nie znajdą miejsca odpowiadającego zupełnie zakładowi Murano. Wyszukali go nareszcie pod Cherbourgim, i tam robili wydymane zwierciadła. Lecz ich metoda nie pozwoliła dostarczać wielkich luster; dopiéro kiedy salony Ludwika XIV zwierciadeł większego rozmiaru potrzebowały, i kiedy Abraham Thévart wpadł na nowy pomysł, ożywiła się ta fabrykacya i zaraz z wnukiem królewskim przeszła do Hiszpanii. Od tegoto czasu istnieje we Francyi zakład St. Gobain, obok niego powstał drugi w St. Quirin. Dwie kompanie walczyły z sobą długo, lecz prze-

konaly się w końcu, że lepiej się połączyć. Jakoż złączone razem z trudnością pozwalają się utrzymać obcemu zakładowi, bo jeśli który odpięra ich konkurencyą, to go zakupują. Kilka zakładów niechęcych przystać na ich propozycyę upadło, wszelako kilka potrafiło się utrzymać. Na wystawie znajdują się zwierciadła jedynie z Montlucon; są one średniej wielkości. Wielkie stowarzyszenie St. Gobain i St. Quirin nie nadostało nic. Z belgijskiej fabryki St. Marie d' Oignes nic także nie widziałem, tak, że Anglia nie ma naprawdę w pałacu współzawodnika, choć wystąpiła kompletnie uzbrojona, przedstawivszy największe w świecie zwierciadła po 18 stóp wysokie, a 10 szerokie. Lecz choćby zwierciadeł angielskich na wystawie nie było, to dosyć się przejść po Regent-street i obejrzeć niektóre sklepy, a powziąć można dostateczne wyobrażenie o wielkości i doskonałości zwierciadeł angielskich.

Zanim przystąpię do krótkiego przeglądu wystawy jednej z najważniejszych i najlepiej w pałacu reprezentowanych, to jest wystawy sprzętów żelaznych, mosiężnych i t. p., i nożownictwa, trzeba mi zdać sprawę z ulepszeń wprowadzonych przez górników i fabrykantów angielskich, a wykazanych na wystawie. Wiadomo że narzędzia, których górnik używa zmieniają się wedle natury kopalni. Jeżeli skała jest miękka, wystarcza mu zwykła szufła i motyka; jeśli jest twardą lub pokładową, lub jeśli zawiera liczne szczeliny, trzeba wbijać że tak powiem kliny i wyważać bryły. Lecz jeśli te środki nie wystarczą, uciekają się zwykle do prochu strzeleckiego, zapalonego w znacznej głębokości w skale. Ta operacya dokonywa się za pomocą świdrów, które się zlewa od czasu do czasu wodą, bądź dla ułatwienia roboty, bądź też dla oziębienia narzędzia. Skoro dziura jest dość głęboka, oczyszcza się ją starannie i w głębi wkłada się znaczną ilość prochu, którą dla nadania jęj większej sily, zapycha się jak nabój w strzelbie kłakami. We środku za pomocą iglicy miedzianej zachowuje się mały otwór, w który wkłada się trzcinka napełniona przy końcu drobnym proszkiem, a służąca za drogę ogniowi.

Cały ten przyrząd niezgrabny i niebezpieczny ustąpił świeżo miejsca patentowanej racy Bickforda. Ta raca nietylko działa sama jako knot zwolna palący się, ale operacya z jęj pomocą jest nierównie łatwiejsza i bezpieczniejsza. Raca zamknięta w rurze konopnej, do której przystęp wody odjęty jest przez powłokę smolną lub żywiczną, składa się z mieszaniny, która raz zajęta

ogniem pali się z chyżością wymierzoną, dopóki ogień nie dojdzie do naboju sprawiającego eksplozję. Taką racę widziałem na wystawie angielskiej. P. Rogers z Abercorn przedstawia również sposób ułatwiający wiercenie, gdy dotychczas używano narzędzi, których rękojeść była żelazna, a samo tylko ostrze stalowe. Narzędzia Rogersa są całkiem stalowe, a jak mnie zapewniali znawcy, przynoszą one znaczną oszczędność siły. Tenże Rogers obmyślił rury ułatwiające pompowanie wody z kopalni w czasie wiercenia dziury. Używano dawniej rur Hogara długich na cztery stopy, skórzanych, wzmocnionych pierścieniami metalowymi; ale je z czasem porzucono, bo się często rozdzierały, a wprowadzono natomiast narzędzie złożone z dwóch rur zsuwających się jako w perspektywie. Lecz i to narzędzie nietylko podlega łatwemu zepsuciu, ale działa zwolna i niedokładnie. W miejsce jednego i drugiego p. Rogers wprowadził rury z guttaperki, które daleko trudniej się uszkadzają i łatwiejsze są do naprawy. Zastosowano także baterią galwaniczną zamiast zwykłych sposobów zapalania naboju, przez co można czynić eksplozję w kilku na raz miejscach bez narażenia górnika.

W innym oddziale wystawy wyjaśnione są sposoby przerabiania żelaza już wytopionego. Jest kilka exemplarzy kowalskich młotów, lecz obecnie coraz więcej upowszechnia się młot parowy. Taki znajduje się wynalazku p. Nasmytha. Młoty uderzają na rozpalone żelazo w ciągu minuty 70 do 140 razy, a siła uderzenia zawisa od wysokości, z jakiej młot spada. I tak: jeśli przy podniesieniu dziesięcio-calowém młot posiada siłę 1,000 f. to przy dwudziesto-calowém zyskuje siłę 4,000 ff. Taki młot służy także za próbę dobroci metalu, bo źle przerobione żelazo tłucze w kawałki. Stowarzyszenie Butterley w południowej stronie oddziału mineralnego przedstawiło próbki szyn kolejnych; pp. Bird i Comp. wszelkiego rodzaju pierwotne wyroby żelaza, podobnież stowarzyszenie Ebbw-Vale, p. Morries Stirling i t. d. Między temi znajdują się szyny nadzwyczajnej długości, lecz jakaby ztąd płynęła korzyść, nie wiem; to tylko pewna, że trudność powiększona wyrobu sprawić może, iż szyny będą nieprzydatne. Z żelaza grubego i dziurkowatego nie można otrzymać dobrych szyn, bo się łatwo rozszczepią: trzeba aby było włókniste i ciągłe. Dla przekonania o tój jego zalecie i dla wykazania budowy włoskowatej, wystawiono przelamane szyny.

Na wielką uwagę zasługują rezultaty wynikające z mieszaniny żelaza i innych metalów, przedsięwziętej przez pana Morrisa Stirlinga i kombinacje żelaza kutego i lanego, którego trzy próby wystawił. Płynność żelaza przypisuje on arsenikowi, chociaż i fosfor zapewne w tém gra rolę; przymieszywa on różne minerały utrzymując, że zyskuje przez to daleko lepszą stal, i do żelaza dodaje cynk lub cynę. Na stole zajętem przez pp. Birda et Comp. są obok wielu wyrobów żelaznych i blach sztaby może największe, jakie dotąd wydano. Nie potrzebuję mówić jakie trudności są w wyrobie blach, a jedną z największych jest, aby była dobrze wywalcowana. Żelazo musi być białe i włókniste; najprzód przerabia się je na płaskie sztaby, którym kilkakrotnie wywalcowanie nadaje potrzebną trwałość. Nie bez przyjemności przekonywałem się naocznie i słyszałem od lepszych odemnie znawców, że blachy z fabryk polskich są więcej warte od angielskich. Wszystkie blachy znajdujące się w oddziale rossyjskim mają jasny połyskliwy kolor, co pochodzi zapewne z fosforu i krzemionki znajdującą się w kruszcu, a jak Anglicy tłumaczą z pomieszania z kwasem węglowym, co się dzieje w skutek użycia paliwa drewnianego. Cokolwiekbądź, jest rzeczą niezaprzeczoną, że blachy angielskie choćby najlepsze, są chropowate, a w oddziale rossyjskim są doskonale włókniste i glansowne. Jeżeli siarka znajduje się w metalu lub w paliwie, wtedy żelazo nabiera koloru czarnego i blacha staje się jakby pochmurna.

Przechodząc obecnie po pałacu, z wielką radością zastanowiłbym się dłużej nad wyrobami metalowemi, jednym z najważniejszych niezaprzeczenie rodzajów przemysłu, i porównywałbym produkta przemysłowe krajów, gdzie nauka nie przyczyniła się jeszcze do wzrostu fabrykacyi, z krajami, gdzie stała się częścią jej nieodzowną, gdyby mi w ocenieniu i opisanu nie stawał na przeszkodzie niedostatek specjalnych wiadomości. Mimo to mało oddziałów tak pilnie i usilnie zwiedzałem, jak wystawę tuniską i Indyj Wschodnich. Namiot tuniski, mający tyle barbarzyńskiej malowniczości, przenosi mnie w odległe czasy, kiedy koczujące ludy poczęły smakować w korzyściach trwałego mieszkania. W wystawie zaś indyjskiej znajduję modele dziwnej naiwności obok przepysznych ozdób do użytku osobistego służących, tak, że jedno i drugie produkta uważam za punkt wyjścia w sumiennym rozbiorze. Próby rzeźby na drzewie i kamieniu dowodzą myśli jeszcze niedojrzałej i wysilenia ducha walczącego z naturą. Jestto

robotą niezgrabną i powolną, bo wszystkie prace co wymagają większej żywości myśli, działania energiczniejszego, czerpią natchnienie w potrzebach człowieka. Na dowód mogą posłużyć wyroby metalowe tuniskie i narzędzia tubylców indyjskich, świadczące o takiej samej grubości wykonania. W działach owych krajów mało jeszcze słońcem myśli ogrzanych, przemysł ludzki nie naturę do siebie, ale sam się wedle natury stosował, nie silił się na zmienienie formy naturalnych kombinacyj, ani na wydanie nowych materij. Już kawał żelaza stopionego i osadzonego na dzirycie lub strzale, był postępem w porównaniu zaostrzonych oszczepów kamiennych. Posuwając się dalej przez Turcyą, Grecyą, Hiszpanią i Portugalią do Francyi i Austrii, spostrzega się mnóstwo przykładów owej myśli stwierdzających. Produkta przemysłowe wykazują coraz to większe zawładnienie materją pierwotną, siłami naturalnemi, i tém dowcipniej są wyrabiane, im naród w cywilizacji stoi wyżej. Każdy więc rodzaj przemysłu do tej samej badawczego widza przyprowadza konkluzji.

Od owych początków przemysłu aż do dzisiejszego rozwoju, jakżeż ogromna wiedzie droga! Narody europejskie zmuszone wszystkie do walczenia z naturą, wszystkie niemal wyrób żelaza doprowadziły dość wysoko, chociaż w dalszych jego przerobach niewszędzie jednaka panuje doskonałość, a tém mniej ozdoba. Tak np. w Anglii żelazo stało się ciałem najpowszechniejszém, najtańszém, najłatwiejszém do użycia. Postępują się niém wszędzie, gdziekolwiek może zastąpić drzewo lub kamień. Niedawno zaproponowano w Londynie, aby ulice karbowanemi blachami żelaza wybrukować, gdy zrobione próby z gummy wypadły zadrogo, gdy asfalt nietyle jest przydatny na drogi ile na chodniki, a bruk kamienny lub ceglany sprawia turkot nieznośny przy zwykłym ruchu londyńskim. Na wystawie angielskiej już mało innych spotyka się piecyków i kominków jak żelazne; są one prześlicznie wyrabiane, a politura nie odjęta im naturalnego koloru żelaza, co było dawniej wadą fabrykacyj angielskich. Oddziały przeznaczone fabrykantom z Birminghamu i Sheffieldu, owych dwóch wielkich ognisk przemysłu metalowego, przedstawiają najróżnorodniejsze próbki. Przerabiają one niemal wszystkie metale: miedź, złoto, cynę angielską, srebro, żelazo, a to w tysiącznych formach przeznaczonych do użytku i ozdoby; bo też jeszcze od czasu najścia Saxonów słynął Birmingham wyrobem szczyrzyków,

nożyczek, sierpów, pałaszy i t. p. Sheffield trudni się głównie stalą i jego brzytwy i noże wszelkiego rodzaju są zanadto sławne, abym o nich potrzebował mówić. Lecz i wystawa zagraniczna zasługuje pod tym względem na uwagę. Francya bez wątpienia ustępuje Anglii, choć w niej są tacy fabrykanci, jak pp. Jappy, Goldenberg, Coulaux i t. p., którzyby bez wątpienia bardzo wiele za granicę przesyłali, gdyby drogość materiału pierwotnego, dotkliwie dla kraju cło od żelaza, nie tamowały ich produkeyi. Większy jednakże jest wyrób cynku. Kopalnie stowarzyszenia zwanego *Vieille-Montagne* dostarczają materiału, którego Francuzi korzystnie umieją używać. Czyto brak żelaza, czyto inna jakowa przyczyna, wyrabiają oni z cynku mnóstwo sprzętów i narzędzi podręcznych, a nawet i dzieła sztuki odlewane z cynku są niepoślednie. W oddziale przed wejściem do sali Sevres znalazłem kilka pięknych statuy cynkowych, między innymi lwa w naturalnej wielkości; jedna zaś z najpiękniejszych, to jest statua królowej Wiktorji z cynku przez to samo stowarzyszenie nadesłana, aczkolwiek nie zaleca się artystycznością, dowodzi w jak wielkich bryłach może być odlewany cynk. Wszakże i olbrzymia amazonka Kissa, znajdująca się w pałacu (którą muzeum Washingtona za 3500 £. kupiło), na wzór berlińskiej odlana, jest z cynku. Austrya mnóstwo rozmaitych wyrobów nadesłała z metalu; to też niemal wszystkie części monarchji go dostarczają. Czechy, Morawia, Styrya, Tyrol, Karniola, Karyntya, przedstawiły produkta naturalne i przerobione, tylko z Galicyi nie ma nic. Zpomędzy tych, nie mówiąc już o kosach (których 142 fabryk dostarczają 7 milionów rocznie) uderza stal modyolańska i rury ołowiane. Ukazywano mi np. rurę ołowianą zwiniętą, 900 stóp długą z jedną sztuki i wszędzie jednakowej grubości. Są też kompletne wystawy pojedynczych fabrykantów; tak np. zakład Kitschella z Wiednia nadesłał piękne wazony z kwiatami bronzowemi, kandelabry z lanego żelaza, fotele i stolki z dętego, stół cynkowy, a kocioł niegladzony po odlewie dowodzi nadzwyczajnej czystości odlewu. Uderzył mię także zbiór warsztatów tnących i innych, z fabryki Wertheima z Wiednia. Należy on do większych fabrykantów w Europie i posiada cztery wielkie zakłady. Główną jego zasługą jest, iż dostawia wszelkich jakichbądź gotowych warsztatów stolarzom, ebenistom, introligatorom, powoźnikom, garbarzom, rymarzom, siodlarzom i t. d. Zbiór który mam przed oczyma, składa się z 1400 exemplarzy najróżniejszego przeznaczenia, do

których nic innego nie wchodzi nad drzewo, żelazo i stal. Drewniane mianowicie warsztaty uderzyły Anglików, i zaraz w pierwszych tygodniach wystawy widziałem jak je rysowali, bo nie trzeba zapominać, że te przyrządy są przynajmniej o sto procent tańsze od angielskich. Wertheim dostarcza przewybornych hebli, do których używa grabiny; pokazało się po dokładnym zważeniu, że przy jednakiłej objętości wiedeńskie heble ważą 19 części, a angielskie 13. Dwaj angielscy fabrykanci umówili się o zakup po skończonej wystawie wszystkich warsztatów Wertheima. Jednym z najbardziej uderzających jest hebel nieruchomy bednarski do wielkich naczyń, który się najprzód umocowyywa, a następnie hebluje deski. Co się tyczy metalu użytego do tych narzędzi, ten się z angielskim porównać nie da, i zaprawdę żałować przychodzi, iż fabrykanci żelaza w Styryi, którzy pod względem doskonałości wyrobu mogą rywalizować z angielskimi, zaniedbują formę i politurę. W końcu muszę wspomnieć o eleganckiej szkatulce Wertheima, będącej mikrokosmosem wszystkich jego warsztatów. Obok Wertheima, Weiss i syn z Wiednia rozłożyli podobny, choć mniejszy zbiór warsztatów, odznaczających się niejedną zaletą.

Związek celny przedstawił liczny i interesujący szereg wyrobów metalowych, lecz w ogólności powiedzieć o nich muszę, że są wprawdzie tanie, dla Anglika bajecznej taniości, ale też niezmiernie lichy. Fabryki żelaza i metali w Stanach Zjednoczonych są jeszcze w dzieciństwie.

Pominąwszy brzozy i złotnicze wyroby, w których niezaprzeczenie Francya celuje, i które nowy stawiają mi dowód, że przemysł francuzki skierowany ku przepychowi i ozdobie dostępnym jest szczególnie dla klasy bogatęj, angielski zaś ku wygodzie powszechnęj i przyzwoitemu zaopatrzeniu potrzeb człowieka, tak, że gdybym nie miał pewnego wstępu do słów zużytych, pierwszy nazwałbym arystokratycznym, a drugi demokratycznym. Przystępuję nakoniec do oddziału przedzy, o których byłoby tomy do pisania. Zwracając głównie uwagę na część najprzedniejszą tego przemysłu, to jest na przedze jedwabne, zaczynam, idąc za zdaniem całego świata, od jedwabioń lyońskich. Wystąpiło tylko siedmiu fabrykantów, wprawdzie mistrzów sztuki, lecz wszyscy związali się razem, i ustawili choć nieco późno utwory swe w najpiękniejszém świetle. Już przy wejściu przez bramę wschodnią, uderza w oczy blask tego jedwabniczego ogrodu,

w którym wszystkie kwiaty najtańsze i najdroższe obok siebie gustownie są rozwieszono. Poza *altsamitami strzyżonemi*, idą: *kitajki*, *atlasy*, *grosdenaple*; dalej, *krepy*, *pluże*, *fulary*, *złotogłowie*, *materye kościelne i palacowe*. Każdy rodzaj obejmuje wszystkie odmiany, tak, iż dość jednego rzutu oka, aby objąć najzupełniej tę ogromną rodzinę przędzalną, która jest dumą fabryki. Otwarcie wystawy zastało gablotki jeszcze puste, lecz w kilka tygodni po niem, odśloniono je naraz i ukazano najwspanialsze wyroby, złote sukna z jedwabnemi bukietami, których metr kosztuje 400 fr. Wtedy krzyk podniósł się ogólny, i Lyon zakasował nietylko wszystkie fabryki, ale i samego siebie! Panowie Lemire i syn podnieśli starą chwałę swego zakładu, wystawiając ozdoby kościelne, a mianowicie ornaty tkane i wyszywane kosztownemi kamieniami.

Materye przerabiano zajmują, jak łatwo się domyślic, pierwsze miejsce przez cechę sobie właściwą, bogactwo kolorów i majestatyczną piękność ozdób. Z nichto poszyte owe suknie dworskie, i zbytckowne książęce toalety, dekoracye najpiękniejszych salonów! Jeden dom wystawił same krepy, tak zwane *crêpes lisses*, *areophanes*, haftowane biało na białem lub na tle kolorowem. Niepodobna opisać ich gustowności, lekkości, nieporównanej świeżości, a jeśli wszystkie szafy Lyonńskie przez cały dzień trzymane są w obłączeniu przez płec piękną, to przy tych ostatnich pierwsze elegatki rade zabawiają w nieustannój extazie, notujące w pugilaresach imiona fabrykantów. Woń perfumowa otacza te obłoki różnobarwne, te niewiasty, których oczy, owe promienie wewnętrznej piękności, ścigają za tą tęczą czarownych kolorów. „O niewiasty piękne i szczęśliwe”, powiem wam razem z Blanquim, „kiedy kształtną kibić obrzucacie powietrznemi szarfami, pomnijcie na biedne dziewczyny, z rąk których te cuda wyszły. One są téj samój płci co wy, też same mają serca, i też same formy, a oddawszy w wasze ręce najwykwintniejsze przepychy, nie mają często czém zaspokoić najpięrszych potrzeb życia“.

Poza temi mgłami jedwabiu, wystawili Lyonczycy wielką masę fulardów, krawatek, i trzy szafy zapelnili pluszem do męzkich kapeluszy. Ichto doskonałości winniśmy, że nasze kapelusze, mające formę dość śmieszłą, nie są tak kosztowne, bo się dadzą odnawiać; bez tego wystawione na zgniecenie, wytarcie i niepogodę, byłyby najdroższém męzkiem odzieniem. Uważałem, że Anglicy, naród najpraktyczniejszy w świecie, obracho-

wali, że kapelusz trzymany w rękę, zajmuje połowę miejsca człowieka, dlatego wchodząc do salonu, kładą go nasamprzód na stole, bo i to spostrzegli, że człowiek niekłopotony kapeluszem, niezmuszony do jego obrony, jest nieporównanie wolniejszy, ruchy ma swobodniejsze, i w towarzystwie jest przyjemniejszy. Lecz wracam do wystawy. Jeden z fabrykantów lyońskich przedstawił szale krepowe chińskie, i podobno pobit Chińczyków, bo ich szale są ciężkie, przepelnione haftem, choćby nawet tkanka była lekka. Atłasy pana Heckela są ideałem tego rodzaju fabrykacyi, a Girard Neveu z Londynu, najbardziej w wyrobie aksamiotów, zbliżył się do Genuńczyków, których odwieczna sława, w tak zwaném *velours uni* dotąd nic na swym blasku w Europie nie straciła. Jest także kilka obrazów z jedwabiu: *Portret królowej Wiktoryi*, *ks. Alberta* i *ks. następcy* z fabryki Carquillate. Z téjże saméj fabryki i téjże saméj roboty jest *portret papieża*, *testament Ludwika XVIgo*, *odwiedziny ks. Aumale w zakładzie pana Carquillat*, a nakoniec obraz *à la memoire de Jacquard*. Obraz wielkiego mechanika, który warsztaty niemal myśleć nauczył, przedstawia, jak zadumany siedzi przed swém arcydziełem. Uwielbiają go jako rzecz ze wszech miar doskonałą; co do mnie, wyznać muszę, że aczkolwiek robotę tę uznaję jako mistrzowską, sprawia ona na mnie takie wrażenie, jak kwiaty batystowe, których wyrób Constantia do najwyższego szczybla doskonałości doprowadził, lub pejzaże z włosów, o których dla ich osobliwości powiem słów kilka w swojém miejscu.

W ogólności wystawa lyońska jest szczytem gustu, przed którym wszystko niknie. Angielskie wyrobymóże jej nie ustępują co do gatunku, ale są dużo niższe w piękności rysunku i w kolorycie. Fakt ten jest przez wszystkich uznany; dzienniki angielskie bezstronnie Francuji oddają pochwały a niedawno *Times* powiedział, że pod względem inwencji i rysunku, Anglia jest znacznie niższa, co przypisuje zaniedbaniu nauki rysunków w szkołach angielskich. Przeciwnie Francuzi, oni ze wszystkich narodów mają największą łatwość improwizowania deseni. Przed kilkoma dniami widziałem w oddziale mebli francuzkich, jak jeden zwykły robotnik, wysłany z owych 50,000 fr., które Zgromadzenie przeznaczyło dla wyrobników w celu obznajomienia najzdolniejszych z wystawą, w ciągu dwóch minut zdjął rysunek z misternego kredensu, z wprawą i trafnością akademicznego malarza, tak, że wedle rzuconego szkicu, można było zbudować mebel.

W środku nawy angielskiej zbudował p. Keith et Comp. wysoki namiot, ubrany w same złotogłowie i materye obiciowe. Według zdania znawców, p. Keith najbardziej się zbliża do lyońskich fabrykacyj. Reszta angielskich producentów rozstawiła się w południowej galerii skrzydła zachodniego. PP. Marshall i Snelgrove dostarczyli przewybornęj mory; pp. Carter, Vavasor i Rix odznaczyli się pięknymi *popelinami* (rodzaj materyi z jedwabiu i welny). W popelinach Anglicy wycelowali przed Francuzami, bo ich produkta są lżejsze i elastyczniejsze. Broszowane aksamity Harrisona Campbell i Lloyda, nezkolwiek piękne, równać się z francuzkiemi nie mogą. Obraz królewsko-angielskiej pary robiony przez Charla i Crossa jedwabiem, przy wyrobach Carquillata niekorzystnie się wydaje. Henryk Soper nadesłał gładkie i kwieciste materye na parasoliki; nie należą one do najpiérwszych, bo téż i parasoliki angielskie nie mogą się porównać z paryzkimi, a nawet z wiedeńskimi. PP. Ballance i syn *krzyżowemi czarnemi materyami i adamaszkami* dowiódł, że przemysł jedwabniczy Spitalfieldu bardzo się rozwinął, tylko że ceny tych produktów są bajecznie wysokie. Robinson et Comp. z Cheapside wystawili tak czarne jak kolorowe aksamity, które zabierają trzecie miejsce na wystawie. Washingtona et Comp. jedwabne plusze są wyborne, bo ten produkt w Angli właściwym sobie polyskiem celuje. Omijam niemalą ilość szaf, nie wspominając o mnóstwie fabrykantów i dochodzę do jedwabiów z Manchesteru. One pokazują, że ta wielka stolica fabrykacyi bawelnianej, zna się na przerabianiu produktów jedwabnika, bo wystawa manchesterska nawet pod względem jedwabiów jest najpiérwszo w angielskiej. Zasluguja szczególniej na uwagę przepyszne plusze jedwabne i tak zwane jedwabne *Chiné* (*chine silks*). Mimo to wystawie angielskich jedwabiów nie dalbym może drugiego miejsca; rysunek angielskich wstążek jest bardzo słaby, koloryt żaden, a choć są i tutaj zdarzające się wyjątki, to zdaniem znawców wstążki angielskie gorsze są od szwajcarskich i francuzkich.

Zanim wszedłem do oddziału szwajcarskiego, chciałem obejrzeć wschodnie jedwabie. Cóż wam powiem o szalach indyjskich? wszystko na cokolwiek zdobyć się mogła podrównikowa fantazyja mieszkańców, idąca w parze z fantazyją natury, wysilając się w najprzepyszniejsze twory królestwa zwierzęcego i roślinnego; wszystko co ta fantazyja mogła zrobić z najbogatszymi materyami, zebrało się na owych tkaninach ze złota, srebra i jedwabiu, na owych aksamitach rażącego koloru ze złotemi pasami. Po razy kilka oglądałem owe

szale indyjskie i namiot bombajski; ale jak pierwszą razą zdumienie niemal mowę mi odjęło, tak i tą przepych materji uważam za wyższy nad wszelki opis. Przeszedłszy naprzeciwko do Chin, aby się przyjrzeć owej sprzeczności jaką przedstawia ów od wieków nierozwijający się przemysł z ruchliwością europejską, przekonałem się, że mimo piękności wystawy francuzkiej, angielskiej i indyjskiej, jedwabie chińskie, a głównie adamaszkowe wyroby, czynią wrażenie na widzu właściwą sobie miękkością, sprężystością i połyskiem. Jestże to zaleta materiału surowego czy fabrykacji? Z drugiej strony pod księżycowym namiotem Turcyi, Egiptu, a obok Persyi, podziwiałem szczególnie arabeski w tysiącznych skrętach wyszłe na szalach. Mówić zapewne nie potrzebuję, iż wobec zachodniej manufaktury, wystawa wszelkiego rodzaju przedzy wspomnionych trzech krajów jest na stopie dzieciństwa; ale przez wzgląd na brak narzędzi, godną jest uwagi moc i barwa wyrobów bawełnianych i wełnianych.

Zazwyczaj grubość materji odbija rażąco od zbytowych ozdób i kosztownych wyszywań. Tak np. ich płótna są tak ordynarne, żeby je zaledwo chłopci u nas nosili, a przecież ozdobione są wyszyciem złotem, które w małej sztuczce waży kilka dukatów. Nie tutaj dziwnego: proste czerwone fezy ze złotemi kutasami, ozdoby zaś na czaprakach nie mają końca. Na każdej sztuce płótna wyszycie są na rogu nie znaki fabryki, ale ustępy z korano, pracowicie i złotemi literami, co i czasu i nakładu wymagało. U Turków najwyżej jest posunięta fabrykacja jedwabiów, mianowicie adamaszku, ale i to z Zachodem porównać się nie da.

Przemysł jedwabniczy w Szwajcaryi, kwitnący głównie w St. Gallen, Zurychu i Bazylei, w ostatnich czasach olbrzymie uczynił postępy. Pod względem taniości mogą Szwajcarzy ze wszystkiemi narodami konkurować. Przeważne są tu gładkie materye, chociaż i innych nie brakuje; a nawet zwracano mi uwagę na jedwabne *chiné*. Wszakże najbardziej zajmującym jest zbiór wstążek, które (długie na 12 sążni), pozawieszane tuż obok siebie, najpyszniejszą ścianę tworzą. Nikt na wystawie nie pomija tego wspaniałego obrazu, gdzie szeregiem rozstawione są plody bazylejskiego przemysłu, które Szwajcarzy wielki odbyt tworzą, zapewniwszy jój zwycięztwo nad wszystkiemi narodami.

Nie nie wspomniałem dotąd o koronkach. Są one wszędzie piękne we Francyi, mniej piękne w Anglii, znajdują się w Niemczech i Hiszpanii, ale wszystkie znikają przy brukselskich. Te ostatnie przechodzą wszelką imaginacyą: zdają się być wyszłe z rąk bezciele-

snych istot, tak, że gdyby można klasyfikować różne rodzaje przemysłu pod względem doskonałości i piękności, to koronki brukselskie zgnsiłyby blask całej wystawy belgijskiej. A jest piękna, jak widzieliśmy. Zresztą że Bruksella celuje w koronkach, to nikogo nie zdziwiło; leczz pociechą ujrzałem, iż nietylko nie zaniedbała żadnego oddziału tego przemysłu, ale owszem w nowym zakwitła. Chcę mówić o wyrobie koronek czarnych, znanych dotąd pod imieniem *dentelles de Chantilly*; w ich wyrobie odrazu podniosła się do wysokości Chantilly, i może z nim bezpiecznie rywalizować. Wystawa koronek brukselskich graniczy z ubiorami kapłańskimi z zakładu p. Van-Halle. Pod ornatem modelu (zwanego Fenelonem), wystaje alba z koronki brukselskiej i nietylko nie traci na sąsiedztwie ze złotem i kamieniami, któremi błyszczy święta osoba, ale owszem podwaja swoją wspaniałość, bo nie może zgasić piękności téj tkanki. Co do ubiorów p. Van-Halle, pod względem ozdób trudno już coś piękniejszego wymyślić, ale przedza ustępuje zagranicznej. Żle się bowiem drapuje, jest sztywna, chociaż trudno nie przyznać, że kostiumy są wspaniałe, i że św. Tomasz z Beckel, wielki Bossuet i Fenelon są bardzo pięknie ubrani.

Nie będę się już rozwodził nad wystawą jedwabniczą Austrii, chociaż czuję, że jęj krzywdę tém milczeniem wyrządzam, tak dalece godne są uwagi jęj szale i inne materye. Zarzuciłbym tylko pewną ostrość wyrobu i niedobór kolorów. Ze związku celnego mało co znajduje się godnego uwagi.

Czém jest fabrykacya bawełniana, mianowicie u Anglików, których potęga głównie na nięj się opiera, w krótkich słowach opiszę. Wspomina p. Chevalier, że Indyanie dzięki delikatności swych palców, potrafili przędę bawełnianą doprowadzić do cienkości no. 200. Z przędzy no. 250 robią się w Europie muśliny. Z początku nie znając dobrze przedmiotu, z wielkiém zadziwieniem przypatrywałem się przędzy nr. 450, w której już gołém okiem nici nie widziałem, ale zdawało mi się, że to jest jedna skupiona massa. Mówiono później, że w Manchesterze używają przędzy nr. 600, tymczasem dwaj Francuzi z Lille tegoż numeru używali. Uważano to już jako wielki tryumf dzisiejszjęj sztuki, kiedy się pokazało, że przedza p. Houldsworth et Comp. jest z nr. 800, a jakież było moje zadziwienie kiedy z pomocą mikroskopu dojrzał w wyrobach p. Bazley z Manchesteru przędę no 2,070. Jestto, jak powiada Chevalier, taka cienkość, że dla utworzenia jednego kilogramu potrzeba 3,600,000 metrów téj nici. Czytałem zaś w oficjalnym przemysłowym dzienniku, że

p. Houldsworth doszedł do bajecznej cienkości no. 2,150. Kto sobie wyobrazi nic tak, godzi się powiedzieć, duchową! To o doskonałości wyrobu; o jego zaś ogromie czytelnik poweźmie wyobrażenie, jeżeli powiem, że Anglicy konsumują rocznie 325 milionów kilometrów surowej bawełny. Ktoby chciał długość ich fabrykatów wymierzyć, temubym brakło cyfry i miary, bo ją oceniają największym wymiarem znanym na kuli ziemskiej, to jest wielkością saméjże ziemi. I tak, jeden fabrykant w Manchester p. Schwabe, wyrabia rocznie materji bawełnianej 17,500,000 metrów, a kula ziemska nie ma więcej nad 40 milionów.

Zgadniają się powszechnie, że w wyrobie sukna Anglicy podobnieź odbiegli inne narody, a mianowicie téż fabryki Leeds i Huddersfield, lecz ceny ich są wyższe od lądowych. Wystawa ta jest bogata; francuzka uboższa co do liczby, ale nie co do wartości, bo dwie sławne fabryki Sédanu i Elboeuf zarówno z sobą, jak i z Anglią toczą walkę. Sztuki na pantalony pp. Berteche, Cherson et Comp. z Sédanu, mają być najpiérwsze na wystawie. Paweł Bacos podobnieź z Sédanu w suknach damskich nad fabrykantami całego świnta celuje. PP. Chennevière z Elboeuf wyrobami z wełny angorskieję, wdowa Barnuis Daustrenne i Comp. z Elboeuf, miękkością wyrobu i czystością rysunku w materjach na pantalony, głośne mają imię. Z belgijskich p. Simonis piérwsze zajmuje miejsce; austryackie sukna, mianowicie morawskie, zyskały sławę sukien dobrych i w całym świecie najtańszych.

Dla uzupełnienia tego pobieżnego przeglądu materji ubiorowych, wypada mi wspomnieć o futrach, a mianowicie północno-amerykańskich, których wystawa jest kompletna. Urządziła ją zaś kompania Hundson Baj i pp. Nicholaj i syn. Egzemplarze téj kuśnierskieję wystawy są przesliczne i bardzo wysoko szacowane. Lisy są wszelkiego rodzaju, ale czarne i srebrzyste uchodzą za najdroższe, bo jednę skórke płacą tutaj po dziesięć do czterdziestu gwinei; na targach rossyjskich i chińskich równie popłacają. Lisów czerwonych używają w Chinach, Grecyi, Persyi, a potrochu i w Rossyi i w Polsce na podbicie płaszczy i sukien. W Anglii i na Zachodzie używają białych do damskich odzieży, a taki strój uchodził dawnieję za zbytkowy. Utrzymywali niektórzy naturalisci, iż lisy w podbiegunowych okolicach zmieniają kolor; czy to jest powszechną regułą, nie wiem, ale to pewna, że lisy białe w zimie są całkiem białe, w lecie zaś szare. Widziałem przesliczne egzemplarze wydry (Lutra Canadensis): spro-

wadzają je z Hudson-baj z północnej Ameryki do Europy, a mianowicie do Rossyi, Polski i Chin. Obok znajdują dostatni dobri bobrow (Castor Americanus). Dawniej było jeden z najszacowniejszych artykułów, mianowicie dopóki używano go na kapelusze; lecz później stracił wiele na wziętości, chociaż probowano jego pięknego i miękkiego włosu używać do przędzy. Zdaje mi się, że najwięcej go konsumują żydzi polscy. Równie wiele było dawniej upowszechnione i lubione futro ostrowidza dla swego pięknego, jedwabnego połysku, lecz ze zmianą mody w Europie rzadko się już je spostrzega; farbowane wysyłają w znacznych transportach na targi północnej Ameryki.

W dalszym rzędzie rozwinięte są futra wilcze, sobole (Mustella Canadensis) i t. d. W Polsce i w Rossyi używają, jak wiadomo, wilków czyli wilczur na płaszcze, przykrycia w sankach, wozach i t. p. Sobole rossyjskie niezaprzeczenie są piérwsze, po nich idą z Hudson-Baju. Rozpowszechnione w całej Europie od bardzo dawnych czasów. Wiadomo, iż żaden poseł nie przyjeżdżał z Rossyi do Polski bez przywiezienia kilkunastu, lub kilkadziesiątu soroków przepysznych soboli w darze; lecz nietylko je na Wschodzie tak wysoko szacowano, i tutaj zwykła cena płaszcza podbitego białym sobolem, wynosiła 4,000 złp. Za czasów Henryka VIII w Anglii, podobnie jak za panowania Władysława IV w Polsce, oznaczono przepisy upoważniające pewne tylko klasy do noszenia soboli. Borsuk amerykański jest wysoko ceniony, tém bardziej, że ze środkowej sierści europejskiego nie robią innego użytku jak do pędzli barwierskich. Amerykański wielki niedźwiedź w kilku egzemplarzach reprezentowany, zowie się w Anglii *Army Bear*, bo go tutaj, podobnie jak na stałym lądzie, używają do uniformów wojskowych, do bermyc (bärmütze) grenadyerskich, do elster, i t. p. Białych niedźwiedzi jest daleko więcej w Rossyi; używają go jedynie do kosztownych ubiorów. W Ameryce północnej noszą kobiety futra z niedźwiedzia burego (Isabella bear), który przed kilkadziesiątoma laty był w Anglii modnym strojem, a jedna skóra kosztowała 30 do 40 gwinei. Ze zmianą mody cena spadła na tyleż prawie szylingów.

Jestto rzecz pewna, że połowa ludzi nie wie z czego druga połowa żyje. Ta myśl przypomniała mi się, kiedym zwiedziwszy niemal cały pałac, zastanowił się nieco nad wystawą papierów. Przedmiot ten należy do podrzędnych fabrykatów w Anglii, a przecież wyrabiają go tutaj 130 milionów funtów rocznie, wartujących 120 milionów złp., a przeszło 35 milionów złp. przynoszących skarbowi. Dziewięć

dziesiątych tój ogromnej ilości pozostaje corocznie w kraju, co niedziw, przy takiej ilości ogromnych dzienników szkockich i angielskich. Za granicę wywożą angielskiego papieru za 12 milionów złp. rocznie. Nie jest on należycie na wystawie angielskiej reprezentowany, bo nie naliczyłbym więcej jak dziesięciu fabrykantów; i dlatego położyłem na początku owę uwagę, iż znalazłem między nimi połowę fabrykantów papieru, których ogromne zakłady dostarczają jedynie papieru do zawijania pakunków kupecom i innym producentom; wspomnę o nich zaraz. PP. Joymon i Spicer przedstawili zwój papieru długi na 2,500 stóp, a zarazem wykazali doskonałość mechanizmu, z pomocą którego miazga spływa nieustannie do jednego końca maszyny, kiedy z drugiego wychodzi nieprzerwanie jeden pas papieru suchy i odrazu gotowy do użycia. Nadesłali także inny zwój papieru siwego szerok. 93 cali, a 420 stóp dług. jak niemniej tektury nowego rodzaju i próbki papieru pocztowego. P. Fourdrinier przedstawił arkusz papieru fajansowego, długi na półtrzecięj mili angielskiej. Używają tego papieru w fabrykach fajansu przy wyciskaniu obrazów na porcelanie. Jak dalece papier ten jest mocny dowiedzie wypadek, który mi zacytował jego fabrykant. Jechał ze swemi przyjaciółmi w jednokonnym faetonie, kiedy czy w skutek słabości zaprzęgu, czy też nagłego szarpnięcia konia, rzemień pękął. P. Fourdrinier szukał na próżno postronka; nie mógł go znaleźć: nie pozostawało jak wysiąść i piechotą dokonać podróży, kiedy przypomniał sobie, że ma nieco swego papieru fajansowego. Skręcił go więc w postronek i przywiązawszy nim rzemień, szczęśliwie willi dojechał. Dowiedziałem się także od niego, że jego ojcu należy się udoskonalenie fabryki papieru, bo on stworzył maszynę do papieru ciągłego. P. Lamb przedstawił równie papier fajansowy, a kilka próbek nadesłanych z Dorsfordu przez p. Saundesę dowodzi nadzwyczajnej mocy tego papieru, gdy arkusz 20 cali szeroki, dźwiga cztery ciężary po 50 funtów. Jest także sławny papier Dewneja, używany przez krochmalników do obwijania swego produktu. Aby był za dobry uznany, musi bez zmiany koloru przejść próbę mocnego wypieczenia z krochmalem jeszcze wilgotnym. Z fabryki Hamera są papiery pokostowane do sukna, pp. Hastings i Miller nadesłali papiery siwe i flejtuchy papierowe. Taka jest wystawa angielska papieru pospolitego; zbytkowy nadesłali: pp. Cowan z Edyburga i pp. Venable, wybierając papiery z wszystkich fabryk angielskich. W tym oddziale uderzył mnie papier rysunkowy p. Whatmana i Jerzego Wilmos. Są tutaj papiery siwe, w któ-

rych stal najdoskonalej wypolerowana może być bezpiecznie obwinięta, nie narażając ją na rdzę.

PP. de la Rue et Comp. założyli ogromny stół obok swój maszyny do robienia kopert, z papierem pocztowym glansowanym, między którym widziałem przesłane próbki papieru z literami nieporównanie odrobionemi. Rysunek w nich jest prawdziwie artystyczny. Są niektóre nowe papiery, jak np. wynaleziony przez p. Oldhama, a fabrykowany przez p. Saundersa. Umieszczony za przegródką szklaną ma dużo podobieństwa do obrazków wyciskanych na porcelanie. Między ozdobami na listach tego rodzaju uważałem rzeźby niniwskie, głowy rzymskie, Madonę z dziećciem, sceny wiejskie, medalion królowej, budynek wystawy, portrety pary królewskiej i t. d. Zdaje mi się, iż sposób ten zastosowany do wexłów i banknotów, utrudniłby ich fałszowanie.

Szwajcarya nadesłała dobre papiery muzyczne i wyborne listowe; jej tektury białe i kolorowe są gorsze od angielskich. Przeciwnie zaś papier sztychowany i pakunkowy jest bardzo dobry i pochodzi z fabryk p. Steintena z Zurychu. Z Rzymu są nieporównane papiery rysunkowe p. Millanigo, z Toskanii papier listowy i z prążkami maszynowy. Piękno są zwykle papiery francuzkie; znajdują się tuż obok Szwajcaryi. Sławni Montgolfierowie nadesłali wyborne kolorowe papiery rysunkowe, z winiętami białe i kolorowe, i pewien rodzaj *pargaminu zwierzęcego* (wynalazca zwie go *parchemin animal*). Jestto produkt godzien uwagi; widziałem kilka próbek tej sztucznej skóry, która napuszczona tłustym pokostem staje się jedyną do przechowywania nabożów, mianowicie też na czas długiego pokoju, którego by bez wątpienia nie rad przerwać w Europie ktokolwiek był i widział jego dzieci, to jest sztukę i przemysł na wystawie.

PP. Orby, Bernard et Comp. przedstawiają papiery dla fabrykantów papierów kolorowych, jak niemniej papier listowy, drukowy dobrego gatunku. Z fabryki Guivra z pod Dieppe są papiery farbowane. *Stowarzyszenie bezimienne* z Marais wystawiło próbki papieru listowego i drukowego, wielkiego papieru do roboty tektur i pewien rodzaj tektur do kart. Z zakładu *stowarzyszenia bezimiennego* Joucle jest papier pocztowy kolorowy, tektura kolorowa wyrównywająca angielskim, a papier ich różowy, kolorem swym przechodzi wszystkie inne gatunki. Słynęli zawsze Francuzi kulkami; próbki nadesłane utrzymują godnie ich sławę. Porównyując obie główne wystawy spostrzegam, że Anglicy celują w papierach mocnych; oni lubią papier listowy gruby, aby pismo na drugą stronę

nie przebijało; Francuzi biorą się do fabrykacyi takiegoż, a ich zbytkowy papier jest gładszy, choć nie tak miękki.

Z Belgii reprezentowany jest tylko zakład p. Godina, który nadesłał papier pakunkowy, drukowy, maszynowy, rysunkowy, pocztowy i t. d. Na wystawie rossyjskiej widziałem także dosyć papieru pocztowego i drukowego; a choć żaden z nich nie da się porównać z angielskim lub francuzkim, jednakowoż okazują znaczny postęp fabrykacyi. W Holandyi widziałem papier prążkowy dobry do rejestrów, i kancelaryjny. W Niemczech p. Holick i Dürer przedstawiają doskonały papier biały, błękitny i kolorowy; gorsze są nadsyłki p. Wattinga z Frankfurtu. Widziałem produkta innych fabryk, lecz uderzyły mnie najwięcej wyroby fabryki pruskiej Dilingen, a to z tego powodu, że między innemi przedstawia wszystkie próbki papieru, który ona wydała od r. 1760 do 1850, wykazując od razu rozmaite udoskonalenia przeprowadzone kolejno. Ma także ten zakład wyborny papier słomiany, co na Zachodzie dotychczas nie mogło pozyskać wziętości, choć, jak mi mówiono, jedna fabryka dostarczała tego papieru w Anglii. W oddziale szwedzkim i norweskim napróżno szukałem papieru do filtrowania, używanego w doświadczeniach chemicznych. Ma on być najczystszy ze wszystkich papierów, a robi się za pomocą wody stopionej ze śniegu. Dania nadesłała kilka dobrych papierów welinowych. Lecz z Indyj znajdują się próbki wyrabiane przez krajowców; te zaś co pochodzą z Neapolu, odznaczają się nadzwyczajną delikatnością i lekkością.

Jeszcze o jednej klasie wystawy nadmienić mi wypało: o rzeźbach. Gniewano się wprawdzie na to, iż rzeźbiarstwo, najplastyczniejszą ze wszystkich sztukę, gdzie poeta, podobnie jak Bóg, myśl swą przyobleka ciałem, a raczej martwe głowy uszlachetnia myślą i życiem, że tę najcelniejszą i najtrudniejszą sztukę włączono do wystawy przemysłowej. Odpowiedź na to łatwa. Wystawa powszechna nietylko dla rękodzielników i fabrykantów została otwarta, ale jako miara cywilizacyi ludzkiej, jako bukiet sił człowieczych, stała się miejscem schadzki dla wszystkiego, co się wiąże z naturą i rozumem człowieka. Obie półkule globu uszczknęły najprzedniejsze na polach swych kwiaty i zesłały je do wspólnej świątyni; wszystkie narody, wszystkie rodzaje produkcyi postarały się o najlepszą reprezentacyą. Ciż sami, jestem pewny, co kommissyi wykonawczej zarzucali sprofanowanie sztuki, czuliby w pałacu wystawy dziwną tęskność: uderzałyby ich jakoby próżnia, bez względu już na to, ileby się ujęło gmachowi uroku, gdyby mu odebrano rzędy statujj, i gdyby białe nimfy i Apol-

liny z kwiatnych powyrywano gajów. Czyż dla uczczenia jubileuszu przemysłowego, sztuki piękne krasy swój użyczyć nie mogły? A zresztą, gdzie jest dzisiaj granica między sztuką a przemysłem, między artystą a rzemieślnikiem? Te ogromne maszyny zdumiewające potęgą i rozumem, nie są wyrazistszym pomnikiem gieniuszu ludzkiego, niż posągi spiżowe lub marmury? W dywanach, meblach nie maszże myśli artysty łamiącej się z trudnościami mechanicznymi sztuki? A brzozy, odlewy spiżowe, cynkowe, dlaczego są mniej sztuką, niżli rzeźbiarstwo; dlaczego snycerstwo nie razi nikogo w pałacu, a jak snycerstwo od ebenisterii odłączyć?

Jest piękność we wszystkiem, więc jest i sztuka we wszystkiem; ani się godzi odtąd odzierać przemysł z barwy estetycznej. Włóśnie téż ten związek, to ożenienie ducha z materją, nauk z przemysłem, sztuki z industriją jest charakterem, jest rękojmnią postępu naszego wieku. Każdy niemal kraj posiada w pałacu wystawy rzeźby; lecz dwie są tylko godne uwagi, to jest włoska i niemiecka. Piérwsza znajduje się w Lombardyi połączonej z Austryją, w Toskanii i Rzymie, a znalazła już wielu admiratorów i sprawozdawców. Nawet w polskich dziennikach czytałem opisy; ograniczę się więc na krótkich wspomnieniach, więcój miejsca poświęcając wystawie niemieckiej.

Zarówno mnie jak i wszystkich najmocniej w sali medyolańskiej zajmowały rzeźby Rafaela Monti; jest ich tutaj sztuk kilka, wysokiej wartości; ale jako arcydzieło mechanizmu, jest zasłona gazowa, którą sztukmistrz z marmuru wykuł na twarzach swych utworów. Jakby dla zwiększenia trudności, artysta skręca welon, fałduje go, a twarz przezeń przebijająca, nic na uroku nie traci. Z trzech w tym rodzaju statuyj, najwyżej kładę *niewolnicę leżącą na targu*. Po Montim *Żebraczką* Demokryta Candolfi, całością, rysunkiem i expressyją, a nawet podobną gazową zasłoną, uderza w oczy każdego. Jest w niej niezmiernie wiele wyrazu. *Zuzanna*, Antoniego Galli, liczy się do arcydział; niemniej *Strazzege Izmael*, Montego *Pawel* i *Franciszka z Rimini*. Przechodząc do drugiego oddziału wystawy włoskiej, niepodobna pominąć *zranionego Achillesa*, przez Innocentego Fraccaroli z Werony. Jestto statua kolosalna; Achilles, w którego pięcie utkwiała strzała, z przerażeniem się odwraca i poznaje śmierć. Boleść jego i rozpacz obok téj kolosalnej siły olbrzyma, wybornie oddana. W Rzymie *Benzoniego żniwiarka*, *dziecina z psem*, w Toskanii *Kupido* i *Psyche*, *anioł jawiący się we śnie kobiecie*, najpiérwsze miejsce zajmują na wystawie rzeźbiarskiej.

Zasługując na uwagę rzeźba belgijska. Nie mówię tu o dawniejszej, bez wątpienia wyższej nad wszystko, co tu w nowszych czasach zrobiono, ale o pracach żyjących artystów, które nietylko zapełniają kościoły flamandzkie, lecz w każdym mieście belgijskiem napotykać się dadzą. Wzdłuż i wszórz kilka razy przejechałem Belgią, a za każdym krokiem widziałem statwę człowieka znakomitego, któremu rodacy wypłacili dług wdzięczności *port mortem*. Od kilku lat, liczba tych statuj nadzwyczajnie wzrosła; pełne ich place bruksellskie z *Godfrydem de Bouillon*, *Andrzejem Vesale*, *generałem Belliard* i t. d., nie licząc już pomnika wyobrażającego walkę o niepodległość w roku 1830. Za przykładem Brukselli szły inne miasta: Antwerpia wybudowała pomnik Rubensowi, Liège Gretremu i t. d. Na wystawie znajdujemy dzieła tych samych artystów, co owe statuy zbudowali; niektórzy wszakże nie nadestali nic. Olbrzymie rozmiary Godfryda de Bouillon, śmiałość wykonania téj kolosalnej statuy, a mianowicie ruch, który artysta potrafił nadać tak koniowi, jak człowiekowi, zapewnią dziełu temu na zawsze miejsce między pomnikami sztuki nowoczesnej. Nie powiem, żeby praca pana Simonisa była wolna od zarzutu; lecz mogę mu śmiało powinszować wielkości pomysłu i szczęśliwego wykonania. Pozytycja jeźdźca, zdającego się unosić konia naprzód, jak powiedziałem, nadaje ruch pomnikowi, i wprawia widza w złudzenie, jeśli przygląda się z odległości stosownej do wielkości rozmiarów pomnika. Jeszcze bardziej uderzający jest talent pana Simonisa, w przedmiotach fantastycznych. Zaprawdę, nie lubię dzieci płaczących, ale jego *bambin malhereux*, wprawił mię w zachwycenie; małe jego statuetki są arcydziełami, które zyskały poklask publiczności i znawców. *Zakochany lew*, Wilhelma Geefs; *madonna Ichotta*, cztery statuy Fraikina, i *wierny posłaniec* Geefsa z Antwerpii, przynoszą zaszczyt talentowi artystów, i dowodzą, że dawna artystyczna sława Belgii, nie pobiłła wobec jój dzisiejszych reprezentantów.

Sztuki piękne w Niemczech reprezentowane są przez dwie szkoły, tojest berlińską i monacheńską. Rzeźbiarstwo berlińskie winno ukształcenie swoje trzem mężom, tojest: architektowi Schinkel, i rzeźbiarzom Rauchowi i Tieckowi; wszyscy trzej nauką i dziełami zapewnili przewagę czystości stylu, piękności formy i prawdzie w ruchach. Zarazem dążyli oni, aby sztuka niemiecka nie popadła w zimne i bezduszne naśladownictwo sztuki greckiej, ale, ażeby twory swoje, jako prawe dzieci epoki, natchnęła gorącym czuciem. Udało się tym trzem mistrzom, z których na nieszczęście jeden tylko,

tojest Rauch, przy życiu zostaje, sformować porzet uczniów, którzy w tym kierunku wydali znaczną liczbę dzieł znajdujących się po części na wystawie. Jednym z tych dzieł jest sławna *amazonka* Kissa.

W dziele tém, przez gienialny pomysł, który się jawi w wściekłości tygrysa, w śmiertelnym przestachu konia, i szlachetnym gniewu amazonki, mającej uderzyć potwór dzirytem, pomysł objawiony w ostatecznym momencie przez piękność i prawdę form, szczególnieij amazonki i konia, przez wykonanie staranne i z wielką ścisłością przeprowadzone, zjednał sobie Kiss, iż gipsowy jego odlew, dokonany w Berlinie w roku 1838, zyskał poklask wszystkich miłośników, tak dalece, iż dobrowolnemi składkami, postawili go w możności dokonania brązowego odlewu, który się znajduje przy schodach muzeum berlińskiego. Wszelako, gdy wysoka cena brązu nie dozwalała rozpowszechnienia tego arcydzieła, pan Geiss po niemałych staraniach, dokonał odlewu cynkowego, który się téż znajduje na wystawie. Cynk ma tę wyższość nad brązem, iż przez płynność swoją mniej psuje formę, przy oziębianiu mniej się ściąga, a zatém doskonałe wchodzi we wszystkie części i mniej potrzebuje wygładzania dłu-tem; ale téż z drugiej strony zimnym kolorem o wiele ustępuje brązowi. Zapobiegł temu niedostatkowi pan Geiss, wynalazszy powłokę metalową, tak, że cynk ma pod nią kolor florentyńskiego brązu. W pobliżu ustawione statuy, dowodzą piękności i taniości odlewów cynkowych pana Geissa, a mianowicie Hebe, Canowy (18 Ł.); Ewa, Baiteya (15 Ł.); *chłopiec z bocianem, wodotrysk*, Kalidego (15 Ł.); *dwa jelenie*, Roucha, które tenże wykonał z brązu dla księcia unhalckiego, (jeden po 30 Ł.). Wszystkie te sztuki odlane są z cynku szlążkiego, i z pomocą galwanicznego prądu brązowane.

Szkoła monacheńska, której mistrz Schwantaler umarł na nieszczęście w sile wieku, odznacza się ogromną liczbą bronzów, po większej części gienialnych i pełnych życia, wykonywanych w giserni królewskiej, dawniej pod kierunkiem Stiglmayera, dzisiaj pod sterem Ferdynanda Millera. Na wystawie znajdują się następujące utwory: jeden z czterech kolosalnych lwów (15 stóp długi, 9 wysoki), przeznaczonych do bramy tryumfalnej w Monachium; model dokonany przez profesora Jana Halbiga. Zblizko oglądane, zdają się być formy nieco za ciężkie, ale téż trzeba pamiętać, że je sztukmistrz obrachował na znaczną wysokość bramy. Dalej idą *Libussa* wieszczyni i królowa, założycielka Pragi, i *Jerzy Podjebrad*, dwie statuy po siedm stóp wysokie, według przepysznych modeli Schwantalera, które razem z innymi, przeznaczone były do Wallhali czeskiej. Obok

nich znajduje się wspomniany *chłopczyk*, nieco nadnaturalnej wielkości, Kalidego, służący za fontannę do ogrodu w Charlottenburgu. Za przykład zaś, jak dalece w Prusiech, prowincjonalnych nawet miastach szczęśliwie dokonywane bywają odlewy, może posłużyć odlew sławnej statuy *Polychymnii* antyku, zrobiony w Greifswaldzie, przez Karola Kasselera. Z giserni Lauchhammera w prowincyi saskiej, pochodzi odlów *niewiasty czerpiącej wodę*, według modelu profesora Wichmana, znakomitego rzeźbiarza w Berlinie. Cena jego Ł. 105 nie zdaje mi się być wysoka. *Pies z Nowej-Funlandyi* po głowę z jednej sztuki odlany przez Ludwika Friebela w Berlinie, według modelu rzeźbiarza Möllera z brązu (Ł. 105); mała statuetka *nadziei*, według pomysłu Raucha (Ł. 24), zasługują na zaszczytne wspomnienie.

Z rzeźb znajdujących się tutaj w odlewach gipsowych, wielkością i ożywionym ruchem uderzają *dwie niewiasty*, L. Hofera z Stuttgardu; dwa *konie*, modelowane według żyjących oryginałów, z rasy arabskiej, własności króla wirtemberskiego, wykonane z ścisłością i prawdą szczegółów. Model tego odcisku z marmuru karyjskiego, znajduje się w królewskim zamku w Stuttgardzie. Obok znajduje się *młody Faun* naturalnej wielkości, niosący grono winne na plecach, przez Roberta Lauera. Wszystkie właściwości szkoły berlińskiej, posiada *pedestał* cylindrowy pomnika, który mieszkańcy Berlina zmarłemu Fryderykowi Wilhelmowi IIImu wzniesli na znak wdzięczności za upiększenie parku. Model wykonany przez Fryderyka Drake, jednego z najcelniejszych uczniów Raucha, o trzecią część większy jest niżli odcisk gipsowy, który mam przed oczyma. Na nim znajduje się statua króla. Mocne płaskorzeźby otaczają go dookoła: matka bawi dziecko na trawniku, młodzian z dziewicą stoją przy strumieniu, chłopczyk cieszy się wiewiórką, inny karmi łabędzie, dzieci drapią się do gniazda ptasiego, i starzec wsparty spoczywa na słońcu. Jest tu także *fontanna*, według modelu Gropensa, której dolna część jest grupą dzieci, podtrzymujących wielką muszlę z Trytonem (Ł. 40), jak niemniej wielka *waza*, w stylu gotyckim (Ł. 15). Oba przedmioty pochodzą z fabryki Ernesta Marscha w Charlottenburgu.

Przejdźmy obecnie na drugą stronę i rozpatrzmy się w rzeźbach tutaj ustawionych. *Waza* nadwornego jubilera z Berlina w czterech oddziałach, przedstawia cztery stopnie cywilizacji rodu ludzkiego: ze spodu widać pierwszych ludzi jeszcze koczujących: po-

lowanie, rybołówstwo i pasterstwo są ich zatrudnieniem; jeszcze im natura nie uległa, potęgi szlachetniejsze jeszcze nieobudzone, potęgi szkodliwe jeszcze działają. Na słupie dźwiganym przez dąb potężny, spostrzegamy rolnictwo, ogrodnictwo i winobranie, przedstawione w trzech pięknych niewieścich postaciach. Lecz razem z winem życie wstępuje w ducha; w pięknym wieńcu dzieci, widzimy dalej architekturę, górnictwo, handel i żeglugę, sztuki i umiejętności. Ale wyższe sfery pozostają do zdobycia; siły duchowe pchają człowieka do uznania siebie i przewagi nad sobą; na drzewie palmowém stoi gieniusz, opasany wężem, unoszący w prawej ręce pochodnię ku niebu. Dzieło to odznacza się zarówno bogactwem pomysłów jak sumienném i mistrzowskiém wykonaniem, aż do najdrobniejszych szczegółów, o ile pojedyncze części są ukonieczone. (Cena 1,800 Ł.). W pobliżu ustawione są płody giserni królewskiej w Berlinie: grupa *dwie amazonki*, z których jedna konno, na filarze bogato ozdobionym i wykładanym srebrem (Ł. 90); okok *dwaj wojownicy*, z których jeden także konno (Ł. 90); kopia *wazy warwickkiej* (Ł. 49, s. 10); *waza ateńska* z figurami (Ł. 52) i t. d. W tymże samym oddziale znajdują się dwa brzozy Fischera z Berlina: *dziewczę modlące się*, 3 stopy i 2 cale wysokości (49 1/2 Ł.); *Danajda* według Raucha, 1 1/2 wysoka (37 Ł.). Statuetka galwanoplastyczna Lessinga, wyrobiona w Frankfurcie bardzo pracowicie (Ł. 20); płaskorzeźba *Kupido na panterze* (10 1/2 Ł.); *rak*, *jaszczurka* i *wąż* z natury wyrobione. Blaesera rzeźbiarza berlińskiego *cesarzowa rossyjska na koniu* z brzozy (Ł. 145), *człowiek łapiący motyle*, z brzozy, Gustawa Früh z Berlina (Ł. 12); Kona-rzewskiego *bocian z dzieckiem*, modelowany przez Alberta Wolfa z Berlina, (Ł. 27), brzozy *chłopczyk z psem nowo-funlandzkim* (48), i *dziewczę z buldogiem* z brzozy, téjże saméj ceny. Galwanoplastyk Möhring z Berlina nadesłał popiersie Ludwika króla bawarskiego (Ł. 15); płaskorzeźba *charitas*, Tiecka (Ł. 9). Bernarda Afingera z Berlina statuetka z brzozy, *Najświętsza Panna z dziećciem*, w stylu średniowiecznym (33 Ł.), i cztery portrety brzozy: księcia i księżnej pruskiej, generała Wrangla i rzeźbiarza Raucha. Jacobiego z Brunświku żelazny odlew konia (21 Ł.); kielich srebrny myśliwski (82 1/2 Ł.), głowa lwia z żelaza i t. d.

Rzeźbiarz Bianconi przedstawił trzy kopie z marmuru kararyjskiego pracowicie wyrobione: *Wenus*, Thorwaldsena (52 1/2 Ł.); *Parys Canowy*, i *pasterz* Thorwaldsena (po 30 Ł.). Wysokiej ceny są wszystkie roboty Albertego z Berlina i odlewy cynkowe De-veranny, według modelu Raucha i Canowy. Tuż obok radcu Stern,

kommissarz pruskiej wystawy, zebrał razem takie przedmioty, które potrzebują łagodniejszego światła. Piękny ten salon jest jedną z pierwszych ozdób wystawy; rad w nim odpocząłem, oglądając powolnie znaczny poczet prawdziwych dzieł sztuki. Na pierwszym miejscu kładę utwory profesora Ernesta Ritscherta z Drezna, jednego z najpierwszych uczniów Raucha. Gipsowy odlew *modłacej się Maryi* przed ciałem Chrystusa naturalnej wielkości, według modeli dokonanych przez tegoż artystę dla króla pruskiego. Szlachetność i głębokość pomysłu, są cechą tego mistrzowskiego dzieła, obok wybornego wykończenia. Toż samo mógłbym powiedzieć o płaskorzeźbie *aniołka*, o *Amorze wiążącym panterę* i t. d. W tymże salonie znajdują się: *Magdalena pokutująca*, z marmuru kararyjskiego, dłuta wspomnianego już Drake, tegoż *chłopiec leżący*, z natury. *Victoria*, statua symboliczna według Raucha, przez Juliusza Franza z Berlina zstępująca ze skały i rzucająca wieniec zwycięzcy, i druga *Victoria* wpisująca imię bohatera w księgę historyi; obie statuy brązowe kosztują po 45 £. Fischera pastierz napadnięty przez lamparta, z gipsu, profesora Halbiga, *puhar państwa niemieckiego* z gipsu. Sztukmistrz miał za powód ideę jedności Niemiec. Na szczycie stoi Germania w płaszczu cesarskim; figury dookoła wyobrażają cnoty potrzebne do jedności, a herby cesarstwa, królestw i państw pomniejszych wypełniają tę polityczną czarę. Więcej mi się podobał kielich Knolla z Monachium, wyobrażający wspomnienie życia i miłości nad Renem; Jana Leeba *dziewica z gniazdem Amorków* z marmuru kararyjskiego; Maesera z Berlina *statuetka Bethovena* z czterema figurami, to jest zapalem wojennym, religijnym, żalu i radości; kompozycja rzewna i pełna myśli. Alberta Wolfa z Berlina *dziewica z jagnięciem* przedstawiająca niewinność, statua marmurowa, 4 1/2 stopy wysoka; Sussmauna z Berlina model *paryżkiego Luxoru* z gipsu złożony.

W tém pięknym muzeum rzeźby znajdują się rozmaite płaskorzeźby z brązu, a mianowicie *Aryadna na panterze*, z postumentem z kości słoniowej (3 £); Jacobiego z Brunświku *koń* odlewu żelaznego, Eichlera z Berlina *Bachus i Amor*, płaskorzeźba według Thorwaldsena, tegoż i wedle tego samego mistrza *Chrystus błogosławiący niemowlęta*, *Marya z dzieciątkiem*, *Jan*. Z tektury kamiennéj czyli tak zwanéj szwedzkiéj, *Rudolf habsburski* i *Albrecht* cesarze niemieccy, i królowie czescy Brandta, kilku innych królów i książąt, a obok Mayera z Monachium *królowa niebios z Jezusem*, dwa krucyfiksy i wazon z kwiatami podobnie z tektury kamiennéj. Godne są

nadto zaszczytnéj wzmianki rzeźby z kości słoniowéj Michała Hagena z Monachium, puchar z rznątemi figurami i arabeskami wyobrażającemi *pochód Bachantek*; Chrystyana Franka z Führtu szachy, krucyfiks i wrzeciono; Heyla z Darmsztadu według Lindenschmidta *Błwa Germanów*; Hermanna i Geismara kielich z figurami z historii świętój. Lecz chociażem tyle już przedmiotów wymienił, spostrzegam się, że mi jeszcze daleko do końca, i że o mnóstwie innych drobniejszych przedmiotach nie wspomniałem. Kończę więc na tém, a to co powiedziałem usprawiedliwi mnie, dlaczego nieco obszerniej nad wystawą niemiecką zastanowiłem się.

Pomiędzy rozmaitemi fabrykatami znajdującemi się na wystawie jest jeden, o którym dlatego mówię na końcu, że mi nie wiedział gdzie go umieścić. Sąto wyroby z włosów; niektóre z nich zamieszczone w pałacu są pracy godnéj podziwienią. Prawie wyłącznie pochodzą z Francyi i Anglii.

P. Forrer z Londynu przedstawia mnóstwo kunsztownych próbek tego rodzaju; jego portrety rodziny królewskiej są bardzo podobne. Ponad niemi znajdują się wybornie wykonane godła kościoła i państwa, armii i marynarki, sztuk i umiejętności, handlu i przemysłu, z włosów i ze złota. W téj saméj gablotce podziwiałem portret artysty otoczony wieńcem kwiatów, których wykonanie jest nieporównane. Są także inne próbki téj roboty dosyć interesujące, jak np. *grób dziewicy orleańskiej*, rysowany pięknie i ozdobiony wierzhami płaczącemi podobnie z włosów; są woreczki, bukiety, bransoletki, brosze, pierścionki, i niezmierna rozmaitość ozdób eleganckich ze złota i z włosów, deseniui gustownego i nowego. Nawet konsola na której gablotka spoczywa zasługuje na uwagę; jest bowiem sncyerską robotą z drzewa z czterema filarami wyobrażającemi winograd, którego piękne grona są z włosów; filarki te dźwigają z jednéj strony biblią, której oprawa przedstawia *wiarę, nadzieję i miłość* ze złota i z włosów, z drugiejj książkę do modlitwy tak samo oprawną. Cała ta wystawa już przez to zasługuje na wzmiankę, że przy niej zawsze zastać można grono wielbiących widzów, a przed kilkoma tygodniami JKMość wszystkie szczegóły oglądała z zajęciem. PP. Hannsen i Koning nadesłali kosz z kwiatami wielkości 18 cali kwadratowych. Trudno mi wyrazić z jaką sztuką kwiaty te zostały wykonane; artysta wprowadził w nie wszelkie odcienia kolorów, od białego aż do najgłębszego czarnego. Lecz najbardziej uderzającym na téj wystawie jest portret księcia Walii. Pomijam mnóstwo pierścionków i bransoletek wyrobionych z kombinacyami zadziwiającemi

swą mnogością z wystawy p. Townleya, które pp. Neal i Henamam jeszcze urozmaicili przeplatając włosy perłami. W oddziale francuzkim, jeśli się nie mylę, jest tylko jeden tego rodzaju fabrykant p. Lemonnier. Portret jego, królowej, dość znacznej wielkości, nad którym pracował 8 miesięcy (ceni go 10,000 fr.) ustępuje angielskiemu, ale jego pejzaże, bukiety i ozdoby niewieście, których jest przeszło sto, okazują bardzo wiele gustu i zręczności. Wszystkie są przepłatané złotem i kamieniami drogiemi.

Zanim pożegnám się z czytelnikiem, słusznie abym go obznał z dalszém przeznaczeniem, jakie czeka najpiękniejszy na wystawie produkt Anglii, tojest pałac kryształowy.

Nie tajno nikomu, że Anglicy są gorącemi miłośnikami drzew, zieleni i parków, że są dumni Hyde-Parkiem, Regent-Parkiem, James-Parkiem i innemi, które rozległość Londynu do kilku mil zwiększają. Kiedy chodziło o wyszukanie miejsca dla pałacu kryształowego, byli tacy, co jużto z obawy zbytniego natłoku cudzoziemców, a złąd jakowegoś w stolicy rozruchu, już téż przewidując, że budowa pałacu bez uszczerbku dla jednego z ulubionych parków obejść się nie może, chcieli wyszukać wystawie miejsca w Dublinie; trzeba było tego zapalu jaki ogarnął cały naród, trzeba było wpływu kommissyi złożonej z najoświecenijszych mężów, aby wstręt i opozycją przelamać. Noówczas Izba zezwoliła na wystawę do 1go października 1852 roku i upoważniła kommissarza *of Woods and Forests* (drzew i lasów), do traktowania z kommissją o miejsce dla wystawy. Jeszcze nie podpisano kontraktu z kommissarzem rządowym, kiedy przedsiębiorcy pp. Fox, Henderson et Comp. ogromne poczynili nakłady i przygotowania. Udecydowano, że w połowie r. 1852 Hyde-Park ma być wypróżniony i część jego dzisiaj zajęta, oddana w stanie w jakim była przed wystawą. Aczkolwiek wielkie robiono sobie nadzieje, tak dobrze budynek jak i wystawa przeszły najśmielsze rokowania. Do dziś dnia półczwarta miliona osób zwiedziło wystawę, a kosztó jój, które razem z dozorem 200,000 f. s. nie przejdą, zostaną pokryte przychodem, gdyż pominąwszy dobrowolne składki, sprzedaż biletów ciągłych i jednorazowych, wynosi do dziś dnia blisko 300,000 £. tojest 12 milionów złp. Zniknął więc najwialniejszy powód, tojest obawa niedoboru, któryby zmusił kommissją do rozebrania pałacu i sprzedaży materiałów.

Jak długo potrwa jeszcze wystawa? Co dzień zjeżdżają się nowi przybylcy, i nie zdaje się, aby rychły był koniec téj pielgrzymce. Wszelako kommissya królewska odebrała wiele listów od zagranicznych wystawiaczy, którzy chcą się dowiedzieć stanowczo o dniu zamknię-

cia wystawy i zarazem domagają się, aby ten dzień nie był późniejszy od 1go października. Jakie zatem będzie postanowienie kommissyi, gdy i z drugiej strony są liczne głosy za pozostawieniem wystawy przez zimę, przewidzieć nie można. Lecz ważniejsza kwestya co się stanie z pałacem?

Skoro tylko z codziennych dochodów dała się przewidzieć znaczna przewyżka nad wydatkami, zjawily się głosy za utrzymaniem pałacu. Niemi spowodowanych kilku członków Izby zapytało ministra, kiedy Hyde-Park będzie oczyszczony. Lord John Russel opierając się na kontrakcie odpowiedział, że pałac nie będzie trwał ani dnia jednego dłużej, jak Izba zezwoliła. Tymczasem stronnicy pałacu agitowali w mieście i na prowincyi; poczęły się zbierać meetingi, na których obradowano na jaki użytek przeznaczyć budowę; dzienniki przemawiały za utrzymaniem, p. Dalton zaproponował, aby zamienić pałac w wielką galeryą statuy, wyobrażających grupy rozmaitych narodów. Widocznie opinia przeważała się na stronę pałacu, a ulegając jój Izba niższa na dni parę przed odroczeniem, którego przedwczoraj dokonała sama królowa, postanowiła, iż pałac tymczasowo pozostać ma do 1go maja 1852 r. Jest zatem wszelka nadzieja, że nazawsze zostanie utrzymany, tém bardziej, że kommissya ma zamiar ofiarować go narodowi; pozostaje tylko pytanie, na jaki cel go obrócić? Większość podziela zdanie twórcy pałacu Paxtona, który w wydanėj przed kilkoma tygodniami broszurze tak się odzywa:

„Wystawione artykuły rozproszą się wkrótce po całym świecie, a wiele z nich uchodzić będzie za relikwie przypominające największe zjawisko naszego czasu. Będą one zyskiwały coraz więcj wartości, im odleglejszym stanie się dzień ich tryumfu; kiedy gmach, mogą powiedzieć bez samochwalstwa, owa gwiazda wystawy, skoro go zniosą albo przejdzie w całości za granicę, albo téż rozebrany, użytym zostanie na inne podrzędne cele. Jeśli mi się uda przytoczyć słuszne powody, dlaczego gmach ma być utrzymanym, to spodziewam się, że kommissarze królewscy uczynią wszystko, aby celu tego dopiąć.“

„Choćbym nawet nie wychodził z dzisiejszego punktu zapatrywania się, to i tak możnaby ważne słowo powiedzieć za utrzymaniem gmachu, bo zapobiegalby niedostatkowi przykremu w Londynie, mieście o półtrzecia miliona mieszkańców, niedostatkowi parku zimowego i oranżeryi. Miałem już, przekładając plan mój pałacu kryształowego, zwróconą uwagę na późniejszy jego użytek, i ten przedmiot w pierwotnym prospekcie dość mocno podniosłem. Nic od owego dnia nie zaszło, coby mniemanie moje nadwątlilo, i owszem

wszystko mnie w niém utwierdza i przekonywa, jakby pożądaném było dla stolicy miejsce wypoczynku i nauki, które właśnie projektuje. W ciągu ostatnich dwudziestu lat z wielką pomyślnością badaną była fizjologia i ekonomia sił natury, wraz z wpływem, jaki na nie wywierają klimat, miejscowe warunki i inne pojawy. Geologia związana ściśle z nauką roślin, cudownymi odkryciami odłoniła oczom naszym tajemnicę przedhistorycznych czasów, kiedyto mieszkańcy naszej ziemi wcale inaksi byli niżli dzisiaj. Roczniki dziejów nie dają nam o nich żadnej wiadomości, i bez nauki geologii musielibyśmy się wyrzec światła na owe czasy. Z pomocą chemii i botaniki poczyniono wiele użytecznych odkryć, które usłużyły wygodzie i praktycznemu ogrodnictwu, a umiejętność ta, dzięki szklarniom, nabrała rozwoju, który byłniepodobny w nieodległych czasach, mimo największych usiłowań. Lecz wpływ ogrodnictwa nie ogranicza się tylko na tём, cośmy już zyskali przez nie w pałacu, gdzie suche i najdelikatniejsze przedmioty bez szkody dadzą się przechować, ale mimo przeszkód zewnętrznych czyni ono podobném utrzymanie potrzebnej temperatury. Zanim rośliny hodowane były pod szkłem, atmosfera w takich zbiorach była tak przykrą, że zwiedzający po krótkim pobycie musiał je opuszczać, aby odetchnąć świeżem powietrzem. Dzięki Bogu już teraz w oranżeryach nie ma piekarnianego powietrza, a rośliny żyją tak swobodnie, jak tylko im pozwalają ograniczone nasze wiadomości i środki. Toż samo przyczyniło się do zwiększenia wygody i w naszych mieszkaniach, tём bardziej zaś pożądané jest takie ulepszenie w naszym kraju i stolicy, gdzie przez kilka miesięcy panuje co rok powietrze ciężkie i niezdrowe. Już temu zapobiega mój projekt, a nie zapobiegły inne budowle, aczkolwiek wielkie i wspaniałe.“

„Gmach jaki istnieje w Hyde-Parku, należycie rozszerzony, otwórz niezmierne pole rozrywek duchowych i fizycznych, skłoni zamkniętsze miasta fabryczne do podobnych przedsięwzięć, a jakże ucząca, podnosząca i zbawienną byłaby w nim nauka, gdyby stosownie ożywiony roślinami, ozdobiony był statuami i wodotryskami. Do dziś dnia nie posiada Anglia tego rodzaju publicznego zakładu, bo chociaż w Kew znajduje się wspaniały dom palmowy, to wilgotna i gorąca jego atmosfera, nie pozwala publiczności należytego obejrzenia cudów podrównikowej natury. W parku zaś zimowym, który proponuje, klimat musiałby być głównym warunkiem; do niego odnosilyby się wszystkie inne przedmioty. Mielibyśmy w nim klimat południowych Włoch, w którym drzewa rosnące w cieniu, żyć i rozwijać się mogą; i w nim moglibyście, nie czując ostrego wiatru wscho-

dniego i nawałnicy śnieżnej, podziwiać utwory natury i sztuki. Tu by można doświadczać piękności wegetacji i tych cudownych przymiotów roślinności, która wśród nocy, kiedy zasypia życie zwierzęce, pochłania z atmosfery kwasoród, a w dzień, kiedy przebudzona jest natura zwierzęca, połyka wydawany przez ludzi i zwierzęta gaz kwas węglowy, oddając w zamian kwasoród, który pomieszany w atmosferze, ciału naszemu nadaje siłę a duchowi weselość. W tym parku i ogrodzie zimowym możnaby rozłożyć malowniczo drzewa i rośliny, możnaby przeznaczyć drogę dla konnych i powozów, pieszym największą część onegoż oddając. Fontanny, statuy i wszelkiego rodzaju ozdoby ogrodnicze pomnożyłyby nieskończenie piękność widowiska. Możnaby zawiesić pnące się rośliny po ścianach i wiązaniach, tak, iżby w lecie dostarczały cienia, a przy ciągłym ruchu atmosfery nadawałyby pałacowi uroczą i ruchomą postać. Wpuściwszy pewną liczbę ptaków żyjących w strefie umiarkowanej i w licznych exemplarzach przeprowadziwszy niemal całą naukę geologii, podałoby się widzowi sposobność obznajmienia się z botaniką, ornitologią i geologią."

Rozwijają następnie p. Paxton szczegóły swego planu, i zapowiadając ogłoszenie anszlagu, oblicza, iż roczne utrzymanie pałacu wraz z wszystkiem co się w nim znajduje, wyniesie:

Praça, opał, woda, narzędzia, piasek na aleę, żer dla ptastwa, i utrzymanie roślin £. 8,000.

Nowe nabytki i reparacye £. 4,000.

Razem £. 12,000.

Przed niedawnym czasem w jednej części pałacu wystawy zrobił się wielki rozruch. Ujrzano dobywające się kłęby dymu; rozumiano iż się wszczął pożar, aż przekonano się, że to machina Philipsa funkcyonuje. Ktoś nieostrożny czy nieświadomy, uderzył w gwóźdź nad machiną wystającą, i sprawił w środku machiny zwykłą przy jój zastosowaniu eksplozyą. Jestto przyrząd nowo wynaleziony do gaszenia ognia. Pisano o nim wiele za i przeciw, robione próby udawały się lub nie, ma wielu nieprzyjaciół; jednem słowem w całej téj sprawie panuje wiele niepewności. Myślę, że słowo bezstronne nie będzie zbyt cenne. Że ta machina ma wielu przeciwników, to się łatwo pojmuje; a im gdzie lepiej jest straż ogniowa urządzona, tém ma ich więcej; lecz cóżkolwiek bądź jestem przekonany, że wynalazek ten, którego wielu próbom w Londynie i poza miastem byłem przytomny, zwycięży niechęć i rozpowszechni się. Zasada gaszenia ognia z pomocą machin

Philipsa jest ta sama, co w systemie zasypywania pożarów zie-

mią, to jest przyduszenie przez odjęcie warunku ognia, czyli kwa-
 sorodu. Machina ta, której
 zewnętrzny rysunek kładę, tak
 do użytku pożarów w domu,
 jako też i na wolnym powie-
 trzu, wydobywa z siebie gaz
 kwas węglowy, wypuszcza go
 rurą E, i gasi ogień. We-
 wnętrzu podzielona jest na dwie
 komórki. W komórce dolnej
 A znajduje się woda nalana,
 zaśrubowanym zwykle otwo-
 rem (G) przez rurę F, przy-
 czem otwiera się śrubka (b),
 aby powietrze ujsć mogło.
 W komórce B, w podwójnym
 metalowym sicie, znajduje się
 nabój złożony z gipsu, saletry
 i węgla potłuczonych miła-
 ko, rozpuszczonych w wodzie
 ostudzonej dopóty, póki masa
 wlana w formy, tęgłości nie
 nabierze. W nabój wkłada się
 od góry flaszeczka, zawierająca w spo-



dniej części mieszaninę chloranu potażu z cukrem, w górnej bańkę z kilkoma kroplami kwasu siarkowego. Aby machina funkcjonowała, dość uderzyć gwóźdź wystający przy D, który bańkę przebijając, wylewa kwas do mieszaniny, robi eksplozyą, zapala nabój z gipsu, saletry i węgla, który pali się zwolna, zmieniając się w osad i gaz kwas węglowy. Ponieważ przyrząd cały jest metalowy, rozgrzewa się więc szybko i zmienia wodę w komórce A w parę, która przez rurę F i C dostaje się do środka i z wielką mocą wypycha gaz otworem E. Gdzie tylko prąd dojdzie i otoczy ogień, tam płomień znika natychmiast, lecz potrzeba, ażeby ogień nie miał zarzewia niedostępnego gazowi i długo tłącego się, bo prąd dobywa się wedle wielkości maszyny przez dziesięć do trzydziestu minut, poczem machina przestaje działać. Jeżeli ogień w tym czasie nie zagaś, niema czasu też samę maszynę powtórnie nabijać: trzeba mieć ich kilka. Nie ulega żadnej wątpliwości, że z pomocą annihilatora Philipsa, z największą łatwością gasi się wszelkie płyny palne, które po ugaszeniu płomienia, już same przez się zapalić się nie mogą, jak również wszelkie materiały, w których głównie płomień jest straszliwy. Najzaciętsze pożary pokojowe, piwniczne, można z małemi narzędziami bardzo łatwo ugasić. To co mówię o annihilatorze Philipsa, zasadza się nie tylko na tém, co sam widziałem, ale i na tém, co pisały dzienniki angielskie, jakoto: *Times*, *Herald* i inne.



KRONIKA LITERACKA.

Przekłady poetów polsko-łacińskich. Tomik czwarty i piąty. Poezye księdza Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. Dział I, Pienia Liryczne; dział II, Pienia Liryczne i opisowe. Przekład Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza) 12ka. Wilno. 1851. Str. 198, 256, i Spis rzeczy.

Żyjemy w wieku realnym, w którym duch społeczności skierowany jest wyłącznie na drogę przemysłu i wynalazków. Otoczeni zewsząd maszynami, potracając na każdym kroku o spekulacye, zapomnielibyśmy wkrótce o istnieniu pokarmu dla duszy, jakiego obficie dostarczyć może nauka przeszłości lub sztuki piękne, gdyby od czasu do czasu nie budzono nas gwałtem prawie z uspienia i nie podawano do rąk moralnej zabawy, łączącej w sobie przyjemną rozrywkę w odetchnieniu i korzyść, której dostarcza nauka. Tak sądzimy o poezyi, tej częstce obszernego naukowego zawodu, bo przez nią podnosząc ducha i kształcąc uczucie piękności, nie wyziębiamy duszy i nie czynimy jej głuchą na głos z serca pochodzący.

Po Janickim i Kochanowskim, nad których przekładami zastanawialiśmy się niedawno, wypadłoby z porządku zająć się zdaniem sprawy z przekładu *Rozolanii* Klonowicza; lecz znając oryginał tylko z nasłuchu, a nie mając go pod ręką, ani dostać zkądkolwiek mogąc, odkładamy rzecz tę na później; albowiem ochoczy wydawca p. Zawadzki w najbliższym tomiku, oryginał łaciński drukiem ogłosić przyobiecał. Za co mu powszechnie składamy dzięki, iż się tak chętnie przykłada do uratowania, być może od zagłady i zniknięcia, tego pomnika przeszłości.

Przystępujemy więc wprost do Sarbiewskiego.

Jak każdy pojedynczy człowiek różni się rysami zewnętrznymi od reszty współbraci swoich, tak i utwory przez różne osoby wykonane, chociażby do jednego skierowane celu, statecznie się od siebie różnią

Tak więc i ksiądz Maciej Kazimierz Sarbiewski nosi na sobie typ różny wcale od poprzednich, nie tylko pod względem charakteru wewnętrznego, ale i zewnętrznego wykonania. Janicki syn kmiecia, Kochanowski szlachcic z rodu, oba po swojemu holdując muzom, wydatne piętno uczuć i wieku w którym żyli, zostawili na swych utworach. Sarbiewski, to także szlachcic, lecz w zakonną jezuicką przybrany sukienkę, zaparł się dobrowolnie stosunków ze światem, i jeżeli po światowemu w swych dziełach przemawia, nie śmie zakonnęj przekroczyć klauzury, i prawie każdy wiersz jego, każda myśl w nich zawarta, tak poważne, tak wymierzone, jakby je z ambony, a przynajmniej z katedry ogłaszał. Bo w swój żywój, ogniem ziejącej poezyi, Sarbiewski zawsze jest poważny; bo jego zaparł tak wyrachowany, jak miara wiersza w którą zakuty został: błyszczy światłem sztuczném, sklerowaném li tylko ku temu, aby nie zdradzić poważnego stanu kapłana, aby nie zachwiać przyzwoitości, jaką charakter duchowny wszędzie i zawsze zachować musi. Ztąd, czy weźmiemy na uwagę wiersze okolicznościowe, czy téż poezye, które w chwili własnego natchnienia na papier przelał, zawsze Sarbiewskiego w zakonnęj widzimy osłonie, harmonowanego wędzidłem stanu, któremu swą przyszłość poświęcił.

To z dzisiejszego na poezyą zapatrywania się, wypływa stanowiska. Ówczesnie Sarbiewski nie mógł i nie powinien był pisać inaczej; nie mógł, bo okoliczności czasowe, a mianowicie stan nauk, skierowany głównie ku klassycyzmowi rzymskiemu, wymagał tego naśladownictwa; nie powinien, bo inaczej nie mielibyśmy nawet tego, co stosując się do ducha wieku, potomności przekazał.

Sarbiewski może zanadto używa klassyczoj mitologii: ale z przyjęciem wiary Chrystusa, zatraciliśmy nasze pogańskie bóstwa do tego stopnia, że dziś nawet ich nazwisk wszystkich nie wiemy; a jednak bogatą była mitologia dawnych Słowian! Żarliwość z jaką się wzięto do nowj wiary, zakazała samego wspomnienia bogów, którym przez długie wieki pokłony czyniono. Mógł więc poeta bezkarnie wspominać Jowisza, Marsa, Bachusa, Apollina, Minerwę, a nawet i Wenus, bo to były tylko cacka, któremi każdemu igrać dozwolono; ale jako kapłan, jako ksiądz katolicki, jako Jezuita, strzegł się pilnie Swiatowida, Łady lub Rusalek, jakkolwiek dawno ich panowanie minęło, a ztąd prawdopodobnie, że może o nich i niewiele wiedział (1). Sarbiewski pisząc językiem i w duchu Rzymian,

(1) W jedném tylko miejscu pozostałego ułamku Lechliady czytamy:
Elegit Diana locum, *Dzxewonia* vestra
Surgere jussit opus tantum:.....

jest raczej poetą kosmopolitą, niż Polakiem, i o tyle tylko nas obchodzi, o ile swą muzę, zwracając głos ku rodakom, na polską nagina stronę. Tylko wtedy go jako narodowca dokładnie oceniłbyśmy mogli, gdyby nie zaginęła *Lechiada* nad którą długo pracował, a której tylko ułamek księgi jedenastej doszedł naszych czasów. Naksztalt Horacyusza lub Wirgilego, co Cezarom rzymskim śpiewali, nieraz Jezuita z swój liry hojne i pochwalne dla Rzymu wydobywa dźwięki, skąpszym będąc dla rodzinnéj Polski, i zyskał też przydomek Horacyusza. Jako Horacyusz polski znany jest na całym szerokim bożym świecie, a my jeszcze niedawno wiedzieliśmy o nim tyle, ileśmy się nauczyli wiedzieć o nim od cudzoziemców.

Na łacinie zaprawiali się do nauk przodkowie nasi, lecz łacina jest trudna. Młodzież tylko z potrzeby lub wolą starszych zmuszana, uczyła się jój tak, jak i dziś—za pańszczyznę; rzadko kto zatem, chyba przy wrodzonych zdolnościach i ochocie, na wyższym biegłości mógł stanąć stopniu i odznaczyć się zaszczytnie w krasomówstwie lub poezji. Lecz ci wszyscy właśnie z tego powodu odróżniwszy się i wyosobniwszy od innych, należą o tyle tylko do swego narodu, o ile rozbierają kwestye żywotne swojskie. Traktując zresztą rzeczy obojętne, nie mając żadnej właściwej barwy prócz prostego dźwięku słów, językiem obumarłym oddanego, powinni się liczyć do téj tylko literatury, której językiem dzieła ich pisane.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli, da się w części zastosować do Sarbiewskiego. Przywdziawszy on zakonną Jezuitów sukienkę, w duchownym stanie widzi tylko najwyższe szczęście. Kłeka i prawie ubóstwia papieża, boć to widoma głowa kościoła, a on podwładny, jest tylko małym proszkiem w porównaniu z namiestnikiem Chrystusa. Chwali możnych we Włoszech, by im się przypodobać, chwali możnych w kraju, by dobrodziejstwa na zakon do którego należał, ściągnąć. Całej mitologii pogan na pomoc przyzywa i hojnie szafuje poetycznym uczuciem; a czy powód do tego ważny czy błahy, z równą mocą, z równą harmonią szykuje pod miarę wiersze, i czytelnik zachwycony nie wie co podziwiać: wrodzonyli talent, czy też wytrawną naukę poety?!

Życie Sarbiewskiego tylekroć już opisywano, że powtarzać tu szczegóły, byłoby zupełnie zbyteczną rzeczą (1). Prace jego liczne zyskały wydania więcéj za granicą, niż w kraju; co bynajmniej zadziwiać nie powinno,

(1) Najobszerniej o życiu i dziełach Sarbiewskiego pisali:

Langbein: *Commentatio de Math. C. Sarb. Dresdae, 1753 i 1754.*

Kolanowski de *Math. C. Sarb. Poloniae Horatio. Berolini, 1842.*

gdyż właśnie kosmopolityzm Sarbiewskiego dozwalał zarówno cieszyć się niemi wszystkim narodom. Oto szereg edycji Sarbiewskiego (1):

5. *Kolonia*: 1625, 12ka; 1648, 16ka; 1682, 12ka; 1692, 12ka; 1721, 8ka;

3. *Wilno*: 1628, 12ka; 1747, 12ka (Kruszewski); 1757, 4ka (Naruszewicz).

5. *Antwerpia*: 1630, 12ka; 1632, 4ka; 1634, 16ka; 1646, 16ka; 1682, 12ka.

1. *Rzym*: 1643, 12ka.

1. *Dijon*: (Divio) 1645, 12ka.

1. *Kraków*: 1647, 4ka (z tłumaczeniem Libickiego) (2).

3. *Paryż*: 1647, 12ka; 1759, 12ka; 1791, 12ka.

1. *bez miejsca druku*: 1660, 12ka.

2. *Wrocław*: 1669, 12ka (tak się domyśla Bentkowski); 1753, 12ka.

1. *Kalisz*: 1681, 12ka.

1. *Londyn*: 1684, 12ka.

1. *Gdańsk*: 1737, 12ka (Czartoryski).

1. *Drezno*: 1754; 12ka; tu także zamierzał w roku 1812 wydać nową edycję Marcin Łaguna, lecz nie przyszła do skutku.

2. *Warszawa*: 1769, 8ka (wyd. Bohomolca z tłumaczeniami); r. 1830 (u Pijarów) tylko księga pierwsza, z bardzo szacownym komentarzem przez ś. p. ks. Edmunda Andraszka sporządzonym, oraz 1831, 8ka; same tłumaczenia ks. A. Załęskiego Benedyktyna.

1. *Strasburg*: 1803, 8ka.

1. *Buda*: 1824, 12ka (wydanie stereotypowe).

1. *Lipsk*: 1842, 16ka.

Oprócz wydań tych częściowo lub całkowicie dokonywanych, zajmowano się także i tłumaczeniami Sarbiewskiego; i tak *Coupé* w swoich *Soirées littéraires* XVI tłumaczył go częściowo; zaś w r. 1755 wszystkie dzieła S. po francuzku ogłoszono. We Wrocławiu jeszcze w r. 1802, 8ka, wyszło tłumaczenie na niemiecki przez *A. Rathsmanna*, poprzednio wszakże niektóre z pieśni przetłumaczył *Jan Mikołaj Goetz*, które wyszły wraz z innymi utworami wydane przez *Ramlera* w 1785 r.

Tłumaczenia polskie dokonane niegdyś przez *Twardowskiego*, *Puzynę*, *Naruszewicza*, *Minasowicza*, *Bohomolca*, *Przeddzieckiego*, dziś dziwnie przypadają dla naszego ucha. Jeżeli ciężką jest szata w którą

(1) Mam je sobie podane od p. F. M. Sobleszczańskiego, adjunkta biblioteki głównej okręgu naukowego warszawskiego.

(2) Tak podaje Bentkowski; Jusztyński wszakże nie o tym nie wspomina, a i ex. który widzieliśmy, tłumaczeń Libickiego nie obejmował.

Sarbiewski ustroił swe pieśni, to daleko cięższą jest zbroja, w którą zamknięty został tłumaczeniem. Taż sama postać poety z rzymskich w polskie przyobleczona kształty, nietrudną tu jest do poznania, i ma swoją dobrą stronę, to jest wierność. W owe czasy może odpowiadała pojęciom i usposobieniu, dziś stanowić może tylko wspomnienie dobrych chęci i szczerzej pracy, ale nad to nic więcej. Późniejsze tłumaczenie przez księdza Załęskiego dokonane, może w wielu miejscach wytrzymać współzawodnictwo z obecnym wydaniem, a nawet często wyjść ze zwycięstwem, bo jest tam i wierność, i nowsze pojęcie poezyi. Zestawimy więc gdzieś gdzie niekiedy, dla porównania wraz z oryginałem, aby każdy łatwo mógł widzieć i sam ocenić, jak się kolejno rozwijało i kształciło u nas pojęcie poezyi i jak tłumaczeń dokonywano.

Przystępujemy zatem do samych poezyj:

Oda *pierwsza* księgi *piętnastej*, napisana w roku 1623 do *Urbana VIII* papieża, gdy niezmierne siły tureckie ustąpiły z Węgier, zaczyna szereg pochwał oddawanych Rzymowi. Tłumaczenie tej ody niekoniecznie znajdujemy wierne: zawiera jednak pewne zalety. Lepsze według naszego zdania jest tłumaczenie ks. Załęskiego, bo wierniejsze, a może i niemniej dźwięczne. Oto dla porównania wraz z oryginałem ostatnie cztery strofy.

(Tłumaczenie ks. Załęskiego):

Światłość światłości, pan ziemskiego tronu,
Patrząc się na Rzym z górnego Syonu,
Niech koi państwa, niech Cię ojcem głosi,
Bo Cię świat prosi.

Niechaj Ci wawrzyn oznacza lat wątki,
Niech sprzyja *fatum*, niech się spieszą prządki,
Niechaj Ci snują ręką niezuchwałą
Nić wiecznie trwałą.

Panna siedząca pomiędzy gwiazdami,
I otoczona jasnych gwiazd chorami,
Niech się zlituje nad rzymskimi syny,
Dla Twój przyczyny.

Niech ma w swój pieczy smutne Rzymu losy,
Niech przyjmie wdzięczne panien, chłopców głosy;
Niech na możniejszych panów ślubowania
Ucho swe skłania.

(Tłumaczenie obecnie dokonane):

Mirty dla Ciebie wyrosły w tej chwili,
I wawrzyn dla Ciebie rośnie,
Dąb na cześć Twoję swe konary chyli,
I jodła szumi radośnie.

Bogaj w niebiesiech u stóp majestatu,
Głos ludów został przyjęty!

Bogdajbyś długo o pasterzu święty,
Panował miastu i światu!

Panna niebieska, gromicielka piekła,
W zorzową szatę odziana,

Bogdajby prośbę za Rzymem wyrzekła,
Prośbę o życie Urbana.

O to dziewica, młodzian i pacholę,
O to i z grobów przodkowie.

W rzymskim narodzie i w senatu kole,
O to się modlą Jechowie (1).

Następna oda druga do *Aureliusza Lyka*, aby nie narzekał na nie-
stałość losów, przetłumaczona już była niegdyś przez Piotra Puzynę, Fr.
Bohomolca i Ep. Minasowicza. Mieści się także i w zbiorze ks. Załęskie-
go; w tłumaczeniu przecież obecném lepiej jest oddana, i więcej niż oda
pierwsza do oryginału zbliżona. Piękny jest ustęp malujący samą niestałość
losu, temi oddany wyrazy:

.....
Ten, co dziś orze, zajmie miejsce święte,
Jak prawodawca nad rzymskimi męże,
I w jarzmo z karku wołowego zdjęte,
Nieprzyjacioly ojczyzny zaprzęże.
Tego co wczora wieczerał nędzarzem,
Poranek wita w bogactwie, powadze,
Wczora, on byki zaprzęgał do jarzem,
Dzisiaj, piastuje dyktatorską władzę.
.....

(1) Takie jest brzmienie samego oryginału:

Siderum praeses, dominusque terrae,
Lucida Romam speculatus arce,
Regna tranquillet, cupidoque patrem,
Te vellit orbi.

Laurus annosum Tibi signot aevum:
Fata te norint, properentque Parcae,
Nescium carpi Tibi destinatos,
Stamen in annos.

Quaeque formosos sedet inter ignes,
Sedulam pro Te miserata Romam
Virgo, quam circum glomerantur albis,
Astra choreis.

Curet effusas Latil querelas:
Virgnum castas juvenumque voces,
Caret, et votis proceram reclinem ac-
commoedet aurem.

W odzie *trzecięj*, znowu do *Urbana VIII* napisanej, chwali go bez miary, bo nawet aż do przesady. Cała przeto oda choć piękne zawiera myśli i zwroty, nie wzbudza przecie współluczucia w czytelniku. Takto zwykle bywa, kiedy się miarkę przebieższe.

Oda *czwarta* do *Kryspa Lewińskiego*, iżby zanadto nie dowierzał młodości, znajduje się w wydaniu Bohomolca, tłumaczona przez Puzyńę. Przekład téjże ody przez Załęskiego jest wierniejszy; np. strofa czwarta:

(Tłumaczenie ks. Załęskiego):

Jedna godzina bojną ręką daje,
 Druga wydziera, co po niej nastaje;
 Tak nas czas łudzi, jak żartując matki
 Łudzą swe dziatki.

Pięknie może, lecz mniej wiernie czytamy w obecnych Przekładach:

Los ci prawicą dar jaki nawinie,
 Lewicą wydrze, co dał tak uprzejmie;
 Niby jak matka, co małej dziecinie
 To poda cacko, to *nazad* odejmie (1).

Oda *piąta*, wyłącznie znowu pochwałom *Urbana VIII* poświęcona, takąż X i jeszcze XXI w téjże księdze, gdzie wiersze papięza (2) chwali, pełne są myśli pięknych, jakkolwiek nie bez przesady.

Oda *szósta do księząt Europy*, o potrzebie wyjarzmienia wschodniego państwa, bogata w silne wyrażenia, pięknie jest oddaną w niniejszych przekładach, bo téż tu istotna poezya, a tłumacz przejął się tyle tylko autorem, ile tego do oddania bez urony myśli głównych potrzebował.

Oda *siódma do Telefa Lyka*, w której oskarża losy i rzeczy ludzkich niestałość, przełożoną już była niegdyś przez Naruszewicza. Czytamy ją także i u Załęskiego. Przekład wszakże p. Syrokomli znajdujemy mniej wierny, lecz piękniejszy od poprzedniego.

W odzie ósmęj poeta gromi gnusność wieku. Znamy ją tylko w przekładzie Naruszewicza, który pod względem wyrażen poetyckich nie może z p. Syrokomlą iść w zawody. Oto na próbę kilka wierszy:

(Tłumaczenie Naruszewicza).

. . . .Ej porzućcie, junacy, pieszczone
 Skrzypce i flety, niech się sprzęt niewieści
 W domach potomków rycerskich nie mieści.

(1) Zamiast *nazad* wolelibyśmy *znowu*. Strofa oryginalna tak brzmi:

Quod tibi larga dedit Hora dextra,
 Hora furaci rapit sinistra,
 More fallentis tenerum jocose
 Matrís alumnus.

(2) Wyszły w Rzymie 1643 w 4cc z komentarzem Henryka Dormallusza.

Słyszycie? od Dunaju wrzask trąby chrapliwy
 Aż do nas się rozchodzi. Już Apenin krzywy
 Brzmi jój odgłosem, już się odezwały
 Wsokie góry i odległe skały.

Pędzi Mars zewsząd wojska, a myż nie pójdziemy?

A myż przy kuflach tylko gnuśni zostaniemy?

Czyniąc biesiady łez kmiotków niesyte,
 I całych królestw skarbami nabyte,
 Na które gdy zachodni Hesper okiem rzuci,
 Nie ujrzy końca, lubo Fosforem powróci.

A księżyc, co się przez całą noc toczy,
 Śmiejąc się, w winie promienie swe moczy.

Kiedy palce w zamorskie umazawszy trunki,

Czynim sobie na stołach obozów rysunki,
 Prowadzim szance, a fosę obszerną
 Robimy, drogim szalując *Falerną*.

Wprawdzie może zanadto wiernie, ależ przy mniejszój wierności,
 więkşzy dźwięk tychże samych myśli znajdujemy u p. Syrokomli; np:

.....
 O złammy, strzaskajmy i lutnie i liry,
 Zostawmy niewiastom płaśniania i śpiewki.

Słyszycie? jęczenie nad Istrom zawrzało,

To dziki Muzułman zatrąbił na rogu,

Aż Alpy z westchnieniem odbiły to hasło;

To wyzew do walki i ludom i Bogu.

Pójdziemyż? czy chcecie? O! wcale nie wierzę:

Wprzód pozbyć się trzeba pragnienia i głodu,

Tu wino kalenijskie, tu drogie wieczerze,

Kupione za pieniądź czynszowy narodu.

Biesiada wciąż szumi, kielichy wciąż sterczą,

I trunek smakowny przechodzi z rąk w ręce;

A księżyc co uczcie przyświecał szyderczo,

Zdał teraz straż naszą porannój jutrzence.

I cóż nam do wojen? my znamy jo wiernie,

Nam dobrze świadome stosunki Europy,

My tutaj na stole przy dobrym *Falernie*,

Zrysujem zastępy, wieżyce, okopy. (1) i t. d.

(1) *Fraugite barbata,*

Nervosque, dementemque buxum,

Femineo prohibete cantu.

Auditis? Istri litora personat

Ferale cornu. Jam capita Alplum,

Magnaque respondere montes

Przekład ody *dziwiątąj* do *Mikołaja Wejhera*, wojewodzica chełmińskiego znajdujemy zanadto oddalony od oryginału Sarbiewskiego: jest to raczej naśladowanie, niż tłumaczenie. Tu p. Syrokomla został *sumym sobą*; Sarbiewskiego ledwie dostrzedz można.

Oda *jedénasta* do *Stefana Paca* podskarbiego litewskiego, w której poeta wyrzuca rycerstwu przepych ryszunków, odznacza się mocą i dobitnością wyrażeń, znaną jest czytelnikom niniejszego pisma w wyjątku, umieszczonym przy rozbiorze Pamiętnika naukowo-literackiego (1); dodamy tylko, że tłumaczenie jakkolwiek piękne, wiernością przecież zalecać się nie może.

Oda *dwunasta* do *ksiąząt państwa rzymskiego* o wyjarzmienu prowincyj greckich, zachęca do połączenia sił i uderzenia na Turków, obiecując żołnierzom nietylko hojną zapłatę i łupy, lecz i używanie wszelkich życia rozkoszy; a w końcu błogosławieństwo, że się do chwalebne go dzieła przyłożyli. Postuchajmy, jak to zrecznie tłumacz-poeta od-
daje:

.....
 Jeden drugiemu ochoty udzielnice,
 A jeśli żołdak myśli o jurgielcie,
 Niech idzie śmiało, żołd się nie wysłiznie,
 Niech idzie śmiało, nie zwiedziem go chytrze:
 Bo gdzież pieniądze, gdzie złoto obfitsze,
 Jako na starój bogatěj greczyźnie?
 Byle żelazo i ręka z zapałem,
 A złoto łacno znajdziemy nareszcie.
 Kto będzie umiał ruszniczym wystrzałem,
 Zdobywać skarby na bogatém mieście,
 Nagrodzi pracę skoro wejdzie w mury,
 Bo weźmie łupem bogactwa i dziwy;
 Nie będzie łaknąć tyryjskiej purpury,
 Ni cypryjskiego wina i oliwy. i t. d.

Ausonae: novat arma Mavors,
 Urbesque tectis ellicit. Iblimus?

An nos Caleno mensa tenet mero,

Caenaeque regnorum redemptae,

Divitiis popullque censu?

Quas cum recedens viderit Hesperus,

Surgens eadem Phosphorus adspicit;

Et ridet adspecto renidens

Luna mero, radiosque tingit;

Dum nos Lyaeo regifcis super

Descripta mensis praella pinguis,

Fusoque metamur Falerno

Maenia, diluimusque fossas.

(1) Zob. Bibl. Warsz. z r. 1850, T. I, str. 562.

Oda *trzynasta* do *Turkwiniusza Lwina*, aby nie tracił nigdy nadziei, i zawsze, czyto w szczęściu, czy przeciwnościach jednaki umysł zachował, piękną zawiera naukę moralną, tym czterowierszem oddaną:

Lecz nie śmieć deptać co upadło w pyłe.
 Nie czyń pogardy lub urągowiska,
 Bo los jedynie czyniąc krotofilę,
 Kości na lewo i na prawo ciska.

Inaczej trochę znajdujemy myśl tę oddaną przez Załęskiego, a nawet mniej dźwięcznie:

Porzuć zhytnie urąganie,
 Choć go widzisz w nędznym stanie:
 Niech twą pamięć los ocuca,
 Co podwójną gałkę rzuca.

Obadwa jednak tłumaczenia, nie wytrzymają porównania z oryginałem.

Oda *czternasta* do *Juliusza Flora*, w której poleca staranie nad młodym Lynceuszem, przetłumaczoną była przez ks. Puzynę i Przeddzieckiego Michała starostę pińskiego. Oba tłumaczenia znajdujące się przy wydaniu Sarbiewskiego przez Bohomolca, zalecają się tylko zachowaniem formy zewnętrznej wiersza oryginalnego i trochę wierności. Treścią tej ody są przestrogi i zachęta do ścisłego trzymania młodzieńca.

Oda *piętnasta* do *rycerstwa polskiego* napisana z okoliczności, gdy Władysław król wicz po pokonaniu Osmana pod Chocimem, dnia 10 października 1621 r. zwyciężkie wojsko na zimowe leże odprowadzał. Pamięć tego zwycięstwa, corocznie przez długie obchodzona wieki, ustała z czasem, i dziś tylko liczne dzieła poetyckie, opiewając czyny bohaterów, przypominają je kiedyniokiedy potomnym.

Oda *szesnasta*, w której poeta strofuje gnusność wieku, pełna jest silnego uczucia, jakim był przejęty widząc ogólne uspienie i lenistwo, brak męskości i zniewieściałość. Tłumaczoną była przedtém przez Naruszewicza. Oto piękne i dość wierne jej zakończenie w nowém tłumaczeniu:

Wstyd nam dziadowskich hełmów, staroświeckich znamion,
 Nam trzeba drogich ozdób w tegowiecznej pysze;
 Nam dawniejsze kołczany pospadają z ramion,
 Ciężkie dla nas szabllice i dawne berdysze.

Stara siła i dzielność, rzeczy dla nas cudze,
 Zbroja ojca za wielka, za ciężka dla syna;
 Nie potrafi dać kroku w dziadowskiej kolezudze,
 Pod włócznią pradziadowską aż ramię ugina.

Po tój odzie, w wydaniach łacińskich Sarbiewskiego czytamy wiersh o łagodności, jaką książęta najbardziej zalecać się powinni. W tłumaczeniu niniejszém nie znajdujemy tój ody na swoim miejscu. P. Syrokomla nawet, mówiąc o opuszczeniach w tomiku V na str. 254, zupełnie ją pominał.

Oda *siedmnasta* (właściwie 18) do świętj Elżbiety królowej portugalskiej, gdy w r. 1625 przez Urbana VIII policzoną została w poczet świętych. Przywodzimy ją w całości w dwóch tłumaczeniach i w oryginale:

(Tłumaczenie ks. Załęskiego):

Święta! co władasz już na oceanie,
Którj wzywają nadmorscy Hiszpanie,
Dla którj Tagus czystém złotem płynie,
W całej krainie.

Mieszkałaś dawniej w tych lepiankach z nami,
Dzisiaj, pomiędzy jasnymi gwiazdami,
Widzisz przed sobą krążące komety,
Widzisz planety.

Dziś, gdy ci drogie lasów Medzkich dary
Palimy w Rzymie, na znak twój ofiary;
Niech nasze winy przed Bogiem zastonia
Te dymy z wonią.

(Tłumaczenie Syrokomli):

O święta! którj ołtarze
Wznoszą w zachodniej krainie,
Przy wodnistym Gibraltarze,
I gdzie Tagus złotem płynie.

W dom nędzarza, w dom chorego,
Szaś ochoczco—dziś ci btego
Ponad gwiazdek mleczną drogą,
Gdzie planety wirem biegną.

My cię cześcim w świętym Rzymie,
I kadzidła palim wschodnie;
O patronko! niech w tym dymie
Skryste będą ludów zbrodnie (1).

Oda *ośmnasta* (19), w którj poeta wzdycha do niebieskiej ojczyzny, przetłumaczona przez Puzyńę i Załęskiego, ustępuje w piękności oryginalnym wyrażeniom, jakie u Sarbiewskiego znachodzimy; przekład obecny odznacza się doborem dźwięcznych słów, ale ustępuje w wierności.

Oda *dziewiętnasta* (20), do *ksiąząt włoskich*, o konieczności odzyskania wschodniego państwa, podobnie jak i *dwunasta*, zachęca do wojny przeciwko Turkom.

Oda *dwudziesta* (21), Do Urbana VIII papieża, iż wszystkie narody są dzisiaj dziedzictwem Chrystusowóm. W niej nazywa papieża: *wielkim*

(1)

Diva, devexo nominata ponto,
Cujus undosae meminere Gades,
Cui Tagus servit, liquidoque rura
Praefluit auro.

Pauperes olim coluisse sedes
Laeta, nunc magnas habitare stellas,
Inter et gyros, et euntis inter
Sidera mundi.

Dum tibi Medae pretiosa silvae
Damua per Thuscas adolemus aras,
Thureo Regem populi que celes
Crimina fumo.

uśmierzcą ściszonego świata, podobnie jak i w pierwszej, sypiącej pochwały temuż papieżowi (strofa 10), tłumaczenie w zewnętrznej formie, a czasem i co do ducha, różne od oryginału.

Oda *dwudziesta pierwsza* (22), ma za treść pochwały Urbana, o czym wspomnieliśmy wyżej, przy odzie *piątej*.

Oda *dwudziesta druga*, (23), *Do Lewina Hielyusza* ma za treść zalecenie pracy. Przekład jój obecny, choć różny formą wiersza od oryginalnych czterowierszowych zwrotek, gładko jednak dokonany, mile przypada do słuchu, potocznością wyrażen, na których nie zbywa tłumaczowi.

Takim jest przegląd szczegółowy księgi pierwszej. Zastanawiając się w podobny sposób nad resztą przekładów Sarbiewskiego, zanadto możebyśmy się rozszerzyli i znudzili naszych czytelników. Streścimy przeto swoje wywody i porównania, o tyle, iżby tylko wierny dać obraz samego autora, i dokonanej przez tłumacza pracy, zwracając uwagę na zasługę, jaką sobie ten ostatni zjednał, tak chlubnym a mozolnym zadaniem.

Księga druga składa się z dwudziestu ośmiu (1) ód, które wszystkie w niniejszym przekładzie znajdujemy. Niektóre z nich są już dawniej tłumaczone, i tak: Puzyna przełożył *drugą, siódmą i ósmą*; Naruszewicz: *trzecią, szóstą, ósmą, dziewiętnastą i dwudziestą pierwszą* (2); Franciszek Bohomolec przełożył także odę *drugą*. Naostatek u Załęskiego znajdujemy: *drugą, trzecią, piątą, siódmą, piętnastą, szesnastą, ósmnastą, dwudziestą piątą, dwudziestą szóstą i dwudziestą siódmą* (3). Tylko przekład ostatniego znajdujemy godnym bliższej uwagi. Weźmy naprzykład odę *piętnastą do Narwi*, nad której brzegiem, mając lat szesnaście, pierwszą pieśń liryczną śpiewał; oto jój brzmienie:

Jeszcze wśród róży białej,
Leżał sobie dzień ospaly;
Jeszcze nie wzniośł pięknej szyi,
Ni z fijołków, ni z lilii:
Ja zaś czujny rano wstałem,
Ja mu miły sen przerwałem
Lutnią moją, której głosy
Pieryjskie, szły w niebiosy.

Tak pierwszy raz zanuciłem,
Gdy w szesnastym roku byłem:
Kiedym nad brzegiem wesolo
Pięknej Narwi chodził wkoło,
Odtąd mi się wszystkie śmieją,
Odtąd wszystkie dni jaśnieją,
A ten pierwszy, co złoconój
Swym promieniem dotknął strony,

(1) Przez omyłkę w liczbowaniu i po liczbie XVII położeniu XIX, wyszło u pana Syrokomli 29 ód, tak w samym tekście, jako też i w rejestrze.

(2) Dla powyższej omyłki odpowiadają dwle ostatnie dwudziestej i dwudziestej drugiej u p. Syrokomli.

(3) Dla podobnej przyczyny trzy ostatnie noszą liczbę dwudziestą, dwudziestą szóstą, siódmą i ósmą u p. Syrokomli.

Już się tarczy nie dotyka,
 Już Gradywa trąb unika.
 Woli na wsi piękne łąny,
 Lub nad źródłem kwiat różany,
 Lub sijałki, lub kryształny,
 Lub Wili! bieg wspaniały;
 Lub też w pierwszej wiosny dobie,
 Z zefirem bawić się sobie.
 Tobie Narwo, której zdroje
 Opiewały pienia moje,
 Której naprzód jam dziecięciną,
 Grał na lutni Rzymianina;
 Tobie taki wiersz rysuję,
 I na dębie zostawuję:
 „Którą Febus tak miłuje,
 Której słodko wyśpiewuje,
 Którą Muzy tak kochają,

Której mile wygrywają:
 Tę też Narew tak wesolą,
 Otaczajcie lutnie wkóło,
 Otaczajcie piękne córy,
 Wysławiajcie swemi chóry”.
 Ten gdy będzie z własnej woli
 Wzrastać z dębem choć powoli,
 Umićć będą i chłopczęta,
 Nauczą się i dziewczęta:
 A gdy się ich zbierze wiele,
 W święto jakie, lub niedzielę,
 I gdy będą w wodzie czystej
 Zbierać bursztyn przezroczysty,
 Lub kamyków szukać wszędy:
 Zaraz staną we dwa rzędy,
 I naprzemian go chłopczęta,
 Śpiewać będą i dziewczęta.

W przekładzie pana Syrokomli znajdujemy ją skróconą do niepoznania; są tam myśli z Sarbiewskiego wyjęte, ale wiersz Jego nie jest tłumaczeniem: tak albowiem czytamy w obecnym przekładzie:

Na wiązance z białej roży,
 Na sijałkach spoczął we śnie
 Dzień ów wielki, dzień miniony,
 Gdy najpierwszą złożył pieśnię.
 Gdy nad Narwią harfa brzękała,
 Niedołęzną jeszcze nutę,
 O zaistel z dnia tamtego,
 Złote dla mnie dni wysnute.
 Ozłocona harfa moja,
 Nie chrzęściła jako tarcza,
 Nie śpiewała bohaterów;
 Licha wioska jej wystarcza,
 Uperlone rosą kwiaty,
 Róże, gwoźdźnik, tulipany,

Albo Wili! brzeg majowy,
 Zefirami ugłaskany.
 Narwi rzeko! tum w najpierwszej
 Niemowlęctwa śpiewał porze!
 Tum najrańszą mą piosenkę,
 Na wiązowej wyrzył korze.
 Póki jeszcze nie zarasta
 Kora rylcem zadraśnięta,
 Niech się pieśni méj wyuczą
 I dziewice i chłopięta.
 I w mojego dnia rocznicę,
 Niech się zejną tutaj wcześniej,
 Aby razem i naprzemian,
 Chórem śpiewać moję pieśnię (1).

(1) Które z obu tych tłumaczeń jest wiernejsze, a przeto lepsze, łatwo przekonąć może:

Albis dormiit in rosis,
 Lillisque jacens et violis dies,
 Primae cul potni vigil
 Somnum pierla rumpere barbito,
 Curae dum vacuus puer
 Formosi legerem litora Narviae.
 Ex illo mihi posteri
 Florent Sole dies: qui simul aureae
 Infregit radios lyrae,
 Jam nec scula sonat, nec strepitum
 tracts

Gradivi, sed amabiles
 Ruris delicias: sive rubentia
 Udo rore rosaria,
 Seu molles violas, sive volubilem,
 Leni sumine Villam,
 Seu primo graciles vere Favontos.
 At tu, *Narvia* quem puer
 Tum primum Calabria personui fide,
 Ictu pectus hoc habe,
 Inclsum viridi carmen in illice:
 „Quem Phoebus cithare pater,

Z innych ód tój księgi zasługują na uwagę: *trzecia* do lutni, *piąta* niewłaściwie zatytułowana przez p. Syrokomlę: „O występkach rodzaju ludzkiego” (E rebus humanis excessus). Ma albowiem za przedmiot wzniesienie myśli w nadziemskie sfery, i wyzucie się ze zmysłowości. Lepiej ten napis streścić idąc za przykładem tłumacza niemieckiego *Goetza*, *Załęski*, położywszy: *Widok z góry* (der Anblick von Oben). W wierszu tym dziwnie przedstawia się sam *Sarbiewski*; myśl tam ukryta, dziwnie pasuje do reszty utworów, bo w odzie tój wzniosł się rzeczywiście poeta nad swój wiek i pojęcia ówczesne. Piękną jest także oda *jedenasta* do Najświętszej Panny Maryi, gdy *Jan Karol Chodkiewicz* zbudował jój kościół w *Krożach*; *dwudziesta czwarta* przekleństwo *Herodowi*... Lecz cóż wybierać i wyliczać? — wszystko tam jest piękno. *Sarbiewskiemu* nikt dotąd nie zrównał, a u p. *Syrokomli* czytają się tak mile, że nieprędko nam kto inny zastąpić go potrafi.

Księga *trzecia* liczy w oryginale *trzydzieści dwie* ody, z których opuszcza tłumacz *dwie*, a mianowicie *XIV Ad Honorem*, cum *Franciscus Barberinus sacra purpura ab Urbano VIII Pont. Max. ornaretur*, i *XVIII Laudes Fran. Card. Barberini*, z czego się sam w tomiku *piątym* (str. 254) usprawiedliwia (1). Z tłumaczeń dawniejszych znamy odę *czwartą* przetoloną przez *Puzynę* (2); *Naruszowicz* przetoczył *XIII*, *XX* i *XXI* (3); *Wiśniewski* zaś *Pijar* przetłumaczył *XVIII* (4). U *Załęskiego* znajdujemy *dwadzieścia*, a mianowicie: *I*, *II*, *III*, *IV*, *V*, *VI*, *VII*, *IX*, *XI*, (odpowiada w przekł. *Syrok.* umieszczonej pod liczbą *XVI*;) *XII*, *XIII*, (odpowiada w przekł. *Syrok.* umieszczonej pod liczbą *XII*;) *XV*, (odpowiada *XIII* u p. S.), *XVI*, (odpowiada *XIV* u p. S.), *XVII*, (odpowiada *XV* u p. S.), *XIX*, (odpow. *XVII* u p. S.), *XX*, (odpow. *XVIII* u p. S., znana jest czytelnikom *Bibl. Warsz.* z recenzji wyżej przywiedzionej, tom I. r. 1850,

Quem laetae citharis Plerides amant,
Laetum barbata Narvlam,
Laetum virginel semper ament chori.“
Haec dum sponte virentia
Vivent in teneri vulnere corticis,
Addiscent pueri tibi,
Addiscent factae carmina virgines:

Festo mox eadem die,
Dum glebam solidae lucis et igneas
Electri lacrymas legent,
Partiti geminis litora coetibus,
Alternis pueri tibi,
Alternis recinent carmina virgines.

(1) Odę *jedenastą*, oplewającą pochwały *Barberiniego*, tłumacz opuszcza w porządku i umieszcza pod liczbą *XVI*.

(2) Wedle przypisu *Załęskiego* oda ta tłumaczoną była także przez *Michała Kiełczewskiego*; nam nie jest znana.

(3) Z powodu dwóch opuszczonych u p. *Syrokomli*, noszą onej w oryginale liczbę *XXII* i *XXIII*.

(4) Dla tój samej przyczyny odpowiada w oryginale *XXtój*.

str. 562;) XXIII, (odpow. XXI u p. S.), XXV, (odpow. XXIII u p. S.) XXVI, (odpow. XXIV u p. S.) i XXVII, (odpow. XXV, u p. S.) Jak poprzednio tak i teraz śmiało może walczyć o prym przekład Załęskiego z obecnym, pod względem wierności. Na dowód przywiedziemy jeszcze jedną z krótszych, to jest *drugą*, do świętej Magdaleny oplakującej śmierć Chrystusa:

Ach Magdaleno! gdy widzisz zsiniałe
 Usta Chrystusa, i oblicze całe
 We krwi zbroczone, i zwiśnię ramiona:
 Wre wielka miłość wśród twójgo łona.
 Nikt cię nie pozna, zmieniałś się wiele,
 Nie masz już duszy w twém omdlałym cielem:
 Zniknęła białość twego czoła znana,
 Zniknęła gdziesis owa twarz różana,
 Zniknął i kolor jaki jaśniał wprzód,
 Śmierć tylko czarna zajęła jagody;
 Piersi już tylko czasem oddychają.
 Słabe i krótkie westchnienia wydają.
 Jednak nie będziesz (wierząc mi) na wieki
 Polewać izami swęj smutnej powieki;
 Bo dnia trzeciego wśród pierwszych promieni
 W wielką się radość twój smutek przemieni:
 Bo jeśli w dwóch dniach ciemność była wszędzie
 W trzecim podwójna za to światłość będzie.

P. Syrokomla inaczęj to oddaje, po części nawet myśl zmienia, co łatwo ocenić przez porównanie. (1) Oto przekład:

(1) Oryginał tak brzmi:

Cum tu Magdalena, lividam
 Christi caesariem, cum male pendola,
 Spectas brachia, pro! tibi
 Pectus non solitis fervet amoribus.
 Non es, qualis eras: tibi
 Non mens semianimis restat in artubus;
 Non fronti tenerae nives,
 Non vivax rosels purpura vultibus.
 Non notus superest color:
 Sed mors marmorels pingitur in gentis,
 Et vitae graecillis via
 Exill tacite spirat anhellu.
 Non, me si satis audias
 Plores perpetuum tristia: tertia
 Cum lucem revehet dies,
 Mutall referet munera gaudii,
 Nam quae sole caret duplex,
 Ridebit geminis tertia solibus.

Magdalenol coć się zdało
 Widząc bożą twarz zsiniałą,
 Ramiona zwiśte na drzewie?
 O pewnie tknięta żalobą
 Już nie byłaś sama sobą;
 Gdzie myśl błądzi sama nie wie,
 Zawędło twoje oblicze,
 I szkarłatu zbyły usta;
 Zbladłaś jak grobowa chusta,
 Zaskrzeplaś jak słup kamienia,
 I lekko tchnienie dziewicze
 W ciężkie stękanie się zmienia.
 Niezawsze żalem przybita
 Będiesz płakać Zbawiciela:
 Nim trzecia zorza zaświta,
 Już ci błysnie dzień wesela.
 Bóg dobry!—nigdy z żaloby
 Człowiek nie płakał trzy doby.

O innych odach w tój księdze zawartych da się to samo powiedzieć, cośmy w krótkości przy księdze drugiej wyrzekli, tojest, że wybór i wyliczenie piękności zbyt są trudne tam, gdzie wszystko jakową, a zawsze oddzielną piękność w sobie zamyka.

* * *

Trzy powyższe księgi stanowią tomik czwarty Przekładu poetów polsko-lacińskich i pieni lirycznych Sarbiewskiego. W tomiku następnym piątym, znajdujemy resztę utworów tego poety, tojest księgę czwartą, piątą (Epodos), zabawy leśne (Sylvudia), parę dzieł pośmiertnych, i trzydzieści ośm epigrammatów, nakoniec słów kilka od tłumacza.

Przystępujemy wprost do księgi czwartej.

Księga ta liczy w oryginale trzydzieści ośm ód, z tych pięć p. Syrokomla opuszcza, jak o tём na stronnicy 254 sam ostrzega (1). Niektóre z nich były już tłumaczone dawniej przez Naruszewicza, jak np. III (w przekładach Syrok. II), X, (u Syrok. IX), XV (u S. XIV), XIX (u S. XVII), XXXIV (u S. XXX), oraz przez Puzyńg, który wytłumaczył znowu IV, XII, XIV, XVII, XVIII, XX, XXII, XXIII, XXVII, (w tłum. Syrok. odpowiadają III, XI, XIII, XV, XVI, XVIII, XX, XXI, XXIII). Ksiądz Załęski nie ogłosił nie drukiem z przekładów swoich tój księgi, nie możemy więc tu wyliczyć jego pracy i zasługi (2).

(1) W ostrzeżeniu swém atoll pominał odę 1szą do rycerstwa polskiego, gdy poeta wracając z Włoch, ujrzał Karpaty. Cztery więc tylko właściwie wylicza tłumacz, tojest XVI, XXIV, XXV i XXXVIII.

(2) Obecnie dotąd żyjący, oświadczył nam, iż całego Sarbiewskiego przetłumaczonego w rękopiśmie posiada.

Między odami w tej księdze, znajdujemy dwie z polskich pieśni Kochanowskiego, przez Sarbiewskiego po łacinie oddane, to jest oda V (u Syr. IV) i XXXVII (u Syr. XXXIII). Posiadamy Kochanowskiego wydanie z r. 1611, i dziwią nas niektóre różnice w czytaniu; tak np. u Syr. oda IV str. 17 zwrotka 9 czytamy: *Wstawajmy!* czy nas półmiski trzymają? U nas: pieśń V księgi II str. 238 *Wsiadamy?* i t. d. Tamże w zwrotce ostatniej u p. Syrok. Ciesz się mię tym, Polak mądry po szkodzie, lecz jeśli prawda, i z tego nas bodzie; u nas jest:

Ciesz się ten tym, Polak mądry po szkodzie:
Lecz jeśli prawda, i z tego nas zbodzie.

Co wszystko nawet myśl trochę zmienia, a jest tylko winą niedopilnowania się w druku lub przepisywaniu.

Treść wierszy w księdze tej zawartych jest rozmaita: są tu i pochwały dla Rzymu, i sława polskich zwycięstw nad Turkami, i śpiewy święte na cześć Maryi i Chrystusa, i jeszcze treści poważnej z rozmaitych okoliczności przedmiot i natchnienie czerpiące. Trudno zastanawiać się nad niemi poszczegółe, boby to było zbyt szerokie studjum, przechodzące granice niniejszego sprawozdania.

Księga piąta, (Epodos) liczy dwadzieścia ód różnaitej barwy i treści. W tłumaczeniu opuszczoną jest oda VIII, *publicae Europae calamitates*, którą niegdyś przełożył Naruszewicz, za to dodane znajdujemy trzy inne ody, nieznajdujące się w wydaniu strasburskiem, a wzięte z wydania Naruszewicza (1757) i *Bohomolca* (1769). Niektóre są już tłumaczone dawniej, jak np. *czwarta* o dzieciątku Jezus na łonie Maryi, przez Twardowskiego; *piąta*, poeta korzy się u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, przez Naruszewicza; *dwunasta* (w oryginale XIII) do N. P. Maryi Częstochowskiej, i *trzynasta*, w oryginale XIV, opiewająca hold zacnemu domowi Łubieńskich przez Jana Albertrandego, oraz XVII (w oryginale XVIII) do Jakóba Zadzika, przez Nieborowskiego żołnierza. Wszystkie znajdują się przy wydaniu *Bohomolca*, lecz przekłady obecne daleko są udatniejsze pod względem dobitności wyrażen i samego języka.

Zabawy leśne (*Silviludia*) składają się z dziesięciu poetyckich utworów na cześć króla Władysława IV, łowami się zabawiającego: jest w nich dosyć poezyi, ale z drugiej strony rażą aż do zbytku palone kadzidla i pochwały, których autor Jezuita, nie szczędzi monarsze. Tłumacz słusznie zauważył, że Sarbiewski zawiele wyszafował skarbów poezyi na przedmiot dosyć pospoliczy (str. 197).

Z reszty dzieł pośmiertnych (*opera Posthuma*) niektóre tylko daje w polskim przekładzie p. Syrokomla. Charakterystyczny jest opis podróży

do Rzymu w r. 1622 odbytój i przygód jakich poeta doznał. Oto co sam o sobie i napadzie zbójców powiada:

A w lesie dziko, ciemno, i straszno jak w piekle.

Mimo ostrych wąwozów i wzgórków gromady,

Przegradzał rznącą ścieżkę wielki odłam skały;

Stare pnie i kamienie jakby sidła zdrady,

Przerażonym podróżnym drogę tamowały.

Przecież dążym odważnie, a żaden nie pyta,

Że zbójcy na rumakach tuż za nami jadą,

Zbrojny iskrzącym mieczem, lasowy bandyta,

Otoczył nasze przejście i stanął gromadą.

Spojrzałem, noże z pochew zabłysnęły wszędzie,

Biegłe ręce zbójcekie rwą się do oręża;

Owdzie strzelec uzbrojon w śmiertelne narzędzie,

Mierzy paszczę rusznicy i oko wyteża.

Wystrzelił, buchnął ogień z dymem i łoskotem,

Gwidnął ołów wyrwany z piekielnój czeluści,

I włos mi się najeżył, i zlałem się potem,

Piersz zaparta z przestrochu, ledwo oddech puści:

I przyskoczyli zbójcy z wejrzeniem ognistém,

Barbarzyńskimi słowy ich groźba zawrzała,

I dobyli sztylety i przeciągłym świstem,

Dają jakieś poznaki, sygnały czy hasła.

Chciałem się bronić ręką, ale ręka mdłała,

Patrzę wokoło siebie, i wóz bez obrony.

Wtém Mikołaj tajemne znaki mi podawa,

Widzę już oręż zbójcy ku niemużwrocony,

Uderza moje uszy jego jęk i łkanie,

Drgnąłem, jakby me oczy zalał strumień krwawy.

Mniemałem już usłyszeć ostatnie konanie,

Dzięki jednak niebiosom, to był krzyk obawy,

Wyrwałem się, skoczyłem, a tu obok puszcza,

Zda mi się chyżój wiatru, biegłem na bezdroże,

Kryjówka z gęstych liści, ledwo dzień przepuszcza,

Ciemny chróst moje ścieżkę ukrył w Imię Boże!

A tymczasem bandyta pastwił się zwycięzki,

Nasze srebro ubogie, ów metal zwodniczy,

Źródło na całym świecie nieszczęścia i klęski,

Wszystek poszedł opłacać haracz rozbójniczy, i t. d.

.....

Kończą epigrammata. W wydaniu strasburskiém naliczono ich 147 tłumacz daje nam w przekładzie tylko 38, z czego się usprawiedliwiają, tę robi uwagę, którą w zupełności podzielamy:

„Epigrammata Sarbiowskiego są wszystkie niemal w guście jezuitkim, gdzie myśl skoszlawiona nienaturalnemi retorycznemi figurami, siłi

się na dowcip naciągany. Na sam herb Chodkiewicza jest u Sarbiewskiego 38 epigrammatów, gdzie figurują gryfy i strzały. O św. Alojzym Gonzadze jest ich 15; nie podarowano tam oczom, twarzy, uśmiechowi, i lilii świętego; owdzie igraszka z imienia *Ludovicus*, tam naciągane, i rzec można trywialne ustępy o miłości Bożej: słowem epigrammata Sarbiewskiego są wyrazem psującego się smaku w jego epoce." (str. 231).

Przełożone przez Syrokomlę epigrammata, rozwijają rozmaite urywki, zawierające w sobie myśl, z pieśni nad pieśniami Salomona (*Canticum canticorum*), wyjęte. Szkoda, że szanowny tłumacz zamiast dawania tekstu łacińskiego Vulgaty, nie dał tekstu biblijnego Wujka. Niekażdy obeznany jest tyle z księgami starego zakonu, aby łatwo właściwe znaczenie mógł sobie wynaléć, a przez to ułatwić zrozumienie rozwinięcia poety. Przekład epigrammatów nie odznacza się szczególną wiernością, często nawet myśl w nich wprost przeciwna; np. epigrammat jedenasty (po łacinie 14):

Została twoim jeńcem, tyś został jój panem.

Chryste skuj mię miłością jak jeńca żelazem,

I raczysz zostać ze mną, lub iść ze mną razem. (1).

Niezrozumiałym jest także epigrammat następny 12 (po łacinie 16):

Wołasz „pragnę” nie napoi bezwodna opoka.

Miej za napój łyż gorące, co ci płyną z oka.

Jakież łyż ma pić Chrystus, czy te co jemu samemu z oka płyną, czy Magdalena chce dać łyż swoje?

Dość dziwny jest także epigrammat 13 (po łacinie 18), gdzie serce leci „*jak płomienna raca*”; czego bynajmniej nie znajdujemy w oryginalu. Większa liczba wszakże zasługuje, aby oddać należną sprawiedliwość za dobre chęci i pracę tłumacza.

Po epigrammatach następuje przymówienie się w kilku słowach od tłumacza, gdzie także wylicza opuszczone przez siebie inne utwory Sarbiewskiego, w wydaniu Naruszewicza i Bohomolca pomieszczone, i na tém kończy się tomik piąty Przekładów poetów polsko-łacińskich.

Lecz nie na tém koniec sprawozdania naszego; musimy albowiem dodać niektóre jeszcze rzeczy, które nam się w ciągu spisywania powyższych uwag nasunęły; i tak: przy księdze piérwszej napotykamy najwięcej przypisów, są one wprawdzie tłumaczeniem z komentarza przy wydaniu pijarskiém zamieszczonego, lecz przeto niemniej ważne i ciekawe;

(1) Tu *captivus eras illius, illa tui,*

Altera ne dubites, ego sum tua Magdala Christe:

Ergo trahas vel me, Sponse, vel ipse mane.

w innych księgach napotykamy także wiele trafnych uwag, a dodanie: *nota tl.* ostrzega nas, że są pomysłem samego p. Syrokomli. Podwaja się więc sama przez się zasługa szanownego ziornka, że nie wyłącznym jest tylko tłumaczem, ale zarazem i myślicielem o siłach własnego rozumu.

Co do oddania przekładów, takie jest nasze zdanie. Kuszono się już nieraz o przekład Sarbiewskiego, jednakże niezawsze szczęśliwie. Ze wszystkich dotąd znanych, a jest ich szereg niemały, tylko przekład Załęskiego góruje nad wszystkie wiernością i dobozem poetyckich wyrażań, ztąd w wielu miejscach przewyższa p. Syrokomlę, mianowicie tam, gdzie ten ostatni tylko piękne wysłowienie ma za sobą. W oddaniu po polsku Sarbiewskiego, Załęski bardziej jest tłumaczem, Syrokomla więcej naśladowcą. Przejąc się, przejąc się i przejąc się, to zawiele tego zbytniego przejęcia, bo wyszedł istotnie, czego się i sam tłumacz obawiał, kulawy przekład, a gdy węzeł zamiast rozwiązać, przecięto, gdy nie szanowano formy zewnętrznej, a nawet liczby wierszy, znik Sarbiewski. U Załęskiego widzimy autora łacińskiego tyle, że on łatwy tam do namacania. Syrokomla zostawszy sam sobą, wprawdzie stanął na czele, z przyjemnością i zadowoleniem może być czytany; lecz czasami, tylko pożyczając myśli od Sarbiewskiego, rozwija ją po swojemu, samoistnie i niezależnie od autora. Czyto więc ma być taki przekład?—wątpimy. Mniejsza o Tetys, mniejsza o Feba, lecz błogosławieństwo miastu i światu, to majestatyczne *urbi et orbi* nie znajduje się w Sarbiewskim. (Oda I, str. 22). Podobnych samoistnych pomysłów bardzo wiele; nie ubliżają one pocie łacińskiemu, lecz też nie hędąc jego własnością, nie mogą zwać się tłumaczeniem. Usiłowanie jednak i zasługa p. Syrokomli są zawsze znakomite, za co mu wszyscy literatury ojczyściej miłośnicy, należne przyznają hołdy.

Stanisław Lisowski.

Przedstówie do tomu drugiego: Słownika malarzów polskich, służyć mające za odpowiedź na niektóre krytyki dzieła tego.

Po wyjściu tomu pierwszego pracy obecnej, objawiły się wkrótce liczne jego recenzje, rozbiory; ozwały się one z wszystkich głowniejszych krajowej oświaty ognisk: z Warszawy, Krakowa, Poznania, Lwowa, Wilna. Ogłosili swe zdania i bliżsi przedmiotu znawcy: pp. Sobieszczański, Pawlikowski, Kraszewski, i inni literaci i osoby bezimiennę. Takowe ogólne zajęcie się dziełem, staje mi się jawnym

dowodem, iż trafić musiało w żywotną stronę dzisiejszych dążeń i zaprażeń świata naszego naukowego. Korzystać z światłych uwag a sprawiedliwych dostrzeżeń, celem udokładnienia mej pracy, za pierwszy przyjąłem sobie obowiązek; wyrzeczone o niej tyle pochlebne sądy, poczytując jako zachęty ku usilności dalszej, były też dla mnie w tém dążeniu żywo działającym bodźcem. Że w zbiegu zdań różnostronnych zdawało mi się upatrzeć, iż nie dla wszystkich zarówno jasno okazuje się dzieła główne zadanie, a ztąd w rozwinięciu onego przyjęte i ściśle przestrzegane zasady; co więc o tém treściwie w przedmowie do tomu pierwszego wspomniane było, to tutaj rozobszernić nieco uważam rzeczą potrzebną.

Powiedziałem w przedmowie, że nabyłem przeświadczenie, iż w kraju naszym sztuki nadobne, a w szczególności malarstwo, zdawna było cenione, że wiele szacownych tworców onego posiadaliśmy, że nie tylko cudzoziemscy artyści do nas chętnie przybywali, lecz że i krajowych niemało się usposabiło. Od zdania takowego nie odbiegam bynajmniej, owszem im głębiej postępowalem w dochodzeniach, tém twierdzenie to stało się dla mnie dowodniejszém. Jakoż w odległych już wiekach objawia się u nas malarstwo, zamki monarsze, pałace możnych, świątynie Pańskie mnogo przyozdabiające. Już Władysław Jagiełło trzymał na swym dworze malarza Jakóba Wężyka; Kazimierz Jagiellończyk zatrudniał ulubionego sobie Jana z Nissy, Jana Wielkiego. Za niego żył i w Krakowie pracował słynny Witt Stoss czyli raczej Stwoss zowiący się, zarówno zawołany snycerz, rzeźbiarz i malarz. Pod te czasy istniejący zdawna w Krakowie cech malarski, otrzymał urządzenie i ustawy, wzorem podobnych zgromadzeń miast zagranicznych. W wieku jeszcze XIV znane było już w Polsce, i z wysoką biegłością wykonywane, malarstwo na szkle. Tak między innymi, po dziś dzień uroczą zajmujące oko znawcy szyby kościoła P. Maryi w Krakowie, są zabytkiem czasów Kazimierza W. Podobnież w kościele św. Katarzyny XX. Augustyanów w Krakowie, fundacyi Kazimierza W., dotrwały do naszych czasów obrazy wypalane na szkle, wpośrodku okien krużganków kościelnych pomieszczone. Kilka z nich ztąd wyjętych, przed dwudziestu laty widziałem u p. Badeniowej w Pociosce pod Krakowem; dwa inne, a ostatnie, dostały się później do zbiorów moich. Z tych jeden wyobraża Trójcę Świętą, drugi Chrystusa Pana na krzyżu; na obrazie tym jest napis: *Jesus Nazarenus Rex Judeorum*, kształt zaś głosek tego napisu odnosi się niewątpliwie do XIV wieku. Malarstwo miniaturowe przyozdabiające księgi rękopiśmienne, w XV i na począ-

tku XVIgo wieku z znamienitą zdolnością wykonywano w Polsce; świadczą o tém dochowane kancyonały czyli psalterze kościelne, świadczy rękopism pisarza miejskiego krakowskiego Bema i kilka innych. Ze prace te podejmowali krajowcy, nie ulega to wątpliwości: roku 1459 Stanisław Rusek z Bodzewa, r. 1460 Jan z Kościany, i t. p. W wiekach XIV i XV wychylają się już z zaciemnień przeszłości nazwy malarzów krajowych; w wieku następnym XVI szereg onych znacznie staje się zasobniejszy. Zygmunt I sztuk wielki miłośnik i znawca, sprowadzał biegłych w każdym zawodzie artystów z Włoch i Niemiec. Jan Jakób Caraglio odlewał mu medale, rzeźbił na kamieniu drogim; Jan Marya Mosca wykonywał dzieła medalierskie i rzeźbiarskie; w tych ostatnich pracował Jan z Sienny, Bartłomiej Florentczyk zarazem budowniczy, Mikołaj de Castiglione i kilku innych Włochów; Melchior Bayr, tudzież Albert Glim, raczej Hans Klimm zowiący się, zdolni goldschlegerowie czyli złotnicy norymbergscy, odrabiali królowi w srebrze wspaniałe ołtarzowe obrazy; Jan Dürer brat Albrechta zdobył mu malarską pracą zamek krakowski; Sucsú z Norymbergi obrazy wzbogaciły główniejsze Krakowa kościoły. Używał też król niemało i własnych krajowych malarzy, z których kilku tytułowali się nadwornymi, co wyższej ich zdolności domniemywać się upoważnia. Panowanie Zygmunta Augusta pod względem sztuk, było tylko przedłużeniem rządów ojcowskich. Król ten szczególniejsze miał zamiłowanie w kamieniach drogich i rzeźbionych, w kunsztownych wyrobach ze złota i srebra. Arcy zasobny, a do podziwu bogaty gabinet jego takowychto kosztowności, oglądał i opisał nuncyusz papieżki w Polsce r. 1560 Buongiovanni biskup Kameryny, przydając, iż znalazł skarb ów króla polskiego przewyższający wszystkie w tym rodzaju weneckie i papieżkie dostatki. Opis ten wielce zajmujący wydrukował po włosku Seb. Ciampi (Bibliogr. critica), w wyciągu zaś po polsku zamieścił J. Albertrandi w życiu Zygmunta Augusta (Dziennik wileński z r. 1818, I, 546—548). Posuwając takowy pogląd w czasy następne, widzimy ciągle niepośledni na ziemi naszej rozwój malarskiej sztuki. Wazowie sprzyjali mu wielce i Zygmunt III sam artysta amator, sprowadzał skwapliwie z Włoch obrazy, zdobył niemi komnaty swych zamków, domy Boże. Dolabella Tomasz, Danckerts de Ry, Troschel Jakób, przez niego osiedleni zostali w Polsce. Zamiłowanie to ojca, dzielili pomimo wojennych zajęć następcy, synowie. Król Sobieski lubił szczególnie malarstwo, przepelniał jego tworamii mnogie swe królewskie siedziby, trzymał na swym dworze licznych bieglejszych artystów, jużto cu-

dzociemskich, już swojskich: Altamonti, Desportes, van Kessel, Roman de Hooghe, Jerzy Eleuter Semiginowski, Tricius czyli Trzycki, Jan Rejzner, Bazyli ze Lwowa, Samuel, pracowali dla niego. Nowsze odkrycia objaśniają, że w Willanowie założył nawet król Jan III szkołę malarzką, w którejby młodź polska sposobić się mogła. Królowie Sasi, tak wielcy malarstwa u siebie zwolennicy i krzewiciele, lubo pod tym jak i pod wielu względami innymi, wyłącznie Saxonii swoje jąprzysługający, naprowadzali przecie i do Polski artystów, a dzieł tychże choć mimochodem i jakby od niechcenia niemal w Polsce pozostawili. Za ich rządów, bez ich atoli wpływu, uzdolnili się w sztuce Koniec czyli Kuntze, Czechowicz, Piersch, Albertrandi. O zasługach pod względem sztuk, a w szczególności malarstwa w Polsce króla Stanisława Augusta, jako rzeczy bliżej i powszechnie wiadomej, zbytecznie byłoby się rozszerzać. O innych sztukach przemilczam, bo nie tu miejsce nad nimi się rozwodzić; dodam tylko, że medalierstwo od czasów Zygmunta I aż do panowania ostatniego, na równi stało z tém, co w niem najokazalszego wydawała Europa. Dzieje tej sztuki u nas zbadane są, i znane dobrze, bo téż i pomniki onej dochowały się niezatraczone. Wartując księgi dziejów ojczystych, paniełtniki i różnoczesne kraju opisy, znajdujemy po wszystkie czasy domy Boże, gmachy monarsze i możnych panów mieszkania, obok przepychu najrozmaitszych przyozdobień, zapełnione malowaniami, obrazami czyto najslawniejszych mistrzów z obcych krajów skrzętnie zakupywanemi, czy téż artystów w kraju osiadłych lub weale rodowitych Polaków; wizerunki rodzinne ważne wpośród nich zajmowały miejsce. Wielu panów polskich mieli swoich malarzów nadwornych, już z zagranicy sprowadzonych, już krajowców, a z tych ostatnich niemal winni byli usposobienie swe opiece i wsparciu takiehto sztukę miłujących panów. W czasach nowszych, po wielu miejscach tworzone nawet zupełne obrazów galerye. Też same atoli dzieje ojczyste uczą nas z drugiej strony, z jakiehto przyczyn, jak i kiedy wszelkie owe domowe wspaniałości runęły, i obce napady, wojenne pożogi, ogień, rabunki, zabory, zamieniły za czasem większą część okazałych, bogactwem świetniejących gmachów, w nagie zwałiska; pozostały z nich tylko opustoszone ściany, często same gruzy, tak, że tego czém były dawniej, tęskne jedynie dotrwało wspomnienie. Czas, upadek majątków, niedbałość ludzka, nieświadomość, wyprzedaż za granice, dopełniły reszty. I temi sposoby zatracił się niejeden sztuki zabytek, niejeden znamienity onej pomnik; dobrze kiedy gdzie w zapomnieniu

czy poniewierce, odwiecznym pyłem i pleśnią pokryty, dotąd spoczywa. Jeżeli rzadkim wyjątkiem dochowały się gdzieś dawnej owęj wielkich domów zamożności zasoby; jeżeli kościoły, jako przybytki święte, a przeto mniej lupieżone i mniej na straty narażone, okazują jeszcze dziś cokolwiek z ubiegłych czasów cenne pozostałości: wszystkoto zbyt słabą jest częścią tego co było dawniej, przeszłość odgadywać tylko pozwalającą. Obok tak uszczuplonych dotykalnych zasobów, dodajmy, że szczególnym w literaturze rodzimój zdarzeniem, w żadnym onęj okresie nie uda się natrafić na jakiebądź dokładniejsze opowiadanie pod względem sztuk pięknych krajowych, żadnemu z piszących nie przyszło na myśl skreślić jakową zasobniejszą wiadomość o współczesnych sobie w kraju artystach i ich pracach. Co dziwniejsza, że tego nikt nie przedsięwziął nawet w epoce Stanisława Augusta, tyle dla sztuk nadobnych znamienitęj i niemi zajmującej się, a tyle piśmiennęj!

W takimto składzie okoliczności przychodzi dziś badaczowi śledzić przeszłość malarstwa krajowego. Nie wstępuje on do gotowych galeryj, do zbiorów umiejętnem a wieloletniem staraniem nagromadzonych; szukać mu tylko pozostaje rozpierzchle po kraju, tu i owdzie jakby przypadkiem dochowane téjto przeszłości pomniki, schwytywać jakie takie ślady w piśmiennictwie krajowém, natrafiać się dające w aktach miast i t. p. ubocznych źródłach, wreszcie składniejsze, lubo zbyt często nader błędne w obcej sztuk pięknych literaturze, wspomnienia. Praca takowa przechodzić musi widocznie, co do odleglejszych zwłaszcza epok, na pole antykwarstwa, archeologii. Tutaj każdy szczegół obojętny być nie może: czyto zebranie dat, czy wiadomości potocznego życia, czy posiadana gdzie własność, kamienica, czy ślad podjętych prac i zatrudnień; każdy takowy szczegół ma swoją względną wartość, bo rozjaśnić może w następstwie nowe wykrycia, ułatwić one, doprowadzić do wiadomości ważniejszych, dokładniejszych. Bardzo błędnym był tedy w widzeniu mojem zarzut, iż zapuszczałem się z pewną skwapliwością w wszelkie tego rodzaju napozór czeze i drobiazgowy wiadomości, co do czasów odległych, a osób częstokroć zaledwie dziś z imienia wiadomych, i z zapomnienia obojętnęj przeszłości, na skutek takiehto poszukiwań, wydobytych.

Z bliższej rozwagi położenia rzeczy co do badań sztuki malarzkiej w dawnęj Polsce, zdawało mi się, iż obranie w nich kierunku więcéj historycznego, było nateraz właściwsze. Nie pomijałem wszakże dlatego i krytycznego poglądu, gdzie i kiedy tylko można było, wskazując poszczególnych artystów szkoły i rodzaj, stopień uzdolnienia,

dział ich zalety i wady; w sądach takowych zachowałem się wszelako oszczędnie. Krytyka estetyczna wtedy tylko staje się pożyteczną, gdy wypływa z bardzo dojrzałego znawstwa; inaczej najnic przydatną nie będzie, owszem do zbalamucenia wyobrażeń tylko doprowadzi. Nie jest ona bynajmniej tak łatwą, jak się to z pozoru wydawać może; zrywać się téż do niej nie każdemu należy. Do gruntownego sądzenia potrzeba tu, jak się rzekło, wysokiego znawstwa, a tego warunkami są smak wrodzony, delikatność czucia, wielkie zamiłowanie sztuki, przytém zasadnicza znajomość teoryi i techniki sztuki, jéj historyi; nadto wielostronne widzenie, wpatrzenie się w celniejsze różnych czasów i rodzajów twory, którento dopiéro zaprawieniem oka, smak staje się czystym, zdanie ustalone i pewne. Na powyższych zasadach oparta krytyka, poważna, bezstronna a życzliwa, wielce pożyteczną jest i dla postępu sztuki saméj, i dla rozwoju jéj zamiłowania. Ale takiéjto w wyższém onéj rozumieniu estetycznéj krytyki co do plodów malarstwa krajowego, nie mieliśmy przedtém i nie posiadamy dotąd wcale; lubo, w miarę zwłaszcza rozszerzenia się zamiłowania sztuk nadojnych, spodziewać się trzeba, że i ona zrodzi się u nas za czasem. Oceniając jéj ważność a zarazem trudności, wypadło mi być w niej wielce oględnym; tak téż postępowałem, z drugiéj strony zwróciwszy całą usilność ku nagromadzeniu faktów, których wydobyć na jaw z niepamięci i zagłady czasów, stanowczém dziś powinno być staraniem.

W końcu każdego żywota przytoczone są jako prosta wskazówka, poprzednio o artyście drukiem podane wiadomości. Nie idzie za tém bynajmniej, żebym się na nich wyłącznie opierał; owszem często-kroć w inném zupełnie świetle, a zwykle znacznie zasobniej, przypadało mi rzeczy wystawiać. Przekonać się o tém będzie mógł łatwo ciekawszy czytelnik, na co zwrócić tylko uwagę niechaj mi tu będzie wolno.

Dolączone wizerunki przedstawiają celniejszych artystów lub nauczycieli szkół, którym malarstwo rodzime uzdolnienie wielu krajowców, rozszerzenie znajomości i zamiłowania sztuki zawdzięcza. Stopień zasługi kierował w wyborze, a postacie znane, czy dotąd nieznanne, zarówno tu zamieścić należało. Żałuję, iż nie mogłem rycin takowych przyłączyć więcéj, nie chcąc zwiększać przez to zbyt wielkością dzieła. Wszystkie portrety zdejmovane były z oryginałów, a wielce się myli pan S. Morawski zarzucając, iż wizerunek Lexyckiego jest idealnym, bo z niewątpliwego oryginału, później zupełnie niemal zniweczonego, przerysowany został.

Poczynione mi były niektóre poszczególne zarzuty, zupełnie przecie bezzasadne, a zatem niesłuszne. Odeprzć je należycie nie byłoby mi trudno, atoli do podobnej polemiki nie czuję się wcale pochopnym; wolę więc obwinienia takowe pominąć zupełnym milczeniem, polegając na bezstronnym sądzie czasu i większości światłych czytelników.

W dalszym ciągu poszukiwań materyałów, dzieje malarstwa krajowego wyświecić mogących, zwróciłem osobliwsze staranie ku zbadaniu akt miejskich warszawskich, tak, jak to poprzednio z aktami miasta Krakowa uskutecznione zostało. W pracy tej arcy mozolnej, przyjsć mi zechciał w pomoc uczony archeolog warszawski p. Stanisław Lisowski, któremu całą wdzięczność zapisać tu jest dla mnie miłym obowiązkiem. Owocem takowego ksiąg miejskich warszawskich przeglądu, dokonanego pilnie i sumiennie, było wykrycie wielu wcale dotąd nieznanych nazw artystów, sprawdzenie czy udokładnienie wiadomości innych; ztąd takż nabyliśmy przeświadczenia, że w Warszawie nie istniał nigdy, jak w kilku drugich miastach, cech czyli zgromadzenie malarskie, ani samoistne, ani nawet w połączeniu z inną jakową kongregacją. Ciekawszym źródłem wiadomości okazała się tu lustracya miasta stariej Warszawy, w r. 1754 z deputacyi prezydenta miasta szlchetnego Jana Felixa Dulfusa, przez Jerzego Józefa Dawidsona gminnego dokonana. Wykaz ten mieszkańców znany jest w dwóch exemplarzach, z których jeden znajduje się w głównym archiwum królestwa polskiego, przy aktach dawnych miejskich, księga 940, a nosi tytuł następujący: „Lustracya miasta J. K. M. rezydencyalnego stariej Warszawy z deputacyi szlchetnego Jmci Pana Jana Felixa Dulfusa prezydenta miasta tegoż, to jest ile należy pod jurysdykcyą szlchetnego magistratu kamienie, dworków; i domostwów, gospodarzów, co za ludzie, czém się bawią i co za professyi są, wiele służących u nich y silla dzieci mają, aby szlchetny magistrat widzieli uczynić sprawiedliwy między każdym ułożenie podatku czyto publicznie, czyto prywatnie tak bogatym, jako y ubogim; przeze mnie lustrowano i opisano, mensis Junii Anno 1754 Jerzego Józefa Dawidsona G. M. S. W. (gminnego miasta Stariej Warszawy).” Exemplarz drugi, takż ręką Dawidsona spisany, bez daty i tytułu, poprzedzony dostrzeżeniami meteorologicznymi, robionymi od r. 1755 do 1762, i późniejszymi dodatkami opatrzone, dostał się był do rąk Magiera znanego meteorologa warszawskiego, który go znowu wielu ciekawszymi przypiskami i objaśnieniami zasilił. Ten drugi exemplarz nabył następnie uczony zbieracz p. Karol Bayer w Warszawie, który mi go

łaskawie do użytku powierzyć zechciał. Bardzo ważnym tego rodzaju źródłem, stał mi się jeszcze inwentarz ruchomości po śmierci Józefa księcia Sapiehy krajczego lit. pozostałych, r. 1792 sporządzony, który w oryginale z przyjaznej uczynności Alexandra hr. Przezdzieckiego otrzymałem. Spis ten ma tytuł jak następuje: „Regestr ruchomości wszelkich przez J. O. księżnę Jmę Teofilę z książąt Jabłonowskich Sapieżynę, krajczynę lit. zaprzysiężonych po zejściu męża w roku 1792. Pałac wielki wewnątrz i zewnątrz z rzeczami, meblami, portretami w pokojach i skarbach znajdującymi się. Niemniej skarbiec w Janowce będący. Wszelkie zabudowania, ogrody, altany etc. etc. opisane w roku 1792“. W końcu wykaz ten podpisany pod datą 31 października 1792 r. przez żonę zmarłego księcia Sapiehy, księżnę Teofilę z książąt Jabłonowskich, a zaprzysiężenie jej rzeczonoego inwentarza urzędownie poświadczone. Inwentarz takowy objawia posiadanie przez zmarłego księcia Sapiehę bardzo znakomitego zbioru obrazów, w którym obok celnych dzieł cudzoziemskich, znajdowały się także mnogie prace artystów krajowych; jest on więc nowym niezaprzeczonym dowodem, jak dalece u nas przedmioty sztuk cenione i obficie gromadzone bywały. Takie to wykazy czyli inwentarze domowe, po różnych miejscach i rodzinnych archiwach przechowywać się mogące, nieskończenie ważnym są źródłem dla badacza przeszłości krajowej w ogólności, a niemałe rzucić mogą światło na zabytki rodzime sztuk nadobnych; są one nieraz najżywotniejszym obrazem owęj to domowej przeszłości naszej. Z tego powodu zwrócić na nie wypada uwagę posiadaczy, życząc, by ochronione od poniewierki czy wydobycie z zapleśniałych składów, ku naukowemu użytkowi zwracane być mogły.

Na końcu tego tomu zamieszczone są, jako materiały do dziejów sztuki w kraju naszym: 1) Ciąg dalszy ustaw cechu malarzy w Krakowie; 2) ustawy bractwa malarskiego w Poznaniu; 3) ustawy podobnego zgromadzenia we Lwowie; 4) postanowienie dla malarzy na szkle czyli sklarzy warszawskich, którzy wraz z stolarzami i tokarzami, jeden cech składali w Warszawie.

Oznajmić winienem, że tom IIIci a ostatni obecnego dzieła, oddany zostanie do druku niezwłocznie; przy zakończeniu Słownika, obejmować on będzie bardzo mnogie dodatki: już to uzupełnienia wiadomości o artystach poprzednio przywiedzionych, już życiorysy wcale nowe.

E. Rastawiecki.

ROZMAITOSCI.

Dopelnienie wiadomości, zawartych w dziele wydaném w Krakowie r. 1850, pod tyt.: Dawne zabytki miasta Krakowa i t. d., przez Ambrożego Grabowskiego.

Do stronnicy 23. Piérwsze ślady postanowienia straży bram krak., już się pod rokiem 1414 dają spostrzegać; a w roku 1422 już są wymienione bramy i baszty, do których rajcy krakowscy wyznaczili po dwóch, trzech lub czterech mieszczan imiennie powołanych, z nazwą: *Capitanei super turres*. Te zaś są wszystkie siedm bram (pobocznej wtody jeszcze nie było), tudzież te baszty: *Turris retro Iherlem* (bursa Jeruzalem); *turris judeorum retro S. Stephanum*; — *in sequenti turri*; — *in turri cum erker* (z wystawą); — *in turri nova circa salva S. Floriani*; — *retro Hospitale*; — *in turri antiqua prox. sequenti*; — *in turri nova*; — *off dem eckechten torme*; — *retro balneum arenae*.

* * *

Stron. 37. Prostując mylność oznaczenia jój miejsca, położenie bramy żydowskiej już teraz dokładnie oznaczyć mogę. Była ona oddzielną od furtki św. Anny, i stała naprost ulicy jeszcze teraz zwanój Żydowską, za kościołem św. Macieja, lecz późniój zagubiona. Nie wiadomo z jakiego powodu ulicę tę w wieku XVm zwano po łacinie: *Platea speculorum seu judeorum*, a po niemiecku *Spiglergasse*, (*speculum*, *Spiegel*, zwierciadło).

* * *

Stron. 46. Nieznana jest okoliczność, z jakiej OO. Dominikanów krakowskich, w wieku XVym i następnym zwano Paulinami. Oto kilka na to dowodów: R. 1429: *das haus gelegen im Grunde*, (miejsce w Krakowie, którego nazwa teraz zapoimniana), *an der Pauter mauer*.

Roku 1440, Hanus Bomgart zapisał w testamencie kwotę pieniężną *czu den Pawlern der Kirchen czu der heil. Dreyuelligkeit alhy. czu Cracow.* Roku 1441. *Der erbare her Jacobus, Prior des Clostirs der Pauler czu der heil. Dreyfaldikeit, hy in Cracow.*, imieniem całego konwentu zezwala, aby wodociąg przez ulicę Szeroką idący, mógł być prowadzony przez cmentarz św. Trójcy. *Der Paulen torn* była haszta przyległa klasztorowi OO. Dominikanów, o której posiadanie rajcy krakowscy z konwentem długi spór mieli.

* * *

Stronnica 72. Już na początku wieku XVgo. Kraków co do zewnętrznego kształtu musiał być fortecą, kiedy wewnątrz zaprowadzone były środki obrony, bo roku 1421 czyniony był spis mieszczan, mających obowiązek zamykania łańcuchami ulic: *sequuntur hi, qui habent seras ad catenas in plateis*; i było tym sposobem ośm ulic, niekiedy podwójnie zamkniętych.

* * *

Stronnica 83. Rewizya zapasów oręża, przyborów wojennych i uzbrojenia cechów krakowskich, którą odprawili rajcy r. 1427:

Zlotnicy mają 2 zbroje (*panczer*), 2 puklerze (*tartschin*), 1 szyszak (*eysenhut*)... Mić powinni: 6 pancierzów, 6 strzelb (1), 10 cepów (*flegil*), 6 tarcz i 6 szyszaków.

Kuśnierze. Mają 6 tarcz, 6 szyszaków.... Mić powinni: 10 pancierzów, 10 szyszaków, 10 cep, 6 oszczepów (dzid), 4 strzelby.

Kowale. Mają 8 szyszaków, 1 pancierz..... Mić jeszcze powinni: 2 panczerze, 4 strzelby, 6 tarcz i 10 cepów.

Garbarze. Mają 8 pancierzów, 10 szyszaków, 1 przyłbice (*haube*), 11 tarcz, 2 strzelby, 2 pary *vorstellen* (?), 7 par *museysen* (?).... Mić powinni: 10 pancierzów, 10 strzelb, 10 cep, 6 oszczepów.

Siodlarze. Mają 5 szyszaków, 3 tarcze, 2 zbroje (*platen*).... powinni mieć: 2 panczerze, 2 strzelby, 6 cep.

Kramarze. Mić powinni 5 pancierzów, 5 szyszaków, 5 strzelb, 6 oszczepów, 6 cep.

Paśnicy. Mają 4 panczerze, 3 przyłbice, 4 szyszaki, 1 tarczę.... Mić powinni: 4 strzelby, 6 cep.

(1) Wszędzie, gdzie w tym spisie wyrażone są strzelby, w księdze nro 1536, str. 227, pisane jest *hantbochsen* lub *bochsen*.... Czy to ma znaczyć ruśnicę, czy też kuszę ręczną, Ink?—wyjaśnić nie mogę. W jednym z dzieł nowo z druku wyszłych, wyrzeczone jest: „Pod koniec epoki Piastów, zjawily się u nas armaty 1 ręczne samopały”; co zdaje mi się jest za-wczesną datą wprowadzenia do nas broni ognistój.

.....Mają 4 szyszaki, 1 kuszę (*armbrost*), 2 tarcze..... Mićć powin-
ni 6 cep, 2 strzelby.

Malarze, szklarze i goldslagerowie. Mićć powinni: 2 pancerze,
2 strzelby, 4 cepy, 2 szyszaki.

Białoskórnicy. Mają 2 zbroje, 3 pancerze, 2 szyszaki, 4 tarcze.....
Mićć powinni jeszcze 2 pancerze, 3 szyszaki, 10 oszczepów, 4 strzelby.

Sadelnicy. Mają 2 pancerze, 5 szyszaków, 3 tarcze..... Mićć po-
winni: 3, pancerze, 2 strzelby, 6 cep.

Nożownicy. Mają: 10 szyszaków, 6 pancerczów, 10 przyłbic, (*hau-
ben mit gehenge*), 10 kirysów (*brost-bleche*), 4 oszczepy, 4 tarcze..
Mićć powinni 2 strzelby.

Barchannicy (Wollenweber, może sukiennicy). Mają 6 pan-
cerzów, 9 szyszaków..... Jeszcze powinni mieć 4 cepy, 4 dzidy.

Konwisarze i mosiężnicy. Mają 1 pancerz, 1 szyszak... Mićć po-
winni: 3 pancerze, 3 szyszaki, 4 strzelby, 6 oszczepów.

Piekarze. Mają 9 pancerczów, 9 tarcz (*schilde littische, litowskię*),
3 szyszaki, 1 przyłbicę, 2 zbroje.

Rękawicznicy, Huntschuster. Mają 2 pancerze, 1 schorc (?), 3
pary *vorstellen* (?), 1 kuszę, 2 szyszaki, 1 tarczę, 3 kirysy..... Mićć jeszcze
powinni: 4 strzelby.

Rymarze. Mają 2 pancerze, 3 szyszaki, 2 tarcze... Mićć powinni 4
pancerze, 2 strzelby, 6 oszczepów.

Lucznicy, Bogner. Mićć powinni: 2 pancerze, 2 strzelby, 6 osz-
czepów.

Krawcy. Mają: 12 pancerczów, 16 szyszaków, 10 tarcz..... Mićć
jeszcze powinni: 6 strzelb, 10 cep.

Szewcy, Schuwirte. Mają 8 pancerczów, 14 tarcz, 12 szyszaków,
1 małą przyłbicę, 1 pół kirysie.... Mićć powinni 10 pancerczów, 5 strzelb,
10 oszczepów, 10 cep.

Miecznicy. Mićć powinni: 2 pancerze, 5 strzelb, 10 cep, 3 tarcze,
2 szyszaki.

Kapelusznicy, Hutter. Mają 4 zbroje, 4 szyszaki, 2 pary *hancz-
ken* (?)..... Mićć powinni: 2 pancerze, 4 strzelby, 4 tarcze, 6 cep.

Solarze, Selczer. Mają 2 szyszaki, 4 tarcze.... Mićć powinni 10
cep, 6 oszczepów, 4 strzelby.

Kaletnicy. Mićć powinni 2 szyszaki, 8 cep, 8 oszczepów.

Piowarowie, Melczer. Mićć powinni: 10 cep, 4 tarcze, 2 szyszaki.

Rzeźnicy. Mićć powinni: 8 pancerczów, 8 *lepkin* (?), 4 strzelby.

Stron. 100. Oręż i sprzęty wojenne, jakich u nas używano w XV wieku. Roku 1440, Jan Barfath z Opoczna odebrał z zastawu, tu w Krakowie, pomiędzy innemi rzeczami te przedmioty uzbrojenia: *eyn pan-czir, eyn swerth, blechhenczen, czwe czolner, eyn brostblech, eyn bogen mit eyne Kachir und pfeile, eyn flegil.* Trudno teraz dojść, coby niektóre z tych nazw oznaczały.

Roku 1573. Za urzędu pp. starszych Jana Goleniowskiego i Stanisława Różany, we spółek ze wszystką bracią cechu zupełnego, na cześć królowi Jmć polskiemu i pp. rajcom krakowskiem ku poczciwości, i cechowi swemu iglarskiemu; kupilichmy zbroję i szyszak do niej za 6 złotych. Z czego niechaj będzie Panu Bogu na wysokości wieczna chwała.

* * *

Stron. 116. Rzeczą jest niewątpliwą, iż obrona Krakowa, jako twierdzy, oraz strażnicy skarbów i klejnotów koronnych, w dawnych wiekach na samych jego tylko polegała mieszkańcach; a nawet w późniejszych czasach nie widać, aby tu inna siła wojenna krajowa miała stanowisko.... Zgodnie więc z tym obowiązkiem, rajców było staraniem, aby zasoby obrony w należytych były do potrzeby stanie, i ztąd zapadła w roku 1443 uchwała, téj treści: „Starsza i młodsza rada postanowiła, aby w każdym roku uczyniony był porachunek, w którym rajcy (dozorecy zbrojowni miejskiej) przeszłoroczni, okazać mają następcom wszystko to, co dla obrony miasta przysposobione zostało, jakoto: strzelbę (*pixides*), prochy, kusze, pociski (*telu*), i inne wojenne potrzeby.... Również uchwalono jednomyślnie, aby w każdym roku było kupione saletry za grzywien 30, oraz pocisków (baltów, czy kul?) za groszy 56.... W każdym także roku przykupione być mają od Pyschezala dziesięć strzelb (*pixides*), pilnując tego, aby miasto w rzeczach obrony pomnożenie brało.

* * *

Stron. 117. Trudno teraz z pewnością rzec, co mogą oznaczać nazwiska *Bochsenmeister*, lub *Buchsenmeister*, *pixidarius*, czyto był puszkarz (artylerzysta), ludwisarz czy ruśnicarz?, ale mężów tego zawodu już akta miejskie w odległych czasach wykazują.... R. 1412: *der strenge Ritter her Michel Bochsenmeister.* Roku 1423: *Claus Ber pixidarius.* Roku 1440: *Nicolaus Buchsenmeister monetariusque*, albo *Niclas Buchsenmeister der Moncer.* 1443: *Clement Bochsenmeister*, posiadacz domu w ulicy Sławkowskiej. Roku 1482: *Nicolaus pixidarius* i inni.

* * *

Stron. 119. Domysł mój, że Michał Otten odlewacz dzwonów, umieścił cyfrę swą literę O. w drzewkach balustrady przed wielkim ołtarzem w kościele Panny Maryi, może się pokaże mylnym.... Jestto lew, połową wzniesiony nad mur, trzymający w łapach kółko lub obręcz. Może to jest Prawdzic, herb którego z możnych panów, jeśli się tenże datkiem jakim do sprawienia tój balustrady przyłożył, co może poszukiwania dalsze wyjaśniać.

* * *

Stron. 125. Łucznicy, *dy Bogner*, robiący łuki, już w wieku XV w Krakowie rękodzielo swe prowadzą.... Są i osobni rzemieślnicy, którzy się trudnili wyrobem sajdków, kolezanów, jak np.: roku 1432, *Jacob Kachirmecher*; roku 1449 *Vincentius Pharetrarius*, rajca kaziemierski.

* * *

Stron. 130. Szacunek broni z roku 1431.... Pancerni oszacowany był grzywien 4. *Czwey lithnische schilde* (litewskie tarcze, puklerze), *p. XII grosch. Czwey par blechhanczken p. XII grosch. Czwey swert*, (miecze, palaszo), *p. XVI grosch. Ein flegil* (cepy) *czwey grosch.*

* * *

Stron. 131. Platnerze robiący zbroje, szyszaki, których zwano *Lorifces*, *Thorifces*, po niemiecku *Plathener*, *Helmsmed*, już w Krakowie w pierwszych latach wieku XVgo zamieszkiwali, jak np.: *Jorge platner*, *Stenczil Helmsmed* w roku 1412.

Do poczetu sług dworu królewskiego za Zygmunta Igo należał i strzezienny. Roku 1543 był nim *Joannes Lytlewski*, *S. Mtis Reginalis Staphyrus*. Roku 1550 był przy dworze i szermierz królewski, *Joannes Rodensteok Pugillator Regius*.

* * *

Stron. 156. Ksiądz Czanser żył jeszcze roku 1443, którego tak piszą: *Nicolaus Czanser, der Altariste des hoen altirs in unser libn frawen Kirche alhy* czy *Crocow*, z czego widziéć się daje, że z fundacyi tój użytkował.

* * *

Stron. 162. Proszowscy, dawnato rodzina mieszczan krakowskich. Księga nro 1475, pod rokiem 1436 wymienia Maczkona Proszowskiego, kupującego dom przed furką św. Mikołaja. *Mgr. Petrus Proschovita* roku 1439 posiadał dom w ulicy Garncarskiej (teraz ulica Gołębia). Roku 1476 *Nicolaus Proszowski* właściciel domu w ulicy Mikołajskiej.

* * *

Stron. 166. Dawność istnących w Krakowie malarstwa i rzeźbiarstwa, poświadcza ta okoliczność, że już roku 1412, *Niclos sniczzer* (rzeźbiarz), i *Petir tischer* (stolarz), byli starszymi połączonych cechów malarzy, stolarzy i innych. Ten *Niclos sniczzer* w roku 1428 posiadał ogród na przedmieściu Garbarze, Piasek.

* * *

Stron. 167. Rytownictwo. Z dawnych wieków nie doszła do nas żadna wzmianka o rytowniku krajowym, i pierwszą takową wspominkę obejmuje rota przysięgi, którą w roku 1413 wykonał *Nicolaus Unger* wyrzyncz stępli i probierz srebra w mennicy królewskiej Władysława Jagiełły, o którym później obszerniej wspomnieć zamierzam.

* * *

Stron. 167. Akta ławnicze (*Liber Dnor Scabinorum Crac.*) pod rokiem 1482 wymieniają szlifierza kosztownych kamieni, jakoto: Jan Zalczzer złotnik, zeznał, że przewielebny biskup kujawski (*allererwirdigster vater und her Bischof von der Coja*), którym był Andrzej Oporowski, roku 1483 zmarły, powierzył mu szafir (*zafirum*), ażeby go kazał szlifować (*poliren*) Hermanowi szlifierzowi, który tenże kamień zatracił.

Rzemiosło kartowników, robiących karty do gry, już się w Krakowie zjawia w XVtym wieku, inianowicie, że w roku 1485 wspomniany jest jako właściciel domu z imienia nie nazwany, tylko z rzemiosła *Kartenmechir*.... Z pewnością atoli oznaczyć nie można, czyli to działa się za pomocą drzeworytnictwa (*xilografii*), czy przez malowanie ręczne, *Prismoler*, lub też za użyciem stosownych patronów.

* * *

Stron. 187. Zwyczaj mówienia kazań wyłącznie w języku niemieckim w kościele Panny Maryi, nastąpił dopiero w biegu XVgo wieku, bo zapisy z pierwszej połowy tego stulecia wykazują, że tu był kaznodzieja polski (a obok niego może był i niemiecki), jak się to pokazuje z pisma rajców krakowskich z roku 1438, którego początek taki: *Herr Niolos unsir Caplan, der Polnisch Prediger czu unsir libn frawen geweset ist* etc. Zwyczaj ten mowę ojczystą poniżający, słusznie w kraju powszechno wzniecał oburzenie, aż nakoniec i usuniętym został.

* * *

Stron. 197. Znakomity utwór rzeźbiarstwa, owe stalla, formy czyli ławy w prezbiteryum kościoła św. Trójcy, które już trudno aby kiedy równie wypracowanemi zastąpione były, składały się z osobnych kunsztownie wypukło-rzeźbionych tablat, utwierdzonych w osadzie roboty stolarskiej, którą wykonał Jan Gruszczyzna.... To z największą dla sztuk pięknych szkoda, spłonęły doszczętnie razem z ołtarzami, dwójgiem or-

gan i t. p., w czasie pożaru blisko połowy miasta Krakowa, dnia 18 lipca, roku 1850!..... a nikomu wcześniej przez myśl nie przeszło, aby je w rysunkach powszechniej znanemi uczynić.

Ozdobne stalla w kościele św. Franciszka, również zgorzałe, były zapewne na rzut oka więcej zadziwiające, jako okazalsze i bogatszego wyrobu pod względem materiału; ale tamte pod względem kunsztu były o wiele ważniejsze.

* * *

Stron. 198. Aż do obecnych czasów pozostały ślady, że w dawnych wiekach oprócz napisów, znaków, dawano na domach malowania wizerunków świętych Pańskich, co jeszcze i teraz nie na jednym domie spostrzedz się daje.

* * *

Stron. 220. Już wcześniej inżynier Włoch był w służbie polskiej..... Paprocki: *Herby ryc. pol.*, p. 217 przywodzi przywilęj z roku 1582, w którym król Stefan Batory wylicza zasługi wojenne miernika, zowiąc go: *Petrus Francus Conglanensis, Geometer noster.*

* * *

Stron. 223. Odlewnictwem dzwonów już o wiele wcześniej, bo w wieku XVtym w Krakowie się trudniono. Roku 1412 Henryk Loydmiter z żoną Magdaleną, obowiazali się odlać dzwon z czterech centnarów spiżu Janowi z Chęcín (czu *Chanczin*), którego zowią *Gardian* (gwardyan?), do czego tenże winien dodać kamień cyny i grzywnę szelągów (*eyne mrg. hellir.*). Roku 1485 Maciej mosiężnik (*Rotgisser*) i Erard konwisarz, wynieśli spór przed sąd ławniczy krakowski, tyczący się odlania dzwonu do Jaworzna, który na stronę Macieja wypadł.

Sztuka ludwisarska u nas w wieku XVIym na wysokim była stopniu. W Dyaryuszu podróży króla Stanisława Augusta, gdy odwiedzał Nieśwież książąt Radziwiłłów, jest ta wiadomość: „W Nieświeżu bawiąc, wszedł Najjaśniejszy Pan na wał zamkowy, dla przechadzki i oglądania po bastyonach dział ogromnych, na każdym po sześć sztuk;... z których kilkanaście było lanych za Zygmunta Igo, w różnych figurach sztucznie, i ledwo nie filigranową robotą sporządzonych.”

* * *

Stron. 224. Domysłowo tylko wyrzekłem, że pomnik bronzowy kardynała Fryderyka Jagiellończyka, może w Krakowie był odlany, i domniemanie to od rzeczywistości nie zdaje się być dalekiem. Fryderyk Faber, pisarz znakomitego teraz wychodzącego dzieła: *Conversations-Lexicon für bildende Kunst*, w tomie 4tym, str. 516, tego jest zdania, że owa mosiężna tablatura dłutem rytowniczym wykonana, poziomo le-

żąca przed wielkim ołtarzem katedry krakowskiej, która jest częścią tego monumentu, z pewnością za dzieło miejscowego (krakowskiego) artysty poczytana być może.... Ale co do ważniejszej (plastycznej) połowy tego pomnika, mianowicie postaci kardynała klęczącego przed wyobrażeniem Najśw. Panny, któremuto utworowi największą zaletę przyznaje, wpada na wniosek, że tak doskonały odlew w owym czasie, mógł tylko wyjść z pracowni Piotra Vischera w Norymbergu. (Tom 4, str. 517), a w tomie 5tym, str. 54, już go wprost pracą tego sławnego odlewnika być mieni..... Twierdzenie takowe niczém niepoparte, nie zasługuje na uwagę, ani monopolu Vischera w podobnych odlewach nie dowodzi, tém bardziej, że (jak to i Faber mówi): nie ma na tym pomniku ani nazwiska, ani monogramatu Vischera (dwie ryby), czém zwykle artysta ten prace swoje znaczył. I w rzeczy samój po najbaczniejszém obejrzeniu tegoż, nie mi się dopatrzeć nie dało, prócz napisu *Maria*, na taśmie spinającej kapę na piersiach św. Stanisława; przeto domniemanie moje powyższe, jeszcze prawdopodobieństwa nie utraciło, że dzieło to może w Krakowie było wykonaném.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

WARSZAWA.

81. Badania filozoficzne o chrystyanizmie przez Augusta Nicolas (,) przekład Ignacego Badeniego Rady Tajnego. C. T. N. K. Ska. Warszawa. 1851. Druk Gazety Codziennój. Str. XVIII i 336.

82. Dwór i dworki (.) Szkic do powieści przez L(eona) Kunickiego. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart napisowych 3 i str. 174. Złp. 4.

83. Główniejsze wody mineralne, ich skład, działanie i wskazanie do użycia, ze szczególnym względem na wyrabianie w instytucie wód mineralnych przy ogrodzie Krasniskich, redakcyi Teofila Lesińskiego. Ska. Warszawa. 1851. Druk Józefa Ungra. Str. 86. Złp. 3.

84. Historia serca i rozumu (uczucia i wiedzy) przez Jana Major-kiewiczza. Rękopiśm pośmiertny. (Z godłem);

...Modlić się będę, duchem modlić się będę i rozumieniem.

Będę śpiewał duchem, będę śpiewał i rozumieniem.

...Wolę pięć słów rozumieniem mojem mówić, a tych i drugie nauczył: niżeli dziesięć tysięcy słów językiem.

Brać! nie stawajcie się dziećmi rozumem, ale bądźcie dziećmi złością, a doskonałemi rozumem bądźcie.

Do Korynt. I R., XIV w. 15, 19, 20.

Część pierwsza. Ska. Warszawa. 1851. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra, Str. 490 i rejestru karta 1. (Z portretem). Złp. 20.

85. Piotr Konasewicz. Góra Bruty. Powieści historyczne Antoniego Wieniarskiego. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Gazety Codziennój, nakład B. M. Wolffa w Petersburgu. Str. 152. Złp. 6 gr. 20.

86. Wysokie w XVII wieku, czyli Aryanie w Polsce. Powieść historyczna Antoniego Wieniarskiego. 12ka. Warszawa, 1851. Druk Gazety Codziennój, nakład B. M. Wolffa w Petersburgu. Kart napisowych 2 i str. 190. Złp. 6 gr. 20.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Ignacy Zapolski najdoskonalsze tłumaczenie alkoranu Kazimierskiego wydać zamierza w przekładzie polskim.

— *Jan Kanty Gregorowicz* ukończył drugą seryą *Obrazków wiejskich*.

— *Maurycy Halpert* przygotował do druku obszerną rozprawę o teatrze hiszpańskim od początku XVIII wieku, z dodaniem przekładu kilku sztuk wprost z oryginału hiszpańskiego tłumaczonych Don Leandra Fernandesa de Moratlu, i Calderona.

— Książd *Mętlewicz* pracuje nad *Album Łęczykiem*, poświęconem historii Łęczycy i jej starożytnościom, wraz z dokładnemi opisami synodów, które poczynawszy od r. 1180 za czasów Kazimierza Sprawiedliwego, tu się odbywały.

— Księgarz *Gustaw Sennewald* przy wydaniu rękopismu pośmiertnego Jana Majorkiewicza w 2 częściach p. n.: *Historja serca i rozumu*, (uczucia i wiedzy), wraz z portretem autora, zapowiedział, że pod prasę oddał dwa jeszcze tomy rozpraw, rozbiórów i pism pomniejszych tegoż autora. Ogólny więc zbiór pism ś. p. Majorkiewicza będzie się składał z pięciu tomów.

— F. M. *Sobieszczański* wykończył tom IIIci *Wiadomości o sztukach pięknym w Polsce*, którym zamyka całe dzieło.

— *Edward Rastawiecki* zapowiedziany Słownik malarzy polskich we IIch tomach, z powodu nagromadzonych ważnych do tego przedmiotu materiałów, rozszerzył do trzech tomów. Tom IIgi wkrótce opuści prasę drukarską.

— Nakładem B. Wolffa wyjdą następne dzieła: *Wawrzyna*, powieść p. Wilkońskiej; *Poezye Bohdana Zaleskiego* (nowe, nieznaue), obejmujące dumy i pieśni, i przekład pieśni serbskich.

— Księgarnia pod firmą Rubena Rafałowicza zamierza ogłosić dzieło ważne dla dziejów p. n.: „Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów Korony polskiej i W. K. Litewskiego od *Wilibalda* do *Andrzeja Olszowskiego* włącznie, opisał *Stanisław Bużeński* dziekan i oficyał warmiński, kanonik gnieźnieński i krakowski; z niewydanego dotąd rękopismu łacińskiego na język polski przełożył Michał Bohusz Szyszko; wstęp i wiadomość o założeniu arcybiskupstwa, tudzież o jedenastu późniejszych prymasach do zgonu księcia Michała Poniatowskiego, dodał *Mikołaj Malinowski*. Tomów cztery.

— Nakładem téjże księgarni wkrótce wyjdzie zpod prasy drukarskiej tom IIgi *Pamiętników o dawnej Polsce Commendonego*, których tom Iszy wyszedł w 1847 roku.

— *Ludwik Kondratowicz* (Wład. Syrokomla) pracuje obecnie nad wydaniem VIgo tomiku *Przekładów poetów polsko-łacińskich*. Zawierać będzie: pięć ód *Mikołaja Smognieckiego* przypisywanych *Sarbielewskiemu*, oraz korespondencją tego ostatniego ze *Stanisławem Lubieńskim* biskupem plockim, rzucającą światło na charakter obu tych mężów, na ich osobiste stosunki, i niektóre sprawy krajowe. W dodatku będzie w łacińskim oryginale poemat *Klonowicza Rozolania*, rzadkość bibliograficzna, a godna uratowania od zapomnienia, jako piękny zabytek poezji polsko-łacińskiej.

— Tom IVty *Kroniki Wapowskiego* ma wyjść w roku bieżącym.

Wyjątek z listu A. Bielowskiego.

„Wykryłem tu ciekawe pamiętniki *Wilczków* mieszczan lwowskich, zawierające obszerne i zajmujące korespondencje z Janem Sobieskim królem aż do jego śmierci. Jest w nich dokładny obraz wszelkich ruchów wojennych i stosunków miejscowych naszych okolic. Mam też własnoręczne pamiętniki *Stanisława Jabłonowskiego* wojewody ruskiego, zawierające mnóstwo

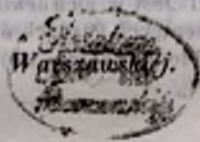
ciekawych szczegółów, a przez całe życie autora pod zamknięciem trzymane. Jest w nich między innymi wzmianka, że Chmielnicki korrespondował z Kromwelem. Nakoniec wyśledziłem też w rękopismach tutejszych dyaryusz oblężenia Krakowa i zdobył go przez Szwedów, skreślony własną ręką Starowolskiego, i nigdzie dotąd niedrukowany."

Wyjątek z listu z Krakowa.

„Towarzystwo naukowe w r. z. wzbogacone zostało znakomicie. Nie wspomniemy tu dzieł nadesłanych, ale wyliczmy dary w zabytkach starożytności.

„*W dyplomatach i rękopismach.* Dwie podobizny Jana Złiski i Jana Hussa. Księgę oryginalną sądową grodu Żywca w pergamin oprawną. 59 sztuk listów i aktów dawnych, dotyczących się w największej części miasta *Nowotaniec* w ziemi sanockiej od r. 1366 do 1762, między temi 19 sztuk na pergaminie, z których 6 mają pieczęcie woskowe wiszące. Dyplom pergaminowy z r. 1494, którym Piotr dziedzic Wiśnicza i Lipników, starosta żywiecki, nadaje wieś Lipniki na wieczne czasy klasztorowi św. Katarzyny w Krakowie. *W rzeźbach.* Odlew gipsowy miednicy srebrnej, ozdobionej rzeźbami, dzieła sławnego *Benevenuto Celliniego*, przez królową Bonę darowanego Firlejowi, obecnie w zbiorze Fr. hr. Potockiego w Warszawie zachowanego. Rzeźba przedstawiająca grupę trzech osób w popiersiach: Heroda, Herodyadę i żołnierza, który z szczególnym wyrazem twarzy słucha wyroku polecającego ścięcie Jana Chrzciciela. Wytworne dzieło Wita Stwosza. Ołtarz rzeźbiony w drzewie, przedstawiający rodzinę Chrystusa, na podobieństwo ołtarza w kościele Panny Maryi, z podobnie rzeźbionemi podwojami: zabytek nieocenionej wartości, będący dziełem Stanisława Stwosza, syna sławnego Wita. Dwie maski gipsowe, zdjęte staraniem K. Kremiera z nagrobków Piotra Kochanowskiego i Sebastjana Petrycego w kościele Franciszkanów, które mimo marmurowej osnowy, pożar tegoż kościoła przepalił i zniszczył.

„*W sprzętach i t. p. przedmiotach:* Naczynie ofiarne spiżowe z czasów przedchrześcijańskich. Trzy kamienne kule wydobyte z gruzu przy odkopywaniu grodziska położonego na skale nad miastem Żywcem, zwanego dawniej *Turcem*, dziś Grojcem. Grot żelazny od strzały tamże znaleziony. Kluczyk o dwóch bródkach z puszką przesuwalną, znaleziony na zamku krakowskim w czasie kopania kanału 1845 r. Kłódkę wyobrażającą literę *S*, wykopaną we wsi *Modlnicy*. Popielnicę bez pokrywy (gdź ta się rozpadła), wykopaną na gruntach wsi *Brzezia* w okręgu Krakowa. Dwie podkowy koniskie żelazne, znalezione wraz z wielu innymi, tudzież kośćmi zwierzęcymi w głębokości 7miu łokci na Podgórzu przy gościńcu do Wieliczki w r. b. Ostroga żelazna znaleziona we wrześniu na Grzegórkach. Amulecik egipski na jeden cal długi: książka z marmurów pompejańskich. *W Monetach.* Dwa pieniądże srebrne kuficzne znalezione w Przemyślu 1849 roku, w znacznej ilości odmienne od tych, które opisuje Czacki.“



Lipiec 1851

Observatorium w Warszawie

Miejsce obserwacji wzniesione jest 307 0 stopni barometrich nad poziomem morza w roku 1841 25 2 m

Data	BAROMETR			TERMOMETR		
	0	4	10	0	4	10
1	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
2	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
3	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
4	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
5	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
6	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
7	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
8	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
9	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
10	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
11	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
12	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
13	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
14	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
15	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
16	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
17	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
18	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
19	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
20	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
21	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
22	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
23	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
24	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
25	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
26	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
27	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
28	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
29	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
30	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5
31	747.00	747.00	747.00	17.5	17.5	17.5

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Lipiec, 1851.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.837	27	7.070
Najwyżej dochodził — d. 20 o g. 10 w.	756.98	27	11.566
Najniżej — — d. 9 o g. 6 r.	739.25	27	3.707
Średnia zmiana dzienna barometru	2.999		1.329
Największa zmiana dzienna barometru d. 18—19 o g. 10 wiecz.	11.47		5.08
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	2.040		0.904
Średnia temperatura lipca wynosi:	748.877	27	7.974
i ta jest niższa o	+ 17.951 C.	+ 14°.	281 R.
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	0.838 „	„	0.670 „
Największe ciepło dochodziło d. 30 o godz. 4 wiecz.	+ 18 689 „	+ 14.951 „	
Najniższa temperatura była d. 13 o godz. 6 rano.	+ 29.0 „	+ 23.2 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 9.6 „	+ 7.7 „	
Największa zmiana dzienna d. 29—30 o godz. 4 wiecz.	2.268 „		1.814 „
Termometrogram wskazał:	8.9 „		7.1 „

Maximum: + 26.1 R. d. 30 po połud.

Minimum: + 4.2 „ d. 13 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 168,6 milim., czyli 74,7 lin. par. t. j. o 37,7 lin. par. więcej od ilości wody jaka u nas zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 76,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,49 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 14, pochmurnych 15.

Dni deszczu 25 (d. 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 24, 26, 27, 28, 29, 30, 31). — Dni gradu 2 (d. 18, 24). — Dni grzmotu 8 (2, 3, 9, 14, 18, 24, 26, 30). — Dni błyskawic bez grzmotu 4 (18, 24, 26, 29).

Wiatr panujący: Zachodni. — Wichrów 1 (Północny). — Wiatrów mocnych 4: 1 Pn., 2 PnZ., 1 Z).

Lipiec r. b. odznaczał się częstymi i obfitymi deszczami, grzmotami i błyskawicami; w ogólności miesiąc ten był niepogodny, bardzo słotny i przeszło o pół stopnia R zimniejszy jak zwykle. Wyjąwszy sześć dni t. j. d. 1, 13, 21, 22, 23, 25 w których deszcz nie padał, 25 dni było słotnych. Ilość wody z deszczu w tym miesiącu wynosi co do wysokości 6 cali 2,7 lin. par., to jest dwa razy więcej niż w stanie normalnym. Dzień 18 ze względu szczególnych i nadzwyczajnych zmian atmosfery należy do wyjątkowych dni tego miesiąca; deszcze, wichry, grady, błyskawice, grzmoty i pioruny odznaczały ten dzień. O godz. 4½ po połud. wśród błyskawic, grzmotów i deszczu upadł grad wielkości laskowego orzecha. Największa jednak burza była o godz. 6 min. 50 wiecz. wśród ulewy i nieustających błyskawic na około. O godz. 8½ wiecz. grzmoty i deszcz nieznaczny. Między godz. 9 i 10 w. grzmoty, błyskawice i deszcz, błyskawice do późnej nocy się przeciągnęły. Ilość wody z deszczu w ciągu 16 godzin wynosiła 86,6 milimetrów, to jest więcej od ilości jaka średnio w całym miesiącu spada.

D. 28 o godz. 4 min. 46 po połud. zaćmienie słońca całkowite w Warszawie widzialne. W czasie zaćmienia powietrze się znacznie ochłodziło; termometr w cieniu zniżył się o 1,7 stop. R.; na słońcu o 3,4 stop. R. Wiatr Północny wiał silniej w kierunku biegu zaćmienia.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z r. 1851.

Materyały historyczne.

	Stron.
Wiadomość historyczna o księgarniach i drukarniach warszawskich od najdawniejszych czasów aż do roku 1793, czerpana z akt dawnych, przez <i>Stanisława Lisowskiego</i>	1
Rzut oka na dotychczasową polską historją przez <i>Augusta Bielowskiego</i> (dokończenie).....	30
O dawnym województwie sieradzkiem, przez <i>Józefa Szaniawskiego</i>	170, 356
Zdobycie Warszawy przez Szwedów r. 1656, opisane w listach królowej polskiej Maryi Ludwiki, zachowanych w rękopismie własnoręcznym w bibliotece narodowej paryzkiej. Przepisał, wstępem i objaśnieniami opatrzył <i>L. Grangier de la Marinière</i> . Z francuzkiego na polski język przełożył i przypiski dodał <i>Alexander Przedziecki</i>	189
Spominki historyczne i artystyczne, przez <i>Edwarda Rastawieckiego</i>	339
Baronowie, hrabiowie i margrabiowie mianowani przez królów polskich, przez <i>X. I.</i>	412
Zaporoże od czasów zniszczenia siczcy do r. 1840, przez <i>Michała Gliszczynskiego</i>	425
Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego. Część III.....	438
Dopełnienie wiadomości, zawartych w dziele wydanem w Krakowie, pod tyt.: Dawne zabytki miasta Krakowa i t. d. przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i> ..	578

Archeologia.

	Stron.
O czytaniu runów słowiańskich. Napisał <i>Józef Łepkowski</i> . (Z ryciną)...	268
Słowo o czynnościach Wydziału archeologicznego w Krakowie.....	179

Prawo.

Zasady praw dawnych polskich o spadkach. Przez <i>A. Przeszkodzińskiego</i> .	211
---	-----

Nauki społeczne.

Wystawa powszechna w Londynie. (Artykuł dla Biblioteki Warszawskiej wyłącznie napisany). Część II, III, IV i ostatnia.....	111, 295, 503
Instytut kredytowy szlązki z roku 1835. Przez <i>Adama Bagniewskiego</i>	325

Opisy i podróże.

Maurowie niegdyś w Hiszpanii, a dziś w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d. (ciąg dalszy).....	53
Mormony, przez ks. <i>Józefa Szpaderskiego</i> (dokończenie).....	141

Literatura.

Próby przekładu Agamemnona z trylogii Eschylosa: Oresteja. Przez <i>Lucyana Siemieńskiego</i>	254
Literatura niemiecka i madziarska. Przegląd.....	282
Wojna chocimska. Poemat bohaterski w dziesięciu częściach, przez <i>Andrzeja Lipskiego</i> (rękopism 1673—1680). Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i> .	381

Bibliografia dawniejsza polska.

Łabędź żałośnie śpiewający nad grobem <i>Mikołaja Dunina Modlińskiego</i> , których żałobnych trenów, pomógł mu na pogrzebnym kazaniu ks. <i>Jacynth Przetocki</i> . Przez <i>M. Morz</i>	162
---	-----

Poezye.

Legenda łużycko-serbska. Przez <i>R. Z.</i>	97
Początek <i>Wilhelma Tella</i>	280
Wędrownik. (Pieśń <i>Szuberta</i>).	281
Książd definitor. Ustęp z nowej gawędy, przez <i>Władysława Syrokomłę</i> ...	476
Tobiasz, przez <i>Ludwika Niemojowskiego</i>	479

Rozbiory.

Życiorysy znakomych ludzi wstawionych w różnych zawodach. Tom II. Warszawa. 1851. Przez <i>T.</i>	136
Odpowiedź pana <i>Szulca</i> , przez <i>T.</i>	138

	Stron.
Druskieniki. Szkic literacko-lekarski przez J. I. Kraszewskiego i Ksawerego Wolfganga. Wilno. 1848. Przez <i>Wł.</i>	348
Nauka chrześcijańska, obejmująca wykład prawd religijnych w dokładnym katechizmie, z załączeniem wypisów biblijnych w pytaniach i odpowiedziach. Gdańsk. 1851. Przez <i>K.</i>	352
Kilka słów z powodu recenzji Ilgo tomiku Przekładów poetów polsko-łacińskich, przez p. Lisowskiego, umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej na r. 1851. Przez <i>Władysława Syrokomlę</i>	353
Przekłady poetów polsko-łacińskich. Tomik czwarty i piąty. Poezye ks. M. K. Sarbiewskiego. Przekład <i>Wł. Syrokomli</i> . Wilno. 1851. Przez <i>Stanisława Lisowskiego</i>	551
Przedstówie do tomu Ilgo „Słownika malarzów polskich, służyć mające za odpowiedź na niektóre krytyki dzieła tego, przez <i>Edwarda Rastawieckiego</i>	570

Nauki przyrodzone.

Dowód obrotu wirowego ziemi, za pomocą doświadczenia. Przez <i>H. Skrzyńskiego</i>	99
Całkowite zaćmienie słońca dnia 28 lipca r. b., obserwowane z Wysokiego-Mazowieckiego, przez <i>St. Przystalskiego</i>	487
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...</i>	373

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Wł. Syrokomli</i>	181
<i>Kronika bibliograficzna</i>	182, 375, 586
Doniesienia literackie.....	184, 375, 586
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem: za miesiąc maj r. b.....	185
— — czerwiec r. b.....	377
— — lipiec r. b.....	580

